

LOUIS-FERDINAND CÉLINE

PODRÓŻ
DO KRESU NOCY

PRZEŁOŻYŁ
WACŁAW ROGOWICZ

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA 1934

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

Tytuł oryginalny:
„VOYAGE AU BOUT DE LA NUIT“



23 0324

I

K240/11/12
21010007



Nasze życie to wędrówka
Poprzez Zimę, poprzez Noc.
My szukamy sobie przejścia
W Niebo, gdzie nie świeci nic.

(Piosenka Gwardji Szwajcarskiej, 1793).

Okladkę projektował Mieczysław Berman
Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

Podróżować jest bardzo pożytecznie, to wprawia w ruch wyobraźnię. Reszta, to tylko zawód i mordęga. Nasza podróż jest całkowicie urojona. W tem jej moc.

Idzie ona od życia do śmierci. Ludzie, zwierzęta, miasta i rzeczy — wszystko jest zmyślane. To jest powieść, nic więcej: historia fikcyjna. Littré tak mówi, a on nie myli się nigdy.

Zresztą, każdy potrafi zrobić to samo. Wystarczy zamknąć oczy.

To się dzieje po drugiej stronie życia.

Bibl. Jag.

To zaczęło się tak. Ja sam, nigdy nic nie powiedziałem. Nic. To Artur Ganate pociągnął mnie za język. Artur, student, również medyk, kolega. Spotykamy się tedy na placu Clichy. To było po drugim śniadaniu. On chce ze mną gadać. Słucham go. „Nie sterczmy na dworze! powiada. Wracajmy do kawiarni!“ Wracam z nim. „Ten taras, zaczyna, to dobry do jedzenia jajek na miękko! Chodź tedy!“ Wówczas spostrzegamy jeszcze, że na ulicach niema żywego ducha, z powodu skwaru; nawet aut, nic. Gdy jest bardzo zimno, również niema nikogo na ulicach; to właśnie on, przypominam sobie, powiedział mi à propos tego: „Paryżanie zawsze wyglądają, jakby byli zajęci, a naprawdę, to łażą tylko od rana do nocy po mieście; dowodem, że gdy pogoda nie jest do spacerowania, za zimno lub za gorąco, już ich nie poświeci; wszyscy siedzą po kawiarniach w środku, przy białej kawie i przy piwie. To jest tak! Wiek szybkości! powiadają. Gdzie? Wielkie zmiany! twierdzą. W czym? Nic się naprawdę nie zmieniło. Podziwiają się w dalszym ciągu i na tem koniec. A to też nic nowego. Słowa, i do tego niewiele, nawet słów, się zmieniło! Dwa, trzy, tu i owdzie, słóweczka“. Bardzo tedy dumni z wygłoszenia tych pożytecznych prawd, siedzimy tam, zachwyceni, przyglądając się damom w kawiarni.

Potem rozmowa zesłała na prezydenta Poincaré, który udał się, właśnie dziś rano, na otwarcie wystawy piesków pokojowych; a potem, by nie tracić wątku, na

le Temps, gdzie była podana ta wiadomość. „Masz, oto wzorowy dziennik *le Temps*!“ drażni mnie Artur Ganate, z tego powodu. „Niema takiego drugiego, żeby tak bronić rasy francuskiej! — Rasa francuska bardzo tego potrzebuje, skoro nie istnieje!“ ja powiadam, żeby pokazać, że jestem gruntownie poinformowany, i zaraz ząb za ząb.

— Ale! owszem, jest! I piękna rasa! on się upiera, i nawet, że to najpiękniejsza rasa na świecie i że daje się nabierać, kto tego nie uznaje! A potem, jak nie zaczniesz mnie besztać. Ja, ma się rozumieć, nie dałem się zjeść w kaszy.

— To nieprawda! Rasa, to, co ty tak nazywasz, to jest tylko ta wielka zbieranina nieszczęśników w moim guście, kaprawych, zapchlonych, skostniałych, którzy tu się oparli, ścigani przez głód, zarazę, wrzody i chłód, pokonani, spędzeni z czterech stron świata. Iść dalej nie mogli z powodu morza. To to jest Francja, i to są Francuzi.

— Bardamu, mówi on wówczas do mnie poważnie i trochę smutno, nasi ojcowie nie byli lepsi, daj spokój!...

— Masz słuszość Arturze, co do tego to masz słuszość! Żli a wraz potulni, gwałceni, grabieni, wybebeszani i zawsze tchórze, byli nas warci, byli! Wiadomo! My się nie zmieniamy! Nie zmieniamy ani skarpetek, ani panów, ani poglądów, albowiem tak późno, że to już się nie opłaca. Rodzimy się wierni i zdychamy przez to! Żołnierze bez zapłaty, bohaterowie dla wszystkich i mały mówiące — przygnębiające to słowa — jesteśmy pieszczochami Króla-Nędzy. W jego jesteśmy mocy! Gdy kto nie jest grzeczny, on go ściska... Ma się

jego palce na szyi, zawsze, to krępuje w mówieniu, należy bacznie uważać, jeśli się chce móc jeść... Za byle co dusi cię... To nie jest życie...

— Jest miłość, Bardamu!

— Arturze, miłość to nieskończoność, uprzystępniona pudlom, a ja mam swoją godność! — ja mu na to.

— Pomówimy o tobie! Ty jesteś anarchista i koniec! — Cwaniak, w każdym wypadku, widzicie to już, no i jaki postęp był w poglądach.

— Powiedziałeś bubku, że jestem anarchistą! Najlepszym tego dowodem jest, że skomponowałem rodzaj modlitwy, mściwej i społecznej, o której zaraz mi powiesz swe zdanie: „Złote skrzydła!“ Taki jest tytuł!.. I zaczynam mu recytować:

Bóstwo liczące minuty i grosze, bóstwo beznadziejne, zmysłowe i chrząkające jak świnia. Świnia o złotych skrzydłach, spadająca wszędzie, brzuchem do góry, gotowa do pieszczot, to on, to nasz władca. Uściskajmy się!

— Ten twój fragment nie ostoi się wobec życia, ja jestem za ustalonym porządkiem i nie lubię polityki. A zresztą, w dniu, kiedy ojczyzna zażąda ode mnie, żebym za nią przelał krew, będę gotów ją dać, z pewnością i bez marudzenia. — Oto, co mi odpowiedział.

Właśnie wojna zbliżała się do nas obu, choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, i głowę miałem skotłowaną. Ta krótka ale żywa dyskusja znużyła mnie. A przytem byłem też poruszony tem, że kelner potraktował mnie trochę jak kutwę z powodu napiwku. Wreszcie pogodziliśmy się z Arturem kompletnie. Byliśmy tego samego zdania prawie na każdym punkcie.

— To prawda, razem wzięwszy, masz rację, zgodzi-

łem się, pojednawczo nastrojony, ale ostatecznie wszyscy siedzimy na wielkiej galerze, wszyscy wiosłujemy z całej mocy, nie możesz temu zaprzeczyć! ...Siedzimy nawet na gwoździach, ciągnąc wszystko, my właśnie! I co z tego mamy! Nic. Tylko pałką po łbie, nędę, blagi i jeszcze do tego świństwa. Pracuje się! powiadają. To jest jeszcze bardziej śmierdzące od wszystkiego innego, ta ich praca. Jest się na spodzie okrętu, sapiąc pyskiem, cuchnąc potem ze snu — i tyle masz! A w górze, na pokładzie, na świeżem powietrzu, siedzą panowie i nic ich to nie obchodzi, siedzą z pięknymi, różowymi i pachnącymi kobietami na kolanach. Kazań nam iść na pokład. Tu kładą na łeb sztywniaka i tak ci ryczą: „Wy tam, ścierwy, jest wojna! — prawią. — Uderzy się na tych drani, co są na ojczyźnie Nr. 2 i wysadzi się ich pudło w powietrze! Naprzód! Naprzód! Na pokładzie naszym jest wszystko co potrzeba! Wszyscy chórem! Ryknijcie tak, żeby się aż zatrzęsło: *Niech żyje ojczyzna Nr. 1!* Żeby was zdaleka było słycać! Ten, co będzie się darł najgłośniej, dostanie medal i cukierek od Pana Jezusa. Jak Boga kocham! A ci co nie będą chcieli zdychać na morzu, zawsze mogą iść zdychać na lądzie, gdzie to się robi jeszcze daleko prędzej niż tu!“

— To jest właśnie tak! — potwierdził Artur, którego stanowczo łatwo było teraz przekonać.

Ale czy on nie widzi, że przed kawiarnią, gdzieśmy siedzieli, zaczyna przechodzić pułk, i ze swym pułkownikiem na przedzie, konno, i że nawet wygląda on przyjemnie, na morowego chłopca, ten pułkownik! Ja, jak nie skoczę z zapału:

— Pójdę zobaczyć, czy to jest tak! — wołał do Ar-

tura, i oto poszedłem zaciągnąć się do wojska, do tego biegiem.

— Dureń jesteś, Ferdynand! on znów na mnie woła, pewno podrażniony wrażeniem mego heroizmu na wszystkich, co na nas patrzyli.

Trochę mnie speszyło, że on to tak bierze, ale to mnie nie powstrzymało. Maszerowałem. „Ani myślę się ruszyć stąd!“ — powiedziałem sobie.

— To się okaże, ech ty fujaro! — zdążyłem mu jeszcze krzyknąć, zanim skręciłem w ulicę, z pułkiem za pułkownikiem i orkiestrą. To się dokładnie tak stało.

Maszerowaliśmy długo. Już nie było ulic i znowu były ulice, a na nich cywile i ich kobiety, które rzucały nam okrzyki zachęty i kwiaty, z tarasów kawiarni, przed dworcami, z pełnych kościołów. Była kupa patryjotów! A potem zaczęło być mniej patryjotów... Zaczęło padać, a potem jeszcze mniej, coraz mniej, a potem już żadnej zachęty, ani jednej, na drodze.

Więc byliśmy już tylko między sobą? Jeden za drugim? Muzyka przestała grać. „Krótko mówiąc — powiedziałem sobie wówczas, gdy zobaczyłem, jaki to obrót przybiera, — to przestało być zabawne! Trzeba zacząć wszystko od początku!“ Chciałem się wynieść. Ale było za późno. Zamknęli pocichutku bramę za nami, cywilami. Złapano nas, jak szczury.

Skoro się tam kto raz dostanie, wie że jest. Kazali nam dosiadać konia, a potem, po dwóch miesiącach tych ćwiczeń, zrobiono z nas piechurów. Może z tej racji, że to za drogo kosztowało. Wreszcie, pewnego ranka, pułkownik szukał swego wierzchowca, bo jego ordynans pojechał z nim niewiadomo gdzie, pewno w jakiś zakątek, dokąd kule dostawały się mniej łatwo niż na środek drogi. Gdyż tam to właśnie ulokowaliśmy się, pułkownik i ja, na samym środku drogi, ja z rejestrem, na którym on wypisywał rozkazy.

Hen w dali, na szosie, tak daleko jak tylko można było okiem sięgnąć, były dwa czarne punkty, pośrodku, jak my, ale to byli dwaj Niemcy, zajęci strzelaniem już dobrego kwadrans.

On, nasz pułkownik, może wiedział, dlaczego tych dwóch ludzi tam strzelało, Niemcy może też wiedzieli, ale ja, doprawdy, nie wiedziałem. Jak tylko mogłem sięgnąć pamięcią, nic im, Niemcom, nie zrobiłem złego. Byłem zawsze bardzo uprzejmy i grzeczny dla nich. Znałem ich trochę, Niemców, byłem nawet u nich w szkole, będąc dzieckiem, w okolicach Hanoweru. Mówiłem po niemiecku. Była to wtedy gromada małych pyskatekretynów o oczach białych i patrzących z podełba, jak oczy wilka; chodziło się razem macać dziewczyny po lekcjach w okolicznych lasach, albo strzelało się z łuku i z pistoletu, który się nawet kupowało za cztery marki. Piło się piwo słodowe. Ale od tego do strzelania nam teraz w brzuch, bez uprzed-

nego pogadania z nami i na samym środku drogi, był margines a nawet przepaść. Zbyt duża różnica.

Wojna w rezultacie to było to wszystko, czego się nie rozumiało. To nie mogło trwać.

Więc w tych ludziach dokonało się coś nadzwyczajnego? Czego ja nie odczuwałem, wcale. Nie powinienem był zdawać sobie z tego sprawy.

Moje uczucia dla nich nigdy się nie zmieniły. Pragnąłem mimo wszystko spróbować zrozumieć ich brutalność, ale jeszcze bardziej pragnąłem iść sobie precz, strasznie, absolutnie, do takiego stopnia to wszystko nagle jawiło mi się, jako wynik potwornej pomyłki.

„W takiej sprawie nic się nie poradzi, nie pozostaje nic tylko wynieść się“, to sobie mówiłem, ostatecznie...

Ponad naszymi głowami, o dwa milimetry, o milimetr może od skroni drgały jedna za drugą te długie stalowe nitki, kuszące, które kreślą kule, co chcą cię zabić, w gorącym powietrzu lata.

Nigdy nie czułem się tak zbyteczny pośród tych wszystkich kul i światła słońca. Olbrzymia, powszechna kpina.

Miałem zaledwie dwadzieścia lat wówczas. Opuszczone fermy w oddali, kościoły puste i otwarte, jak gdyby chłopci udali się z tych wiosek na cały dzień, wszyscy, na zabawę w drugim końcu powiatu i zostawili nam w zaufaniu cały swój dobytek, swą wieś, wozy z podniesionymi dyszlami, pola, zagrody, drogę, drzewa i nawet krowy, psa z łańcuchem, wszystko chyba. Żeby można było spokojnie robić co się chce podczas ich nieobecności. To ładnie wyglądało z ich strony. „Jednakże, gdyby nie byli gdzieindziej — mówi-

iem sobie — gdyby tu byli jeszcze ludzie, nie zachowywano by się z pewnością w tak haniebnym sposobie! Tak źle! Nie ośmielono się w ich oczach! Ale nie było nikogo, żeby nas pilnować! Byliśmy sami jedni, jak nowożeńcy, co czynią bezceństwa, gdy wszyscy się rozejdą“.

Myślałem sobie również (za drzewem) że radbym go tu widzieć, Dèrouléde'a¹, o którym mi tyle mówiono, wyjaśniającego, jak się zachowywał, on, gdy dostawał kulę w kałdun.

Ci Niemcy co przykucnęli na szosie, zaciekli strzelcy, strzelali źle, ale wydawało się, że mają kul do odstąpienia, niezawodnie, pełne magazyny. Stanowczo, wojna nie skończyła się. Nasz pułkownik, należy powiedzieć to co jest, okazywał brawurę osłupiającą! Spacerował sobie środkiem szosy a potem wzdłuż i wszerz w polu obstrzął tak prosto, jak gdyby oczekiwał na kogoś na peronie stacji, trochę tylko niecierpliwy.

Ja, muszę to zaraz powiedzieć, nigdy nie cierpiałem wsi, uważałem ją zawsze za smutną, z jej nie kończącymi się bajorami, z jej domami, gdzie nigdy niema ludzi i drogami, wiodącymi do nikąd. Ale gdy się do tego doda wojnę, to już zupełnie nie można wytrzymać. Podniósł się wiatr, brutalny, po obu stronach szosy, topole mieszały wichurę liści z suchym bzykaniem, idącym stamtąd na nas. Ci nieznani żołnierze pudłowali

¹ Paul Dèrouléde (1846 — 1914) znany nacjonalistyczny krzykacz, piszący patryjotyczne wiersze nawołujące do wojny odwetowej o Alzację; urządzał co roku 14 lipca bezpieczne manifestacje przed posągiem Strasburga na Placu Zgody w Paryżu. (Przyp. tłum.).

do nas bez przerwy, ale że otaczali nas tysiącem okazji śmierci, czuł się człowiek jak wypaproszony. Nie śmiałem się poruszyć.

Ten pułkownik, toż to był potwór! Teraz, byłem tego pewny, on, gorszy od psa, nie wyobrażał sobie swej śmierci! Jednocześnie pojąłem, że musiało być dużo takich jak on w naszej armji, takich zuchów, no i zapewne tyluż w armji naprzeciwno. Kto wie, ilu? Jeden, dwa, kilka milionów może, razem wzięwszy? Odtąd miałem wprost panicznego pietra. Z podobnymi typami ta piekielna głupota mogła się wlec w nieskończoność... Dlaczego miałiby przestać? Nigdy nie uczułem bardziej nieubłaganego wyroku na ludzi i rzeczy.

Czyżbym więc był jedynym tchórzem na świecie? — myślałem sobie. — I z jakim przerażeniem!... Zatrącony wśród dwóch milionów warjatów bohaterskich i rozpetanych i uzbrojonych do czubka głowy? Z hełmami, bez hełmów, bez koni, na motorach, wyjąc, w autach, gwizdząc, strzelając, spiskując, latając, na kolanach, ryjąc ziemię, kryjąc się, czołgając się po ścieżkach, pierdząc karabinami maszynowymi, zamknięci pod ziemią, jak w lepiance, żeby tam wszystko zniszczyć, Niemcy, Francję i kontynenty, wszystko co żyje zniszczyć, wścieklejsi od psów, uwielbiający swą wściekłość (czego psy nie robią), sto, tysiąc razy bardziej wściekli niż tysiąc psów, i o ileż bardziej występni! Ładni byliśmy — niema co! Stanowczo pojmowałem to: wyruszyłem na krucjatę apokaliptyczną.

Jest się prawiczką Zgrozy, jak się jest prawiczką rozkoszy. Jakże ja mogłem domyślać się tej zgrozy, opuszczając plac Clichy? Kto mógł być przypuścić, przed rzeczywistym wejściem w wojnę, co zawiera

w sobie ludzka plugawa dusza bohatera i walkońska? Teraz byłem porwany w tę masową ucieczkę, do zbiorowego mordy, do ognia... To szło z głębin i przyszło.

Pułkownik wciąż nie opuszczał swego miejsca, widziałem jak odbiera na skarpie szosy liściki od generała, które potem darł w drobne kawałki, po przeczytaniu bez pośpiechu, pośród kul. Więc w żadnym z nich nie było rozkazu przerwać od razu tę ohydę? Więc nie mówiono mu zgóry, że tu jest pomyłka? Fatalny błąd? Żle rozdane karty? Że się omylono? Że to były manewry dla żartu, które chciano urządzić, a nie morderstwa! Ale nie! „Rób dalej pułkowniku! jest pan na dobrej drodze!” Oto co zapewne pisał mu generał des Entrayes, generał dywizji, dowódca nas wszystkich, od którego otrzymywał kopertę co pięć minut, przez łącznika, którego strach czynił za każdym razem bardziej zielonym i spietranym. Zrobiłbym mego brata w strachu z tego chłopca! Ale nie było czasu i na bratanie się.

Więc nie pomyłka? Tak kropić do siebie, nawet się nie widząc, co tu robiono, to nie było zabronione! To stanowiło część tego co można robić, nie narażając się na zdrowe obsobaczenie. To nawet było uznane, do tego zachęcali niezawodnie ludzie serjo, jak do ciągnięcia losu, do zaręczyn, do polowania z chartami!... Nie ma co. Odkryłem za jednym zamachem wojnę w całości. Byłem rozprawiczony. Trzeba być prawie sam jeden wobec niej, jak ja byłem w owej chwili, żeby dobrze zobaczyć to ścierwo, en face i z profilu. Rozpalono wojnę między nami a tymi z przeciwka, i teraz tu parzyło! Jak prąd między dwoma węglami, w lampie łukowej. I węgiel wcale nie był bliski zgaśnięcia.

I wszyscy tędy przejdą, pułkownik tak samo jak inni, choć wydaje się takim cwaniakiem, i z jego ścierwa tak samo nie będzie pieczeni jak z mojego, gdy prąd z przeciwka przejdzie mu między łopatkami.

Na różne sposoby można być skazanym na śmierć. Ach, cóżbym był dał za to w tej chwili, żeby być w więzieniu, zamiast być tutaj, ja, osioł skończony! Za kradzież naprzykład, gdy to było łatwe dla człowieka przewidującego, czegoś tam, gdzieś tam, kiedy była jeszcze pora. O niczem się nie myśli! Z więzienia wychodzi się żywym, z wojny nie. Wszystko poza tem to puste słowa.

Gdybym tak miał jeszcze czas, ale nie miałem już czasu! Nic już nie było do ukradzenia! Jakby to było przyjemnie w więzienku wojskowym, mówiłem sobie, dokąd kule nie dochodzą! Nie dochodzą nigdy! Znałem jedno takie, gotowusieńkie, w słońcu, w ciepłe! W marzeniu, to mianowicie w Saint-Germain, tak blisko lasu, znałem je dobrze, przechodziłem tamtędy często, swego czasu. Jak to człowiek się zmienia! Byłem wtedy dzieckiem, bałem się więzienia. Bom nie znał jeszcze ludzi. Nigdy już nie będę wierzył co mówią, temu co myślą. Ludzi, i tylko ludzi należy się bać zawsze.

Ile czasu musi trwać ich szaleństwo, żeby zatrzymały się wreszcie, wyczerpane, te potwory? Ile czasu naprawdę może trwać taki paroksyzm, jak ten? Miesiące? Lata? Ile? Może aż do śmierci wszystkich, wszystkich warjatów? Aż do ostatniego? Skoro więc wypadki przybierały ten beznadziejny obrót, zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę, spróbować ostatniego, ostatecznego kroku, spróbować sam jeden zatrzy-

... wojnę. Przynajmniej w tym zakątku, gdzie by-
łem.
Pułkownik spacerował o dwa kroki odemnie. Chcia-
łem z nim pomówić. Nigdy tego dotąd nie robiłem. Był
teraz moment, żeby się na to odważyć. W tej sytuacji,
w jakiej byliśmy, nie było już prawie nic do stracenia.
„Czego chcecie?“ zapyta mnie się, wyobrażałem sobie,
z pewnością zdumiony mojem śmiałem wystąpieniem.
Wtedy mu wytłumaczę te sprawy, tak jak je pojmuję.
Zobaczmy, co on o nich myśli. Wypowiedzieć się
w życiu — to wszystko. We dwóch łatwiej o to niż sa-
memu.

Chciałem uczynić ten decydujący krok, gdy w tejże
chwili podszedł do nas krokiem gimnastycznym, zmor-
dowany, obszarpany kawalerzysta pieszy (jak się wów-
czas mówiło), z odwróconym hełmem w rękę, jak Beli-
zarjusz, i drżący, zachlastany błotem, z twarzą jeszcze
bardziej zielonkawą niż miał tamten łącznik. Bełkotał
i zdawało się, doznawał ten kawalerzysta niesłychanego
cierpienia, wyjścia z grobu, i że czuł jeszcze wszy-
stko co przeżył, każdym nerwem. Więc to widmo rów-
nież nie lubiło kul? Czyżby je przewidywał, tak
jak ja?

— Co tam? osadził go w miejscu pułkownik, brutal-
nie, że mu przeszkadza, rzucając na tego upiora rodzaj
stalowego spojrzenia.

Widzieć przed sobą tego podłego kawalerzystę, w tak
mało przepisowym uniformie, robiącego w portki ze
wzruszenia, to mocno gniewało naszego pułkownika.
Strachu to on bardzo nie lubił. To było oczywiste.
A zwłaszcza ten hełm w rękę, jak melon, ostatecznie
zapaskudzał nasz pułk szturmowy, pułk, który się rzu-

cał w wojnę. On tak wyglądał, jakby ją witał, ten ka-
walerzysta pieszy, witał na wstępie.

Pod tym karzącym wzrokiem chwiejący się gonie-
stał na baczność, małe palce na szwach spodni, ja-
w takim wypadku należy. Sztywny, chybotął się tak na
stoku szosy, pot ciekł mu ciurkiem wzdłuż podpinki,
a szczęki mu dygotały tak mocno, że wydawał urywa-
ne skomlenia, jak psiak przez sen. Nie można było ro-
zeznać, czy chciał coś nam powiedzieć, czy też płakał.

Nasi Niemcy, siedzący w kucki hen na końcu szosy
akurat zmienili instrument. Teraz robili swoje głupstwa
karabinem maszynowym; wytrząskiwały się z niego
jakby grube paczki zapalek, i dokoła nas zaczęły lata-
roje wściekłych kul, klujących jak osy.

Żołnierz zdołał jednak wykrztusić coś artykułowa-
nego.

— Wachmistrz Barousse został właśnie zabity, pa-
nie pułkowniku — wyrzekł jednym tchem.

— No i co?

— Został zabity, idąc po furgon z chlebem na dro-
dze z Etrapes, panie pułkowniku!

— No i co?

— Rozerwał go pocisk!

— No i co, do cholery!

— Właśnie! Panie pułkowniku...

— A chleb? — zapytał pułkownik.

To był koniec tego dialogu, bo przypominam sobie
dobrze, że miał czas powiedzieć akurat tylko: „A chleb?“
I to było wszystko. Potem nic tylko ogień i huk. Ale
jeden z takich huków, w któreby się nigdy nie wierzy-
ło, że istnieją. Miało się tak pełne oczy, uszy, nos, usta,

natychmiast, tego huk, zem myślał, że to koniec, że ja sam stałem się ogniem i hukiem.

Ale nie, ogień zniknął, huk długo pozostał w mej głowie, a ręce i nogi dygotały, jak gdyby ktoś niemi trząsł z tyłu. Zdawało się, że moje członki oddzielają się ode mnie, a potem jednak zostały ze mną. W dymie, gryzącym oczy jeszcze długo, ostra woń prochu i siarki pozostała nam, jakby do wytepienia pluskiew i pcheł całego świata.

Zaraz potem pomyślałem o wachmistrzu Barousse, którego rozerwało, jak tamten nam powiedział. To była dobra nowina. Tem lepiej! i pomyślałem zaraz tak: „O jednego wielkiego skurwysyna mniej w pułku!“ On chciał mnie oddać pod sąd za puszkę konserw. „Każdy ma swoją wojnę!“ powiedziałem sobie. Pod tym względem, trzeba przyznać, od czasu do czasu, wojna zdawała się służyć do czegoś! Znałem jeszcze w pułku trzech, czterech strasznych drani, którym bardzo chętnie pomógłbym znaleźć swój pocisk, jak znalazł go Barousse.

Co do pułkownika, to jemu źle nie życzyłem. On jednak też zginął. Nie zobaczyłem go z początku. Bo go wybuch odrzucił na stok szosy, rozciągnął na boku i cisnął w ramiona pieszego kawalerzysty, tego z meldunkiem, też wykończonego. Objęli się obadwaj na chwilę i na zawsze, ale kawalerzysta nie miał już głowy, a tylko otwór nad szyją, pełen krwi, co gotowała się bulgocąc, jak konfitura w rondlu. Pułkownik miał otwarty brzuch, wykrzywił się przez to paskudnie. To musiało go zabołec w momencie, gdy dostał. Tem gorzej dla niego! Gdyby go sprzątnęły pierwsze kule, nie byłoby go to spotkało.

Wszystkie te mięsa razem ogromnie broczyły krwią.

Pociski pękały jeszcze na prawo i na lewo od sceny. Opuściłem to miejsce bez oporu, szczęśliwy, że mam taki ładny pretekst, żeby zwiać. Nawet podśpiewywałem sobie, zataczając się, jak kiedy się skończy zdrową porcję wiosłowania i nogi ma się trochę nie tego. „Jeden pocisk! Jednak to piorunem się załatwia, z jednym pociskiem“ mówiłem sobie. „No, powiedz tylko! — powtarzałem sobie cały czas — no, powiedz tylko!...“

Nie było już żywego ducha na końcu szosy. Niemcy poszli sobie. Ale bardzo prędko nauczyłem się tej sztuki, żeby odtąd nie iść inaczej jak w profilu drzew. Pilno mi było dostać się do kwatery, żeby wiedzieć, czy jeszcze są inni z pułku, którzy zostali zabici na patrolu. Musiały też być dobre kawały, mówiłem sobie jeszcze, żeby się dostać do niewoli!... Tu i owdzie cierpkie szmatki dymu czepiały się grud ziemi. „Może oni wszyscy już nie żyją? — pytałem siebie. — Skoro nic a nic nie chcą zrozumieć, byłoby bardzo korzystne i praktyczne, żeby zostali wszyscy zabici coprędzej... W ten sposób zaraz skończyłoby się z tem wszystkim... Wróciłoby się do domu... Przeszłoby się może przez plac Clichy w tryumfie... Zostałoby z pułku przy życiu tylko jeden albo dwóch... W mojem pragnieniu... Chłopy sympatyczne i przezornie trzymające się za generałem, reszta padłaby jak pułkownik... Jak Barousse... jak Vanaille... (inny sukinsyn) i t. d. Osypanoby nas odznaczeniami, kwiatami, przeszłoby się pod Łukiem Tryumfalnym. Wchodzi się do restauracji, podają wam bez płacenia, nie płaciłoby się już nic, nigdy do końca życia! Jesteście bohaterzy! powiedzianoby w chwili płacenia rachunku... Obrońcy Ojczyzny! I toby wystarczyło! Pła-

ciłoby się małemi francuskimi chorągiewkami!... Kasjerka odmówiłaby nawet przyjęcia pieniędzy od bohaterów i nawet samaby wam dała forsy z całusami, kiedyby się przechodziło obok kasy. Warto byłoby żyć“.

Zauważyłem, uciekając, że ramię mi krwawi, ale tylko zdziebko, rana zupełnie nie wystarczająca, zadraśnięcie. Trzeba będzie zaczynać nanowo.

Znowu zaczęło padać, pola Flandrji pieniały się brudną wodą. Jeszcze długi czas nie napotkałem nikogo, nic tylko wiatr, a trochę później słońce. Od czasu do czasu, nie wiem skąd, jakaś kula tak sobie, poprzez słońce i powietrze, szukała mnie, wesola, upierając się, żeby mnie zabić, mnie w tem pustkowiu. Dlaczego? Nigdy już, żebym żył i sto lat, nie będę spacerował po wsi. Poprzysiągłem to sobie.

Idąc przed siebie, przypominałem sobie wczorajszą ceremonję. Na łące się odbywała ta ceremonja, u stóp wzgórza; pułkownik swym tubalnym głosem przemawiał do pułku: „W górę serca! powiedział... W górę serca! i niech żyje Francja!“ Gdy się nie ma wyobraźni, umrzeć jest głupstwo, gdy się ją ma, umrzeć jest zawiele. Oto moje zdanie. Nigdy nie pojąłem tylu rzeczy naraz.

Pułkownik nigdy nie miał wyobraźni. Całe jego nie-szczęście z tego poszło, a zwłaszcza nasze. Czyżbym ja był jedyny w tym pułku, który wyobrażał sobie śmierć? Ja wolałem mój rodzaj śmierci, późną śmierć... Za lat dwadzieścia, trzydzieści... Może więcej. Wolałem ją od tej, jaką mnie częstowano zaraz: opychać się błotem Flandrji, pełną gębą, nawet więcej niż gębą, rozłupany od ucha do ucha, pociskiem. Ma się chyba prawo mieć zdanie o swej własnej śmierci. Ale dokąd iść w takim

razie? Prosto przed siebie? Tyłem obrócony do wroga. Gdyby tak żandarmi capnęli mnie na wagarach, zdrowym beknął. Osądzonoby mnie tegoż wieczoru bez ceregieli, w jakiejś klasie rozpuszczonej szkoły. Było dużo pustych klas, wszędzie gdzieśmy przechodzili. Zabawionoby się ze mną w sprawiedliwość, jak się tu bawia, gdy nauczyciel sobie pójdzie. Szarże na estradzie, siedzą, ja stoję, ręce w kajdankach, przed małym pulpitem. Rankiem rozstrzelanoby mnie: dwanaście kul, i jedna. A więc?

I jeszcze wróciłem myślą do pułkownika, jaki to był morowiec z tego faceta, z jego pancerzem, z hełmem i z wąsami; gdyby go pokazywano spacerującego, jak ja go widziałem, pod kulami i pociskami, w music-hallu, taki spektakl nabiłby do ostatniego miejsca ówczesną Alhambrę, on zaćmiłby Fragon, w czasach, o których wam mówię, rozgłośną gwiazdę. Oto com ja myślał. Na dół serca! to ja myślałem.

Szedłem długie godziny, chyłkiem i ostrożnie, i wreszcie zobaczyłem naszych żołnierzy przed wioską obok folwarku. To była placówka naszej przedniej straży. Szwadronu, który tu kwaterował. Nikt u nich nie zginał, oznajmiono mi. Wszyscy żywi! A ja miałem wielką nowinę: „Pułkownik zabity!“ którą im krzyczałem, jak tylko zbliżyłem się do placówki. „Nie brak pułkowników!“ odpowiedział mi zaż zaż brygadjer Pistil, który był właśnie brygadjerem ubezpieczenia i oddziału roboczego.

— A zanim wyznaczą zastępcę pułkownika, jazda, te, oferma, do fasowania flaków, razem z Empouille'm i Kerdoncuff'em i wziąć tam każdy dwa worki, za kościołem fasują... Co go tam widać... I nie dać sobie

... tam długo, wracać przed nocą, psia wasza mać!

Poszło się więc znowu, we trzech.

„Na przyszłość nic im nie opowiem!“ mówiłem sobie, zły. Widziałem, że nie warto nic odpowiadać tym ludziom, że taki dramat, jaki ja zobaczyłem, był po prostu stracony dla takich plugawców! że było za późno, żeby to jeszcze kogo interesowało. I powiedzieć, że tydzień temu wyrzniętoby z pewnością cztery szpalty w dziennikach i moją fotografię, przy opisie śmierci pułkownika, tak jak się ona odbyła. Bydlaki.

Na sierpniowej łące wydawano mięso dla pułku — ocienionej wiśniami i spalonej już w końcu lata. Na workach i na płótnie na namioty szeroko rozpostartych, i nawet wprost na trawie, wznosiły się kupy flaków, łój w żółtych i białych kawałach, rozplątane barany z bebechami rozpartymi na żerdkach, ociekające pomysłowemi strumyczkami w dokolną zieleń, cały wół, rozcięty na pół, powieszony na drzewie, na którym ćwiczyli się jeszcze klnąc zajadle czterej rzeźnicy pułkowi, żeby wyciąć z niego wnętrzności. Wymyślano sobie zdrowo, jedna sekcja drugiej, z powodu tłuszczu, a zwłaszcza cynader, wśród much, jak je się widzi w takich razach, ważnych i muzykalnych, jak ptaszki:

I znowu krew, wszędzie, przez trawę, w kałużach, zbiegających się w poszukiwaniu dobrego spadku. Zabijano ostatnią świnie o parę kroków dalej. Już czterech żołnierzy i rzeźnik kłóciło się o niektóre jej flaki.

— To ty, psu bracie! coś wczoraj zrobił duszoną pieczeń z krzyżówki!...

Zdażyłem jeszcze rzucić kilka spojrzeń na ten spór żywnościowy, opierając się o drzewo, i musiałem ulec

przemoznej cięci rzygania, i nie...
do zemdlenia.

Zaniesiono mnie do kwatery na noszach, ale nie pominawszy okazji buchnięcia mi moich dwóch worków z tabaczkowego brezentu.

Ocknąłem się, obsobaczony znowu przez brygadjera. Wojna jeszcze trwała.

Wszystko się zdarza, i ja z kolei zostałem brygadjerem pod koniec tegoż sierpnia. Posyłano mnie często z pięciu ludźmi, jako łącznika, pod rozkazy generała des Entrayes. Ten dowódca był małego wzrostu, milczący i na pierwszy rzut oka nie wydawał się ani okrutny, ani bohaterski. Ale należało mieć się na baczności. Zdaje się, przekładał on ponad wszystko swe wygody. Nawet myślał bez przerwy o swych wygodach, i choć byliśmy zajęci cofaniem się od miesiąca zgóry, wymyślał mimo to wszystkim, jeżeli jego ordynans nie znalazł mu zaraz po przybyciu na etap, na każdej nowej kwaterze, czystego łóżka i kuchni, urządzonej nowocześnie.

Szefowi sztabu, z jego czterema galonami, ta troska o komfort dawała szkołę. Wymagania gospodarskie generała des Entrayes drażniły go. Zwłaszcza że on, zółty, ze zrujnowanym żołądkiem i z obstrukcją, zgoła nie dbał o jedzenie. Jednak musiał jeść swe jajka na miękko przy stole generała i przy tej okazji wysłuchiwać jego utyskiwań. Jest się wojskowym albo się nim nie jest. W każdym razie nie mogłem go żałować, bo to, jako oficer, był kawał wielkiego drania. Osądźcie sami. Gdyśmy się wlekli aż do wieczora, z dróg na wzgórze, z lucerny w marchew, koniec końców zatrzymywano się, żeby nasz generał mógł gdzieś zanoć. Szukano i znajdowano dla niego jakąś cichą wioskę, dobrze ukrytą, gdzie wojska jeszcze nie obozowały, a jeżeli wsi było już wojsko, wynosiło się stamtąd co tchu, wy-

rzucano je na pysk, poprostu; pod gołe niebo, choćby już nawet broń złożyło w kozły.

Wieś była zarezerwowana wyłącznie dla sztabu, dla jego koni, kantyn, bagaży i również tylko dla tego drania majora. Nazywał się Pinçon, ta cholera, major Pinçon. Spodziewam się, że dziś już zdechł (i nie żołnierską śmiercią). Ale w chwili o której mówię, był jeszcze cholernie żywy Pinçon. Co wieczór zbierał nas, łącznikowych, a potem sobaczył nam, żeby móc nas odesłać z powrotem na linję i żeby wzniecić w nas zapał. Posyłał nas do wszystkich djabłów, nas, cośmy wlekli się cały dzień za generałem. Z konia! Na koń! Z konia! Tak mu roznosić rozkazy, stąd, stamtąd. Możliwe było równie dobrze nas polać wodą, gdy to się kończyło. Byłoby to praktyczniej dla wszystkich.

— Won wszyscy! Wracać do pułku! I żywo! — darł się.

— A gdzie jest pułk, panie majorze? — myśmy się pytali.

— Jest w Barbagny.

— A gdzie jest to Barbagny?

— Tam!

Tam, gdzie pokazywał, nie było nic prócz nocy, jak zresztą wszędzie, nocy olbrzymiej, wchłaniającej drogę o dwa kroki od nas, że wystawał z mroku tylko zuchelek drogi nie większy od języka.

Szukaj-że jego Barbagny na końcu świata! Trzebaby poświęcić conajmniej cały szwadron, żeby odszukać jego Barbagny! I to morowy szwadron! A ja, który wcale nie byłem morowy i nie widziałem zgoła, poco miałbym być morowy, ja miałem oczywista, jeszcze mniej ochoty niż ktokolwiek odszukiwać jego Barbagny,

O którym zresztą on nam mówił zupełnie na chybił trafił. To było tak, jak gdyby ktoś próbował, zdrowo mnie besztając, zachęcić mnie do samobójstwa. Do tych rzeczy albo się ma ochotę, albo się nie ma.

O tej całej ciemności, tak gęstej, że wydawało się, iż człowiek nie dojrzy swego ramienia, skoro je tylko wyciągnie trochę poza barki, wiedziałem jedno, ale zato z całą pewnością — że mieści ona w sobie żądze zabójstwa olbrzymie i bezliku.

Ta morda sztabowa nie przestawała, jak tylko zapadł wieczór, wysyłać nas na śmierć, i to go napadało często, jak tylko słońce zaszło. Walczyło się z nim trochę bezwładem, upierano się, żeby go nie rozumieć, przyczepiano się do kwater żołnierskich, jak kto mógł, dopóki było można, ale wreszcie, gdy nie było już widać drzew, w ostateczności trzeba było się zgodzić iść sobie, poumierać trochę; kolacja generała była gotowa.

Wówczas, od tej chwili począwszy, wszystko odbywało się, jak zdarzył przypadek. Czasem znajdowano pułk i jego Barbagny, a czasem nie. Przeważnie odnajdywano przez pomyłkę, bo wedety szwadronu, stanowiącego ubezpieczenie pułku, strzelały do nas, gdyśmy się zbliżali. W ten sposób musowo dawaliśmy się poznać, i noc kończyło się prawie zawsze na robotach różnego rodzaju, na noszeniu worów z owsem i wiader wody, masami, aż człowiek był zupełnie ogłuszony wymyślaniami i zmęczony snem.

Rankiem wracało się, grupa łącznikowa, wszyscy pięciu, do kwatery generała des Entrayes, prowadzić dalej wojnę.

Ale najczęściej nie znajdowano pułku i czekano świ-
tu, kołując przy wsiach po nieznanym drogach, na

straju ewakuowanych sió i podejrzanych zagajników, unikając o ile możliwości tego wszystkiego, z powodu niemieckich patroli. Trzeba jednak było być gdzieś, czekając aż się rozwidni, gdzieś w nocy. Nie można było uniknąć wszystkiego. Od tej pory wiem, czego muszą doznawać króliki w królikarni.

Smieszna rzecz litość. Gdybyśmy powiedzieli majorowi Pinçon, że jest podłym, plugawym mordercą, zrobilibyśmy mu ogromną przyjemność, bo kazałby nas na miejscu rozstrzelać kapitanowi żandarmów, który go nigdy nie odstępował na krok a który właśnie o tem tylko myślał. Nie Niemców miał na myśli, kapitan żandarmierji.

Musieliśmy więc narażać się na zasadzki podczas idiotycznych nocy, następujących długim szeregiem, mając jedynie nadzieję, coraz mniej rozsądną, że wrócimy żywi, i tylko tę nadzieję, i jeszcze taką myśl, że jeżeli się wróci, nie zapomni się nigdy, absolutnie nigdy, że odkryło się na ziemi człowieka, wyglądającego jak wy i ja, ale bardziej łaknącego padliny niż krokodyle i rekiny, co lawirują z rozwartą paszczą dokoła statków z odpadkami i ze zgniłym mięsem, które się wyrzuca na pełnym morzu, w Hawanie.

Razem wzięwszy, największą klęską człowieka jest zapomnieć, a zwłaszcza to, od czego się zdychało i zdychało, nie pojmując nigdy, do jakiego stopnia ludzie są szuje. Kiedy się będzie stało nad grobem, nie trzeba będzie robić złośliwca, ale też nie trzeba będzie zapominać, trzeba będzie opowiedzieć wszystko, nie zmieniając ani jednego słowa, z tego co się widziało najbardziej występne u ludzi, a potem milczeć i zejść do mogiły. To wystarczy, jako zajęcie, na całe życie.

Ja byłbym chętnie zapchał paszchał rekinom majorem Pinçon, razem z jego żandarmem, żeby ich nauczyć żyć; a jednocześnie dałbym i mojego konia, żeby już nie cierpiał, bo już nie miał grzbietu, ten nieszczętnik, tak go bolał, miał tylko dwa płaty mięsa na miejscu grzbietu, pod siodłem, szerokie jak moje dwie dłonie i gnijące, zażywa, z wielkimi zaciekami ropy, sączącej się brzegami derki aż do ścięgien pod kolanem. A jednak trzeba było kłusować na tem, raz, dwa. Skręcał się w kłusie. Ale koń, to jeszcze cierpliwsze od człowieka. Zataczał się a kłusował. Można go już było trzymać tylko na dworze. W stodole smród z ran był taki, że dusił. Gdy wsiadałem na niego, grzbiet tak go bolał, że się zginał, jakby usłuźnie i wtedy brzuch opuszczał mu się do kolan. Zupełnie jakby się dosiadało osła. To było wygodniej, trzeba przyznać. Myśmy sami byli bardzo znużeni, jeszcze dźwigając to co było ze stali na głowie i na ramionach.

Generał des Entrayes, w swym zarezerwowanym domu, czekał na obiad. Stół był nakryty, lampa na swoim miejscu.

— Wszyscy poszli won, do jasnej cholery! — wzywał nas raz jeszcze Pinçon, bujając nam latarnią pod nosem. — Siadamy do stołu! Mam wam jeszcze raz powtórzyć! Pójdziecie sobie, ścierwa! — tak nawet ryczał. Posyłał nas znowu, żebyśmy zdechli, wściekły, o prawie przezroczywej twarzy, trochę tylko zabarwionej na policzkach.

Czasami kucharz generała dawał nam przed odjazdem jakiś kąsek, miał ich zawiele do żarcia generał, skoro dostawał, według regulaminu, czterdzieści racyj, na siebie samego! Nie był już młody. Nawet musiał

już być bliski emerytury. Jak szedł, to miał zgięte kolana. Musiał sobie farbować wąsy.

Zyły na skroniach, widać to było dobrze przy lampie, gdy się wychodziło z pokoju, to rysowały mu się w meandrach, jak Sekwana przy wyjściu z Paryża. Jego córki, mówiono, były dorosłe, niezamężne i, jak on, niebogate. Może to z racji tych przypomnień był taki zrzęda, taki tetryk, jak stary pokojowy pies, gdy mu się narusza jego przyzwyczajenia, i próbuje odnaleźć swój koszyk z poduszką wszędzie, gdzie zechcą go wpuścić.

Lubił ładne ogrody i krzaki róż, nie chybił żadnego ogrodu z różami, wszędzie gdzieśmy przechodzili. Do lubienia róż to generałowie są pierwsi. Wiadomo.

Jednak wyruszano w drogę. Cała sztuka była w tem, żeby chabety chciały iść kłusa. Bały się ruszyć z miejsca, naprzód z powodu odparzeń, a potem bały się i nas, i nocy, bały się wszystkiego, co tu gadać! I my też. Dziesięć razy się zawracało, żeby jeszcze raz zapytać o drogę majora. Dziesięć razy nawymyślał nam od wankoniów i zafajdanych obijaków. Przy pomocy ostróg mijało się wreszcie ostatni posterunek straży, rzucało się hasło placówkom i potem zanurzano się od razu w ohydnej awanturę, w mroki tego niczyjego kraju.

Tłukąc się ustawicznie od jednego brzegu ciemności do drugiego, człowiek zaczynał się wreszcie trochę rozoznawać, przynajmniej tak myślał.. Jak tylko jakaś chmura wydawała się jaśniejsza od innych, mówiliśmy sobie, że coś było widać... Ale wobec siebie pewne było tylko echo, odbijające się i wracające, echo tupotu koni, hałas dławiący, tak olbrzymi, że nie chce go się słyszeć. Konie zdawały się kroczyć aż do nieba, przy-

wolować tem echem wszystko co żyło, żeby nas zmasakrować. Można to było zresztą zrobić jedną ręką, karabinem, wystarczyło oprzeć go, w oczekiwaniu na nas, o drzewo. Zawsze sobie mówiłem, że pierwsze światło, jakie zobaczę, to będzie błysk strzału, który mnie położy trupem.

Przez te cztery tygodnie, odkąd trwała wojna, staliśmy się tacy zmęczeni, tacy nieszczęśliwi, iż ze zmęczenia pozbyłem się trochę swego strachu w drodze. Być dręczonym dzień i noc przez tych ludzi, przez szarże, zwłaszcza niższe, bardziej zbydlęcone, bardziej małostkowe i jeszcze bardziej nienawistne niż zwykle, taka katusza doprowadza do tego, że najbardziej uparci wahają się, czy warto jeszcze żyć.

Ach! jakże się chce iść sobie! Żeby spać! Przedewszystkiem! A jeżeli istotnie niema już sposobu odejść, żeby spać, wówczas ochota do życia sama odchodzi. Póki się będzie tkwić w życiu, trzeba robić takiego, co szuka pułku.

Żeby w mózgu tchórza myśl się poruszyła, na to trzeba, żeby go spotkało dużo rzeczy i to okrutnych. Tym kto mi kazał myśleć po raz pierwszy w życiu, naprawdę myśleć, o rzeczach praktycznych i istotnie moich własnych, był z całą pewnością major Pinçon, ta dręczycielska morda. Myślałem o nim tak mocno jak tylko mogłem, kołysząc się na koniu, w mundurze, uginając się pod rynsztunkiem, dodatkowy statysta w tej niewiarogodnej aferze międzynarodowej, w którą się wplątałem przez entuzjizm... Przyznaję się do tego.

Każdy metr cienia przed nami był nową obietnicą, że będzie z tem koniec i że się zdechnie, ale w jaki sposób? Nieprzewidziany w tej historii był tylko uniform

wykonawcy. Czy to będzie ktoś z tej strony? Czy też ktoś z tamtej?

Ja mu nic nie zrobiłem, temu Pinçon'owi! Ani jemu, ani zresztą i Niemcom!... Jemu z tą głową jak zgnila brzoskwinia, z temi czterema galonami, migocącymi na nim wszędzie, od łba do pępka, z jego szorstkimi wąsami i kanciastymi kolanami, i z jego lornetą, co wisiała mu u szyi, jak dzwonek u krowy, i z jego mapą na 1/1000? Zapytywałem siebie, co za szal wysyłania drugich na śmierć opętał tego właśnie? Drugich, którzy nie mieli mapy.

My, czterej kawalerzyści na szosie, robiliśmy tyle hałasu, co pół pułku. Musiano słyszeć nasze zbliżanie się o cztery godziny drogi stamtąd lub też chciano nas nie słyszeć. To było wciąż możliwe... Może Niemcy nas się bali? Kto to może wiedzieć?

Miesiąc niewyspania na każdej powiece, oto cośmy dzwigali i tyleż w tyle głowy z dodatkiem tych kilo żelastwa.

Moja eskorta wyrażała się kiepsko. Ledwie otwierając gębę, mówili wszystko co mieli do powiedzenia. To byli chłopcy przybyli z głębi Bretanji dla odsłużenia wojska, i wszystko co wiedzieli pochodziło nie ze szkoły lecz z pułku. Tego wieczora próbowałem pogadać trochę o wsi Barbagny z tym, który jechał obok mnie i nazywał się Kersuzon.

— Uważasz, Kersuzon, — powiadam do niego — tutaj są Ardenny, wiesz... Ty nic nie widzisz tam przed nami? Bo ja, ja nie widzę nic zupełnie...

— Ciemno wszędzie jak w dupie — odpowiedział mi Kersuzon. I tyle.

— Słuchajno, czyś ty nie słyszał co o tem Barbagny,

za dnia? W jakiej to jest stronie? — pytam go się jeszcze.

— Nie.

Taka była z nim rozmowa.

Nigdyśmy nie znaleźli Barbagny. Kręciliśmy się tylko wokółko aż do rana, aż do drugiej wsi, gdzie na nas czekał teraz człowiek z lornetą. Jego generał pił kawusię w altance przed domem mera, gdyśmy przybyli.

— Ha, Pinçon, piękna to rzecz, młodość, co! zwrócił stary bardzo głośno uwagę swego szefa sztabu, na nasz widok. To powiedziawszy, wstał i poszedł zrobić siusiu, a potem jeszcze mały spacer z rękami ztyłu, przygarbiony. Tego ranka był bardzo zmęczony, szepnął mi ordynans, generał źle spał, coś go tam niepokoiło w pięcherzu, taka krążyła wersja.

Kersuzon odpowiadał mi zawsze w podobny sposób, jak wtedy w nocy, to było wkońcu moją rozrywką, jak czyjś tik. Powtórzył mi to jeszcze dwa czy trzy razy, a propos ciemności i dupy, i umarł, zabity niedługo potem, gdy wyjeżdżał z jakiejś wsi, dobrze to pamiętam, że wsi, którą wzięto za inną, przez Francuzów, którzy nas wzięli za innych.

To właśnie było w parę dni po śmierci Kersuzona, zastanowiliśmy się i znaleźliśmy sposobik, ku ogólnemu zadowoleniu, żeby się nie zabłąkać w nocy.

Więc, wyrzucano nas z kwatery sztabu. Dobra. Jużemy nic nie mówili, nie opieraliśmy się. „Wynoście się!“ wrzeszczała jak zwykle, morda woskowa.

— Rozkaz, panie majorze!

I my, zaraz w tę stronę, gdzie pracowała artylerja, i nie daliśmy się prosić, wszyscy pięciu. Myślałby kto, szliśmy nocą na jabłka. W tej stronie był teren dobrze

pagórkowaty. Była to Moza, wzgórze z winnicami, jeszcze niedojrzałe winogrona i jesień, i wioski z domami z drzewa, wysuszonego przez trzy miesiące lata, więc paliły się łatwo.

Tośmy zauważyli pewnej nocy, kiedy już zupełnie nie wiedzieliśmy, dokąd się udać. Jakaś wieś paliła się zawsze w tej stronie, gdzie były armaty. Zbliżaliśmy się do niej nie bardzo, nie zanadto, patrzyliśmy tylko na wieś z dość daleka, w charakterze widzów, możnaby rzec, naprzykład o dziesięć, dwanaście kilometrów. I potem co wieczór w tym czasie wiele wsi zaczęło płonąć na widnokręgu, to się powtarzało, byliśmy otoczeni jakby wielkiem koliskiem dziwnej iluminacji, tą całą palącą się okolicą, przed sobą i po bokach, z płomieniami, co wznosiły się i lizały obłoki. Widać było jak wszystko pożerał ogień, kościoły, gumna, jedne po drugich, sterty zboża, które dawały żywsze płomienie, wyższe od innych, a potem belki, stojące sztorcem w mroku, z brodami płomyków, zanim runęły w jaśń.

Jak się pali wieś, to widać ją dobrze nawet o dwadzieścia kilometrów. To jest zabawne. Taka wioszczyzna, której za dnia nawetby się nie zauważyło, w nędznym polu, to się nie ma pojęcia, jaki to może robić efekt w nocy, gdy się pali! Pomyślałby kto: Notre Dame! Taki pożar wsi trwa całą noc, nawet małej wioski, wkońcu wygląda to jak olbrzymi kwiat, potem już tylko pączek, a potem już nic.

To dymi i wtedy jest ranek.

Konie, które pozostawiono osiodłane w polu, obok nas, nie ruszały się z miejsca. A myśmy ucinali sobie śpika w trawie, z wyjątkiem jednego, który kolejno był na straży, musowo. Ale kiedy można patrzeć na ogień,

noc mija daleko lepiej, nic nie trzeba już znosić, to już nie jest samotność.

Całe nieszczęście, że wie się wyczerpały... Po miesiącu w tym powiecie już ich zabrakło. W lasy też walono z armat. Lasy nie wytrzymały tygodnia. To też daje ładny ogień, płonący las, ale to trwa bardzo krótko.

Potem artylerja pociągnęła wszystkimi drogami w jednym kierunku, a ludność cywilna, co uciekała, w przeciwnym.

W rezultacie nie mogliśmy już ani iść naprzód, ani wrócić; trzeba było sterczyć tam, gdzie się było.

Stawało się w ogonku, żeby iść zdychać. Nawet generał nie znajdował już kwater bez żołnierzy. Skończyło się na tem, że mieliśmy wszyscy nocleg w szczerem polu, generał, czy nie generał. Ci, co zachowali jeszcze trochę animuszu, stracili go. W tych to czasach zaczęto rozstrzeliwać żołnierzy, żeby ich podnieść na duchu, sekcjami, i żandarm zaczął być wymieniany w rozkazie dziennym, za sposób, w jaki prowadził swoją wojenkę, swoją własną, istotną, z prawdziwych najprawdziwszą.

Po pewnym odpoczynku siedliśmy znowu nakoń, w parę tygodni później i ruszyliśmy na północ. Zimno poszło tam z nami również. Armaty nie odstępowały nas teraz. Tymczasem z Niemcami spotykaliśmy się tylko przypadkiem, to jakiś huzar lub grupa strzelców, tu i owdzie, na żółto lub na zielono, ładne kolory. Niabyto się ich szukało, ale odchodziło się dalej, skoro tylko ich się dostrzegło. Przy każdym spotkaniu dwóch, trzech kawalerzystów zostawało na placu, to po ich, to po naszej stronie. I ich uwolnione od jeźdźca konie, z szalejącymi, błyszczącymi strzemionami, galopowały w pustce i zbliżały się ku nam zdaleka, ukazując siodła o dziwacznych lękach i rzemień świeże, jak skóra na gwiazdkowym portfelu. Pędziły tak do naszych koni, zaraz zaprzyjaźnione. Miały szczęście! Mybyśmy nie mogli zrobić tego samego!

Pewnego ranka, wracając z wywiadu, porucznik de Sainte-Eugence prosił innych oficerów o stwierdzenie, że nie błądzi. „Zarabiałem szablą dwóch!“ zapewniał wszystkich dokoła i jednocześnie pokazywał swoją szablę, gdzie, to prawda, zakrzepła krew wypełniała wyłobienie, umyślnie do tego zrobione.

— Był nadzwyczajny! Brawo, Sainte-Eugence!... Gdybyście go, panowie, widzieli! Co za szarża! — przytwierdził rotmistrz Ortolan.

To wydarzyło się w szwadronie Ortolana.

— Widziałem cały przebieg najdokładniej! Byłem niedaleko stamtąd! Sztychem w szyję prosto i w pra-

wo!... Bęc! Pierwszy pada! Drugi sztych w samą pierś!... W lewo! Trawerssem! Istna parada konkursowa, panowie!... Jeszcze raz brawo, Sainte-Eugence! Dwóch lansjerów! O kilometr stąd! Chłopy tam jeszcze leżą! Na samej roli! Wojna się dla nich skończyła, co? Sainte-Eugence?... Co za dublet! Musieli wyciągnąć nogi jak zające!

Porucznik de Sainte-Eugence, którego koń długo galopował, przyjmował hołdy i komplementy kolegów ze skromnością. Teraz, kiedy Ortolan poręczył za jego wyczyn, był uspokojony i wypłynął na pełne wody, studził swoją klacz, oprowadzając ją wolno dokoła zgromadzonego szwadronu, tak jakby chodziło o uzupełnienie konkursów hipicznych.

— Powinnibyśmy posłać tam zaraz inny patrol w tę samą stronę! Zaraz! — krzątał się rotmistrz Ortolan, wyraźnie podniecony. — Tych dwóch drabów musiało przyjść tutaj zginać, ale muszą być jeszcze inni ztyłu... O, wy tam, brygadjerze Bardamu, ruszajcie z waszymi czterema ludźmi!

To do mnie zwracał się rotmistrz.

— A gdy będą do was strzelać, starajcie się ich wykryć i zaraz dajcie mi znać, gdzie oni są! To powinni być brandeburczycy!..

Ci ze służby czynnej opowiadali, że w czasie pokoju nie widywało się w koszarach prawie nigdy rotmistrza Ortolana. Przeciwnie, teraz, na wojnie, odbijał to sobie zdrowo. Istotnie, był niezmordowany. Jego werwa, nawet wśród tylu innych szalapeutów, z każdym dniem stawała się coraz bardziej godna uwagi. Zażywał kokainę, opowiadano również. Blady, z podbitymi

oczami, ciągle w ruchu na swych kruchych nogach, ja tylko zsiadał z konia, chwiał się z początku, a potem przychodził do siebie i szorował wściekle brózdę w poszukiwaniu jakiejś okazji. Onby nas posłał na ogień do wylotów dział nieprzyjacielskich. Był współpracownikiem śmierci. Można byłoby przysiąc, że on ma kontrakt z rotmistrzem Ortolanem.

Pierwszą część swego życia (poinformowałem się) spędził na łamaniu sobie żeber parę razy do roku, na konkursach hipicznych. Jego nogi też łamane i nie używane przez niego do chodzenia, wreszcie potracił łydki. Ortolan posuwał się krokiem nerwowym i spiczystym, jakby chodził po ułożonych pałkach. Na ziemi w jego zadużej opończy, wydętej od deszczu, można byłoby go wziąć za upiora z wyścigowego konia.

Trzeba zauważyć, że od początku potwornego przeziębienia, to znaczy od sierpnia i nawet jeszcze w wrześniu, o pewnych godzinach, czasem przez całe dni, kawałki dróg, zakątki lasu sprzyjały skazańcom... Można było tam podejść w złudzeniu, że się będzie miało prawie spokój, i wtrząchnąć naprzykład puszkę konserw z chlebem, aż do końca, bez rwącego bólu przeziębienia, że to jest ostatnia puszka. Ale od października skończyły się nadobre te chwilki wytchnienia, grad straszył się coraz gęstszy, grubszy, lepiej przyprawiony, nędziewany pociskami i kulami. Niebawem będzie się w samej nawałnicy i to czego się chciało nie widzieć, będzie się miało wtedy w całej pełni przed sobą i będzie można widzieć tylko ją: swoją własną śmierć.

Noc, której człowiek tak się bał w pierwszych czasach, przez porównanie stawała się dość łagodna. Do szliśmy do tego, żeśmy oczekiwali z upragnieniem noc

cy. Trudniej było do nas strzelać w nocy niż za dnia. A już tylko tę różnicę brało się w rachubę.

Trudno jest dotrzeć do istoty rzeczy, nawet w tem co dotyczy wojny, wyobraźnia opiera się długo.

Gdy kotu grozi ogień, ostatecznie rzuca się jednak do wody.

Wynajdywało się w nocy tu i owdzie kwadranse, dosyć podobne do cudnych czasów pokojowych, do tych czasów co stały się niewiarogodne, kiedy wszystko było błogie, kiedy w gruncie rzeczy nic nie pociągało za sobą konsekwencyj, gdy dokonywało się tyle innych rzeczy, które stały się wszystkie *nadzwyczajnie*, cudownie miłe. Żywy aksamit, te czasy pokojowe...

Ale rychło i noce z kolei były osaczane bez litości. Trzeba było prawie zawsze w nocy jeszcze zmuszać do pracy swe znużenie, znosić mały dodatek mordęgi, poto tylko żeby coś zjeść, żeby znaleźć dokładkę snu w mroku. Żywność dochodziła do linii przedniej straży haniebnie pełzając, ciężkim, długim, kulejącym pochodem niepewnych wózków, wypchanych mięsem, jeńcami, rannymi, owsem, ryżem i żandarmami, no i winem, wino w gąsiorach, tak przypominających facecje, trzęsących się i brzuchatych.

Pieszko, maruderzy ztyłu za kuźnią i chlebem, i więźniowie, z naszych, również z jeńców, w kajdanach, skazani na to, na owo, pomieszani ze sobą, przywiązani za ręce do strzemion żandarmów, niektórzy skazani na rozstrzelanie jutro, nie smutniejsi od innych. Ci także jedli, swoją rację tego, tak niestrawnego tuńczyka (nie zdążą go już strawić), czekając aż konwój znowu ruszy z miejsca, na brzegu szosy — i ten sam ostatni bochenek chleba, z cywilem, złączonym łańcuchem z nimi,

którego uważano za szpiega, a który nie miał o tem pojęcia. My również.

Tortura pułku trwała więc dalej w postaci nocnej, poomacku w garbatych uliczkach wsi bez światła i bez twarzy; musieliśmy uginać się pod workami, cięższymi od człowieka, od jednej nieznannej stodoły do drugiej, sobaczni, pod groźbą, od jednej do drugiej, z dzikim wzrokiem, stanowczo bez nadziei innego końca jak w groźbie, w znoju i we wstręcie, żeśmy byli torturowani, oszukiwani aż do utraty krwi przez hordeę występnych szaleńców, którzy nagle stali się niezdolni do niczego innego jak zabijać, ile tylko mogli, i dawać wypruwać ze siebie flaki nie wiedząc dlaczego.

Leżało się na ziemi między dwiema kupami gnoju; wymyślanem, kopaniem, cholerne szarże stawiały człowieka znowu na nogi i odrzucały jeszcze raz ku innym ładunkom kolumny.

Ze wsi sączyła się żywność i żołnierze w ciemnościach, napęczniałych tłuszczem, kartoflami, owsem, cukrem, co trzeba było taszczyć i prehandlować po drodze napotkanym oddziałom. Wieś zaopatrywała tabor we wszystko, prócz możliwości ucieczki.

Wyczerpani, żołnierze taborowi walili się dokoła wózka i wówczas zjawiał się kwatermistrz, wodząc lartarką po tych larwach. Ta małpa z podbródkiem, która musiała w niewiedzieć jakim bałaganie odnaleźć wodopoje. Koniom dać pić! Ale ja widziałem, jak czterech ludzi obezwładnionych snem leżało razem z zadami w korycie pełnem wody, aż po szyję.

Po wodopoju trzeba było jeszcze odnaleźć fermę i uliczkę, którą się przyszło i gdzie człowiek sądził, że zostawił sekcję. Jeżeli nic nie znalazł, walił się jesz-

cze raz pod jakąś ścianę i tyle, na jedną godzinę, jeśli jeszcze pozostała godzina, żeby się zdrzemnąć. W tym fachu dawania się zabijać nie trzeba być wymagającym, trzeba tak robić, jakby życie toczyło się dalej, i to jest najcięższe, to kłamstwo.

I furgony odjeżdżały na tyły. Nie czekając świtu, tabory ruszały w dalszą drogę, skrzypiąc pokręconymi kołami, odchodziły z mojem życzeniem, żeby je zaskoczono, rozniesiono w kawałki, wreszcie spalono tegoż dnia, jak się to widuje na sztychach batalistycznych, żeby tabór ograbiono doszczętnie, z całą jego załogą żandarmskich goryłów, końskich kopyt i ochotników z latarniami, ze wszystkimi jego wozami, razem z soczewicą i innym takim prowiantem, co się nigdy nie dał ugotować, żeby to wszystko djabli wzięli nazawsze. Bo gdy się ma zdechnąć ze zmęczenia albo z czego innego, najboleśniejszy jeszcze sposób to dojść do tego, dźwigając worki przez całą noc.

W dniu kiedyby tych drani oporzadzili aż do osi, przynajmniej daliby nam święty spokój, myślałem sobie, i nawet gdyby to było tylko na jedną noc, można by przynajmniej spać raz jeden całkowicie, duszą i ciałem.

Ta aprowizacja to koszmar na dokładkę, dokuczliwy potworek na ciele wojny. Bydłęta z przodu, z boku i z tyłu. Wszędzie ich było pełno. Skazani na śmierć w różny sposób, nie mogliśmy wyjść poza strasliwą chęć spania, i wszystko inne stawało się dodatkowym cierpieniem, czas i wysiłek żarcia. Jakiś strumyk, jakaś tam ściana, którą zdawał się człowiek poznawać... Kierowano się węchem, żeby odnaleźć fermę sekcji, staliśmy się psami w nocy wojennej opuszczonych wsi.

Co jeszcze najlepiej pomaga w orjentowaniu się, to zapach gówna.

Adjutant aprowizacyjny, strażnik nienawiści całego pułku, jest w tej chwili panem świata. Ten co mówi o przyszłości jest lajdak, tylko chwila obecna ma znaczenie. Odwoływać się do potomności, to mieć przemowę do robaków, lęgnących się w trupie. W nocy wiejskiej, ogarniętej wojną, adjutant ten zachowywał zwierzęta ludzkie dla wielkich rzezi, które się właśnie zaczynały. Adjutant to król! Król Śmierci! Adjutant Cretelle! Doskonale! Nie można wyglądać potężniej. Tak potężny jak on jest tylko adjutant tamtych, zprzeciwka.

Nic żywego nie zostawało ze wsi, prócz wystraszonych kotów. Meble uprzednio porąbane, szły na ogień do kuchen, krzesła, fotele, kredensy, od najlżejszych do najcięższych. A wszystko co można było wziąć na plecy, moi koledzy zabierali ze sobą. Grzebienie, lampki, filiżanki, różne drobiazgi, nawet wianki ślubne — wszystko szło do plecaków. Jakby mieli żyć jeszcze lata całe. Kradli dla rozrywki, żeby wyglądało; że mają tego dobra jeszcze na długo. Wieczne zachcianki.

Armata dla nich to był tylko huk. Dzięki temu wojny mogą trwać. Nawet ci co robią wojnę, robiąc ją, nie wyobrażają jej sobie. Z kulą w brzuchu, zbieraliby w dalszym ciągu po drodze stare łapcie, które mogły „jeszcze się przydać“. Tak baran, leżąc na boku, na łacie, kona i jeszcze skubie trawę. Większość ludzi umiera dopiero w ostatniej chwili, inni zaczynają i zabierają się do tego na dwadzieścia lat przedtem a czasem i wcześniej. To są nieszczęśnicy tego świata.

Co do mnie, nie byłem zbyt mądry, ale stałem się

dość praktyczny, żeby być skończonym tchórzem. Zapewne z powodu tego postanowienia wywoływałem wrażenie wielkiego spokoju. W każdym razie taki jaki byłem, budziłem paradoksalne zaufanie w naszym rotmistrzu, właśnie w Ortolanie, który postanowił na ową noc powierzyć mi pewną delikatną misję. Szło o to, wyłożył mi poufnie, żeby udać się kłusem dodnia do Noirceur sur la Lys, miasto tkaczy, położone o czternaście kilometrów od wsi gdzieśmy stali. Miałem upewnić się na miejscu, czy jest tam nieprzyjaciel. Co do tego, od rana wysłańcy przynosili sprzeczne wiadomości. Generał des Entrayes niecierpliwił się tem. Z racji tego wywiadu pozwolono mi wybrać w plutonie konia najmniej odparzonego. Oddawna nie byłem sam. Wydało mi się, że raptem wyruszam w podróż. Lecz wyzwole nie było pozorne.

Jak tylko wyruszyłem w drogę, z powodu zmęczenia nie udało mi się dobrze wyobrazić sobie, mimo wszelkich wysiłków, jak będę zamordowany, z dostateczną precyzją i szczegółami. Posuwałem się od drzewa do drzewa, w szczęku żelastwa. Sama moja piękna szabla, dla amatora, warta była tyle co pianino. Być może wart byłem współczucia, lecz w każdym razie z pewnością byłem groteskowy.

O czymże myślał generał des Entrayes, wysyłając mnie tak w tę ciszę, napęczniałą dźwiękami cymbałów? Nie o mnie, to pewne.

Aztekowie podobno rozpruwali brzuchy stale w swych świątyniach słońca, zwykle osiemdziesięciu tysiącom wiernych tygodniowo, składając ich w ten sposób na ofiarę bóstwu chmur, żeby im zesłało deszcz. To są rzeczy, w które trudno uwierzyć, zanim się pójdzie na

wojnę. Lecz gdy się jest na wojnie, wszystko się staje jasne, i Aztekowie z ich pogardą dla ciała bliźniego to jest to samo, co musiał mieć dla mych mizernych bebeczków nasz generał Celadon des Entrayes wyżej wymieniony, który drogą awansów stał się czemś w rodzaju określonego bóstwa, on również czemś w rodzaju małego słońca okrutnie wymagającego.

Pozostawała mi tylko odrobina nadziei, że dostanę się do niewoli. Wątpła była ta nadzieja, niteczka. Niteczka w mroku, gdyż okoliczności zgoła nie sprzyjały przedwstępnym grzecznosciom. Strzał karabinowy dochodził prędzej niż ukłon kapeluszem w takich chwilach. Zresztą, co będę miał do powiedzenia temu wojskowemu, wrogiemu z zasady, który przyszedł umyślnie żeby mnie zabić, z drugiego krańca Europy?... Jeśli zawaha się chwilę (któraby mi wystarczyła), co mu powiem?... Czem będzie on przede wszystkim w rzeczywistości? Jakiś sprzedawca sklepowy? Zawodowy ochotnik? Może grabarz? W cywilu. Kucharz?... Konie to mają szczęście, gdyż jeśli również znoszą wojnę jak my, nikt od nich nie żąda, żeby się na nią pisali, żeby udawali, że w nią wierzą. Nieszczęśliwe ale wolne konie! Entuzjazm niestety jest tylko dla nas, ta kurwa!

Rozróżniałem bardzo dobrze w owej chwili drogę i położone po jej stronach, na mokrej ziemi wielkie kwadraty i masy domów, o ścianach pobielonych przez księżyc, jakby wielkie nierówne kawały lodu, milczenie, w białych blokach. Czyżby tu miał być koniec wszystkiego? Ile czasu spędzę w tem pustkowiu, gdy już się ze mną załatwią? Zanim to się zupełnie skończy? I w jakim rowie? Pod którym z tych murów? Może mnie dobijają? Nożem? Odrywali czasami ręce, wydzie-

rali oczy i resztę... Dużo mówiono na ten temat i rzeczy nie zabawnych! Kto wie?... Tupot końskich nóg... Jeszcze jeden... wystarczy? Te zwierzęta idą każde jak dwóch ludzi w żelaznych trzewikach, przyklejonych do nogi, śmiesznym chodem marszowym, zupełnie niezgodnym.

Serce moje w potach, ten zając, za swą kratą z żeber, niespokojny, skulony, ogłupiały.

Gdy człowiek się rzuca za jednym zamachem ze szczytu wieży Eiffla, musi mieć takie uczucie. Chciałoby się uchwycić przestrzeni.

Ta wieś trzymała dla mnie w ukryciu swą groźbę, ale jednak nie całkowicie. W środku jakiegoś placu malutki wodotrysk sam jeden bulgotał dla mnie.

Miałem wszystko dla siebie, sam jeden, tego wieczora. Byłem wreszcie właścicielem księżycy, wsi, potwornego strachu. Zbierałem się znów ruszyć klusem. Noirceur — sur — la — Lys, to musiało być jeszcze o godzinę drogi conajmniej, gdy dostrzegłem zasłonięte światło nad jakimiś drzwiami. Skierowałem się wprost ku temu światłu i w ten sposób odkryłem w sobie pewną śmiałość, dezerterską, to prawda, ale nieoczekiwaną. Światelko szybko znikło, ale je dobrze widziałem. Zastukałem. Nalegałem, stukałem jeszcze, wołałem na cały głos, pół po niemiecku, pół po francusku, kolejno, na wszelki wypadek, na tych nieznanomych, zamkniętych w głębi tego cienia.

Drzwi się wreszcie uchyliły, jedno skrzydło.

— Kto pan jest? rzekł jakiś głos po francusku. Byłem ocalony.

— Jestem dragon...

— Francuz? — kobietę, która mówiła, mogłem dojrzeć.

— Tak, Francuz.

— Bo to przechodzili tędy dopiero co dragoni niemieccy... Oni też mówili po francusku...

— Tak, ale ja, jestem francuskim naprawdę...

— A!...

Miała taką minę, jakby powątpiewała.

— Gdzie oni są teraz? — spytałem.

— Odjechali ku Noirceur około ósmej... I palcem pokazywała na północ.

Młoda dziewczyna, w chustce na ramionach, w białym fartuchu, wychodziła również z cienia teraz, aż do progu drzwi...

— Co wam zrobili Niemcy? — zapytałem jej.

— Spalili jeden dom koło merostwa i tutaj zabili mego braciszka pchnięciem lancą w brzuch... kiedy bawił się na moście Czerwonym i patrzył się jak przechodzili... Ma pan! pokazała mi... Jest tam...

Nie płakała. Zapaliła tę świecę, której płomyk dostrzegłem. I zobaczyłem — to była prawda — w głębi, małego trupa, leżącego na materacu, w marynarskim ubraniu; szyja i głowa, takie sine jak światło tej świecy, wychodziły z szerokiego kwadratowego kołnierza. Był zwinięty w kabłak, ręce, nogi i grzbiet zgięte, jak dziecko. Sztych lancą zrobił mu jakby oś dla śmierci przez środek brzucha. Matka chłopca głośno zawodziła, obok na klęczkach, ojciec płakał również. A potem zaczęli jeszcze jęczyć wszyscy. Ale mnie się bardzo chciało pić.

— Czy nie macie do sprzedania mi butelki wina? — zapytałem.

— Trzeba się zwrócić do matki... Ona może wie, czy jest jeszcze... Niemcy nam dużo zabrali dopiero co...

I zaczęli, na skutek mego żądania, rozprawiać wszyscy razem i cicho.

— Niema już! — wróciła mi oznajmić córka, Niemcy zabrali wszystko... Choć dało im się dobrowolnie i dużo...

— O tak, ile oni tego wypili! — zauważyła matka, która raptem przestała płakać. Oni to lubią...

— Przeszło sto butelek, z pewnością, dodał ojciec, wciąż na klęczkach...

— Więc niema już ani jednej? — nalegałem, mając jeszcze nadzieję, tak straszne miałem pragnienie, zwłaszcza chciałem białego wina, cierpkiego, takiego co trochę orzeźwia. Zapłacę...

— Jest już tylko bardzo dobre. Kosztuje pięć franków butelka... zgodziła się wówczas matka.

— Dobrze! I wyjąłem swoje pięć franków z kieszeni, dużą monetę.

— Przynieś jedną! kazała cicho siostrze.

Siostra wzięła świecę i przyniosła za skrytki litr w chwilę potem.

Wypiłem, nie pozostawało mi nic innego jak iść sobie.

— Oni wróca? — zapytałem, znowu niespokojny.

— Może, odpowiedzieli razem, ale wtedy wszystko spala... Obiecali to, odjeżdżając...

— Pójdę zobaczyć, jak się sprawy mają.

— Jesteście zuch... To tędy! wskazywał mi ojciec, w kierunku Noirceur-sur-Lys... Nawet wyszedł na szosę popatrzeć, jak będę odjeżdżał. Córka i matka pozostały zatrwożone, czuwać przy małym trupie.

— Wracaj! wołały nań zwewnątrz. Wracaj-że, Józe, ty nie masz nic do roboty na drodze.

— Jesteście naprawdę zuch, powiedział mi jeszcze ojciec i uściśnął mi rękę.

Ruszyłem truchtem dalej na północ.

— Nie mówciez im, że my tu jeszcze jesteśmy, na miłość boską! Dziewczyna wyszła i krzyczała za mną.

— Oni sami zobaczą jutro, odrzuciłem, czy wy tu jesteście! Byłem zły, że dałem swoje sto su. Teraz było między nami te sto su. To wystarczy, żeby nienawidzieć, sto su, i życzyć im, żeby wyzdychali wszyscy. Niema gdzie podziąć miłości na tym świecie, póki na nim będzie sto su.

— Jutro! powtarzali, z powątpiewaniem...

Jutro, dla nich również, było daleko, to nie miało wiele sensu takie jutro. W gruncie rzeczy nam wszystkim szło o to, żeby żyć godzinę dłużej, a jedna godzina w świecie, gdzie wszystko się skurczyło do mordu, to już jest fenomen.

Teraz to już nie było długie. Jechałem od drzewa do drzewa i co chwila oczekiwałem, że mnie okrzykną lub rozstrzelają. I nic poza tem.

Musiało być około drugiej po północy, niewiele więcej chyba, gdy stępa wjechałem na szczyt jakiegoś małego wzgórza. Stamtąd ujrzałem naraz wdole rzędy i jeszcze rzędy zapalonych latarni gazowych, a potem, na pierwszym planie, dworzec kolejowy, oświetlony, z wagonami, bufetem, skąd nie dochodził jednak żaden dźwięk... Nic. Ulice, aleje, latarnie, i znowu inne równoległe szeregi świateł, całe dzielnice, a potem reszta dokoła tylko mrok, pustka chciwa dokoła miasta, rozciągniętego, rozłożonego przede mną, tak jakby ktoś

zgubił miasto, oświetlone i rozpostarte w samym środku ciemności. Zsiadłem z konia i spocząłem na kopczyku, żeby popatrzeć na to dobrą chwilę.

To mi jednak nie mówiło, czy Niemcy weszli do Noirceur, lecz ponieważ wiedziałem, że w takich razach zwykle podpalają, jeżeli weszli i jeżeli nie podpalili natychmiast miasta, to znaczy, że mieli zamysły i zamiary niezwykle.

I żadnych strzałów armatnich. To było podejrzane.

Mój koń też chciał się położyć. Targał uzdą i musiałem się obrócić. Gdy spojrzałem znowu w stronę miasta, coś zmieniło wygląd przede mną, tu, przed pagórkami, nieznacznie z pewnością, ale jednak dość, bym zawołał: „Hej! kto tam?...” Ta zmiana w rozkładzie cieni nastąpiła w niewielkiej odległości... To musiał być ktoś...

— Nie drzyj się tak głośno! odpowiedział głos męski, ciężki i ochryply, głos wyglądający na wyraźnie francuski.

— Ty też jesteś maruderem? pyta mnie się takim samym tonem. Teraz mogłem go zobaczyć. Piechur to był, z daszkiem u czapki, złamanym „stylowo”. Po wielu, wielu latach, dobrze jeszcze pamiętam ten moment, jego sylwetę wynurzającą się z trawy, jak to ongi robili żołnierze, podnosząc cele do strzelania, na zabawach.

Podeszliśmy do siebie. Trzymałem rewolwer w ręku. Jeszcze chwila a strzeliłbym, nie wiedząc czemu.

— Słuchaj, pyta mnie, ty ich widziałeś?

— Nie, ale idę tędy, żeby ich zobaczyć.

— Jesteś ze 145-go dragonów?

— Tak, a ty?

— Ja jestem rezerwista...

— A! powiadam. To mnie dziwiło, rezerwista. To był pierwszy rezerwista, którego spotkałem na wojnie. Myśmy zawsze mieli do czynienia z żołnierzami w służbie czynnej. Nie widziałem jego twarzy, ale już sam głos jego był inny niż u naszych, jakby smutniejszy, więc ważniejszy od naszych. Dzięki temu nie mogłem się oprzeć odrobinie zaufania do niego. To było niewiele, ale jednak coś.

— Ja mam tego wszystkiego dosyć, powtarzał, idę dać się wziąć boszom...

Nic nie ukrywał.

— Jak ty to zrobisz?

To zainteresowało mnie raptem, więcej niż wszystko, ten jego zamiar, jak on się do tego weźmie, żeby mu się udało dostać do niewoli?...

— Nie wiem jeszcze...

— Jakieś ty to zrobił, żeby zwać? To nie jest łatwo dać się wziąć!

— Gwiżdżę na to, oddam się im.

— Masz stracha?

— Mam i mam to wszystko gdzieś, jeśli chcesz wiedzieć co myślę, i na Niemców gwiżdżę, oni nic mi nie zrobili...

— Cicho bądź, ja mu powiadam, może nas podsłuchują...

Brała mnie jakaś chętka być grzecznym wobec Niemców. Pragnąłem, żeby mi wytłumaczył ten tutaj, póki był, ten rezerwista, dlaczego ja również nie miałem odwagi robić wojny, tak jak wszyscy inni... Ale on nic mi nie wytłumaczył, powtarzał tylko, że miał jej dosyć.

Opowiedział mi o rozbiciu się jego pułku, wczoraj o świcie, z powodu strzelców pieszych, naszych, którzy

przez pomyłkę otworzyli ogień na jego kompanję, przez pole. Nie oczekiwano jego kompanji o tej porze. Przybyła o trzy godziny wcześniej, niż było przewidziane. I strzelcy, znużeni, zaskoczeni, zasypali ją kulami. Ja znałem takie melodje, już mi je grano.

— Możesz się nie pytać, czy ja z tego skorzystałem! dodał. Robinsonie, powiedziałem sobie! Ja się nazywam Robinson, Leon! Teraz, albo nigdy, powiedziałem sobie!... Czy nie? Wysunąłem się więc chyłkiem brzegiem zagajnika i tam, wyobraź sobie, spotkałem naszego kapitana... Stał oparty o drzewo, poharatany!... Już zdychał... Trzymał spodnie w obu rękach, pluł krwią... Broczył z różnych miejsc i wywracał oczyma... Nikogo przy nim nie było. Był z nim koniec... „Mamo! mam!” beczał, zdychając i sikając krwią...

„Skończ z tem! powiadam mu. Mamo! Ona cię.....!” Tak sobie, mimochodem!... Półgębkiem rzuciłem!... Nie ucieszył się tem, ścierwo, co?... He!... Nie często się trafia, żeby można mu powiedzieć co się myśli, kapitanowi... Trzeba było skorzystać. To rzadka okazja!... I żeby zwać coprędeż, rzuciłem ryszstunek i broń też... Do kałuży, co była obok... Wyobraź sobie, że ja, jak mnie tu widzisz, nie mam ochoty nikogo zabijać, nie nauczyłem się... Nie lubiłem już bójek, jeszcze w czasie pokoju... Odchodziłem... Więc rozumiesz?... W cywilu chciałem chodzić do fabryki regularnie... Byłem nawet trochę grawerem, ale nie lubiłem tego, z powodu kłótni, wolałem sprzedawać wieczorne gazety w dzielnicy spokojnej, gdzie mnie znali, w okolicy Banku Francuskiego... Place des Victoires, jeśli chcesz wiedzieć... Rue des Petits-Champs... To był mój rejon... Nie posuwałem się nigdy poza rue du Louvre i Palais-Royal z jednej stro-

ny, wiesz... Rano załatwiałem zlecenia dla kupców. Jakaś odwózka towarów popołudniu, od czasu do czasu, cóż, miał się człowiek różnych zajęć... Było się trochę i wyrobnikiem.. Ale ja nie chcę broni!... Gdyby Niemcy cię zobaczyli z bronią? Ładniebyś wyglądał. Tymczasem, gdy jesteś swobodnie, jak ja teraz... Nie w rękach... Nic w kieszeniach... Oni czują, że będą mnie mniej kłopotu z wzięciem cię do niewoli, rozumiesz? Oni wiedzą, z kim mają do czynienia... Gdyby można było dojść nagim do Niemców, toby jeszcze lepiej było. Nagim, jak koń! Wówczas nie mogliby wiedzieć, do jakiej armji się należy?...

— To wszystko prawda!

Zdawałem sobie sprawę, że wiek coś znaczy dla zamiarów. To czyni praktycznym.

— Oni są tam, co? Ustaliliśmy i oceniliśmy razem nasze szanse i szukaliśmy naszej przyszłości, jak w kartach, w wielkim świetlistym planie, jaki nam przedstawiało milczące miasto.

— Idziemy tam?

Szło o to, żeby przejść naprzód tor kolejowy. Jeśli tam są warty, wezmą nas na cel. Może ich nie będzie. Trzeba zobaczyć. Przejść albo górą albo dołem przez tunel.

— Musimy się śpieszyć, dodał ów Robinson...

Trzeba to robić nocą, we dnie niema przyjaciół, wszyscy pracują tak żeby ich widzieli, w dzień, widzisz, nawet na wojnie, to jest jarmark... Bierzesz swoją szkapę ze sobą? Wziąłem szkapę. Przezorność, żeby zmiatać czyżej, jeśli nas źle przyjmą. Dotarliśmy do przejazdu z podniesionymi biało-czerwonemi ramionami szlabanu

Nie widziałem nigdy barjer tego kształtu. Nie było takich w okolicach Paryża.

— Sądziś, że oni już weszli do miasta, co?

— Z pewnością! odparł... Posuwaj się naprzód!...

Teraz byliśmy zmuszeni być tak odważni, jak ludzie odważni; z powodu konia, który spokojnie kroczył za nami, jakby popychając nas swoim tupotem, tylko jego było słychać. Klap! i klap! podkowami. Stukał donośnie w echu, jakby nic.

Ten Robinson liczył więc na noc, żebyśmy mogli wyjść stąd?... Szliśmy obaj wolno środkiem pustej ulicy, bez żadnej chytrłości, krokiem jeszcze miarowym, jak na ćwiczeniach.

Miał rację Robinson, dzień był bezlitosny, od ziemi aż do nieba. Tak jak szliśmy szosą, musieliśmy obaj wyglądać zupełnie niegroźnie, nawet dobrodusznie, jakby się wracało z urlopu. „Czyś słyszał o tem, że 1-y pułk huzarów dostał się cały do niewoli?... w Lille?... Oni weszli tak właśnie, tak przynajmniej powiadają, nie wiedzieli, he, he! z pułkownikiem na czele... W główną ulicę, mój drogi! I to się zamknęło... Z przodu... Z tyłu... Niemcy ze wszystkich stron!... W oknach!... Wszędzie!... Dobra nasza... Dali się złapać, jak szczury!... Jak szczury! To się nazywa gratka, co!...

— A, hycle!...

— No powiedz, no powiedz!... Nie mogliśmy się dość wydziwić temu wspaniałemu schwytnemu, takiemu wyraźnemu, takiemu ostatecznemu. Aż nam ślina szła do gęby. Wszystkie sklepy miały okiennice zamknięte, dworki również, z małymi ogródkami od ulicy, wszystko to bardzo schludne. Ale za Poczta widać było, że w jednym z tych dworków, trochę bielszym od innych

świeciło się we wszystkich oknach, na piętrze i na parterze. Zadzwoniliśmy do drzwi. Nasz koń wciąż za nami. Otworzył nam człowiek gruby i brodaty. „Jestem merem Noirceur — oznajmił zaraz, choć go nie pytano — i oczekuję Niemców!“ I wyszedł na światło księżycy, żeby dać nam poznać mera. Kiedy się spostrzegł, żeśmy nie Niemcy, ale jeszcze Francuzi, już nie był taki uroczysty, był tylko serdeczny. I skrepowany. Oczywiście, nie oczekiwał już nas, myśmy zjawiali się trochę wpoprzek zarządzeniom, które musiał poczynić, powziętym postanowieniom. Niemcy powinni byli wejść do Noirceur tejże nocy, był o tem uprzedzony i wszystko uregulował z Prefekturą, z ich pułkownikiem tu, z ambulansem tam i t. d... A gdyby weszli teraz? A my jesteśmy tutaj? Z pewnością wyszłaby z tego chryja! To stworzyłoby z pewnością komplikacje... Tego on nam nie powiedział wyraźnie, ale widzieliśmy dobrze, że o tem myśli.

Zaczął nam tedy mówić o interesie ogółu, w nocy, tu, w tej ciszy, w jakiej byliśmy zatraceni. Nie tylko o interesie ogółu... O dobrach materialnych gminy... O puściźnie artystycznej Noirceur, powierzonej jego pieczy, pieczy uświęconej, jeśli taka jest... O kościele z XV wieku mianowicie... Gdyby mieli spalić kościół z XV wieku? Jak ów w Condè-sur-Yser w pobliżu! He?... Prostu w napadzie złego humoru... Ze złości, że nas tu znaleźli... Dał nam odczuć całą odpowiedzialność, jaką na siebie ściągamy... Byliśmy takimi młodymi nieświadomymi żołnierzami!... Niemcy nie lubili podejrzanych miast, gdzie włóczyli się jeszcze nieprzyjacielscy żołnierze. To była rzecz wiadoma...

Gdy tak nam prawił półgłosem, jego żona i dwie cór-

ki, tęgie i apetyczne blondyny, mocno mu potakiwały, dorzucając tu i owdzie słówko... Krótko mówiąc, wylewano nas. Między nami bujały w powietrzu walory sentymentalne i archeologiczne, moralne, popychane słowami, które mer usiłował złapać w powietrzu, lecz rozplywały się, wnet pokonane przez nasz strach i nasz egoizm a również przez prostą i jasną prawdę.

Wyłaził ze siebie we wzruszających wysiłkach, mer z Noirceur, płomiennie nam perswadując, że naszym obowiązkiem było wynosić się natychmiast do wszystkich djabłów, mniej brutalny, zapewne, lecz w swoim rodzaju równie zdecydowany jak nasz major Pinçon.

To jedno było pewne — tym wszystkim mocarzom mogliśmy przeciwstawić jako żywo tylko nasze mizerne pragnienie, nas obu, nie umierać i nie spalić się. To było mało, zwłaszcza, że tych rzeczy nie można oświadczać podczas wojny. Zawróciliśmy więc ku innym pustym ulicom. Stanowczo, wszyscy ludzie, których spotkałem owej nocy, pokazali mi swoją duszę.

— To mój pech! zauważył Robinson, gdyśmy odchodzili. Widzisz, gdybyś ty był Niemcem, że jesteś też dobry chłop, wziąłbyś mnie do niewoli, i wszystko byłoby dobrze... Trudno jest, psiakrew, uwolnić się od samego siebie na wojnie!

— A ty, ja mu na to, gdybyś ty był Niemcem, czy nie wziąłbyś mnie też do niewoli? Możebyś wtedy dostał ich medal wojskowy! Śmiesznie musi się nazywać po niemiecku ich medal wojskowy, co?

Że wciąż nie było na naszej drodze nikogo, kto by nas chciał za jeńców, koniec końców siedliśmy na ławce na skwerku i zjedliśmy puszkę konserw z tuńczyka, którą Robinson Leon trzymał i grzał w kieszeni od samego

rana. Bardzo daleko słyhać było teraz działa, ale naprawdę bardzo daleko. Gdyby tak mogli nieprzyjaciele zostać każdy po swojej stronie i zostawić nas tutaj w spokoju!

Potem szliśmy nadbrzeżem i obok nawpół wyladowanych galarów, w wodę, daleko, wysiusialiśmy się. Ciągłe prowadziliśmy za sobą za uzdę konia, niby olbrzymiego psa; koło mostu, w domu pastora o jednej izbie, też na materacu, leżał rozciągnięty jeszcze jeden nieboszczyk, sam jeden, Francuz, major strzelców konnych, podobny zresztą trochę do tego Robinsona, z głowy.

— Paskudny jest, czy nie? zrobił uwagę Robinson. Ja nie lubię umarłaków...

— Najciekawsze, odpowiedziałem mu, to to, że jest trochę do ciebie podobny. Ma długi nos jak ty, i ty jesteś niewiele młodszy od niego...

— Bo to widzisz, to ze zmęczenia, musowo wszyscy trochę jesteście do siebie podobni, ale gdybyś mnie był dawniej widział... kiedy jeździłem na rowerze co niedziela!... Byłem ładny chłopak! Miałem łydki, mój kochany! Wiesz, sport! I to rozwija też uda...

Wyszliśmy, bo zapalka, którą się wzięło, żeby na trupa popatrzeć, zgasła.

— Widzisz, już zapóźno, widzisz!...

Długie pasmo szarozielone podkreślało już w dali szczyt wzgórza, na granicy miasta, w mroku. Dzień! Jeden więcej! Jeden mniej! Trzeba będzie próbować przejść jeszcze poprzez ten dzień, jak poprzez inne, które się stały jakby obręczami coraz ciaśniejszemi, te dni, a wszystko wypełnione krzywymi pocisków i trzaskiem strzelaniny.

— Ty nie przyjdiesz tutaj na przyszłą noc, co? zapytał mnie, rozstając się.

— Niema przyszłej nocy, mój kochany!... Bierzesz chyba siebie za generała!

— Ja już nie myślę o niczem, powiedział na ostatku. O niczem, rozumiesz!... Myślę tylko o tem, żeby nie zdechnąć... To wystarcza... Mówię sobie, że jeden dzień wygrany to zawsze jeden dzień więcej!

— Masz rację... Dowidzenia stary, i powodzenia!...

— Powodzenia i tobie! Może się jeszcze zobaczymy!

Każdy z nas zawrócił w wojnę. A potem stało się wiele, wiele rzeczy, które niełatwo teraz opowiedzieć, a to dlatego, że ludzie dzisiejsi już ich nie rozumieją.

Żeby być dobrze widzianym i szanowanym, trzeba było w mig się pokumać z cywilami, bo oni na tyłach stawali się, w miarę jak wojna się posuwała naprzód coraz bardziej zepsuci. Odrazu to zrozumiałem, wracając do Paryża, i również, że ich kobiety mają kręcką a starzy pyski ogromne i łapy wszędzie, przy zadkach po kieszeniach.

Na tyłach dziedziczono po poległych kombatantach, szybko nauczono się sławy i dobrych manier znoszenia jej mężnie i bez bólu.

Matki, to pielęgniarce, to męczennice, nie zdejmowały już swych ciemnych długich welonów, ani też nie ruszały się bez małego dyplomu, który Minister polecał im doręczyć w porę przez urzędnika merostwa. Razem wzięwszy, sprawy się jakoś układały.

Podczas starannego pogrzebu człowiek jest też smutny, ale jednak myśli o schedzie, o przyszłych wakacjach, o wdowie, która jest milutka i ma temperament, powiadają, i o tem, żeby jeszcze żyć, samemu, przez kontrast, bardzo długo, żeby nie zdychać nigdy być może... Kto wie?

Kiedy tak się idzie za pogrzebem, wszyscy wam posyłają głębokie ukłony kapeluszem. To sprawia przyjemność. To jest właściwy moment, żeby się dobrze zachowywać, mieć przyzwoitą minę, nie żartować nagłos, cieszyć się tylko w sobie. To jest dozwolone. Wszystko jest dozwolone w sobie.

W czasie wojny, zamiast tańczyć na antresoli, tań-

czono w piwnicy. Kombatanci to tolerowali, więcej nawet, lubili to. Żądali tego zaraz po przybyciu i nikt nie uważał tych fasonów za coś podejrzanego. Tylko bravura jest w gruncie rzeczy podejrzana. Być dzielnym z takim ciałem? Żądajcie w takim razie i od glisty, żeby była dzielna, ona jest różowa, i blada, i miękka, zupełnie jak my.

Co do mnie, nie mogłem teraz narzekać. Nawet byłem na drodze do zwolnienia się dzięki medalowi wojskowemu, który zdobyłem, ranie i już. Podczas rekonwalescencji przyniesiono mi medal wprost do szpitala. I tego samego dnia machnąłem do teatru, pokazać go cywilom podczas antraktów. Wielki efekt. To były pierwsze medale, widziane w Paryżu. O tem się mówiło.

Właśnie przy tej okazji, w foyer Opery Komicznej spotkałem małą Lolę z Ameryki, i to dzięki niej rozjaśniło mi się we łbie zupełnie.

Są takie pewne daty, które mają znaczenie wśród tyłu miesięcy, kiedy możnaby się obejść bardzo dobrze bez życia. Ten dzień z medalem w Operze Komicznej był w moim życiu decydujący.

Z powodu jej, Loli, stałem się ogromnie ciekaw Stanów Zjednoczonych, z powodu pytań, które jej zaraz stawiałem i na które ledwie mi odpowiadała. Gdy ktoś w ten sposób wyruszy w podróż, wraca się, kiedy się może i jak się może....

W tym czasie, o którym mówię, wszyscy w Paryżu chcieli mieć jakiś uniform. Tylko neutralni i szpiedzy nie mieli go, i to byli prawie ci sami. Lola miała swój mundurek oficjalny i bardzo szykowny, upiękuszony czerwonymi krzyżykami wszędzie, na rękawach, na jej

malutkiej furażerce, zawsze szelmowsko wsadzonej nabakier na ondulowane włosy. Przyjechała pomagać nam ocalić Francję, zwierzała się dyrektorowi hotelu, wedle swych słabych sił, ale całym sercem! Zrozumieliśmy się natychmiast, jednak nie kompletnie, ponieważ uniesienia serca stały mi się zupełnie niemiłe. Wolałem uniesienia ciała, prosto. Nie trzeba ufać sercu, ani trochę, nauczono mnie tego i jak jeszcze! na wojnie! A nie byłem bliski zapomnienia o tem.

Serce Loli było tkliwe, słabe i pełne entuzjazmu. Ciało było śliczne, bardzo do kochania, no i musiałem wziąć ją w jej całości, taką jaka była. To była ostatecznie przemiła dziewczyna ta Lola, tylko że między nami była wojna, ta cholerna wielka wściekliwość, która pchała połowę ludzi, lubiących to czy nie, do posyłania drugiej połowy ku jatkom. Więc to musowo krępowało w stosunkach, tego rodzaju manja. Mnie, który przewlekałem swą rekonwalescencję ilem tylko mógł i któremu bynajmniej się nie spieszyło do kolejki na pełen chwały cmentarz bitwy, śmieszność naszej rzezi ukazywała się w swym blichtrze na każdym kroku, jaki robiłem w mieście. Niesłychane cwaniactwo rozpościerało się wszędzie.

Jednak miałem mało szans ocalenia, nie miałem żadnych stosunków, niezbędnych do wykręcenia się. Znałem tylko biedaków, to znaczy ludzi, których śmierć nikogo nie obchodzi. Co do Loli, nie należało liczyć na nią, żeby się zadekować. Była tylko pielęgniarzka, ale nie można było sobie wymarzyć, poza jednym Ortolanem może, istoty bardziej bojowo nastrojonej niż ten uroczy dzieciak. Zanim przeszedłem przez błotną chłostę heroizmów, jej minka Joanny d'Arc możeby mnie była

podniecała, nawróciła, ale teraz, od czasu zaciągnięcia się do wojska na placu Clichy, nabyłem wobec wszelkiego heroizmu, słownego czy realnego, fobji odrazy. Byłem wyleczony, gruntownie wyleczony.

Dla wygody dam z amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego grupa pielęgniarek, do której należała Lola, mieszkała w hotelu Paritz, i żeby jej, w szczególności, jeszcze bardziej uprzyjemnić te sprawy, powierzono jej (miała stosunki), w samym hotelu, zarząd specjalnej służby, dostarczania pączków z jabłkami szpitalom paryskim. Rozdawano ich codziennie tysiące tuzinów. Lola spełniała tę łaskawą funkcję z pewną gorliwością, która miała zresztą niedługo potem źle się skończyć.

Lola, trzeba to powiedzieć, nigdy w życiu nie robiła pączków. Zaangażowała więc pewną liczbę najemnych kucharek i po kilku próbach pączki były gotowe do punktualnej dostawy, zachwycająco soczyste, rumiane, ocukrzone. Zadaniem Loli było w rezultacie tylko kosztowanie ich przed wysyłką do różnych instytucyj opiekuńczych. Co rano Lola wstawiała już o 10-ej i schodziła, po kąpieli, do kuchen, położonych głęboko przy piwnicach. To, powiadam, dzień w dzień, i ubrana była tylko w kimono japońskie czarne z złotem, które jakiś przyjaciel z San Francisco ofiarował jej w wilej wyjazdu.

Wszystko, jednym słowem, szło doskonale i byliśmy w trakcie wygrania wojny, gdy oto pewnego pięknego dnia, w porze drugiego śniadania, zastałem ją wzburzoną; nie chciała tknąć żadnego dania. Zdjął mnie lęk przed jakimś nieszczęściem, które już spadło, przed nagłą chorobą. Błagałem ją, żeby zaufała memu czujnemu przywiązaniu.

Od regularnego kosztowania pączków przez cały miesiąc Loli przybyło dobre dwa funty! Jej pasek stwierdzał zresztą, jedną dziurką, katastrofę. Przyszły łyż. Chcąc ją pocieszyć, jak tylko mogłem, wzięłem taksówkę, i z miejsca, pod wrażeniem tego co się stało, oblecieliśmy wiele aptek, położonych w różnych dzielnicach. Przypadkiem, wszystkie wagi nieubłaganie potwierdziły, że dwa funty przybyło, to był fakt bezsprzeczny. Podsunąłem jej wówczas, żeby przekazała swe czynności koleżance, która, przeciwnie, radaby mieć większe „przedsięwzięcie“. Lola ani słyszeć nie chciała o takim kompromisie, uważając go za hańbę i prawdziwą dezercję w jej zakresie. Nawet przy tej okazji dowiedziałem się również, że brat jej prababki był członkiem załogi przesławnej *Mayflower'u*,¹ co wylądowała w Bostonie w 1677, i że ze względu na taką pamięć ona nie może nawet myśleć o uchyleniu się od obowiązku pracy w pączkach, skromnego, zapewne, tem niemniej świętego.

Bądź co bądź, od tego dnia począwszy, kosztowała pączków już tylko koniuszkami zębów, które miała zresztą równiutkie i śliczne. Ta obawa utycia w rezultacie psuła jej każdą przyjemność. Marniała. Niebawem tak samo bała się pączków, jak ja pocisków. Teraz najczęściej szliśmy spacerować dla higieny wzdłuż i wszerz, z powodu pączków, po nabrzeżach, po bulwarach, ale nie zachodziliśmy już do Café Napolitain z powodu lodów, od których również damy tyją.

Nie marzyłem nigdy o czemś równie komfortowo mi-

¹ *Mayflower* — nazwa historycznego statku, na którym przeladowani w Anglii purytanie przybyli do Ameryki Półn. i założyli tam pierwszą kolonję, pierwsi „Amerykanie“. (*Przyp. tłum.*)

tem do mieszkania, jak jej pokój, cały bladoniebieski, z łazienką obok. Fotosy jej znajomych, wszędzie, z dedykacjami, mało kobiet, dużo mężczyzn, ładnych chłopców, kędzierzawych brunetów, jej genre, mówiła mi o kolorze ich oczu, o tych dedykacjach, tkliwych, uroczystych i, bez wyjątku, ostatecznych. Z początku, przez grzeczność, to mnie krępowało, wśród tych wszystkich wizerunków, a potem człowiek się przyzwyczaja.

Jak tylko przestawałem ją pieścić, powracała, ja jej nie przerywałem, do tematu wojny albo pączków. Francja zajmowała poważne miejsce w naszych rozmowach. Dla Loli Francja była czymś w rodzaju rycerskiej istoty, o konturach niejasno określonych w czasie i przestrzeni, ale w owej chwili niebezpiecznie rannej i z tego to powodu bardzo podniecającej. Ja, gdy mówiono ze mną o Francji, myślałem nieodparcie o swych bebeciach, więc z konieczności byłem o wiele bardziej powściągliwy w zakresie entuzjazmu. Każdy ma swego stracha. Ze płciowo była dla mnie łaskawa, słuchałem jej, nigdy nie przecząc. Ale w kwestji duszy, zgoła jej nie zadawałem. Ona chciała, żebym był wibrujący, promieniejący, a ja, ze swojej strony, nie pojmowałem zupełnie, dlaczego miałbym być w tym stanie, wzniosłym, przeciwnie, widziałem tysiąc racyj, wszystkie niezbite, żeby mieć usposobienie akurat odwrotne.

Lola, ostatecznie, tylko bajała o szczęściu i o optymizmie, jak wszyscy ludzie, co są po dobrej stronie życia, po stronie przywilejów, zdrowia, bezpieczeństwa i którzy mogą tem jeszcze długo żyć.

Drażniła mnie temi sprawami duszy, miała tego pełną buzię. Dusza to jest próżność i przyjemność ciała, póki jest zdrowe, ale to jest również chęć wyjścia z ciała,

skoro tylko jest chore albo w życiu źle się powodzi. Z dwóch póź przyjmuje się tę, która w danej chwili naj lepiej wam dogadza, i kwita! Póki można między nie mi wybierać, wszystko dobrze. Ale ja już wybierać nie mogłem, ja już swą grę zagrałem! Tkwiłem w prawdzie wyżej uszu i wiedziałem nawet, że moja własna śmierć szła za mną, że tak powiem, krok w krok. Bardzo trudno było mi myśleć o czemkolwiek innem, jak o moim losie skazanego na zamordowanie z zawieszeniem wyroku, co wszyscy zresztą uważali za rzecz dla mnie całkiem normalną.

Ten rodzaj odwlekanej agonji, z jasnością umysłu i zachowaniem zdrowia, podczas której niepodobna zrozumieć cokolwiek poza prawdami absolutnymi, trzeba to przecierpieć, żeby wiedzieć nazawsze, co się mówi.

Mój wniosek był taki, że Niemcy mogli tutaj przybyć, wyrznąć, złupić, spalić wszystko, hotel, pączki, Lole, Tuillerje, ministrów, ich kliki, Kopułę,¹ Luwr, Wielkie Magazyny, runąć na miasto, rzucić w nie gromy Pańskie, ogień piekielny, w ten zgniły bałagan, którego doprawdy nie można było dodać już nic obrzydliwszego, a że ja, ja przytem naprawdę nie miałem nic do stracenia, nic, a wszystko do zyskania.

Niewiele się traci, gdy pali się dom, który nie do nas należy. Zawsze zjawi się inny właściciel, jeżeli nie zawsze ten sam, Niemiec czy Francuz, Anglik czy Chińczyk, żeby przedstawić, prawda, swój kwit przy okazji. W markach czy we frankach? Z chwilą kiedy trzeba płacić...

Krótko mówiąc, paskudnie zła była moralność. Gdy

¹ Pałacu Mazariniego, to zn. Akademię Francuską. (Przytłum).

był powiedział, co myślę o wojnie, Loli, wzięła-
by mnie prosto za potwora i przepędziła od ostat-
nich słodczy obcowania z sobą. Wystrzegałem się też
pilnie takich wynurzeń przed nią. Z drugiej strony
miałem pewne trudności i rywalizację do tego. Nie-
którzy oficerowie próbowali zdmuchnąć mi Lolę. Ich
konkurencja była groźna, gdyż byli uzbrojeni w urok
swej Legji Honorowej. Otóż zaczęto dużo mówić o tej
sławetnej Legji Honorowej w dziennikach amerykań-
skich. Myślę nawet, że dwa czy trzy razy, kiedy mnie
zdradziła, nasz stosunek byłby bardzo zagrożony, gdyby
jednocześnie ten trzpiot nie odkrył raptem we mnie
wyższej użyteczności, polegającej na tem, żeby kosz-
tować co rano pączków zamiast niej.

Ta specjalizacja w ostatniej chwili ocaliła mnie. Za-
stępstwo przeze mnie przyjęła. Czyż ja nie byłem rów-
nież dzielnym kombatanem, a więc godnym tej funk-
cji, wymagającej zaufania! Odtąd byliśmy nietylko
kochankami lecz i współnikami. Tak rozpoczęły się
czasy nowożytnie.

Jej ciało było dla mnie rozkoszą, która nie miała koń-
ca. Nie miałem nigdy dość tego amerykańskiego ciała.
Byłem, prawdę mówiąc, świnia co się zowie. Takim po-
zostałem.

Rozwijałem w sobie nawet to przekonanie, bardzo
przyjemne i pokrzepiające, że kraj zdolny do produk-
owania ciał, tak śmiałych w swym wdzięku i z tak ku-
szącym duchowym polotem, musi nasuwać wiele in-
nych kapitalnych rewelacyj, w sensie biologicznym ma
się rozumieć.

Postanowiłem, wielokrotnie trzepiąc Lolę, przedsię-
wziąć prędzej czy później podróż do Stanów Zjedno-

czonych, jako prawdziwą pielgrzymkę, i to przy pier-
wszej sposobności. Nie miałem ani chwili spokoju
(w tem życiu przecież nieubłagane nieprzychylnem
i dręczącym), zanim nie doprowadziłem do skutku tej
poważnej przygody, mistycznie anatomicznej.

Tak oto tuż obok pupci Loli został mi zwiastowany
jakiś nowy świat. Lola nietylko miała ciało, porozu-
miejmy się, miała też główkę, śliczną i trochę okrutną
z racji oczu niebieskich o zmiennym odcieniu, które
jej odrobinę podchodziły ku kątom, jak u dzikich ko-
tów.

Od samego patrzenia na nią en face szła mi ślina do
ust, jak od posmaku wytrawnego wina, krzemienia.
Oczy, krótko mówiąc, twarde i nie ożywione zupełnie
tą miłą żywością kupiecką, orientalno-fragonardowską,
którą mają prawie wszystkie oczy tutejsze.

Spotykaliśmy się najczęściej w kawiarni obok. Coraz
więcej rannych snuło się, utykając po ulicach, często
rozmamranych. Na ich rzecz organizowano zbiórki,
„Dni“, to dla tych, to dla tamtych, a zwłaszcza dla
organizatorów „Dni“. Kłamać, całować, umierać. Zo-
stało zabronione robić coś innego. Kłamało z furją,
przechodzącą wszelkie wyobrażenie, dochodzono w tem
poza kres śmieszności i absurdu, w dziennikach, na afi-
szach, pieszo, konno, w aucie. Wszyscy się do tego
wzięli. Wyścig, kto nałże potworniej. Niebawem nie
było już prawdy w mieście.

Tej odrobiny, jaka tam się pętała w 1914, wstydzo-
no się teraz. Wszystko, czego się było dotknąć, było
fałszowane, cukier, samoloty, trepy, konfitury, fotosy;
wszystko co się czytało, połykało, ssało, uwielbiało,
głosiło, odpierało, broniło, wszystko to były tylko zie-

jące nienawścią widma, szachrajstwa i maskarady. Nawet zdrajcy byli fałszowani. Szał Iganias i wierzenia jest zaraźliwy jak parchy. Mała Lola umiała po francusku tylko kilka zdań, ale to były zdania patryjotyczne: „On les aura!...“, „Madelon, viens!...“ Płakać się chciało.

Pochylała się tak oto nad naszą śmiercią z uporem, z bezwstydem, jak zresztą wszystkie kobiety, odkąd nastąpiła moda być odważną za innych.

A tu ja właśnie odkryłem w sobie tyle upodobania do wszystkich rzeczy, oddalających mnie od wojny! Nie jeden raz prosiłem Lolę o informacje co do jej Ameryki, lecz ona mi wtedy odpowiadała tylko komentarzami, zupełnie ogólnikowymi, pretensjonalnymi i jawnie wątpliwej wartości, chcąc mnie olśnić.

Ale ja teraz nie dowierzałem wrażeniom. Raz dałem się wziąć na wrażenie, nie dam się już więcej nabicić w butelkę. Nikomu.

Wierzyłem w jej ciało, nie wierzyłem w jej umysł. Uważałem ją za czarujące stworzenie, zadekowane na odwrotnej stronie wojny, na odwrotnej stronie życia.

Przejeżdżała się po mojej trwodze umysłowością „Petit Journal’a“: Pompon, Fanfare, moja Lotaryngja i białe rękawiczki... Narazie świadczenia z mej strony były coraz częstsze, bo zapewniłem ją, że od tego schudnie. Ale ona liczyła raczej na nasze długie spacerowanie, żeby ten cel osiągnąć. Ja tam nie cierpiałem długich spacerów. No, ale ona chciała. Bywaliśmy więc bardzo sportowo w Lasku Bulońskim każdego popołudnia, robiliśmy „Tour des Lacs“.

Przyroda jest czemś strasznym, i nawet gdy jest zdecydowanie oswojona, jak w Lasku, jeszcze budzi pe-

wien rodzaj trwogi u prawdziwych miłośników. Wówczas z łatwością zaczynają się wywnętrzać. Nic tak jak Lasek Buloński, choć wilgotny, okratowany, załuszczone i oskubany, nie sprzyja napływowi wspomnień, niepowstrzymanych u ludzi miasta, spacerujących między drzewami. Lola nie uniknęła tego melancholijnego nastroju do zwierzeń. Opowiedziała mi tysiące rzeczy, prawie szczerych, podczas tych spacerów, o swym życiu w New Yorku, o swych przyjaciółkach tamtejszych.

Nie udało mi się wyłuskać całkowicie tego co było prawdopodobne w tym skomplikowanym wątku dolarów, zaręczyn, rozwodów, kupowania sukien i biżuterji, czem życie jej zdawało się wypełnione doszczętnie.

Tego dnia poszliśmy w stronę pola wyścigowego. W tych stronach spotykało się jeszcze dużo fiaków i dzieci na osłach, i inne dzieci, robiące kurz, i samochody, zapchane żołnierzami na urlopie; ci bez przerwy szukali pośpiesznie wakujących kobiet w małych alejach, od pociągu do pociągu, wzbijając jeszcze więcej kurzu; pilno im było zjeść obiad i pochożyć, podnieceni i lepcy, czatowali, dręczeni nieubłaganym czasem i pragnieniem życia. Transpirowała z nich żądza i gorąco też.

Lasek był gorzej utrzymany niż zwykle, zaniedbany, administracyjnie w zawieszeniu.

— To miejsce musiało być bardzo ładne przed wojną?... powiedziała Lola. Eleganckie?... Opowiedz mi, Ferdynandzie!... Tutaj wyścigi?... Czy to było tak jak u nas, w New Yorku?...

Prawdę mówiąc, nigdy nie byłem na wyścigach.

przed wojną, lecz błyskawicznie wymyślałem, żeby ją rozerwać, mnóstwo barwnych szczegółów, korzystając z tego co mi o tem opowiadano ze wszystkich stron. Stroje... Elegantki... Błyszczące limuzyny... Start... sygnały trąbką, radosne i nieprzymuszone... Skok przez rzeczkę... Prezydent Republiki.... Rozkołysana gorączka totalizatora i t. p.

Mój opis idealny tak bardzo jej się podobał, że to opowiadanie zbliżyło nas do siebie. Od tej chwili Lola myślała, że odkryła przynajmniej jedno wspólne nam upodobanie, we mnie starannie ukrywane, gust do uroczystości światowych. Ze wzruszenia nawet pocałowała mnie samorzutnie, co jej się, muszę przyznać, rzadko zdarzało. Poza tem rozczulała się melancholją rzeczy modnych a minionych. Każdy oplakuje na swój sposób czas który upływa. Lola, dzięki zamarym modom, spostrzegła, że lata mijają.

— Ferdynandzie, zapytała, myślisz, że będą jeszcze kiedyś wyścigi na tem polu?

— Jak się wojna skończy, niewątpliwie będą, Lola....

— Ale to nie jest pewne, prawda?....

— Nie, nie jest pewne...

Możliwość, że nigdy już nie będzie wyścigów w Longchamp, peszyła ją. Smutek życia ogarnia ludzi jak może, ale zdaje się, prawie zawsze mu się to udaje.

— Przypuśćmy, Ferdynandzie, że wojna potrwa jeszcze długo, całe lata naprzykład... To dla mnie będzie już zapóźno... Żeby tu powrócić... Czy rozumiesz mnie, Ferdynandzie?... Wiesz, ja tak lubię ładne miejsca, jak to tutaj... Światowe... Bardzo eleganckie... Będzie zapóźno... Nazawsze zapóźno... Może kiedyś... Bę-

dę wtedy stara, Ferdynandzie.... Gdy powrócą zebrania towarzyskie... Będę już stara... Zobaczysz, Ferdynandzie, będzie zapóźno... Czuję, że będzie zapóźno....

I popadła z powrotem w swe strapienie, jak o owe dwa funty wagi. Żeby ją uspokoić, podsuwałem jej wszystkie nadzieje, jakie mi przychodziły do głowy. Że ma wszystkiego dwadzieścia trzy lata... Że wojna minie bardzo prędko... Że piękne dni powrócą... Jak dawniej, piękniejsze niż dawniej... Dla niej przynajmniej... Jest przecie taka śliczna... Czas stracony!... Odbije go sobie bez straty!... Hołdy... Uwielbienie, nie zbraknie jej tego tak prędko... Udała, że już się nie trapi, żeby mi zrobić przyjemność.

— Będziemy jeszcze chodzili? — zapytała.

— Żeby schudnąć?

— Ach, prawda, zapomniałam o tem.

Opuściliśmy Longchamp, dzieci z pobliza poszły sobie. Został tylko kurz. Urlopnicy jeszcze polowali na szczęście, ale już poza obrębem lasu, teraz na szczęście trzeba było robić obławę między tarasami kawiarni przy Porte Maillot.

Szliśmy brzegiem rzeki ku Saint-Cloud, zasłoniętemu płaszącą aureolą mgieł, co podnoszą się z jesieni. Koło mostu kilka galarów dotykało dziobem łuków, naładowane węglem aż po burty, zanurzały się głęboko.

Olbrzymi wachlarz zieleni parku rozpościera się ponad ogrodzeniem. Te drzewa mają spokojną bujność i siłę wielkich marzeń. Tylko że ja nie ufałam i drzewom, odkąd przeszedłem przez ich zasadzki. Trup za każdym drzewem. Główna aleja ciągnęła się między dwoma różanemi rzędami ku fontannie. Obok kiosku

stara dama od wody sodowej zdawała się powoli gromadzić wszystkie cienie wieczoru dokoła swej spódnicy. Dalej, na ubocznych drogach, chwiały się wielkie sześciiany i prostokąty obciążone ciemnym płótnem, baraki jakiejś zabawy, którą wojna tam zaskoczyła i raptem napelniła ciszą.

— To już będzie rok jak poszli! przypominała nam starowina od wody sodowej. Teraz, to nawet dwie osoby tędy nie przechodzą... Ja przychodzę już tylko tak, z przyzwyczajenia... A tyle narodu przewalało się tędy!...

Starucha nic więcej nie zrozumiała z tego, co zaszło, tylko to. Lola chciała, żebyśmy przeszli koło tych pustych namiotów, miała taką śmieszna, smutną chętkę.

Naliczyliśmy ich ze dwadzieścia, długie, zaopatrzone w szyby, małe, tych o wiele więcej, jarmarczne cukiernie, loterje, nawet teatrzyk, przesywany przeciągami; wszędzie, przy każdym drzewie, były budy, jedna z nich w pobliżu głównej alei nie miała nawet już zasłon, wywietrzona jak stara tajemnica.

Chyliły się już namioty ku opadłym liściom, w błoto. Zatrzymaliśmy się przy ostatnim, tym który pochylił się więcej od innych, kołysał się na słupach, we wietrze, niby statek o rozdętych żaglach, gotów zerwać ostatnią cumę. Chybał się, płótno środkowe, targane wiatrem, podrywało się ku niebu, ponad dach. Na frontonie budy można było wyczytać jej starą nazwę na zielono i czerwono; była to strzelnica: *Le Stand des Nations* się nazywała.

Nikt jej również nie pilnował. Być może, właściciel strzelał teraz razem z innymi, z klientami.

Ileż kul dostały małe cele-figurki w budzie! Wszy-

stkie osypane małymi białymi centkami! To przedstawiało wesele dla pucu: w pierwszym szeregu, z cynku, panna młoda z kwiatami, kuzyn, żołnierz, oblubieniec z dużą czerwoną gębą, a w drugim rzędzie goście, których musiano zabić nieraz, kiedy jeszcze balagan funkcjonował.

— Jestem pewna, że ty Ferdynandzie, ty musisz dobrze strzelać? Gdyby to jeszcze było czynne, zrobiabym z tobą mecz!... Prawda, że ty dobrze strzelasz, Ferdynandzie?

— Nie, nie strzelam bardzo dobrze...

W ostatnim rzędzie za weselem, inny szereg celów, popacykowanych, merostwo ze swą flagą. Trzeba było strzelać i do merostwa, kiedy to funkcjonowało, w okna, które, trafione, otwierały się z krótkim uderzeniem dzwonka, strzelano nawet do cynkowej małej flagi. I do pułku, który defilował po pochyłości obok, tak jak mój, na placu Clichy, ten między wiszącymi fajkami i balonikami — w to wszystko kropiono ile wlezie, póki było można, teraz kropiono we mnie, wczoraj, jutro.

— Niech i do mnie strzelają, Lola! nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zawołać.

— Daj spokój! powiedziała... Mówisz głupstwa, Ferdynandzie, i przeziębimy się.

Zeszliśmy ku Saint-Cloud główną aleją, królewską, wymijając błądźko trzymała mnie za rękę, jej dłoń była mała, ale ja nie mogłem myśleć o niczem innym tylko o weselu z cynku w tamtej strzelnicy, zostawionej w cieniu alei. Zapomniałem nawet pocałować Lolę, to było silniejsze ode mnie. Czułem, że się ze mną coś dziwnego dzieje. Od owej to chwili, sądzę, moja

głowa nie mogła sobie dać rady z kłębiącymi się w niej myślami.

Kiedyśmy doszli do mostu Saint-Cloud, było już zupełnie ciemno.

— Ferdynandzie, chcesz iść na obiad do Duvala? Ty przecie lubisz Duvala... Oderwiesz się od tamtych myśli... Tam zawsze się spotyka dużo ludzi... Chyba że wolisz jeść w moim pokoju? Była uprzedzająco miła tego wieczoru.

Zdecydowaliśmy się ostatecznie na Duvala. Lecz zaledwieśmy usiedli, gdy to miejsce wydało mi się idjotyczne. Wszyscy ci ludzie, rzędem siedzący koło nas, robili na mnie wrażenie, jakby oni też czekali, żeby ich zewsząd zasypały kule podczas żarcia.

— Wyjdźcie stąd wszyscy! uprzedziłem ich. Wyństwo się do cholery! Będą strzelać! Zabijają was! Zabijają nas wszystkich!...

Zabrano mnie do hotelu Loli czempredzej. Wszędzie widziałem to samo. Wszystkie osoby, defilujące po korytarzach Paritza, wyglądały jakby szły dać się wystrzelać, i funkcjonariusze za wielką ładą przedsonka również, w sam raz na to patrzący, i nawet typ zdołu, z Paritza, w swym uniformie błękitnym jak niebo i złoconym jak słońce, portjer, jak go nazywano, i wojskowi, spacerujący oficerowie, generałowie, mniej piękni od portjera, niema co gadać, ale jednak w uniformach, wszędzie olbrzymia strzelanina, z której żywa noga nie wyjdzie. To już nie była zabawa.

— Będą strzelać! wołałem na nich z całych sił, pośrodku wielkiego salonu. Będą strzelać! Zmiatajcież wszyscy!... A potem krzyczałem to samo przez okno. Uczepiło się mnie to i trzymało. Skandal jak się patrzy.

„Biedny żołnierz!“ mówiono. Portjer zaprowadził mnie do baru, łagodnie, przez uprzejmość. Dał mi coś do picia i wypilem, a potem wreszcie przyszli po mnie żandarmi, ci zachowali się brutalniej. W strzelnicy *Stand des Nations* też byli żandarmi. Widziałem ich. Lola mnie uściskała i pomogła im zabrać mnie, w kajdankach.

Wówczas zachorowałem, miałem wielką gorączkę, oszalałem, wytłumaczyli w szpitalu, ze strachu. To było możliwe. Najlepsza rzecz, jaką można zrobić, gdy się jest na tym świecie, to wyjść z niego, prawda? Warjatem, czy nie, ze strachu, czy nie.

Wynikły z tego chryje. Jedni powiedzieli: „Ten chłopak to anarchista, więc go rozstrzelają, należy to zrobić, i to zaraz, niema co się wahać, nie trzeba marudzić, skoro jest wojna!... Ale byli i inni, cierpliwi, którzy chcieli, żebym był tylko syfilitykiem i szczerym warjatem i żeby mnie wobec tego zamknąć, aż do zawarcia pokoju, a przynajmniej na szereg miesięcy, ponieważ oni, nie warjaci, ludzie w pełni rozumu, jak powiadali, chcieli mnie leczyć, a tymczasem tylko oni będą prowadzili wojnę. To dowód, że aby kogoś uważano za człowieka przy zdrowych zmysłach, niema nic lepszego jak mieć wściekły tupet. Gdy się ma odpowiedni tupet, to wystarcza, wtedy można sobie pozwolić prawie na wszystko, nawet absolutnie na wszystko, ma się za sobą większość, a większość wydaje dekryty, co jest warjackie, a co nie.

Jednak djagnoza co do mnie była wciąż bardzo niepewna. Władze postanowiły więc oddać mnie na pewien czas pod obserwację. Moja mała przyjaciółka, Lola, uzyskała pozwolenie odwiedzenia mnie parę razy, moja matka również. To było wszystko.

Nas, rannych z zaburzeniami mózgowymi umieszczono w liceum w Issy-les-Moulineaux, urządzonym specjalnie do przyjmowania i napędzania do zeznań, łagodnie lub siłą, zależnie od wypadku, tych żołnierzy w moim rodzaju, których ideał patryjotyczny był tylko nadwyreżony lub też kompletnie chory. Nie traktowano nas zupełnie źle, ale cały czas czuło się jednak, że

się jest śledzonym przez personel pielęgniarzy, milczących i obdarzonych olbrzymimi uszami.

Po pewnym czasie poddania się temu pilnowaniu, wychodziło się stamtąd dyskretnie, albo żeby iść do szpitala dla obłąkanych, albo na front, lub też jeszcze, dość często, pod ścianę.

Zadawałem sobie zawsze pytanie, który z kompanów, zebranych w tym podejrzanym lokalu, rozmawiając szeptem w refektarzu, był na drodze do tego, żeby stać się widmem.

Przy kracie bramy, w swym domku, mieszkała odźwierna, ta co nam sprzedawała cukier owsiany, pomarańcze i to co trzeba żeby sobie przyszyć guzik. Ponadto sprzedawała nam jeszcze rozkosz. Dla podoficerów rozkosz kosztowała dziesięć franków. Każdy mógł dostać. Tylko wystrzegając się zwierzeń, które jej czyniono zbyt łatwo w takich momentach. Te wylewy mogły drogo kosztować. To co jej powiedziano w zaufaniu, powtarzała naczelnemu lekarzowi, skrupulatnie, a to przekazywało wasze akta sądowi wojennemu. Było zdaje się niezbitcie dowiedzione, że w ten sposób, dzięki wynurzeniom, posłała na rozstrzelanie podoficera spahisów, który nie miał jeszcze dwudziestu lat, dalej rezerwistę saperską, co połykał gwoździe, żeby chorować na żołądek, i jeszcze innego historyka, tego co jej opowiedział, jak przygotowywał swe ataki paraliżu na froncie... Mnie, żeby mnie wymacać, zaproponowała pewnego wieczoru książeczkę wojskową ojca sześciorga dzieci, zmarłego, jak powiadała, i że to mogło mi się przydać, do otrzymania przydziału na tyłach. Słowem, była to szelma co się zowie. W łóżku, zachowywała się wspaniale, i powracało się do niej, bo

dawała nam wiele rozkoszy. Jako dziwka, to była pierwsza klasa. Tak zresztą powinno być, żeby naprawdę użyć. W tej kuchni tylnej, wyuzdanie, ostatecznie, jest jak pieprz w dobrym sosie, to jest niezbędne i to wiąże.

Budynki liceum wychodziły na bardzo obszerny taras, złożony latem, pośród drzew, i stąd odsłaniał się wspaniale Paryż, rodzaj opromienionej chwałą perspektywy. Tam właśnie we czwartki czekali na nas odwiedzający a między nimi Lola, przynosząca mi punktualnie ciastka, rady i papierosy.

Naszych lekarzy widywaliśmy codziennie rano. Pytali się nas życzliwie, ale człowiek nigdy nie wiedział, co oni myśleli naprawdę. W swych minach, zawsze uprzejmych, wodzili koło nas nasz wyrok śmierci.

Wielu chorych z tych co byli tam na obserwacji, bardziej pobudliwych niż inni, dochodziło, w tem cklivem otoczeniu, do stanu takiego rozdrażnienia, że w nocy zamiast spać wstawali, chodzili dużymi krokami po sypialni, nagłos protestowali przeciw własnej trwodze, kurczowo uczeni między nadzieją a rozpaczą, jak na zdradzieckiej skalnej ścianie w górach. Mordowali się tak dzień za dniem i potem pewnego wieczoru razem opadali w sobie na samo dno i szli wyznać wszystko naczelnemu lekarzowi. Tych nie widziano już potem, nigdy: Ja też nie byłem spokojny. Ale gdy się jest słabym, siłę daje obdarcie ludzi, których się boimy najbardziej, z tej resztki prestiżu, jaki skłonni jesteśmy jeszcze im przypisywać. Trzeba się nauczyć uważać ich za takich, jacy są, za gorszych niż są, znaczy się, pod każdym względem. To daje odprężenie, to człowieka

wyzwała i broni go tak, jak nikt sobie tego nie może wyobrazić. To daje drugą jaźń. Jest się rozdwojony.

Z tą chwilą ich czyny przestają już mieć dla nas tę parszywą ponętę mistyczną, która nas osłabia, naraża na stratę czasu, i wówczas ich komedja nie jest dla nas bynajmniej przyjemniejsza i pożyteczniejsza dla naszego rozwoju wewnętrznego od komedji najpodlejszej świni.

Obok mnie, w sąsiednim łóżku, leżał pewien kapral, też ochotnik. Przed sierpniem nauczyciel gimnazjum w Turenji, gdzie, jak mi mówił, wykładał historję i geografję. Po kilku miesiącach wojny wyszło najaw, że jest złodziejem ten profesor, jak żaden. Nie można było zapobiec, żeby nie buchał z taboru swego pułku konserw, z furgonów intendentury, z rezerw zaopatrywania i wszędzie gdzie się tylko znalazł.

Razem więc z nami został tu wyrzucony, przez falę sądu wojennego. Ponieważ rodzina jego na głowie stawała, żeby dowieść, że pociski go ogłupiły, zdemoralizowały, śledztwo odraczało sąd nad nim z miesiąca na miesiąc. Niewiele ze mną rozmawiał. Spędzał całe godziny na czesaniu sobie brody, ale gdy rozmawiał ze mną, to zawsze prawie o tem samym, o sposobie, jaki wynalazł, żeby nie robić żonie dzieci. Czy to był naprawdę warjat? Gdy przyszedł moment, że świat stanął do góry nogami i że jest warjatem ten, kto pyta, dlaczego go zabijają, jest oczywiste, że uchodzi za warjata tanim kosztem. Trzeba jeszcze, żeby to chyciło, ale kiedy idzie o to, żeby uniknąć wielkiego poćwiartowania, w pewnych mózgach powstają wspaniałe wysiłki wyobraźni.

Wszystko, co jest ciekawego, odbywa się w mroku,

stanowczo. Nie wie się nic o istotnych dziejach człowieka.

X Princhard nazywał się ten profesor. Co on mógł takiego postanowić, żeby ocalić swe tętnice szyi, płuca i nerwy wzrokowe? Oto pytanie zasadnicze, to, które trzebaby było sobie postawić, będąc ludźmi, żeby pozostać ściśle ludzkimi i praktycznymi. Ale myśmy byli dalecy od tego, potykając się w ideałe niedorzeczności, strzeżonych przez wojownicze i obłudne szablony, szczury, już dławione dymem, usiłowaliśmy w szale wydostać się z płonącego statku, ale nie mieliśmy żadnego wspólnego planu działania, żadnego zaufania jedni do drugich. Oszołomieni wojną, staliśmy się szaleńcami w innym rodzaju: w strachu. Spód i wierzch wojny.

Jednak, poprzez ten wspólny szal, okazywał mi pewną sympatję ten Princhard, zarazem nie ufając mi, rzecz prosta.

Tam, gdzieśmy się znajdowali, pod znakiem, gdzieśmy wszyscy byli pomieszczeni, nie mogła istnieć ani przyjaźń, ani zaufanie. Każdy to tylko puszczał z gęby, co uważał za korzystne dla swej skóry, skoro wszystko lub prawie wszystko miało być powtórzone przez zaczajonych szpiegów.

Od czasu do czasu jeden z nas znikał, co znaczyło, że jego sprawa dojrzała, że skończy się w sądzie wojennym, w Biribi¹ lub na froncie, a dla tych, którym się najlepiej powiodło, w Schronisku w Clamart².

Przybywali jeszcze inni wątliwi wojownicy, wciąż,

¹ Karne bataljony afrykańskie (*Przyp. tłum.*).

² Dom warjatorów pod Paryżem (*Przyp. tłum.*).

ze wszystkich broni, bardzo młodzi i prawie starzy, z pietrem lub też samochwały, żony i krewni odwiedzali ich, dzieciaki również, z wytrzeszczonymi oczami, we czwartki.

To wszystko płakało rześście, w rozmównicy, pod wieczór zwłaszcza. Bezsilność świata w wojnie przychodziła płakać tam, kiedy żony i dzieci odchodziły, korytarzem bladym od gazu, po skończonych widzeniach, powłócząc nogami. Wielkie stado mazgajów tworzyli oni, tylko to, wstrętni.

Dla Loli, przyjść zobaczyć się ze mną w tem jakby więzieniu, to była jedna przygoda więcej. My oboje, myśmy nie płakali. Nie mieliśmy skąd brać łez.

— Czy to prawda, żeś ty rzeczywiście zawarował, Ferdynandzie? — zapytała mnie któregoś czwartku.

— Jestem warjatem! — przyznałem.

— Więc oni cię tutaj będą leczyli?

— Nie leczy się strachu, Lolo.

— Więc ty aż tak się boisz?

— Jeszcze więcej, Lolo, tak się boję, widzisz, że jeżeli umrę własną śmiercią, kiedyś tam, nie chcę za nic, żeby mnie spalono! Chcę, żeby mnie zostawiono w ziemi, na gnicie na cmentarzu, spokojnie, tam, gotowego odżyć może... Co to można wiedzieć! Gdy tymczasem, jeśli mnie spalą na popiół, Lolo, rozumiesz, to już będzie koniec, zupełny koniec... Szkielet, mimo wszystko, to jeszcze trochę podobne do człowieka... To zawsze jest bardziej skore odżyć, niż popioły... Popioły, to koniec!... Co o tem myślisz?... Więc wojna, rozumiesz...

— Och, to ty jesteś skończony tchórz, Ferdynandzie! Jesteś obmierzły, jak szczur...

— Tak, skończony tchórz, Lolo, odrzucam wojnę i wszystko, co jest w niej... Ja jej nie rozprawiczam... Nie przyjmuję jej z rezygnacją... Nie płaczę nad nią... Odrzucam ją kompletnie, ze wszystkimi jej ludźmi, nie chcę mieć do czynienia z nimi, z nią. Choćby ich było dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć milionów, a ja sam jeden, oni nie mają racji, Lolo, a rację mam ja, ponieważ ja jeden wiem, czego chcę: nie chcę umrzeć.

— Ależ to jest niemożliwe odrzucać wojnę, Ferdynandzie! Tylko warjaci i tchórze odrzucają wojnę, gdy ich ojczyzna jest w niebezpieczeństwie...

— A więc niech żyją warjaci i tchórze! Lub raczej niech przeżyją warjaci i tchórze! Czy przypominasz sobie, Lolo, jedno imię, na przykład, jednego z żołnierzy, zabitych podczas wojny Stuletniej... Czyś chciała kiedykolwiek poznać choć jedno z tych imion?... Nie, nieprawdaż?... Nigdy nie chciałaś? Są dla ciebie równie bezimienne, obojętne i bardziej nieznanne, niż ostatni atom tego przycisku do papieru przed nami, niż to co spuszczasz rano z wodą... Widzisz więc dobrze, że umarli za nic, Lolo! Absolutnie za nic, ci kretyni! Ja ci to powiadam! To jest dowiedzione! Tylko życie bierze się w rachubę. Za dziesięć tysięcy lat, założę się, ta wojna, choć tak doniosła nam się teraz wydaje, będzie kompletnie zapomniana... Zaledwie jakiś tuzin erudyków będzie się jeszcze użerał tu i owdzie z jej powodu i à propos dat głównych hekatomb, którymi się wstawiała... To jest wszystko, co dotąd udało się ludziom znaleźć godnego wspomnienia w tej materji, ludziom, oddalonym od siebie o kilka wieków, o kilka lat, a nawet o kilka godzin... Ja nie wierzę w przyszłość, Lolo...

Gdy odkryła, do jakiego stopnia stałem się fanfa-

ronem mego haniebnego stanu, przestała uważać mnie za godnego współczucia w najmniejszym stopniu... Uznała mnie za godnego pogardy, definitywnie.

Postanowiła zerwać ze mną z miejsca. Tego była dla niej zawiele. Gdy ją odprowadzałem tego wieczoru do furtki naszego zakładu, nie pocałowała mnie.

Stanowczo, nie mogło jej się w głowie pomieścić żeby skazany na śmierć nie miał jednocześnie do tego powołania. Kiedy zapytałem jej się, co słyhać z naszymi naleśnikami, nie odpowiedziała mi wcale.

Wracając do izby koszarowej, zastałem Princhara przy oknie, zajętego przymierzaniem okularów w świetle gazu w grupie żołnierzy. To była myśl, która przyszła, objaśnił nam, na brzegu morza podczas wakacji, a że teraz było lato, zamierzał je nosić w dzień w parku. Ogromny był ten park i doskonale zresztą strzeżony przez drużyny czujnych pielęgniarzy. Nazajutrz tedy Princhar uparł się, żebym mu towarzyszył aż do tarasu, dla wypróbowania pięknych okularów. Popołudnie błyszczało olśniewająco na Princhara, ochranianym przez swe nieprzezroczyście szkła zauważyłem, że nos miał prawie przejrzysty przy nocnych drzewach i że oddychał pośpiesznie.

— Moi drodzy, zwierzył mi się, czas mija i nie pracuje dla mnie... Sumienie moje jest niedostępne dla wyrzutów, jestem wyzwolony, Bogu dzięki! z tych niemożliwości... Nie zbrodnie bierze się w rachubę na tym świecie... Oddawna się tego wyrzeczono... Bierze się w rachubę gaffy... I myślę, że popełniłem gaffę... Zgładziła nie do naprawienia...

— Kradnąc konserwy?

— Właśnie. Sądziłem, że to jest sprytne, wyobrazić

sobie! Żeby uniknąć bitew i w ten sposób, okryty hańbą, ale jeszcze żywy, żeby wrócić w spokoju, jak się powraca, wyczerpany, na powierzchnię morza po długim nurkowaniu. ...Omało mi się nie udało... Ale wojna trwa stanowczo zadługo... W miarę jak się przedłuża, nie chce już uznawać pewnych osobników za dostatecznie obrzydliwych, żeby Ojczyzna nimi się brzydziła... Zaczęła przyjmować wszelkie ofiary, skądkolwiekby pochodziły, wszelkie mięso, Ojczyzna. Stała się niesłychanie niewybredna w wyborze swych męczenników, Ojczyzna! Obecnie niema już żołnierzy niegodnych nosić broni, a zwłaszcza umrzeć pod bronią i od broni... Mają zrobić ze mnie, ostatnia wiadomość, bohatera!... Szał mordy musiał się rozpełtać niesłychanie, skoro biorą się już do przebaczenia kradzieży puszek konserw! co mówię? do zapomnienia o tem! Zapewne, przywykliśmy podziwiać codziennie wielkich bandytów, których bogactwo cały świat czci razem z nami, a których życie okazuje się tymczasem, skoro tylko zbada się trochę bliżej, długą zbrodnią, codnia odnawianą, lecz ci ludzie cieszą się sławą, zaszczytami i władzą, ich przestępstwa są uświęcone przez prawo, gdy jednocześnie, jak daleko sięgnąć w dzieje — a wiecie, że mi płacą za to, żebym je znał — wszystko nam wykazuje, że drobna kradzież, zwłaszcza czegoś marnego do jedzenia, jak kromki chleba, wędliny, sera, ściąga na sprawcę bez ochyby formalnie stwierdzoną hańbę, kategoryczne wyrzeczenie się go przez społeczność, kary z utratą czci, dishonor automatyczny i sromotę nie do odpokutowania, i to z dwóch powodów, przedewszystkiem ponieważ taki przestępca jest zazwyczaj biedakiem, a ten stan

zawiera w sobie zasadniczą niegodność, następnie ponieważ jego czyn przedstawia się jakby milczący wyrzut pod adresem społeczności. Kradzież biedaka staje się złośliwym indywidualnym odebraniem czegoś, rozumiecie mnie?... Dokąd doszlibyśmy na tej drodze? Toteż represje za drobną kradzież działają, zwróćcie na to uwagę, w każdym klimacie, z krańcową surowością, nie tylko jako środek obrony socjalnej, lecz jeszcze i zwłaszcza jako twarde upomnienie wszystkich biedaków, żeby się trzymali swego miejsca i swej kasty, harując, radośnie zrezygnowani zdychać przez wszystkie wieki i bez końca z nędzy i głodu... Dotychczas przecież mali złodzieje mieli pewne korzystne wyróżnienie w Republice, że byli pozbawieni zaszczytu noszenia patryjotycznej broni. Ale od jutra ten stan rzeczy zmieni się, od jutra ja, złodziej, obejmę z powrotem swoje miejsce w armji... Takie są rozkazy... W wysokich sferach postanowiono pociągnąć gąbką po tem, co oni nazywają „moim momentem zamroczenia“, a to, zanotujcie sobie dobrze, z uwagi na to, co zostało również przez nich zatytułowane „honor mej rodziny“. Co za łaskawość! Pytam się was, kolego, czy to moja rodzina pójdzie służyć za durszlak i miejsce wyboru dla kul francuskich i niemieckich, pomieszanych razem?... Przecież to tylko ja sam pójdę, czy nie? A kiedy padnę, czy honor mej rodziny mnie wskrzesi?... Proszę was, ja tu widzę moją rodzinę, gdy sprawy wojny miną... Jak mija wszystko... Widzę stąd moją rodzinę, wesoło wówczas ganiającą po trawnikach, latem, które wróciło, w pogodne niedziele... Tymczasem o trzy stopy niżej, ja, tatuś, ociekający robactwem i bardziej cuchnący niż kilo gówna

z 14 Lipca¹, będę gnił fantastycznie całym mojem za-
wiedzionem cielskiem... Nawozić skiby bezimiennego
oracza, oto prawdziwa przyszłość prawdziwego żoł-
nierza! Och, kolego! Ten świat, zapewniam was, to
jest tylko olbrzymie przedsiębiorstwo gwizdania na
świat! Jesteście młodzi. Oby te minuty przenikliwości
posłużyły wam za lata całe! Słuchajcie mnie uważnie,
kolego, i nie dajcie temu przebrzmieć, póki nie wnik-
niecie dobrze w wagę tego kapitalnego znaku, którym
jaśniej cała mordercza obłuda naszego społeczeń-
stwa: „Rozczulanie się dołą, warunkami bytu bieda-
ka“. Powiadam wam, pocziwcy, durnie życiowi, bici,
wyzyskiwani, wiecznie harujący do siódmych potów,
uprzedzam was, kiedy możni tego świata zaczynają
was kochać, to znaczy, że z was zrobią bojową sieka-
ninę... To jest znak... Nieomylny. To zaczyna się od
czułości. Ludwik XIV, ten przynajmniej, przypomnij-
my sobie, kpił sobie na potęgę z pocziwego ludu. Co
do Ludwika XV, to samo. Miał go gdzieś. Nie żyło
się dobrze w owych czasach, zapewne, biedni nigdy
dobrze nie żyli, ale w wypruwanie z nich kiszek nie
wkładano tyle zawziętości i znęcania się, jakie widzi-
my u naszych dzisiejszych tyranów. Dla maluczkich,
powiadam wam, jedyne wytchnienie, to gdy możni
nimi gardzą, bo myśleć o ludzie mogą tylko z wyra-
chowania lub sadyzmu... Filozofowie, to są ci, zano-
tujcie to sobie jeszcze, póki tutaj jesteśmy, co zaczęli
od opowiadania bajek pocziwemu ludowi... Ludowi,
który znał tylko katechizm! Obwieścili, że biorą się
do oświecenia ludu... Ha!... mieli im do objawienia
prawdy! cacane! I niezużyte! Pełne blasku! Aż ćmi-

¹ Święto narodowe francuskie. (Przyp. tłum.).

ło się w oczach słuchającym! Otóż to! Ludek zaczął
od powtarzania właśnie tego! Zupełnie tego samego!
Umrzyjmy za to wszystko! Lud zawsze chce tylko
umrzeć! Już jest taki. „Niech żyje Diderot!“ ryczeli,
a potem „Brawo Voltaire!“ To są przynajmniej filo-
zofowie! I niech żyje też Carnot, co urządza tak do-
brze zwycięstwa! I niech żyją wszyscy! Oto przynaj-
mniej zuchy, co nie dadzą ludowi zdechnąć w ciem-
nocie i fetyszyzmie! Oni mu wskazują drogi do Wol-
ności! Oni go emancypują! To poszło ostro! Niech
wszyscy przedewszystkiem umieją czytać gazety!
W tem jest zbawienie! Psia wasza mać! I duchem!
Precz z analfabetami! Już ich nie potrzeba! Sami oby-
watele żołnierze! Którzy głosują! Którzy czytają!
I którzy się biją! I maszerują! I posyłają całusy!
Przy takim reżymie niebawem ludek był dojrzały.
Wówczas, prawda, entuzjazm, że się jest wyzwolo-
nym, to przecie musi do czegoś służyć? Danton nie
był wymowny zadarmo. Kilku zdrowemi ryknięciami,
tak potężnemi, że jeszcze dziś je słyhać, zmobilizował
ci ludek w okamgnieniu! I zaraz było pierwsze wyru-
szenie w pole pierwszych bataljonów szalonych wy-
zwolenców! Pierwszych durniów, głosujących i sztan-
darowych, których zabrał Dumouriez¹, zbyt późno
zjawiwszy się na tę idealistyczną rozrywkę, zupełnie
nieznaną, a w rezultacie, przenosząc nad nią forszę,
zdezertował. To był nasz ostatni najemnik... Żołnierz
bezpłatny, to była nowość. Aż taka nowość, że Goethe,

¹ Generał z czasów W. Rewolucji, zwycięzca z pod Valmy,
zdobywca Belgji. Usunięty od dowództwa przez Konwent, żołdak
ten przeszedł na stronę nieprzyjacielską, na żołd Anglii. (Przyp.
tłum.).

choć to był Goethe, gdy przybył do Valmy, był olśniony. Wobec tych kohort oberwanych i zajadłych, które przysły spontanicznie dać sobie wypruć flaki przez króla pruskiego, w obronie nowej fikcji patryjotycznej, Goethe doznał uczucia, że musi się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. „Od tego dnia, zawołał, wspaniale, jak to jego genjusz miał we zwyczaju, rozpoczyna się nowa epoka!“ Co wy na to! W następstwie, że system taki był wyborny, wzięto się do fabrykowania bohaterów serjami, i którzy kosztowali coraz mniej, dzięki udoskonalonemu systemowi. Wszyscy byli z tego zadowoleni. Bismarck, dwóch Napoleonów, Barrés tak samo jak amazonka Elsa. Religja sztandarowa zastąpiła szybko niebiańską, stary obłok, z którego już Reformacja wypuściła powietrze i skondensowała go oddawna do rozmiarów brzuchów biskupich. Ongi modą fanatyczną było „Niech żyje Jezus! Na stos z heretykami!“ ale ostatecznie heretycy byli nie liczni i dobrowolni... Tymczasem w epoce, w której my żyjemy, wrzaski olbrzymich hord: „Pod ścianę nieużytki! Cytryny bez soku! Niewinni czytelnicy! Miljonami na prawo patrz!“ prowokują pociąg do wojny. Ludzi, którzy nie chcą nikogo ani rozpruwać, ani mordować, śmierdzących pacyfistów, chwytac i ćwiartować! Ich też pomordować, na trzynaście sposobów, dobrze rozłożonych! Wyrwać im, żeby ich nauczyć żyć, naprzód bebechy z ciała, oczy z orbit, i lata ich parszywego, zaślinionego życia. Dać im całami legjonami zdechnąć, wyschnąć na szczapę, krwawić, wędzić się w kwasach, a to wszystko poto, żeby Ojczyzna stała się od tego bardziej kochana, radośniejsza i miłsza! A jeśli są w niej plugawcy, którzy nie chcą zro-

zumieć tych wzniosłych rzeczy, nie pozostaje im nic innego, jak dać się natychmiast pogrzebać razem z innymi, jednak nie zupełnie razem, lecz na samym skraju cmentarza, pod sromotnem epitafjum tchórzów bez ideału, gdyż oni stracili, ci podli, wspaniale prawo do kawałeczka cienia pomnika, wystawionego drogą przetargu i komunalnego, a wzniesionego dla przyzwoicie zmarłych w środkowej alei, i pozatem stracili również prawo do pochwylenia odrobiny echa Ministra, który przyjedzie jeszcze tej niedzieli wysusiać się u Prefekta i podrgać pyskiem nad grobami po dobrem śniadaniu...

Ale z głębi ogrodu zawołano na Princhara. Naczelny lekarz wzywał go natychmiast przez dyżurnego pielęgniara.

— Idę, odpowiedział Princhar i miał akurat tylko tyle czasu, żeby mi podać bruljon mowy, z której przed chwilą robił próbę wobec mnie. Kabotyn.

Jego, Princhara, nie zobaczyłem już nigdy. Miał on wadę intelektualistów, był czczy. Zawiele umiał ten facet i to mu mąciło umysł. Potrzebował mnóstwa trików, żeby się podniecić, zdecydować.

Gdy o tem myślę, daleki już jest od nas ten wieczór, kiedy on wyjechał. Jednak pamiętam go dobrze. Te domy przedmieścia, stanowiące granicę naszego parku, odcinały się raz jeszcze, bardzo wyraźnie, jak czynią wszystkie rzeczy, zanim je wchłonie wieczór. Drzewa olbrzymiały w zmierzchu i wznosiły się do nieba, by złączyć się z nocą.

Nigdy nie zrobiłem nic, żeby mieć o nim wieść, żeby wiedzieć, czy naprawdę „zaginał“ ten Princhar, jak mówiono. Ale lepiej, żeby zaginał.

Nasz swarliwy pokój już w czasie wojny rzucał swe siewne ziarna.

Można było przepowiedzieć, co to będzie za historyczka, wystarczyło popatrzeć, jak się już miota w tańcach Olympia. Na dole, w długim podziemiu — dancingu, zezującym w stu lustrach, tupała w kurzu i beznadziejności muzyki negro-judeo-saksońskiej¹. Pomieszani Brytyjczycy z Murzynami. Lewantyjczyków i Rosjan było wszędzie pełno, palących, ryczących, melancholijnych i wojskowych, na karmazynowych sofach. Te mundury, które człowiek ledwie już pamięta, były nasieniem dzisiejszych, tego co jeszcze rośnie i nie stanie się jeszcze zupełnym śmieciem aż trochę później, czasem.

Dobrze zaprawieni do żądz przez kilka godzin spędzanych co tydzień w Olympji, szliśmy potem w kilku odwiedzić naszą właścicielkę sklepiku bielizniano-rękawiczniano-księgarskiego, panią Herote, w Impasse des Beresinas, za Folies-Bergère, zaułku dziś nieistniejącym, gdzie pieski przychodziły ze swemi panienkami, na smyczy, załatwić się.

Myśmy tam przychodzili szukać poomacku swego szczęścia, któremu cały świat wygrażał z wściekłością. Wstydziliśmy się tej zachcianki, ale trzeba było jednak ulec. Trudniej jest wyrzec się miłości niż życia. Spę-

dza się czas na tym padole na zabijaniu lub miłowaniu, i to razem. „Nienawidzę cię! Uwielbiam cię!“ Człowiek walczy o byt, zarabia na utrzymanie, oddaje swe życie dwunogowi następnej epoki, w pasji, za wszelką cenę, jakby to było strasznie przyjemnie kontynuować siebie, jakby to nas koniec końców miało uczynić wiecznymi. Chęć obejmowania się w uścisku mimo wszystko, tak jak człowiek musi się podrapać.

Na umyśle czułem się lepiej, ale moja sytuacja wojskowa była wciąż dość niezdecydowana. Pozwalano mi od czasu do czasu wyjść na miasto. Nasza bielizniarka nazywała się więc pani Herote. Czoło miała niskie i tak ograniczone, że z początku czuło się wobec niej nieswojo, lecz usta, przeciwnie, tak mile się uśmiechały i były takie mięsiste, że potem niewiadomo było co robić, żeby jej się wymknąć. Pod osłoną niesłychanej gadatliwości, temperamentu niezapomnianego, kryła serję zamiarów prostych, drapieżnych, zbożnie handlowych.

Zaczęła robić dobre interesy w ciągu kilku miesięcy, dzięki sprzymierzonym, a zwłaszcza dzięki swemu brzuchowi. Uwolniono ją od jajników, trzeba powiedzieć, operowano na zapalenie jajowodu poprzedniego roku. Są takie kobiece tryprzy, które, okazuje się, są opatrnościowe. Kobieta, która spędza czas na obawianiu się ciąży, jest swego rodzaju impotentką i nigdy nie zajdzie daleko na drodze powodzenia.

Starzy i młodzi myślą, i ja też tak myślałem, że można łatwo i tanio poobłapiać w tylnych sklepach pewnych interesów galanterijno-księgarskich. Było tak istotnie, jeszcze jakieś dwadzieścia lat temu, lecz od tej pory wielu rzeczy już się nie robi, tych zwła-

¹ W oryginale: saskiej (*saxonne*), ale że autor łączy ten przymiotnik z *saxofonem* — dla oddania tej gry słów tłumacz musiał się uciec do neologizmu, pozornego rusycyzmu: „saksońska“. W. R.

szcza co należą do najprzyjemniejszych. Anglosaski purytanizm wysusza nas z każdym miesiącem więcej, doprowadził już prawie do zaniku improwizowane swawole tylnych sklepów. Wszystko ciąży ku małżeństwu i policji poprawczej.

Pani Herote potrafiła wyzyskać ostatnie, jakie jeszcze były, licencje na miłość nastojący i niedrogo. Pewien bezczynny taksator na licytacjach przechodził koło jej sklepu jakiejś niedzieli, wszedł tam i tkwi wciąż. Był już trochę ramolem, pozostał nim i więcej nic. Ich szczęście odbywało się bez hałasu. W cieniu dzienników, szalejących wezwaniami do poświęceń ostatecznych i patryjotycznych, życie ściśle odmierzone, faszerowane przezornością, trwało dalej i nawet o wiele przemyślniejsze niż kiedykolwiek. Taka jest prawa i lewa strona, jak światło i cień, tego samego medalu.

Taksator pani Herote lokował w Holandji kapitały swym znajomym, najlepiej poinformowanym, a z kolei i pani Herote, jak tylko weszli w bliższe stosunki. Krawaty, biustonosze, prawie-koszule, jakie ona sprzedawała, trzymały klientów i klientki i nadewszystko pobudzały ich do częstych odwiedzin.

Wiele spotkań cudzoziemskich i narodowych odbyło się w bladuróżowym cieniu tych brise-bise, wśród nieustającej paplaniny gospodyni, której cała osoba, zażywna, gadatliwa i woniejąca aż do mdłości, mogłaby uczynić sprośnym najbardziej zjełczałego wątrobiarza. Z tych kombinacji, nie tracąc nigdy głowy, pani Herote ciągnęła zyski, naprzód w gotówce, gdyż pobierała swą dziesięcinę od sprzedaży uczuć, następnie ponieważ robiło się dużo miłości dokoła niej. Łączyła pary i roz-

łączała je z radością conajmniej jednakową, zapomocą plotek, insynuacji, zdrad.

Wymyślała szczęście i dramat z miejsca. Podtrzymywała życie namiętności. Jej handel tylko na tem zyskiwał.

Proust, sam pół-upiór, zatracił się z niesłychanym uporem w nieskończoności, w rozcieńczonej błahości obrzędów i poczynań, owijających się dokoła ludzi światowych, ludzi próżni, upiórów żądz, niezdecydowanych znudzeńców, wiecznie wyczekujących swego Watteau, ospałych poszukiwaczy nieprawdopodobnych Cyter. Ale pani Herote, kobieta z ludu, substancjonalna z pochodzenia, trzymała się krzepko ziemi swemi tęgiemi apetytami, głupimi i wyraźnemi.

Jeśli ludzie są tacy źli, to może jedynie dlatego, że cierpią, ale długi jest czas, który dzieli moment, kiedy przestali cierpieć, od chwili, gdy stają się trochę lepsi. Powodzenie materjalne i miłosne pani Herote nie miało jeszcze czasu złagodzić jej zdobywczych skłonności.

Nie była ona gorsza od większości okolicznych sklepiczarek, ale siliła się dowieść, że jest przeciwnie, wtedy będzie się ją pamiętało. Jej sklepik nie był tylko domem schadzek, był to jeszcze rodzaj tajemnego wejścia w świat bogactwa i zbytku, dokąd nigdy dotychczas, mimo całego mego pragnienia, nie dostałem się i skąd zresztą zostałem usunięty szybko i w przykry sposób po tajemnej wycieczce, pierwszej i ostatniej.

Ludzie bogaci w Paryżu mieszkają razem, ich dzielnica, w całości, tworzy wykrawek miejskiego tortu, którego cienki koniec dotyka Luwru, a zaokrąglone obrzeże zatrzymuje się w drzewach między Pont d'Auteuil

a porte des Ternes. Tak. To jest ładny kawałek miasta. Reszta to tylko znój i gnój.

Gdy się idzie po stronie bogaczy, z początku nie widać się wielkiej różnicy z innymi dzielnicami, tyle tylko że ulice są tu trochę czystsze, i to wszystko. Żeby zrobić wycieczkę w samo wnętrze tych ludzi, tych rzeczy, trzeba polegać na trafie lub zażyłości.

Przez sklepik pani Herote można było przeniknąć trochę głębiej w to miejsce zażerwowane dzięki Argentyncom, którzy przychodzili z dzielnicy uprzywilejowanej zaopatrzyć się u niej w kalesony i koszule a zarazem przekomarzać się z doborem ładnych dziewczynek, ambitnych, ze sfery teatralno-muzycznej, dobrze zbudowanych, które pani Herote zwabiła celowo.

Na jedną z nich, ja który mogłem ofiarować tylko swoją młodość, bardzo polecałem. Nazywano ją w tym środowisku Mizynką.

W pasażu Berezyny wszyscy się znali po sklepach, jak w prawdziwej zapadłej dziurze prowincjonalnej, od lat wlepionej klinem między dwie ulice Paryża, to znaczy że śledzono się i oczerniano po ludzku, ponad wszelkie wyobrażenie.

W zakresie spraw materialnych, przed wojną, rozprawiano tutaj, między handlującymi, o życiu kury dziobiącej poślad, życiu rozpaczliwie oszczędnem. Jedną z bolączek tych sklepikarzy było chroniczne zmartwienie, że półmrok, jaki tu panował, zmuszał ich do zapalania gazu od czwartej popołudniu, z racji wystaw sklepowych. Ale w ten sposób ułatwiano sobie, w zaciszu, stworzenie warunków sprzyjających delikatnym propozycjom.

Wiele sklepów mimo to chyliło się do upadku z po-

wodu wojny, gdy tymczasem sklep pani Herote, dzięki młodym Argentyncom, oficerom przy gotówce i radom przyjaciela taksatora tak się rozwijał, że wszyscy dokoła tłumaczyli ten rozmach, można sobie wyobrazić, w jak paskudnych słowach.

Zanotujmy naprzykład, że w tym samym czasie słynny cukiernik z pod Nr. 112 stracił raptem swe piękne klientki wskutek mobilizacji. Stale tu bywające na podwieczorku damy w długich rękawiczkach, zmuszone wskutek rekwizycji koni iść piechotą, nie pokazały się więcej. Nie miały już nigdy powrócić. Co do Sambaneta, introligatora oprawiającego nuty, nagle uległ zachciance, jaką miał zawsze, z sodomizowania jakiegoś żołnierza. Taki śmiały wyczyn pewnego niefortunnego wieczoru zaszkodził mu fatalnie w oczach niektórych patryjotów, którzy z miejsca oskarżyli go o szpiegostwo. Musiał zamknąć budę.

Przeciwnie, panna Hermancja z pod nr. 26, której specjalnością dotychczas był pewien artykuł gumowy, do którego można się przyznawać lub nie, dawałaby sobie bardzo dobrze radę, dzięki okolicznościom, gdyby właśnie nie miała potwornych trudności przy zaopatrywaniu się w prezerwatywy, otrzymywane z Niemiec.

Słowem, jedyna pani Herote, na progu nowej epoki cienkiej a demokratycznej bielizny, weszła łatwo na grunt dobrobytu.

Sklepy posyłały sobie wzajem mnóstwo listów anonimowych, i to pieprznych. Pani Herote wołała, żeby mieć rozrywkę, pisywać anonimy do wysoko postawionych osobistości; w tem przejawiała nawet wielką ambicję, stanowiącą właściwe podłoże jej temperamentu.

Do prezesa Rady Ministrów na przykład posyłała je poto tylko, żeby go zapewnić, że nosi rogi, a do marszałka Pétaina po angielsku, przy pomocy słownika, żeby go doprowadzić do pasji. Anonim do niej?... Jak po gęsi woda! Pani Herote otrzymywała codziennie porcję tych listów nie podpisanych i nie pachnących, zapewniam was. Zamyślała się nad nimi, oszołomiona przez mniej więcej dziesięć minut, ale natychmiast przywracała sobie równowagę, bylejak, byleczem, ale zawsze i solidnie, gdyż w jej życiu wewnętrznym nie było żadnego miejsca na zwątpienie, a jeszcze mniej na prawdę.

Wśród jej klientek i protegowanych było dużo drobnych artystek, co przychodziły, mając więcej długów niż sukien. Wszystkim im pani Herote służyła radą i były zadowolone. Między innymi Mizyna, która po dług mnie była najmilsza ze wszystkich. Istny aniołek muzyczny, czarująca skrzypaczka, aniołek kuty zresztą na cztery nogi, przekonałem się o tem. Nieubłagana w swej żądzy kariery na ziemi a nie w niebie, występowała, gdy ją poznałem, w jednoaktówce, prześlicznej, bardzo paryskiej i zupełnie zapomnianej, w Variétés.

Pojawiała się ze swemi skrzypcami w czemś w rodzaju improwizowanego prologu, wierszowanego, melodycznego. Rodzaj cudny i skomplikowany.

Naładowany uczuciem do niej, nie mogłem usiedzieć na miejscu i pędziłem ze szpitala do wyjścia z jej teatru. Zresztą prawie nigdy nie czekałem na nią sam. Wojskowi lądowi porywali ją co siłą, lotnicy również i jeszcze o wiele łatwiej, ale prym w uwodzicielstwie trzymali bezspornie Argentyńczycy. Ich handel mrozonym mięsem, dzięki wzmożeniu się nowych zamówień,

wień, przybierał rozmiary jakiejś siły żywiołowej. Mizynka dobrze wyzyskała te czasy merkantylne. Dobrze zrobiła, Argentyńczyków już niema.

Nie mogłem pojąć. Wszyscy i wszystko wystawiało mnie do wiatru, kobiety, pieniądze i myśli. Zdradzony i niezadowolony. W obecnych czasach zdarza mi się jeszcze spotykać Mizynę przypadkowo, co dwa lata lub prawie, tak jak większość istot, które się bardzo dobrze znało. Tego przeciągu czasu, dwóch lat, nam potrzeba, żeby zdać sobie sprawę, od jednego rzutu oka, wówczas niezawodnego jak instynkt, z brzydoty, jaka obarczyła jakąś twarz, nawet w jej najlepszych czasach.

Przez chwilę człowiek patrzy na nią jakby z wahaniem, a wreszcie przyjmuje tę twarz taką jaka się stała, z tą rosnącą haniebną dysharmonją całej postaci. Niema co, trzeba się zgodzić na tę staranną i powolną karykaturę, rytą przez dwa lata. Akceptować czas, ten obraz nas samych. Można wtedy powiedzieć, że się poznało tę drugą osobę z wszelką pewnością (jak banknot zagraniczny, który na pierwszy rzut oka wahamy się przyjąć), że nie zblądziłyśmy, że szliśmy dobrą drogą, bez zmawiania się, drogą niezawodną przez dwa dalsze lata, drogą gnicia. I basta.

Mizyna, gdy mnie tak spotykała przypadkowo, do tego stopnia przerażałem ją swoją wielką głową, jakby chciała uciec ode mnie koniecznie, uniknąć spotkania, odwrócić się, byle co... Śmierdziałem jej, to było jasne, całą przeszłością, ale mnie, który znam jej wiek od zbyt wielu lat, choćby nie wiem co robiła, absolutnie już nie może uniknąć. Stoi tu zmieszana, przed moim istnieniem, jak przed potworem. Ona, taka delikatna, uważa za właściwe zadawać mi pytania klempek głupko-

wate, jakie zadawałaby służąca, przyłapana na gorącym uczynku. Kobiety mają naturę służby domowej. Ale może ona raczej imaginuje sobie tylko tę odrazę niż ją czuje; to jest gatunek pociechy, jaki mi pozostaje. Może ja tylko sugeruję jej, że jestem plugawy. Może jestem artystą w tym rodzaju. Ostatecznie, dlaczego w brzydocie nie miało być tyleż możliwości sztuki co w pięknie? To jest pewien rodzaj do kulturowania i kwita.

Przez długi czas sądziłem, że Mizynka jest głupia, ale to była tylko opinia odstawionego pyszałka. Przed wojną, trzeba wiedzieć, wszyscy byli jeszcze bardziej ciemni i bardziej próżni niż dzisiaj. Nie wiadano prawie nic ze spraw świata wogóle, słowem nieświadomi... Typki w moim rodzaju jeszcze łatwiej niż dzisiaj brały jedno za drugie. Myślałem, że zakochanie się w Mizynie, takiej uroczej, obdarzy mnie wszechmocą, a naprzód i nadewszystko odwagą, której mi brakowało, to wszystko dlatego, że ona była taka ładna i taka muzykalna, ta moja dziewczynka! Miłość jest jak alkohol, im bardziej człowiek jest bezsilny i pijany, tem bardziej ma siebie za silnego i sprytnego, i pewnego swych praw.

Pani Herote, kuzynka wielu poległych bohaterów, wychodziła ze swego impasu tylko w grubej żałobie; przytem szła na miasto rzadko, bo jej przyjaciel taksator był dość zazdrosny. Zbieraliśmy się za sklepem, w stołowym pokoju, który, gdy przyszedł dobrobyt, nabrał zupełnie wyglądu saloniku. Przychodziło się tam pogadać, rozerwać się, grzecznie, przyzwoicie pod lampą gazową. Mizynka przy pianinie zachwycała nas klasykami, wyłącznie klasykami, z racji konwenansów

tych bolesnych czasów. Siedzieliśmy tam całe popołudnie, łokieć przy łokciu z taksatorem wśródku, zwierając się sobie nawzajem z sekretów, obaw, nadziei.

Służąca pani Herote, świeżo przyjęta, bardzo chciała wiedzieć, kiedy jedni namyślą się wreszcie ożenić z drugimi. W jej wsi nie pojmowano, co to jest wolny związek. Wszyscy ci Argentyńczycy, ci oficerowie, ci wężący klienci budzili w niej niepokój prawie zwierzęcy.

Mizyna była coraz częściej zagarniana przez klientów południowo-amerykańskich. W ten sposób poznałem gruntownie wszystkie kuchnie i służbę tych panów, przez częste wyczekiwanie na moją ukochaną w kredensie. Lokaje tych panów brali mnie zresztą za alfonsa. I wreszcie wszyscy wzięli mnie za alfonsa, nie wyłączając samej Mizyny, jednocześnie, myślę, i wszyscy stali klienci pani Herote. Nie mogłem na to nic poradzić. Zresztą prędzej czy później to musi się stać, że człowieka sklasyfikują.

Otrzymałem od władz wojskowych nowy urlop zdrowotny, dwumiesięczny i mówiono nawet o zwolnieniu mnie ze służby. Postanowiliśmy z Mizyną zamieszkać razem w Billancourt. W rzeczywistości był to z jej strony wykręt, żeby mnie puścić kantem, gdyż ona skorzystała z tego, że mieszkaliśmy daleko, żeby coraz rzadziej wracać do domu. Wciąż znajdowała nowe preteksty, by zostać w Paryżu.

Noce w Billancourt były spokojne, ożywione tylko czasem przez te dziecinne alarmy samolotów i zeppelinów, dzięki którym mieszczuchy mieli okazję doznawania dreszczów usprawiedliwionych. Czekając na swoją kochankę, szedłem na spacer z nadejściem nocy

aż do mostu Grenelle, tam gdzie mrok wznosi się z rzeki aż do pomostu metra, z szeregiem świeczników — latarń wyciągniętego w zupełnych ciemnościach i ze swym ogromem żelaza, który za chwilę runie grzmotem w połać wielkich domów na nabrzeżu Passy.

Są pewne takie kąty po miastach, tak głupio brzydkie, że człowiek prawie zawsze jest tam sam jeden.

Mizyna wreszcie wracała do naszego niby domu już tylko raz na tydzień. Coraz częściej akompanjowała śpiewaczkom u Argentyńczyków. Mogła była grać i zabierać na życie w kinach, gdzie byłoby mi daleko łatwiej chodzić po nią, ale Argentyńczycy byli weseli i dobrze płacili, a kina były smutne i płaciły mało. Przez całe życie takie pierwszeństwa.

Nadmiar nieszczęścia powstał „Teatr na froncie”. Mizyna natychmiast wyrobiła sobie moc stosunków wojskowych w ministerstwie i coraz częściej wyjeżdżała teraz na front, zabawiać naszych żołnierzyków, i takie występy trwały całymi tygodniami. Przy armji odstawiła sonatę i adagio wobec parteru z oficerami sztabowymi, dobrze uplasowanymi żeby widzieć jej nogi. Żołnierze, stłoczeni na stopniach poza dowództwem, rozkoszowali się tylko melodyjnymi echami. Z konieczności spędzała potem noce bardzo skomplikowane w hotelach, leżących w pasie działań wojennych. Pewnego dnia wróciła do mnie z armji rozpromieniona, z dyplomem bohaterstwa, podpisanym przez jednego z naszych wielkich generałów, jeśli łaska. Ten dyplom był punktem wyjścia jej ostatecznej kariery.

W kolonji argentyńskiej potrafiła z miejsca zdobyć niesłychaną popularność. Wydawano dla niej przyjęcia. Przepadano za moją Mizyną, skrzypaczką wojen-

ną, taką śliczną! Taka świeża, z takimi puklami, w dodatku bohaterka. Ci Argentyńczycy mieli wdzięczność brzucha, żywili dla naszych wielkich wodzów podziw niebylejaki, i kiedy wróciła do nich moja Mizyna, ze swym autentycznym dokumentem, ze swą ładną buzią, ze zwinnymi i sławnymi paluszkami, zaczęli ją kochać na wyścigi, licytować się, że tak powiem. Poezja bohaterska zdobywa bez oporu tych, co nie idą na wojnę, a bardziej jeszcze tych, którzy są na drodze do zrobienia na wojnie ogromnego majątku. To jest reguła.

Ach! figlarny heroizm, to można omdleć z zachwytu, powiadam wam! Amatorzy z Rio ofiarowywali swe nazwiska i akcje ślicznotce, co tak ładnie nadawała cechy kobiece, na ich użytek, męstwu francuskiemu i bojowemu. Mizyna potrafiła sobie stworzyć, trzeba to przyznać, bardzo wdzięczny repertuar wydarzeń wojennych i z którym, niby w jakimś zuchowatym kapeluszu, było jej ogromnie do twarzy. Mnie samego zdumiewała nieraz swym taktem i muszę wyznać przed sobą, że gdy jej słuchałem, byłem w dziedzinie bujdy ordynarnym symulantem wobec niej. Posiadała ona dar umieszczania znalezionych tematów w pewnej dramatycznej dali, gdzie wszystko stawało się i pozostawało cenne i przejmujące. My, kombataneci, byliśmy stale w dziedzinie brecht, zdawałem sobie raptem sprawę, ordynarnie doraźni i dokładni. Trzeba wierzyć Claude Lorrain'owi, pierwszy plan obrazu jest zawsze odpychający, i sztuka wymaga, żeby to co najciekawsze w dziele umieszczać w oddalonych, w nieuchwytnym, tam gdzie chroni się kłamstwo, to marzenie złapane na gorącym uczynku i jedyna rzecz przez ludzi umiłow-

na. Kobieta, która umie liczyć się z naszą nędzną naturą, z łatwością staje się naszą ukochaną, naszą niezbędną i najwyższą nadzieją. Oczekujemy od niej, żeby nam zachowała naszą kłamliwą rację bytu, ale przytem oczekiwaniu może ona, wykonywując tę magiczną czynność, doskonale zarabiać na życie. Mizyna potrafiła to, instynktowo.

Jej argentyńscy mieszkańcy w stronie dzielnicy Ternes, a zwłaszcza przy Lasku, w pałacykach, zacisznych, rześmiste oświetlonych, gdzie o tej zimowej porze panowało tak miłe ciepło, że wchodząc tam z ulicy, człowiek raptem nastrojał się optymistycznie, mimowoli.

W swej dygocącej rozpacz, by dopełnić miary gaff, zacząłem coraz częściej, mówiłem to już, wyczekiwać na swoją towarzyszkę w kredensie. Sterczałem tak czasem do rana, spać mi się chciało, ale zazdrość nie dała mi usnąć, mimo wszystko, białe wino również, którem służba hojnie mnie częstowała. Argentyńskich panów widywałem bardzo rzadko, słyszałem ich śpiewy i hałaśliwą hiszpańszczyznę i fortepian, nieustający, ale najczęściej grały na nim inne ręce, nie Mizyny. Co ona robiła podczas tego, ta dziwka, ze swemi rękami?

Gdy spotykaliśmy się rano przed bramą, wykrzywiła się, widząc mnie znowu. Wtedy byłem jeszcze naturalny jak zwierzę, nie chciałem wypuścić z rąk mojej samiczki i basta.

Lwią część młodości traci się przez swe niezręczności. Było jasne, że moja ukochana rzuci mnie zupełnie i to wkrótce. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że są dwie ludzkości bardzo różne, ludzkość bogatych i ludzkość biednych. Potrzeba mi było, jak tyłu innym, dwudzie-

stu lat życia i wojny, żeby się nauczyć trzymania się swej kategorii, pytania się o cenę rzeczy i osób, zanim się ich tknie a zwłaszcza zanim będzie na nich zależało.

Grzejąc się więc w kredensie z mymi towarzyszami służącymi, nie rozumiałem, że ponad moją głowę tańczyli bogowie argentyńscy, mogliby być również niemieccy, francuscy, chińscy, to nie miało zgoła znaczenia, lecz Bogowie, bogacze, ot co należało zrozumieć. Oni na górze z Mizyną, ja na dole, z niczem. Mizyna myślała poważnie o swej przyszłości; wołała ją też robić z jakimś Bogiem. I ja, z pewnością myślałem o swej przyszłości, ale w jakiejś malignie, ponieważ cały czas, cichaczem, miałem lęk, że będę zabity na wojnie i bałem się też, że zdechnę z głodu podczas pokoju. Byłem skazany na śmierć z zawieszeniem wyroku i zakochany. To nie był tylko koszmar. Niezbyt daleko od nas, mniej niż o sto kilometrów, miliony ludzi, odważnych, dobrze uzbrojonych, wyszkolonych czekały na mnie, żeby się ze mną rozprawić, a Francuzi też czekali na mnie, żeby skończyć z moją skórą, jeślibym nie chciał dać ją podrzeć w krwawe strzępy przez tamtych z przeciwnika.

Dla biednego istnieją na tym świecie dwa wielkie rodzaje zdychania, albo przez absolutną obojętność bliźnich w czasie pokoju, albo przez morderczą ich żądzę, gdy nadejdzie wojna. Jeżeli zaczną o was myśleć, natychmiast myślą o waszej katuszy, i tylko o tem.

Tylko gdy się broczy krwią, interesuje się ich, drani! Princharde co do tego miał zupełną słuszność. Wobec grożącej rzezi, nie docieka się już zbyt wiele o przyszłości, myśli się tylko o tem, żeby kochać przez te dni, co wam pozostały, skoro to jest jedyny sposób by za-

pomnieć trochę o swem ciele, które niebawem obedną wam ze skóry od góry do dołu.

Ze Mizyna uciekała ode mnie, brałem siebie za idealistę, tak nazywamy nasze małe instynkty, ubrane w wielkie słowa. Zbliżał się koniec mego urlopu. Dzienniki biły na alarm o wysłanie na front wszystkich możliwych kombatantów i, rozumie się, przede wszystkim tych, którzy nie mieli stosunków. Było oficjalnie ogłoszone, że nie należało już myśleć o niczem innym, tylko o wygraniu wojny.

Mizyna również mocno pragnęła, jak Lola, żebym w mig powrócił na front i tam pozostał, a że wyglądałem, jakby mi tam nie było pilno, postanowiła sprawę przyspieszyć, choć to nie było w jej stylu.

Pewnego wieczoru, gdy wyjątkowo wracaliśmy razem, oto pędzą przez Billancourt strażacy-trębacze, i wszyscy mieszkańcy naszego domu co tchu rzucają się do piwnic, na cześć jakiegoś zeppelinu.

Te drobne paniki, podczas których cała dzielnica, w piżamach, niosąc przed sobą świecę, znikła gładząc w głębokościach, by uniknąć niebezpieczeństwa, prawie całkowicie urojonego, dawały miarę dręczącej błahości tych ludzi, to wystraszonych kur, to baranów, zarozumiałych a ustępliwych. Podobne potworne objawy nieśmiałości charakteru zdolne są zmierzić nazawsze najcierpliwszego, najwytrwalszego socjofila.

Zaraz przy pierwszym alarmowym sygnale trąbki Mizyna zapomniała, że dopiero co odkryto w niej heroizm w Teatrze Frontowym. Nalegała, żebym rzucił się z nią w podziemia, do metra, do kanału, byle gdzie, lecz w schron i w największą głębokość, i to zaraz! Gdy tak widział ich wszystkich, lokatorów, jak spu-

szczają się, dorośli i mali, płosi czy dostojni, po cztery schody, ku zbawczej dziurze, nawet mnie uzbroiło to w obojętność. Tchórz czy odważny — to właściwie nic nie mówi. Zajac tu, bohater tam, jest to ten sam człowiek, tak samo nie myśli tu jak i tam. Wszystko co nie jest robieniem grosza, stanowczo przewyższa jego zdolność pojmovania, nieskończenie. Wszystko co jest życiem lub śmiercią, wymyka mu się. Nawet na własną śmierć spekuluje źle i opacznie. Nie rozumie nic poza pieniądzem i teatrem.

Mizyna beczała wobec mego oporu. Inni lokatorzy naglili, żebyśmy szli z nimi razem, ostatecznie dałem się przekonać. Co do wyboru piwnicy, wysunięto szereg różnych propozycji. Piwnica rzeźnika wreszcie zdobyła najwięcej zwolenników, twierdzono, że jest położona głębiej niż jakakolwiek inna w tym domu. Już od progu buchał odór cierpki i mnie dobrze znany, który stał mi się zaraz absolutnie nie do zniesienia.

— Ty zejdziesz, Mizyno, tam, między mięso wiszące na hakach? zapytałem jej.

— Dlaczego by nie? odparła, bardzo zdziwiona.

— No bo ja, rzekłem, mam pewne wspomnienia i wolę wrócić na górę...

— Więc odchodzisz?

— Przyjdiesz po mnie, jak tylko to się skończy!

— Ależ to może trwać długo...

— Wolę czekać na górze, powiedziałem. Nie lubię mięsa, a to się skończy prędko.

Podczas alarmu, zabezpieczeni w swych norach lokatorzy dowcipkowali. Niektóre damy, w peniuarach, te co przyszły ostatnie, spieszyły z elegancją i umiarem

ku temu wonnemu sklepieniu, gdzie rzeźnik i rzeźniczka czynili honory domu, przepraszając za sztuczny chłód, niezbędny do dobrej konserwacji towaru.

Mizyna zniknęła razem z innymi. Czekałem na nią u nas, na górze, całą noc, cały dzień, rok... Nigdy nie wróciła po mnie.

Co do mnie, stałem się od tego czasu coraz bardziej niezadowolony ze wszystkiego i miałem już tylko dwie myśli w głowie: ocalić swoją skórę i pojechać do Ameryki. Ale wymknąć się wojnie stanowiło już samo przez się punkt wyjścia, który mnie trzymał bez tchu przez szereg miesięcy.

„Armat! ludzi! amunicji!“ żądali zda się nigdy niezmordowani patryjoci. Wyglądało na to, że nie można już było zasnąć, dopóki biedna Belgja i niewinna mała Alzacja nie będą wyrwane z pod jarzma germańskiego. To była obsesja, która, zapewniano nas, nie pozwalała najlepszym z nas oddychać, jeść, spółkować. Jednakże nie widać było, żeby to przeszkadzało robić interesy tym co zostali przy życiu.

Należało copędzej wrócić do pułków. Ale mnie przy pierwszym zaraz badaniu lekarskim uznano za nieodpowiadającego jeszcze przeciętnym wymaganiom tak dalece, że nadawałem się tylko do skierowania mnie do innego szpitala, tym razem dla chorych na kości i dla nerwowych. Pewnego ranka wyszliśmy z zakładu w sześciu, trzech artylerzystów i trzech dragonów, rannych i chorych, na poszukiwanie tego miejsca, gdzie reparowano straconą waleczność, znieczulenie odruchów i połamane ręce. Poszliśmy naprzód, jak wszyscy ranni w owym czasie, dla kontroli, do Val-de-

Grâce¹, brzuchatej cytadeli, o tak szlachetnym wyglądzie, obrośniętej drzewami i którą w korytarzach czuć było zupełnie omnibusem, zapach dziś i z pewnością na zawsze przepadły, pomieszanie woni nóg, słomy i lamp naftowych. Nie zagrzailiśmy miejsca w Val, za ledwie na nas rzucono okiem, zostaliśmy zbesztani jak się patrzy, przez dwóch oficerów zarządzających, osypanych łupieżem i przepracowanych, którzy zagrozili nam sądem wojennym, a inni administratorzy wyrzucili nas znowu na ulicę. Nie mieli nas gdzie podziąć, powiedzieli, wskazując nam jakieś niewyraźne miejsce przeznaczenia: fort, gdzieś w pasie dokoła miasta.

Z szynków do fortów, od absyntu do białej kawy, ruszyliśmy tedy w sześciu na los szczęścia, nie znając właściwego kierunku, w poszukiwaniu tego nowego schroniska, które, jak się zdaje, było wyspecjalizowane w leczeniu niezdolnych bohaterów w naszym guście.

Jeden tylko z nas posiadał szczątek majątku, trzymany w całości, trzeba stwierdzić, w cynkowem pudełku od biszkoptów Pernot, marki słynnej wówczas, o której niema potrzeby się rozwodzić. Tam nasz kolega chował papierosy i szczoteczkę do zębów, nawet z tego pokpiwaliśmy wszyscy, z tej dbałości, niezwyklej w owe czasy, o zęby i nazywaliśmy go, z racji tego osobliwego wyrafinowania, „homoseksualistą“.

Wreszcie, po wielu wahaniach dotarliśmy w połowie nocy do napęczniałych wałów tego fortu w Bicêtre, „43“ jak brzmiał jego tytuł. To był dobry fort.

¹ przerobiony na szpital piękny zabytek architektury w Dzielnicy Łacińskiej, z XVII w., wystawiony według planów słynnego architekta, Mansard'a (twórcy „mansard“). *Przyp. tłum.*

Odnowiono go właśnie na przyjęcie kalek i starców. Ogród nie był nawet jeszcze wykonany.

Gdyśmy przybyli, w wojskowej części jedynym mieszkańcem była dopiero stróżka. Lało jak z cebra. Stróżka zlekła się nas, słysząc nasze głosy, ale zaczęła się śmiać, bośmy jej zaraz wsadzili rękę w dobre miejsce. „Myślałam, że to Niemcy! rzekła. — Oni są daleko! odpowiedziano jej. — Gdzie wy jesteście chorzy? zatroszczyła się. — Wszędzie; ale nie w pytel!“ rzucił jeden z artylerzystów. Trzeba przyznać, że ten miał umysł bystry, i to co powiedział, ponadto, ceniła sobie stróżka. W tym samym forcie przebywali następnie z nami starcy z zakładów dobroczynności publicznej. Pobudowano dla nich pospiesznie nowe pawilony, oszklone na całe kilometry, trzymano ich tam aż do ukończenia działań wojennych, jak owady. Na okolicznych pagórkach rozsypisko kusych działek wydziełało sobie kupy ruchomego błota, źle trzymającego się między serjami niepewnych chatek. Pod ich osłoną wyrasta od czasu do czasu główka sałaty i trzy rzodkiewki, które, nigdy niewiadomo dlaczego zbrzydziwszy je sobie, ślimaki zgadzają się ofiarować właścicielowi.

Nasz szpital był czysty, tylko trzeba spieszyć z oglądaniem takich rzeczy, przez kilka tygodni, z samego początku, bo do utrzymywania czegoś u nas nie mamy żadnego pociągu, jesteśmy nawet pod tym względem szczerze paskudni. Położyliśmy się więc spać, było nie było, na łózkach metalowych i przy świetle księżycy, te lokale były tak świeże, że elektryczność jeszcze tu nie dochodziła.

Po przebudzeniu, nasz nowy lekarz naczelny przyśzedł się zaprezentować, bardzo rad rzekomo, że nas

widzi, z całą serdecznością nazewnątrz. Miał on swoje powody, żeby być szczęśliwym, dostał właśnie awans na cztery galony. Człowiek ten miał ponadto najpiękniejsze w świecie oczy, aksamitne i nadprzyrodzone, posługiwał się nimi obficie, budząc niepokój w czterech przemiłych dobrowolnych pielęgniarkach, otaczających go uprzedzającą grzecznością i mimiką i które nie traciły ani okruszyny ze swego naczelnego lekarza. Od pierwszego kontaktu zdał sobie sprawę z naszego stanu moralnego, jak nas o tem uprzedził. Bez ceremonji biorąc familjarnie któregoś z nas za ramię, poklepując je po ojcowsku, pokrzepiającym głosem kreślił nam reguły i najkrótszą drogę, żeby dziarsko i jaknajprędzej, odzyskawszy siły, iść znowu skrócić kark.

Skądkolwiekby pochodzili, stanowczo tylko o tem myśleli. Można by pomyśleć, że im to dobrze robiło. To była nowa czelność. „Francja, moi drodzy, zaufała wam, to jest kobieta, najpiękniejsza z kobiet, Francja! zain-tonował. Francja liczy na wasze bohaterstwo! Ofiara najpodlejszej, najohydniejszej napaści, Francja ma prawo domagać się od swych synów gruntownego jej pomśzczenia! Być przywróconą w integralności swego terytorjum, nawet za cenę najwyższego poświęcenia, Francja! My tu wszyscy spełniamy swój obowiązek, spełnijcie i wy moi drodzy, swój! Nasza wiedza do was należy! Ona jest wasza! Wszystkie jej zasoby są na usługach waszego wyzdrowienia! Pomóżcie i wy nam z kolei w miarę waszej dobrej woli! Wiem, żeśmy posiadli waszą dobrą wolę! I obyście niebawem mogli zająć z powrotem swoje miejsce obok waszych drogich towarzyszków okopu! Wasze miejsce święte! Dla obrony

naszej drogiej ziemi. Niech żyje Francja! Naprzód!“
Umiał przemawiać do żołnierzy.

Każdy z nas stał w nogach łóżka, w postawie na baczność, słuchając. Za nim jedna brunetka z grupy jego ładnych pielęgniarek, z trudem panowała nad wzruszeniem, które ją dławilo i uwidoczniło się kilkoma łzami. Inne pielęgniarki, jej towarzyszki, zakrzętały się zaraz: „Kochanie! Kochanie! Zapewniam cię... On wróci, no, wróci!“

Najlepiej ją pocieszała jedna z jej kuzynek, blondynka trochę gruba. Przechodząc obok nas, podtrzymując ją w ramionach, grubaska zwierzyła mi się, że piękna kuzynka tak opadła z sił z powodu świeżego wyjazdu narzeczonego, zmobilizowanego w marynarce. Płomienny mistrz, zbity z tropu, starał się przytłumić piękne i tragiczne wzruszenie, spowodowane jego krótkim a porywającym przemówieniem. Był bardzo wobec niej zmieszany i strapiiony. Obudził zbyt bolesny niepokój w sercu, należącym do elity serc, wyraźnie patetycznym, we wcielonej wrażliwości i tkliwości. „Gdybyśmy były wiedziały, mistrzu, szeptała jeszcze kuzynka blondynka, byłybyśmy pana uprzedziły... Oni tak się kochają, pan nie ma pojęcia!...“ Grupa pielęgniarek i sam Mistrz poszli sobie, wciąż gadając i szleszcząc na korytarzu. Nami już się nie zajmowano.

Próbowałem przypomnieć sobie i pojąć sens tej przemowy, którą dopiero co wygłosił człowiek o wspaniałych oczach, ale te słowa nietylko mnie nie zasmuciły, lecz po zastanowieniu wydały mi się nadzwyczaj trafnie dobrane, żeby mi obrzydzić umieranie. Tego samego zdania byli i moi koledzy, ale oni nie widzieli w nich ponadto, jak ja, swego rodzaju wyzwania i zniewagi.

Oni niezbyt starali się zrozumieć, co się dzieje dokoła nas w życiu, oni rozeznawali się tylko w tem, i to z trudem, że zwykle szaleństwo świata spotęgowało się od kilku miesięcy, w takich rozmiarach, że stanowczo nie można już było opierać swej egzystencji na niczem pewnem.

Tutaj, w szpitalu, tak samo jak w mrokach Flandrii, śmierć deptała nam po piętach; tyle że tutaj groziła nam z większej odległości, śmierć, nieodwołalna, jak tam, oczywiście, skoro raz została puszczona na wasze trzęsące się cielsko, staraniem Administracji.

Zapewne, tu nam nie wymyślano, odzywano się nawet do nas łagodnie, rozmawiano z nami cały czas o czem innym niż o śmierci, ale przecież wyrok na nas figurował wyraźnie w kącie każdego papieru, który nam dawano do podpisania, w każdym środku ostrożności, jaki stosowano względem nas: znaczki z numerem... kółka... jaknajkrótsze wychodne... różne rady... Czuło się, że się jest policzonym, strzeżonym, ponumerowanym w wielkiej rezerwie tych co wyruszą jutro. Z konieczności więc całe to otoczenie cywilne i sanitarne, przez porównanie, wyglądało daleko swobodniej niż my. Pielęgniarki, te dziwki, one nie dzieliły naszego przeznaczenia, myślały siłą kontrastu tylko o tem, żeby żyć jeszcze długo, jaknajdłużej i kochać się, to było jasne, zbijać baki i tysiąc, dziesięć tysięcy razy poobłapiać się zdrowo. Każda z tych anielic pragnęła spełnienia w kroczu swego planiku, jak u katorżników ułożonego na później, planiku miłosnego, kiedy my, my już zdechniemy w jakimś błocie i Bóg wie w jaki sposób!

Wówczas będą miały dla nas specjalne westchnienia

Bardzo rano
wspominkowo-czułe, które im jeszcze dodadzą ponęty, będą wywoływały z pamięci we wzruszającej ciszy tragiczne czasy wojny, upiorów... Pamiętacie małego Bardamu, powiedzą o szarej godzinie, myśląc o mnie, tego, z którym było tyle kramu, żeby przestał kasłać?... Ten to miał niski poziom moralny, biedaczysko.. Co się z nim mogło stać?..

Kilka poetycznych słów żalu, wsadzonych odpowiednio, „robi“ do twarzy kobiecie, tak samo jak pewien odcień powiewnych włosów pod światłem księżyca.

Pod osłoną każdego ich słowa i każdej ich troski o nas należało odtąd rozumieć: „Zdechniesz, miły wójaku... Zdechniesz.. To jest wojna... Każdy ma wyznaczone swoje życie... swoją rolę... swoją śmierć... Pozornie dzielimy twą niedolę... Ale nie dzieli się śmierci z nikim... Wszystko powinno być dla dusz i ciał zdrowych pewną rozrywką, niczem więcej i niczem mniej, a my jesteśmy solidne młode dziewczyny, piękne, szanowane, zdrowe i dobrze wychowane... Dla nas wszystko staje się, prawem automatycznej biologji, radośnym widowiskiem i obraca się w radość! Tego wymaga nasze zdrowie! I paskudne wybryki strapienia są dla nas niemożliwe... Nam potrzeba podniet, tylko podniet... O was się rychło zapomni, żołnierzyki... Bądźcie grzeczni, zdychajcie coprędzej... I żeby się wojna skończyła i żeby można było wyjść z zamaz za którego z waszych sympatycznych oficerów... Zwłaszcza za bruneta!... Niech żyje Ojczyzna, o której zawsze mówi papa!... Jakże słodka musi być miłość, gdy powraca z wojny!... Nasz mężulek dostanie order!... Będzie odznaczony... Ty możesz czyścić jego ładne buty w pięknym dniu naszego ślubu, jeżeli w owej chwili będziesz

jeszcze żył, żołnierzyku... Czyż nie będziesz wtedy szczęśliwy naszym szczęściem, żołnierzyku?..

Co rano widzieliśmy go znowu i znowu, naczelnego lekarza, ze świtą pielęgniarek. Dowiedzieliśmy się, że to był uczony. Dokoła naszych sal zarezerwowanych dreptali starcy z przytułku obok, w podrygach zbędnych i bezładnych. Szli spluwać swe plotki razem z próchnem z sali do sali, niosąc ze sobą paplaninę złych języków i wykrzywione oszczerstwa.

Zamknięci tutaj w czterech ścianach, w swej nędzy oficjalnej, jakby w głębi zapaskudzonej zagrody, dawni przeciwnicy skubali to całe łajno, jakie gromadzi się dokoła dusz w wyniku długoletniej niewoli. Bezsilne nienawiści, zjełczałe w zaszczanej bezczynności sali ogólnej. Używali resztek swej drżącej już energii jedynie na to, żeby sobie wzajem szkodzić jeszcze trochę i niszczyć się w tem, co im pozostało z przyjemności i z tchu.

Najwyższa przyjemność! W ich wyschłych ciałach nie pozostał już jeden atom, któryby nie był czystą złością.

Jak tylko się rozniosło, że my, żołnierze, będziemy korzystali z względnych wygod fortu razem z tymi starcami, zaczęli nas zgodnie nienawidzić, przyłączając jednocześnie żebrać bezustanku o resztki naszego tytoniu w ogonku pod oknami i o kawałki czerstwego chleba, co upadły pod ławy. Ich pergaminowe twarze wgniatały się w szyby naszego refektarza w porze posiłków. Z kaprawych zmarszczek obok nosa wysuwały się pożądliwe spojrzenia starych szcurów. Jeden z tych kalek, widocznie chytrzejszy i większa szelma od innych, przychodził śpiewać nam dla rozrywki piosenki

z jego czasów, nazywano go ojcem Birouette. Gotów był zrobić wszystko czegoby od niego zażądano, byle tylko mu dać tytoniu, wszystko, z wyjątkiem przejścia obok kostnicy fortu, która zresztą bynajmniej nie próżnowała. Jeden z kawałów polegał na tem, żeby go poprowadzić w tamtą stronę, nibyto na spacer. „Nie chcesz wejść?” pytano go, gdy się było tuż przy bramie. Uciekał wówczas, wymyślając nam, ale tak szybko i daleko, że go, ojca Birouette, conajmniej dwa dni potem nie widziano. Ujrzał, jak przez mgłę, śmierć.

Nasz naczelny lekarz o pięknych oczach, profesor Bestombes kazał zainstalować, żeby nam przywrócić ducha, całą bardzo skomplikowaną aparaturę z maszynami elektrycznymi syjącymi iskry; poddawano nas perjodycznym wyładowaniom prądu, fluidom, które profesor uważał za wzmacniające i które trzeba było przyjmować pod grozą wyrzucenia ze szpitala. Bestombes zdaje się był bardzo bogaty, musiał być bogaty, żeby kupić ten cały kosztowny kram elektryczny. Jego teść, wielki polityk, grubo zarobiwszy na szwindlach przy kupnie terenów przez państwo, pozwalał mu na takie szastanie pieniędzmi.

Należało z tego skorzystać. Ze wszystkim można dojść do ładu. Ze zbrodnią i z karą. Taki jaki był, nie był nam wstrętny. Badał nasz system nerwowy z nadzwyczajną troskliwością i zadawał nam pytania tonem kurtuazyjnej poufałości. Ta dobroduszość, starannie doprowadzona do właściwej miary, była przemiłą rozrywką dla pielęgniarek, dystyngowanych, w ich pracy. Codziennie rano oczekiwały te ślicznotki momentu rozkoszowania się objawami jego wysokiej grzeczności, to był cymes. Krótko mówiąc, wszyscy graliśmy razem

w sztuce, gdzie on, Bestombes, objął rolę uczonego, dobrotliwego i głęboko, przyjemnie ludzkiego, cała rzecz była w tem, żeby się umówić.

W tym samym szpitalu zajmowałem wspólny pokój z sierżantem Brandelore, który powtórnie zaciągnął się do wojska na ochotnika; ten Brandelore to był dawny gość szpitali. Włókł swe przedziurawione jelita od szeregu miesięcy, po czterech różnych zakładach.

Podczas tych pobytów nauczył się zdobywać a potem zachowywać czynną sympatję pielęgniarek. Wymiotował, oddawał mocz z krwią i miał kolkę w brzuchu dość często ów Brandelore, trudno mu było też oddychać, ale to nie wystarczyłoby mu do zdobycia sobie całkiem specjalnych względów personelu lekarskiego, który napatrzył się dość i bardziej chorych. Otóż, między dwoma atakami duszności, jeżeli miał przechodzić tamtędy lekarz lub pielęgniarz: „Zwycięstwo! Zwycięstwo! Nasze będzie Zwycięstwo!” krzyczał Brandelore, lub mruczał to częścią lub całością płuc, zależnie od wypadku. W ten sposób, uzgodniony z płomienną literaturą agresywną efektem stosownej inscenizacji, cieszył się najwyższem notowaniem na giełdzie moralnej. Świetnie operował tym kawałem.

Ponieważ Teatr był wszędzie, trzeba było grać i miał rację Brandelore: nic też nie wygląda idjotyczniej i nie irytuje bardziej, to prawda, jak bierny widz, który przypadkiem wszedł na scenę. Gdy się jest tam, nieprawdaż, trzeba wziąć ton, ożywić się, grać, zdecydować się albo się wynieść. Zwłaszcza kobiety domagały się przedstawienia i były one, dziwki, bezlitosne dla zbitych z tropu amatorów. Wojna, bezsprzecznie, działa podniecająco na jajniki, kobiety żądały boha-

terów, i ci co ani trochę nie byli bohaterami, winni byli przedstawić się jako tacy lub przygotować się na najgorszy i najsromotniejszy los.

Po tygodniu pobytu w tym nowym zakładzie, zrozumieliśmy konieczność niezwłocznej zmiany postawy i, dzięki Brandelore'owi (w cywilu akwizytor w branży koronek) ci sami ludzie, zahukani i kryjący się po kątach, opętani haniebnymi wspomnieniami jatek, jakimi byliśmy w chwili przybycia, tutaj zamienili się w zawadjacką bandę zabijaków, zdecydowanych walczyć aż do zwycięstwa i, gwarantuję wam, uzbrojonych w żądę prania wroga i w straszliwe słowa. Istotnie zaczęliśmy używać języka mocnego i tak pieprznego, że te damy czasem aż się rumieniły, jednak nie skarżyły się na to nigdy, ponieważ, ma się rozumieć, żołnierz jest równie dzielny jak bezstroski, i ordynarny częściej niż potrzeba, i że im większy jest ordynus, tem jest większy zuch.

Zpoczątku, choć kopjowaliśmy Brandelore'a jak mogliśmy najlepiej, nasze patryjotyczne pozy nie były jeszcze na wysokości zadania, nie były dość przekonujące. Potrzeba było tygodnia a nawet dwóch tygodni wyteżonych repetycyj, by pochwycić właściwy ton i utrzymać się w nim mocno i pewnie.

Jak tylko nasz lekarz, docent Bestombes, zanotował, ów uczony, wspomniała poprawę naszego stanu moralnego, postanowił dla zachęty zezwolić na kilka odwiedzin, na początek najbliższych krewnych.

Niektórzy żołnierze, bardzo uzdolnieni, tak przynajmniej opowiadano, doznawali, wstępując w bój, pewnego upojenia a nawet ostrej żądz. Skoro tylko próbowałem wyobrazić sobie żądę tego bardzo specjalnego

gatunku, chorowałem conajmniej tydzień. Czułem się tak niezdolny do zabicia kogokolwiek, że stanowczo lepiej było z tego zrezygnować i zaraz zrobić z tem koniec. Nie żeby brak mi było doświadczenia, owszem, zrobiono nawet wszystko, żebym nabrał do kogo gustu, lecz nie miałem daru w tym kierunku. Potrzebne mi byłoby może wolniejsze tempo wtajemniczenia.

Postanowiłem pewnego dnia zwierzyć się profesorowi Bestombes z trudności, jakich doznaję w duszy i w ciele, chcąc być tak dzielny, jakbym tego pragnął, a czego okoliczności, niewątpliwie wzniosłe, wymagają. Obawiałem się trochę, żeby nie zaczął mnie uważać za zuchwalca, za impertynenckiego gadułę... Ale nic podobnego. Przeciwnie! Mistrz oświadczył, że jest bardzo szczęśliwy, iż w napadzie szczerości przychodzę zwierzyć mu się z niepokoju duszy, jaki mnie gnębi.

— Jesteście zdrowsi, Bardamu! — Prostu jesteście zdrowsi, moi drodzy! — Oto, do jakiego doszedł wniosku. — To zwierzenie, z którym do mnie przychodzicie, zupełnie samorzutnie, uważam, Bardamu, za bardzo zachęcającą wskazówkę znamiennej poprawy waszego stanu mentalnego... Vaudesquin zresztą, ten skromny, lecz jakże przenikliwy obserwator omdleń moralnych u żołnierzy Cesarstwa, zreasumował od 1881 r. obserwacje tego rodzaju w rozprawie, dziś klasycznej, choć niesłusznie lekceważonej przez naszych dzisiejszych studentów, gdzie notował, powiadam, z wielką słuszością i precyzją, paroksyzmy, zwane „paroksyzmami wyznań“, oznakę, najpomyślniejszą ze wszystkich u moralnego rekonwalescenta... Nasz wielki Dupré, prawie w sto lat później, zdołał ustalić à propos tego samego symptomu swą nomenklaturę, odtąd słynną,

gdzie identyczny paroksyzm figuruje pod nazwą „paroksyzmu gromadzenia wspomnień“. Paroksyzm, który winien, według tegoż autora, poprzedzać nakrótka, jeżeli kuracja dobrze jest prowadzona, masywny pogrom ideacyj lęku i ostateczne oswobodzenie pola świadomości, fenomenu zresztą wtórnego w trakcie ozdrowienia psychicznego. Dupré daje z drugiej strony w swej terminologii, tak obrazowej, w którą był uposażony, nazwę „biegunki pojęciowego wyzwolenia“ temu paroksyzmowi, któremu towarzyszy u osobnika sensacja euforii bardzo aktywnej, podjęcie nanowo, bardzo wybitne, aktywności stosunków, powrót między innymi, bardzo znamienity, snu, który, można to zaobserwować, raptem przeciąga się do dwóch dób, wreszcie inne stadium: bardzo wybitna suraktywność funkcji płciowych, do tego stopnia, że nierzadko można obserwować u tych samych chorych, przedtem zimnych, istny niedosyt erotyczny“. Stąd ta formuła: „Chory nie wchodzi w wyzdrowienie, on się w nie rzuca!“ Takie jest zakończenie wspaniale opisowe, czy nie? tych tryumfów odzyskiwania, któremu inny z naszych wielkich psychjatrów francuskich ostatniego stulecia, Philibert Margeton, charakteryzował podjęcie nanowo, zaiste tryumfalne, wszystkich czynności normalnych u osobnika rekonwalescenta po chorobie strachu... Co się was tyczy, Bardamu, uważam was i to od chwili obecnej, za rzeczywistego ozdrowieńca... Czy zainteresuje was, Bardamu, skoro doszliśmy do tej zadawalającej konkluzji, wiadomość, że akurat jutro przedkładam Towarzystwu Psychologii Wojskowej rozprawę o podstawowych właściwościach ludzkiego umysłu?... Ta rozprawa ma swą wartość, sądzę.

— Oczywiście, Mistrzu, te zagadnienia pasjonują mnie...

— A więc, wiedząc, krótko mówiąc, Bardamu, że bronię tam takiej tezy: przed wojną człowiek był dla psychjatra osobnikiem nieznanym i zamkniętym, a zasoby jego umysłu były zagadką...

— Takie jest i moje skromne zdanie, Mistrzu...

— Wojna, widzicie, Bardamu, przez swe nieporównane środki, jakie nam daje, by wypróbować systemy nerwowe, działa na podobieństwo potężnego rewelatora ludzkiego Ducha! Na wieki całe mamy nad czym pochylać się w zadumie, nad temi świeżemi rewelacjami patologicznymi, wieki namiętnych badań... Przyznajmy się otwarcie... Dotychczas myśmy tylko podejrzewali bogactwa emocyjne i duchowe człowieka! Ale teraz, dzięki wojnie, to się skończyło!... Zapoznajemy się wskutek włamania się, bez kwestji, bolesnego, ale to dla wiedzy, decydującego i opatrnościowego, z temi bogactwami zbliżka! Z chwilą pierwszych rewelacji, obowiązek psychologa i nowoczesnego moralisty nie budził we mnie, Bestombes'ie, już żadnych wątpliwości! Całkowita reforma naszych koncepcyj psychologicznych wprost narzucała się!

Tę opinię podzielałem i ja, Bardamu.

— Sądzę, istotnie, Mistrzu, że byłoby dobrze...

— O, wy też tak sądzicie, Bardamu, nie potrzebuję wam powtarzać! W człowieku, widzicie, zło i dobro równoważy się, egoizm z jednej strony, altruizm z drugiej... U elity, więcej altruizmu niż egoizmu. Czy nie? Czyż nie tak jest właśnie?

— Tak, Mistrzu, to jest właśnie to...

— A u osobnika z elity jaki może być, pytam was,

Bardamu, najwyższy znany czynnik, który może podnieść jego altruizm i zmusić go, ten altruizm, do manifestowania się bezspornie?

— Patrijotyzm, Mistrzu!

— O, widzicie, nie potrzebuję wam powtarzać! Rozumiecie mnie zupełnie dobrze, Bardamu! Patrijotyzm i jego korolarjum ¹, chwała, poprostu, jego dowód!

— To prawda!

O, nasze żołnierzyki, zwróćcie na to uwagę, i to od pierwszego pójścia w ogień, potrafili się wyzwolić samorzutnie z wszelkich sofizmatów i pojęć ubocznych, a szczególnie z sofizmatów konserwacji. Poszli instynktowo i odrazu złać się z naszą istotną racją bytu, z naszą Ojczyzną. Żeby przystąpić do tej prawdy, inteligencja nie tylko jest zbyt słaba, Bardamu, lecz ona krępuje! To jest prawda serca, Ojczyzna, jak wszystkie prawdy istotne, lud się w tem nie myli! Tam właśnie, gdzie lichy uczony błądzi...

— To jest piękne, Mistrzu! Przeciężne! To jest Antyk!

Uściskał mi obie ręce prawie serdecznie, Bestombes. Głosem, który się stał ojcowskim, zechciał jeszcze dodać, z pożytkiem dla mnie: „„Tak oto pojmuję leczenie mych pacjentów, Bardamu, elektrycznością dla ciała i dla ducha, silnymi dawkami etyki patrijotycznej, prawdziwymi zastrzykami moralności odradzającej!

— Rozumiem cię, Mistrzu!

Istotnie rozumiałem coraz lepiej.

¹ Wniosek wysnuty z poprzedzających twierdzeń. — (Przyp. tłum.).

Wprost od niego poszedłem z moimi odrodzonymi kolegami na mszę w odświeżonej kaplicy i ujrzałem Brandelore'a, jak manifestował swego wysokiego ducha za głównymi drzwiami, gdzie właśnie dawał lekcje zapału córeczce stróżki. Poszedłem zaraz do niego, gdyż zapraszał mnie tam.

Popołudniu przybyli z Paryża krewni, po raz pierwszy odkąd tutaj byliśmy, i potem już co tydzień.

Napisałem wreszcie do matki. Była uszczęśliwiona, moja matka, że mnie odnalazła i popłakiwała jak suka, której wreszcie oddali szczeniaka. Myślała też zapewne, że mi bardzo pomoże całując mnie, lecz jednak stała niżej od suki, ponieważ ona wierzyła słowom, które jej mówiono, żeby mnie zabrać. Suka przynajmniej wierzy tylko w to co czuje. Zrobiliśmy z matką duży spacer po ulicach przylegających do szpitala, pewnego popołudnia, włączając się po projektach ulic, które tam są, ulic z niepomalowanymi jeszcze latarniami, między długimi ociekającymi fasadami, o oknach upstrzonych setkami wiszących szmat, koszulami biedoty, słysząc skwierczenie frytury, śwędzącej w południe, w smrodzie podłych tłuszczów. W wielkim rozlazłem opuszczeniu, jakie otacza miasto, tam gdzie kłamstwo jego przepychu zaczyna sączyć ropę i kończy się zgnilizną, miasto pokazuje, temu kto chce to widzieć, swój ogromny zad ze skrzyń na śmieci. Są fabryki, których się unika, spacerując, cuchnące wszelkimi wyziewami, czasem niemal niewiarogodnymi, gdzie powietrze dookoła nie chce już więcej śmierdzić. Opodal pleśnią bałagany zabawy ludowej, między dwoma wysokimi nierównymi kominami, drewniane konie karuzel są za drogą dla tych co ich pragną, nieraz całymi tygodniami.

mi, dla rachitycznych smarkaczy, z palcami w nosie, przyciąganych, odpychanych i zatrzymywanych jednocześnie, przez opuszczenie, biedę i muzykę.

We wszystkim widać wysiłki, żeby oddalić z tych miejsc prawdę, która powraca płakać bezustanku nad wszystkimi; można się wysilać, można pić i do tego czerwone wino, gęste jak atrament, — nie da rady: niebo pozostaje tem czem tam jest, szczelnie zamknięte zgóry, niby wielka kałuża, dla dymów przedmieścia.

Na ziemi, zdołu błoto ciągnie was w znużenie i boki istnienia są też zamknięte, zawarte przez hoteliki i znowu fabryki. Mury z tej strony to już są trumny. Po odejściu nazawsze Loli, Mizyny również, nie miałem już nikogo. Dlatego to wreszcie napisałem do matki, szło o to, żeby widzieć kogoś. Mając lat dwadzieścia, miałem już tylko przeszłość. Razem z matką obeszlśmy kupę ulic niedzielnych. Opowiadała mi różne drobiazgi o swoim handelku, co mówiono dookoła o wojnie, w mieście, że to smutna rzecz wojna, „straszna“ nawet, ale że przy dużej odwadze ostatecznie wszyscy z niej jakoś wyleziemy, zabici to były dla niej wypadki, jak na wyścigach, tylko się dobrze trzymać, a nie padnie się. Co do niej samej, widziała w wojnie tylko nowe wielkie zmartwienie, którego starała się zbytnio nie poruszać; jakby bała się tego zmartwienia; było napełnione rzeczami okropnymi, niepojętymi dla niej. W gruncie rzeczy wierzyła, że tacy prostaczkowie jak ona są stworzeni poto, żeby cierpieć zawsze i wszędzie, że to ich rola na ziemi i że jeśli teraz sprawy tak źle stały, w znacznej mierze musiało to pochodzić jeszcze i stąd, że prości ludzie popełnili dużo błędów, zebranych razem... Naturalnie, musieli narobić

głupstw bezwiednie, ale mimo to byli winni, i to już jest bardzo ładnie, że w ten sposób dają im możliwość okupić cierpieniem popełnione nieprawości... Moja matka była „nietykalna“ w swych przekonaniach.

Ten tragiczny optymizm rezygnacji służył jej za wiarę i tworzył podłoże jej natury.

Szliśmy oboje ulicami na terenach przeznaczonych do parcelacji; chodniki tutaj zapadają się i uginają, małe jesiony posadzone na brzegach długo zachowują krople na gałęziach, zimową porą trzęsą się w wichurze, mizerna dekoracja. Droga do szpitala szła obok wielu nowych hotelików, niektóre miały nazwy, inne nawet się o to nie zatroszczyły. Poprostu, były „tygodniowo“. Wojna opróżniła je brutalnie z ich zawartości, z wyrobników i robotników. Lokatorzy nie powrócą nawet żeby umrzeć. Umierać to też jest praca, ale załatwią ją poza domem.

Matka odprowadzała mnie do szpitala, popłakując, dopuszczała wypadek mojej śmierci, nietylko godziła się z nim, lecz pytała mnie, czy mam w sobie tyleż rezygnacji co ona. Wierzyła w fatalizm równie silnie jak w piękny metr instytutu „Sztuk i Rzemiosł“, o którym zawsze mówiła mi z respektem, ponieważ w młodości dowiedziała się, że ten metr, którym się posługiwała w swym handlu norymberszczyzną, był skrupulatną kopją tego wspaniałego urzędowego modelu.

Między działkami tej podupadłej wsi istniało jeszcze kilka pól i ogrodów, tu i owdzie, a nawet zahaczonych o te resztki kilku starych chłopów, wtłoczonych między nowe domy. Gdy pozostawało nam jeszcze trochę czasu przed wieczornym powrotem, chodziliśmy z matką popatrzeć na nich, na tych zabawnych chłopów, zacie-

kle grzebiących żelazem w tej rzeczy miękkiej i ziarnistej, jaką jest ziemia, gdzie kładzie się na zgniecie zmarłych i skąd bierze się, mimo wszystko, chleb. „To musi być bardzo twarde, ziemia!“ zaznaczała moja matka, w niepewności, ilekroć im się przyglądała. W dziedzinie bied znała ona tylko te, które były podobne do jej biedy, biedy miejskie, usiłowała sobie wyobrazić, czem mogą być wiejskie. To był jedyny objaw ciekawości, jaki kiedykolwiek widziałem u mej matki, i to jej wystarczało jako rozrywka na niedzielę. Z tem powracała do miasta.

Nie otrzymywałem już żadnych wiadomości ani od Loli, ani od Mizyny. Najwyraźniej dziwki trzymały się dobrej strony sytuacji, gdzie panował uśmiechnięty ale nieubłagany nakaz wyłączenia nas, cielsk przeznaczonych na ofiarę. Tak oto dwukrotnie już odprowadzano mnie na miejsca, gdzie trzyma się w ogrodzeniu zakładników. Tylko kwestja czasu i czekania. Gra była przesądzona.

Brandelore, mój sąsiad w szpitalu, sierżant, mówiłem to już, cieszył się stałą popularnością wśród pielęgniarzek, był pokryty bandażami i ociekał optymizmem. Wszyscy w szpitalu zazdrościli mu i kopjowali jego zachowanie się. Kiedyśmy się stali możliwi do pokazania i moralnie zgoła nie obmierzli, my z kolei wzięliśmy się do przyjmowania odwiedzin osób, dobrze widzianych w świecie i wysoko postawionych w administracji paryskiej. Powtarzano sobie w salonach, że ośrodek neuro-lekarski profesora Bestombes'a stawał się prawdziwą centralą wyteżonego ferworu patryjotycznego, jego ogniskiem, że tak powiem. Mieliśmy teraz w nasze dni przyjęć nie tylko biskupów lecz nawet włoską księżną, wielkiego dostawcę wojskowego, a niebawem samą Operę i stowarzyszonych Komedji Francuskiej. Przychodzono podziwiać nas na miejscu. Pewna piękna subwencjonowana członkini Komedji, która recytowała wiersze jak nikt, powróciła nawet do mego wezglowia by mi wydeklamować szczególnie bohaterkie. Jej rude i perwersyjne włosy (skóra pasowała do nich) przeprzebiegały podczas tego zdumiewające fale, trafiające mnie swem drganiem prosto w podbrzusze. Ponieważ ta boska istota dopytywała się o moje czyny wojenne, dawałem jej tyle szczegółów, i tak rozognionych, tak przejmujących, że odtąd oczu już ze mnie nie spuszczała. Trwale wzruszona, poprosiła o pozwolenie odbicia w wierszach, przez poetę, z pośród jej wielbicieli, najbardziej emocjonalnych ustępów z mych

opowieści. Zgodziłem się odrazu. Profesor Bestombes, powiadomiony o tym projekcie, przyjął go nadzwyczaj przychylnie. Udzielił nawet przy tej okazji wywiadu, i to tegoż dnia, wysłannikom wielkiego tygodnika „Illustré National“, który nas sfotografował wszystkich razem na ganku szpitala, obok pięknej aktorki. „Jest najszczytniejszym obowiązkiem poetów, w godzinny tragiczne, jakie przeżywamy, oznajmił profesor Bestombes, który nie przepuszczał żadnej z nich, przywrócić nam zamiłowanie do Epopei! Teraz nie pora już na małostkowe kombinacyjki! Huzia na wyschłą literaturę! Nowa dusza nam rozkwita w gromkim i szlachetnym huku batalij! Poryw wielkiej odnowy patriotycznej tego odtąd wymaga! Wyniosłe szczyty, przyrzeczone naszej Chwale!... Żądamy majestatycznego tchnienia poematu epickiego!... Co do mnie, uznaję za podziwu godne, że w szpitalu, którym zarządzam, utworzyła się w naszych oczach, w sposób niezapomniany, jedna z tych twórczych kollaboracyj między Poetą a jednym z naszych bohaterów!“

Brandelore, mój współlokator, którego wyobraźnia nie dotrzymała kroku mojej w danym wypadku i który też nie figurował na fotosie, wpadł z tego powodu w ostrą i uporczywą zazdrość. Zaczął odtąd w dziki sposób walczyć ze mną o palmę bohaterstwa. Wymyślał nowe brechty, przechodził samego siebie, nie sposób było go powstrzymać, jego wyczyny heroiczne graniczyły z szaleństwem.

Trudno mi było wziąć nad nim górę, dodać jeszcze coś do takich krańcowych beczelności, a tu personel szpitala nie rezygnował, wyczekiwał, kto z nas, porwany współzawodnictwem, wymyśli na wyścigi nowe

„piękne stronicie bojowe“, gdzieby figurował wzniosłe. Przeżywaliśmy wielki romans rycerski, w skórze fantastycznych osobistości, na których dnie, śmiech do gęby, dygotaliśmy całą zawartością naszych cielsk i naszych dusz. Pieniliby się z wściekłości, gdyby nas złapali na tem, jak było naprawdę. Wojna była dojrzała.

Naszemu wielkiemu Bestombes'owi składało jeszcze wizyty wielu wybitnych cudzoziemców, panowie naukowcy, neutralni, sceptycy i ciekawscy. Generalni inspektorzy Ministerstwa przechodzili, przy szablach i wymuskani, przez nasze sale, ich życie wojskowe było przedłużone, odmłodnieli, znaczy się, i napeczętnieli nowymi dodatkami do poborów. Toteż inspektorzy nie skąpili wyróżnień i pochwał. Wszystko szło jak po maśle. Bestombes i jego wspaniali ranni stali się chlubą służby Zdrowia.

Moja piękna protektorka z „Francuskiego“¹, przyszła raz jeszcze złożyć mi wizytę prywatną, podczas gdy jej domowy poeta kończył rymowany opis mych bohaterskich czynów. Tego młodego człowieka spotkałem wreszcie, bladego, bojaźliwego, gdzieś na zakręcie korytarza. Wątlność włókien jego serca, zwierzył mi się, nawet zdaniem lekarzy zakrawała na cud. Toteż ci lekarze, w trosce o wątłe istoty, trzymali go zdaleka od wojska. Tytułem kompensaty, ten mały bard, z narażeniem nawet swego zdrowia i z udziałem wszystkich swych najwyższych sił duchowych, podjął się ukuć dla nas „Spiż Moralny naszego Zwycięstwa“. Piękne

¹ Popularny skrót, zamiast „Teatru Francuskiego“ (Théâtre Français) inaczej „Komedia Francuska“ (Comédie Française). oficjalnie pierwsza scena Francji — twierdza patosu w grze aktorskiej. — *Przyp. tłum.*

zatem narzędzie, w rymach niezapomnianych, ma się rozumieć, jak wszystko w tym utworze.

Nie miałem się na co skarżyć, skoro wśród tylu innych niezaprzeczalnie dzielnych, mnie wybrał na swego bohatera! Zresztą, przyznać trzeba, byłem obsłużony po królewsku. Doprawdy, to było coś wspaniałego. Ów recital odbył się w samej Komedji Francuskiej, podczas popołudniówki zwanej poetycką. Cały szpital został zaproszony. Gdy na scenie pojawiła się moja ruda, drżąca ze wzruszenia recytatorka, z gestem wspaniałym, z talją długą, uwydatnioną plastycznie w narzeczcie służących rozkoszy fałdach trójbarwnej materji, był to sygnał dla całej sali, powstałej z miejsc, żadnej jednej z tych owacyj, którym niema końca. Byłem, oczywiście, przygotowany, ale moje zdumienie było niemniej rzeczywiste, nie mogłem ukryć swego osłupienia przed sąsiadami, słysząc jak wibruje, jak zachęca tem ta wspaniała przyjaciółka, jęczy nawet, żeby dać lepiej odczuć cały dramat, zawarty w epizodzie, wymyślonym przeze mnie na jej użytek. Jej poeta stanowczo dał mi fory co do daru wynalazczego, jeszcze potwornie rozdmuchał moją wyobraźnię, wspomagany przez swe płomienne rymy, groźne przymiotniki, spadające uroczyście w nasyconą admiracją, kapitalną ciszę. Gdy doszła w uniesieniu do najgorętszego miejsca, zwracając się do loży, gdzieśmy byli ulokowani, Brandelore i ja, artystka, z wyciągniętymi przepyszniemi ramionami, zdawała się oddawać najbardziej bohaterskiemu z nas. Poeta zbożnie ilustrował w owym momencie fantastyczny rys brawury, który sobie przypisałem. Nie pamiętam już dobrze, co tam się działo, ale to nie była dyrdymałka. Całe szczęście, że w zakresie

bohaterstwa niema nic niewiarogodnego. Publiczność odgadła sens tej oferty artystycznej i cała sala obrócona ku nam, rycząc z radości, tupiąc, w uniesieniu żądała ukazania się bohatera.

Brandelore zagarnął cały przód loży i wziął nad nami górę, ponieważ mógł nas prawie całkowicie zasłonić swemi bandażami. Robił to, drań, umyślnie.

Ale dwóch naszych kolegów wlaźło na krzesła za nim, i ci dali się mimo wszystko podziwiać tłumowi, zpoza głowy i bark Brandelore'a. Oklaskiwano ich na potęgę.

„Ależ to o mnie idzie! omal nie krzyknąłem w owej chwili. O mnie jednego!“ Znałem mojego Brandelore'a, doszłoby do wymyślania sobie wobec wszystkich i może nawet do bójki. Ostatecznie on wygrał puchar. Narzucił się. Tryumfując, został w loży sam, jak tego pragnął, by przyjąć olbrzymi hołd. Nam, pokonanym, nie pozostało nic innego, jak rzucić się ku kulisom, cośmy też zrobili, i tam zostaliśmy szczęśliwie uhonorowani. Pocieszenie. Tymczasem nasza aktorka-inspiratorka nie była wcale sama w swej garderobie. Przy niej tkwił poeta, jej poeta, nasz poeta. On, tak samo jak ona, lubił żołnierzy, bardzo czule. Dali mi to oboje do zrozumienia, misternie. To ci chryja. Powtórzono mi, o co chodzi, lecz ja nie wziąłem zupełnie pod uwagę ich miłych wskazówek. Żle na tem wyszedłem, bo sprawy moje mogły się być dobrze ułożyć. Oni mieli duże stosunki. Pożegnałem się szorstko, głupio zirytowany. Byłem młody.

Streścimy się: lotnicy porwali mi Lolę, Argentyńcy zabrali Mizynę, a ten harmonijny zboczeniec wreszcie zdmuchnął mi z przed nosa moją wspaniałą aktorkę.

Opuszczony przez wszystkich, wyszedłem z Komedji, gdy gaszono ostatnie światła w kuluarach, i wróciłem sam, nocą, bez tramwaju, do naszego szpitala, pułapki na myszy w głębi lepkich błot i bezładnych przedmieść.

Bez udawania muszę przyznać, że moja głowa nigdy nie była bardzo pewna. Ale teraz, od jakiegoś „tak“ czy jakiegoś „nie“ dostawałem zawrotów, takich, że mogłem wpaść pod auto. Potaczałem się w wojnie. Co do pieniędzy na drobne wydatki, podczas mego pobytu w szpitalu mogłem liczyć tylko na te kilkanaście franków, dawane mi co tydzień przez matkę, z wielkim trudem. Toteż, przy pierwszej możliwości, zacząłem się rozglądać za jakimiś dodatkami, tu i owdzie, gdzie mogłem na coś liczyć. Przedewszystkiem, za odpowiednią pod tym względem osobę uważałem jednego z moich dawnych chlebodawców i zaraz złożyłem mu wizytę.

Przypomniało mi się bardzo w porę, że pracowałem jakiś niewyraźny czas u tego Rogera Puty, jubilera w okolicach Madeleine, w charakterze dodatkowego subiekta, trochę przed wypowiedzeniem wojny. Moja robota u tego parszywego jubilera polegała na t. zw. „extra“, na czyszczeniu sreber sklepowych; było tego dużo, różnego gatunku, i w czasie świąt, gdy się daje prezenty, z powodu ciągłych szacherek, trudno to było w porządku utrzymać.

Z chwilą zamknięcia wydziału lekarskiego, gdzie odbywałem sumienne i nie kończące się studia (z powodu egzaminów, na których się zrzucałem) wróciłem galem do pakameru p. Puty i ćwiczyłem się dwie, trzy godziny dziennie w pucowaniu „kredą hiszpańską“ jego maszynek do gotowania czekolady, aż do obiadu.

Jako wynagrodzenie za moją pracę miałem u niego wikt, zresztą obfity. Do moich obowiązków należało jeszcze, przed wykładami, wyprowadzić na spacer i dopilnować, żeby się wysikały, psy pilnujące magazynu. Wszystko razem za 40 franków miesięcznie. Sklep jubilerski Puty iskrzył się brylantami na rogu rue Vignon, i każdy z tych brylantów kosztował tyle co wiele dekad mego zarobku. Te klejnoty iskrzyły się tam zresztą wciąż. Przydzielony podczas mobilizacji do służby pomocniczej, ten mój pryncypał Puta wziął się do obsługiwania specjalnie jednego z ministrów, któremu od czasu do czasu prowadził auto. Ale pozatem, i tym razem w sposób zupełnie półurzędowy, Puta okazał się bardzo użyteczny jako dostawca biżuterji dla Ministerstwa. Wyższy personel spekulował bardzo szczęśliwie na transakcjach zawartych lub do zawarcia. Im bardziej się wojna przeciągała, tem większe było zapotrzebowanie klejnotów. P. Puta miał nawet czasem trudności w wykonaniu zamówień, tyle ich dostawał.

Kiedy p. Puta był przepracowany, udawało mu się przybierać wyraz dość inteligentny, dzięki ogarniającemu go znużeniu, i jedynie w takich chwilach. Ale gdy odpoczął, twarz jego, mimo bezsprzecznej delikatności rysów, tworzyła harmonję spokoju i głupoty, której rozpaczliwego wspomnienia trudno nie zachować nawsze.

Jego żona, pani Puta, tworzyła jedność z kasą domową, z którą, że tak powiem, nie rozstawała się nigdy. Wychowano ją nato, żeby została żoną jubilera. Ambicja rodziców. Znała ona swój obowiązek, pełnię swego obowiązku. Małżeństwo było szczęśliwe, a jednocześnie kasa była pełna. Nie żeby była brzydka,

pani Puta, nie, mogłaby być nawet dosyć ładna, jak tyle innych, tylko że była ona tak przezorna, tak nieufna, że zatrzymywała się na progu urody, jak na progu życia, ze swemi trochę zanadto uczesanemi włosami, ze swym uśmiechem trochę zbyt łatwym i raptownym, z gestami trochę za szybkimi lub trochę zanadto ostrożnemi. Człowieka djabli brali, żeby dojść, co w tej istocie było zbyt obliczonego i czem się to działo, że wbrew wszystkiemu robiło się nieswojo w jej obecności. Ta instynktowa odraza, jaką wzbudzają ludzie handlu w tych co się do nich zbliżają i znają ich, jest jedną z nader rzadkich pociech, jakich doznają w tem, że są tacy nędzni, jacy są, ci którzy nic nikomu nie sprzedają.

Kuse troski handlowe posiadały tedy całą panią Puta, zupełnie tak samo jak panią Herote, lecz na inny sposób i, jak Bóg posiada swe mniszki, z duszą i z ciałem.

Od czasu do czasu nasza pryncypałka dopuszczała przecież do siebie jakby małe frasunki okolicznościowe. Tak oto zdarzało jej się pozwalać sobie na myślenie o rodzicach „wojennych“. „Co to jednak za nieszczęście ta wojna dla ludzi co mają dorosłe dzieci!“

— Pomyśl-że zanim coś powiesz! — osadzał ją zaraz mąż, który na te czułościowości miał gotowe i zdecydowane przyjęcie. Czyż nie należy bronić Francji?

Tak oto dobre serca, lecz dobrzy patryjoci nadewszystko, krótko mówiąc, para stoików, zasypiali każdego wojennego wieczoru na miljonach swego sklepu, na majątku Francji.

W burdelach, gdzie bywał od czasu do czasu p. Puta, okazywał się wymagającym i nie chciał, żeby go

brano za rozrzutnika. „Ja nie jestem Anglik, aniołeczku, uprzedzał z miejsca. Znam się na robocie! Jestem żołnierz francuski, któremu się nie spieszy!“ Takie było jego przedwstępne oświadczenie. Kobiety bardzo go szanowały za ten rozumny sposób załatwiania swej przyjemności. Rozpustnik, ale nie w ciemną bity, mężczyzna.

Korzystał z tego, że wiedział, z kim ma do czynienia, żeby zawrzeć parę tranzakcyj z wice-gospodynią zakładu, która nie ufała papierom na giełdzie. P. Puta posuwał się naprzód, w sposób z wojskowego punktu widzenia zdumiewający, od odroczeń terminowych do ostatecznego odroczenia. Niebawem został zupełnie zwolniony po nie wiedzieć ilu odpowiednich oględzinach lekarskich. Zaliczał on do najwyższych rozkoszy swej egzystencji kontemplację i, o ile to było możliwe, macanie pięknych łydek. Była to bądź co bądź przyjemność, którą górował nad swą żoną, poświęconą wyłącznie handlowi. Przy jednakowych charakterach, znaleźć można, zdaje się, zawsze trochę więcej niepokoju u mężczyzny niż u kobiety, żeby nie wiem jak był ograniczony i gnuśny. To był w gruncie rzeczy debiutujący mały artysta, ten Puta. Wielu mężczyzn, w dziedzinie sztuki, trzyma się zawsze, jak on, manji pięknych łydek. Pani Puta była bardzo szczęśliwa, że nie miała dzieci. Okazywała tak często zadowolenie ze swej bezpłodności, że jej mąż z kolei zakomunikował wreszcie ich ukontentowanie wice-gospodyni burdelu. „Trzeba jednak żeby czyjeś dzieci szły na wojnę, ta z kolei odpowiadała, skoro to jest obowiązkiem!“ To prawda, że wojna nakładała obowiązki.

Minister, którego Paweł obsługiwał jako szofer, też

nie miał dzieci, Ministrowie nie mają dzieci. Drugi dodatkowy subjekt pracował jednocześnie ze mną w zakresie podrzędnych funkcji w interesie, około 1913: był to niejaki Jan Voireuse, trochę statysta wieczorami w teatrzykach, a popołudniu chłopiec na posyłki u Puty. On też zadawał się minimalnym wynagrodzeniem. Ale dawał sobie radę dzięki metro. Szedł prawie równie szybko jak metro, gdy załatwiał polecenia szefa, wobec czego koszt biletu chował do kieszeni. Jego zysk. Czuć mu było trochę z nóg, to prawda, a nawet bardzo, ale on o tem wiedział i prosił mnie, żebym go uprzedził, kiedy niema w sklepie klientów, by mógł bezpiecznie wejść i załatwić pocichutku swe rachunki z panią Puta. Po zainkasowaniu pieniędzy, odsyłano go natychmiast do mnie, do pakameru. Jego nogi przydały mu się jeszcze bardzo na wojnie. Uchodził za najszybszego łącznika w swym pułku. Jako ozdrowieniec odwiedził mnie w forcie w Bicêtre, i właśnie przy okazji tej wizyty postanowiliśmy iść razem naciągnąć naszego dawnego pryncypała. Powiedziane, zrobione. W chwili gdyśmy przyszedli na bulwar Madeleine, kończono wystawę...

— Patrzcie-no! to wy! zdziwił się trochę na nasz widok p. Puta. Bardzo rad jestem w każdym razie! Proszę! Wy, Voireuse, macie dobrą minę! Powodź wam się! Ale wy, Bardamu, wyglądacie mi na chorego, mój chłopcze! No, co tam! jesteście młodzi! Poprawicie się! Macie szczęście, mimo wszystko, wy! można mówić co się chce, przeżywacie chwile wspaniałe, co? na wyżynach! I w powietrzu! To to jest Historia, moi drodzy, albo ja jestem jełopem! I to jaka Historia!

Nie odpowiadaliśmy nic p. Pucie, pozwoliliśmy mu

gadać co mu się żywnie podoba przed naciągnięciem go na forszę... Więc ciągnął dalej:

— O! okopy to ciężka rzecz, przyznaję!... To prawda! Ale i tutaj jest porządnie ciężko, trzeba wam wiedzieć!... Wyście byli ranni, co? A ja jestem przemordowany! Byłem na nocnej służbie w mieście przez dwa lata! Zdajecie sobie z tego sprawę? Pomyślcie tylko! Zupełnie ochwacony! Zdechły! Ach! te ulice Paryża w nocy! bez światła, moi chłopcy... Prowadzić niemi auto i często z Ministrem wśródku! I do tego szybko! Nie możecie mieć pojęcia!... Można dziesięć razy przez jedną noc kark skrócić!...

— Tak, potwierdziła akcentując pani Puta, a czasami wozi żonę Ministra również...

— Ach, tak! i nie widać końca tego...

— To okropnie! zakonkludowaliśmy razem.

— A psy? zapytał Voireuse przez grzeczność. Co z nimi się stało? Czy wyprowadza się je po dawnemu do Tuilleryj?

— Kazałem je zabić! Szkodziły mi! To psuło opinie firmie!... Owczarki niemieckie!

— To fatalne! żałowała jego żona. Ale nowe psy, które mamy teraz, są bardzo miłe, to są szkockie... Trochę je czuć... a nasze owczarki niemieckie, pamiętacie, Voireuse?... Nigdy ich nie było czuć, że tak powiem. Można je było trzymać w zamkniętym sklepie, nawet po deszczu...

— O tak! dodał p. Puta. To nie tak, jak ten przekłety Voireuse, ze swemi nogami! Czy twoje nogi zawsze czuć, Janku? Szlagby cię trafił!

— Chyba jeszcze trochę, odparł Voireuse.

W tej chwili weszli klienci.

— No, nie zatrzymuję was, kochani chłopcy, rzekł nam p. Puta, pragnąc usunąć Jana coprędeż z sklepu. I zdrowia, zwłaszcza zdrowia! Nic pytam was, skąd przychodzicie! O, nie! Obrona Narodowa przede wszystkim, to moje zdanie!

Przy słowach „Obrona Narodowa“ Puta zrobił się zupełnie poważny, jak kiedy wydawał resztę... Odprawiano nas więc. Pani Puta dała każdemu z nas dwa-dzieścia franków przy pożegnaniu. Magazyn był wypucowany i lśniący jak jacht, że nie śmieliśmy wyjść na ulicę frontem, z powodu naszych butów, które na eleganckim dywanie wyglądały potwornie.

— Ach, Rogerze, popatrz-no na nich obu! zawołała pani Puta. Jacy śmieszni!... Odzwyczaili się! Pomyślałby kto, że chodzili po czemś!

— Przyzwyczajają się znowu! orzekł p. Puta, serdeczny i pocziwy i bardzo rad, że się nas pozbył tak szybko i tak małym kosztem.

Znalazłszy się na ulicy, zastanowiliśmy się, że daleko nie zajedziemy z naszemi dwudziestu frankami na twarz, ale Voireuse miał pewną ideę dodatkową.

— Chodź, powiada, do matki jednego z naszych, co umarł, gdy się było na Mozie, ja tam chodzę co tydzień, do jego rodziców, opowiadać im, jak umarł ich syn... To ludzie bogaci... Ona mi daje sto franków za każdym razem, jego matka... Powiadają, że im to robi przyjemność... Więc, rozumiesz...

— Ale co ja będę u nich robił? Co ja powiem matce?

— Powiesz jej, że ty też go widziałeś... Ona i tobie da sto franków... To naprawdę bogaci ludzie! Powia-

dam ci! I nie są tacy jak ten cham Puta... Nie mają węża w kieszeni...

— Bardzobym chciał, ale czy ona nie będzie się mnie pytała o szczegóły, jesteś tego pewny?... Bo ja przecie nie znałem jej syna... Wsypię się, jak mnie zapyta...

— Nie, nie, to nic nie szkodzi, powiesz akurat to samo co i ja... Będiesz potakiwał... Nie martw się! Ona jest strapiona, rozumiesz, ta kobieta, i gdy się jej mówi o synu, już jest zadowolona.... Tego tylko chce... Można mówić byle co... To głupstwo...

Nie mogłem się jakoś zdecydować, ale miałem wielką chrapkę na sto franków, które wyglądały na wyjątkowo łatwe do zdobycia i jakby zesłane przez opatrzność.

— Dobra, zdecydowałem się wreszcie... Ale ja nic nie będę zmyślał, uprzedzam cię, żebyś wiedział! Obiecujesz mi? Będę to gadał co ty, to wszystko... Jak ten chłopak zginął, przedewszystkiem?

— Dostał pociskiem w sam łeb, mój kochany, i nie małego kalibru, pod Garance, to tak się nazywało, na Mozie, na brzegu jakiejś rzeki... ¹. Nie odnaleziono „tego“ co zostało z chłopca, mój kochany! To było już tylko wspomnienie, chyba... A przecież, chłop był wysoki, trzeba ci wiedzieć, dobrze zbudowany, i mocny, i wysportowany, ale jak trafi pocisk, hm?... Nie da rady!

— To prawda!

— Zmiotło go, powiadam ci... Jego matka to do dziś dnia nie może w to uwierzyć! Choć jej powtarzam

¹ „na Mozie“ mówią tu żołnierze, w znaczeniu okresu i odcinka wojny, jak „we Flandrji“ i t. p. — nie w sensie brzegów Mozy. *Przyp. tłum.*

wkółko... Ona chce, żeby on był tylko zaginiony... To jest idjotyczny taki pomysł... Zaginiony!... To nie jej wina, ona nigdy nie widziała pocisku, ona nie może zrozumieć, że człowiek wylatuje w powietrze, jak bzdzi-na, i tyleś go widział, zwłaszcza że to jej syn...

— Oczywiście!

— Przedewszystkiem, ja tam nie byłem już dwa tygodnie, u nich... Ale zobaczysz, kiedy przychodzę, przyjmuje mnie zaraz jego matka, w salonie i potem, wiesz, ładnie jest u nich, pomyślałby kto, teatr, tyle tam firanek, portjer, dywanów, luster wszędzie... Sto franków, rozumiesz, to im nie robi dużej różnicy... To tak jak dla mnie sto su, mniej więcej... Dzisiaj nawet ona jest ważna na dwieście... Dwa tygodnie mnie nie widziała... Zobaczysz służbę ze złoconymi guzikami, mój drogi...

Z avenue Henri-Martin skręcało się nalewo i potem prosto jeszcze trochę, wreszcie dochodziło się do kutej bramy wśród drzew małej prywatnej alei.

— Widzisz! zauważył Voireuse, gdyśmy byli przed samą bramą, to jest jak pałac... Dobrze ci mówiłem... Ojciec jest gruba ryba w kolejach, jak mi mówiono... To figura...

— Czy aby nie jest zawiadowcą? powiadam żartem.

— Nie kpj sobie!... O, to właśnie on. Idzie ku nam...

Ale człowiek w podeszłym wieku, kórego mi pokazywał, nie przyszedł zaraz, chodził zgarbiony dokoła trawnika, rozmawiając z jakimś żołnierzem. Podeszliśmy. Poznałem żołnierza, to był ten sam rezerwista, którego spotkałem w nocy w Noirceur-sur-la-Lys, gdzie byłem na wywiadzie. Przypomniałem sobie nawet od razu nazwisko, jakie mi powiedział: Robinson.

— Ty znasz tego tu piechociarza? — zapytał mnie Voireuse.

— Tak, znam go.

— To może ich dobry znajomy... Pewno rozmawiają o matce; nie chciałbym, żeby nam przeszkadzili zobaczyć się z nią... Bo to właściwie ona buli forszę...

Stary pan przystąpił do nas. Mówił drżącym głosem:

— Mój drogi, rzekł do Voireuse'a, muszę ci z wielkim bólem oznajmić, że przez ten czas kiedyś u nas nie był, biedna moja żona umarła z naszego niezmiernego zmartwienia... We czwartek zostawiliśmy ją na chwilę samą, prosiła nas o to... Płakała...

Nie mógł dokończyć zdania. Odwrócił się raptem i opuścił nas.

— Poznaje cię doskonale, rzekłem do Robinsona, jak tylko stary pan oddalił się od nas dostatecznie.

— Ja też ciebie poznaję...

— Co się stało starej? zapytałem go wtedy.

— No, powiesiła się onegdaj i kwita! odparł. Mam, psiakrew, szczęście, co? dodał na ten temat... Ja, który miałem ją jako chrzestną matkę wojenną!... Trzeba mieć pecha, co! To ci los! Pierwszy raz dostałem urlop!... Sześć miesięcy czekałem na ten dzień!...

Nie mogliśmy się powstrzymać, Voireuse i ja, od pokpiwania sobie z tego nieszczęścia, jakie spotkało Robinsona. Była to dla niego paskudna niespodzianka, tak, tylko że i myśmy tracili naszych dwieście franków, bo umarła, gdyśmy mieli odwalić nowy kawał z nią. Za jednym zamachem wszyscy trzej byliśmy niezadowoleni.

— Nabili cię w butelkę, co, stary draniu? dokuźciliśmy Robinsonowi, trzeba tylko go sypnąć i wsadzić do paki. Myślałeś, że zdrowo popijesz, co? wyżerka żołnierska u starych? Myślałeś też może, iż zerzniesz chrzestną mamę?... Ładnie cię przyjęli, niema co!...

Ponieważ nie można było jednak tam sterczeć i patrzeć na trawnik, rycząc ze śmiechu, poszliśmy wszyscy trzej w stronę Grenelle. Obliczyliśmy naszą flotę, niewiele tego było. Że trzeba było wrócić wieczorem do naszych szpitali i koszar, starczyło akurat, żeby zjeść obiad we trzech w szynku, a potem może jeszcze coś zostanie w kieszeni, ale zamało, żeby iść do burdelu. Mimo to byliśmy tam, ale tylko żeby coś wypić, na dole.

— Jestem kontent, że cię spotkałem, oznajmił mi Robinson, ale powiedz, czy to nie idjotka jednak ta matka chłopca! Swoją drogą, kiedy o tem pomyślę, i że wieza się akurat tego dnia, kiedy ja się zjawiam — no, powiedz!... Ja jej tego nie zapomnę!... Czy ja się wiem, co?... Ze zmartwienia?... Tobym się musiał wciąż wieszać!... A ty?

— Ludzie bogaci, orzekł Voireuse, to są bardziej wrażliwi od innych...

Dobre miał serce Voireuse. Dodał jeszcze: „Gdybym miał sześć franków, tobym poszedł na górę z tą małą brunetką, tą tam obok maszyny do liczenia forsy...

— No to idź, powiedzieliśmy mu, opowiesz nam, czy dobrze śsie...

Tylko że nadaremnie szukaliśmy, nie mieliśmy wraz z napiwkami tyle, żeby on mógł to sobie zafundować.

Starczyło akurat na jedną jeszcze kawę dla każdego i dwa kassi ¹. Łyknawszy, poszliśmy znowu na spacer!

Pożegnaliśmy się na placu Vendôme. Każdy poszedł w swoją stronę. Żegnając się, nie widział jeden drugiego i mówiliśmy cicho, tak się każde słowo rozlegało. Nie było światła na ulicach, to było zabronione.

Jana Voireuse nigdy już w życiu nie zobaczyłem. Z Robinsonem spotykałem się często później. Jana Voireuse urządziły gazy, na Sommie. Pojechał odwalać kintę nad morzem, w Bretanji, w dwa lata potem, w sanatorjum morskiem. Pisał do mnie dwa razy z samego początku, potem już ani słowa. Nigdy nie był nad morzem. „Nie masz pojęcia, jakie to piękne, pisał mi, trochę się kąpie, to dobrze mi robi na nogi, ale mój głos to, myślę, już djabli wzięli“. To go martwiło, bo jego ambicją ukrytą było wrócić kiedyś do teatru, do chórów.

To jest lepiej płatne i bardziej artystyczne, chóry, niż zwykle statystowanie.

Władze koniec końców wypuściły mnie z rąk i mogłem ocalić swą skórę, ale byłem napiętnowany jako niespełna rozumu i to nazawsze. Cóż było robić. „Wynoś się!... powiedzieli mi. Jesteś już do niczego!...“

„Do Afryki! powiedziałem sobie. Im to będzie dalej, tem będzie lepiej!“ Statek, który mnie zabrał, był taki sam jak inne statki Towarzystwa „Zjednoczeni Korsarze“. Płynął ku Zwrotnikom z ładunkiem wyrobów bawełnianych, oficerów i urzędników.

Ten statek był taki stary, że zdjęli z niego nawet mosięzną tabliczkę, na górnym pokładzie, gdzie ongi był wypisany rok jego narodzin; te narodziny były tak odległe, że budziłyby w pasażerach obawę, no i kpiny.

Wsadzono mnie więc na ten gruchot, żebym odżył siły w kolonjach. Nalegali na to ci którzy mi dobrze życzyli, chcąc żebym tam zrobił majątek. Ja pragnąłem tylko wyjechać, ale że trzeba zawsze wyglądać na człowieka użytecznego, gdy się nie jest bogatym, i że z drugiej strony nie skończyłem swoich studjów, to nie mogło tak trwać. Nie miałem też dość pieniędzy, żeby wyjechać do Ameryki. „Jedź do Afryki!“ powiedziałem sobie wówczas i pozwoliłem pchnąć siebie ku zwrotnikom, gdzie, jak mnie zapewniano, wystarczała pewna wstrzeźliwość i dobre prowadzenie się, żeby natychmiast zdobyć sobie stanowisko.

Zadumałem się nad temi prognostykami. Nie miałem nic takiego coby szczególnie przemawiało za mną, ale miałem niewątpliwie dobrą prezencję, można po-

¹ Cassis — likier z czarnej porzeczki. — *Przyp. tłum.*

wiedzieć, skromne ułożenie, uległość i wieczną obawę, żeby nie być natrętnym, i jeszcze troskę, żeby się w życiu nie rozpychać łokciami, słowem delikatność...

Jeśli ktoś potrafił ujść żywy z międzynarodowej oszalełej rzeźni, to jest to bądź co bądź rekomendacja taktu i dyskrecji. Ale wracajmy do tej podróży. Póki byliśmy na wodach Europy, to nie zapowiadało się źle. Pasażerowie gnuśnieli, rozrzućeni w cieniu międzypokładów, w W. C., w palarni, małymi grupami, podejrzliwymi i sztywnymi. Wszystko to, od rana do nocy, nasycone amer picon'em i plotkami. Rzygali, drzemali i darli się naprzemian, i wydawało się, nie żałując niczego w Europie.

Nasz statek nazywał się „Admirał Braqueton“. Miał się trzymać na tych ciepłych wodach chyba jedynie dzięki malowaniu. Tyle warstw farby, nagromadzonych na sobie jak skorupy, utworzyły wreszcie „Admirałowi Braqueton“ jakby drugi kadłub, na podobieństwo cebuli. Płynęliśmy w stronę Afryki, prawdziwej, wielkiej Afryki nieprzeniknionych puszczy, zabójczych miazmatów, nietkniętych pustkowi, w stronę wielkich murzyńskich tyranów, panoszących się przy zbiegu rzek bez końca. Za paczkę ostrzy „Pilett“ miałem kupować od nich kość słoniową, o, taką długą, ptaki o świetnych piórach, nieletnie niewolnice. To było zapowiedziane Życie, czy nie! Nic wspólnego z tą obłupioną ze skóry Afryką agencji i pomników, kolei żelaznych i nugatów. Co to, to nie! Jechaliśmy zobaczyć ją w jej własnym sosie, Afrykę prawdziwą! My, popijający pasażerowie „Admirała Braqueton!“

Ale zaraz za brzegami Portugalji rzeczy zaczęły się psuć. Pewnego ranka zbudziłem się jakby opanowa-

ni, bez możliwości oporu, przez atmosferę łaźni, beznadziejnie ciepłą, niepokojącą. Woda w szklankach, morze, powietrze, pościel, nasz pot, wszystko ciepłe, gorące. Odtąd było niemożliwe w dzień, w nocy mieć coś zimnego pod ręką, pod tyłkiem, w gardle, poza lodem z whisky w barze. Wówczas czarna rozpacz zwała się na pasażerów „Admirała Braqueton“, skazanych na nieoddalenie się od baru, urzeczonych, przykutych do wentylatorów, spojonych z kawałkami lodu, wygrażających sobie przy kartach i użalających się jeden przed drugim w bezładnym rytmie.

Ten stan nie trwał długo. W tej beznadziejnej stabilizacji upału cała ludzka zawartość statku skrzepła w potężne pijaństwo. Ludzie poruszali się ospale między pokładami, niby mięczaki na dnie sadzawki z mdłą wodą. Od tej chwili obnażyła się i roztoczyła przed oczami, wyszła na wierzch okropna natura białych, sprowokowana, wyzwolona, nareszcie rozmamrana, ich istotna natura, zupełnie jak na wojnie. Łaźnia tropikalna dla instynktów jest jak sierpień dla ropuch i żmij, co wreszcie rozwijają się w porytych szczelinami murach więziennych. W chłodzie Europy, pod skromną szarością Północy, poza momentami rzezi, podejrzewamy tylko kotłujące się okrucieństwo naszych braci, ale ich zgnilizna wydziera się na powierzchnię, jak tylko ich rozweseli podła gorączka zwrotników. Wówczas ludzie rozpinają się z pasją, i draństwo tryumfuje, zalewając nas z głową. To jest wyznaczenie biologiczne. Z chwilą gdy praca i chłód już nas nie trzymają w karchach, gdy rozsuna na chwilę swe imadło, z białych widzieć można to, co pozostaje z wesołego wybrzeża, gdy morze cofnie

się stamtąd: prawda — kałuże mocno śmierdzące, kraby, padlina i kał.

Tak oto, gdyśmy minęli Portugalję, wszyscy na statku wzięli się do wyzwania instynktów z furją, przy pomocy alkoholu a również tego uczucia intymnej przyjemności, jaką daje zupełna bezpłatność podróży, zwłaszcza wojskowym i urzędnikom w służbie czynnej. Czuć, że się ma dach nad głową, jedzenie, picie zadarmo przez kilka tygodni zrządu, proszę tylko to sobie uprzytomnić, to dość, czyż nie, samo w sobie, żeby szaleć na myśl, ile się oszczędzi? Mnie, jedynego płatnego pasażera, uznano zatem, jak tylko ten znak szczególny stał się wiadomy, za indywiduum osobliwie beczelne, pro prostu nie do zniesienia.

Gdybym był znał choć trochę środowisko kolonjalne przy wyjeździe z Marsylji, byłbym, niegodny towarzyszyć podróży, na klęczkach błagał o przebaczenie, o łaskę tego oficera piechoty kolonjalnej, którego spotykałem wszędzie, najwyższego rangą, i możebym upokorzył się ponadto, dla większego bezpieczeństwa, u stóp najstarszego urzędnika. Może wówczas ci fantastyczni pasażerowie tolerowaliby mnie pośród siebie bez szkody? Ale żem był ciemny w tych sprawach, mojej nieświadomej pretensji do oddychania tem samym powietrzem, co oni, omal nie przypłaciłem życiem.

Człowiek zawsze boi się więcej niż należy. Dzięki pewnej zręczności, straciłem tylko to, co mi zostało z miłości własnej. Oto, jak te sprawy się rozegrały. W jakiś czas po wyspach Kanaryjskich, dowiedziałem się od jednego ze stiuardów, że zgodnie uważano mnie za pozera, ba! nawet za zuchwalca... Że podejrzewano mnie, iż jestem makrotem i jednocześnie pe-

derastą... nawet trochę kokainistą... Ale to jako cecha dodatkowa... Potem rzucona została myśl, że musiałem uciekać z Francji przed konsekwencjami pewnych przestępstw, bardzo ciężkich. Ale to był dopiero początek moich przejść. Wtedy to dowiedziałem się, że na tej linii okrętowej panuje narzucony jej zwyczaj przyjmowania jedynie z krańcową przezornością, zresztą z dodatkiem szykan, pasażerów płatnych; to znaczy tych, co nie korzystają ani z darmochoy wojskowej, ani z urządzania się przez stosunki w biurokracji, bo wiadomo, że kolonie francuskie należą właściwie do szlachty z „Roczników“.

Ostatecznie, jest bardzo mało powodów, usprawiedliwiających nieznanego cywila, że się zapuszcza w te strony... Szpieg, podejrzana figura, znajdująca tyśiąc powodów, żeby krzywo na mnie patrzeć, oficerowie prosto w oczy, kobiety uśmiechając się w sposób znaczący. Niebawem nawet służba, ośmielona tem, robiła za memi plecami uwagi, grubo uszczypliwe. Doszło do tego, iż nikt już nie wątpił, że to ja jestem największe i najniecznośniejsze bydlę na statku i niejako jedyne. To ładnie się zapowiadało.

Za sąsiadów przy stole miałem czterech urzędników pocztowych z Gabonu, bezzębnych wątrobiarzy. Poufali i serdeczni na początku podróży, teraz nie odzywali się do mnie jednym słowem. To znaczy, że za niema zgodą zostałem oddany pod ogólny nadzór. Wychodziłem ze swej kabiny z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Powietrze, wprost upieczone, ciążyło naszej skórze jak ciało stałe. Rozebrany do naga, zamknawszy się na zasuwę, nie ruszałem się ze swej dziury i starałem się wystawić sobie, jaki plan mogli

ukuć ci piekielni pasażerowie, żeby mnie zgubić. Nie znałem na statku nikogo, a tymczasem każdy, zdaje się, mnie poznawał. Mój rysopis musiał być utrwalony w ich mózgu, dokładny, momentalny, jak rysopis słynnego zbrodniarza, który się publikuje w gazetach.

Grałem, mimowoli, rolę niezbędnej „bezpiecznej i odrażającej szui“, hańby rodu ludzkiego, sygnalizowanej wszędzie na przestrzeni wieków, o której wszyscy słyszeli, jak o Djable i Panu Bogu, lecz która jest zawsze tak zmienna, tak się wymyka, na ziemi i w życiu, słowem jest nieuchwytna. Trzeba było, żeby nareszcie izolować „szuję“, zidentyfikować ją i trzymać, korzystając z wyjątkowych warunków, jakie znaleźć można tylko na tym ciasnym statku.

Prawdziwa uciecha, powszechna i moralna, zapowiadała się na pokładzie „Admirała Bragueton“. „Plugawiec“ nie uniknie swego losu. To ja nim byłem.

Dla tego jednego wydarzenia warto było odbyć tę podróż. Zamknięty wśród tych samorzutnych wrogów, usiłowałem jako tako ich utożsamić, tak, żeby się nie spostrzegli. Aby do tego dojść, śledziłem ich bezkarnie, zwłaszcza rano, przez iluminator mej kabiny. Przed pierwszym śniadaniem, żeby użyć świeżego powietrza, owłosieni od wżgórka łonowego do brwi i od kiszki odchodowej do podeszew, w piżamach, przezroczystych w słońcu, porozwalani wzdłuż parapetu okrętowego, ze szklanką w rękę, przychodzili rzygać tutaj, moi wrogowie, i już szykowali się wymiotować dokoła, szczególnie kapitan o wylupiastych i przekrwionych oczach, któremu wątroba srodze dokuczała od samego świtu. Regularnie po przebudzeniu dopytywał się o mnie u innych drabów, czy mnie jeszcze „nie wy-

huściano za burtę“, czego pragnął. „Jak plwocinę!“ Dla zobrazowania, jednocześnie pluł w pienne morze. Co za frajda!

„Admirał“ niewiele posuwał się naprzód, raczej włókł się, pomrukując, od jednego zakołysania się do drugiego. To już nie była podróż, to był rodzaj choroby. Członkowie tego porannego soboru, gdym ich badał z mego kąta, wyglądali wszyscy na dość poważnie chorych, malarja, alkoholizm, niezawodnie syfilis; ich ruina, widzialna na dziesięć metrów, była mi pewną pociechą w mych udękach osobistych. Mimo wszystko, to byli zwyciężeni, tak samo jak ja, ci samochwalcy! Oni tylko mieli jeszcze tupet, oto wszystko! Jedyna różnica! Komary już się zabrały do ssania ich i wsączania im w żyły tych jądów, które pozostają... Treponem¹ już im teraz piłował arterje... Alkohol wzdymał im wątrobę... Od słońca robiły się pęknięcia na nerkach... Mendy wczepiały się we włosy, a egzema w skórę brzucha... Światło, padające jak krupy gradowe, koniec końców uszkodzi im siatkówkę!... W niedługim czasie, co im pozostanie? Kawałek mózgu... Żeby co z tem zrobić? Pytam się was?... Tam, gdzie jechali? Żeby sobie odebrać życie? Tylko na to mógł im służyć mózg, tam, gdzie jechali... Gadajcie, co chcecie, to nie jest zabawne, starzeć się w krajach, gdzie niema rozrywek... Gdzie człowiek musi, przeglądając się w lustrze, o zieleniejącej stanjoli, stwierdzać, że staje się coraz bardziej podupadły, coraz nędzniejszy... Prędko się gnije, w zieleni, zwłaszcza gdy jest upał okrutny.

¹ Grupa pierwotniaków, do której należy zarazek syfilisu. — *Przyp. tłum.*

Północ przynajmniej konserwuje w człowieku mięso; są bliźni raz na zawsze ludzie Północy. Między zmarłym Szwedem a młodym człowiekiem, który źle spał, mała różnica. Ale mieszkaniiec kolonij jest już pełen robactwa nazajutrz po wylądowaniu. Na nich tylko czekały te niezmiernie pracowite robaczki i nie wypuszczą ich, aż dopiero poza życie. Worki larw.

Jeszcze mieliśmy tydzień morza przed zawinięciem do Bragamance, pierwszej ziemi obiecanej. Miałem wrażenie, że siedzę w skrzyni z materiałami wybuchowymi. Już prawie nie jadałem, żeby uniknąć siadania z nimi do stołu i przechodzenia przez ich międzypokłady za dnia. Nie odzywałem się ani słowa. Nigdy nie widziano, żebym spacerował. Trudno było być czym tak nieznacznym, jak ja, na okręcie, wciąż jednak tam będąc.

Mój stiuard, ojciec rodziny, zechciał mi poufnie zakomunikować, że świetni oficerowie armji kolonjalnej przysięgli, z kieliszkami w ręku, spoliczkować mnie przy pierwszej okazji i potem wyrzucić za burtę. Kiedy go się spytałem, za co, nie wiedział i z kolei zapytał mnie, co ja mogłem takiego zrobić, żeby dojść do tego. Na tej niewiadomości stanęliśmy. To mogło trwać długo. Mój pysk się nie podobał, oto wszystko.

Nie nabierze mnie już nikt na podróżowanie z ludźmi, których tak trudno zadowolić. Byli oni również tak rozpróżniaczeni, zamknięci trzydzieści dni we własnym towarzystwie, że byle co wystarczało, żeby ich roznamiętnić. Zresztą, w życiu codziennym u nas, pomyślmy, że conajmniej sto osobników w ciągu jednego najzwyczajniejszego dnia pragnie naszej biednej śmierci, naprzykład ci wszyscy, którym zawadzamy,

gdy stoją w ogonku stłoczeni za nami w metro, dalej ci wszyscy, którzy przechodzą koło naszego mieszkania, a sami są bezdomni, ci wszyscy, którzy chcą, żebyśmy prędzej skończyli siusiać, aby mogli zrobić to samo, wreszcie nasze dzieci i wielu innych bliźnich. To jest nieustanne. Przywykamy do tego. Na statku ten tłok bardziej się uwidacznia, więc też to bardziej krępuje.

W tej kipiącej łaźni wypociny tych oparzonych istot koncentrują się, przecucia potwornej samotności kolonjalnej, która niebawem pogrzebie ich razem z ich losem, każe im już teraz jęczeć, jak konającym. Czepiają się, kasaają, drapią, toczą pianę z pyska. Moje znaczenie na statku rosło nadzwyczajnie z dnia na dzień. Moje rzadkie zjawiania się przy stole, tak ukradkowe i milczące, jak starałem się je czynić, nabierały doniosłości rzeczywistych wydarzeń. Jak tylko wchodziłem do jadalni, stu dwudziestu pasażerów podskakiwało na krzesłach, szeptało...

Oficerowie kolonjalni, zgromadzeni przy wielu, wielu butelkach u stołu komendanta, poborcy podatków, nauczycielki kongolańskie, których „Admirał Bragueton“ wiozł cały wybór, wyprowadzając ze złośliwych przypuszczeń oszczercze dedukcje, wyolbrzymili mnie wreszcie do rozmiarów osobnika piekielnego znaczenia.

Przy wsiadaniu na statek w Marsylji, byłem tylko jakimś tam marzycielem, ale teraz, wskutek owej sprowokowanej koncentracji alkoholików i niecierpliwych pochw, zostałem wyposażony w zmieniający mnie do niepoznaki niepokojący czar.

Komendant statku, gruby sprytny handlarz z brodawkami, który mi chętnie ścisnął dłoń na początku

podróży, ile razy spotykaliśmy się teraz, udawał że mnie nie poznaje, tak jak się unika człowieka, poszukiwanego za jakąś nieczystą sprawę, już winnego... Czego? Gdy nienawiść ludzka nie grozi żadnym ryzykiem, ich głupota szybko da się przekonać, motywy same przychodzą.

Według tego co, sądziłem, mogłem rozróżnić w zwartej niechęci, w której się szarpałem, jedna z panien nauczycielek ożywiała element kobiecy całej intrygi. Wracła ona do Kongo, zdychać, tego się przynajmniej spodziewałem, ta dziwka. Nie odstępowała prawie oficerów kolonialnych w obcisłym olśniewającym płótnie, strojnych na dokładkę w złożoną przysięgę, że zmiążdżą mnie ni mniej ni więcej jak wstrętnego ślimaka, stanowczo przed następnym postojem statku. Zapytywano siebie dookoła, czy będę równie odrażający, rozplaszczony, jak mając obecny kształt. Krótko mówiąc, bawiono się. Ta panna podsycala ich werwę, przywoływała burzę na pokład „Admirała Bragueton“, nie miała spokoju, dopóki mnie wreszcie nie podniosą le dwie zipiącego, skarconego raz na zawsze za moją urojoną impertynencję, słowem ukaranego za to, że śmie istnieć, wściekle zbitego, okrwawionego, potłuczonego, błagającego o litość pod butem i pięścią jednego z tych zuchów, którego pragnęła podziwiać w akcji muskułów, we wspaniałym gniewie. Paliła się do tej sceny subtelnej rzezi, po której jej zawiedłe jajniki przeczuwały swe przebudzenie. To było warte zgwałcenia przez goryla. Czas mijał i było niebezpiecznie dać dłużej czekać na corridę. Ja byłem bykiem. Cały statek domagał się tego, drżał z pożądania aż do komór na spodzie.

Morze zamykało nas w tym cyrku przenośnym. Nawet palacze okrętowi byli wtajemniczeni. A że nam pozostawało już tylko trzy dni do zawinięcia do portu, dni decydujące, wielu torców ofiarowało swe usługi. Im staranniej unikałem skandalu, tem oni byli bardziej agresywni wobec mnie, zagrażali mi bezpośrednio. Ofiarnicy już wprawiali się do roboty. Oto umieścili mnie między dwiema kabinami, w takiej, która była w występie ściany okrętu. Zmyliłem trafność tego zarządzenia, ale stało się dla mnie jawnie niebezpieczne chodzić do klozetu. Kiedyśmy więc mieli przed sobą tylko te trzy dni podróży, skorzystałem z tego, żeby definitywnie wyrzec się wszystkich potrzeb naturalnych. Wystarczył mi iluminator. Dokoła mnie panowała przygniatająca nienawiść i nuda. Trzeba też powiedzieć, że jest nie do wiary ta nuda na okręcie, kosmiczna, mówiąc otwarcie. Pokrywa ona morze, i statek, i niebo. Ludzie zrównoważeni stają się przez nią dziwakami, a cóż dopiero te narowiste bydłeta.

Miałem iść na ofiarę! Sprawa sprecyzowała się pewnego wieczoru po obiedzie, na który mimo wszystko poszedłem, dręczony głodem. Siedziałem z nosem w talerzu, nie śmiejąc nawet wyjąć chustki z kieszeni, żeby otrzeć pot. Nikt nie jadł nigdy dyskretniej niż ja wtedy. Od maszyn szło pod zadek nieustanne, drobne drżenie. Moi sąsiedzi przy stole musieli wiedzieć, co postanowiono zrobić ze mną, gdyż, ku memu zdziwieniu, zaczęli zwracać się do mnie swobodnie i uprzejmie, mówiąc o pojedynkach i pchnięciach szpada, zadawać mi pytania. W tej również chwili nauczycielka z Kongo, ta co miała taki przykry oddech, skierowała się do salonu. Zdążyłem zauważyć, że miała na sobie gipi-

rową balową suknię i szła do fortepianu z jakimś nerwowym pośpiechem, odegrać, jeśli tak można to nazwać, pewne kawałki, których finały zawsze ginęły pod jej palcami. Otoczenie stało się intensywnie niepokojne, spojrzenia biegały ukradkiem.

Jednym susem chciałem się ukryć w swej kabinie. Już byłem prawie przy niej, kiedy jeden z kapitanów armji kolonjalnej, o najbardziej wypiętej piersi, najmuskularniejszy ze wszystkich, zagroził mi z miejsca drogę, bez gwałtu, ale stanowczo. „Chodźmy na pokład“ zwrócił się do mnie surowo. Znaleźliśmy się tam po przejściu kilkunastu kroków. Dla tej okazji włożył swe najlepiej złożone kepi i zapiał się na wszystkie guziki, od szyi do rozporka spodni, czego nie robił od początku podróży. Byliśmy więc w pełni ceremonji dramatycznej. Nie zachowywałem się dość swobodnie, gdyż serce biło mi na wysokości pępka.

Ten wstęp, ta anormalna nieskazitelność kazała mi wróżyć egzekucję powolną i bolesną. Ten człowiek robił na mnie wrażenie kawałka wojny, który nagle rzucono na moją drogę, był twardy, zacięty, morderczy. Za nim, zamykając sobą luk, stanęło jednocześnie czterech niższych oficerów, krańcowo bacnych, eskorta Fatum.

Więc, uciec nie sposób. To wezwanie musiało być uprzednio drobiazgowo ułożone: „Panie, ma pan przed sobą kapitana Fremizon z wojsk kolonjalnych! W imieniu mych kolegów i pasażerów tego statku, słusznie oburzonych pańskim niemożliwym zachowaniem się, mam zaszczyt żądać od pana zadośćuczynienia!... Pewne słowa, które pan puszczał pod naszym adresem po pańskim wyjeździe z Marsylji, nie mogą być tolerowa-

ne!... Oto moment, panie, wypowiedzieć nagłos swe pretensje! Obwieścić to co pan sromotnie, pocichu opowiada od trzech tygodni! Powiedzieć nam wreszcie, co pan myśli...“

Słyszając te słowa, doznałem olbrzymiej ulgi. Lękałem się jakiegoś skazania na śmierć, którego nie można odparować, lecz oni dawali mi sposób, skoro kapitan tak mówił, wymknęcia się im. Rzuciłem się na tę gratkę. Wszelka możliwość tchórzostwa staje się wspaniałą nadzieją dla tego kto się na tem rozumie. Takie jest moje zdanie. Nie trzeba być nigdy wybrednym co do środka ocalenia się od wyprucia flaków, ani też tracić czas na szukanie powodów prześladowania, którego się jest przedmiotem. Uciec przed nim wystarczy mędr-cowi.

— Panie kapitanie! odpowiedziałem mu z całą mocą przekonania w głosie, na jaką mogłem się zdobyć w owej chwili, jakąż niesłychaną omyłkę chciał pan popełnić! Pan! Ja! Jak można przypisywać mi zdolność do podobnej perfidji! Doprawdy, to nadmiar niesprawiedliwości! Ja to odchoruję, kapitanie! Jakto? Ja, wczoraj jeszcze obrońca naszej drogiej ojczyzny! Ja, którego krew mieszała się z waszą lata całe podczas niezapomnianych walk! Jakąż krzywdą chciał mnie pan powalić, kapitanie!

Potem, zwracając się do całej grupy:

— Jakiejż ohydnej obmowy staliście się, panowie, ofiarami? Posunąć się aż do tego, żeby myśleć, iż ja, wasz brat ostatecznie, uparłem się szerzyć plugawe potwarze o bohaterskich oficerach! Tego za wiele! Doprawdy, tego to za wiele! I to właśnie w chwili, kiedy te zuchy, te niezrównane zuchy szykują się do ob-

jęcia nanowo, i z jakimż męstwem, świętej straży nad naszym nieśmiertelnym imperjum kolonialnym! ciągnąłem. — Tam, gdzie najwspanialszy żołnierz naszej rasy okryli się wiekiową chwałą! Mangin'owie! Faidherbe'y, Gallièni'owie!... Och, kapitanie! Ja? Coś takiego?

Zawiesiłem głos. Spodziewałem się, że będę wzruszający. Na moje szczęście, byłem nim przez chwilę. Nie zwlekając więc, korzystając z tego zawieszenia broni w bredzeniu, podszedłem wprost do niego i mocno ująłem obie jego dłonie w uścisku wzruszenia.

Byłem trochę spokojny, ściskając jego rękę w swoich. Nie wypuszczając ich, w dalszym ciągu tłumaczyłem się, nie szczędząc słów i po tysiącokrotnie przyznając mu rację, zapewniałem go, że między nami wszystko jest jeszcze do naprawienia, i tym razem nadobrze! Że tylko wrodzona mi, głupia nieśmiałość była źródłem tej fantastycznej pomyłki! Że, oczywiście, moje zachowanie się mogło być interpretowane jako niepojęte lekceważenie przez tę grupę pasażerów i pasażerek „bohaterów i czarodziejów, pomieszanych ze sobą... Opatrznościowe zebranie się wielkich charakterów i talentów... Nie zapominając o damach, niezrównanych muzyczkach, tych ozdobach statku!...” Rozwodząc się szeroko w swym publicznym odwołaniu, prosiłem w konkluzji, żeby przyjęto mnie, bez odraczania i bez żadnych zastrzeżeń, na łono ich radosnej grupy, patriotycznej i braterskiej... Gdzie zależało mi bardzo, od tam i na zawsze, być mile widzianą osobą... Nie puszczając jego rąk, ma się rozumieć, rozplątywałem się w elokwencji.

Póki wojskowy nie zabija, jest jak dziecko. Łatwo go zabawić. Nienawykły do myślenia, gdy się z nim

mówi, musi, żeby was zrozumieć, zdecydować się na ciężkie wysiłki mózgu. Kapitan Frémizon nie zabijał mnie, nie był też pod dobrą datą, nie robił nic z rękami, ani z nogami, usiłował tylko myśleć. To było niesłychanie za wiele dla niego. W gruncie rzeczy, ja trzymałem go za łeb.

Stopniowo, podczas trwania tej próby upokorzenia się, czułem, że moja miłość własna jest gotowa ze mną zerwać, zamazuje się we mnie jeszcze bardziej, a potem puści mnie kantem, porzuci zupełnie, by tak rzec, oficjalnie. Można się oburzać, ale to jest moment bardzo przyjemny. Od czasu tego wydarzenia zostałem na zawsze bezmiernie wolny i lekki, w sensie moralnym. Być może, człowiek najczęściej potrzebuje strachu, żeby dać sobie radę w życiu. Co do mnie, nigdy nie chciałem od tego dnia innej broni, ani innej cnoty.

Koledzy niezdecydowanego wojaka, teraz też przybyli tu umyślnie, żeby wytrzeć moją krew i zagrać w kości moimi rozsypanymi zębami, musieli za cały tryumf zadowolić się chwytnością w powietrzu słów. Cywile, którzy się zbiegli, drżąc z niecierpliwości na wiadomość o zapowiedzianej kaźni, mieli rzadkie miny. Ponieważ nie wiedziałem dobrze, co bąbałem, z wyjątkiem trzymania się z całych sił nuty lirycznej, wciąż ściskając rękę kapitana, wlepiłem wzrok w jakiś punkt idealny w miękkiej mgłę, przez którą posuwał się naprzód „Admirał Bragueton“, sapiąc i plując za każdym obrotem śruby. Wreszcie, zaryzykowałem, żeby skończyć, zrobić jednym ramieniem młynca nad głową i, puszczając jedną rękę kapitana, tylko jedną, palnąłem tak: „Panowie oficerowie, czyż ludzie waleczni zawsze koniec końców nie dojdą do porozumienia? Więc

niech żyje Francja, do pioruna! Niech żyje Francja!“ To był trik sierżanta Brandelore’a. Nie zawiódł jeszcze i tym razem. To był jedyny raz, kiedy Francja ocaliła mi życie, dotychczas było raczej przeciwnie. Zauważyłem wśród audytorjum chwilę wahania, ale mimo wszystko bardzo trudno jest oficerowi, choćby był nie wiem jak źle usposobiony, policzkować cywila, publicznie, w momencie gdy ten woła tak głośno, jak ja to zrobiłem: „Niech żyje Francja!“ To zawahanie ocaliło mnie.

Chwyciłem na chybił trafił dwa ramiona w grupie oficerów i zaprosiłem wszystkich do baru wypić za moje zdrowie i oblać nasze pojednanie. Te zuchy opierały się tylko minutę i piliśmy potem dwie godziny. Tylko samice okrętowe śledziły nas oczami, milczące i stopniowo rozczarowane. Przez iluminatory baru widziałem między innymi zajadłą pianistkę — nauczycielkę, jak kręciła się w grupie pasażerek, wychodząc i wracając, hjena. Te dziwki naturalnie podejrzewały, że wymknąłem się z zasadzki jakimś fortem, i obiecywały sobie złapać mnie jeszcze na zakręcie. Tymczasem my, mężczyźni, wstawialiśmy bez końca, pod niepotrzebnym lecz ogłupiającym wentylatorem, mielącym od wysp Kanaryjskich ciepłą bawełnę atmosferyczną. Musiałem ponadto jeszcze odnaleźć w sobie werwę, swadę, któraby przypadła do gustu moim nowym przyjaciółom, łatwość obejścia z nimi. Nie ustawałem ani na chwilę, z obawy sypnięcia się, w admiracji patryjotycznej, prosiłem i ponawiałem prośby, żeby każdy z tych bohaterów opowiedział mi z kolei historję, i jeszcze, i jeszcze, o swej brawurze kolonialnej. To tak jak sprośne anegdoty, historje brawury, to zawsze

się podoba wszystkim wojskowym wszystkich krajów. W gruncie rzeczy, żeby uzyskać rodzaj pokoju z ludźmi, oficerami czy nie, zawieszenie broni, kručze wprawdzie, ale jednak cenne, trzeba im pozwolić, w każdej okoliczności, rozwalać się, tarzać w głupkowatych przechwałkach. Niema próżności inteligentnej. To jest instynkt. Niema też człowieka, któryby nie był przede wszystkim próżny. Rola zachwyconego sprośniarza jest niemal jedyna, w jakiej ludzie tolerują się wzajem z pewną przyjemnością. Z tymi żołnierzami nie potrzebowałem zbytnio wysilać swej wyobraźni. Wystarczało robić bezustanku zachwyconego. To łatwa rzecz domagać się i nie mieć nigdy dosyć historyj z wojny. Ci moi kompanowie byli niemi naszpikowani. Mogło mi wydawać się, że powróciłem do najpiękniejszych dni szpitalnych. Po każdej ich opowieści nie omieszkałem wyrazić swej oceny, jak tego się nauczyłem od Brandelore’a, jakimś mocnem zdaniem: „To rozumiem, to jest naprawdę piękna karta dziejów!“ Niema lepszej formuły. Kółko, do którego się tak ukradkiem przyłączyłem, powoli uznało we mnie człowieka interesującego. Ci ludzie zaczęli opowiadać w związku z wojną tyle bujdy, ile ich kiedyś słyszałem, a potem sam opowiadałem, gdy rzekomo konkurowałem z mymi kompanami w szpitalu. Tyle że ramy tutaj były odmienne, i ich brechty rozgrywały się na tle puszcz kongolańskich, zamiast w Wogezach czy we Flandrji.

Mój kapitan Frémizon, ten który jeszcze przed chwilą wyznaczał siebie do oczyszczenia pokładu z mej zgniętej obecności, skoro stwierdził mój sposób słuchania, uważniejszy niż u kogokolwiek, zaczął odkrywać we mnie mnóstwo cech sympatycznych. Napływ krwi

do tętnic jakby nabrał giętkości pod wpływem mych oryginalnych pochwał, wzrok jego rozjaśniał się, prążkowane i przekrwione oczy nałogowego alkoholika zaczęły nawet iskrzyć się poprzez otepienie, i te kilka wątpliwości, które w głębi duszy mógł mieć co do własnej wartości i które muskały go jeszcze w chwilach wielkiej depresji, rozchwiały się na jakiś czas, przedziwnie, pod cudownym wpływem mych inteligentnych i trafnych komentarzy.

Stanowczo, byłem twórcą euforji!¹ Klepaliśmy się z całych sił po udach! Ja tylko potrafiłem uczynić życie przyjemnem, mimo tej całej atmosfery przedśmiertnych potów! Czyż zresztą nie umiałem słuchać w sposób czarujący?

Gdyśmy tak bredzili, „Admirał Bragueton“ szedł jeszcze ospalej, zwalniał tempo poruszania się w swym sosie; ani atomu ruchomego powietrza dokoła, musieliśmy płynąć wzdłuż wybrzeża i tak ciężko, że zdawało się, iż posuwamy się w melasie.

Melasa była też niebo ponad bordażem, nic jeno czarny, pęknięty plaster, ku któremu zerkałem pożądliwie. Powrócić w mrok było mojem największem teraz pragnieniem, nawet pocąc się i stękając, zresztą w jakimbądź stanie! Frémizon gadał o sobie bez końca. Łąd wydawał mi się bardzo bliski, ale mój plan eskapady budził we mnie wiele niepokoju... Stopniowo nasza rozmowa przestała być wojskową, żeby stać się swobodną a potem jawnie świńską, wreszcie tak bezładną, że niewiadomo już było, za co się zaczepić, by ją prowadzić dalej; moi goście, jeden po drugim, rezygnowali z te-

¹ Euforja — dobre samopoczucie. *Przyp. tłum.*

go i posnęli, chrapanie zważyło się na nich, wstrętny sen, drapiący im głębie nosa. Był to moment żeby uciec, teraz lub nigdy. Nie trzeba czekać aż minie ta przerwa w okrucieństwie, którą mimo wszystko natura narzuca organizmom najbardziej występny i najbardziej napaśtniczym na tym świecie.

Staliśmy teraz na kotwicy, w bardzo małej odległości od brzegu.

Wzdłuż statku niebawem zaczęły się tłoczyć dziesiątki chwiejnych piróg, napełnionych wrzeszczącymi murzynami. Ci czarni oblegli wszystkie pokłady, ofiarowując swe usługi. W kilka chwil zaniosłem do schodów wiszących swe manatki, chyłkiem zapakowane i zmiotłem za jednym z tych przewoźników, którego rysy i chód kryła przede mną prawie całkiem ciemność. Na dole schodków, na poziomie pluskającej wody, zatroszczyłem się o to, dokąd jedziemy.

— Gdzie my jesteśmy? zapytałem.

— W Bambola-Fort-Gono! odrzekł mi ten cień.

Zaczęliśmy płynąć swobodnie przy silnych uderzeniach pagaju¹. Pomagałem mu, żeby było prędeej.

Zdażyłem ujrzeć raz jeszcze, uciekając, swych niebezpiecznych towarzyszy podróży. Przy blasku latarni międzypokładowych, zmiżdżeni wreszcie otepieniem i chorobami żołądka, fermentowali dalej, chrząkając przez sen. Obżarci, porozwalani, wszyscy byli teraz do siebie podobni, oficerowie, urzędnicy, inżynierowie i handlarze, krostowaci, z brzuchami, oliwkowi, pomie-

¹ Pagaj — wiosło-żerdź, używane przy pirogach w krajach tropikalnych. — *Przyp. tłum.*

szani razem, prawie identyczni. Psy podobne są do wilków, kiedy śpią.

Niebawem zetknąłem się znowu z ziemią i z nocą, jeszcze gęstszą pod drzewami, a potem poza nocą, z jej współniczką w knowaniach, z ciszą.

W tej kolonji Bambola-Bragamance ponad wszystkimi królował Gubernator. Jego wojskowi i urzędnicy wstrzymywali dech w piersiach, gdy raczył zniżyć swój wzrok aż do ich osób.

Jeszcze znacznie poniżej tych notablów osiedli tutaj kupcy, zda się, kradli i prosperowali łatwiej niż w Europie. Nie było jednego orzecha kokosowego, jednej kakahuety¹, na całym terytorjum, któreby ocalały przed ich grabieżą. Urzędnicy coraz lepiej rozumieli, im bardziej byli zmęczeni i chorzy, że nabito ich porządnie w butelkę, sprowadzając tutaj, żeby im dać w rezultacie tylko naszywki i formularze do wypełniania i prawie nic forsy przy tem. To też wilkiem patrzyli na kupców. Element wojskowy, jeszcze bardziej otepiały niż dwa tamte, obżerał się sławą kolonjalną i, żeby ją łatwiej przelknąć, łykał z tem dużo chininy i kilometry Regulaminów.

Wszyscy stawali się, to się łatwo rozumie, pod wpływem ciągłego wyczekiwania, kiedy barometr spadnie, coraz większymi bydlakami. I wrogość pojedyncza i zbiorowa trwały bez końca i skrycie między wojskowymi a administracją, dalej między nią a kupcami, dalej jeszcze między tymi, chwilowo sprzymierzonymi przeciw tamtym, i dalej wszystkich przeciw murzynowi, a wreszcie murzynów między sobą. W ten sposób

¹ Cacahuète — nazwa pospolita owocu orzecha ziemnego.
Przyp. tłum.

te rzadkie energje, które uniknęły gorączki błotnej, pragnienia, działania skwaru, trawiły się w nienawiści tak kaśliwej, tak zacieklej, że wielu osadników zdychało wreszcie z niej na miejscu, zatrutych własnym jadem, jak skorpiony.

W każdym razie, ta zjadliwa anarchja była zamknięta w hermetycznych ramach, policyjnych, jak kraby w koszyku. Napróżno pienili się urzędnicy, Gubernator zresztą umiał zwerbować, dla utrzymania swej kolonji w posłuszeństwie, wszystkich potrzebnych mu zawsze milicjantów, to znaczy tyluż zadłużonych negrów, których nędza pędziła tysiącami ku wybrzeżu, ofiary handlu, przybyłe w poszukiwaniu łyżki strawy. Tych rekrutów uczono prawa i sposobu podziwiania Gubernatora. Gubernator tak wyglądał, jakby miał na swym mundurze wszystko złoto swych finansów, a gdy słońce na to padało, to było coś nad podziw wspaniałego, nie licząc piór.

Co roku fundował sobie Gubernator wyjazd do Vichy i czytał tylko „Dziennik Urzędowy“. Wielu urzędników żyło nadzieją, że któregoś dnia będzie spał z jego żoną, ale Gubernator nie lubił kobiet. Nic nie lubił. Każdą nową epidemję żółtej febry Gubernator przetrzymywał jakby dzięki czarom, podczas gdy tylu ludzi, którzy pragnęli go pochować, zdychało jak muchy przy pierwszej zarazie.

Pamiętano, że któregoś „Czternastego lipca“, kiedy przejeżdżał przed frontem wojsk Rezydentury, harcując wśród spahisów swej gwardji, sam na przedzie przed sztandarem, o, takim wielkim! jakiś sierżant, podniecony zapewne gorączką, rzucił się przed jego konia, z krzykiem: „Precz, wielki rogaczu!“ Podobno Guber-

nator był bardzo przejęty tym swego rodzaju zamachem, który zresztą pozostał niewyjaśniony.

Trudno jest patrzeć sumiennie na ludzi i rzeczy tropikalne, z powodu barw, jakie wydzielają. Kolory i rzeczy są w stanie wrzenia. Otwarte pudełko sardynek w samo południe na szosie rzuca tyle różnych refleksów, że dla oczu nabiera wagi wypadku. Trzeba uważać. Tam są sami histerycy, rzeczy też się stają historyczne. Życie staje się możliwe dopiero gdy noc zapadnie, a i wówczas mrok zagarniają sobie prawie natychmiast roje komarów. Nie jeden, dwa, sto, całe miljarde. Wyjść obronną ręką w takich warunkach staje się majstersztykiem ochrony. W dzień spiekota, w nocy pot warząchwia zbierać — cicha wojna.

Kiedy w chacie, gdzie człowiek się skrył, a gdzie powietrze jest prawie możliwe, nareszcie robi się cicho, termity rozpoczynają swe prace budowlane, zajęte wiecznie, plugawe stwory, przegryzaniem wam słupów chałupy. Niech tylko uderzy wichura w tę zdradziecką koronkę, a całe ulice rozwieją się.

Miasto Fort-Gono, gdzie osiadł na mieliźnie, rozsiadło się tedy, niepewna stolica Bragamance'y, między morzem a puszcza, ale jednak zaopatrzone ozdobnie w tyle ile potrzeba banków, burdeli, kawiarni, wend, a nawet w biuro werbunkowe, żeby robić małą metropolję, nie zapominając o skwerze Faidherbe¹ i bulwarze Bugeaud² do spacerowania, zespół jasno-

¹ Generał francuski, który zorganizował kolonję Senegal, zręcznie (habilement) — jak powiada Larousse.

² Bugeaud de la Piconnerie, duc d'Isly, maréchal de France — tak brzmi pełne jego nazwisko i tytuły. Polem jego działalności kolonialnej był Algier. Pod Isly sprął Marokańczyków (stąd „duc

czerwonych, rzuconych wśród chropowatych urwisk budynków, nafaszerowanych larwami, z podłogami, wydeptanymi przez pokolenia garnizonowych żołnierzy i administratorów z wyciętą śledziona.

Żywioł wojskowy, około piątej hałasował przy aperitiwach, napojach, których ceny, właśnie gdy przybyłem, podniesiono. Delegacja klientów miała prosić Gubernatora o wydanie zakazu tak bezceremonjalnego traktowania przez szynkarzy cen absyntu i kassisu. Jeśli wierzyć niektórym stałym bywalcom, nasza kolonizacja stawała się coraz uciążliwsza z powodu lodu. Wprowadzenie do kolonji lodu, to fakt, stało się sygnałem zniewieściałości kolonizatora. Przypięty odtąd do swego mrożonego aperitiwu z nałogu, kolonizator musiał zrezygnować z panowania nad klimatem samą siłą stoicyzmu. Faidherbe'y, Stanley'e, Marchand'y, zauważmy to mimochodem, cenili tylko piwo, wino i letnią błotnistą wodę, co pili latami, nie skarżąc się. W tem cała rzecz. Oto jak się traci kolonje.

Dowiedziałem się jeszcze wielu innych rzeczy pod osłoną palm, które, przez kontrast potężnych soków, rozrastały się wzdłuż tych ulic o kruchych domostwach. Jedyne ta surowość niesłychanej zieleni sprawiała, że ta miejscowość nie była kubek w kubek podobna do Garenne-Bezons.¹

Gdy noc zapadła, zaczepianie przez tubylców rozwinęło się na całego, wśród chmurek komarów, pracowitych i obładowanych żółtą febrą. Posiłkowe żywioły

d'Isly" — według starych, napoleońskich tradycji, choć bitwy tej data: 1844).

¹ Pod Paryżem. *Przyp. tłum.*

sudańskie¹ ofiarowywały przechodniowi to co miały najlepszego pod przepaską. Za bardzo przystępną cenę można było zafundować sobie całą rodzinę na godzinę lub dwie. Chętniebym się lajdaczył z obu płciami, ale musiał się zdecydować na poszukanie sobie miejsca, gdzie dostałbym jakąś pracę.

Dyrektor Compagnie Pordurière² du Petit Congo szukał, zapewniono mnie, początkującego urzędnika do zarządu jedną z jego faktoryj w lasach. Nie zwlekając udałem się do niego ofiarować mu swe niekompetentne ale gorliwe usługi. Przyjęcie, jakie mi zgotował dyrektor, nie było zachwycające. Ten manjak — trzeba go nazwać właściwym imieniem — zamieszkiwał, niedaleko siedziby Rządu, pawilon, obszerny, wzniesiony na podwalinach z drzewa i słomy z gliną. Nie spojrzawszy jeszcze na mnie, zadał mi kilka pytań bardzo brutalnych co do mej przeszłości, potem gdy się nieco uspokoił naiwnością mych odpowiedzi, jego pogarda dla mej osoby przyjęła zabarwienie pewnej pobłażliwości. Jednak nie uważał za stosowne poprosić mnie, żebym usiadł.

— Według pańskich papierów zna się pan trochę na medycynie? zauważył.

Odpowiedziałem mu, że istotnie podjąłem pewne studia w tej dziedzinie.

— No, to się panu przyda! rzekł. Chce pan whisky? Nie piłem. „Może pan zapali?“ Znowu odmówiłem. Ta abstynencja zaskoczyła go. Nawet się skrzywił.

¹ Zdaniem świadomych rzeczy, mieszkanki Sudanu są ładniejsze od murzynek Afryki Centralnej.

² Nazwa złośliwa, od „ordure“ (śmiecie, paskudztwo). *Przyp. tłum.*

— Niebardzo lubię pracowników, którzy ani nie piją, ani nie palą... Może pan jest przypadkiem pederastą?... Nie? Szkoda!... Te typy mniej nas okradają niż inni... Mówię to z doświadczenia... Przywiązują się... Ostatecznie, raczył się pomiarkować, naogół wydaje mi się, że zauważył tę cechę u pederastów, tę zaletę... Pan może nam dowiedzie czegoś wręcz przeciwnego!... A potem, nawiązując: Gorąco panu, co? Przywyknie pan! Zresztą, będzie pan musiał przywyknąć! A jakże podróż?

— Nieprzyjemna! odparłem.

— Więc, drogi panie, nic pan jeszcze nie widział, będzie pan miał pojęcie o kraju po spędzeniu roku w Bikomimbo, dokąd pana posyłam na miejsce tamtego faceta...

Jego murzynka, siedząc w kucki obok stołu, obmacywała sobie stopy i czyściła je drewnianym.

— Rusz że się, klempo! rzucił jej pan. Idź po boya! I razem lodu!

Żądany boy zjawił się po długim czekaniu. Wówczas dyrektor, podrażniony, wstał i, żeby sobie ulżyć, przyjął go dwoma potężnymi uderzeniami w pysk i dwoma kopniakami w podbrzusze, aż jęknął.

— Ci ludzie doprowadzą mnie do tego, że kitę odwalę, taki będzie koniec! przepowiedział dyrektor, sapiąc. Osunął się w fotel, obity złotem płótnem, brudnym i pofałdowanym.

— Mój kochany, rzekł, raptem mile familjarny i jakby uwolniony od jakiegoś ucisku na pewien czas popełnioną brutalnością, podaj mi szpicrutę i chininę... na stole... Nie powinienem się tak irytować... To jest idjotyczne dać się ponosić temperamentowi...

Z jego domu widać było w dole port rzeczny, migocący poprzez kurz tak gęsty, tak zwarty, że lepiej było słyszeć tłukące się odgłosy pracy na rzece niż widać szczegóły portu. Sznury murzynów na brzegu, jazgocząc mordowały się, wyładowując, jeden po drugim, statki nigdy nie próżne, wspinając się na dygocące i wątle kładki, z wielkimi pełnemi koszami na głowie, dla równowagi, wśród klątw, niby jakieś pionowe mrówki.

Szło to i wracało urywanymi szeregami, w szkarłatnym tumanie. Śród tych pracujących postaci, niektóre niosły ponadto mały czarny punkt na plecach, to były matki, które też przychodziły taszczyć worki kapusty palmowej, ze swemi dziećmi, jako ciężarem dodatkowym. Zadaję sobie pytanie, czy mrówki mogą tak pracować.

— Pomyślałby kto, że tu jest stale niedziela, czy nie?... powiedział, zerkając, dyrektor. Wesole! Jasno! Samice zawsze gołe. Zwrócił pan uwagę? I piękne samice, co? To zabawnie wygląda, jak się przybywa z Paryża, nieprawdaż? A my, mężczyźni! Zawsze w białym drelichu! Jak w kąpielach morskich! Czy się nie pięknie wygląda tak? Jakby się szło do komunji, co! Tu jest zawsze święto, powiadam panu! Istny piętnasty sierpnia! I tak jest aż do Sahary! Pomyśl pan!

Potem przestał gadać, wzdychał, chrząkał, powtórzył jeszcze dwa, trzy razy „Cholera!“, ocierał pot i ciągnął dalej rozmowę.

— Tam, gdzie pan się udaje dla Towarzystwa, to jest w głębi puszczy, wilgoć... O dziesięć dni stąd... Naprzód morze... A potem rzeka. Rzeka zupełnie czerwona, zobaczy pan. A po drugiej stronie są Hiszpanie...

Ten, którego pan ma zastąpić w tej faktorji, to wielki drań, niech pan to sobie dobrze zapamięta... Między nami... Powiadam panu... Niema na niego sposobu, żeby mi nadesłał rachunki, ten hycel! Niema sposobu! Posyłam mu i posyłam wezwania — nic!... Człowiek nie jest długo uczciwy, gdy jest sam, co tu gadać! Zobaczy pan!... Pan też to zobaczy!... Píše nam, że jest chory! Owszem! Chory! Ja też jestem chory! Co to znaczy chory? Wszyscy tu jesteśmy chorzy! Pan też będzie chory i w dodatku niezadługo! To nie żadna racja! Gwiżdżę na to, że jest chory!... Przedewszystkiem Towarzystwo! Przybywszy na miejsce, zrób pan jego inwentarz, to pierwsza rzecz!... Żywności jest w jego faktorji na trzy miesiące, a towaru conajmniej na rok... Nie zabraknie go panu!... Niech pan zwłaszcza nie jedzie tam w nocy... Miej się pan na baczności! Jego murzyni, których przyśle, żeby pana zabrali z morza, może cisną pana do wody. On musiał ich wytresować! To są takie same łotry jak on! Niema obawy! Musiał szepnąć swym murzynom dwa słówka o panu!... To się tutaj praktykuje! Niech pan też zabierze ze sobą swoją chininę, swoją własną, przed wyjazdem.. On jest zdolny wsypać coś do swojej!

Dyrektor dość miał dawania mi rad, wstał żeby się ze mną pożegnać. Dach z blachy nad nami, zdawało się, ważył conajmniej dwa tysiące tonn, taki ciężar żaru trzymała nad nami ta blacha. Obadwaj wykrzywialiśmy się, że taki upał. Można było zdechnąć na miejscu. Dodał:

— Może nie warto widzieć się jeszcze raz przed pańskim wyjazdem, Bardamu! Tutaj wszystko męczy! Ostatecznie, może przyjdę jednak dopilnować czego

trzeba przy składach, przed pańskim odjazdem!... Napisze się do pana, gdy pan będzie na miejscu... Poczta jest raz na miesiąc... Odchodzi stąd... No, powodzenia!...

I znikł w swym cieniu, między kaskiem a marynarką. Widać mu było wyraźnie ścięgnię szyi, z tyłu, wparte łukiem, jak dwa palce, w głowę. Raz jeszcze się obrócił:

— Niech pan powie tamtemu bubkowi, żeby tu się stawił coprędzej!... Że mam mu parę słów do powiedzenia!... Żeby nie tracił czasu w drodze! A, ścierwo! Trzebaby tylko, żeby zdechł w drodze!...Byłaby szkoda! Wielka szkoda! A, hycel!

Murzyn z jego służby poprzedzał mnie z dużą latarnią, żeby mnie zaprowadzić do miejsca, gdzie miałem się ulokować, czekając na wyjazd do tego rozkosznego obiecanego Bikomimbo.

Szliśmy alejami, gdzie wszyscy wyglądali tak jakby wyszli się przejść o zmroku. Wszędzie była ciemność, rozbijana rytmicznie gongami, pocięta śpiewami, skurczonemi i bezładnemi jak czkawka, gruba czarna noc gorących krajów z brutalnem sercem, bijącym swe tam-tam zawsze za przędko.

Mój młody przewodnik sunął zwinnie na nagich stopach. W krzakach musieli być Europejczycy, na rozpuście, dochodziły stamtąd ich głosy białych, łatwe do rozróżnienia, zaczepne, sfalszowane. Nietoperze bez przerwy latały, brózdziły powietrze wśród rojów owadów, które nasze światło ściągało po drodze. Pod każdym liściem musiał się chować przynajmniej jeden świerszcz, sądząc po ogłuszającym harmidrze, jaki razem wyprawiały.

Na skrzyżowaniu dwóch dróg, na połowie wysokości jakiegoś wzgórza, zostaliśmy zatrzymani przez grupę strzelców-tubylców, rozprawiających obok postawionej na ziemi trumny, okrytej szeroką falistą flagą trójbarwną.

Był to zmarły w szpitalu, którego nie wiedzieli dobrze gdzie pochować. Dyspozycje były niejasne. Jedni chcieli go pogrzebać na jednym z pól w dole, drudzy byli stanowczo za ogrodzonym miejscem na samym szczycie zbocza. Trzeba było się porozumieć. My też, boy i ja, mieliśmy słówko do powiedzenia w tej sprawie.

Wreszcie tragarze zdecydowali się raczej na ten cmentarz w dole, niż tamten w górze, ze względu na zejście. Po drodze spotkaliśmy jeszcze trzech młodzieńców białej rasy, z tych co w niedzielę chodzą na mecze rugby w Europie, widzowie roznamiętnieni, zaczepni i bladawi. Należeli oni tutaj, urzędnicy jak i ja, do Towarzystwa Pordurière i wskazali mi bardzo uprzejmie drogę do tego niedokończonego domu, gdzie stało chwilowo moje łóżko składane i przenośne.

Poszliśmy tam. Ten budynek był dokładnie pusty, poza kilku statkami w kuchni i moim łóżkiem. Ledwom się wyciągnął na tej rzeczy nitkowatej i chwiejnej, dwadzieścia nietoperzy wylazło z kątów i zaczęło latać z szelestem tam i z powrotem, niczem tyleż salw wachlarzy, ponad moim trwożnym spoczynkiem.

Murzynek, mój przewodnik, powrócił ofiarować mi swe intymne usługi, a że tego wieczoru nie byłem w odpowiednim nastroju, ofiarował się natychmiast, zawiedziony, sprowadzić mi swoją siostrę. Rad byłbym wiedzieć, jak mógł ją znaleźć w takich ciemnościach.

Tam-tam pobliskiej wioski, drobne stakkato, wrywało mi cierpliwość po kawałku. Setki skwapliwych komarów bez zwłoki wzięły w posiadanie moje uda, a ja mimo to nie śmiałem postawić stopy na ziemi z powodu skorpionów i jadowitych węży, których wstrętne łowy, przypuszczałem, już się rozpoczęły. Węże miały duży wybór szczurów, słyszałem jak chrupały szczury, wszystko co mogło za nie uchodzić, słyszałem je przy ścianie, na podłodze, słyszałem, jak trzęsły się u podłogi.

Wreszcie wytoczył się księżyc, i uspokoiło się trochę w budzie. W rezultacie, nie było znów tak dobrze żyć w kolonjach.

Nazajutrz wrócił jednak ten kocioł. Straszliwa chęć powrotu do Europy ogarnęła mi ciało i duszę. Brakowało mi tylko pieniędzy, żeby zwiać. To wystarczy. Z drugiej strony pozostawał mi tylko tydzień pobytu w Fort-Gono przed wyruszeniem na moją posadę w Bikomimbo, o tak ponętym opisie.

Największy budynek w Fort-Gono, po Pałacu Gubernatora, to Szpital. Wszędzie był na mej drodze; nie mogłem zrobić stu metrów w mieście, żeby się nie natknąć na który z jego pawilonów, o odległej woni karbolu. Czasem zapuszczałem się aż na nabrzeża portowe, żeby popatrzeć, jak pracują na miejscu moi mali anemiczni koledzy, w których Towarzystwo Pordurière zaopatrywało się we Francji za pośrednictwem patronatów. Jakiś wojowniczy pośpiech zdawał się ich ogarniać, żeby bez przerwy brać się do wyładowywania i ładowania statków towarowych, jeden po drugim. „To tak drogo kosztuje statek towarowy na redzie!”

powtarzali, szczerze przejęci, tak jakby to o ich pieniądze chodziło.

Nękali tragarzy z furją. Gorliwi to oni byli, bez kwestji, i równie tchórzliwi i źli, jak gorliwi. Słowem, pracownicy jak złoto, sam kwiat, o entuzjastycznej nieświadomości, że trudno marzyć o lepszych. Tacy synowie, jakiego ubóstwiałaby moja matka, gdyby go miała, z zapalem służący swym chlebodawcom, taki syn dla niej samej tylko, taki którym możnaby się pochwalić przed całym światem, syn całkowicie prawowity.

Przybyli do Afryki podzwrotnikowej, ci mali ledwie naszkicowani ludzie, ofiarować chlebodawcom swe ciało, krew, życie, młodość, męczennicy za dwadzieścia dwa franki dziennie (minus potrącenia), zadowoleni, mimo wszystko zadowoleni, aż do ostatniego czerwonego ciałka krwi, na które czyhał dziesięciomiljonowy komar.

Kolonja albo rozdyma albo wysusza tych małych urzędniczków, ale trzyma ich w mocy; są tylko dwie drogi, żeby wyciągnąć kopyta pod słońcem tropikalnym, droga tłusta i droga chuda. Innej niema. Można by wybierać, ale to zależy od wrodzonej skłonności, roztyć się albo zdechnąć, mając tylko skórę i kości.

Dyrektor, tam na górze, na czerwonym urwisku, miotający się, jak sam djabeł, ze swoją murzynką, pod dachem z blachy o dziesięciu tysiącach kilo słońca, też nie uniknie swego terminu płatności. To był gatunek chudy. On tylko się jeszcze szarpał. Pozornie, panował nad klimatem. Złudzenie! W rzeczywistości, kruszał bardziej jeszcze niż inni.

Mówiono, że miał on swój plan wspianego oszu-

stwa, żeby zbić majątek w dwa lata... Ale nie zdążyłby nigdy zrealizować swego planu, choćby przykładał się dzień i noc do oszukiwania Towarzystwa. Dwudziestu dwu dyrektorów próbowało już przed nim zrobić majątek, każdy przy pomocy swego planu, jak w rulecie. Wszystko to było dobrze znane akcjonariuszom, którzy stamtąd, z jeszcze wyższego miejsca, z rue Moncey w Paryżu, śledzili dyrektora i uśmiechali się na jego plany. To wszystko była dziecinada. Wiedzieli dobrze akcjonariusze, ci najwięksi bandyci, i to, że ich dyrektor był syfilitykiem i że się straszliwie męczył pod zwrotnikami i że opychał się chininą i bizmutem, tak że mu mogły popękać bębunki w uszach, i arsenikiem, że mogły mu powypadać wszystkie dziąsła.

W głównej buchalterji Towarzystwa miesiące dyrektora były policzone, i policzone jak miesiące karmnego wieprza.

Moi mali koledzy zgoła nie wymieniali między sobą myśli. Same tylko formuły, ustalone, upieczone i odgrzewane, niby jakieś grzanki myślowe. „Nie trzeba się przejmować!“ powiadali. „Wpadną w nasze ręce!“...¹ „Agent generalny ma rogi!...“ „Negrów trzeba pokrajać na kapciuchy do tytoniu!“ i t. p.

Wieczorami spotykaliśmy się w knajpie, po wykonaniu ostatnich robót pańszczyźnianych, z „siłą pomocniczą“ w Administracji kolonji, niejakim p. Tandernot, rodem z La Rochelle. Tandernot trzymał sztambę z handlowcami poto tylko, żeby mu ktoś postawił parę kieliszków. Mus. Upadek. Nie miał nigdy grosza przy

¹ „On les aura!“ — popularne hasło patriotyczne z czasów wojny światowej, stosowane do „boszów“. *Przyř. tłum.*

duszy. Jego posadka była najniższa, jaka istniała w hierarchii urzędniczej kolonji. Funkcje jego polegały na kierowaniu budową dróg w głębi puszczy. Krajowcy pracowali tam pod kijem jego milicjantów, oczywiście. Ale że nigdy żaden z białych nie korzystał z nowych dróg, które tworzył Tandernot, a z drugiej strony murzyni woleli od nich swe ścieżki leśne, żeby ich trudniej było wykryć przy ściąganiu podatków, i że w gruncie rzeczy Tandernotowe drogi Administracji wiodły do nikąd, znikały pod zalewem roślinności bardzo szybko, prawdę mówiąc, z miesiąca na miesiąc.

— W ubiegłym roku straciłem 122 kilometry! chętnie przypominał nam ten fantastyczny pionier à propos swych dróg. — Możecie mi wierzyć, lub nie!...

W czasie mego pobytu odkryłem w Tandernocie jeden tylko objaw fanfaronady, skromnej próżności, że był on jedynym Europejczykiem, który mógł dostać kataru w Bragamance, przy 44 stopniach w cieniu... Ta oryginalność pocieszała go po wielu zawodach. „Znowu zakatarzyłem się jak krowa!“ oznajmił z pewną dumą przy aperitiwie. „To tylko mnie się przytrafia! — Ten Tandernot, co to za typ jednak!“ wołali członkowie naszej nędznej bandy. Taka satysfakcja była lepsza niż żadna. Gdy idzie o próżność, byle co jest lepsze niż nic.

Jedną z innych rozrywek grupy małych najmitów Towarzystwa Pordurière polegała na urządzeniu konkursów gorączki. To nie było trudne, ale wyzywano się wzajemnie na ten turniej po całych dniach, więc czas jakoś schodził. Gdy przychodził wieczór, a z nim i gorączka, prawie codzienna, mierzono ją. „Hm, mam

trzydzieści dziewięć!... Gwiżdż na to, ja mam czterdzieści, jak obszył!“

Te wyniki były zresztą zupełnie dokładne i regularne. Przy świetle fotoforów porównywano termometry. Zwycięzca tryumfował dygocąc. „Nie mogę już siusiać, tak się pocę!“ notował wiernie najbardziej wychudły ze wszystkich, szczupły kolega, z departamentu Ariège, champion febry, przybyły tutaj, zwierzył mi się, żeby uniknąć pobytu w seminarjum, gdzie „nie miał dość swobody“. Ale czas mijał a żaden z tych towarzyszy nie mógł mi powiedzieć, do jakiego gatunku oryginałów należało, ściśle mówiąc, indywiduum, które miałem zastąpić w Bikomimbo.

„To dziwny typ!“ uprzedzali mnie, i to było wszystko.

— Przy rozpoczynaniu pracy w kolonji, radził mi ten mały południowiec z wielką gorączką, trzeba dać poznać swe zalety! Albo, albo! Będiesz dla dyrektora samem złotem lub samym gnojem! I to zaraz, weź pod uwagę, wydany będzie o tobie sąd.

Bałem się, że, o ile o mnie idzie, będę zaliczony do „samym gnojem“ lub jeszcze gorzej.

Ci młodzi ludzie typu handlarzy niewolników, moi znajomi, zabrali mnie ze sobą na wizytę do innego kolegi z Towarzystwa Pordurière, o którym warto specjalnie wspomnieć w tej opowieści. Dzierżawca magazynu, w centrum dzielnicy europejskiej, zbutwiały i zgrzybiały z mordegi, lepki od potu, wystrzegał się wszelkiego światła z powodu swych oczu, które po dwóch latach nieustannego pieczenia pod falistą blachą stały się okrutnie suche. Mówiono, że potrzeba mu było dobre pół godziny rano, żeby je otworzyć i jeszcze

drugie pół godziny, zanim mógł jako tako widzieć temi oczami. Każdy promień światła raził go. Olbrzymi, bardzo parszywy kret.

Dusić się i cierpieć stało się dlań jakby drugą naturą, kraść również. Byłby zupełnie bezradny, gdyby ktoś go uczynił za jednym zamachem zdrowym i uczciwym. Jego nienawiść do dyrektora wydaje mi się dziś jeszcze, z takiej oddali czasu, jedną z najżywotniejszych namiętności, jakie było mi dane obserwować kiedykolwiek u ludzi. Zdumiewająca furja trzęsła nim, mimo cierpień fizycznych, gdy szło o dyrektora, i przy najmniejszej okazji wpadał w straszliwą wściekłość, drapiąc się zresztą przytem od góry do dołu.

Bez przerwy drapał się, że tak się wyrażę, ruchem dokolnym, od końca stosu pacierzowego do nasady szyi. Brózdził sobie naskórek i samą skórę w pręgi zakrwawionemi pazurami, co mu nie przeszkadzało obsługiwać klientów, licznych, prawie zawsze murzynów, mniej lub więcej nagich.

Swą wolną rękę zanurzał wówczas, zaaferowany, w różne skrytki, na prawo i na lewo, w mrocznym sklepie. Wyciągał z nich, nigdy się nie myląc, nad podziw zręczny i szybki, akurat to czego było potrzeba klientowi: tytoń w śmierdzących wiązkach, wilgotne zapalki, puszki sardynek, melasę nabieraną warzawkami, spirytusowane piwo w podrabianych flaszkiach, które raptem leciały mu na podłogę, gdy go porwał szal drapania się w głębinach portek. Zanurzał tam wówczas całe ramię, i niebawem wynurzało się ono przez rozporek, zawsze wpółotwarty dla pewności.

Tej chorobie, co mu żarła skórę, dawał miejscową nazwę „Corocoro“. „Ta cholera „Corocoro“!... Kiedy

pomyśle, że ten skurwysyn dyrektor nie złapał jeszcze „Corocoro“, unosił się, to mnie jeszcze więcej brzuch boli!... Nie przyjmie się na nim „Corocoro!... Jest za- nadto przegniły. To nie człowiek ten makrot, to sam smród!... To istne gówno!...“

Całe towarzystwo wybuchało śmiechem i murzyni- klijenci również, nie chcąc być gorsi. Trochę nas prze- raził ten kompan. Mimo wszystko miał on przyjaciela, był to ten mały człowieczek, dychawiczny i siwiejący, co był kierowcą ciężarówki Tow. Pordurière. Przynosił on nam zawsze lodu, oczywiście buchniętego tu i ow- dzie, na statkach u nabrzeża.

Trąciliśmy się kieliszkami za jego zdrowie na ladzie, przy czarnych klientach, którym aż ślina szła z za- zdrości. Ci klienci byli to murzyni, dość rozbawieni, żeby ośmielić się podejść do nas, krótko mówiąc, se- lekcja. Inni negrzy, mniej cwani, woleli trzymać się na uboczu. Instynkt.. Ale najbardziej okrzęsani, najbar- dziej zarażeni zostawali subjektami magazynu. W skle- pie sprzedawców-negrów można było rozpoznać po tem, że wymyślali ile wlaźło innym murzynom. Kolega z „corocoro“ kupował kauczuk na wywóz, surowy, któ- ry mu przynoszono z puszczy workami, w wilgotnych bryłach.

Kiedyśmy tam byli, nie mając nigdy dość jego py- skowania, jakaś rodzina zbieraczy kauczuku, nieśmia- ła, stanęła nieruchomo w progu. Na przedzie ojciec, pomarszczony, w małej pomarańczowej przepasce, z długim „coupe-coupe“¹ w obwisłej ręce.

Dziki nie śmiał wejść. Jeden z subjektów-krajowców

¹ Nóż, używany przez krajowców. *Przyp. tłum.*

zapraszał go: „Wejdz, chamie! Wejdz zobaczyć tutaj! My nie pożreć dzikiego!“ Te słowa wreszcie przekonały ich. Weszli do rozpalonego schronu, gdzie w głębi huczał nasz typ z „corocoro“.

Ten czarny widocznie nigdy jeszcze nie widział sklepu, ani, być może, białych. Za nim szła jedna z jego kobiet, z opuszczonemi oczyma, dźwigając na głowie, z zachowaniem równowagi, duży kosz z surowcem kauczuku.

Subjekci - werbownicy rozkazującym ruchem chwycili jej kosz, żeby zważyć zawartość na wadze. Dzikus tak samo nie rozumiał dziwu-wagi, jak i reszty. Kobieta wciąż nie śmiała podnieść głowy. Inni członkowie rodziny czekali na nich nazewnątrz z wybałuszonemi oczyma. Ich też wpuszczono, wszystkich, z dziećmi włącznie, żeby nic nie stracili z widowiska.

Po raz pierwszy przyszli tak z lasu do białych w mieście. Od bardzo dawna musieli wziąć się wszyscy do roboty, żeby zebrać ten cały kauczuk. Toteż z konieczności rezultat obchodził wszystkich. Długo trzeba czekać na ściekanie kauczuku do kubków, przymocowanych do pnia drzew. Nieraz po dwóch miesiącach nie ma się pełnego kubeczka.

Po zważeniu nasz drapacz wciągnął oszołomionego ojca za ladę i ołówkiem zrobił rachunek, a potem zamknął mu w garści kilka sztuk srebra. A potem: „Precz! tak mu powiedział. To twoja należność!...“

Wszyscy biali znajomkowie aż się skręcali z uciechy, tak znakomicie prowadził on swój biznes. Murzyn sterczał zakłopotany przed ladą w swych kusych pomarańczowych majtkach na biodrach.

— Ty nie znać pieniądza? Więc dziki? — interpeluje

go, żeby otrzeźwić, jeden z naszych obrotnych subjektów, przyzwyczajony i napewno dobrze wytresowany do takich stanowczych tranzakcyj. — Ty nie mówić francuski, co? Ty goryl jeszcze być, co?... Ty co mówić? Kus-Kus? Mabillia? Ty dureń być! Buszman! Bity dureń!

Ale dziki stał wciąż przed nami, zaciskając w garści monety. Uciekłby, gdyby śmiał, ale nie śmiał.

— Ty więc co kupić za twoje grdynie? wtrącił się w porę „drapacz“. Nie widziałem jednak oddawna takiego złamanego... jak on, raczył zauważyć. Ten to musiał przyjść zdaleka! Czego chcesz? Daj mi twoje dydki!

Rozkazująco odebrał mu pieniądze i zamiast monet wmiętosił mu w garść dużą chustkę mocno zieloną, którą zgrabnie dobył z jednej ze skrytek lady.

Murzyn ojciec namyślał się, czy odejść z tą chustką. Wówczas „drapacz“ zrobił jeszcze lepszą sztukę. Stanowczo, znał się na wszystkich kawałach zdobywczego handlu. Machając przed oczyma jednego z murzyniątek dużym kawałem zielonej etaminy, odezwał się: „Czy to nie ładne, bachorze? Czyś często widziała coś takiego, powiedz malutka, powiedz ścierwiątko, powiedz klempeczko... chustkę?“ I władczym ruchem owinał nią dziecku szyję, strojąc je.

Rodzina dzikich patrzyła teraz na małe, ozdobione tą wielką rzeczą z zielonej bawełny... Nie było już co robić, skoro chustka weszła do rodziny. Nie pozostawało nic innego jak przyjąć ją, zabrać i iść sobie.

Wszyscy więc zaczęli się cofać powoli, minęli próg, i w chwili gdy ojciec odwrócił się ostatni, żeby im coś powiedzieć, subjekt, największy cwaniak, który miał

buty, dodał ojcu bodźca potężnem kopnięciem w sam tyłek.

Cała gromada, przegrupowana, milcząca, z drugiej strony Avenue Faidherbe, pod magnolją, patrzyła na nas, jak kończyliśmy aperitiw. Pomyślałby kto, usiłowali pojąć, co im się przytrafiło.

Stawiał nam typ z „corocoro“. Nawet puścił dla nas fonograf. Wszystkiego można było dostać w jego sklepie. To mi przypominało tabory na wojnie.

W służbie „Tow. Pordurière Małego Togo“ było wtedy jednocześnie ze mną, jak już powiedziałem, w jego składach i na plantacjach, dużo murzynów i młodych białych w moim rodzaju. Krajowcy, naogół, nie pracują inaczej, jak pod batem, zachowują tę godność, gdy tymczasem biali, wydoskonaleni przez oświatę publiczną, funkcjonują dobrowolnie.

Kij koniec końców zmęczy tego, kto go używa, podczas gdy nadzieja, że się będzie potężnym i bogatym, którą biali są obżarci, to nic nie kosztuje, absolutnie nic. Niech raz wreszcie przestaną nam wychwalać Egipt i despotów tatarskich! Ci starożytni amatorzy, to byli obskurni pretensjonalni partacze w wysokiej sztuce nauczania dwunożnego bydłęcia wkładania jego najpiękniejszego wysiłku w robotę. Oni nie umieli, ci prymitywni władcy, nazywać „panem“ niewolnika i kazać mu głosować od czasu do czasu, ani fundować mu gazety, ani zwłaszcza zabierać go na wojnę, żeby przejął się ich żądzami. Dwudziestowieczny chrześcijanin, ja coś mogę o tem powiedzieć, nie może już wytrzymać, kiedy przed nim maszeruje pułk. To wywołuje w nim wytrysk zbyt wielu idei.

Toteż, co do siebie, postanowiłem czuwać teraz nad sobą zbliska i nauczyć się milczeć skrupulatnie, zataić moją chęć ucieczki, wreszcie prosperować, jeśli to możliwe i mimo wszystko w służbie Towarzystwa Pordurière. Nie było ani chwili do stracenia.

Wzdłuż naszych składów, na poziomie błotnistych

brzegów, czały się skryte i nie ruszające się z miejsca stada krokodyli. One, stworzenia z kruszcu, rozkoszowały się tem szalejącem gorącem, murzyni, wydawało się, również.

W samo południe, człowiek zadawał sobie pytanie, czy jest możliwe krzątanie się tych mas zajętych pracą na nabrzeżach, ten rozgardjasz podnieconych i krzających negrów.

Ponieważ szło o wytresowanie mnie w numerowaniu worków, zanim udam się w lasy, musiałem się ćwiczyć w stopniowem duszeniu się w centralnym składzie Towarzystwa wraz z innymi pracownikami, między dwiema wielkimi wagami, wbitymi klinem w alkaliczny tłum murzynów w łachmanach, krostowatych i śpiewających. Każdy włókł za sobą swój obłoczek pyłu, który otrząsał rytmicznie. Głuche razy dozorców spadały na te wspaniałe plecy, nie wywołując ani protestów, ani skarg. Bierność osłupiałych. Ból, znoszony jako coś równie naturalnego jak gorące powietrze tego pieca z kurzem.

Dyrektor zachodził tu od czasu do czasu, zawsze zaczepny, żeby się upewnić, iż, robię istotne postępy w technice numeracji i szachrowania przy ważeniu.

Torował sobie drogę aż do wag, poprzez fale krajowców, waląc kijem. „Bardamu, rzekł mi któregoś ranka, gdy był w werwie, pan widzi tych negrów, co nas otaczają, prawda?... Otóż, gdy ja przybyłem do Małego Togo, będzie już niebawem trzydzieści lat, żyli oni tutaj tylko z polowania, połowu ryb i rzezi między szczepami, te świniuchy! Drobny posiadacz faktorji, na początku mej kariery, widziałem ich, jak mnie tu pan widzi, powracających po zwycięstwie do swego sioła

i obładowanych zgórą stu kosztami ludzkiego mięsa, ociekającego krwią, żeby sobie napchać kałduny!... Słyszysz mnie pan, Bardamu!... Ociekającego krwią! Krwią ich wrogów! Uczta, niczem nasza uczta wigilijna!... Dziś, żadnych już zwycięstw! My tu jesteśmy! Żadnych już szczepów! Dość ceregieli! Dość pościgów! Robocizna i kakahuety! Do roboty! Żadnych polowań! Żadnych strzelb! Kakahuety i kauczuk!... Żeby zapłacić podatek! Podatek, żebyśmy za te pieniądze ściągali sobie od nich jeszcze kauczuk i kakahuety! To jest życie, Bardamu! Kakahuety! Kakahuety i kauczuk!. A, oto akurat idzie ku nam generał Tombat“.

Ów istotnie szedł na nasze spotkanie, starzec, zgrzybiały pod ogromnem brzemieniem słońca.

Generał nie był już całkowicie wojskowym, a zarazem jeszcze nie był cywilem. Mąż zaufania „Pordurière’y“, służył za łącznika między Administracją a Handlem. Łącznik niezbędny, choć te dwa żywioły wiecznie ze sobą rywalizowały i były stale na wrogiej stopie. Ale generał Tombat manewrował znakomicie. Niedawno wygrzebał się z brudnej sprawy sprzedaży majątku nieprzyjacielskiego, którą uważano za nierozwiązalną w sferach miarodajnych.

Na początku wojny generałowi Tombat przebito trochę ucho, akurat tyle, ile potrzeba było do przejścia w stan zaszczytnej rozporządzalności, po Charleroi. Swą rozporządzalność ulokował natychmiast w służbie „największej Francji“¹. Jednak choć Verdun dawno minął, jeszcze go trapił. Miętosił „radjówki“ w garści. „Będą trzymali nasi mali poilus! Trzymają!...“ W składzie by-

¹ Afrykańskich posiadłości francuskich. *Przyp. tłum.*

ło tak gorąco i to się działo tak daleko od nas, we Francji, że zwalniano generała Tombat od dalszych prognostyków na ten temat. Na zakończenie powtórzono jednak chórem przez kurtuazję, i dyrektor z nami: „Oni są cudowni!“ i Tombat pożegnał się z nami przy tych słowach.

W parę chwil potem dyrektor otworzył sobie gwałtem nową drogę wśród stłoczonych torsów i sam z kolei zniknął w kręcącym w nosie kurzu.

Ten człowiek, o chorobliwie płonących oczach, pożerany żądzą opanowania Towarzystwa, trochę mnie przerażał. Trudno mi było przywyknąć do samej jego obecności. Nigdybym nie uwierzył, że istnieje na świecie ciało ludzkie, zdolne do takiego maksymalnego nałożenia chciwości. Nie mówił do nas prawie nigdy głośno, tylko ogródkami, możnaby powiedzieć, że żył tylko dla konspirowania, śledzenia, zdradzania z pasją. Zapewniano, że on kradł, szwindlował, eskamotował sam jeden o wiele więcej niż wszyscy inni urzędnicy razem, nie próżnujący przecież, zapewniam. Wierzę w to bez trudu.

Podczas mej praktyki w Fort-Gono miałem jeszcze trochę wolnego czasu na spacer po tem niby mieście, gdzie stanowczo znalazłem tylko jedno miejsce definitywnie pożądane: Szpital.

Gdy się gdzieś przybędzie, wychodzą najaw w człowieku ambicje. Ja miałem w sobie powołanie do tego, żeby być chorym, tylko chorym. Każdy ma swój rodzaj. Spacerowałem koło tych pawilonów, gościnnych i obiecujących, żałośliwych, zacisznych, oszczędzanych, i opuszczałem je z żalem, je i ich antyseptyczną atmosferę. Trawniki otaczały to miejsce, rozweselone przez

płochliwe ptaszki i jaszczurki, żwawe i wielobarwne. Rodzaj „Raju ziemskiego“.

Co do negrów, człowiek się szybko do nich przyzwyczaja, do ich pociesznej powolności, do ich gestów zbyt długich, do wypiętych brzuchów ich kobiet. Murzynów czuć ich nędzą, ich bezkresną próżnością, ich niechlujną rezygnacją; słowem, to samo, co u naszej biedoty, ale jeszcze więcej dzieci i mniej brudnej bielizny, i mniej czerwonego wina koło nich.

Gdy kończyłem wdychać szpital, wciągać go tak nosem, głęboko, szedłem, za tłumem krajowców, przystając na chwilę przed tym budynkiem w stylu pagody, wzniesionym blisko fortu przez pewnego traktjernika, jako lokal rozrywkowy dla erotycznych wesołków kolonji.

Zamożni biali w Fort-Gono pokazywali tam się nocą, rozpalali się do gry, zdrowo wstawiając, ziewając, pozatem i bekając dowoli. Za dwieście franków można było sobie zafundować piękną gospodynię lokalu. Spodnie okrutnie przeszkadzały wesołkom w drapaniu się, szelki ciągle im spadały z ramion.

W nocy całe mrowie ludzi wychodziło z chat dzielnicy krajowców i skupiało się przed Pagodą, nie mogąc się nigdy dość napatrzeć i nasłuchać, jak biali kręcąc się przy pianinie mechanicznem o zapleśniałych strunach, wygrywajacem swe fałszywe walce. Gospodyni, słuchając muzyki, przybierała taką minę, jakby chciała tańczyć, wniebowzięta z zachwytu.

Po wielu dniach prób udało mi się wreszcie kilka razy z nią porozmawiać ukradkiem. Zwierzyła mi się, że jej perjod trwa nie mniej jak trzy tygodnie. Działanie zwrotników. Ponadto wyczerpywali ją goście.

Nie żeby często z nią spali, lecz ponieważ napoje w pagodzie były dość drogie, chcieli za swoje pieniądze użyć jednocześnie i strasznie szczypali ją w pośladki, zanim sobie poszli. Z tego przedewszystkiem pochodziło jej zmęczenie.

Ta kupcowa знаła wszystkie chryje w kolonji i romansy, które nawiązywały się beznadziejnie między oficerami, nękanymi gorączką a nielicznymi małżonkami urzędników, rozpuszczającemi się w nieskończonych, u nich również, perjodach; zrozpaczone, bujały się bezustannie w fotelach na werandach.

Aleje, biura, sklepy Fort-Gono ociekały wypaczonymi pragnieniami. Robić to wszystko co się robi w Europie zdawało się być wyższą obsesją, satysfakcją, udawaniem za wszelką cenę tych szaleńców, naprzekór ohydnej temperaturze i wzrastającemu, niepokonalnemu ogłupieniu.

Rozbuchana roślinność ogrodów, dzika, napastliwa, rozsadała niemal palisady, wybuchy zieleni, tworzące jakąś oszalałą sałatę dokoła każdego domu, wielkiego wyschłego twardego białka, w którym gnił żółtawy Europejczyk. W ten sposób było tyleż pełnych salatek, ilu urzędników, wzdłuż całej Avenue Faszoda, najruchliwszej, najbardziej uczęszczanej arterji Fort-Gono.

Co wieczór wracałem do swego mieszkania, którego zapewne nie można było wykończyć, gdzie postawił dla mnie szkielecik łóżka znieprawiony boy. Zastawiał na mnie sidła ten boy, był lubieżny jak kot, chciał stać się członkiem rodziny. Ja tymczasem byłem zajęty innymi i bardziej żywotnymi sprawami, a przedewszystkiem zamiarem schronienia się jeszcze na czas pewien

w szpitalu, jedyne dostępne dla mnie zawieszenie broń w tym upalnym karnawale.

Ani na wojnie, ani w czasie pokoju nie byłem skłonny zajmować się błahostkami. I nawet inne oferty, złożone mi z innej strony, przez kucharza mego chlebowdawcy, bardzo szczerze sprośne i nowe, wydały mi się bezbarwne.

Ostatni raz obchodziłem mych małych kolegów z Pordurière, żeby spróbować zasięgnąć języka o tym niewiernym urzędniku, tym, którego miałem za wszelką cenę, według rozkazu, zastąpić w lasach. Prózne gadanie.

Kawiarnia Faidherbe na końcu avenue Faszoda, szumiąca pod wieczór setkami potwarzy, plotek i paplaniną, również nie przynosiła mi nic konkretnego w tej sprawie. Same tylko wrażenia. Rozbijano pełne skrzyńnię wrażeń w tym półmroku, inkrustowanym różnobarwnymi lampjonami. Wstrząsając koronką olbrzymich palm, wiatr zwałął chmury komarów w spodki. W rozmowach bywalców kawiarni dominował z racji swej wysokiej rangi, Gubernator. Jego chamstwo nie do odpokutowania stanowiło fundament wielkiej konwersacji przy aperitiwie, gdzie wątroba kolonialna, taka mdląca, musiała sobie ulżyć przed obiadem.

Wszystkie automobile Fort-Gono, było tego z tuzin, przejeżdżały wówczas tam i z powrotem przed tarasem. Zdaje się, te auta nigdy daleko nie jeździły. Plac Faidherbe posiadał swe solidne otoczenie, swoją wyrosłą dekorację, swą bujność roślinną i słowną podprefektury na Południu, gdy szaleje. Dziesięć aut opuściło plac Faidherbe poto tylko, żeby powrócić w pięć minut potem, dokonywując raz jeszcze tej samej po-

dróży okrężnej ze swym ładunkiem odbarwionych anemij europejskich, zawiniętych w brunatne płótno, istot nietrwałych i kruchych jak niepewne sorbety.

Koloniści przechodzili tak tygodniami i latami, jeden obok drugiego, aż do chwili kiedy już na siebie nawet nie patrzyli, tak ich zmęczyło wzajemne nieznośnienie się. Kilku oficerów wodziło swe rodziny, byli czujni na pozdrowienia wojskowe i cywilne, małżonka obcisłe ubrana w specjalne higieniczne tkaniny, dzieci, rodzaj żalonych dużych poczwerek europejskich, rozpuszczały się, ze swej strony, z upału w stałą biegunkę.

Nie wystarczy mieć kepi, żeby dowodzić, trzeba jeszcze mieć wojsko. W klimacie Fort-Gono kadry europejskie topniały gorzej niż masło. Bataljon stawał się tam jak kawałek cukru w kawie, im dłużej się na niego patrzyło, tem mniej go się widziało. Większość załogi była zawsze w szpitalu, przychodząc do siebie po zakażeniu zimniczem, faszerywana pasorzytami dla każdego rodzaju włosów i każdej fałdy skóry, całe sekcje porozwalane wśród papierosów i much, onanizujące się na spleśniałych prześcieradłach, wymyślające niezliczone nabierania na atak febry, skrupulatnie prowokowane i pielęgnowane. Ślinka im na to szła, tym biednym szelmom, sromotnej plejadzie, zwerbowanej afiszami,¹ w łagodnym półcieniu zielonych okienic leżącej razem — szpital był mieszany — z pracownikami

¹ We Francji można widzieć wszędzie, zwłaszcza na Południu, rozklejane po gminach afisze wielobarwne i zachęcające (piękne mundury, gaże, premja, przywileje)^o do wstępowania na ochotnika do wojsk kolonialnych. *Przyp. tłum.*

handlowymi; uciekali, jedni i drudzy, od puszczy i od swych panów, osaczeni.

W ogłupiających długich sjestach, tam gdzie panuje malarja, jest tak gorąco, że i muchy odpoczywają. Na końcu ramion bez krwi i włochatych zwisają wyświechtane powieści, z obu stron łóżek, powieści zawsze zdekompletowane, połowy kartek brak z powodu chorych na dyzenterję, którzy nie mają nigdy dość papieru, a potem również z powodu niezadowolonych Sióstr, które cenzurują na swój sposób dzieła, gdzie Bozia nie jest poszanowany. Mendy wojskowe dręczą Siostry tak samo jak wszystkich. Żeby się lepiej podrapać, idą one podnieść suknię za parawan, gdzie zmarły rano nie może zastygnąć, tak gorąco jest jeszcze i jemu.

Choć szpital był tak ponury, było to jednak jedyne miejsce w kolonji, gdzie można się było czuć nieco zapomnianym, schronionym przed ludźmi zzewnątrz, przed szefami. Wakacje niewolnictwa, istotne w rezultacie i jedyne dostępne dla mnie szczęście.

Dowadywałem się o warunki przyjęcia, o zwyczaje lekarzy, o ich manje. Na swój wyjazd do puszczy patrzyłem z rozpaczą i buntem i obiecywałem już sobie nabawić się jaknajprędzej wszystkich febr, do których będę miał dostęp, żeby wrócić do Fort-Gano chory i tak wynędzniały, tak ohydny, że będą musieli nie tylko przyjąć mnie lecz i repatrjować. Znałem już triki i to znakomite, żeby zachorować, nauczyłem się jeszcze nowych, specjalnych, dla kolonij.

Przygotowywałem się do przewyciężenia tysięcznych trudności, gdyż ani dyrektorzy Towarzystwa Pordurière, ani szefowie bataljonów nie męczą się łatwo nę-

kaniem swej chudej zdobyczy, wstrząsanej dreszczem na zasikanych łózkach.

Znaleźliby mnie zdecydowanego na gnicie z każdej choroby, jaka byłaby potrzebna. Ponadto, naogół przebywało się krótko w szpitalu, chyba że się kończyło swą karierę kolonialną nadobre i raz na zawsze. Najsprytniejszym, największym szelmom, najlepiej uzbrojonym w charakter wśród chorych na febrę udawało się niekiedy wkręcić się do transportu, idącego do metropolji. Był to słodki cud. Większość przyjmowanych do szpitala, wyczerpawszy wszystkie fortyle, przyznawała się do nich, pokonana przez regulaminy, i wracała do puszczy zrzucić balast swych ostatnich kilo. Gdy chini na oddawała ich całkowicie robakom jeszcze za reżymu szpitalnego, kapelan poprostu zamykał im oczy około godziny osiemnastej i czterech Senegalczyków ze służby pakowało te bezkrwiste szczątki i niosło ku ogrodzonej czerwonej glinie przy kościele w Forcie Gono, tak gorącym, pod falistą blachą, że kto tam raz był, nigdy już więcej nie poszedł, bardziej tropikalnym niż tropiki. Żeby ustać w kościele, trzeba było, jak pies, ziać z wywalonym ozorem.

Tak odchodzą z tego świata ludzie, którym stanowczo bardzo trudno wykonać wszystko, czego od nich żądają: motyl w młodości, a poczwarka na zakończenie.

Próbowałem jeszcze uzyskać to tu, to tam jakieś szczegóły, informacje, żeby wyrobić sobie pojęcie. Tak jak mi odmalował Bikomimbo dyrektor, wydawało mi się jednak niewiarogodne. Właściwie chodziło o faktoryjną próbną, odosobnioną wśród krajowców, o usiłowanie wdarcia się daleko od wybrzeża, conajmniej o dziesięć dni drogi, chodziło o ich las, który mi przedsta-

wiano jako olbrzymią rezerwę rojących się bestyj i chorób.

Zadawałem sobie pytanie, czy oni poprostu nie zdościli mi mego losu, tamci, ci mali kamraci z Pordurière, którzy wpadali z jednej ostateczności w drugą: z przygnębienia w agresywność. Ich głupota (to tylko mieli) zależała od gatunku alkoholu, który pochłonęli, od listów, które otrzymywali, od większej czy mniejszej ilości nadziei, którą stracili podczas dnia. W zasadzie, im bardziej marnieli, tem więcej pozowali. Widma (jak Ortolan na wojnie), wszyscy oni mieli tupet.

Aperitiw nasz trwał dobre trzy godziny. Mówiono przy nim ciągle o Gubernatorze, osi wszelkich rozmów, dalej o kradzieży możliwych i niemożliwych przedmiotów, wreszcie o sprawach seksualnych: trzy kolory flagi kolonialnej. Obecni urzędnicy oskarżali bez ogródek wojskowych o nurzanie się w przekupstwie i nadużyciach władzy, wojskowi odpłacali im pięknem za nadobne. Kupcy znowu uważali tych wszystkich prebendarzy za zgraję obłudnych oszustów i grabieżców. Co do Gubernatora, słuchy o odwołaniu go krążyły co rano od dobrych dziesięciu lat, a tymczasem tak interesujący telegram z tą niełaską nie przychodził nigdy, i to wbrew dwu listom anonimowym conajmniej, wyfruwającym co tydzień od niepamiętnych czasów, pod adresem Ministra, sypiącym na rachunek tego lokalnego tyrana grad tysiącznych okropności bardzo dokładnych.

Murzyni mają szczęście ze swą skórą jak łupina cebuli, białą się sam zatruwa, zamknięty między swym kwaśnym sokiem a siatkową koszulą. Toteż biada te-

mu, kto z nim obcuje. Miałem w tem wprawę od czasu „Admirała Bragueton“.

W ciągu kilku dni dowiedziałem się ładnych rzeczy o moim własnym dyrektorze! O jego przeszłości, wypełnionej większą ilością łajdactw niż więzienie portu wojennego. Wszystko można było znaleźć w jego przeszłości, a nawet, przypuszczam, wspaniałe omyłki sądowe. To prawda, że jego głowa świadczyła przeciw niemu, bezspornie, budząca lęk twarz mordercy, lub raczej, by nie obciążać nikogo, człowieka nieroztropnego, któremu strasznie pilno urzeczywistnić się, co na jedno wychodzi.

W porze sjeisty, przechodząc, można było tu i owdzie dojrzyć zapadłe w cień swych will na bulwarze Faidherbe białe kobiety, małżonki oficerów, osadników, które klimat rozklejał jeszcze o wiele łatwiej niż mężczyzn, posłyszeć wdzięcznie niepewne głosiki, dostrzec niesłychanie pobłażliwe uśmiechy na twarzach, malowanych na całej ich bladości, — niby zadowolone konające. Wykazywały mniej odwagi i dobrego trzymania się, te przeflancowane mieszczki, niż gospodyni Pagody, która musiała liczyć tylko na samą siebie. Towarzystwo Pordurière ze swej strony zużywało dużo drobnych urzędników białych w moim rodzaju, traciło ich tuzinami co sezon, tych podludzi, w swych leśnych faktorjach w sąsiedztwie bagien. To byli pionierzy.

Codzień rano Armja i Handel przychodziły jójczęć o swój materjał ludzki aż do biura administracji szpitala. Nie było dnia, żeby jakiś kapitan nie groził i nie wzywał siarczystych piorunów na głowę Zarządzającego, żeby mu odesłał czempredzej jego trzech sier-

żantów, symulujących febrę bagienną, i dwóch syfilitycznych kaprali, kadre, której mu właśnie było brak do zorganizowania kompanji. Jeśli mu odpowiadano, że jego ofermi umarły, dawał spokój administracji i wracał popić trochę dłużej w Pagodzie.

Ledwie człowiek miał czas dostrzec znikanie ludzi, dni i rzeczy w tej zieleni, w tym klimacie, którego wyrazem był skwar i komary. Wszystko w nim ginęło, to było wstrętne, kawałkami, urywkami, po kropki, strzępami żalu zatracalo się w słońcu, rozpływało w ulewie światła i barw, ginał gust do czegokolwiek, ginał czas, wszystko zamierało. Pozostawała tylko iskrząca się w powietrzu udreka.

Nareszcie mały statek towarowy, na którym miałem płynąć wzdłuż wybrzeża aż w pobliże mego posterunku, stanął na kotwicy nawprost Fort-Gono. Nosił nazwę „Papautah“. Płaski kadłub, zbudowany do nawigacji w ujściach rzek. Palono na „Papautahu“ drzewem. Mnie, jedynemu białemu na pokładzie, ustąpiono kąć między kuchnią a ustępami. Płynęliśmy tak wolno po morzu, że z początku myślałem, że to dla ostrożności przy wyjściu z redy. Ale nie popłynęliśmy nigdy prędzej. Temu „Papautahowi“ w niewiarogodny sposób brak było siły. Wlekliśmy się tak, mając przed oczami brzeg, nieskończony pas szary i zarosnięty krzakami, w upale i tańczącej mgłę. Co za spacer!

„Papautah“ przebijał wodę tak, jakby ją wszystką sam wypacał z siebie boleśnie. Rozkładał jedną falkę po drugiej z ostrożnościami opatrywania ran. Sternik, zdawało mi się zdaleka, musiał być mulatem; mó-

wię, *zdawało*, gdyż nigdy nie zdobyłem się na wysiłek, jakiego wymagało wejście na górę, na mostek, dla przekonania się o tem. Siedziałem z murzynami, jedy- nymi pasażerami, w cieniu wąskiego przejścia wzdłuż statku, póki słońce prażyło pokład, aż do godziny pią- tej. Żeby słońce nie paliło głowy przez oczy, trzeba mrugać jak szczur. Po piątej można sobie pozwolić na rozejrzenie się po horyzoncie, na używanie. Ta szara frendzla, krzaczasta okolica na poziomie brzegu, tam, niby zgnieciona pacha, nic mi nie mówiła. Było wstrętne oddychać tem powietrzem, nawet w nocy, do tego stopnia powietrze było ciepłe z wonią spleśnia- lej wody morskiej. Wszystko to razem mdliło, ze śwę- dem maszyny na dokładkę i barwą fal, za dużo ochry tutaj, a zanadto niebieskie z drugiej strony. Było tu jeszcze gorzej niż na „Admirale Bragueton“, wyjąwszy zabójczych wojskowych, ma się rozumieć.

Wreszcie zbliżyliśmy się do portu, gdzie miałem wy- łądować. Przypomniano mi jego nazwę: „Topo“. Po kasłaniu, pluciu, dygotaniu podczas trzy razy powtó- rzonych czterech dziennie posiłkach z konserw, na tych wodach, jak tłuste pomyje, „Papautah“ wreszcie przybijał do brzegu.

Na włochem wybrzeżu odcinały się trzy ogromne chaty, słomą kryte. Zdaleka, na pierwszy rzut oka, to miało wygląd dosyć zachęcający. Ujście dużej rzeki o piaszczystem dnie, „men“, jak mi wyjaśniono, którą miałem się udać wdół, barką, by dotrzeć wgłąb mojej puszczy. W Topo, na tym posterunku na brzegu morza, miałem pozostać tylko kilka dni, tak zostało umówio- ne, tyle czasu, ile było potrzeba do powzięcia mych ostatecznych rozstrzygnięć kolonialnych.

Przybiliśmy do lekkiej przystani, i „Papautah“, za- nim stanął, oberwał swym grubym brzuchem barjerę. Przystań była z bambusu, dobrze pamiętam. Miała ona swoje dzieje, naprawiano ją co miesiąc, jak się dowie- działem, z powodu mięczaków, zwinnych i żarłocznych, które przychodziły tysiącami żreć bambus w miarę po- trzeby. Była to nawet, ta nie kończąca się konstrukcją jedna z udręk porucznika Grappa, komendanta po- sterunku w Topo i sąsiedniego rejonu. „Papautah“ odbywał swój kurs tylko raz na miesiąc, ale mięczakom miesiąc wystarczał, żeby zżreć jego przystań.

Po przybyciu, porucznik Grappa zabrał moje pa- piery, sprawdził ich autentyczność, skopjował je na nietkniętym rejestrze i poczęstował mnie aperitiwem. Byłem pierwszym podróżnym, wyznał mi, który przy- był do Topo od dwóch zgorą lat. Nie przyjeżdżano do Topo. Nie było żadnej racji przyjeżdżać do Topo. Pod porucznikiem Grappa służył sierżant Alcyd. Mimo swe- go odosobnienia niezbyt się lubili. „Nie mogę nigdy ufać swemu podwładnemu, objaśnił mnie też porucz- nik Grappa przy naszym pierwszym zetknięciu się, on ~~ma~~ pewne tendencje do poufałości!“

Ponieważ w tej pustce, gdyby trzeba było wymyślać wydarzenia, byłyby one zbyt nieprawdopodobne, śro- dowisko wcale się do tego nie nadawało, Alcyd przy- gotowywał naprzód dużo raportów tej treści: „Żadnych wydarzeń“, które Grappa bezzwłocznie podpisywał a „Papautah“ punktualnie odwoził Generalnemu Gu- bernatorowi.

Między okolicznymi lagunami, w nieprzebytych knie- jach wegetowało kilka szczepów, zbutwiałych, zdzie-

siątkowanych, otepiałych przez tripanozomę¹ i chroniczną nędzę; mimo wszystko, szczepy te wносиły pewien mały podatek i pod kijem, rozumie się. Werbowano też wśród ich młodzieży milicjantów do używania, z upoważnienia, tego właśnie kija. Stan liczebny milicji dochodził do dwunastu ludzi.

Mogę o nich mówić, znałem ich dobrze. Porucznik Grappa ekwipował ich po swojemu, tych szczęściarzy, i żywił ich regulaminowym ryżem. Jeden karabin na dwunastu, to była norma! i mały sztandar dla wszystkich. Boso. Ale że na tym świecie wszystko jest względne i porównawcze, zwerbowani do milicji tubylcy uważali, że Grappa dokonał niemałych rzeczy. Nawet Grappa codziennie musiał odmawiać przyjęcia ochotników i entuzjastów, synów puszczy, którym ona obrzydła.

W pobliżu wsi łowy się nie udawały, i pożerano tam conajmniej jedną babkę tygodniowo, w braku gazeli. Codzień o siódmej rano milicjanci Alcyda udawali się na ćwiczenia. Ponieważ mieszkałem w kącie jego chaty, którego mi ustąpił, byłem w proscenjowej łoży na tem widowisku. Nigdy, w żadnej armji na świecie nie było żołnierzy lepszej woli. Na apel Alcyda maszerując po piasku, czwórkami, ósemkami, a potem całą dwunastką, te dzikusy zużywały niesłychanie swą imaginację, wyobrażając sobie plecaki, buty, ba! nawet bagnety i, co szczyt wszystkiego, udając, że się tem wszystkim posługują. Wzięci wprost z przyrody, tak silnej i bliskiej, byli odziani tylko w coś na podobieństwo krótkich portek kaki. Całą resztę musieli sobie

wyobrazić, i wyobrażali. Na komendę Alcyda, ostrą, ci pomysłowi wojownicy, położywszy na ziemi swe fikcyjne plecaki, biegli w przestrzeń zadać urojonym wrogom urojone pchnięcia. Ustawiali, po udawanem rozpinaniu munduru, broń w kozły na niby, a na nowy znak roznamietniali się w abstrakcyjnych ćwiczeniach z bronią palną. Gdy się patrzyło, jak rozsypują się, gestykulują tak oto, starannie, i gubią się w koronkach ruchów ostrych i po warjacku niepotrzebnych, ogarniało człowieka zniechęcenie, dochodzące do marazmu. Zwłaszcza, że w Topo jaskrawy żar i duszność, doskonale skoncentrowane przez piasek między lustrami morza i rzeki, gładkimi i sprzężonemi, sprawiały, że możnaby było przysiąc na własny tyłek, że się siedzi pod przymusem na jakimś kawałku, spadłym świeżo ze słońca.

Ale te nieubłagane warunki nie przeszkadzały Alcydowi drzeć się, przeciwnie. Jego wrzaski rozbijały się ponad jego fantastyczną musztrą i dochodziły daleko, aż do czubów dostojnych cedrów na skraju puszczy tropikalnej. Nawet jeszcze dalej odbijały się echem grzmoty jego: „Bacz-ność!”

Podczas tego porucznik Grappa przygotowywał swe sądy. Wrócimy jeszcze do tych funkcji. Czuwał też zawsze z oddali i pod cieniem swej chaty nad umykającą budową swej przekłętą przystani. Za każdym przybyciem „Papautah’a” oczekiwał, z optymizmem i ze sceptycyzmem, kompletnego ekwipunku dla swego wojska. Żądał napróżno od dwóch lat tego kompletnego ekwipunku. Jako korsykanin, Grappa czuł się może bardziej upokorzony, niż byłby kto inny, patrząc jak jego milicjanci chodzą całkiem nago.

¹ Pierwotniak, wywołujący śpiączkę afrykańską. *Przyjp. ilum.*

W naszej chacie, to znaczy Alcyda, odchodził mały handelek, ledwie potajemny, drobnymi przedmiotami i różnym śmieciem. Zresztą wszelki handel w Topo przechodził przez ręce Alcyda, gdyż posiadał on składzik, jedyny, tytoniu w wiązkach i w paczkach, kilka litrów spirytusu i trochę tkanin bawełnianych.

Dwunastu milicjantów Topo miało dla Alcyda, to było widoczne, prawdziwą sympatię, i to pomimo że krzyczał na nich bez opamiętania i kopał im zadek dość niesłusznie. Ale ci militarni nudyści rozpoznali w nim niezaprzeczone pierwiastki wielkiego pokrewieństwa, pokrewieństwa nieuleczalnej, wrodzonej nędzy. Zbliżał ich tytoń, choć byli całkiem czarni, siłą rzeczy. Przywiozłem ze sobą kilka dzienników z Europy. Alcyd je przejrzał, pragnąc zainteresować się wiadomościami, lecz choć wziął się potrzykroć do skupienia uwagi na tych różnych kolumnach druku, nie potrafił ich dokończyć. „Ja teraz, przyznał mi się po tej daremnej próbie, w gruncie rzeczy, gwizdzę na wiadomości! Trzy lata jestem tutaj!“ To nie znaczyło bynajmniej, że Alcyd chciał mi zaimponować, grając pustelniką, nie, lecz brutalność, obojętność niezbicie stwierdzona całego świata względem niego zmuszała go z kolei do uważania, w charakterze sierżanta z werbunku, całego świata, poza Topo, za coś w rodzaju księżycy.

Była to zresztą dobra natura, ten Alcyd, uczynny, szlachetny i basta. Zrozumiałem to później, trochę za późno. Jego straszliwa rezygnacja przytłaczała go, ta podstawowa cecha, która pozwala biedakom w armji czy gdzieindziej równie łatwo zabijać jak dać żyć. Nigdy lub prawie nigdy prostaczkowie nie pytają o przy-

czyny tego wszystkiego, co znoszą. Nienawidzą się wzajemnie, to wystarcza.

Dokoła naszej chaty rosły rozproszone, na samej wydnie gorącego bezlitosnego piasku te ciekawe kwiatuszki, świeże i krótkotrwałe, zielone, różowe lub purpurowe, jakie w Europie widuje się tylko malowane i to na niektórych porcelanach, rodzaj pierwotnego powoju, malowanego bez głupich sposobów. Znosiły one długi ohydny dzień, zamknięte na swych łodygach, i, otwierając się wieczorem, zaczynały wdzięcznie drzeć pod pierwszymi łagodniejszymi powiewami.

Pewnego dnia Alcyd, widząc że zbieram sobie z nich mały bukiet, uprzedził mnie: „Zrywaj je, jeśli chcesz, ale ich nie podlewaj, tych dziewczynek, to je zabija... To jest bardzo nietrwałe, to nie to co słoneczniki, które kazano nam hodować dla dzieci wojskowych w Rambouillet! Na tamte to można było nasikać!... Wszystko wypięły!... Zresztą, kwiaty to tak jak ludzie... Im to większe, tem cholerniejsze!“ Ta uwaga oczywiście na intencję porucznika Grappa, który ciało miał obfite, niosące w sobie klęski, ręce krótkie, czerwone, okropne. Ręce co nigdy nic nie rozumieją. Grappa nie próbował zresztą zrozumieć.

Byłem w Topo dwa tygodnie, podczas czego dzieliłem z Alcydem nie tylko jego egzystencję i wikt, jego pchły z łóżka i z piasku (dwie odmiany), lecz jeszcze jego chininę i wodę z pobliskiej studni, nieubłaganie ciepłą i rozwalniającą.

Pewnego dnia porucznik Grappa w napadzie uprzejmości zaprosił mnie, wyjątkowo, na kawę do siebie. Grappa był zazdrosny i swej czarnej konkubiny nie pokazywał nikomu. Wybrał więc taki dzień, kiedy jego

murzynka poszła na wieś odwiedzić rodziców. Był to również dzień rozpraw jego sądu. Chciał mnie zadziwić.

Koło jego chaty tłoczyli się przybyli dodnia skarżący, różnorodna masa, zabarwiona przepaskami i upstrzona wrzeszczącymi świadkami. Oskarżeni i zwykła publiczność stała, pomieszana w tem samym kole, wszystkich mocno było czuć czosnkiem, drzewem sandałowym, zjeżdżałem masłem, potem, nasiąkłym szafranem. Zupełnie jak milicjantom Alcyda, wszystkim tym ludziom, zdaje się, chodziło przedewszystkiem o to, żeby się ciskać jak szaleńcy, w fikcyjności; trzaskali dokoła swem narzeczem, jak kastanietami, potrząsając nad głową zaciśniętymi pięściami w wicherze argumentów.

Porucznik Grappa, zatopiony w swym trzcinowym fotelu, z zaciśniętymi zębami i żałosny, wystawiał swój uśmiech na spotkanie tego całego galimatjasu. Polegał, żeby się w nim zorientować, na tłumaczu posterunku, który znów, na jego użytek i nagłos bredził, referując niesłychane skargi.

Chodziło, zdaje się, o jednookiego barana, którego pewni rodzice wzbraniłi się zwrócić, choć ich córka, ważnie sprzedana, nigdy nie została wydana mężowi, z powodu morderstwa, jakie jej brat potrafił popełnić tymczasem na osobie tego, który zatrzymał barana. I wiele innych, najbardziej skomplikowanych pretensyj. ✕

Naprzeciw nas setka twarzy, roznamiętnionych temi problemami majątkowymi i obyczajowymi, odslaniała zęby w urywanych szczękaniach lub w ciężkim bulgocie słów murzyńskich.

Upał dochodził do szczytu. Szukało się oczami nieba

przez szparę w dachu, żeby zbadać, czy to nie zbliża się jakiś kataklizm. Nawet nie zapowiadała się burza.

— Ja ich tu zaraz wszystkich pogodzę! zdecydował wreszcie Grappa, którego temperatura i gadanina skłaniały do rezolucyj. Gdzie jest ojciec młodej?... Dawać go tutaj!

— Tutaj jest! odpowiedziało dwudziestu kmotrów, wypychając starego murzyna dość sflaczałego, owiniętego w żółtą płachtę, która się na nim układała nader godnie, po rzymsku. Starzec skandował wszystko co mówiono dokoła, zaciskając pięść. Nie wyglądał na to, żeby tu przyszedł skarżyć się, lecz raczej żeby mieć trochę rozrywki z okazji procesu, od którego oddawna już nie oczekiwał pozytywnego wyniku.

— No! zakomenderował Grappa. Dwadzieścia kijów! Zrobić z nim porządek! Dwadzieścia kijów dla tego starego rajfura!... Oduczy się przychodzić tutaj co czwartek od dwóch miesięcy zawracać mi gitarę swoją historją z baranem bez oka!

Stary ujrzał idących wprost na niego czterech muskularnych milicjantów. Z początku nie rozumiał, czego chcą od niego, a potem zaczął toczyć oczami, nabiegłymi krwią, jak u przerażonego starego zwierzęcia, które nigdy dotąd nie było bite. Po prawdzie nie usiłował stawiać oporu, lecz też nie wiedział, jaką przybrać pozycję, żeby z jaknajmniejszym bólem przyjąć tę porcję sprawiedliwości.

Milicjanci szarpali go za płachtę. Dwóch chciało koniecznie, żeby ukląkł, drudzy, przeciwnie, kazali mu się położyć na brzuchu. Wreszcie zgodzili się, żeby go rzucić poprostu na ziemię, zadarłszy mu płachtę; z miejsca spadł mu na grzbiet i wątle pośladki taki grad

giętkich kijów, od którego krzepka oślica ryczałaby tydzień czasu. Wił się, piasek tryskał mu dokoła brzucha razem ze krwią, z wyciem płuł piaskiem, pomyślałby kto, szczenna suka, jamniczka, ogromna, którą torturowano bez powodu.

Obecni milczeli, póki to trwało. Słyszeć było tylko kaźń. Gdy rzecz została wykonana, starzec, zbity na kwaśne jabłko, usiłował podnieść się i zgarnąć swą rzymską oponę. Broczył krwią obficie z ust, z nosa a zwłaszcza po plecach. Tłum oddalił się, zabierając go ze sobą i mamrocząc setki plotek i komentarzy, w tonie pogrzebowym.

Porucznik Grappa zapalił znowu swe cygaro. Wobec mnie chciał być daleki od tych spraw. Nie dlatego, myślę, żeby był bardziej neroński od innych, tylko że on też nie lubił, żeby go zmuszano do myślenia. To go drażniło. W jego funkcjach wymierzania sprawiedliwości irytowały go pytania, jakie mu zadawano.

Asystowaliśmy jeszcze tego dnia przy dwóch innych pamiętnych karach, następstwach innych zagmatwanych historyj, cofniętych posagów... obiecanych trucizn... wątpliwych przyrzeczeń... niewiadomo czyich dzieci...

— Ach! gdyby oni wszyscy wiedzieli, jak ja pluję na ich spory, nie wychodziliby ze swej puszczy, żeby mi tu opowiadać swoje bzdury i zawracać mi głowę!... Czy ja im się spowiadam z moich spraw osobistych? konkludował Grappa. Jednak, zaczął nanowo, gotów jestem uwierzyć, że moja sprawiedliwość przypada do smaku tym świętuchom!... Od dwóch lat staram się ją im obrzydzić, a mimo to przychodzą co czwartek... Niech mi pan wierzy lub nie, prawie zawsze przychodzą ci sami!... Zwyródniałcy, czy co!...

Potem rozmowa zwróciła się w stronę Tuluzy, gdzie Grappa spędzał regularnie swe urlopy i gdzie zamierzał osiąść za lat sześć, po wysłużeniu emerytury. Tak było ułożone. Rozmawialiśmy sympatycznie o „Calvadosie“, gdy znowu nam przeszkodził jakiś murzyn, podlegający już nie wiem jakiej karze i który spóźnił się z odbiorem jej. Przychodził dobrowolnie w dwie godziny po innych, po swoją porcję kijów. Straciwszy dwie doby na drogę od swej wsi, przez puszcę, w tym celu, nie myślał wracać z pustymi rękami. Ale się spóźnił, a Grappa był nieprzejednany w sprawie punktualności karnej. „Tem gorzej dla niego! Trzeba mu było nie odchodzić ostatnim razem!... We czwartek zeszłego tygodnia skazałem na pięćdziesiąt kijów tego hultaja!“

Klijent mimo to nalegał, gdyż miał dobrą wymówkę: musiał copędzej wracać do wsi pogrzebać swoją matkę. Miał trzy czy cztery matki sam jeden. Kwestja wywołuje spór...

— Na przyszłe posiedzenie!

Ale ten klijent ledwie miał czas iść do swej wsi i wrócić tu na przyszły czwartek. Protestował. Upierał się. Trzeba było wyrzucić stąd tego masochistę potężnymi kopniakami w pośladki. To mu sprawia, owszem, przyjemność, ale nie dostateczną. Wreszcie zatrzymał się u Alcyda, który skorzystał z tego, żeby sprzedać masochiście cały asortyment tytoniu, w wiązках, w paczkach i w proszku, jako tabakę.

Po rozrywce, jaką mi dały te liczne wydarzenia, pożegnałem się z Grappą, który właśnie odchodził na sjęstę, w głębi swej chaty, gdzie spoczywała już, wróciwszy ze wsi, jego gospodyni tubylcza. Para wspaniałych cycków, ta murzynka dobrze wychowana przez zakonnice

Gabonu¹. Ta młódka nietylko szepleniła po francusku, ale umiała jeszcze podawać chininę w konfiturze i tępić „tungi“², wkręcając się w podeszwę nogi. Potrafiła podobać się kolonialnemu białemu na sto sposobów, nie męcząc go lub też męcząc, według jego wyboru.

Alcyd czekał na mnie. Był trochę poirytowany. To zaproszenie, którem mnie zaszczycił porucznik Grappa, skłoniło go niezawodnie do wielkich wynurzeń. I pieprzne były te wynurzenia. Choć go o to nie prosiłem, zrobił mi z Grappy migawkowy portret dymiącego łąjna. Powiedziałem mu, że to się całkowicie zgadza z mojem o nim wyobrażeniem. Słabą stroną Alcyda było to, że handlował on wbrew zakazującym tego regulaminom wojskowym, z leśnymi murzynami w okolicy i również z tuzinem strzelców swej milicji. Zaopatrywał ten światek w tytoń przeznaczony na wymianę towarów, bez miłosierdzia. Gdy milicjanci otrzymali swoją porcję tytoniu, nie pozostawało im już nic z żołdu, wszystko poszło z dymem. Ta drobna praktyka, wobec rzadkości gotówki w okręgu, szkodziła, zdaniem Grappy, wpływaniu podatku.

Porucznik Grappa, rozsądny, nie chciał za swoich rządów wywoływać skandalu w Topo, ale, z zazdrości może, miał na tym punkcie fijoła. Chciał, żeby wszystkie maleńkie środki pieniężne krajowców szły, rozu-

¹ Gabon, przylegająca do oceanu część Konga francuskiego; ta prowincja, zdaniem Alberta Londres'a (książka „Terre d'ébène“) produkuje najpiękniejsze i najmiłsze kochanki białych całej Afryki podzwrotnikowej.

² Pchła ziemna. — *Przyp. tłum.*

mie się, na podatek. Każdy ma swoje zapatrywania i swoje ambicje.

Z początku, praktyka borgowania na rachunek żołdu wydała się nieco dziwna, a nawet trudna do zniesienia strzelcom, którzy pracowali wyłącznie, żeby palić tytoń Alcyda, ale przyzwyczaili się do niej dzięki kopniakom w tyłek. Teraz nie próbowali nawet zgłaszać się po żołd, wypalali go zgóry, spokojnie, w pobliżu chaty Alcyda, wśród trwałych kwiatków, między jednym ćwiczeniem „na niby“ a drugim.

Krótko mówiąc, w Topo, choć miejscowość była taka mała, było jednak miejsce dla dwóch systemów cywilizacji, systemu Grappy, raczej w rzymskim stylu, który chłostał ujarzmionego, żeby zeń wyciągnąć po prostu daninę, z zachowaniem dla siebie, wedle zapewnienia Alcyda, części nieśmiałej i osobistej, i właściwy system Alcyda, bardziej skomplikowany, w którym można już było rozpoznać drugie stadjum cywilizacyjne, narodziny w każdym strzelcu klienta, słowem kombinacja militarno-handlowa, o wiele bardziej nowoczesna, bardziej obłudna, nasza.

Co się tyczy geografji, porucznik Grappa szacował tylko, przy pomocy kilku map, ułożonych bardzo w przybliżeniu, jakie posiadał na posterunku, rozległe terytorja, powierzone jego pieczy. Również nie miał on wielkiej ochoty wiedzieć coś więcej o tych terytorjach. Drzewa, las, ostatecznie, wiadomo co to jest, widać je doskonale zdaleka.

Ukryte w gąszczu i w parowach tego bezmiaru zieliska, nieliczne szczepy, bardzo rozproszone, butwiały tu i owdzie wśród swych pcheł i much, ogłupione przez totemy, opychając się niezmiennie zgniłym manjokiem...

Ludki doskonale naiwne i prostodusznie ludożercze, oszołomione nędzą, trapione wszelką zarazą. Nie warto się z nimi zadawać.

Nic nie usprawiedliwiała ekspedycji administracyjnej, męczącej i bez echa. Gdy kończył swój wymiar sprawiedliwości, Grappa zwracał się raczej ku morzu i wpatrywał się w ten horyzont, skąd pewnego dnia tu się zjawiał i którędy pewnego dnia odejdzie stąd, jeśli wszystko pójdzie pomyślnie...

Choć z tą miejscowością oswoiłem się i w rezultacie stała mi się miła, musiałem jednak myśleć o opuszczeniu wreszcie Topo dla budy, obiecanej mi u kresu kilkudniowej żeglugi rzecznej i wędrówki przez lasy.

Z Alcydem zżyłem się bardzo. Próbowaliśmy razem łowić ryby-piły, tę odmianę rekina, od których roilo się przed naszą chatą. Okazał się w tem równie niezręczny jak ja. Nie złapaliśmy nic.

Umeblowanie jego chaty stanowiło tylko jego łóżko polowe, moje i kilka skrzyń, pustych lub pełnych. Zdawało mi się, że powinien mieć odłożony grubszy grosz ze swego handelku.

— Gdzie ty ją wsadzasz?... pytałem go nieraz. Gdzie ty chowasz swoją drańską forszę? — To go doprowadzało do szewckiej pasji. — Co za bibę urządzisz po powrocie? Dokuczałem mu. I ze dwadzieścia razy co najmniej, przy napoczynaniu nieuchronnych „konserw z pomidorów“, wymyślałem dla jego uciechy perypetje fenomenalnego puszczenia się po powrocie do Bordeaux, z bumsu do bumsu. Nic mi nie odpowiadał. Śmiał się tylko, jakby go to bawiło, że mu takie rzeczy mówię.

Poza musztrą i „sesjami sądu“ doprawdy nic się

w Topo nie działo, toteż z konieczności jaknajczęściej powtarzałem ten sam swój żart, z braku innych tematów.

W ostatnich czasach przysłała mi raz ochota napisać do p. Puty, żeby go naciągnąć na flotę. Alcyd się podjął wysłać list na pocztę przez najbliższy „Papautah“. Przybory do pisania Alcyd trzymał w małym pudełku od biszkoptów, takim, jakie widziałem u Brandelore'a, zupełnie takim samem. Wszyscy więc sierżanci z werbunku mieli ten sam zwyczaj. Ale gdy Alcyd ujrzał, że otwieram jego pudełko, zrobił gest, niespodziany dla mnie, żebym nie otwierał. Byłem zażenowany. Nie wiedziałem, dlaczego nie daje mi go otworzyć, więc położyłem je z powrotem. „A! otwórz je, niech tam! powiedział wreszcie. Niech tam, to nic nie szkodzi!“ Zaraz na odwrotnej stronie pokrywy była naklejona fotografia małej dziewczynki. Sama głowa, buzia zresztą bardzo miła, z długimi lokami, jak je noszono w owym czasie. Wziąłem papier, pióro i szybko zamknąłem pudełko. Byłem bardzo zażenowany swoją niedyskrecją, lecz zapytywałem siebie, dlaczego też jego to tak przejęło.

Wyobrażałem sobie zaraz, że idzie o jego dziecko, o którym dotąd nie chciał ze mną mówić. To mi wystarczyło, ale usłyszałem za plecami, że usiłował mi coś opowiedzieć na temat tej fotki. Bąkał. Nie wiedziałem zupełnie, co z sobą zrobić. Trzeba mu było ułatwić zwierzenie. Nie miałem pojęcia, jak się do tego wziąć. To było zwierzenie bardzo przykre do wysłuchania, byłem tego pewny. Doprawdy, nie zależało mi na niem wcale.

— To nic! usłyszałem wreszcie. To córka mego brata... Nie żyją oboje...

— Jej rodzice?...

— Tak, jej rodzice...

— Któż więc ją teraz wychowuje? Twoja matka? zapytałem, tak sobie, żeby okazać zainteresowanie.

— Matka, ja jej też już nie mam.

— Więc kto?

— No, ja!

Alcyd, czerwony jak burak, śmiał się nerwowo, jakby popełnił coś zupełnie nie na miejscu. Zaczął mówić pospiesznie:

— Bo to widzisz, ja ci wytłumaczę... Ja ją wychowuję w Bordeaux u Sióstr... Ale nie u Sióstr dla biednych, rozumiesz, co!... U Sióstr „jak się patrzy“... Skoro ja się tem zajmuję, to możesz być spokojny. Chcę, żeby niczego jej nie brakowało! Żynetka jej na imię... To jest miłe dziewczątko... Jak jej matka zresztą... Pisuje do mnie, robi postępy, tylko, widzisz, taki klasztor to jest drogie... Zwłaszcza że teraz ma dziesięć lat... Chciałbym, żeby jednocześnie uczyła się na fortepianie... Co ty mówisz na fortepian, powiedz?... Fortepian, co, to dobre dla dziewcząt?... Nie uważasz?... A angielski? To jest też pożyteczne, angielski? A ty umiesz po angielsku?...

Zacząłem się baczniej przypatrywać Alcydowi, w miarę jak wyznawał winę, że nie jest dość szczodry, Alcydowi, z jego małym wyszwarcowanym wąsem, z jego brwiami dziwaka, z jego spaloną skórą. Wstydlivy Alcyd! Ileż on musiał zaoszczędzić na swym kusym żołdzie... na swych głodowych dodatkach i na swym miw tem piekielnem Topo!... Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, nie byłem bardzo kompetentny w sprawach zernym potajemnym handelku... miesiącami, latami,

edukacji, ale on tak nade mną górował sercem, zem zacerwienił się po uszy... Wobec Alcyda byłem tylko bezsilny bałwan, tępy i pusty... Nie było co obwijać w bawełnę. To było murowane.

Nie śmiałem już do niego się odezwać, czułem się raptem niesłuchanie niegodny rozmawiać z nim. Ja, który wczoraj jeszcze lekceważyłem go i nawet gardziłem trochę Alcydem.

— Nie miałem szczęścia, ciągnął dalej, nie zdając sobie sprawy z kłopotu, jaki mi sprawiają jego zwierzenia. Wyobraź sobie, że dwa lata temu dostała paraliżu dziecięcego... Wystaw sobie... Czy ty wiesz, co to jest paraliż dziecięcy?

Wytłumaczył mi więc, że lewa noga dziecka uległa atrofji i że mała była na kuracji elektrycznością w Bordeaux, u specjalisty.

— Czy to powraca, jak sądzisz? niepokoił się.

Zapewniłem go, że przychodzi się po tem do zdrowia zupełnie, po pewnym czasie i przy leczeniu elektrycznością. Mówił o jej zmarłej matce i o kalectwie małej z wielką ostrożnością. Bał się, nawet zdaleka, urazić ją.

— Czyś widział ją od czasu choroby?

— Nie... byłem tutaj.

— Prędko się wybierasz?

— Myślę, że nie będę mógł wcześniej, jak za trzy lata... Rozumiesz, tutaj trochę handluję... To jest dla niej dużą pomocą... Gdybym teraz wziął urlop, po powrocie zostanę miejsce zajęte... zwłaszcza z tym dra-niem...

Tak więc, Alcyd prosił o podwojenie pobytu, o sześć lat Topo bez przerwy, zamiast trzech, dla brataniczki,

od której miał tylko trochę listów i ten portrecik. „Co mnie gryzie, zaczął znowu, kiedy położyliśmy się spać, to to, że ona tam nie ma do kogo jechać na wakacje... To jest ciężka rzecz dla takiego małego dziecka...”

Wyraźnie Alcyd poruszał się w wyższych regionach z całą swobodą i, że tak powiem, poufale, był na „ty” z aniołami, ten mój kamrat, a nic a nic na to nie wyglądał. Ofiarował, prawie nie domyślając się tego, małej dziewczynce, nie najbliższej znów krewnej, lata katorgi, unicestwienie swego biednego życia w tej skwarnej monotonii, bez zastrzeżeń, bez targów, bez żadnego zysku, prócz zaspokojenia potrzeby swego dobrego serca. Ofiarowywał tej dalekiej dziewczynce dość tkliwości, żeby nią przerobić cały świat, i tego nie było widać.

Usnął odrazu przy nikłym blasku świecy. Ja wreszcie wstałem, żeby dobrze się przypatrzeć jego rysom przy świetle. Spał, jak wszyscy. Miał wygląd zupełnie pospolity. A przecież nie byłoby takie głupie, żeby istniało coś, po czym można by odróżniać dobrych od złych.

Żeby wdrzeć się w puszcze, można się wziąć do tego w dwojaki sposób: wycina się w niej tunel, jak to robią szczury w kopcu siana. To jest środek duszący. Bałem się tego. Albo też poddać się jeździe w górę rzeki, leżąc na dnie wydrażonego pnia, popychanego pagajem z zakrętów w zarośla i, wyczekując tak końca dłużących się dni, zdać się całkiem na łaskę, bez rekursu, rażącego światła. I wreszcie, ogłuszony przez tych krzykaczy murzynów, przybyć gdzie trzeba, w takim stanie, w jakim się da.

Za każdym razem, przy odbijaniu od brzegu, wiosłarze potrzebują pewnego czasu, żeby uzgodnić rytm. Klótnia. Naprzód koniec pała w wodę, a potem dwa lub trzy rytmiczne wrzaski, a las odpowiada, wiry, to ześlizguje się, dwa wiosła, potem trzy, jeszcze się nie zgodzili, fale, bełkoty, spojrzenie poza siebie prowadzi cię do morza, które hen tam spłaszcza się, oddala, a przed sobą długie gładkie rozlewisko, po którym posuwasz się pod prąd, orząc wodę, a potem jeszcze troszkę Alcyda na przystani, dostrzegam go wdali, prawie już wchłoniętego przez tuman nadrzeczny, pod jego ogromnym kloszowym kaskiem, potem już tylko kawałek głowy, gomółka twarzy, a reszta Alcyda od spodu buja się w bluzie, jakby już był powieszony w jakimś cudacznym wspomnieniu, w białych spodniach.

To wszystko, co mi zostaje z tej miejscowości, z tego Topo.

Czy też długo jeszcze można było bronić tej skwar-

nej osady przed skrytą kosą rzeki o wodach koloru piasku? A jej trzy zapchlone chaty czy stoją, jak stały? A nowi Grappowie i nieznani Alcydowie czy zawsze ćwiczą nowych strzelców w tych walkach na niby? Czy wciąż wymierzana jest ta bezpretensjonalna sprawiedliwość? Woda, którą się tam próbuje pić, zawsze tak trąci goryczką? jest taka ciepła? Że człowiekowi obrzydłą własne usta na tydzień po każdym napieniu się... I czy wciąż niema lodowni? A te walki w uszach, jakie wydają muchom niezmordowane trzmielce chininy? Siarczan? Chlorowodorek?... Ale przede wszystkim, czy istnieją jeszcze murzyni, żeby marnieć i gnić w krostach w tej łaźni? Bardzo być może, że nie...

Być może, nic z tego już nie istnieje, że Małe Kongo liznęło Topo swym potężnym błotnistym językiem, mimochodem, w jakiś wieczór tornada, i że wszystko się skończyło, na dobre się skończyło, że nawet sama nazwa zniknęła z map, że, słowem, zostałem tylko ja, żeby pamiętać jeszcze o Alcydzie... Że jego bratanica też o nim zapomniała... Że porucznik Grappa nigdy już nie zobaczył swej Tuluzy... Że bór, który od niepamiętnych czasów czyhał na wydmę gdy przesilała się pora deszczów, wszystko odebrał z powrotem, wszystko zgniół w cieniu olbrzymich mahoni, wszystko, nawet nieprzewidziane kwiatki na piasku, których Alcyd nie dał mi podlewać... Że niema już nic.

Czem były te dziesięć dni żeglugi w górę rzeki, długo popamiętam... Mijały na pilnowaniu wirów iłowatej wody na dnie pirogi, na wybieraniu jednego przejścia chyłkiem po drugim, wśród olbrzymich konarów, zwisających z biegiem rzeki, zwinnie omijanych. Trud uciekających katorżników.

Po każdym zmierzchu postój na skalistym przyładku. Pewnego ranka opuściliśmy wreszcie to przekłete dzikie czółno, żeby wejść w puszcę ukrytą ścieżką, ledwo widoczną w półmroku zielonym i wilgotnym, oświetlanym tylko miejscami smużką słońca, zanurzającą się z samego szczytu tej bezkresnej liściastej katedry. Potwory zwalonych drzew zmuszały naszą grupę do wielu obchodów. W ich wnętrzu całe metro mogłoby manewrować swobodnie.

W pewnej chwili powróciła wielka jasność, dotarliśmy do przestrzeni wykarczowanej, musieliśmy iść jeszcze pod górę, nowy wysiłek. Wyniosłość, na którą wdrapaliśmy się, wieńczył bór nieprzejrany, kędzierzawy wierzchołkami żółtymi i czerwonymi i zielonymi, zaludniający, tłoczący góry i doliny, potwornie obfity, jak niebo i woda. Człowiek, którego siedliska szukaliśmy, mieszkał, pokazano mi na migi, jeszcze trochę dalej... w innej dolince. Czekał tam na nas, ten człowiek.

Między dwiema dużymi skałami urządził sobie rodzaj podziemnego schronu, żeby się zasłonić, zwrócił mi uwagę, przed tornadami wschodu, najgorszymi, najwścieklejszymi z wichrów. Zgodziłem się chętnie, że to jest dobra strona tej siedziby, ale co się tyczy samej chaty, stanowczo należała ona do ostatniej najędzniejszej kategorii, siedziba niemal teoretyczna, postrzępiona zewsząd. Wprawdzie spodziewałem się czegoś w tym rodzaju, jako mieszkania, a jednak rzeczywistość przewyższała moje przewidywania.

Musiałem się wydać koledze bardzo strutym, gdyż odezwał się do mnie dość brutalnie, żeby mnie wyrwać z mych refleksyj: „No, cóż takiego, będzie tu panu je-

szcze lepiej niż na wojnie! Tutaj, ostatecznie, można jakoś żyć! Zre się podle, to racja, a do picia prawdziwe błoto, ale można spać, ile się chce... Tu niema armat, drogi panie! Ani kul! Razem wzięwszy, warto!“ Mówił trochę w tym samym tonie, co agent generalny, ale oczy miał blade, jak Alcyd.

Musiał mieć koło trzydziestki, nosił brodę... Nie przyjrzałem mu się dobrze po przybyciu, do tego stopnia byłem po przybyciu stropiony ubóstwem jego urzędu, tego które miał mi przekazać i które miało mi służyć, być może, lata całe... Ale obserwując go teraz, widziałem, że ma fizjonomję zdecydowanego awanturnika, twarz o bardzo wyrazistych kątach, a nawet jedną z tych buntowniczych głów, które wdzierają się w życie za ostro, zamiast toczyć się pod niem, z grubym okrągłym nosem naprzykład, o pękaty, jak czołno policzkach, które pluskają o przeznaczenie, jakby szczebiocąc. Ten, to był nieszczęśnik.

— To racja, odezwałem się, niema nic gorszego od wojny!

Narazie było dosyć tego zwierzenia, nie miałem ochoty mówić o tem więcej. Ale on ciągnął dalej na ten temat.

— Zwłaszcza teraz, kiedy robią takie długie wojny... dodał. Wreszcie, zobaczy drogi pan, że tutaj jest dosyć nudno, to wszystko! Niema nic do roboty... Taki rodzaj wakacyj... Tylko że wakacje tutaj! prawda! Wreszcie, to zależy może od natury, nic nie mogę powiedzieć...

— A woda? zapytałem. Ta którą widziałem w swoim kubku, sam go sobie nalałem, niepokoiła mnie, żół-

tawa, napiłem się, mdłąca i ciepła, zupełnie taka sama jak w Topo. Jak z dna nocnika, na trzeci dzień.

— To ma być woda? Męka z wodą miała się zacząć nanowo.

— Tak, niema tutaj innej, ta i deszczowa. Tylko, że jak będzie padało, buda długo nie wytrzyma. Widzi pan, w jakim stanie jest buda? — Widziałem.

— Co do żywności, nawiązywał dalej rozmowę, to tylko konserwy, żrę je od roku... Nie umarłem od nich! W pewnym sensie to jest wygoda, ale to nie trzyma się w ciele; krajowcy, oni żrą zgniły manjok, to ich rzecz, oni to lubią... Od trzech miesięcy wszystko zrucam... Djarja. Może też to febra; mam i jedno, i drugie... I nawet nie widzę już dobrze koło piątej... Po tem poznaję, że mam gorączkę, bo co do gorąca, prawda, trudno żeby było człowiekowi goręcej niż tu, przy takiej temperaturze tych stron!... Właściwie to raczej dreszcze uprzedzają o tem, że się ma febrę... A potem również to, że człowiek się wtedy mniej nudzi... Ale to też jeszcze zależy może od natury... możnaby może pić alkohol, żeby dodać sobie ducha, lecz ja tego nie lubię, alkoholu.. Nie znoszę go.

Widocznie liczył się bardzo z tem, co nazywał „naturą“.

Potem, póki tu jeszcze był, dał mi kilka innych zachęcających informacji: „W dzień upał, lecz w nocy hałas najtrudniej jest znieść... To wprost nie do wiary... To bestyjki z bledu¹ urządzają sobie wyścigi, żeby się parzyć czy też zeżerać, nie mam pojęcia, ale tak mi mó-

¹ Bled — przyjęta w Afryce nazwa nieuprawnych przestrzeni, o charakterze stepowym. — *Przyp. tłum.*

wiono... w każdym razie może pan sobie wyobrazić, co to za wrzawa!... A najhulaśliwsze między niemi to hjeny!... Podchodzą do samej chaty... Usłyszysz je pan... Nie pomyli się pan... To nie tak jak z szumem w głowie po chininie... Czasem można się omylić, gdy chodzi o ptaki, duże muchy i chininę... To się zdarza... Tymczasem hjeny, to śmieje się jak najęte... Węszą pańskie mięso... To je pobudza do śmiechu!... Tym bestjom pilno do pańskiej śmierci!... Można nawet widzieć, powiadają, jak im wtedy oczy błyszczą... Lubią ścierwo... Ja nie patrzyłem im w oczy... W pewnym sensie tego żałuję...“

— Tak, tutaj jest wesoło! odpowiedziałem.

Ale to nie było wszystko dla uprzyjemnienia nocy.

— Jest jeszcze wieść, dodał... Niema w niej setki murzynów, ale robią harmidru na dziesięć tysięcy, te szelmy!.. Przekona się pan, że to jest też miłe! O, jeżeli pan przybył dla tam-tamu, nie omylił się pan w wyborze kolonji!... Bo tutaj urządzają to raz dlatego, że jest księżyc, to znów, że niema księżycy... A jeszcze, ponieważ oczekują księżycy... Słowem, zawsze jest jakiś powód do tam-tamu! Pomyślałby kto, porozumiewają się ze zwierzętami, żeby człowieka nękać, ścierwa! Można zdechnąć, powiadam panu! Jabym ich wszystkich wyrzwał za jednym zamachem, gdybym nie był taki zmęczony... Ale tymczasem wolę kłaść sobie wate w uszy... Przedtem, kiedy miałem jeszcze w swej apteczce waseline, smarowałem nią wate, teraz zamiast waseline używam tłuszczu z bananów. To też jest dobre, tłuszcz z bananów... Z tem, mogą oni sobie płókać gardło grzmotem, jeśli to ich podnieca, hyclów! Ja gwizdzą na to, mając swoją wate z tłuszczem! Nic wte-

dy nie słyszę! Murzyni, zaraz zda pan sobie z tego sprawę, to jest zdechlizna i zgnilizna! Za dnia to siedzi w kucki, myślałby kto, że to nie jest zdolne podnieść się, choćby tylko żeby się wysuszać pod drzewem, a niech tylko zapadnie noc, trzeba ich widzieć! Sama rozpusta! same nerwy! sama histerja! Kawałki nocy, obrócone w histerję! Oto, czym są murzyni, ja to panu mówię! Jednym słowem, hultaje... Zwyrrodnialcy może!...

— Czy często przychodzą do pana coś kupić?

— Kupić? A, pan też ma pojęcie! Trzeba ich okraść, zanim oni pana okradną, to jest handel i basta! W nocy zresztą nie krępują się mną, to się rozumie, skoro mam w każdym uchu dobrze nasmarowaną tłuszczem wate! Poczóż mieliby się ceremonjować, czy nie?... A po-zatem, jak pan widzi, ja nie mam drzwi w chacie, więc też korzystają z tego, jak pan myśli, co?... Tutaj im żyć nie umierać...

— No dobrze, a inwentarz? zapytałem, zupełnie ogłupiały temi szczegółami. Dyrektor generalny polecił mi zrobić inwentarz zaraz po moim przyjeździe, i drobiazgowy!

— O ile to mnie dotyczy, odparł mi na to z zupełnym spokojem, ja mam gdzieś dyrektora generalnego... Jak mam zaszczyt to panu oświadczyć...

— Ale przecież pan zobaczy się z nim w Fort-Gono, w powrotnej drodze?

— Nie zobaczę nigdy już ani Fort-Gono, ani dyrektora... Puszczą jest wielka, mój paniczu...

— W takim razie, dokąd pan pójdzie?

— Jeśli pana o to zapytają, powie pan, że pan nic

nie wie! Ale ponieważ pan ciekawie wygląda, proszę mi pozwolić, póki jeszcze czas, dać panu, psiakrew, pewną radę, i to dobrą radę! Pluj pan na interesy „Towarzystwa Pordurière“, jak ono pluje na pańskie, i jeżeli pan biega tak szybko, jak ono pana ma gdzieś, Towarzystwo, mogę panu dziś jeszcze powiedzieć, że z pewnością wygra pan „Grand Prix“!... Niech pan więc będzie kontent, że zostawiam panu trochę gotówki i niech pan nie żąda ode mnie nic więcej!... Co się tyczy towaru, jeśli to prawda, że polecił panu tem się zająć... odpowie pan dyrektorowi, że go już nie było, i koniec!... Jeśli panu nie uwierzy, no, to też nie ma wielkiego znaczenia!... I tak nas uważają za złodziei, i to na wszelki sposób! To więc nic a nic nie wpłynie na opinię publiczną, a skoro nam przyniesie pewien zysk... Dyrektor zresztą, niech pan będzie spokojny, zna się na kantach jak nikt i niewarto się z nim sprzeczać! To jest moje zdanie! Czy i pańskie? Wiadomo że, aby tu się znaleźć, nieprawdaż, trzeba być gotowym zabić ojca i matkę! A więc?

Nie byłem bardzo pewny, czy to wszystko co mi tu opowiada, jest realne, ale bądź co bądź ten poprzednik zrobił na mnie błyskawiczne wrażenie niebyłego szakala.

Wcale nie czułem się spokojny. „Znowu wdepnąłem w paskudną historję“, mówiłem sobie w duchu i to coraz głośniej. Przerwałem rozmowę z tym korsarzem. W kącie, gdzie był groch z kapustą, odkryłem trafem towar, który raczył mi zostawić, trochę tkanin bawełnianych... Ale zato przepasek, trzewików wołokowych tuziny, pieprz w puszkach, lampiony, irygator, a przede wszystkim rozbijającą ilość potrawki ze schabu

z fasolą „à la Bordelaise“, w konserwie, wreszcie kolorową pocztówkę: „Plac Clichy“.

— Koło słupa znajdziesz kauczuk i kość słoniową, kupione u negrów... Z początku napracowałem się, a potem... masz tu trzysta franków... To twój obrachunek.

Nie wiedziałem, o jaki obrachunek chodziło, ale zrezygnowałem z dopytywania się o to.

— Może będziesz miał jeszcze kilka wymian towarów, uprzedził mnie, ponieważ pieniędzy, wiesz, tutaj nie potrzebują, pieniądze mogą być potrzebne tylko do wiania stąd...

Zaczął się śmiać. Nie chcąc mu się narazie sprzeciwić, zrobiłem to samo i śmiałem się razem z nim, jak gdybym był bardzo kontent.

Wbrew temu niedostatkowi, w jakim tkwił od szeregu miesięcy, otoczył się bardzo skomplikowaną służbą, złożoną przede wszystkim z małych chłopców, skorych do podawania mu jedynej w gospodarstwie łyżki czy nieporównanego kubka lub też do wyciągania zręcznie bezustannych i klasycznych pcheł ziemnych, wkręcających się w podeszwę stopy. Wzamian za to wsuwał im łaskawie rękę między uda, co chwila. Jedyna praca, przy jakiej go widziałem, to drapanie się osobiste, ale wówczas oddawał jej się, podobnie jak sklepikarz z Fort-Gono, ze zwinnością zdumiewającą, jaką, stanowczo, obserwować można tylko w kolonjach.

Umeblowanie, które mi zostawił w spadku, odsłoniło mi, co pomysłowość może uczynić z potłuczonych skrzyń od mydła, w dziedzinie krzesel, stolików i foteli. Nauczył mnie jeszcze ten ciemny typ, jak się dla rozrywki szmyrga jednym szybkim wyrzutem palców u nogi, daleko, ciężkie kosmate gąsienice, drgające

i puszczające ślinę w ataku na naszą leśną chatę. Biada niezręcznemu, co je rozdepce! Jest za to ukarany całym tygodniem niesłychanego smrodu, wydzielającego się zwolna z ich niedającej zapomnieć o sobie miazgi. Czytał on w jakichś wypisach, że te ciężkie straszidła reprezentowały wśród zwierząt to, co jest najstarszego na świecie. Datowały one, twierdził, z drugiego okresu geologicznego! „Gdy my przyjdziemy z tak daleka jak one, mój kochany, czy nie będziemy śmierdzieć?” Taki już był.

Zmierzchy w tem piekle afrykańskiem były wspaniałe. Oczom się nie wierzyło. Za każdym razem tragiczne, jakby wielkie morderstwa słońca. Olbrzymie udawanie. Tylko że dla człowieka było w tem co podziwiać. Niebo przez godzinę paradowało, obryzgane z końca w koniec oszalałym szkarłatem, a potem zielony kolor wybuchał między drzewami i wznosił się z ziemi drżącemi smugami aż do pierwszych gwiazd. Potem szara barwa ogarniała cały widnokrąg i jeszcze czerwień, ale już zmęczona czerwień, i nie na długo. Tak się to kończyło. Wszystkie kolory opadały w rozlazłych strzępach na las, jak świecidełka po obchodzie jakiejś setnej rocznicy. Codziennie punktualnie około szóstej to się odbywało.

I noc ze wszystkiemi swemi monstrami szła wówczas w tanc, wśród tysięcy żabich rechotów.

Puszcza czeka tylko na ten sygnał, żeby zacząć dygotać, świszczec, ryczeć w swych głębinach. Olbrzymia stacja miłosna i bez światła, zatłoczona, że omal nie trzaśnie. Całe drzewa wzdęte żywą wyżerką, szpetnemi erekcjami, okropnością. Doszło do tego, żeśmy w chacie nie słyszeli jeden drugiego. Musiałem ja teraz huknąć

poprzez stół jak puszczyk, żeby towarzysz mnie zrozumiał. Miałem używanie, ja, co nie lubię wsi.

— Jak pan się nazywa? Powiedział pan, Robinson, prawda? zapytałem go.

Towarzysz był w trakcie powtarzania mi, że krajowcy w tych stronach cierpią aż do uwiądu na wszystkie choroby, jakich można się nabawić, i że te zdechlaki nie były w stanie prowadzić jakiegobądź handlu. Kiedyśmy rozmawiali o negrach, muchy i owady, takie wielkie i w takiej ilości opadły latarnię, takimi gęstymi chmurami, że trzeba było zgasić światło.

Twarz tego Robinsona ukazała mi się raz jeszcze, zanim zgasilem, za tą siatką z owadów. Dlatego to może jego rysy wbiły mi się dobitniej w pamięć, gdy przedtem nie przypominały mi nic wyraźnego. W ciemnościach mówił dalej do mnie, a ja podczas tego cofnąłem się w przeszłość z tonem jego głosu, jakby apelem przed wrotami lat, a potem miesięcy, wreszcie moich dni, pytając siebie, gdzie ja mogłem spotkać tego człowieka. Ale nie znalazłem nic. Nie odpowiadano mi. Można zabłądzić, idąc poomacku wśród kształtów minionych. To straszne, ile się ma rzeczy i ludzi, już nieruchomych w swej przeszłości. Żywi, których się zapomniało po kryptach czasu, śpią tak dobrze razem ze zmarłymi, że ten sam mrok już ich zlewa ze sobą.

Człowiek nie wie już na starość, kogo budzić w pamięci, żywych czy umarłych.

Usiłowałem utożsamić tego Robinsona, gdy raptem rodzaj śmiechu, okrutnie przesadnego, niedaleko w nocy, poderwał mnie z miejsca. To umilkło. Uprzedził mnie, z pewnością hjeny.

A potem już nic, tylko czarni we wsi i ich tam-tam, to gadatliwe bicie w wydrążone drzewo, termity wiatru.

Samo nazwisko Robinson niepokoiło mnie szczególnie, coraz wyraźniej. Zaczęliśmy rozmawiać o Europie w naszych ciemnościach, o potrawach, jakie tam można sobie kazać podać, gdy się ma pieniądze, i jakie trunki! takie orczwiałające! Nie rozmawialiśmy o dniu jutrzejszym, kiedy miałem zostać sam, tutaj na lata być może, tutaj z temi wszystkimi „cassoulets“¹... Trzebaż było jeszcze dać pierwszeństwo wojnie? To było gorsze, naturalnie. To było gorsze!... On sam to przyznawał... On też był na wojnie... A jednak odchodził stąd... Mimo wszystko, dość miał puszczy... Próbowaliśmy sprowadzić go na temat wojny. Ale wymykał się teraz.

Wreszcie, w chwili gdyśmy się ułożyli do snu, każdy w swym kącie tej rujnacji ścian i liści, wyznał mi bez ogródek, że dobrze wszystko zważywszy, wołał jeszcze zaryzykować, że stanie przed sądem cywilnym za sprzeniewierzenie, niż znosić dłużej życie z „cassoulets“, które tu wiódł od roku prawie. Wiedziałem teraz, czego się trzymać.

— Pan nie ma waty do uszów? spytał mnie jeszcze... Jeśli pan nie ma, niech pan sobie zrobi z nitki z kołdry i z tłuszczu bananowego. Można w ten sposób też mieć dobre tampony... Ja tam nie chcę słyszeć ryków tych krów!

Było w tej nawale wrzasków wszystko, prócz właśnie

¹ Potrawka z wieprzowiny lub gęsiny z fasolą, o której wyżej była mowa. — *Przyp. tłum.*

krów, lecz on trzymał się tego niewłaściwego i rodzajowego terminu¹.

Kawał z watą zrobił nagle na mnie wrażenie, że kryje w sobie jakiś obrzydliwy podstęp z jego strony. Nie mogłem się oprzeć ogarniającemu mnie lękowi, że zamorduje mnie na moim „składańcu“, zanim sobie pójdzie, zabierając resztę kasy... Ta myśl uderzyła mnie obuchem w łeb. Ale co robić? Wołać? Kogo? Ludożerców ze wsi?... Zaginął bez wieści? byłem nim już prawie, prawdę mówiąc! W Paryżu, bez majątku, bez długów, bez schedy, już ledwie się egzystuje, trzeba dobrze się naharować, żeby nie być „zaginionym bez wieści“. Więc tutaj? Kto zada sobie choćby fatygę przybyć aż do Bikomimbo napluć bodaj w wodę, nic więcej, żeby zrobić przyjemność wspomnieniu o mnie? Nikt, rzecz prosta.

Mijały godziny trwogi, przegradzanej wytchnieniem. Tamten nie chrapał. Wszystkie te hałasy, te nawoływania, idące z puszczy, przeszkadzały mi słyszeć jego oddech. Nie potrzeba waty. To imię Robinson, zasiadłszy mi w mózgu, doprowadziło mnie tymczasem do wydobycia najaw pewnego ciała, pewnego sposobu zachowania się, nawet głosu, który znałem... Wreszcie w chwili, gdy miałem już nadobre zasnąć, cały osobnik stanął przed moim łóżkiem, pochwycił jego wspomnienie, nie tego oczywiście, lecz wspomnienie właśnie owego Robinsona, z Noirceur-sur-la-Lys, jego, tam, we Flandrji, któremu towarzyszyłem na brzegi tej nocy, kiedy szukaliśmy razem szpary, by wymknąć

¹ *Uache* (krowa) jest też ordynarnym wymysłem, gęsto używanym przez autora. *Przyp. tłum.*

się wojnie, i potem jego jeszcze, później, w Paryżu... Wszystko powróciło. Lata minęły jak biczem trzaśł. Bardzo mnie bolała głowa, było mi ciężko... Teraz kiedy wiedziałem, że go wykrył, nie mogłem opanować wielkiego strachu. Czy on mnie poznał? W każdym razie, mógł liczyć na moje milczenie i poczuwanie się do współnictwa.

— Robinsonie! Robinsonie! zawołałem dziarsko, jakby zwiastując mu dobrą nowinę. Ej, stary! Ej, Robinson!... Żadnej odpowiedzi.

Z mocno bijącym sercem, wstałem i gotowałem się do otrzymania paskudnego ciosu w żołądek... Nic. Wówczas wzięwszy na odwagę, doszedłem aż do drugiego końca chaty, poomacku, gdzie widziałem, że się kładzie. Poszedł.

Doczekałem się dnia, pocierając zapalkę od czasu do czasu. Dzień zjawił się w nawale światła, a potem domowi murzyni pokazali się, żeby radośnie ofiarować swą olbrzymią bezużyteczność, z wyjątkiem jednak tego, że byli weseli. Próbowali już uczyć mnie beztroski. Daremnie, serją gestów bardzo obmyślanych, próbowałem im pokazać, jak mnie niepokoiło zniknięcie Robinsona, nie widać było, żeby to im przeszkadzało gwizdać na to najzupełniej. Bezwątpienia, jest dużo szaleństwa zajmować się czem innym niż tem co się widzi. Ostatecznie, żałowałem nadewszystko kasy w tej całej historii. Ale rzadko się zdarza widzieć z powrotem ludzi, którzy zabierają ze sobą kasę... Ta okoliczność kazała mi wnioskować, że Robinson zrezygnuje z powrotu poto tylko, żeby mnie zamordować. Bądź-cobądź, tyłem zyskał.

Więc teraz dla mnie jednego to wszystko dokola!

Będę odtąd miał moc czasu, myślałem sobie, wracać na powierzchnię lub nurkować w głąb tego bezmiaru liści, tego oceanu czerwieni, tych żółtych marmurkowych żył, tych płomienistych barw solonego mięsa, z pewnością wspaniałych dla tych, co lubią przyrodę. Ja jej stanowczo nie lubiłem. Poezja zwrotników budziła we mnie obrzydzenie. Moje spojrzenie, moja myśl o tych połączeniach odbijały mi się, jak konserwa z tuńczyka. Można gadać co się chce, to będzie zawsze kraj dla kumarów, i panter. Każdy ma swoje miejsce na ziemi.

Wolałem wracać do chaty i doprowadzać ją do porządku w przewidywaniu tornada, którego należało się spodziewać niezadługo. Ale tutaj również dość prędko musiałem zrezygnować z mego przedsięwzięcia umocnienia siedziby. To, co było do użytku w tej strukturze, mogło już tylko runąć, ale się nie podźwignąć, strzechy, pełna robactwa, strzepiła się, stanowczo z mego mieszkania nie można byłoby zrobić przyzwoitego pisuaru.

Po zrobieniu miękkim krokiem kilku okrążeń w zagajniku, musiałem wrócić do domu, położyć się i milczeć, z powodu słońca. Zawsze ono. Wszystko milknie, wszystko boi się spłonać koło południa, zresztą, ździebko tylko do tego brakuje, trawy, zwierzęta i ludzie są tak rozpaleni. To jest apopleksja południkowa.

Moja kura, jedyna, zostawiona mi w spadku przez Robinsona, też bała się tej godziny. Żyła tak ze mną trzy tygodnie, ta kura, spacerując, chodząc za mną jak pies, gdacząc przy byle okazji, wszędzie dostrzegając węże. Pewnego dnia, kiedy mi się przykrzyło straszliwie, zjadłem ją. Nie miała żadnego smaku, miała mięso tak spłowiałe na słońcu, jak perkal. Może to przez

tę kurę tak się rozchorowałem. Dość, że nazajutrz po tej uczcie nie mogłem już wstać. Koło południa, zupełnie niedołężny, dowlokłem się do skrzynki z lekarstwami. Była w niej już tylko jodyna i plan linii Nord-Sud paryskiego metra. Nie widziałem jeszcze żadnych klientów w faktorji, przychodzili tylko czarni gapie, gestykujący bez końca i żujący kołę, erotyczni i paludyczni¹. Teraz murzyni stawali dokoła mnie, zdaje się, rozprawiali o moim wstrętnym pysku. Byłem kompletnie chory, do tego stopnia, iż miałem wrażenie, że nie potrzebuję już używać nóg, zwisały one poprostu z łóżka, jak coś zbędnego i trochę komicznego.

Z Fort-Gono, od dyrektora, przychodziły przez gońców tylko listy, cuchnące wymysłami i głupstwami, no i pogroźkami. Ludzie handlu mają się wszyscy za małych i dużych spryciarzy zawodowych, a najczęściej w praktyce okazują się w najwyższym stopniu niezręczni. Moja matka, z Francji, zalecała mi dbać o zdrowie, jak na wojnie. Pod nożem gilotyny matka zburczałaby mnie, że zapomniałem szalika. Nie chybiła żadnej okazji moja matka, aby mnie przekonywać, iż świat jest zacny i że dobrze zrobiła, rodząc mnie. To jest wielki wykręt macierzyńskiego niedbalstwa, ta rzekoma Opatrzność. Było mi zresztą bardzo łatwo nie odpowiadać na te wszystkie bzdury pryncypała i mojej matki i nie odpowiadałem nigdy. Tylko że ta postawa nie poprawiała też sytuacji.

Robinson ukradł prawie wszystko, co zawierało to

¹ Dotknięci chorobami, panującymi w bagnistych okolicach.—
Przyp. tłum.

kruche przedsiębiorstwo, i ktoby mi uwierzył, gdybym pojechał to oznajmić? Pisać? Poco? Do kogo? Do pryncypała? Codziennie koło piątej dygotałem z febry, tak gwałtownej, że moja imitacja łóżka trzęsła się od tego, jak pod zaciekleym onanistą. Murzyni ze wsi bez ceremonji owładnęli moją chatą i posługiwaniem mi; nie na moje żądanie przyszli, ale odprawiać ich to już był za duży wysiłek. Użerali się o to, co pozostało z faktorji, obmacując gorliwie barylki z tytoniem, przymierzając ostatnie przepaski, szacując je, zabierając, powiększając jeszcze, jeśli to było możliwe, ogólny rozstrój mego urządzenia. Kauczuk, ponieważ się wszędzie po ziemi, mieszał swój sok z leśniami melonami, z temi mdłemi papajami o smaku moczowatych gruszek, na których wspomnienie w piętnaście lat potem, tyle się ich naźarłem zamiast fasoli, jeszcze mnie nudzi.

Próbowałem sobie przedstawić, na jaki poziom bezsilności spadłem, ale mi się to nie udawało. „Wszyscy kradną!“ trzy razy powtórzył mi Robinson zanim zniknął. Była to również opinja Agenta generalnego. W gorączce te słowa mnie kłóły. „Musisz sobie dać radę!“... powiedział mi jeszcze. Próbowałem wstać. Nie mogłem w żaden sposób. Woda, którą trzeba było pić, miał rację, to było błoto, gorzej, z dna nocnika. Murzyniątko przynosiły mi wprawdzie banany, duże, drobne i czerwone i wiecznie te „papaje“, lecz tak mnie bolał brzuch od tego i od wszystkiego! Zwymiotowałbym całą ziemię.

Jak tylko czułem się trochę lepiej, gdy byłem mniej oszołomiony, ohydny strach ogarniał mnie całego, strach przed koniecznością złożenia rachunków Towar-

rzystwu Pordurière. Co powiem tym złowrogim ludziom? Czyż oni mi uwierzą? Z pewnością każą mnie aresztować! Kto mnie wówczas będzie sądził? Typy specjalne, zbrojne w prawa straszliwe, nabyte niewiadomo skąd, jak Sąd Wojenny, lecz których intencji istotnych nigdy wam nie wyjawiają, typy, dla których jest igraszka wieść was ze sobą, broczącego krwią, pod górę, prostopadłą ścieżką ponad piekłem, drogą, prowadzącą biednych na śmierć. Prawo to jest wielki „Luna Park“ boleści. Kiedy nędzarz da mu się pochwycić, słyhać jego krzyk potem wieki całe.

Wolałem pozostać tutaj, odurzony, dygocący, tocząc pianę przy 40 stopniach gorączki, niż być zmuszony z całą przytomnością umysłu przedstawić sobie, co mnie czekało w Fort-Gono. Dochodziłem do tego, że nie brał już chininy, żeby dać gorączce zasłonić mi życie. Człowiek upija się tem co ma pod ręką. Gdym tak się gotował na wolnym ogniu, dni i tygodnie, moje zapalki wyczerpały się. Brak ich nam było. Robinson zostawił mi naprawdę poza sobą tylko „Cassoulet à la Bordelaise“. Ale już tego, to mi zostawił, mogę powiedzieć! Zwymiotowałem całe puszki tej konserwy. I żeby dojść do tego rezultatu, trzeba ją było jeszcze rozgrzać.

Ten brak zapalek stał się dla mnie okazją do małej rozrywki, do przyglądania się, jak mój kucharz krzesal ogień zapomocą dwóch kamieni, wśród suchej trawy. Gdym tak patrzył nań, przyszło mi do głowy zrobić to samo. Ta myśl, przy dużej gorączce na dokładkę, dziwnie się we mnie utrwaliła. Choć z natury byłem niezręczny, po tygodniu ćwiczenia się w tem, potrafiłem, zupełnie jak murzyn, wykrzesać ogień z dwóch ostrych kamieni. Ostatecznie zaczynałem dawać sobie radę w ży-

ciu w stanie pierwotnym. Ogień to główna rzecz, pozostaje polowanie, ale nie miałem w tym kierunku ambicji. Ogień z krzemienia wystarczał mi. Ćwiczyłem się w tem bardzo sumiennie. To tylko miałem do roboty, dzień po dniu. W sztuce wyrzucania z chaty gąsienic „drugiego okresu“ wykazałem daleko mniej zręczności. Nie nabyłem jeszcze tej sztuki. Dużo gąsienic rozdeptałem. Przestałem się nimi zajmować. Pozwalałem im swobodnie włączyć do mej chaty, po przyjacielsku. Przy- szły dwie wielkie burze, jedna po drugiej, druga trwała całe trzy dni a zwłaszcza trzy noce. Nareszcie można było pić deszcz z bańki, letni coprawda, ale zawsze... Tkaniny składziku zaczęły się rozpuszczać w ulewach, swobodnie jedna w drugiej, kupa ohydneho towaru.

Usłudni murzyni przynieśli mi wprawdzie z lasu pęki ljan, żeby przymocować do ziemi moją chatę, lecz na- próżno, liście ścianek przy najmniejszym porywie wia- tru zaczynały łopotać jak szalone ponad dachem, jak zranione skrzydła. Nic się nie dało zrobić. W rezultacie tylko zabawa.

Czarni, dorośli i mali, wobec mego upadku postanowili żyć na stopie zupełnej poufałości. Byli uradowani. Wielka rozrywka. Wchodzili i wychodzili ode mnie (jeśli można tak powiedzieć), kiedy chcieli. Wolność. Na znak wielkiego zrozumienia mówiliśmy ze sobą na migi. Gdyby nie gorączka, możebym się był wziął do uczenia się ich języka. Nie starczyło mi czasu. Co do krzesanego ognia, to mimo moich postępów nie nabyłem jeszcze należytej sprawności, żeby rozniecać go ich najlepszą metodą. Dużo iskier pryskało mi jeszcze w oczy, i to bardzo czarnych bawiło.

Gdy nie gniłem w febrze na swoim „składańcu“ lub

nie parałem się prymitywnym krzesiwem, myślałem tylko o rachunkach „Pordurière“. To ciekawe, jak trudno się uwolnić od strachu z powodu nieporządku w rachunkach. Niewątpliwie miałem w sobie ten strach po matce, która mnie zaraziła swą tradycją: „Od rzemyczka do koniczka ...a kończy się zamordowaniem matki“. Bardzo było ciężko wyzbyć się tych wszystkich rzeczy. Człowiek był za mały, gdy się ich nauczył, i potem czynią one przerażać w doniosłych momentach, bez ratunku. Żeby się ich pozbyć, można liczyć tylko na siłę rzeczy. Na szczęście, olbrzymia jest siła rzeczy. Tymczasem, my, faktorja i ja, pograżaliśmy się. Znikniemy chyba w błocie, po każdej ulewie coraz gęstszym, coraz bardziej lepkiem. Pora deszczów. Co wczoraj jeszcze wyglądało na gład, dziś było już tylko oślizgłą breją. Ciepła woda z obwisłych gałęzi spływała kaskadami, rozlewała się w chacie i wszędzie dokoła, jak w łożysku starej poniechanej rzeki. Wszystko rozpuszczało się w papkę, tandetne towary, nadzieje, rachunki, w gorące, też wilgotnej. Ten deszcz był tak rześisty, iż gdy lał, miało się usta zatkane, niby ciepłym kneblem. Potop ten nie przeszkadzał zwierzętom poszukiwać się, słowiki zaczęły robić tyleż hałasu co szakale. Wszędzie anarchja, a w arce ja, Noe niedołączny. Wydało mi się, że nadszedł moment skończyć z tem wszystkim.

Moja matka miała powiedzonka tylko dla rzeczy uczciwych, mówiła też, przypomniałem sobie w porę, gdy paliła u nas stare opatrunki: „Ogień oczyszcza wszystko!“ Wszystko można znaleźć u swej matki, na wszelkie okazje Przeznaczenia. Należy tylko umieć wybrać.

Chwila decydująca nadeszła. Moje krzemienie nie

były zbyt dobrze wybrane, za mało spiczaste, iskry pozostawały mi przeważnie w rękach. Wreszcie jednak pierwsze towary zajęły się, pomimo wilgoci. Była to partja onuczek, zupełnie przemokłych. To się działo po zachodzie słońca. Płomienie wzniosły się szybko, porywczco. Krajowcy ze wsi zebrali się koło ognia, jazgocząc gwałtownie. Surowy kauczuk, kupiony przez Robinsona, trzaskał pośrodku i jego woń przypominała mi nieodparcie słynny pożar Towarzystwa Telefonów, na quai de Grenelle, któremu poszliśmy się przypatrywać z moim wujem Karolem, tym co tak ładnie śpiewał romanse. Na rok przed Wystawą to się działo, przed Wielką, kiedy byłem jeszcze bardzo mały. Nic tak nie wydobywa nawierzch wspomnień, jak zapachy i płomienie. Moją chatę czuć było zupełnie tak samo. Choć przemoczona, spłonęła doszczętnie, bardzo śmiało, i towar, i wszystko. Rachunek był zrobiony. Puszcza zamilkła raz na zawsze. Milczenie kompletne! Musiały się zdumieć sowy, lamparty, ropuchy i papugi. Byle co ich nie zadziwi. Jak nas wojna. Puszcza mogła teraz powrócić zagarnąć szczątki piorunem listowia. Uratowałem tylko swój mały bagaż, łóżko składane, trzysta franków i, rozumie się, kilka „cassoulets“ niestety! na drogę.

Po godzinie pożaru nie zostało prawie nic z mojej budy. Kilka płomyków pod deszczem i kilku strapionych negrów, rozgrzebujących popioły końcem oszczepu w kłębach tego zapachu, wiernego wszystkim nie-szczęściom, zapachu wydzielającego się ze wszystkich kłęsk tego świata, zapachu dymiącego prochu.

Był najwyższy czas wynosić się co tchu. Powrócić do Fort-Gono? Próbować udać się tam, żeby wytłumaczyć moje postępowanie i okoliczności tej przygody? Namy-

ślałem się... Niedługo. Nic nie można wytłumaczyć. Świat potrafi tylko was zabić, jak człowiek śpiący gdy obróci się ku wam, jak człowiek śpiący zabija pchły. Ot co znaczyłoby doprawdy umrzeć w bardzo głupi sposób, powiedziałem sobie, czyli tak jak wszyscy. Zaufać ludziom to już dać się trochę zabić.

Postanowiłem mimo stanu, w jakim się znajdowałem, ruszyć w las przed siebie, w kierunku wszystkich nieszczęść, w którym już wyruszył ten Robinson.

W drodze jeszcze bardzo często słyszałem zwierzęta leśne, ich lamenty, tremola i nawoływania się, ale nie widziałem ich prawie nigdy, nie liczę tego warchlaka, na którego raz omało nie wlałem w pobliżu mego schronu. Sądząc po tej nawałnicy krzyków, nawoływań, ryków, można było myśleć, że tuż obok roiły się setki, tysiące zwierząt. Tymczasem, skoro się tylko podeszło do miejsca ich wrzawy, nikogo nie było poza temi dużymi niebieskimi pantarkami, wpakowanymi w swe upierzenie jak na wesele i tak niezgrabnymi, gdy skakały kaszląc z gałęzi na gałąź, że pomyśleć można było, iż przytrafił im się jakiś wypadek.

Niżej, na pleśniach leśnego podszycia motyle ciężkie i szerokie i z obłamkami jak na zaproszeniach na pogrzeb, dygocą, nie mogąc się dobrze otworzyć, a potem jeszcze niżej, my, brodzący w żółtem błocie. Posuwaliśmy się z wielkim trudem, zwłaszcza że murzyni nieśli mnie na noszach, sporządzonych z zeszytych worków. Mogli byli mnie doskonale cisnąć w bajoro, gdyśmy przechodzili przez bagna. Dlaczego tego nie zrobili? Dowiedziałem się później. Lub też mogli byli mnie zężyć, skoro to było u nich we zwyczaju?

Od czasu do czasu zadawałem im, ciężko się wysławiając, pytania, i zawsze mi odpowiadali: Tak, tak. Bardzo zgodni, jak widać. Dzielni ludzie. Gdy djarja mniej mi dokuczała, natychmiast chwyciła mnie znów febra. To było nie do wiary, jaki stałem się chory w tym pochodzie. Zaczynałem nawet źle widzieć lub

raczej widziałem wszystko na zielono. Nocą wszystkie zwierzęta ziemi okrażały nasze obozowisko, rozpalano ogień. I to tu, to tam jakiś krzyk rozdzierał mimo wszystko olbrzymie czarne welum, które nas dusiło. Zarzynane zwierzę, co mimo swego strachu przed ludźmi i ogniem, przychodziło jednak pożalić się nam, tam, tuż obok niego.

Na czwarty dzień już nawet nie próbowałem rozpoznać rzeczywistości wśród absurdalnych zwidów gorączki, wchodzących w moją głowę, jeden w drugi, jednocześnie z kawałkami ludzi i urywkami postanowień i rozpaczy, którym nie było kresu.

Ale jednak, musiał egzystować, mówię sobie do dziś, kiedy o tem myślę, ten biały człowiek z brodą, którego napotkaliśmy pewnego poranka na kamienistym przylądku u zbiegu dwóch rzek? A nawet, że słychać było bardzo bliski wielki huk wodospadu. Był to typ w rodzaju Alcyda, ale sierżant hiszpański. Przechodząc tak z jednej ścieżki na drugą, jako tako, weszliśmy wreszcie na terytorjum kolonji Rio del Rio, starożytnej posiadłości korony Kastylji. Ten Hiszpan, biedny wojskowy, posiadał też chatę. Zdaje mi się, bardzo go to ubawiło, gdy mu opowiedziałem wszystkie swoje niedole i to co zrobiłem ze swoją chatą! Jego, prawda, przedstawiała się trochę lepiej, ale nie bardzo. Jego specjalną udręką były czerwone mrówki. Wybrały one sobie przejście, podczas swej corocznej wędrówki, akurat przez jego chatę, małe szelmy, i ten ich pochód trwał już bezmała dwa miesiące.

Zajmowały prawie całe wolne miejsce; trudno było się obrócić, a jeśli im się przeszkadzało, kąsały dotkliwie.

Był uszczęśliwiony, że dałem mu moich cassoulet'ów, gdyż on jadł tylko pomidory, od trzech lat. Nie miałem prawa narzekać. Powiedział mi, że sam jeden spożył już przeszło trzy tysiące puszek. Znużony przygotowywaniem ich na różne sposoby, wypijał je teraz najprościej w świecie, zapomocą dwu otworów, zrobionych w pokrywie, jak jajka.

Czerwone mrówki skoro się tylko zwiedziały, że są nowe konserwy, wystawiły strażę dokoła tych cassoulet'ów. Trzeba było uważać, żeby nie poniewierała się ani jedna puszka napoczęta, bo wtargnęłoby całe plemię czerwonych mrówek do chaty. Niema większych komunistów. I zeżarłyby i Hiszpana.

Dowiedziałem się od mego gospodarza, że stolica Rio del Rio nazywała się San Tapeta, miasto i port słynne na całym wybrzeżu a nawet poza niem z ekwipowania galer na dalekie podróże.

Ścieżka, którą szliśmy, tam właśnie wiodła; to była droga, wystarczyło iść nią dalej, jak dotąd, trzy dni jeszcze i trzy noce. Chcąc się leczyć na malignę, zapytałem tego Hiszpana, czy nie zna przypadkiem jakiego leku miejscowego, któryby mi przywrócił siły. Głowa dokuczala mi potwornie. Ale on ani słyszeć nie chciał o medycynie tubylczej. Jak na Hiszpana - kolonizatora był nawet dziwnym afrykanofobem, do tego stopnia, że gdy szedł do wychodka nie chciał używać liści bananowych, lecz trzymał u siebie, pocięty w tym celu, cały stos *Corriere della Sera*, umyślnie. Nie czytał on wcale dziennika, zupełnie w tem podobny do Alcyda.

Po trzech latach, które tu przeżył sam z mrówkami, z kilku małemi dziwactwami i ze swemi staremi gazetami, a również z tym straszliwym akcentem hiszpań-

skim, który jest jakby druga osoba, tak jest mocny, niełatwo go było czemś poruszyć. Gdy wymyślał swym murzynom, to była istna burza. Alcyd nie umywał się do niego pyskiem. Ostatecznie odstąpiłem mu cały mój cassoulet, tak mi się ten Hiszpan udał. Przez wdzięczność wystawił mi bardzo piękny paszport na ziarnistym papierze z herbem Kastylji, z podpisem tak wypracowanym, że wykonanie go ze wszystkimi fidrygałami zajęło mu dobre dziesięć minut.

Co do San Tapeta, nie można było zabłądzić, powiedział prawdę, szło się tam prosto przed siebie. Nie wiem już, jakieś tam dotarli, ale jednego jestem pewny, że natychmiast po przybyciu oddano mnie w ręce jakiegoś proboszcza, który wydał mi się też tak schorowany, że mieć go przy sobie dodało mi jakby pewnej odwagi porównawczej. Nie na zbyt długo.

Miasto San Tapeta było wlepione w zbocze skalne i zwrócone wprost na morze, a zielone, trzeba było widzieć jak. Wspaniały widok, zapewne, z reddy, coś przepysznego, zdaleka, ale zbliska tylko przemęczone ciała, jak w Fort-Gono, wiecznie pokryte wyrzutami skórniemi i piekące się w skwarze. Negrów z mojej małej karawany odesłałem, podczas krótkiej chwili jasności umysłu. Przebyli oni wielki szmat puszczy i obawiali się w powrotnej drodze o swe życie, jak powiadali. Już naprzód płakali z tego powodu, rozstając się ze mną, ale mnie brak było sił, żeby ich żałować. Zanadto cierpiałem i zanadto się pocilem. Końca temu nie było.

O ile sobie przypominam, dużo istot kraczących, w które to zbiorowisko stanowczo obfitowało, zaczęło się od tej chwili krzątać koło mego łóżka, które specjalnie ustawiono na probostwie, bowiem rozrywki by-

ły rzadkie w San Tapeta. Proboszcz napełniał mnie odwarami, wielki złocony krzyż dyndał mu na brzuchu, a z głębin jego sutanny, gdy podchodził do mego wezłowania, dobywał się suchy brzęk monet. Ale już nie było mowy o gadaniu z ludźmi, już samo bredzenie wyczerpywało mnie niemożliwie.

Byłem święcie przekonany, że zbliża się koniec, próbowałem popatrzeć jeszcze trochę na to co można było dojrzeć z tego świata przez okno proboszcza. Nie śmiałbym twierdzić, że mogę dziś opisać te ogrody bez popełniania grubych i fantastycznych omyłek. Słońce, tak, to pewne, było tam, zawsze to samo, jakby wam otwierano szeroki kocioł zawsze prosto w twarz, a pod tem jeszcze słońce i te niedorzeczne drzewa, i znowu aleje, to jakby głowiasta sałata, rozwinięta jak dąb i to coś na podobieństwo naci cykorji, czego starczyłoby trzy, cztery sztuki, żeby zrobić piękny zwykły kasztan u nas. Dodajcie ropuchę lub dwie do tej kupy, ciężkie jak wyżyły i drepcące ostatkiem sił od jednej skupiny drzew do drugiej.

Stworzenia, kraje i rzeczy kończą się zapachem. Wszystkie przygody wychodzą przez nos. Zamknąłem oczy, bo naprawdę nie mogłem już ich otworzyć. Wówczas cierpki zapach Afryki, noc po nocy, zacierał się we mnie. Coraz trudniej mi było odnaleźć jego ciężką mieszaninę martwej ziemi, międzynoża i tłuczonego szafranu.

Czas, miniony, i znowu czas i przyszedł moment, gdy uległem wielu wstrząsom, potem odciążeniom, a potem znów wstrząśnieniom regularniejszym, teraz kołyszącym...

Leżałem jeszcze, to napewno, ale już na materji ru-

ści niż warunki zwykłych podróżnych niższych klas w niedzielnym wagonie wycieczkowym i były mniej niebezpieczne od tych, jakie zniosłem na pokładzie „Admirała Bragueton“, żeby przybyć do Afryki. Byliśmy wciąż mocno przewietrzani podczas tego przejazdu ze wschodu na zachód Atlantyku. Temperatura spadła. Nie narzekano na to bynajmniej między pokładami. Uważano tylko, że to trochę za długo trwa. Co do mnie, nabrałem w siebie widoków morza i puszczy na całą wieczność.

Chętniebym zapytał kapitana o szczegóły co do celów i środków naszej żeglugi, lecz odkąd czułem się stanowczo lepiej, przestał on interesować się moim losem. A przytem bąjałem jednak zanadto, żeby prowadzić rozmowę. Widywałem go tylko zdaleka, jak prawdziwego zwierzchnika.

Na statku zacząłem szukać między galernikami Robinsona i wielokrotnie nocą, gdy było zupełnie cicho, wołałem go nagłos. Nikt mi nie odpowiedział, jeno obelgami i groźbami: galernicy.

A tymczasem, im bardziej się zastanawiałem nad szczegółami i okolicznościami mojej awanturniczej przygody, tem wydawało mi się prawdopodobniejsze, że i jemu zrobiono kawał z San Tapeta. Tylko że Robinson musiał teraz wiosłować na innej galerze. Murzyni z puszczy musieli wszyscy być w zмовie w tej kancjarskiej robocie. Na każdego przyszła kolej, to było normalne. Trzeba jakoś żyć i brać na sprzedaż rzeczy i ludzi, których się nie zjada odrazu. Względna uprzejmość krajowców wobec mnie tłumaczyła się teraz w najplugawszy sposób.

„Infanta Combitta“ toczyła się jeszcze całemi ty-

godniami poprzez wzburzone atlantyckie bałwany, atakujące morską chorobą, aż pewnego pięknego wieczoru wszystko dokoła nas uspokoiło się. Już nie miałem maligny. Tłukliśmy się łagodnie koło kotwicy. Nazajutrz o świcie, zrozumieliśmy, otworzywszy iluminatory, że przybyliśmy na miejsce przeznaczenia.

To był widok, psiakrew!

Jeżeli coś może się nazywać niespodzianką, to właśnie to. Poprzez mgłę było tak zdumiewające to, cośmy nagle ujrzeli, że z początku nie chcieliśmy temu dać wiary, potem jednak, kiedy znaleźliśmy się oko w oko ze zjawiskiem, choć się było galernikiem, zaczęliśmy się zaśmiewać, widząc to wprost przed sobą...

Wyobraźcie sobie, że ich miasto stało, zupełnie wyprostowane. New York to jest miasto stojące. Widzieliśmy już miasta, do licha, i piękne, i porty, i nawet słynne. Ale u nas, prawda, miasta leżą na brzegu morza czy nad rzekami, kładą się na krajobrazie, oczekują przybysza, gdy tymczasem ta Amerykanka, o, ona nie omdlewała, nie, trzymała się sztywno, tam, wcale nie gotowa całować, sztywna, że aż strach.

Śmieliśmy się więc z tego, jak przyglupi. To musowo śmieszny widok, miasto pobudowane na sztywno. Ale mogliśmy cieszyć się tym widokiem tylko począwszy od szyi, z powodu zimna, które ciągnęło wtedy z otwartego morza poprzez wielką mgłę szarą i różową, a żwawą i uszczypliwą przy atakowaniu naszych portek i szczelin tego muru, ulic miasta, gdzie również wpadały chmury, pędzone wiatrem. Nasza galera znaczyła swą cienką brózdę akurat na poziomie grobli portowych, tam, gdzie kończyła się zasrana woda, w której brzechtała się litanja małych czółen i holowników, łapczywych i dychwawych.

Dla nędzarza nigdy nigdzie nie jest dogodnie lądować, ale dla galernika to jest jeszcze znacznie gorzej,

zwłaszcza że ludzie Ameryki zgoła nie lubią galerników, przybywających z Europy. „To wszystko anarchiści“, powiadają. Krótko mówiąc, chcą przyjmować u siebie tylko ciekawskich, którzy im przywożą forszę, ponieważ wszystkie pieniądze Europy, to są synowie Dolara.

Mogłem być może spróbować, jak to się już innym udało, przebyć port wpław i, znalazłszy się na nabrzeżu, zacząć krzyczeć: „Niech żyje Dolar! Niech żyje Dolar!“ To jest trik. Dużo ludzi w ten sposób wylądowało i potem zrobiło majątek. To nie jest pewne, to tak tylko się opowiada. We śnie zdarzają się jeszcze daleko gorsze marzenia. Ja tam miałem w głowie inną kombinację jednocześnie z gorączką.

Nauczywszy się na pokładzie galery dobrze liczyć pchły (nietylko łapać, lecz robić z niemi dodawanie, odejmowanie, słowem statystykę) fach delikatny, który wygląda na głupstwo, lecz stanowi bądź co bądź technikę, chciałem z tego skorzystać. Można mówić o Amerykanach co się chce, ale w dziedzinie techniki to są znawcy. Polubią mój sposób liczenia pcheł szalenie, zgóry byłem tego pewny. Według mnie, to nie mogło zawieść.

Miałem ofiarować im swe usługi, gdy oto nagle wydano rozkaz naszej galerze odbycia kwarantanny w zatoczce obok, zacisznej, oddalonej jak głos sięgnąć może, od zarezerwowanej wioski, w głębi spokojnej zatoki, o dwie mile na wschód od New Yorku.

I byliśmy tam pod obserwacją szereg tygodni, tak żeśmy tam nabrali pewnych nawyknień. Naprzykład co wieczór, po zupie opuszczała pokład część załogi, żeby

zaopatrzyć się w wodę. Trzeba mi było należeć do tej drużyny, żeby wykonać mój plan.

Kamraci wiedzieli dobrze do czego zmierzam, ale ich nie nęciła taka awantura. „To jest warjat, mówili, ale nie niebezpieczny“. Na „Infancie Combitcie“ żarło się niezgorzej, prali trochę kamratów, ale nie bardzo, ostatecznie można było wytrzymać. To była harówka przeciętna. A pozatem wspaniała dobra strona, nie zwalniano ich nigdy z galery i nawet Król obiecał im, gdy będą mieli sześćdziesiąt dwa lata, rodzaj emeryturki. Ta perspektywa uszczęśliwiała ich, pozwalała im o czymś marzyć i w niedzielę, żeby czuć się nadto wolnymi, bawili się w głosowanie.

Przez te tygodnie, które nam narzuciła kwarantanna, ryczeli wszyscy razem pod pokładami, bili się tam i również zaspakajali między sobą swe potrzeby seksualne. I wreszcie przeszkadzało im uciec ze mną przedewszystkiem to, że nie chcieli oni nic słyszeć, ani wiedzieć o tej Ameryce, do której ja się paliłem. Każdy ma swego potwora, którego nie znosi, dla nich taką bête noire była Ameryka. Próbowali nawet obrzydzić mi ją docna. Próżno im mówiłem, że mam w tym kraju znajomków, między innymi moją małą Lole, która powinna być teraz bardzo bogata, i niewątpliwie Robinsona, który musiał się dorobić na interesach, za nic nie chcieli odstąpić od swego wstrętu do Stanów Zjednoczonych, od swej odrazy, swej nienawiści: „Ty nigdy nie przestaniesz obrywać po łbie“, mówili mi. Pewnego dnia poszedłem z nimi nibyto do kranu we wsi i potem powiedziałem im, że nie powrócę na galereę. Żegnajcie!

To były w gruncie rzeczy dobre chłopcy, pracownicy i raz jeszcze mi powtórzyli, że nie pochwalają mego

kroku, lecz mimo to życzyli mi powodzenia i przyjemności, ale na swój sposób to wyrażali: „Idź! powiedzieli mi. Idź! Ale uprzedzamy cię jeszcze raz: Ty nie nadajesz się na wszarza! To gorączka robi z ciebie warjata! Wrócisz z tej swojej Ameryki i to w gorszym stanie niż my! Twoje gusta cię zgubią! Chcesz się uczyć? I tak już za dużo umiesz, jak na człowieka twej kondycji!“

Na nic się nie zdała moja odpowiedź, że mam tutaj przyjaciół, którzy mnie oczekują. Bzdurzyłem.

— Przyjaciół? pokazali mi to odpowiednio, przyjaciół? oni mają twoją gębę gdzieś, twoje przyjaciół! Oddawna już zapomnieli o tobie, te twoje przyjaciół!...

— Ale ja chcę widzieć Amerykanów! upierałem się bez skutku. No i oni mają kobiety, jakich niema nigdzie!...

— Wracaj-że z nami, ech, barani łbie! odpowiadali mi. Nie warto tam chodzić, mówią ci! Skapcaniejesz jeszcze bardziej i tyle! My ci tu zaraz wyklarujemy, co to są Amerykany! To albo miljonery, albo ścierwo! Niema środka! Ty z pewnością nie zobaczysz miljonów, przybywając w takim stanie! A co do ścierwa, możesz liczyć, że ci każą je żryć! Możesz być spokojny! I nie później jak zaraz!...

Oto jak traktowali mnie towarzysze. Dreszcz obrzydzenia zbudzili we mnie wreszcie ci wszyscy wykolejeńcy, ci zwyrodnialcy, ci podludzie. „Całujcie mnie wszyscy razem w...! — rzuciłem im; to zazdrość każe wam pluć i basta! Czy Amerykanie mnie zagłodzą, to się jeszcze pokaże! Ale co jest pewne, to to, że wy

wszyscy, jak tu jesteście, każdy z was, to tylko to co macie między nogami, do tego bardzo miękkie!“

Tak-em im wygarnął! Byłem kontent!

Ze noc zapadała, zagwizdano na nich z galery. Wzięli się do wiosłowania rytmicznie wszyscy, bez jednego, beze mnie. Poczekalem, aż nie będę ich słyszał, zupełnie, a potem policzyłem do stu i puściłem się całym pędem do wsi. Miła to była miejscowość ta wieś, dobrze oświetlona, domy drewniane, oczekujące na mieszkańców, rozmieszczone na prawo i na lewo od kaplicy, też pogrążonej w ciszy, tylko ja miałem dreszcze, błotną gorączkę, no i pietra. Tu i owdzie spotykało się marynarza z tego garnizonu, mieli miny beztroskie, a nawet dzieci, była też i dziewczynka o ładnych muskułach: Ameryka! Przybyłem. Na takie rzeczy przyjemnie jest patrzeć po tylu chudych przygodach. To jakby wносиło znowu smak w życie. Trafiłem na wieś, która nie służyła do niczego. Mała załoga rodzin marynarskich utrzymywała ją w dobrym stanie z jej wszystkimi urządzeniami na ewentualny dzień, kiedy wściekła zaraza zawita na takim statku jak nasz i zagrozi wielkiemu portowi.

Wówczas w tych urządzeniach da się zdechnąć możliwie dużej liczbie cudzoziemców, żeby tamci w mieście nie zarazili się. Mieli nawet ozdobny cmentarz, przygotowany w pobliżu, wszędzie obsadzony kwiatami. Czekano. Od sześćdziesięciu lat czekano, nic nie robiono, tylko czekano.

Znalazłszy małą pustą chatę, wślizgnąłem się tam i zaraz zasnąłem, a od samego rana w uliczkach byli sami marynarze, krótko ubrani, barczyści, kołyszący się w chodzie, trzeba widzieć jak; zamiatali i chlustali wia-

drem wody dokoła mego schronu i po wszystkich skrzyżowaniach ulic tej teoretycznej wsi. Na nic się nie zdało robić minę obojętną, jeść mi tak się chciało, że podszedłem, mimo wszystko, do miejsca, gdzie zalatywało kuchnią.

Tam mnie wykryli i wpakowali między dwa zastępy, zdecydowane wylegitymować mnie. Zaraz była mowa o tem, żeby mnie cisnąć do wody. Prowadzony szybkimi drogami do Dyrektora kwarantanny, nie wróżyłem sobie nic dobrego i choć nabyłem pewnego tupetu w ustawicznych przeciwnościach, czułem, że jestem jeszcze nazbyt nasycony gorączką, żeby zaryzykować jakąś olśniewającą improwizację. Raczej rejterowałem w sobie i duszę miałem na ramieniu.

Lepiej było stracić przytomność. To się właśnie ze mną zdarzyło. W jego biurze, gdzie później odzyskałem zmysły, kilka dam, jasno ubranych, zastąpiło mężczyzn koło mnie, poddały mnie one badaniu luźnemu i życzliwemu, którem kontentowałbym się w zupełności. Lecz żadna pobłażliwość nie trwa na tym świecie i zaraz nazajutrz mężczyźni zaczęli mi znów mówić o więzieniu. Skorzystałem z tego, żeby im mówić o pchłach, tak sobie, niby odniechcenia... Że umiem je łapać... Liczyć... Że się na tem znam i potrafię również grupować te pasorzyty w prawdziwą statystykę. Widziałem dobrze, że moje zachowanie się interesuje moją straż, że zabija im klina w głowę. Słuchano mnie. Ale, żeby mi wierzyli, to była znowu inna para mankietów.

Wreszcie zjawił się sam komendant stacji. Nosił on tytuł „Surgeon général“, co byłoby dobrą nazwą dla ryby. Okazał się grubjański, ale bardziej stanowczy

niż inni. „Co ty nam tu opowiadasz, chłopcze? rzekł do mnie, że umiesz liczyć pchły? Ha, ha!...“ Myślał, że zainteresowaniem się taką błagą wprawi mnie w kłopot. Ale ja, ząb za ząb, kropnąłem mu małą mowę obrończą, którą sobie przygotowałem. „Wierzę w zmniejszenie się ilości pcheł! Jest to czynnik cywilizacyjny, ponieważ zmniejszenie się jest podstawą materiału statystycznego niezmiernie cennego!... Kraj przodujący w postępie powinien znać liczbę swych pcheł, podzielonych według płci, grup wieku, lat i pór roku...“

— No, no! Dostyc bujania, młodzieńcze! — przerwał mi Surgeon général. — Przed panem było tutaj dużo innych takich drabów z Europy, którzy nam prawili tego rodzaju bujdy, ale w rezultacie byli to anarchiści tacy sami jak inni, gorsi od innych... Oni nie wierzyli już nawet w Anarchję! Dostyc przechwałek!... Jutro poddamy pana próbie na emigrantach z przeciwka, na Ellis Island, przy prysznicach! Mój adjutant, major Mr. Mischief, mój asystent, powie mi, czyś pan zełgał. Od dwóch miesięcy Mr. Mischief domaga się ode mnie agenta „liczy-pchlarza“. Pójdiesz pan do niego na próbę! Rozejść się! A jeżeliś pan nas oszukał, ciśniemy cię do wody! Rozejść się! Strzeż się pan!

Potrafiłem rozejść się przed tą władzą amerykańską, jak rozchodziłem się przed tylu innymi władzami, prezentując jej tedy naprzód mój penis, a potem mój zadek, w następstwie szybkiego półobrotu, to wszystko z towarzyszeniem ukłonu wojskowego.

Pomyślałem sobie, że ten rodzaj statystyki powinien być równie dobry, jak każdy inny, żeby mnie przybliżyć do New Yorku. Zaraz nazajutrz Mischief, major,

o którym mowa, zapoznał mnie pokrótce z moją służbą, tłusty i żółty był to jegomość i krótkowzroczny, ile tylko mógł być, przytem nosił olbrzymie przydymione okulary. Musiał mnie poznać w ten sposób, w jaki dzieki zwierzęta poznają swoją zdobycz, po ogólnem zachowaniu się, bo co do szczegółów, to było niemożliwe z takimi okularami, jakie on nosił.

Porozumieliśmy się bez trudności co do roboty i sądzę nawet, że pod koniec mojej praktyki Mischief miał dla mnie dużo sympatji. Nie widzieć się, to już poważna racja, żeby sympatyzować ze sobą, a potem nadewszystko mój znakomity sposób łapania pcheł zachwycał go. Nie było drugiego takiego, jak ja, na całej stacji, coby tak umiał umieszczać je w pudełku, najbardziej krnąbrne, najbardziej uwłosione, najniecierpliwsze, potrafiłem rozdzielać je według płci na samym emigrancie. Była to praca olbrzymia, mogę zapewnić... Mischief wkońcu polegał całkowicie na mej sprawności.

Pod wieczór, od gniecenia pcheł miałem paznogie dużego palca i wskaziciela poobijane, a przecież nie ukończyłem swej dziennej pracy, gdyż pozostawała mi jeszcze najważniejsza część zadania, ułożyć kolumny codziennego stanu ewidencyjnego: Pchły z Polski z jednej strony, z Jugosławji..., z Hiszpanji... Mendy krymskie... Parchy peruwjańskie... Wszystko, co kąsa i ukradkiem podróżuje po rozbitej ludzkości, przechodziło przez moje paznogie. Było to dzieło, jak widać, wraz monumentalne i drobiazgowie. Nasze obliczenia były dokonywane w New Yorku, w specjalnem biurze, zaopatrzonem w elektryczne liczniki pchlarzkie. Codziennie mały holownik „Kwarantanna“ przejeżdżał

port w całej jego szerokości, żeby zawieźć nasze dane cyfrowe do obliczenia lub sprawdzenia.

Tak mijał dzień za dniem, wracałem potrochu do zdrowia, lecz w miarę jak traciłem malignę i gorączkę w tych wygodach, żądza przygód i nowych nieostrożności powróciła mi i zaczęła naglić. Przy temperaturze 37 stopni wszystko staje się banalne.

A przecież mogłem tam pozostać, nieskończenie spokojny, na dobrym wikcie stacji i tem łatwiej, że córka majora Mischief'a, jeszcze teraz to zaznaczam, godna wysławiania w swym piętnastym roku życia, przychodziła po piątej grać w tenisa, w niesłychanie krótkiej spódniczce, pod oknami naszego biura. W zakresie nóg rzadko widywałem coś lepszego, jeszcze trochę męskie, a jednak już delikatniejsze, piękno rozwijającego się ciała. Istna prowokacja do szczęścia, że można krzyknąć z radosnej obietnicy. Młodzi chorążowie marynarki nie odstępowali jej.

Nie potrzebowali wcale usprawiedliwiać swej racji bytu, jak ja, pracami pożytecznego rodzaju, huncfoty! Żaden szczegół ich manewrów koło mego małego bóstwa nie uszedł mej uwagi. Błądłem z tego powodu po kilka razy na dzień. Wkońcu powiedziałem sobie, że po nocy to i ja mógłbym może ujść za marynarza. Żywiłem tę nadzieję, gdy oto pewnej soboty dwudziestego trzeciego tygodnia wypadki potoczyły się szybko. Kolega, którego obowiązkiem było kursować z dokumentami statystyki, Ormianin, raptem otrzymał nominację na agenta liczy-pchlarza na Alasce dla psów poszukiwaczy tamtejszych.

Był to awans co się zowie, i on był nim zresztą zachwycony. Psy na Alasce, wiadomo, są cenne. Zawsze

ich potrzeba. Troszczą się o nie bardzo. A na emigrantów gwizdże się. Zawsze jest ich do diabła.

Ponieważ teraz nie mieliśmy nikogo pod ręką do wozienia obliczeń do New Yorku, nie robili w biurze wielkich ceregieli, żeby mnie wyznaczyć. Mischief, mój zwierzchnik, uściskał mi dłoń przy odjeździe, zalecając mi zachowywać się roztropnie i przyzwoicie w mieście. To była ostatnia rada, jaką mi dał ten zacny człowiek, i jak nigdy mnie nie widział, tak mnie też więcej nie zobaczył. Ledwieśmy stanęli na nabrzeżu, deszcz jak z cebra zaczął nas prać, a potem przez moją cienką marynarkę i moje papiery statystyczne, które stopniowo zaczęły mi się rozpuszczać w rękę. Zachowałem jednak trochę tego, gruby zwitek, sterczący mi z kieszeni, żeby mieć od biedy wygląd człowieka interesów w City, i rzuciłem się, pełen obawy i wzruszenia, w nowe przygody.

Podnosząc nos ku całej tej masie murów, doznałem jakby zawrotu głowy naopak, z powodu okien, doprawdy zbyt wielu i tak wszędzie podobnych do siebie, że to było wprost przynębiające.

Niepewnie odziany, przemoczony, śpieszyłem do najciemniejszej szpary, jaką można było wykryć w tej olbrzymiej fasadzie, w nadziei, że przechodnie ledwie mnie zauważą pośród siebie. Wstyd zbyt wielki. Nie potrzebowalem się niczego obawiać. Po ulicy, którą obrałem, istotnie największej ze wszystkich, nie szerszej od dużego rynsztoka u nas, porządnie brudnej, wilgotnej, pełnej mroku, szło już tylu innych ludzi, małych i dużych, że zagarnęli mnie ze sobą, jak cień. Schodzili, jak ja, do miasta, zapewne do pracy, z nosem na kwintę. To byli biedacy z każdego miejsca ziemi.

Jakgdybym wiedział dokąd idę, nibyto jeszcze wybierałem i zmieniałem drogę, poszedłem na prawo inną ulicą, lepiej oświetloną, „Broadway“ się nazywała. Przeczytałem nazwę na tabliczce. Wysoko ponad ostatnimi piętrami, w górze był biały dzień z mewami i kawałkami nieba. Myśmy się posuwali naprzód w świetle dolnym, chorem jak w puszczy i tak szarem, że ulica była jakby pełna mieszaniny z brudnej bawełny.

Była niby smutna rana ta ulica bez kresu, z nami w głębi, od brzegu do brzegu, od jednej troski do drugiej idącymi ku celowi, którego nie widzi się nigdy, ku celowi wszystkich ulic świata.

Nie przejeżdżały żadne wehikuly, sami tylko ludzie i ludzie.

To była cenna dzielnica, jak mi potem wyjaśniono, dzielnica dla złota: Manhattan. Wchodzi się tam tylko pieszo, jak do kościoła. To jest samo serce Banku dzisiejszego świata. Są jednak tacy, co plują na ziemię, przechodząc. Trzeba być na to śmiałkiem.

To jest dzielnica wypełniona złotem, istny cud, a nawet można słyszeć przez drzwi ten cud, z jego szelestem miętych dolarów, Dolar jest zawsze za lekki, prawdziwy Duch Święty, cenniejszy od krwi.

Miałem jednak czas pójść je zobaczyć i nawet wszedłem pomówić z tymi urzędnikami, którzy pilnują pieniędzy. Są smutni i źle płatni.

Gdy wierni wchodzi do swego Banku, nie trzeba myśleć, że mogą korzystać z niego tak jak chcą, wedle ka-

prysu. Bynajmniej. Mówią do Dolara, szepcząc mu różne rzeczy przez małe okratowanie, spowiadają mu się chyba. Nicwiele hałasu, lampy bardzo łagodne, ma-lutkie okienko między wysokimi łukami, to wszystko. Nie połykają hostji. Kładą ją sobie na sercu. Nie mogłem ich tu długo podziwiać. Trzeba było iść za ludźmi po ulicy, między ścianami gładkiego cienia.

Raptem nasza ulica rozszerzyła się, niby rozpadlina, wpadająca w jezioro światła. Znalazłem się tam przed modrem świetlnym rozlewiskiem, wciśniętem między niezliczone potwory domów. W samym środku tej polany pawilon o wyglądzie wiejskiego dworku, otoczony nieszczęsnymi trawnikami.

Pytałem się wielu sąsiadów w tłumie, co to za budynek, ten co go widać, ale większość udała, że mnie nie słyszy. Nie mieli czasu do stracenia. Jakiś chłopak, przechodzący tuż obok, zechciał jednak mnie objaśnić, że to jest dawny Urząd Gminy, stary zabytek z epoki kolonjalnej, dodał, coś najbardziej historycznego... że to tutaj zostawiono. Otoczenie tej oazy przechodziło w skwer z ławkami, i nawet było dość wygodnie patrzeć na Gminę, siedząc. Nie było tutaj prawie nic innego do widzenia wtedy gdy przyszedłem.

Przesiedziałem dobrą godzinę na tem samym miejscu i potem z tego półcienia, z tego tłumy w drodze, rozbitego, posępnego, wydarła się koło południa, nie myliły mnie oczy, nagle lawina kobiet, zupełnie pięknych.

Co za odkrycie! Jaka Ameryka! Co za zachwyty! Wspomnienie Loli! Jej przykład nie zawiódł mnie! To była prawda!

Dotykałem sedna mej pielgrzymki. I gdybym nie był znosił jednocześnie ustawicznych przypomnień mego

apetytu, uważałbym, że osi: i z momentów nadprzyrodzonej rewelacji, estetycznej. Piękności, jakie odkrywałem, nieustannie, przy odrobinie wiary w siebie i dobrego samopoczucia, wyrwałyby mnie z mej kondycji trywjalnie ludzkiej. Brakowało mi właściwie tylko sandwicza, *) żeby się uczuć przeniesionym w sferę jawnego cudu. Ale jakże mi brakowało sandwicza!

Jakież urocze gibkości jednak! Co za subtelności niewiarogodne! Co za rzadkie okazy harmonji! Niepokojące odcienie! Pomyślne pokonanie wszystkich niebezpieczeństw! Wszelkie możliwe obietnice twarzy i ciała wśród tylu blondynek! Te brunetki! A te Tycjanki! I gdy już ich nie było, przychodziły nowe! To może, myślałem sobie, Grecja się znów zaczyna? Przybywam w samą porę.

Tem bardziej boskie wydały mi się te zjawiska, że zdaje się nie dostrzegały zupełnie, że istnieją tam, obok, na tej ławce, schorowany, śliniący się z erotyczno-mistycznej admiracji, z chininy, no i z głodu, przyznać trzeba. Gdyby było możliwe wyjść ze skóry, wyszedłbym właśnie w owej chwili, raz na zawsze. Nic mnie już nie trzymało.

Mogły były mnie zabrać, sublimować mnie, te nieprawdopodobne midinetki, wystarczyłyby ich jeden gest, jedno słowo, i ja natychmiast i całkowicie przeszedłbym w krainę Marzenia, ale niewątpliwie miały one inne misje do spełnienia.

Godzina, dwie minęły tak w osłupieniu. Niczemom się już nie spodziewałem.

*) Kanapka, buterszyn. *Przyp. tłum.*

Są jelita. Widzieliście u nas na wsi figiel, jaki płatają włóczędze? Napycha się stary woreczek zgniłemi flakami kury. Otóż, człowiek, ja to wam mówię, zupełnie to samo, tyle że większy i rusza się, i żarłoczny, a w środku marzenie.

Trzeba było myśleć o rzeczach serio, nie napoczynąć z miejsca swej małej rezerwy pieniężnej. Niewiele miałem pieniędzy. Nie śmiałem ich nawet liczyć. Zresztą, nie mógłbym, dwoiło mi się w oczach. Czułem tylko, że są cienkie, bojaźliwe banknoty, poprzez tkaninę, tuż, w kieszeni obok mej chybionej statystyki.

Mężczyźni też przechodzili tamtędy, zwłaszcza młodzi, o głowach jakby z różanego drzewa, spojrzaniach suchych i monotonnych, szczękach, jakich nie zdarza się zazwyczaj spotykać, takich szerokich, takich ordynarnych... Ostatecznie, niewątpliwie ich kobiety wołały takie szczęki. Obie płcie zdawały się chodzić po ulicy każda z osobna. Kobiety patrzyły tylko na wystawy sklepowe, zupełnie pochłonięte ponętą woreczków, szali, drobiazgów jedwabnych, czego było wystawione bardzo niewiele w każdej witrynie, ale w sposób dokładny, kategoryczny. Nie widać było wielu starych ludzi w tym tłumie. Również mało par. Nikt nie zdradzał zdziwienia, że ja tu sterczę sam godzinami na tej ławce i patrzę na przechodniów. Wszelako w pewnej chwili policjant ze środka ulicy, ustawiony jak kałamarz, zaczął podejrzewać mnie o nieczyste zamiary. To było widoczne.

Gdziekolwiek człowiek się znajdzie, z chwilą gdy się ściąga na siebie uwagę władzy, najlepszą rzeczą jest zniknąć i to czempredzej. Bez tłumaczenia się. W przepaść! powiedziałem sobie.

Na prawo od mojej ławki widniał właśnie otwór szeroki, na poziomie trotuaru, w rodzaju metra u nas. Ten otwór wydał mi się odpowiedni, bo był obszerny, ze schodami w środku, wszystko z różowego marmuru. Widziałem już, że wiele osób z ulicy znika tam, a potem wychodzi stamtąd. W tem podziemiu załatwiali swe potrzeby. Natychmiast wiedziałem, co ze sobą zrobić. Z marmuru też była sala, gdzie odbywały się te sprawy. Rodzaj basenu do pływania, ale opróżnionego zupełnie z wody, basen cuchnący, wypełniony tylko światłem, przesączającym się, konającym, które przechodziło kończyć swój żywot tam, na mężczyznach porozpinanych wśród swych odorów i purpurowych przy załatwianiu swych wstrętnych spraw wobec wszystkich, z barbarzyńskimi dźwiękami.

Między mężczyznami, tak sobie, sans façons, przy śmiechach wszystkich dokoła, przy wtórze słów zachęty, które dawali sobie jak w footballu. Przedewszystkiem zdejmowano marynarkę, wchodząc, jakby mieli wykonać ćwiczenie fizyczne. Słowem, strój przepisowy, taki był rytuał.

Poczem, zupełnie rozchamrani, bekając i gorzej jeszcze, gestykulując jak na dziedzińcu domu warjantów, lokowali się w kawernie fekalnej. Nowi przybysze musieli odpowiadać na tysiące plugawych żartów, gdy schodzili po schodach z ulicy; ale mimo to, wszyscy mieli miny zachwycone.

O ile tam, w gorze, na trotuarze mężczyźni trzymali się dobrze, sztywno, nawet smutno, o tyle perspektywa wypróżnienia się w hałaśliwym towarzystwie zdawała się wyzwalać ich i cieszyć intymnie.

Drzwi separatek, szeroko pomazane, wisiały, wyrwa-

ne z zawiasów. Przechodzą z jednej celi do drugiej pogadać żdziebko, ci, co czekali na wolny sedes, palili ciężkie cygara, klepiąc po ramieniu tego, co go zajmował uparcie, w trudzie, z głową skurczoną w dłoniach. Wielu stękało głośno, jak ranni i rodzące. Obstrukcjonistom grożono wymyślnymi torturami.

Kiedy wytrysk wody obwieszczał wakans, potęgowały się okrzyki dokoła wolnej komórki, o której posiadanie grano wówczas często w orła i reszkę. Dzienniki, zaraz po przeczytaniu, choć grube jak poduszeczki, rozrywała natychmiast sfera tych pracowników odbytnicy. Trudno było rozróżnić twarze z powodu dymu. Nie śmiałem podejść do nich bliżej z powodu smrodu.

Ten kontrast mógł, jak nie można lepiej, zbić z tropu cudzoziemca. Cała ta poufała rozwiąłość, ta potworna familjarność jelitowa, a na ulicy ta wzorowa powściągliwość! Byłem tem oszołomiony.

Wróciłem na światło temi samymi schodami, żeby odpocząć na tej samej ławce. Nagła rozpusta trawienia i wulgarności. Odkrycie wesołego komunizmu wypróżnień. Zostawiałem na boku każdy tak zbijający z tropu aspekt tej przygody. Nie miałem sił analizować ich, ani ująć w syntezę. Chciałem spać koniecznie, nagłaco. Rozkoszne i rzadkie szaleństwo!

Dołączyłem się więc do szeregu przechodniów, wchodzących w jedną z przyległych ulic, i posuwaliśmy się naprzód nierównym krokiem z powodu sklepów, których każda wystawa odrywała część tłumu. Rozwierało się w pewnym miejscu wejście do hotelu, tworząc wielki wir. Ludzie tryskali na chodnik przez obszerne drzwi obrotowe, zostałem capnięty w przeciwnym kierunku i wrzucony w sam środek dużego westibulu.

W pierwszej chwili dziwne wrażenie. Należało wszystko odgadywać, wyobrażać sobie majestatyczność gmachu, jego rozmiary, ponieważ wszystko działa się dokoła tak osłoniętych żarówek, że trzeba było pewnego czasu, żeby się z tem oswoić.

Wiele młodych kobiet w tym półcieniu, pogrążonych w głębokich fotelach, niby w futerałach. Dokoła czujni mężczyźni, przechadzający się w milczeniu w pewnej od nich odległości, ciekawi i nieśmiali, wzdłuż rzędu nóg skrzyżowanych na wspaniałych wyżynach jedwabiu. Te czarodziejki robiły na mnie wrażenie, jakby czekały tu na wydarzenia bardzo poważne i bardzo kosztowne. Oczywiście, nie o mnie myślały. Toteż przeszedłem z kolei przed tą długą dotykalaną pokusą chyłkiem.

Że była ich conajmniej setka, tych olśniewających podkasanek, rozmieszczonych w jednym szeregu foteli, dotarłem do biura hotelu tak rozmarzony pochłonięciem porcji urody, o tyle za dużej na mój temperament, że aż chwiałem się na nogach.

Za ladą wymuskany urzędnik zaproponował mi gwałtownie pokój. Zdecydowałem się na najmniejszy. W owej chwili musiałem mieć wszystkiego jakiegoś pięćdziesiąt dolarów, nie miałem już prawie wcale myśli w głowie i ani trochę wiary w siebie.

Spodziewałem się, że to będzie istotnie najmniejszy pokój Ameryki, ten, który mi proponuje urzędnik, gdyż jego hotel „Laugh Calvin“ ogłaszał się na afiszach, jako cieszący się największą frekwencją wśród najokazalszych pokoi umeblowanych kontynentu.

Nade mną jakaż nieskończoność umeblowanych lokali! A tuż koło mnie, w tych fotelach, jakie pokusy

masowego gwałcenia! Co za otchłanie! Co za niebezpieczeństwa! Czyż więc katusza estetyczna biedaka nie ma końca? Jeszcze uporczywsza niż jego głód? Ale nie było czasu poddawać jej się, zwawili ludzie z biura podali mi już klucz, ciężki w garści. Nie śmiałem ruszyć się z miejsca.

Rozgarnięty chłopczyk, ubrany jak bardzo młody generał brygady, wynurzył się z cienia przed memi oczyma, dowódca, wydający rozkazy. Gładki urzędnik biura nacisnął trzykrotnie swój dzwonek metalowy i mój chłopczyk zaczął gwizdać. Ekspedjowano mnie. To był odjazd. Ruszyliśmy.

Z początku korytarzem, szybko, szliśmy, ciemni i zdecydowani, jak metro. Prowadził on, dziecko. Jeszcze kąś, zakręt, a potem nowy. Nie ciągnął się długo. Nasz tor trochę się wykrzywił. To mija. To winda. Klakson. Jesteśmy na miejscu? Nie. Jeszcze jeden korytarz. Jeszcze ciemniejszy, wszystkie ściany, zdaje mi się, wykładane hebanem. Nie mam czasu badać. Malec gwizdzie, zabiera moją wąż walizkę. Nie śmiem go o nic pytać. Trzeba iść, z tego dobrze sobie zdaję sprawę. W ciemnościach, tu i owdzie, po drodze czerwona lub zielona żarówka rozsiewa rozkazy. Długie złote smugi znaczą drzwi. Dawno już minęliśmy numer 1800, a potem 3000, a jednak szliśmy jeszcze wciąż, unoszeni naszym nieuniknionym przeznaczeniem. Nienazwany, galonowany piccolo szedł w mroku jakby za własnym instynktem. Zdawało się, nic go w tej jaskini nie mogło zaskoczyć. Jego gwizdawka przybierała ton żalony, gdy mijaliśmy murzyna, pokojówkę, też czarną. To wszystko.

Usiłując przyspieszać kroku, straciłem w dłużyźnie

tych jednostajnych korytarzy tę trochę pewności siebie, jaką miałem, wymykając się z kwarantanny. Rozlatywałem się, jak już widziałem rozlatującą się moją chatę pod wiatrem Afryki wśród potopów ciepłej wody. Tutaj zmagalem się z rwącym potokiem nieznanymi silnymi wrażeń. Między dwoma rodzajami ludzkości jest moment, kiedy dochodzi się do tego, że się człowiek miota w próżni.

Raptem malec, bez uprzedzenia, stanął. Przybyliśmy. Uderzyłem się o drzwi, to był mój pokój, duże pudło o hebanowych ścianach. Tylko na stole trochę światła opasywało lampę, nieśmiałą i zielonkawą. „Dyrektor hotelu „Laugh Calvin“ zawiadamia gościa, że jest dlań usposobiony przyjaźnie i że on, Dyrektor, postara się osobiście utrzymać gościa w wesołym nastroju podczas całego jego pobytu w New Yorku“. Przeczytanie tego anonsu, umieszczonego w widocznym miejscu, musiało powiększyć jeszcze, jeśli to było możliwe, moje przygnębienie.

Gdy zostałem sam, było znacznie gorzej. Cała ta Ameryka zaczęła mnie dręczyć, stawiać mi olbrzymie pytania i nie dawać mi spokoju poskudniami przecuciami, tu nawet, w tym numerze hotelowym.

Na łóżku, zatrwożony, próbowałem na początek oswoić się z półmrokiem tego pomieszczenia. Od perjodycznego huku drżały mury w stronie mego okna. Przejście powietrznego metra. Wypadał naprzeciwno z pomiędzy dwóch ulic, niby pocisk, napełniony dygotaniem i porąbanem mięsem, skakał przez lunatyczne miasto z dzielnicy w dzielnicę. Widać go było tam, jak pędził, trzęsąc swym ciałem, akurat nad potokiem budowli, i jego echo grzmotem przewalało się od muru

do muru jeszcze daleko za nim, gdy opuścił je, robiąc sto kilometrów na godzinę. Pora obiadu nadeszła w tej mojej prostacji, a potem i pora spoczynku.

Nadewszystko oszołomiło mnie wściekłe metro. Po drugiej stronie tej podwórkowej studni, na ścianie zapalały się pokoje pojedynczo, potem po dwa, potem tuzinami. W niektórych z nich mogłem dostrzec, co się dzieje. To małżeństwa kładły się spać. Amerykanie wyglądali tak samo podupadle, jak ludzie u nas, po godzinach trzymania się pionowo. Kobiety miały uda bardzo pełne i bardzo blade, te przynajmniej, które mogłem widzieć. Większość mężczyzn przed spaniem goliła się, paląc cygaro.

W łóżku naprzód zdejmowali okulary, potem kładli zęby do szklanki i umieszczali to wszystko na oczach. Nie robili wrażeń, żeby rozmawiali ze sobą, płęć z płcią, zupełnie tak samo jak na ulicy. Moznaby powiedzieć, duże zwierzęta, bardzo potulne, nawykłe nudzić się. Zauważyłem wszystkiego dwie pary, robiące sobie przy świetle to, czego oczekiwałem, i to zgoła bez zapachu. Inne kobiety jadły w łóżku cukierki, czekając aż mąż skończy toaletę. A potem wszyscy pogasili światło.

Smutny jest widok ludzi, którzy się kładą spać, widać dobrze, gwiżdżą na to, iż rzeczy idą swoim trybem, widać dobrze, że nie usiłują oni zrozumieć, dlaczego tak jest. To ich nic nie obchodzi. Śpią bylejak, to są nadęte pęcherze, ostrygi, niewrażliwcy, czy to będą Amerykanie, czy nie. Zawsze mają spokojne sumienie.

Ja widziałem zbyt wiele rzeczy niejasnych, żeby być zadowolony. Widziałem za wiele, a nie widziałem dość. Trzeba wyjść, powiedziałem sobie, jeszcze wyjść. Może

spotkasz Robinsona. Oczywiście to była myśl idjotyczna, ale uczepliłem jej się, żeby mieć pretekst do wyjścia znowu, tembardziej, że daremnie przewracałem się z boku na bok, na małym łóżku, nie mogłem złapać ani kawałeczka snu. Nawet onanizując się, w takich razach nie doznaje się ani ulgi, ani rozrywki. Wtedy naprawdę to jest czarna rozpacz.

Jeszcze gorsze jest to, że człowiek pyta siebie, skąd nazajutrz weźmie dość sił, żeby robić dalej to, co wczoraj i od tak już zbyt dawna, gdzie znajdzie siłę do tych głupich zabiegów, do tych tysiącznych projektów, nie prowadzących do niczego, tych usiłowań, żeby wyjść z przyniatającej konieczności, usiłowań, które zawsze zawodzą, a wszystkie wiedzą do tego, żeby się przekonać raz jeszcze, iż losu przewyciężyć nie można; że trzeba upaść z powrotem pod mur, co wieczór, pod grozą tego jutra, coraz niepewniejszego, coraz skąpszego.

To, być może, i wiek przychodzi, zdrajca, i grozi nam gorszym. Człowiek już nie ma w sobie dość muzyki, żeby kazać życiu tańczyć, ot co jest. Cała młodość poszła już umierać na końcu świata, w ciszy prawdy. I dokąd iść ze siebie, pytam się was, gdy się już nie ma w sobie dostatecznej sumy szaleństwa? Doprawdy, to jest agonia, której niemasz końca. Prawdą tego świata jest śmierć. Trzeba wybierać, umrzeć lub kłamać. Ja tam nigdy nie mogłem siebie zabić.

Lepiej więc było wyjść na ulicę, to małe samobójstwo. Każdy posiada swe talenciki, swoją metodę zdobywania snu i żarcia. Trzeba mi było wkońcu potrafić usnąć, żeby odzyskać dość sił na zdobycie jutro kawałka chleba. Odzyskać werwę, tyle akurat, ile było trze-

ba, żeby znaleźć jutro pracę i tymczasem przekroczyć zaraz nieznany próg snu. Nie trzeba myśleć, że to jest łatwo zasnąć, gdy się zaczęło wątpić we wszystko, zwłaszcza z powodu tylu strachów, jakich ci napędzono.

Ubrałem się i jako tako dotarłem do windy, ale z trochę głupkowatą miną. Jeszcze musiałem przejść w westibulu przed innemi rzędami, innemi zachwycającymi zagadkami o tak ponętnych nogach, o twarzach delikatnych i surowych. Boginie, co tu gadać, boginie, szukające mężczyzn. Można byłoby spróbować porozumieć się. Ale bałem się, żeby mnie nie zaaresztowano. Komplikacje. Prawie wszystkie pragnienia biedaka karane są więzieniem. I ulica zabrała mnie z powrotem. To nie był już ten sam tłum, co niedawno. Ten zdradzał trochę więcej śmiałości, kłębiąc się na chodnikach, jakgdyby ten tłum znalazł się w krainie mniej jałowej, w krainie rozrywki, wieczoru.

Ludzie szli ku światłom, zawieszonym daleko w mroku, węzom ruchliwym i wielobarwnym. Napływali ze wszystkich okolicznych ulic. To wynosi dużo dolarów, myślałem sobie, taki tłum, same, powiedzmy, chustki, pończochy jedwabne! A nawet same tylko papierosy! I powiedzieć, że człowiek może spacerować wśród tych wszystkich pieniędzy, to mu nie przysporzy ani grosza, nawet żeby iść coś zjeść! Strach pomyśleć, jak ludzie odgradzają się jedni od drugich, jakby to były domy.

Ja też powlokłem się ku światłom, kino, a zaraz drugie obok, potem jeszcze jedno i tak wzdłuż całej ulicy. Gubiliśmy duże kawały tłumy przed każdym z nich. Ja wybrałem sobie kino, gdzie na fotosach były kobiety w kombinezach i jakie uda! Rany! Ciężkie! Obfite! Dokładne! A nad niemi przemiłe główki, jakby rys-

wane dla kontrastu ołówkiem, delikatne, subtelne, bez potrzeby retuszu, doskonałe, żadnego zaniedbania, żadnej skazy, doskonałe, mówię wam, urocze, ale wraz stanowcze i zwięzłe. To co najniebezpieczniejszego może rozwinąć życie, istne nieostrożności urody były w tych niedyskrecjach możliwie cudnych i głębokich harmonij.

W tem kinie było dobrze, miło i ciepło. Grube organy, a tkliwe jak w bazylice, ale gdyby była ogrzewana, organy jak uda. Ani chwili tu się nie traci. Człowiek zanurza się całkowicie w ciepło odpustu. Wystarczyłoby poddać się temu bezwolnie, by myśleć, że świat być może nawrócił się wreszcie na pobłażliwość. Było się tam już prawie sobą.

Wówczas marzenia wznoszą się w mroku, by zapalić się od mirażu światła, które się rusza. Nie jest zupełnie żywe to, co się dzieje na ekranie, pozostaje w tem duże miejsce niewyraźne, dla biednych, dla marzeń i dla zmarłych. Trzeba się śpieszyć z obżarciem się marzeniami, żeby iść przez życie, które na was czeka zewnątrz, po wyjściu z kina, trwać kilka dni dłużej w tem okrucieństwie ludzi i rzeczy. Wybiera się wśród marzeń te, które najlepiej rozgrzewają czyjaś duszę. Dla mnie, przyznaję się do tego, były to marzenia sprosne. Nie trzeba być wyniosłym, zabiera się z cudu to, co można z niego zatrzymać. Blondynka z niezapomnianymi pierściami i karkiem uznała za słuszne przerwać milczenie ekranu piosenką, gdzie była mowa o samotności. Można było płakać razem z nią.

To rozumiem! Ile to daje energii! Miałem potem w cielsku, czułem to już, kurażu conajmniej na dwa dni. Nie czekałem nawet, aż zapalą światło w sali. Byłem

gotów na wszystkie postanowienia spania, teraz, kiedy wchłonął trochę tego rozkosznego delirium duszy.

Gdy wracał do „Laugh Calvin“, choć mu się ukłoniłem, portjer omieszkał powiedzieć mi dobry wieczór, jak portjerzy u nas, ale teraz gwizdałem na lekceważenie portjera. Silne życie wewnętrzne wystarcza samo sobie i potrafiłoby roztopić dwudziestoletnią ławicę lodową. To jest tak.

W pokoju, za ledwim zamknął oczy, blondynka z kina jeszcze raz mi zaśpiewała zaraz i tylko dla mnie całą swą melodię strapienia. Pomagałem jej, że tak powiem, uspić mnie i udało mi się to niezłe... Nie byłem już zupełnie sam... Niemożliwe jest spać samemu.

Żeby żyć oszczędnie w Ameryce, można sobie kupować gorący chlebek z kielbaską w środku, to jest wygodne, to sprzedają na rogach małych ulic, wcale nie drogo. Zapewne, jeść w dzielnicy ubogich bynajmniej mnie nie żenowało, ale nie spotykać już tych pięknych stworzeń dla bogatych, to było bardzo przykre. Wyrzec się tego, to niewarto nawet jeść.

W „Laugh Calvin“ mogłem jeszcze na tych grubych dywanach udawać, że szukam kogoś wśród zbyt ładnych kobiet przy wejściu, nabrać powoli odwagi w ich dwuznacznym otoczeniu. Myśląc o tem, przyznawałem w duchu, że mieli rację tamci, z „Infanta Combitta“, zdawałem sobie sprawę, nabywając doświadczenia, że nie miałem zamiłowania serjo do życia nędzarza. Słusznie sobaczyli mi kompanowie z galery. Tymczasem, wciąż brak mi było odwagi. Chodziłem brać jeszcze dozy kina, tu i owdzie, ale to starczało akurat, żeby nabrać energii do jednego, dwóch spacerów. Nic więcej. W Afryce, zapewne, poznałem rodzaj samotności dość brutalnej, ale odosobnienie w tem amerykańskim mrowisku przybierało charakter jeszcze bardziej przytłaczający.

Zawsze lękałem się, żeby nie być prawie pusty, żeby słowem, nie mieć żadnej poważnej racji do istnienia. Teraz stałem wobec zjawisk, pewny mej indywidualnej nicości. W tem środowisku, zbyt odmiennem od tego, gdzie miałem swe mizerne nawyki, jakgdybym się zaraz rozpuścił. Czułem, że jestem gotów prze-

stać istnieć poprostu. Odkryłem, że skoro tylko przestawano mówić ze mną o rzeczach powszednich, nic mnie już nie wstrzymywało od pogrążenia się w nieodpartej nudzie, w swego rodzaju ckliwej okropnej katastrofie duszy. Obmierźłość.

W przeddzień pozostawienia mego ostatniego dolara w tej przygodzie jeszcze się nudziłem. I to tak głęboko, że nie chciało mi się nawet zastanowić nad najpilniejszymi środkami zaradczyimi. Jesteśmy z natury tak czczy, że tylko rozrywki mogą nam naprawdę nie dać umrzeć. Co do mnie, uczepliłem się kina z rozpaczliwym ferworem.

Wychodząc z majaczących mroków mego hotelu, próbowałem jeszcze kilku wycieczek w wysokie okoliczne ulice, w ten niesmaczny karnawał zawrotnych domów. Moje znużenie potęgował ten ciąg fasad, ta monotonia, nabrzmiała brukiem, ceglami i przesłami bez końca, i handlem i jeszcze handlem, tym szankrem świata, pękającym w reklamach obiecujących i krostowatych. Sto tysięcy bzdurnych kłamstw.

W stronie rzeki przebiegałem inne uliczki i jeszcze inne, których rozmiary stawały się dosyć pospolite, to znaczy, że możnaby było naprzykład z chodnika, gdzie stałem, wytluc wszystkie szyby w takim samym domu naprzeciwno.

Śwąd z frytury, nieustanny, panował nad temi dzielnicami, sklepy nie urządzały tu wystaw z powodu kradzieży. Wszystko to przypominało mi mój szpital w Villejuif¹, nawet dzieciaki o dużych koślawych kolanach na wszystkich chodnikach i również katarynki.

¹ Przedmieście Paryża. *Przyp. tłum.*

Zostałbym tam chętnie z nimi, ale biedacy teżby mnie nie żywili i widziałbym ich wszystkich zawsze, a ich nadmiar nędzy przestraszał mnie. To też koniec końców zawróciłem w stronę wysokiego miasta. „Swinio! powiedziałem sobie wówczas. Doprawdy, nie masz odwagi!“ Trzeba zdecydować się na poznawanie siebie codziennie trochę lepiej, z chwilą kiedy brak wam odwagi skończyć raz na zawsze z własnym mazgajstwem.

Brzegiem Hudsonu w kierunku centrum miasta szedł tramwaj, stary wehikuł, trzęsący się wszystkimi kołami i swym bojaźliwym szkieletem. Potrzebował dobrej godziny do zrobienia swego kursu. Pasażerowie jego poddawali się cierpliwie skomplikowanemu obrzędowi płacenia przez rodzaj młynka do kawy do pieniędzy, umieszczonego przy samym wejściu do wagonu. Kontroler patrzył jak się uiszczają, ubrany jak jeden z naszych, w uniformie „bałkańskiego milicjanta wziętego do niewoli“.

Wreszcie przyjeżdżało się, zmordowanym, po powrocie z tych wycieczek ludowych przechodziłem znowu przed niewyczerpanym i podwójnym szeregiem piękności w moim westybulu tantalskim i przechodziłem jeszcze i zawsze rozmarzony i spragniony.

Bryndza moja była taka, żem nie śmiał już przetrząsać kieszeni, żeby zdać sobie z niej sprawę. Oby tylko Loli nie przyszło do głowy wydalić się z miasta obecnie! myślałem sobie... A przede wszystkim, czy zechce mnie przyjąć? Czy naciągnę ją na pięćdziesiąt, czy też na sto dolarów na początek?... Wahałem się, czułem że nie będę miał należytej odwagi, jeśli nie podjem sobie i dobrze się nie wyśpię raz nareszcie. A potem, jeśli mi się powiedzie w tem pierwszym przedsięwzię-

ciu naciągania, odrazu ruszę na poszukiwanie Robinsona, to znaczy, skoro tylko wróci mi dość sił. To nie był typ w moim rodzaju, Robinson! To był człowiek przynajmniej zdecydowany! Zuch! Ach! Ten to musiał już znać różne kawały i kanty amerykańskie! Być może, posiadał on środek na zdobycie tej pewności siebie, tego spokoju, czego mi tak bardzo brakowało.

Jeżeli on też wylądował z galery, jak sobie wyobrażałem, i zdeptał to wybrzeże znacznie wcześniej ode mnie, z pewnością do tej pory zrobił już swą karierę amerykańską! Obojętna ruchliwość tych szalapatów nie mogła go krępować! Ja też może, zastanowiwszy się dobrze, mogłem być poszukać zajęcia w jednym z tych biur, których głośne plakaty czytałem z ulicy.... Ale na myśl o konieczności wejścia do jednej z tych firm, wystraszony, zapadałem się w ziemię z nieśmiałości. Wystarczał mi mój hotel. Grób gigantyczny i wstrętnie ruchliwy.

Może na przywykłych do tego bynajmniej nie robiło takiego samego wrażenia jak na mnie to nagromadzenie materji i komórek handlowych? ta organizacja rusztowań ciągnących się bez końca? Dla nich może to było bezpieczeństwo cały ten potop zawieszony w powietrzu, gdy tymczasem dla mnie to był tylko ohydny system przymusu, w ceglach, w korytarzach, w zasuwach, w okratowanych okienkach, tortura architektoniczna gigantyczna, niewybaczalna.

Filozofowanie jest tylko jedną z postaci strachu i prowadzi jeno do tchórzliwych ułud.

Mając ostatnie trzy dolary w kieszeni, patrzyłem jak trzepocą się w mej dłoni moje dolary przy blasku anon-sów Times Square'u, tego zadziwiającego placynu, gdzie

reklamy tryskają ponad tłumem, zajęтым wybieraniem sobie kina. Szukałem sobie bardzo taniej restauracji i zaszedłem do jednego z tych refektarzy publicznych zrjonalizowanych, gdzie usługa jest zredukowana do minimum a rytuał spożywania uproszczony do ścisłej miary naturalnej potrzeby.

Zaraz gdy wszedłeś, dają ci do rąk półmisek i stajesz w ogonku. Czekanie. Sąsiadki, bardzo miłe kandydatki do obiadu jak ja, nie mówiły do mnie nic... To musi robić zabawne wrażenie, myślałem sobie, gdy można sobie pozwolić zwrócić się tak do jednej z tych pań o nosie precyzyjnym i zalotnym. „Proszę pani, powiedziałaoby się jej, jestem zamożny, bardzo zamożny... czym panią można poczęstować?...”

Wtedy wszystko staje się zaraz proste, cudownie, niewątpliwie, wszystko co było takie skomplikowane przed chwilą.Wszystko się przeobraża i świat straszliwie wrogi toczy ci się wnet do stóp kulą skrytą, uległą i aksamitną. Wówczas traci się może jednocześnie wyczerpujący nałóg mętnego marzenia o ludziach, którym się powodzi, o szczęśliwym losie, skoro można dotknąć tego wszystkiego własnymi palcami. Życie ludzi bez środków jest niczem innym jak tylko długą odmową w długim delirium i naprawdę dobrze zna się jedynie to, wyzwala się też tylko od tego, co się posiada. Co do mnie, miałem, wciąż biorąc i porzucając marzenia, świadomość w przeciągach, popękaną w tyśiąć szpar i zepsutą w sposób odrażający.

Narazie nie śmiałem zawiązać z temi dziewczętami w restauracji najniewinniejszej rozmowy. Trzymałem swój półmisek grzecznie, w milczeniu. Kiedy na mnie przyszła kolej przejść przed fajansowemi misami

z kiszką i fasolą, wzięłem wszystko co mi dali. Ten refektarz był taki czysty, tak dobrze oświetlony, że człowiek czuł się jakby wyniesiony na powierzchnię jego mozaiki, niby mucha na mleko.

Szafarki, w stylu pielęgniarek, stały za naczyniami z kluskami, z ryżem, z kompotem. Każda miała swoją specjalność. Najadłem się tego co wydawały najsympatyczniejsze z nich. Ku memu ubolewaniu, nie uśmiechały się one do klientów. Zaraz po obsłużeniu należało się cichutko i zrobić miejsce innemu. Idzie się ze swym półmiskiem drobnym krokiem z zachowaniem równowagi, jak przez salę operacyjną. To mi dało zmianę wrażeń po moim „Laugh Calvin“ i moim pokoiku hebanowym, ze złotą oblamką.

Ale jeżeli nas, klientów, tak polewano obfitością światła, jeśli nas wrywano na chwilę z mroku, zwykłego w naszych warunkach, była to część pewnego planu. Właściciel miał w tem swój cel. Nie ufałem mu. To robi dziwne wrażenie po tylu dniach cienia być raptem skąpany w potokach światła. Mnie to dawało rodzaj małego dodatkowego odurzenia. Niewiele mi do tego było potrzeba, to prawda.

Pod małym stolikiem, który mi się dostał, z niepokalanej lawy, nie mogłem w żaden sposób schować nóg; wciąż mi wystawały. Radbym był, gdyby chwilowo moje nogi były gdzieindziej, ponieważ z drugiej strony wystawy obserwowali nas stojący w ogonku ludzie, których zostawiliśmy na ulicy. Czekali, kiedy skończymy jeść, żeby sami mogli zająć nasze miejsca. Właśnie w tym celu i żeby im zaostriżyć apetyt, byliśmy tak dobrze oświetleni i uwypukleni, tytułem żywej reklamy. Moje truskawki na ciastku pochłaniało tyle iskrzących

się refleksów, że nie mogłem się zdecydować na zjedzenie ich.

Nie można uniknąć amerykańskiego handlu.

Poprzez olśnienia tych ognisk i to skrępowanie widziałem mimo wszystko krzątanie się w pobliżu nas bardzo miłej kelnerki i postanowiłem nie tracić z oczu ani jednego z jej ładnych gestów.

Kiedy przyszła na mnie kolej, żeby dla mnie zmieniła nakrycie, dobrze zanotowałem sobie nieprzewidywany kształt jej oczu, których zewnętrzny kąt był ostrzejszy, bardziej zwrócony ku górze niż u naszych kobiet. Powieki falowały również bardzo lekko ku brwiom przy skroniach. Razem wzięwszy, okrucieństwo, ale akurat to co potrzeba, okrucieństwo, które można uściskać, podstępna gorycz, jak w reńskim winie, przyjemna mimowoli.

Gdy znalazła się blisko mnie, zacząłem jej dawać małe znaki porozumiewawcze, jeśli tak mogę powiedzieć, tej kelnerce, tak jakbym ją poznawał. Przyjrzała mi się bez żadnej uprzejmości, jak zwierzęciu, ale jednak z ciekawością. „Oto, mówiłem sobie, pierwsza Amerykanka, która jest zmuszona patrzeć na mnie“.

Po skończeniu oblanego światłem ciastka trzeba było ustąpić miejsca innemu. Wówczas, trochę się zataczając, zamiast iść wyraźną drogą, prowadzącą wprost ku wyjściu, wzięłem na odwagę i zostawiając z boku człowieka w kasie, który oczekiwał na nas wszystkich z naszą forszą, skierowałem się ku tej blondynce, odcinając się, zgoła niezwykle, wśród zalewu dyscyplinowanego światła.

Dwadzieścia pięć szafarek na swych posterunkach za gotującymi się rzeczami, dało mi znak, wszystkie je-

dnocześnie, że zmyliłem drogę, że zbłądziłem. Dojrzałem wielki ruch postaci przez okno wystawowe, wśród czekających kolejki, i ci którzy mieli jeść po mnie, zawahali się, czy siadać. Naruszyłem porządek rzeczy. Wszyscy dokoła dziwili się głośno: „Znowu jakiś cudzoziemiec!“ mówili.

Ale ja miałem myśl, może niewiele była warta, lecz nie chciałem poniechać usługującej mi pięknej dziewczyny. Popatrzyła na mnie, maleńka, tem gorzej dla niej. Dość mi już było samotności! Dość marzeń! Chcę sympatji! Kontaktu! „Proszę pani, zna mnie pani bardzo mało, ale ja panią już kocham, czy chce pani, żebyśmy się pobrali?...“ W ten sposób do niej się zwróciłem, najbardziej godziwy.

Odpowiedź jej nigdy mnie nie doszła, gdyż jakiś potężny drab pilnujący porządku, też cały biało ubrany, zjawił się w tej samej chwili i wypchnął mnie za drzwi, słusznie, poprostu, bez obelg ani brutalności, w mrok, jak psa, który się zapomniał.

Wszystko to odbywało się prawidłowo, nie mogłem się skarżyć.

Poszedłem ku „Laugh Calvin“.

W moim pokoju wciąż te same grzmoty rozbijały echo w szturmach trąby powietrznej, naprzód piorunowy metra, które zdawało się pędzić ku nam z bardzo daleka, za każdym przejściem porywając ze sobą te wszystkie akwedukty, żeby nimi zdruzgotać miasto, potem co pewien czas bezładne sygnały mechanicznej lokomocji z samego dołu, idące z ulicy, i jeszcze ten miękki rumor kłębiącego się tłumu, wahającego się, zawsze nudnego, wciąż ruszającego naprzód i jeszcze

namyślającego się i zawracającego. Wielka marmolada ludzka w mieście.

Stamtąd gdzie byłem, zgóry można było krzyknąć im wszystko co się żywnie podobało. Spróbowałem. Wszyscy oni byli mi wstrętni. Nie miałem tupetu powiedzieć im za dnia, kiedy ich miałem przed sobą twarzą w twarz, lecz stąd gdzie byłem teraz, nie ryzykowałem nic, zawołałem „Ratunku! Ratunku!“ tylko żeby zobaczyć, czy się tem przejmą. Ani trochę. Ludzie pchają przed sobą życie, i w dzień, i w nocy. Ludziom życie zasłania wszystko. We własnym zgiełku nie słyszą nic. Plują na to. A im większe jest miasto, im jest wyższe, tem bardziej plują na to. Ja to wam mówię. Spróbowałem. Nie warto.

Wyłącznie ze względów pieniężnych, lecz jakże pilnych i naglących, wziąłem się do szukania Loli! Gdyby nie ta marna konieczność, jakżebym chętnie dał jej się zestarzeć i zniknąć, nigdy jej nie widząc, tej mojej szelmy przyjaciółki! Ostatecznie, wobec mnie, i to nie ulegało już żadnej wątpliwości, gdym się nad tem zastanowił, postąpiła ona w sposób najohydniej bezceremonjalny.

Egoizm ludzi, którzy weszli w nasze życie, kiedy się myśli o nich na starość, okazuje się niewątpliwy, to jest taki jaki był, ze stali, z platyny, jeszcze trwalszy niż sam czas.

W młodości najsuchsze obojętności, najcyniczniejsze chamstwa gotowi jesteśmy usprawiedliwić zachciankami namiętności i jakimiś znamionami niedoświadczonego romantyzmu. Ale później, kiedy życie dobitnie nam pokazało, ile może wymagać wykrętów, okrucieństwa, sprytu, żeby się tylko utrzymać jako tako przy 37 stopniach temperatury, człowiek zdaje sobie sprawę, wie czego się trzymać, jest już na właściwym miejscu, żeby pojąć wszystkie łajdactwa, jakie zawiera przeszłość. Wystarczy w zupełności skrupulatnie przyglądać się samemu sobie i temu, czem się człowiek stał w zakresie nieczystości. Żadnych już tajemnic, żadnych naiwności, człowiek zeżarł całą swoją poezję, skoro dożył dnia dzisiejszego. Życie to wielka bujda.

Moją chamusię przyjaciółkę odnalazłem wreszcie, z wielkim trudem, na dwudziestem trzecim piętrze

77-ej ulicy. To nie do wiary, jak mogą mierzić ludzie, których zamierza się prosić o przysługę. Zamożnie było u niej i w takim stylu, jak właśnie sobie wyobrażałem.

Nasycony uprzednio tęgiemi dozami kina, umysłowo byłem prawie rzeźki, otrząsając się z depresji, w jakiej szarpałem się od chwili wylądowania w New Yorku, i pierwsze zetknięcie się było mniej nieprzyjemne niż się spodziewałem. Nawet Lola, jak gdyby nie była szczególnie zdziwiona mojem zjawieniem się, widać było tylko, że jej trochę nieprzyjemnie, gdy mnie poznała.

Spróbowałem tytułem wstępu szkicować rodzaj nieszkodliwej rozmowy przy pomocy tematów z naszej wspólnej przeszłości, i to rozumie się, w słowach możliwie ostrożnych, wspominając między innymi, lecz bez nacisku, o wojnie jako o epizodzie. Tutaj popełniłem grubą gaffę. Ona nie chciała już nic słyszeć o wojnie, ani słowa. To ją postarzało. Podrażniona, zęb za zęb, wyznała, że nigdyby mnie nie poznała na ulicy, tak wiek już mnie pokrył zmarszczkami, rozdał, skarykaturował. Prawiła mi takie oto komplementy. I ta mała szelma wyobrażała sobie, że mnie dotknie takimi kaprysami! Nie raczyłem nawet odpowiedzieć na te nędzne impertynencje.

Urządzenia jej mieszkania nie zdołał żaden nieprzewidziany wdzięk, ale jednak było ono wesołe, wydało mi się przynajmniej znośne po wyjściu z mojego „Laugh Calvin“.

Metoda, szczegóły jakiejś szybkiej fortuny zawsze czynią wrażenie czegoś magicznego. Od czasu zrobienia kariery przez Mizynę i panią Herote wiedziałem, że

zbieg ud jest małą miną złota dla biednych. Te nagłe kobiece opierzenia się zachwycaly mnie i dałbym na przykład swego ostatniego dolara stróżce Loli poto tylko, żeby jej rozwiązać język.

Ale w jej domu nie było stróżki. W całym mieście nie było ich. Miasto bez stróżki nie ma historii, nie ma smaku, to jest coś mdłego, niby zupa bez pieprzu i soli, podłe jadlo. Och, te smakowite oskrobiny! Odpadki, śliny, sączące się z alkowy, z kuchni, z mansard, spływające kaskadami przez lożę konsjerżki, żyjącej pełnią życia, co za smakowite piekło! Niektóre stróżki u nas giną pod brzemieniem swego zadania, są lakoniczne, kaszlące, rozkoszne, oszołomione, bo są ogłupiałe od Prawdy te męczennice, strawione przez Nią.

Przeciw tej abominacji jaką jest być biednym, należy, przyznajmy się, to jest obowiązek, próbować wszystkiego, upijać się byle czem, niedrogim winem, samogwałtem, kinem. Nie trzeba być wymagającym, „osobnym“, jak mówią w Ameryce. Nasze stróżki dostarczają, czy rok jest dobry, czy zły, przyznajmy, tym, którzy umieją wziąć ją w siebie i rozgrzać przy sercu, nienawiści do robienia wszystkiego a za nic, dosyć by wysadzić tą nienawiścią w powietrze świat. W New Yorku człowiek jest okropnie pozbawiony tego pieprzu witalnego, drobiazgowego a żywego, niezbitcie, bez czego umysł dusi się i skazuje siebie na obgadywanie tylko ogólnikowe, na bąkanie bladych oszczerstw. Bez stróżki niema nic, coby kąsało, raniło, kaleczyło, dręczyło, naprzykrzało się i w rezultacie napewno powiększało nienawiść powszechną, rozpałało ją tysiącem swych niezaprzeczalnych szczegółów.

Zamęt tem dotkliwszy, że Lola, zdybana w swem

środoisku, właśnie wywołała we mnie nowe obrzydzenie, aż mnie spierało, żeby rzygać na wulgarność jej powodzenia, jej pychy, jedynie trywjalnej i odpychającej, ale czym? Wskutek momentalnego zakażenia wspomnienie Mizyny stało mi się w tejże chwili tak samo wrogie i obmierzłe. Żywa nienawiść zrodziła się we mnie do tych dwóch kobiet, trwa ona jeszcze, wcieliła się w moją rację bytu. Brakowało mi dowodów dokumentalnych, żeby się w porę i ostatecznie pozbyć wszelkiej pobłażliwości teraźniejszej i przyszłej dla Loli. Nie przerabia się swego życia.

Odwaga nie polega na przebaczeniu, przebacza się zawsze aż zawiele! I to na nią się nie zdaje, są dowody.

Po wszystkich istotach ludzkich, w ostatnim rzędzie umieszczono Dobrą! To nie jest bez kozery. Nie zapominajmy o tem nigdy. Trzeba będzie uśpić naprawdę pewnego wieczoru ludzi szczęśliwych, kiedy będą spali, powiadam wam, i skończyć z nimi i z ich szczęściem raz na zawsze. Nazajutrz nie będzie już mowy o ich szczęściu i człowiekowi będzie wolno być nie-szczęśliwym ile tylko zechce, jednocześnie z „Dobrą“. Ale mam opowiadać: Lola chodziła tedy po pokoju, tam i z powrotem, trochę roznegliżowana i ciało jej widziało mi się jednak bardzo jeszcze pożądane. Ciało zbyt kowne to jest zawsze możliwy gwałt, włamanie się cenne, bezpośrednie, poufne, w żywy rdzeń bogactwa, zbytku, i bez obawy odebrania zdobyczy.

Być może czekała tylko na mój ruch, żeby mnie odprawić. Ostatecznie, przedewszystkiem ten przekłety głód natchnął mnie roztropnością. Naprzód żryć. A przytem bez końca opowiadała mi błahostki swego

życia. Trzebaby stanowczo zamknąć świat na okres dwóch do trzech pokoleń conajmniej, gdyby zabrakło kłamstw do opowiadania. Nie byłoby już o czem gadać ze sobą, lub prawie. Zaczęła się mnie dopytywać, co myślę o jej Ameryce. Wyznałem jej, że doszedłem do tego stopnia osłabienia i niepokoju, kiedy niemal byle kto i byle co staje się straszne, a co do jej kraju, przerażał mnie poprostu, więcej niż przez cały zespół gróźb bezpośrednich, tajnych i nie do przewidzenia, które w nim widziałem, przez swą potworną obojętność względem mnie, która go w mem rozumieniu streszczała.

Muszę zarabiać na chleb, wyznałem jej szczerze, trzeba mi więc będzie w krótkim czasie pokonać te wszystkie czułości. Co do tego byłem nawet bardzo zapóźniony i zapewniłem ją o mej żywej wdzięczności, gdyby zechciała polecić mnie jakiemuś ewentualnemu pracodawcy... spośród znajomych... Ale to jak najprędzej... Bardzo skromny zarobek zupełnieby mnie zadowolił... I jeszcze plotłem jej wiele innych łagodnych bzdur. Przyjęła dosyć źle tę propozycję skromną, jednak niedyskretną. Z miejsca była zniechęcona. Nie zna absolutnie nikogo, kto by mógł mi dać pracę lub pomoc, odpowiedziała. Z konieczności więc wróciliśmy do rozmowy o życiu wogóle, a potem o jej egzystencji w szczególności.

Śledziłyśmy siebie tak, moralnie i fizycznie, gdy rozległ się dzwonek. A potem prawie natychmiast, bez pauzy weszły do pokoju cztery kobiety, umalowane, dojrzałe, tęgie, muskuły i biżuterja, bardzo familjarne. Po przedstawieniu mnie, zgoła sumarycznem, Lola mocno zażenowana (to było widoczne) usiłowała je zaprowadzić do innego pokoju, ale one, sprzeciwiając się

temu, zaczęły wszystkie razem narzucać się mojej uwadze, żeby mi opowiedzieć wszystko co wiedziały o Europie. Stary ogród ta Europa, pełen przestarzałych warjatów, erotycznych i drapieżnych. Recytowały namiętnie Chabanais'a i Inwalidów.

Ja tam nie byłem w żadnym z tych dwóch miejsc w Paryżu. Pierwsze za drogie, drugie za daleko. W formie repliki puściły we mnie kłęb patryjotyzmu automatycznego i znoszonego, jeszcze bardziej głupkowatego niż to co się zazwyczaj w takich okazjach słyszy. Odpaliłem im żywo, że byłem ich miastem zupełnie struty. Rodzaj chybionego jarmarku, powiedziałem im, wstrętnego, który jednak uporczywie chcą przedstawić jako udany...

Perorując tak, w atmosferze sztuczności i konwensu, nie mogłem nie wyczuć w sobie innych jeszcze prócz paludyzmu przyczyn depresji fizycznej i moralnej, jaka mnie przytłaczała. Chodziło ponadto o zmianę przyzwyczajzeń, musiałem nauczyć się raz jeszcze poznawania nowych twarzy w nowym środowisku, innych sposobów mówienia i kłamania. Lenistwo jest prawie tak silne jak życie. Banalność nowej farsy, którą trzeba grać, miażdży cię i koniec końców potrzeba ci jeszcze więcej tchórzostwa niż odwagi, żeby zacząć nanowo. To to jest wygnanie, obcy kraj, ta bezlitosna obserwacja istnienia, takiego jakie ono jest naprawdę, podczas tych kilku godzin jasnego widzenia, wyjątkowych w wątku ludzkiego czasu, kiedy zwyczaj poprzedniego kraju opuszczają cię, a inne, nowe nie ogłupiły cię jeszcze dostatecznie.

Wszystko w owych chwilach sprzyja pomnożeniu twojej plugawej niedoli, żeby cię zmusić, w twojej słabo-

ści, do rozróżniania rzeczy, ludzi i przyszłości w ich istocie, to jest szkieletów, kompletnych nicości, które przecież trzeba będzie lubić, kochać, bronić, ożywiać, jakgdyby one naprawdę istniały.

Inny kraj, inni ludzie dokoła, krzątający się w sposób nieco dziwaczny, a conajmniej trochę drobnych próżnostek, rozproszonych, jakaś pycha nieusprawiedliwiona, jej kłamstwo, jej znajome echo — i to wystarczy, masz zawrót głowy i zwątpienie cię wabi, i rozwiera się nieskończoność tylko dla ciebie, śmieszna mała nieskończoność, i wpadasz w nią...

Podróż to poszukiwanie tego nic, tego małego zawrotu głowy dla durniów...

Bawiły się setnie cztery damy na wizycie u Loli, słysząc jak się tak spowiadam wybuchowo i obnażam przed nią. Nadawały mi różne nazwy, które ledwie zrozumiałem z racji zniekształceń amerykańskich i ich sposobu mówienia, namaszczonego i nieprzyzwoitego. Patetyczne kotki.

Gdy wszedł murzyn domowy, żeby podać herbatę, umilkliśmy.

Jedna z tych pań musiała jednak być bystrzejsza od innych, gdyż oznajmiła na cały głos, że dygocę z gorączki i że muszę też mieć wielkie pragnienie. To co podano na podwieczorek podobało mi się bardzo mimo mych dygotek. Te sandwicze ocaliły mi życie, mogę to powiedzieć.

Rozmowa potoczyła się teraz na temat wartości porównawczej lupanarów paryskich, nie chciało mi się do niej przyłączyć. Te damy wzięły się jeszcze do różnych skomplikowanych trunków i gdy pod ich wpływem stały się zupełnie gorące i konfidencjonalne, roz-

pały się tematem „małżeństw“. Choć bardzo zajęty żarciem, nie mogłem nie zauważyć mimochodem, że idzie tu o małżeństwa bardzo specjalne, to miały nawet być związki między bardzo młodymi osobnikami, między dziećmi, a one miały przy tem otrzymać porę-kawiczne.

Lola spostrzegła, że te słowa wzbudziły we mnie wielką uwagę i ciekawość. Patrzyła na mnie dość twar-do. Już nie piła. Mężczyźni, których Lola знаła tutaj, Amerykanie, nie grzeszyli ciekawością, jak ja, nigdy. Trwałem z pewnym wysiłkiem na granicy jej dozoru. Chciało mi się postawić tym kobietom setki pytań.

Wreszcie damy nas opuściły, ruszając się ciężko, pod-niecone alkoholem i seksualnie pokrzepione. Rozwese-lały się, gadając o erotyzmie ciekawie eleganckim i cy-nicznym. Przeczuwałem w tem coś elzbietańskiego, sam rad byłbym też odczuć jego wibracje, napewno bardzo cenne i skoncentrowane na końcu mojego organu. Lecz to obcowanie biologiczne, rozstrzygające podczas po-dróży, to orędzie witalne, ja tylko je przeczuwałem, z wielkim zresztą żalem i spotęgowanym smutkiem. Melancholja nieuleczalna.

Jak tylko przyjaciółki znalazły się za drzwiami, Lo-la okazała jawne znużenie. To intermezzo zupełnie jej się nie podobało. Ja nie odezwałem się ani słowem.

— Co za wiedźmy! — zakląła w kilka minut potem.

— Skąd je znasz? — zapytałem.

— To jest stałe kółko moich dobrych znajomych... Nie była usposobiona do dalszych zwierzeń narazie.

Z ich sposobu zachowania się, dosyć aroganckiego wobec niej, odniosłem wrażenie, że te kobiety mają w pewnej sferze pierwszeństwo przed Lolą a nawet pe-

wien dość duży, bezsporny wpływ. Nie dane mi było nigdy dowiedzieć się więcej.

Lola mówiła, że musi jeszcze być na mieście, lecz zaproponowała mi, żebym poczekał na nią u niej, prze-gryzając trochę, jeżeli jestem jeszcze głodny. Opuści-wszy „Laugh Calvin“ bez uregulowania rachunku i ró-wnież bez zamiaru powrotu tam, a to z ważnych po-wodów, byłem bardzo rad z pozwolenia, jakie mi dała, jeszcze kilka chwil ciepła przed znalezieniem się na ulicy, i to na jakiej ulicy, babuniu!...

Jak tylko znalazłem się sam, skierowałem się kory-tarzem ku miejscu, skąd widziałem jak wynurzył się murzyn-służący. Na połowie drogi do kredensu spotka-liśmy się i uścisnąłem mu dłoń. Nabywszy zaufania, zaprowadził mnie do kuchni, bardzo ładnego i porząd-nego miejsca, o wiele logiczniejszego i staranniej utrzy-manego niż salon.

Zaraz zaczął pluć przede mną na wspaniałą kamien-ną posadzkę i pluć tak jak to tylko umieją negrzy, da-leko, obficie, doskonale. Ja też naplułem przez grze-czność, ale tak jak umiałem. Z miejsca spoufaliliśmy się. Lola, dowiedziałem się od niego, posiadała moto-rówkę-salonkę na rzece, dwa auta na szosie, piwnicę z trunkami wszystkich krajów świata. Otrzymywała ka-talogi z wielkich magazynów paryskich. Tak było. Za-czął mi powtarzać bez końca te same ogólne in-formacje. Przestałem go słuchać.

Gdym drzemał obok niego, wróciły mej pamięci mi-nione dni, te czasy kiedy Lola porzuciła mnie w wojen-nym Paryżu. Te łowy, naganka, zasadzka, gadatliwa, kłamliwa, przebiegła Mizyna, Argentyńczycy, ich stat-ki naładowane mięsem, Topo, wypatroszone kohorty

z placu Clichy, Robinson, fale, morze, nędza, kuchnia Loli taka biała, jej murzyn i nic, i ja tam, jak każdy inny. Wszystko mogło dziać się dalej. Wojna jednych spaliła, innych ogrzała, jak ogień, który torturuje lub wzmacnia, zależnie od tego, czy się jest umieszczonym w ogniu czy przed ogniem. Trzeba jakoś dawać sobie radę, to wszystko!

To też jest prawda, to co mówiła, zem się bardzo zmienił. Egzystencja wykrzywia i gniecie człowiekowi twarz. Jej to też zgmiotło twarz, ale mniej, znacznie mniej. Biedacy dostają lanie. Nędza to olbrzymka, ona do wytarcia brudów świata używa twojej twarzy jak ścierki. Pozostaje na niej zawsze coś.

Sądziłem, zem zauważył jednak u Loli coś nowego, chwile depresji, melancholji, luki w jej optymistycznej głupocie, te momenty kiedy istota ludzka musi się poprawić, by ponieść trochę dalej nabyte doświadczenie swego życia, swych lat, wbrew jej woli już zbyt ciężkich dla zapалу, którym jeszcze dysponuje, — swą parszewą poezję.

Jej murzyn zaczął się naraz kręcić. Znowu go ogarnęła ruchliwość. Nowy druh, uważał że powinien mnie opchać ciastkami, obładować cygarami. Na zakończenie, z niesłychanymi ostrożnościami wydobył z jakiejś szuflady masę okrągłą i ołowianej barwy.

— Bomba! — oznajmił wściekłym tonem. Cofnąłem się. „Liberta! Liberta!“ darł się jowialnie.

Włożył wszystko na swoje miejsce i znowu przepysznie splunął. Co za poruszenie! Skakał z radości. Jego śmiech i mnie zaraził, ta kolka sensacji. Jeden gest więcej lub mniej, mówiłem sobie, to nie ma zgoła znaczenia. Kiedy Lola wróciła wreszcie z miasta, za-

stała nas razem w salonie, w dymie i w uśmiechu. Udała, że nic nie zauważyła.

Murzyn wyniósł się piorunem, mnie zaprowadziła do swego pokoju. Była teraz smutna, blada i drżąca. Skąd ona mogła wracać? Zaczęło być bardzo późno. To jest pora kiedy Amerykanie są bezradni, bo życie wibruje dokoła nich już tylko w tempie zwolnionem. W garażach jedno auto na dwa. To jest chwila pół-wynurzeń. Ale trzeba prędko korzystać z nich. Przygotowywała mnie do nich, zapytując, ale ton, jaki wybrała, żeby mi postawić pewne pytania co do życia, jakie prowadziłem w Europie, rozdrażnił mnie ogromnie.

Nie kryła bynajmniej, że uważała mnie za zdolnego do wszelkich podłości. Ta hipoteza nie gniewała mnie, kępowała mnie tylko. Ona przeczuwała, że złożyłem jej wizytę, by ją prosić o pieniądze i sam ten fakt stwarzał między nami zupełnie naturalną niechęć. Wszystkie te uczucia ocierają się o mord. Tkwiliśmy wśród banalności rozmowy i ja stawałem na głowie, żeby nie wybuchła między nami awantura. Wypytywała się między innymi szczegółami o moje wybryki erotyczne, czy nie porzuciłem gdzie podczas mojej włóczęgi małego dziecka, które ona mogłaby adoptować. To był jej fijoł, zaadoptowanie dziecka. Myślała dość prosto-dusznie, że taki wykolejeniec jak ja musiał posiać tajne potomstwo tu i owdzie po całym świecie. Była bogata, wyznała mi, i marniała, nie mogąc się poświęcić małemu dziecku. Przeczytała wszystkie dzieła o wychowaniu dzieci, a zwłaszcza te, które swym liryzmem doprowadzają do spazmu instynkt macierzyństwa, te książki, które, gdy je się zasymiluje cał-

kowicie, wyzwalają kobietę nazawsze od chęci kopulacji. Każda cnota ma swoją plugawą literaturę.

Ponieważ ona chciała się poświęcić wyłącznie „małej istocie“, grałem przed nią pechowca. Mogłem jej ofiarować tylko swoją dużą istotę, którą ona uważała za kompletnie obrzydliwą. W gruncie rzeczy tylko dobrze prezentujące się nędze mogą przynosić dochód, te co są dobrze przygotowane przez wyobraźnię. Rozmowa nasza nie kleiła się. „Słuchaj, Ferdynandzie, zaproponowałam mi wreszcie, dosyć tej gawędy, zabiorę cię na drugi koniec New Yorku, w odwiedziny do mego małego pupila, zajmuję się nim z dość dużą przyjemnością, ale jego matka nudzi mnie“... Była dziwna godzina. Po drodze, w aucie, rozmawialiśmy o jej katastrofalnym murzynie.

— Czy on ci pokazywał swoje bomby? zapytała. Przyznałem się, że poddał mnie tej próbie.

— Widzisz, Ferdynandzie, on nie jest niebezpieczny, ten manjak. Ładuje swoje bomby moimi starymi rachunkami... Ongi, w Chicago, był czymś... Należał wtedy do strasznego tajnego związku emancypacji czarnych... To byli, jak mi opowiadano, okropni ludzie... Banda została rozwiązana przez władze, ale on, mój negr, zachował swe zamiłowanie do bomb... Nigdy tam nie kładzie prochu... Wystarcza mu duch... W gruncie rzeczy, jest to tylko artysta... On zawsze będzie robił rewolucję... Ale go trzymam, to jest doskonały służący! I, wzięwszy wszystko pod uwagę, jest on może uczciwszy od innych, co nie robią rewolucji...

I powróciła do swej manji adoptowania.

— To jednak fatalne, że ty nie masz gdzieś jakiej córki, Ferdynandzie, rodzaj marzycielski, jak twój,

pasowałby bardzo do kobiety, a mężczyźni z tem wcale nie jest dobrze.

Deszcz zacinając, zamykał noc nad naszym pojazdem, sunącym po długiej taśmie gładkiego betonu. Wszystko było mi wrogie i zimne, nawet jej dłoń, którą jednak trzymałem mocno w swojej. Wszędzie byliśmy rozdzieleni. Przyjechaliśmy przed dom, bardzo różny w wyglądzie od tego, któryśmy opuścili. W mieszkaniu na pierwszym piętrze oczekiwał nas z matką chłopczyk mniej więcej dziesięcioletni. Umeblowanie tych pokoi pretendowało do Ludwika XV, zalatywało tu niedawno gotowanem jedzeniem. Dziecko siadło na kolanach Loli i ucałowało ją serdecznie. Matka wydała mi się też bardzo czuła wobec Loli i, podczas gdy Lola rozmawiała z małym, urządziłem tak, żeby matka przeszła do sąsiedniego pokoju.

Gdy wróciliśmy, malec powtarzał przed Lolą pas tańca, którego się nauczył właśnie na kursie w konserwatorium. „Trzeba, żeby wziął jeszcze kilka prywatnych lekcyj, konkludowała Lola, a może będą go mogła przedstawić w „Teatrze Globu“ mej przyjaciółce, Werze! To dziecko może ma przed sobą przyszłość!“ Matka, po tych dobrych, dodających otuchy słowach, rozplynęła się w podziękowaniach i popłakiwaniach. Jednocześnie otrzymała małą paczkę zielonych dolarów, którą wsunęła za stanik jak liścik miłosny.

— Ten malec dosyćby mi się podobał, orzekła Lola, gdy znowu byliśmy na ulicy, ale razem z synem muszę znosić matkę, a ja nie lubię matek zbyt chytrych... Pozatem ten mały jest jednak zanadto zepsuty... To nie jest ten rodzaj przywiązania, jakiego pra-

gnę... Chciałabym doznawać uczucia zupełnie macierzyńskiego... Czy rozumiesz mnie, Ferdynandzie?... — Gdy chodzi o żarcie, rozumiem wszystko, co kto chce, to już nie jest kwestja inteligencji, to guzik.

Uczepiła się tego swego pragnienia czystości. Kiedyśmy byli o kilka ulic dalej, zapytała mnie, gdzie będę dzisiaj nocował i przeszła ze mną jeszcze kawałek po chodniku. Odpowiedziałem jej, że jeżeli nie zdobędę kilku dolarów natychmiast, nigdzie nie będę nocował.

— Dobrze, odparła, odprowadź mnie do domu, tam dam ci trochę pieniędzy i potem pójdiesz sobie dokąd chcesz.

Chciała pozbyć się mnie po nocy koniecznie i to jaknajprędzej. W porządku. Jak się jest tak wypchniętym w noc, to koniec końców gdzieś się dotrze, mówiłem sobie. Pocięcha. „Odwagi, Ferdynandzie, powtarzałem sam sobie, by siebie podtrzymać, jak będziesz wszędzie wyrzucony za drzwi, to z pewnością wkońcu znajdziesz sposób, którego oni wszyscy tak się boją, ci wszyscy dranie, ilu ich jest, a który powinien być u kresu nocy. Dlatego to oni nie idą do kresu nocy!“

Potem było zupełnie zimno między nami dwojgiem w jej aucie. Ulice, któreśmy przebywali, groziły nam jakby całym swym milczeniem, uzbrojonem aż hen w górę w kamień bez końca, rodzaj potopu w zawieszaniu. Miasto na czatach, potwór pełen niespodzianek, lepki od asfaltów i deszczów. Wreszcie zwolniliśmy. Lola poszła przede mną ku drzwiom.

— Wejdz, zaprosiła mnie, chodź za mną!

Znowu jej salon. Myślałem nad tem, ile też mi da, żeby skończyć z tem i pozbyć się mnie. Szukała bank-

notów w małym woreczku, zostawionym na jakimś sprzęcie. Usłyszałem dobitny szelest gniecionych banknotów. Jakie chwile! W całym mieście był tylko ten szelest. Byłem jednak tak jeszcze skrępowany, że zapytywałem ją, nie wiem poco, tak nie w porę, co słychać u jej matki, o której zapomniałem.

— Moja matka jest chora — rzekła, obracając się, żeby patrzeć mi prosto w twarz.

— Gdzież ona jest obecnie?

— W Chicago.

— Na co jest chora matka?

— Na raka wątroby... Oddałam ją pod opiekę najlepszych specjalistów w tem mieście... Leczenie masę mnie kosztuje, ale oni ją ocalą. Przyrzekli mi.

Pośpiesznie dała mi jeszcze wiele innych szczegółów, dotyczących stanu zdrowia jej matki w Chicago. Stała się raptem tkliwa i poufała i nie mogła się przez to powstrzymać, żeby nie prosić mnie o jakieś intymne pokrzepienie. Trzymałem ją w rękę.

— A ty, Ferdynandzie, prawda, ty też myślisz, że oni wyleczą moją matkę?

— Nie, odparłem bardzo wyraźnie, bardzo kategorycznie, rak wątroby jest absolutnie nieuleczalny.

Momentalnie zbladła aż do białek oczu.

Po raz pierwszy zobaczyłem, że ta szelma stropiła się czemś.

— Jednakże, Ferdynandzie, specjaliści zapewnili mnie, że wyzdrowieje! Zaświadczyli mi to... Na piśmie!... To są, wiesz, bardzo wielcy lekarze...

— Dla forsy, Lolo, będą na szczęście zawsze bardzo wielcy lekarze... Jabym ci to samo zrobił, gdybym był na ich miejscu. I ty, Lolo, teżbyś to samo zrobiła...

To, co jej mówiłem, wydało jej się raptem tak niezaprzeczalne, tak oczywiste, że nie śmiała już się szamotać.

Raz jeden, po raz pierwszy w życiu może miało jej zabraknąć tupetu.

— Ferdynandzie, sprawiasz mi niesłychaną przykrość, czy ty zdajesz sobie z tego sprawę?... Kocham bardzo matkę, ty wiesz przecie, że bardzo ją kocham?...

To padło w samą porę! Psiakrew! Co djabli komu do tego, czy się kocha swą matkę, czy nie?

Łkała w swojej własnej pustce Lola.

— Ferdynandzie, jesteś potworny wykolejeniec, podjęła z furją, nic tylko wstrętny, zły człowiek!... Mścisz się najpodlej za swe ohydne położenie, mówiąc mi rzeczy okropne... Jestem nawet pewna, że bardzo szkodzisz mojej matce, mówiąc tak!...

Zalatywało z jej rozpaczy stęchlizną metody Coué¹.

Jej podniecenie nie budziło we mnie bynajmniej takiej obawy, jak podniecenie oficerów „Admirała Bragueton“, tych, którzy zamierzali unicestwić mnie dla rozrywki próżnujących dam.

Przyglądałem się uważnie Loli, gdy częstowała mnie wszelkimi epitetami, i napełniało mnie pewną dumą stwierdzenie przez kontrast, że moja obojętność potęgowała się, co mówię, moja radość w miarę jak mnie lżyła coraz bardziej. Człowiek jest śliczny wewnątrz.

„Żeby się mnie pozbyć, obliczałem, będzie musiała teraz dać mi conajmniej dwadzieścia dolarów... Może nawet więcej“...

Przeszedłem do ofensywy. „Lola, proszę cię, pożycz mi pieniądze, które mi obiecałaś, a nie, to będę spał tutaj i będę ci powtarzał wszystko, co wiem o raku, jego komplikacjach, dziedziczności, bo rak jest dziedziczny, Lolo. Nie zapominajmy o tem!“

W miarę jak uwydatniałem szczegóły, wyglądałem się na temat choroby jej matki, widziałem jak Lola bladła przede mną, słabła, miękła. „A, szelma! mówiłem sobie, trzymaj ją dobrze, Ferdynandzie! Raz przynajmniej trzymasz za dobry koniec!... Nie popuszczaj sznura... Nieprędko znajdziesz taki mocny!...“

— Masz! bierz! — rzuciła, zupełnie wyczerpana — masz swoje sto dolarów i idź na zbity łeb i nie pokazuj mi się więcej na oczy nigdy, słyszysz, nigdy!... Precz! Precz! Precz! Świnio jedna...!

— Pocałuj mnie jednak, Lolo. Cóż znowu!... Nie gniewamy się! — zaproponowałem, żeby wiedzieć, jak dalece mogłem jej obmierznać. Wówczas wyjęła z szuflady rewolwer, i nie żartem. Wystarczyły mi schody, nie dzwoniłem nawet na windę.

To uczciwe zbesztanie przywróciło mi mimo wszystko ochotę do pracy i pełnię odwagi. Zaraz nazajutrz wsiadłem na pociąg idący do Detroit, gdzie zapewniano mnie, łatwo było znaleźć pracę w różnych drobnych robotach, niezbyt uciążliwych i dobrze płatnych.

¹ Coué francuski ptychoterapeuta, leczy systemem autosugestji, wpływającej na czynniki chorobotwórcze. *Przyp. tłum.*

Przechodnie mówili mi, jak sierżant mówił mi w puszczy: „Tam oto! powiedzieli mi. Nie może pan się pomylić, to jest akurat nawprost pana“.

Istotnie, zobaczyłem wielkie budynki przysadziste i oszklone, rodzaj pułapek na muchy bez końca, w których można było rozróżnić snujących się ludzi, ale ledwie poruszających się, jakgdyby zmagali się już ostatkiem sił z czymś niemożliwym do pokonania. To to był Ford? A dookoła i ponad tem, aż do nieba hałas ciężki i różnorodny i głuchy całych potoków przyrządów, twarde, zaciekłość maszyn obracających się, toczących, jęczących, zawsze gotowych złamać się i nie łamiących się nigdy.

„Więc to tutaj, powiedziałem sobie... To nie jest zachęcające...“ To było nawet gorsze od wszystkiego. Podszedłem bliżej, aż do bramy, gdzie było napisane na tablicy, że poszukuje się robotników.

Nie sam jeden czekałem. Jeden z tych, co tam wystawiali, pouczył mnie, że on sterczy tu od dwóch dni i wciąż na tem samem jeszcze miejscu. Z Jugosławji przybyła ta owieczka, żeby się nająć do pracy. Inny nędzarz zwrócił się do mnie, mówiąc, iż przybył pracować rzekomo tylko dla własnej przyjemności, manjak, blagier.

W tym tłumie nikt prawie nie mówił po angielsku. Śledzili się wzajemnie, jak nieufne zwierzęta, często się bili. Z ich masy dobywała się woń mokrego międzyno-

za, jak w szpitalu. Gdy mówili, unikało się ich ust, ponieważ biedaków czuć z ust już śmiercią.

Padało na nasze zbiorowisko. Szeregi stały ściśnięte pod rynnami. Ludzie, szukający zarobku, łatwo się ściskają. Co jest dobrego u Forda, wyłożył mi stary Rosjanin, skory do zwierzeń, to to, że przyjmują tam byle kogo i byle co.

„Tylko pilnuj się, dorzucił mi jako wskazówkę, nie trzeba u niego robić ze siebie zucha, ponieważ, jeżeli będziesz robił zucha, wyleją cię w okamgnieniu i będziesz zastąpiony przez jakiś przyrząd mechaniczny, które ma zawsze w pogotowiu, i pożegnaj się wtedy z powrotem do pracy!“ Mówił dobrze po parysku ten Rosjanin, gdyż był szoferem taksówki przez szereg lat, ograbili go po aferze z kokainą w Bezons, a potem koniec końców zagrał o swoje auto w kości z jakimś klientem w Biarritz i przegrał je.

To była prawda, co mi klarował, że u Forda przyjmują byle kogo. Nie zełgał. Mimo to, nie dowierzałem, gdyż biedota łatwo bredzi. Jest taki moment w nędzy, kiedy duch nie jest wciąż razem z ciałem. Naprawdę, jest mu tam zbyt źle. To już prawie dusza do was mówi. A dusza jest nieodpowiedzialna.

Na początku kazano nam się rozebrać do naga, ma się rozumieć. Oględziny lekarskie odbywały się w czymś w rodzaju laboratorium. Defilowaliśmy powoli. „Jesteś pan zdechłak, skonstatował felczer, popatrzysz na mnie, ale to nic nie szkodzi“.

A ja głupi, bałem się, że nie przyjmą mnie do pracy z powodu gorączki afrykańskiej, zauważywszy ją, jeżeli przypadkiem pomacają mi wątrobę! Tymczasem

przeciwnie, wyglądało na to, że oni są bardzo zadowoleni, że w naszej partji znaleźli nędznych i słabych.

— Dla tej roboty, jaka tu pana czeka, to nie ma znaczenia, żeś pan zdechłak! uspokoił mię badający lekarz, natychmiast.

— Tem lepiej, odpowiedziałem, ale wie pan, ja posiadam wykształcenie i nawet kiedyś zacząłem studja medyczne...

Z miejsca spojrział na mnie paskudnem okiem. Poczulem, że raz jeszcze popełnił gaffę i na swoją szkodę.

— To ci się na nic tutaj nie zda, twoje studja, mój chłopcze! Nie przyszedłeś tutaj myśleć, lecz wykonywać ruchy, które ci kazały wykonywać... Nie potrzeba nam w naszej fabryce ludzi wyobraźni. Potrzebujemy szympanów... Jeszcze jedna rada. Proszę nam nigdy więcej nie mówić o swej inteligencji! Będą myśleć za ciebie, mój kochany! Zapamiętaj to sobie.

Miał rację, że mnie uprzedził. Lepiej było, żebym wiedział, czego się trzymać w zakresie zwyczajów firmy. Głupstw miałem na swoim koncie w obecnej chwili na dziesięć lat conajmniej. Postanowiłem teraz uchodzić za człowieka, który się zamęcza pracą. Po ubraniu się z powrotem, powlekliśmy się szeregami, w wahających się grupach posiłkowych ku tym miejscom, skąd dochodził do nas wielki łomot maszyn. Wszystko dygotało w olbrzymim budynku i sam człowiek opanowany był przez dygot od stóp do głów, z szyb, z podłogi i z żelastwa szły wstrząsy wibrujące od góry do dołu. Człowiek też z musu stawał się od tego maszyną całym, jeszcze dygocącym ciałem w tym olbrzymim wściekłym hałasie, który mu porywał gło-

wę, kręcił nią dokoła i huczał wewnątrz, niżej wstrząsał trzewiami i skakał do oczu małemi uderzeniami, szybkimi, niezmordowanemi, nieskończonemi. W miarę posuwania się naprzód gubiło się towarzyszków. Pyszano im, rozstając się, lekki uśmiech, tak jakby to wszystko, co się działo, było bardzo miłe. Niepodobna już było ani mówić do siebie, ani siebie słyszeć. Pozostawało za każdym razem trzech lub czterech przy każdej maszynie.

Mimo wszystko, człowiek stawia opór, trudno jest obrzydzić sobie własną istotę, chciałoby się zatrzymać to wszystko, żeby się nad tem zastanowić i posłyszeć w sobie łatwe bicie serca, ale to już jest niemożliwe. To, co się tu dzieje, nie może się skończyć. Jest w stanie katastrofy to nieskończone pudło do stali, a my kręcimy się z niem i z maszynami i z całą ziemią. Wszystko razem! I tysiące kółek i kafarków, nie padających nigdy jednocześnie z hukami, co miażdżą się jeden o drugi, a niektóre tak gwałtowne, że wyłączają dokoła siebie z hałasu jakby chwile ciszy, które sprawiają pewną ulgę.

Krzywy wagonik z narzędziami robi rejwach, żeby przejść między przyrządami. Usunąć się nabok! Uskoczyć, żeby mógł ruszyć jeszcze kawałek mały histeryk. I hop! będzie podrygiwał dalej ten błyskotliwy warjat wśród transmisyj i kół rozpędowych, niosąc ludziom ich porcje przymusu.

Robotnicy, nachyleni w trosce o sprawienie wszelkiej możliwej przyjemności maszynom, budzą odrazę, gdy tak podają maszynom sworznie według kalibru i jeszcze sworznie, zamiast skończyć z tem raz nazawsze, z tym odorem smarów, z tą parą, co przez gardło pa-

rzy bębenki i wnętrza uszu. To nie wstyd każe robotnikom pochylać głowy. Człowiek poddaje się hałasowi, jak poddaje się wojnie. Pozwala zagarnąć się maszynie, mając trzy myśli chwiejące się w górze poza czołem. Skończyło się. Wszędzie, na co się spojrzy, wszystko, czego dotknie ręka, jest teraz twarde. I wszystko, o czym człowiek zdoła jeszcze trochę pamiętać, zeszywniało również jak żelazo i nie ma już smaku w myśli.

Za jednym zamachem cholernie się człowiek zestarzał.

Trzeba skasować życie zewnętrzne, zrobić z niego też stal, coś pożytecznego. Nie kochano go dostatecznie takiego, jakie było, to dlatego. Trzeba więc zrobić z niego przedmiot, solidny przedmiot, to jest Zasada.

Próbowałem mówić werkmajstrowi do ucha, w odpowiedzi chrząknął jak świnia i gestami tylko pokazał mi, cierpliwie bardzo prosty manewr, jaki miałem odtąd wykonywać zawsze. Moje minuty, moje godziny, moja reszta czasu, jak u innych tutaj, miną na podawaniu małych sworzni ślepcowi obok, który kalibrował od lat sworznie, takie same. Z początku robiłem to bardzo źle. Nie ganiono mnie wcale, tylko po trzech dniach tej terminatorskiej pracy zostałem przeniesiony, jako już nie nadający się do tego, do taszczenia małego wózka, napełnionego krążkami, który żeglował od jednej maszyny do drugiej. Tu zostawiłem trzy krążki, tam tuzin, gdzieindziej tylko pięć. Nikt do mnie się nie odzywał. Istniało się jedynie pewnym wahaniem się między otępieniem a szalem pracy. Nic nie miało znaczenia, prócz ogłuszającej ciągłości działania tysięcy narzędzi, komenderujących ludźmi.

Gdy o szóstej wszystko staje, zabiera się ze sobą huk w głowie, ja miałem jeszcze na całą noc huk i woni smarów, jakgdyby mi dano nowy nos i nowy mózg, nazawsze.

Ustawicznie rezygnując, powoli stałem się taki, jak inni... Nowy Ferdynand. Po kilku tygodniach. Wszelako chęć zobaczenia ludzi poza fabryką wróciła mi. Nie tych z warsztatu, spodziewam się, to były tylko echa i smrody maszyn, jak ja, mięsa drgające bez końca, moi towarzysze. Chciałem dotknąć prawdziwego ciała, ciała różowego w istotnym życiu, cichem i spokojnym.

Nie znałem nikogo w tem mieście, a zwłaszcza kobiet. Z niemałym trudem zdołałem zdobyć niepewny adres pewnego „Domu“, potajemnego domu schadzek, w północnej części miasta. Chodziłem w tamtą stronę kilka wieczorów z rzędu, po fabryce, na zwiady. Ta ulica podobna była do innych, ale może lepiej utrzymana niż ta, na której ja mieszkałem.

Wykryłem mały pawilon, gdzie to się odbywało, otoczony ogrodami. Wchodzić trzeba było szybko, żeby policjant, stojący blisko drzwi, mógł nic nie zauważyć. To było pierwsze miejsce w Ameryce, gdzie byłem przyjęty bez brutalności, nawet uprzejmie za moje pięć dolarów. I piękne młode kobiety, dobrze zbudowane, napięte zdrowiem i powabną siłą, prawie równie ładne, ostatecznie, jak tamte z „Laugh Calvin“.

A tych przynajmniej można było dotykać otwarcie. Nie mogłem się powstrzymać od stałego odwiedzania tego miejsca. Cały mój zarobek tu przechodził. Gdy nadchodził wieczór, potrzebne mi było obcowanie erotyczne z temi dobrze przyjmującymi wspaniałymi ko-

bietami, żeby przywrócić siły duszy. Kino już mi nie wystarczało, odtrutka łagodna, bez realnego skutku przeciw materialnej okropności fabryki. Żeby trwać jeszcze, trzeba było się uciec do wielkich pokrzepiających środków, rozwiązyłych, żywotnie drastycznych. W tym domu żądano ode mnie niewielkiej należności, ustępstwa po znajomości, ponieważ przywiozłem tym damom z Francji różne sztuczki i kawały. Tylko w sobotę wieczorem, żadnych sztuczek, biznes szedł całą parą i całe pole pozostawiałem drużynom base-ballistów, włączającym się po spelunkach, wspaniale krępkim, siłaczom, którym radość życia zda się przychodziła równie łatwo, jak oddychanie.

Gdy drużyny oddawały się rozkoszy, będąc w wienie pisałem sobie w kuchni małe opowiadania, dla samego siebie. Zapach tych sportowców dla miejscowych niewiast zapewne nie dosięgał gorliwości, nieco bezsilnej, mego zapachu. Ci samorządni atleci w swej sile byli zblazowani na punkcie doskonałości fizycznej. Piękno to jest jak alkohol lub komfort, człowiek się przyzwyczaja, nie zwraca już na to uwagi.

Oni przychodzili do lupanaru przede wszystkim dla zabawy. Często bili się na zakończenie, na potęgę. Wówczas wpadała jak wichur policja i zabierała wszystkich na małych ciężarówkach.

W stosunku do jednej z młodych kobiet miejscowych, Molly, nabrałem niebawem wyjątkowego zaufania, które u istot wystraszonych zastępuje miłość. Pamiętam jak dziś jej wdzięki, jej nogi długie i białe, wspaniale smukłe i muskularne, nogi rasowe. Cechy prawdziwej arystokracji ludzkiej, cokolwiekby się mówiło, nadają nogi, nie można się w tym pomylić.

Staliśmy się sobie bliscy ciałem i duchem i chodziliśmy razem na spacer po mieście, kilka godzin co tydzień. Ta przyjaciółka miała duże środki, bo miała dochodu dziennie około stu dolarów, gdy tymczasem ja, u Forda, zarabiałem zaledwie sześć. Miłość, którą wykonywała dla chleba, nie męczyła jej prawie wcale. Amerykanki robią to jak ptaki.

Pod wieczór, po taszczeniu mego wózka-roznościela, zmuszałem się jednak do robienia przyjemnej twarzy na spotkanie z nią po obiedzie. Trzeba być wesołym z kobietami, przynajmniej na początku. Dręczyła mnie wielka a niejasna chęć zaproponować jej to i owo, ale nie miałem siły. Molly doskonale rozumiała zniedołężnienie przy pracy w przemyśle, miała do czynienia z robotnikami.

Pewnego wieczoru, tak sobie, ni z tego, ni z owego, ofiarowała mi pięćdziesiąt dolarów. Naprzód popatrzyłem na nią. Nie śmiałem. Myślałem o tem, co też moja matka powiedziałaby w podobnym wypadku. I pomyślałem sobie, że moja matka, biedaczysko, nie dała mi nigdy tyle. Żeby zrobić Molly przyjemność, zaraz, kupiłem sobie za te dolary piękny garnitur beżowy pastelowy, jakie były w modzie na wiosnę owego roku. Nigdy nie widziano mnie tak wystrojonego w lupanarze. Gospodyni puściła w ruch swój wielki fono, tylko poto, żeby mnie nauczyć tańczyć.

Potem poszliśmy do kina z Molly, żeby uczcić mój nowy garnitur. Po drodze pytała mnie się, czy nie jestem zazdrosny, bo w garniturze tym miałem smutną minę, a również ochotę nie wracania więcej do fabryki. Nowy garnitur wywołuje wstrząs w myślach. Ona całowała mój garnitur krótkimi namiętnymi pocałunkami.

mi, gdy ludzie na nas nie patrzyli. Usiłowałem myśleć o czym innym.

Ta Molly, co to jednak za kobieta! Jaka szlachetność! Co za karnacja! Jaka pełnia młodości! Uczta pragnień. I zaniepokoiłem się znowu. Alfons?... przeszło mi przez myśl.

— Nie idź więcej do Forda! zniechęcała mnie na dobitkę Molly. Poszukaj sobie raczej jakiegoś drobnego zajęcia w biurze... Jako tłumacz naprzykład, to twój rodzaj... Książki, to ci się podoba.

Tak mi oto radziła milutko, chciała, żebym był szczęśliwy. Po raz pierwszy istota ludzka interesowała się mną, od wewnątrz, jeśli wolno mi tak powiedzieć, moim egoizmem, stawiała siebie na moje miejsce, a nie sądziła mnie tylko ze swego miejsca, jak wszyscy inni.

Ach! gdybym był spotkał Molly wcześniej, kiedy była jeszcze pora wybrać taką drogę a nie inną! Zanim straciłem swój zapał na tej dziwce Mizynie i na tem małym łajnie, na Loli! Ale było zapóźno przywrócić sobie młodość! Nie wierzyłem już w to! Człowiek staje się szybko stary i to w sposób, na który nie ma lekarstwa. Poznaje się to po tem, że zaczyna się lubić swoje nieszczęście, mimowoli. To natura jest silniejsza od nas i basta. Wystawia nas na próbę w jednym rodzaju i już z tego rodzaju nie można wyleźć. Ja wyruszyłem w kierunku niepokoju. Bierze się z wolna swoją rolę i swe przeznaczenie na serjo, nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, a potem, kiedy się człowiek obejrzy, jest już zapóźno zmieniać. Stał się samym niepokojem i tak zostanie nazawsze.

Molly próbowała w sposób bardzo miły zatrzymać

mnie przy sobie, odwieść mnie od moich myśli... „Wiesz, Ferdynandzie, życie płynie równie dobrze tutaj jak w Europie! Nie będziemy nieszczęśliwi razem“. I miała rację w pewnym sensie. „Ulokujemy nasze oszczędności... kupimy sobie jakiś interes handlowy... Będziemy żyli jak wszyscy...“ Mówiła to, żeby uśmieżyć moje skrupuły. Projekty. Przyznawałem jej rację. Wstyd mi było nawet, że tak się wysiła, żeby mnie zachować. Kochałem ją, z pewnością, ale kochałem jeszcze bardziej swoją wadę, tę chętkę uciekania ze wsząd, w poszukiwaniu nie wiedzieć czego, przez głupią pychę niezawodnie, z przekonania o pewnego rodzaju wyższości.

Chciałem uniknąć drażnienia jej, ona rozumiała i uprzedzała moją troskę. Koniec końców, że była taka serdeczna, wyznałem jej dręczącą mnie manję nie zagrzania nigdzie miejsca. Po całych dniach słuchała mnie, jak obnażałem siebie i rozkładałem przed nią, obrzydliwie, szamocąc się wśród przywidzeń i pychy, i nie była tem zniecierpliwiona, wprost przeciwnie. Usiłowała tylko pomóc mi w pokonaniu tego jałowego i głupiego niepokoju. Nie rozumiała dobrze, dokąd zmierzam w swych dywagacjach, ale mimo to przyznawała mi rację, stając po stronie mych urojeń lub przeciw nim, wedle mego wyboru. Dzięki przekonywającej słodyczy, jej dobroć stała mi się bliska i niemal osobista. Ale wydawało mi się, że zaczynam wówczas szachrować z mojem sławetnem przeznaczeniem, z moją racją bytu, jak je nazywałem, i odtąd przestałem raptem opowiadać jej wszystko, co myślałem. Zamknąłem się znów w sobie, rad, że jestem jeszcze nieszczęśliwszy niż ongi, gdyż wniosłem do swej sa-

motności nowy rodzaj utrapienia i coś, co przypominało prawdziwe uczucie.

Wszystko to jest banalne. Ale Molly była obdarzona cierpliwością anielską, miała właśnie wiarę, twardą jak żelazo, w powołanie. Jej młodsza siostra naprzykład, z uniwersytetu w Arizonie, zaraziła się manją fotografowania ptaków w gniazdach i zwierząt drapieżnych w ich legowiskach. Więc, żeby mogła chodzić na osobliwe kursy tej techniki specjalnej, Molly posyłała jej regularnie, owej siostrze fotografce, pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Serce doprawdy bez granic, z prawdziwą w niem wzniosłością, które może się zamienić w gotówkę, a nie w udawanie, jak moje i tyle innych. Co się tyczy mnie, Molly pragnęła bardzo zająć się finansową stroną mej błotnistej przygody. Choć wyglądałem w jej oczach na chłopca chwilami dość zahukanego, moje przekonanie o sobie uważała za istotne i naprawdę godne tego, by go nie podsycać. Namawiała mnie tylko, żebym jej ułożył rodzaj małego bilansu do pensji budżetowej, którą chciała mi zapewnić. Nie mogłem zdecydować się na przyjęcie tego daru. Ostatni stęchły zapach delikatności nie pozwalał mi dyskutować dalej, spekulować jeszcze na tej naturze naprawdę zbyt uduchowionej i zbyt miłej. Tak oto zacząłem rezolutnie czynić wstrętę Opatrzności.

Zawstydzony, zdobyłem się nawet wtedy na kilka wysiłków, żeby wrócić do Forda. Drobne bohaterstwa bez następstw zresztą. Doszedłem akurat tylko do bramy fabryki, ale utknąłem w tym miejscu granicznym, i perspektywa wszystkich tych maszyn, które obraca-

jąc się, oczekiwały mnie, zniweczyła we mnie bezapelacyjnie te zakusy pracownicze.

Stałem sobie przed wielką szybą centralnej prądnicy elektrycznej, tej wielokształtnej olbrzymki, co ryczy, wchłaniając i wypychając nie wiem skąd, nie wiem co przez tysiące lśniących rur, poskręcanych i rozwiązanych jak ljanya. Pewnego ranka, kiedy tak sterczałem w kontemplacji z otwartą gębą, przechodził mój Rosjanin od taksówki. „Te, powiada, wyleli cię na pysk, gamoniu! ...Od trzech tygodni nie przychodzisz... Zastąpili cię już mechanizmem... A uprzedzałem cię“...

„To tak, powiedziałem sobie wówczas, przynajmniej wiem, że z tem koniec... Niema poco tam wracać“... I ruszyłem w stronę śródmieścia. Wracając, wstąpiłem do konsulatu, zapytać się, czy przypadkiem nie słyszeli o pewnym Francuzie, nazwiskiem Robinson.

— Owszem, owszem! odpowiedzieli mi konsulowie. Nawet tu do nas przychodził dwa razy i miał do tego fałszywe dokumenty... Szuka go zresztą policja! Pan go zna?... Nie obstawałem przy tem.

Odtąd każdej chwili spodziewałem się spotkać Robinsona. Czułem, że to nadchodzi. Molly nadal była czuła i życzliwa. Była nawet jeszcze serdeczniejsza niż przedtem, odkąd była przekonana, że chcę pójść sobie nadobrze. Na nic się nie zdało być dla mnie miłą. Chodziliśmy często z Molly po podmiejskich okolicach, podczas tych pożegnalnych spacerów popołudniowych.

Małe łyse pagórki, zagajniki brzoźowe dokoła małych jezior, tu i owdzie ludzie czytający frywolne czasopisma pod niebem ciężkim od ołowianych chmur. Unikaliśmy z Molly skomplikowanych zwierzeń. Zresztą, ona wiedziała, czego się trzymać. Była zbyt

szczerą, żeby mieć dużo do mówienia o jakimś zmar-
twieniu. To, co się działo wewnątrz, w jej sercu,
wystarczało jej. Całowaliśmy się. Ale ja nie całowa-
łem jej jak należało, prawdziwie, na kolanach. Zawsze
myślałem jednocześnie trochę o czym innym, o tem,
żeby nie tracić czasu i tkliwości, jakgdybym chciał za-
chować wszystko dla czegoś wspaniałego, wzniosłego,
na później, ale nie dla Molly, i nie dla tego. Jakgdy-
by życie miało zabrać ze sobą, ukryć przede mną to, co
chciałem wiedzieć o niem, o życiu na dnie mroku, kie-
dy ja stracę zapał do ściskania Molly i wówczas nie
będę już nigdy miał dość tego i stracę koniec końców
wszystko z braku sił, gdy życie oszuka mnie, jak
wszystkich, Życie, istotna kochanka prawdziwych męż-
czyzn.

Powracaliśmy w ludne dzielnice, a potem zostawia-
łem ją przed jej domem, ponieważ całą noc, aż do
świt, miała gości. Gdy ona była zajęta z klientami,
trapiło mnie to jednak i to strapienie mówiło mi o niej
tak dobitnie, że czułem ją jeszcze bliżej siebie niż
w rzeczywistości. Szedłem do kina dla zabicia czasu.
Po wyjściu z kina, wsiadałem do tramwaju, to tu, to
tam, i robiłem wycieczki po nocy. Po wybiciu godziny
drugiej, wchodzili do tramwaju nieśmiali pasażerowie
z gatunku, jakiego nie spotyka się prawie przed i po
tej godzinie, zawsze tacy bladzi i senni, uległymi gru-
pami, aż do przedmieść.

Z nimi jechało się daleko. O wiele jeszcze dalej niż
do fabryk, ku niedokładnym parcelom, uliczkom z nie-
wyraźnymi domami. Na bruku lepkiem od mżącego
przedrannego deszczyku świt połyskiwał sino. Moi
tramwajowi towarzysze znikali wraz z własnym cie-

niem. Przymykali oczy przed światłem dziennem. Tru-
dno było wyciągnąć słowo z tych ludzi mroku. Znad-
to znużeni. Nie skarżyli się, nie, to oni czyścili w nocy
sklepy i jeszcze sklepy, i biura całego miasta, po zam-
knięciu. Wydawali się mniej niespokojni niż my, ludzie
dnia.

Pewnej takiej nocy, gdy wsiadłem w jeszcze inny
tramwaj, dojechałem do końca kursu i wszyscy wysia-
dali ostrożnie, wydało mi się, że ktoś na mnie woła po
imieniu „Ferdynand! Ej, Ferdynand!“ To było prawie
gorszące, w tym półmroku. Nie lubiłem takich rzeczy.
Ponad dachami niebo powracało już kawałkami,
bardzo chłodnymi, odcinającymi się między rynnami.
Z pewnością wołano na mnie. Obróciwszy się, odrazu
poznałem Leona. Szepecząc odnalazł mnie i rozgadaliśmy
się obaj.

On też wracał z czyszczenia jakiegoś biura razem
z innymi. To była jedyna „kombinacja“, jaką znalazł.
Szedł bardzo ważnie, z odrobiną prawdziwej majesta-
tyczności, tak jakby dopiero co wykonał w mieście rze-
czy niebezpieczne i, jeśli tak można powiedzieć, święte.
To była postawa, jaką przybierali wszyscy czyściciele
nocni, zauważyłem to już. W zmęczeniu i w samotno-
ści wychodzi z ludzi to co jest boskiego. I on miał tego
pełne oczy, kiedy je otwierał szerzej niż zwykłe oczy,
w siwym półmroku, gdzie byliśmy. On też już wyczy-
ścił bezkreśne obszary unywalni i nadał połysk istnym
górom pięter i pięter ciszy.

Dodał: „Ja ciebie odrazu poznałem, Ferdynandzie! Po
sposobie wchodzenia do tramwaju... Wyobraź sobie,
po samym tylko sposobie, w jaki byłeś smutny, gdy zo-
baczyłeś, że tam niema kobiety. Może nieprawda? Mo-

że to nie twój rodzaj?“ Prawda, że to był mój rodzaj. Stanowczo, miałem duszę rozpiętą, jak rozporek spodni. Nic mnie też nie zdumiało w tem trafnem spostrzeżeniu. Lecz co było raczej dla mnie niespodzianką, to to, że i jemu nie poszczyściło się w Ameryce. Przewidywałem zupełnie co innego.

Powiedziałem o kawale z galera w San Tapeta. Ale on nie rozumiał, co chcę przez to powiedzieć. „Masz gorączkę!“ odpowiedział mi poprostu. Spróbowałby chętnie umieścić się u Forda, ale jego papiery, naprawdę zbyt fałszywe by ośmielić się je pokazać, powstrzymywały go. „To w sam raz, żeby trzymać w kieszeni“ zauważył. Przy tworzeniu drużyn czyścicieli przedsiębiorcy nie byli wybredni co do stanu cywilnego kandydatów. Niewiele też płacono, ale na tamto przymykano oczy. To był rodzaj nocnej legji cudzoziemskiej.

— No, a ty co porabiasz? zapytał mnie teraz. Ciagle coś cię gna po świecie? Jeszcze nie masz dość sztuczek i kawałów? Jeszcze zachciewa ci się podróży?

— Chcę wrócić do Francji, powiedziałem mu, dosyć się już napatrzyłem, masz rację, starczy...

— Dobrze zrobisz, odrzekł, bo na nas już pora... Człowiek ani się obejrzał i zestarzał się, ja wiem co to jest... Jabym też rad wrócił, ale wciąż te papiery... Poczekał jeszcze trochę, żeby sobie sprokurować dobre... Nie można powiedzieć, żeby to było złe zajęcie, te które się ma. Są gorsze. Ale nie mogę się nauczyć po angielsku... Są tu tacy, co od trzydziestu lat pracują jako czyściciele a nauczyli się wszystkiego tylko „Exit“¹, że

to jest na wszystkich drzwiach, które się pucuje, no i „Lavatory“². Rozumiesz?

Rozumiałem. Jeżeli mi zabraknie Molly, będę musiał zaciągnąć się też do nocnej pracy.

Niema powodu, żeby to wszystko się skończyło.

Jednem słowem, póki się jest na wojnie, mówi się, że lepiej będzie podczas pokoju, i gryzie się tę nadzieję, jakby to był cukierek, a to jest jednak tylko łajno. Z początku człowiek nie śmie tego powiedzieć, żeby nikomu nie obrzydzało. Przez grzeczność. A wreszcie pewnego pięknego poranku nie wytrzyma i rozłamie ten kawałek wobec wszystkich. Ma się dosyć obracania się w gnoju. Ale wszyscy uważają odrazu, że się jest bardzo źle wychowanym. I basta.

Dwa czy trzy razy potem naznaczyliśmy sobie spotkanie z Robinsonem. Bardzo źle wyglądał. Pewien dezertier francuski, który fabrykował potajemnie trunki dla cwaniaków z Detroit ustąpił mu kącik w swym „businessie“. To nęciło Robinsona. „Chętniebym i ja robił trochę samogonu dla ich wstrętnych pysków, zwierzał mi się, ale widzisz, straciłem dryg... Czuję, że przed pierwszym hintem³, co mnie zacznie prac, sygnę się... Za dużo tego widziałem... A jeszcze na dobitkę wciąż mi się spać chce... Musowo, spanie w dzień to nie jest spanie... Nie mówiąc o kurzu „biur“, gdzie go człowiek kręcąc się nabiera pełne płuca... Kapujesz?... Zdycha się od tego...“

Wyznaczyliśmy sobie spotkanie na inną noc. Poszedłem do Molly i wszystko jej opowiedziałem. Wy-

² Tualeta.

³ Wywiadowca policyjny — w warszawskiej gwarze złodziejskiej. *Przyp. tłum.*

silą się, żeby ukryć cierpienie, jakie jej zadawałem, ale nietrudno było widzieć, mimo to, że cierpiała. Pieściłem ją teraz częściej, ale jej zmartwienie było głębokie, prawdziwsze niż u nas, bo my raczej przywykliśmy mówić o niem więcej niż go mamy. U Amerykanek jest odwrotnie. Trudno to nam pojąć, dopuścić. To jest trochę upokarzające, ale jednakże to jest właśnie zmartwienie, to nie pycha, ani też zazdrość, ani sceny, to jest jedynie prawdziwy ból serca i trzeba sobie powiedzieć, że tego wszystkiego brak nam wewnątrz i że dla rozkoszy martwienia się jesteśmy za oschli. Człowiekowi wstyd, że nie jest bogatszy w serce i wogóle, a także, iż uważał, mimo wszystko, ludzkość za nikczemniejszą niż ona naprawdę jest w gruncie rzeczy.

Od czasu do czasu Molly jednakże pozwalała sobie na drobną wymówkę, lecz zawsze robiła mi ją w słowach pełnych umiaru, uprzejmych.

— Jesteś bardzo miły, Ferdynandzie, mówiła mi, i wiem, że starasz się nie być taki zły, jak inni, tylko ja nie wiem, czy ty wiesz dobrze, czego w gruncie rzeczy chcesz... Zastanów się dobrze nad tem! Musisz znaleźć chleb, powróciwszy tam, Ferdynandzie... I gdzie indziej nie będziesz już mógł spacerować jak tutaj, marząc po całych nocach... Jak to ty tak bardzo lubisz... kiedy ja pracuję... Czyś ty o tem pomyślał, Ferdynandzie?

Pod pewnym względem miała postokroć rację, ale każdy ma swoją naturę. Bałem się ją urazić. Zwłaszcza, że ją bardzo łatwo było urazić.

— Zapewniam cię, Molly, że bardzo cię kocham, i będę kochał zawsze... jak potrafię... na swój sposób.

Mój sposób, to nie było wiele. Molly miała przecież ładne ciało, bardzo ponętne. Ale ja miałem ten paskudny pociąg i do widm. Może niezupełnie z mojej winy. Życie nas zmusza do przestawiania o wiele za często z widmami.

— Jesteś bardzo serdeczny, Ferdynandzie, uspokajała mnie, nie płacz z mojego powodu... Ty jesteś jakby chory ze swego pragnienia wiedzieć wciąż — coraz więcej... Oto wszystko... Widocznie, to musi być twoja droga... Tamtędy, sam jeden... Samotny wędrowiec najdalej idzie... Więc pojedziesz niedługo?

— Tak, skończę swoje studia we Francji, a potem powrócę, zapewniałem ją z tupetem.

— Nie, Ferdynandzie, już nie powrócisz. A zresztą, mnie też już tutaj nie będzie...

Nie łudziła się.

Nadeszła chwila odjazdu. Poszliśmy pewnego wieczoru na stację trochę przed porą jej powrotu do domu. W dzień poszedłem pożegnać się z Robinsonem. On też nie przyjął obojętnie tego, że go opuszczam. Zawsze rozstawałem się ze wszystkimi. Na peronie, gdyśmy z Molly czekali na pociąg, przechodzili mężczyźni, którzy udali, że jej nie poznają, ale szeptali coś do siebie.

— Już oto jesteś daleko, Ferdynandzie. Ty robisz, prawda, Ferdynandzie, akurat to, co masz ochotę robić? To właśnie jest ważne... To tylko bierze się w rachubę...

Pociąg wtoczył się na stację. Nie byłem już bardzo pewny, do czego zmierzam, gdy zobaczyłem maszynę. Uściskałem Molly z tą resztką odwagi, jaka mi jeszcze pozostała w gnatach. Byłem zmartwiony, prawdziwie,

ten jeden raz, żal mi było wszystkich, siebie, jej, wszystkich ludzi.

Może tego właśnie szuka się w życiu, tylko tego, największego, jakie może być, zmartwienia, żeby stać się sobą, zanim się umrze.

Lata minęły od tego wyjazdu i jeszcze lata... Pisałem często do Detroit, a potem gdzieindziej, pod wszystkimi adresami, o których pamiętałem i gdzie mogli znać Molly, przesłać jej list. Nigdy nie dostałem odpowiedzi.

Ten dom jest obecnie zamknięty. To wszystko, com zdołał się dowiedzieć. Dobra, cudna Molly, chcę, jeśli może jeszcze mnie czytać z jakiegoś miejsca, którego nie znam, żeby wiedziała, żem się nie zmienił dla niej, że kocham ją jeszcze i zawsze, po swojemu, że może przybyć tutaj, kiedy zechce, podzielić ze mną mój kawałek chleba i mój niepewny los. Jeśli już nie jest piękna, to trudno! Ułoży się to jakoś. Zachowałem z niej w sobie tyle urody, takiej żywej, takiej gorącej, że starczy jej dla nas obojga i conajmniej na dwadzieścia lat jeszcze, do czasu, gdy wszystko się skończy.

Żeby ją porzucić, zapewne, na to musiałem w sobie mieć dużo szaleństwa, i to paskudnego i zimnego rodzaju. Wszelako obroniłem swoją duszę aż do dziś, i gdyby jutro śmierć przyszła po mnie, nie będę, jestem tego pewny, nigdy zupełnie tak samo zimny, brzydki, taki ciężki jak inni, tyle wdzięku i marzenia dała mi w upominku Molly podczas tych kilku miesięcy pobytu w Ameryce.

To nie jest wszystko powrócić z Innego Świata! Zastaje się wątek dni tak jak go się pozostawiło, ciągnie się tutaj, lepki, niepewny. Czeka na nas.

Kręciłem się jeszcze tygodniami i miesiącami koło Placu Clichy, skąd wyruszyłem, i w pobliżu, mając się różnych zajęć, żeby żyć, w okolicy Batignolles. Nie do opowiedzenia! W deszcz i w upale aut, gdy przyszedł czerwiec, w skwarze, co pali gardło i głębie nosa, prawie jak u Forda. Dla rozrywki przyglądałem się ludziom, ciągnącym bez przerwy ku swym teatrom lub do Lasku, wieczorem.

Zawsze mniej więcej sam podczas wolnych godzin, obcowałem z księgami i z gazetami, a również z tem wszystkim, com widział. Podjąwszy nanowo studia, przebrnąłem przez egzaminy z ciężką biedą, pracując wciąż na kawałek chleba. Wiedza jest dobrze strzeżona, powiadam wam, Fakultet, to szafa solidnie zamknięta. Słoików wbród, konfitur mało. Kiedy przecież ukończyłem moje pięć i sześć lat utrapień akademickich, uzyskałem, zasapany, twój tytuł. Wówczas zaczępiłem się o podmiejskie okolice, mój rodzaj, Garenne-Rancy, tam, jak tylko się wyjdzie z Paryża, zaraz za Porte Brancion.

Nie miałem pretensyj, ani ambicyj, jedynie chciałem trochę odetchnąć i trochę lepiej żyć. Przybiłem na drzwiach tabliczkę i czekałem. Mieszkańcy tej dzielnicy przyszli popatrzeć na moją tabliczkę, podejrzliwie. Byli nawet w Komisarjacie Policji zapytać się, czy je-

stem prawdziwym lekarzem. Powiedziano im, że tak. Złożył swój dyplom, to lekarz. Wtedy rozniosło się po Rancy, że osiedlił się jeszcze jeden prawdziwy lekarz. „Nie zarobi na befsztyk! przepowiedziała zaraz moja stróżka. Tu jest już za dużo lekarzy!“ I to było spostrzeżenie słuszne.

Pod miastem życie przybywa rankiem przedewszystkiem tramwajami. Przechodziło ich mnóstwo od świtu, bulwarem Minotaur, natłoczonych kołyszącymi się zahukanymi ludźmi, jadącymi do pracy.

Młodzi wyglądali nawet jakby na zadowolonych, że jadą do pracy. Dopędzali tramwaje, czepiali się stopni, te chłopaki, dokazując. Trzeba to widzieć. Ale jeżeli się zna od dwudziestu lat budkę telefoniczną w traktjerni, naprzykład, tak brudną, że bierze się ją zawsze za ustęp, odchodzi ochota do żartowania z rzeczy poważnych, a z Rancy w szczególności. Człowiek zdaje sobie wówczas sprawę, gdzie się wpakował. Jest we władzy domów, choć tak obsikanych, o płaskich fasadach, ich serce należy do gospodarza. Jego nigdy się nie widzi. Nie śmiałby się pokazać. Posyła swego administratora, drania. Wszelako mówi się między sąsiadami, że gospodarz jest bardzo miły, gdy go się przypadkiem spotka. To do niczego nie obowiązuje.

Niebo w Rancy jest takie same jak w Detroit, sos z dymu, nasycającego równinę od Levallois. Wybierki budynków, trzymane czarnym kałem przy ziemi. Kominy, małe i wysokie, to zdaleka przypomina na brzegu morza duże pale w mule. Wewnątrz tych domów, my.

Trzeba mieć też odwagę krabów, w Rancy, zwłaszcza gdy się wchodzi w lata i jest się pewnym, że już się

stamtąd nie wyjdzie. Na końcu tramwaju oto lepki most, który się rzuca przez Sekwanę, ten wielki ściek, co pokazuje wszystko. Na wybrzeżach, w niedzielę i po nocy ludzie wdrapują się na kupy ziemi, żeby zrobić siusiu. Mężczyzn pobudza do rozmyślań, gdy czują, że stoją przed bieżącą wodą. Odlewają się z poczuciem wieczności, jak marynarze. Kobiety nigdy nie rozmyślają. Jest Sekwana, albo niema.

Rankiem tedy tramwaj zabiera swą ciżbę, żeby się dała ścisnąć w metro. Pomyślałby kto, gdy się widzi jak wszyscy uciekają stąd, że spotkała ich katastrofa w okolicy Argenteuil, że to u nich się pali. Z każdym braskiem to się z nimi dzieje, czepiają się gromami drzwi-czek, przyczepek, gremjalna ucieczka. Szukają przecież chlebobdawcy w Paryżu, tego kto ocala od śmierci głodowej, straszliwie się boją utracić go, tchórze. Jednak dla tej strawy trzeba się pocić. Śmierdzi się potem przez dziesięć lat, dwadzieścia lat i więcej. Nie dają jej darmo.

I pyskują ludzie, ile wlezie, już w tramwaju, żeby sobie rozruszać język. Kobiety są jeszcze bardziej wyszczekane niż smyki. O nieważny bilet gotowe są zatrzymać całą linję, coprawda trafiają się już między pasażerkami podchmielone, zwłaszcza zpośród tych co jadą na targ w Saint-Ouen, pół-mieszczki. „Po czemu marchew?“ pytają, zanim dojechały, żeby pokazać, że mają za co kupić.

Ścisnięci jak śmiecie w żelaznej skrzyni, przejeżdżają przez całe Rancy, cuchnąc zdrowo cały czas, zwłaszcza letnią porą. Przy fortyfikacjach wygrażają sobie, wywierają pysk na siebie ostatni raz, poczem giną sobie i oczu, metro wchłania wszystkich i wszystko, rozlaźle

garnitury, suknie, co nie chcą się pokazywać, jedwabne pończochy, choroby macicy i stopy brudne jak skarpetki, kołnierzyki nie do zdarcia i sztywne jak terminy, poronienia w toku, bohaterowie wojny, wszystko to wlewa się schodami o woni smoły gazowej i karbolu, aż do czarnego końca, z biletem powrotnym, co kosztuje tyle, co dwie bułki.

Powolna trwoga przed zwolnieniem bez parady, zawsze tak bliska spóźniającym się (z lakonicznym świadectwem), gdy pryncypał zechce zmniejszyć koszty produkcji. Wspomnienie „kryzysu“ na naskórku, ostatniego razu bez miejsca, wszystkich „Intransigeants“, które trzeba było czytać dla ogłoszeń, pięć su, pięć su... wyczekiwania na pracę... Pamięć o tych rzeczach dusi jegomościa, choćby był owinięty w swój płaszcz „toutes saisons“.

Miasto ukrywa, o ile może, swe tłumy brudnych nóg w swych długich kanałach elektrycznych. Wynurzą się na powierzchnię dopiero w niedzielę. Wówczas, gdy są na dworze, nie trzeba się pokazywać. Widok ich rozrywek w jedną niedzielę wystarczy, żeby odebrać nazawsze ochotę do zabawy. Koło metra, w pobliżu fortów, unosi się pikantny miejscowy zapach wlokących się wojen, swąd wsi nawpół spalonych, nawpół surowych, nieudanych rewolucyj, zbankrutowanego handlu. Śmieciarze pasa forttecznego palą o każdej porze roku takie same wilgotne kupy w rowach pod wiatr. To są chybieni barbarzyńcy ci śmieciarze, pełni wypitych litrów i zmęczenia. Idą kasłać w ambulatorjum obok, zamiast wywracać na pochyłościach tramwaje i iść naszczać porządnie w akcyzie miejskiej na rogatce. Dość krwi. Żadnych chryj. Gdy wojna powróci, ta przyszła

raz jeszcze zrobią pieniądze, sprzedając skórki szczurów, kokainę i maski z falistej blachy.

Ja znalazłem sobie dla praktyki małe mieszkanie na skraju pasa¹, skąd widziałem dobrze stoki i robotnika, który jest zawsze na nich, na nic nie patrzy, z ramieniem w grubej białej bawelnie, porażony pracą, który nie wie już, co robić i co myśleć, a nie ma tyle, żeby iść pić i napęlić sobie świadomość.

Molly miała zupełną rację, zaczynałem ją rozumieć. Studja zmieniają człowieka, stanowią jego dumę. Trzeba przejść przez nie, żeby wejść wgłąb życia. Przedtem kręcimy się tylko dokoła niego. Uważamy siebie za wyzwolonych, ale potykamy się w głupstwach. Zawiele się marzy. Ślizga się po wszystkich słowach. To nie to. To są tylko intencje, pozory. Czego innego potrzeba człowiekowi zdecydowanemu. Dzięki medycynie, ja, niezbyt zdolny, przecież bardzo się zbliżyłem do ludzi, do zwierząt, do wszystkiego. Teraz należało już tylko iść śmiało w sam środek. Śmierć nam po piętach depce, trzeba się spieszyć i trzeba też jeść podczas szukania i na dokładkę przejść dołem wojny. To razem tworzy moc rzeczy do wykonania. To nie jest łatwe.

Narazie, co do chorych, nie kwapili się zbyt. Potrzeba czasu, żeby ruszyć z miejsca, mówiono mi na uspokojenie. Chory, tymczasem, to byłem przedewszystkiem ja.

Uważałem, że niema chyba nic nędzniejszego nad Garenne-Rancy, kiedy się nie ma pacjentów. Trzeba to sobie powiedzieć. Nie należało myśleć w takich miej-

¹ forttecznego. Paryżanie używają samego słowa „zone“ w znaczeniu wiadomej części peryferji stolicy. *Przyp. tłum.*

scowościach, a tu ja przybyłem właśnie, żeby myśleć w spokoju, i do tego z drugiego końca świata! Dobrzem trafił. Ukarana buta! To spadło na mnie mrocznym brzemieniem... Nie było się z czego śmiać, i to mnie już nie opuściło. Mózg to tyran, jakich się nie spotyka.

Pode mną mieszkał Bezin, handlarz starzyzny, który mi zawsze mówił, gdy zatrzymywałem się przed jego sklepikiem: „Trzeba wybierać, doktorze! Grać na wyścigach albo popić, jedno albo drugie!... Nie można robić wszystkiego!... Ja tam wolę wstawiać! Nie lubię gry...”

Ze wszystkich aperitiwów najlepiej lubił kombinację gencjana-cassis. To jest zwykle niezłe, a potem wino, kwaskowate. Gdy szedł zaopatrzyć się w towar na targ starzyzną, przepadał na trzy dni, był na „wyprawie”, jak on to nazywał. Przyprawiali go do domu. Wtedy prorokował:

— Przyszłość, widzę, jak to będzie wyglądało... To będzie nuda, bez końca... I z kinem między pomiędzy... Dość popatrzeć, już się robi...

Widział nawet jeszcze dalej w danym wypadku: „Widzę też, że już nie będą pili... Ja jestem ostatni, co będzie pił w przyszłości... Trzeba mi się spieszyć... Znam swój nałóg...”

Wszyscy na mojej ulicy kasłali. To zastanawia. Żeby zobaczyć słońce, trzeba iść w górę, conajmniej aż do Sacré-Coeur, z powodu dymów.

Tam jest dobry punkt widzenia; człowiek dobrze zdaje sobie sprawę, że w głębi równiny to myśmy byli i domy, gdzie się mieszkało. Lecz gdy się ich szuka poszczególne, nie można znaleźć, nawet własnego, taki jest brzydki, i podobnie brzydkie wszystko, co widać.

Jeszcze dalej w głębi to wiecznie Sekwana, wielkie pasmo śluzu, ciągnące się zygzakami od mostu do mostu.

Gdy się mieszka w Rancy, człowiek nie zdaje sobie już nawet sprawy, że stał się smutny. Nie ma się ochoty robić coś ważnego i basta. Od oszczędzania na wszystkim, przy każdej okazji, odchodzi chęć do wszystkiego.

Miesiącami pożyczalem pieniądze to tu, to tam. Ludzie z mojej dzielnicy byli tak biedni i tak nieufni, że dopiero jak było ciemno decydowali się mnie wezwać, mnie, niedrogiego przecież lekarza. Biegałem tak szereg nocy, po podwórkach bez księżyca, po te dziesięć franków i piętnaście.

Rankiem ulica stawała się od trzepania dywanów jakby wielkim bębniem.

Tego ranka spotkałem Beberta na chodniku, pilnował łoża swej ciotki, która wyszła na miasto za sprawunkami. Bebert też wzbijał miotłą tuman kurzu z chodnika.

Ktoby nie kurzył w tych stronach, około godziny siódmej, uchodziłby na własnej ulicy za niechluję co się zowie. Wytrzepywanie dywaników z przed łóżka to oznaka porządku, dobrze utrzymywanego mieszkania. To wystarcza. Może śmierdzieć z gęby, po tamtej czynności jest się w porządku co do higieny. Bebert wchłaniał cały ten kurz, który sam podnosił, no i ten, który mu posyłano z pięter. Na bruk spadało trochę płam słonecznych, ale, jak wewnątrz kościoła, białych i złagodzonych, mistycznych.

Bebert zobaczył mnie. Byłem lekarzem z rogu, w tym miejscu, gdzie jest przystanek autobusu. Cera zbyt zielonkawa, jabłko co nigdy nie dojrzeje, Bébert. Drapał

się i gdym patrzył nań, miałem też ochotę się drapać. Bo, prawdę mówiąc, i ja miałem pchły, nabyte podczas nocy przy chorych. Skaczą w palcie chętnie, gdyż to jest najcieplejsze i najwilgotniejsze miejsce, jakie się nastrecza. Tego wszystkiego uczą nas na medycynie.

Bébert porzucił swój dywanik, żeby mi powiedzieć dzieńdobry. Ze wszystkich okien patrzano, że rozmawiamy ze sobą.

Póki trzeba coś kochać, mniej się ryzykuje z dziećmi niż z ludźmi, ma się przynajmniej usprawiedliwienie w nadziei, że gdy dorosną, będą mniejszem ścierwem niż my. Nie wiedziało się.

Na jego sonej twarzy płasał ten nieskończony uśmiešek czystego przywiązania, którego nigdy nie mogłem zapomnieć. Wesołość dla całego świata.

Mało istot ma jeszcze po skończeniu dwudziestu lat trochę tego łatwego przywiązania, jakie mają zwierzęta. Świat nie jest tem, za co go się miało! I koniec! I oto zmienia się gęba! Jakim sposobem! Bośmy się oszukali! Jakim draniem człowiek się staje ni stąd ni zowąd! Oto co nam zostaje na twarzy po skończeniu dwudziestu lat! Pomyłka! Nasza twarz jest tylko pomyłką.

— No! mówi mi Bébert, doktorze! Prawda, że tej nocy znaleźli jednego na Placu Zabaw? Że miał gardło przerżnięte brzytwą? To pan miał dyżur? Prawda?

— Nie, to nie ja miałem dyżur, Bébercie, to nie ja byłem, to był doktor Frolichon.

— Szkoda, bo moja ciocia powiedziała, że bardzoby chciała, żeby to był pan... Że pan by jej wszystko opowiedział...

— To będzie następnym razem, Bébercie.

— Hm, to tutaj często zabijają ludzi? zauważył jeszcze Bébert.

Minąłem jego kurz, ale przejeżdżała akurat tamtędy z warkotem miejska maszyna do zamiatania, i wielki tyfon zerwał się gwałtownie z rynsztoków i wypełnił całą ulicę jeszcze innemi tumanami, gęstszymi, wierzącami w nosie. Nic już nie było widać. Bébert skakał uradowany, kichając i krzycząc. Jego głowa o podbitych oczach, lepkie włosy, nogi wychudłej małpy, wszystko to tańczyło konwulsyjnie na końcu miotły.

Ciotka Beberta wracała z miasta, golnęła już sobie kieliszek, trzeba również powiedzieć, że zalaływało trochę od niej eterem, przyzwyczajenie nabyte gdy służyła u jednego lekarza i tak ją bolały zęby mądrości. Zostały jej tylko dwa zęby na przodzie, lecz nie omieszkała nigdy czyścić ich szczoteczką. „Jak się służyło, jak ja, u lekarza, wie się, co to jest higjena“. Udzielała porad lekarskich w sąsiedztwie a nawet dość daleko, aż koło Bezons.

Interesowało mnie, czy ciotka Beberta myśli kiedy o czem. Nie, nie myślała o niczem. Gadała niesłychanie dużo, nigdy nie myśląc. Gdy byliśmy sami, bez niedyskretnego otoczenia, ona zkolei nabierała mnie na poradę. To było do pewnego stopnia pochlebne.

— Bebert, doktorze, muszę to panu powiedzieć, bo pan jest lekarzem, to jest mały świńtuch!... On siebie „dotyka“! Zauważyłam to od dwóch miesięcy i zastanawiam się, kto też mógł go nauczyć tego świństwa?... A przecież ja go dobrze wychowałam! Zabraniam mu... Ale on znowu...

— Niech pani mu powie, że zwarjuje, poradziłem, klasycznie.

Bebert, który nas słyszał, nie był kontent.

— Nie dotykam się, to nieprawda, to ten Gagat chciał, żebym...

— No tak, domyślałam się tego, rzekła ciotka, w rodzinie Gagatów, wie pan, tych z piątego?... To wszystko zepsute. Dziadek, zdaje się latał za poskromicielkami z cyrku. No, proszę ja pana, poskromicielki?... Niech mi pan powie; doktorze, póki tu jesteśmy, czy nie mógłby pan dać jakiegoś ulepku, żeby on się nie dotykał...

Poszedłem za nią do łóża, żeby zapisać ulepek przeciwnałogowy dla chłopca Beberta. Byłem bardzo uczynny dla wszystkich i czułem to dobrze. Nikt mi nie płacił. Dawałem porady zadarmo, przedewszystkiem z ciekawości. To nie ma sensu. Ludzie mszczą się za przysługi, które im się oddaje. Ciotka Beberta korzystała narówni z innymi z mej dumnej bezinteresowności. Nawet paskudnie jej nadużywała. Pozwalałem się nabierać, okłamywać. Szedłem im na rękę. Trzymali mnie w garści z każdym dniem bardziej moi pacjenci, udawali płacz, wodzili mnie za nos. Jednocześnie pokazywali mi od brzydoty do brzydoty, wszystko co kryli w sklepiku swej duszy i pokazywali tylko mnie. Nigdy się nie zapłaci zbyt drogo za te ohydy. Tylko że przewijają się między palcami jak oślizgłe żmije.

Kiedyś powiem wszystko, jeśli będę mógł żyć dość długo, żeby wszystko opowiedzieć.

„Bacność, plugawcy! Pozwólcie mi być uprzejmym dla was jeszcze kilka lat. Nie zabijajcie mnie jeszcze. Oby tylko mieć minę służalczą i bezbroną, a powiem

wszystko. Zapewniam was, i wówczas zegniecie się od razu we dwoje, jak toczące ślinę gąsienice, co przychodziły w Afryce paskudzić w mojej chacie, i ukażą was jeszcze przenikliwiej podłymi i jeszcze ohydniejszymi, tak aż może zdechniecie od tego, nareszcie“.

— Czy ocukrzony? — pytał Bebert o ulepek.

— Niech pan mu tylko nie cukrzy, zalecała ciotka. Temu gałganowi... On nie zasługuje, żeby to było ocukrzone, a przytem on mi i bez tego kradnie dosyć cukru! On jest zupełnie zepsuty, do wszystkiego zdolny! On kiedyś zamorduje matkę!

— Ja nie mam matki, odciął się ostro Bebert, nie tracąc głowy.

— Zasaraniec jeden! rzuciła wówczas ciotka. Lanie ci spuszcze, jeśli się będziesz odszczekiwał! I zdjęła z gwoździa dyscyplinę, ale on, hyc, już był na ulicy. „Pijaczka!“ krzyknął jej na cały korytarz. Ciotka poczerwieniała i wróciła do mnie. Milczenie. Zmieniamy temat rozmowy.

— Powinienby może doktor zajść do tej pani z antresoli pod czwartym na ulicy Nieletnich. Jej mąż to dawny kancelista u notariusza, mówiono mu o panu. ...Powiedziałam mu, że pan jest lekarzem najprzyjemniejszym dla chorych.

Wiem odrazu, że ciotka okłamuje mnie. Lekarzem, którego najbardziej lubi, jest Frolichon. Poleca go zawsze gdy tylko może, mnie, przeciwnie, obgaduje przy każdej sposobności. Mój humanitaryzm wzbudza w niej zwierzęcą nienawiść do mnie. To jest zwierzę, nie trzeba o tem zapominać. Tylko że Frolichon, którego uwielbia, każe jej sobie płacić gotówką, toteż do mnie się zwraca o poradę, naprędce. Skoro więc mnie polecała,

to musi w tem być jakiś kawał, zupełnie nieuzasadniony, albo też jakaś bardzo ciemna sprawa. Odchodząc, myślę jednak o Bebercie.

— Trzeba go wyprowadzać, powiadam do niej, to dziecko zamało wychodzi...

— Gdzież mamy wychodzić razem? Nie mogę odejść daleko z moją lożą...

— Niech pani idzie przynajmniej do parku, w niedzielę...

— Ależ tam, w parku, jeszcze więcej ludzi i kurzu niż tutaj... Jeden drugiemu po piętach depce. Jej uwaga jest trafna. Szukam w myśli, jakieby inne miejsce jej poradzić.

Nieśmiało, proponuję cmentarz.

Cmentarz w Garenne-Rancy to jedyna trochę większa przestrzeń zadrzewiona w okolicy.

— A prawda, nie pomyślałam o tem, tam naturalnie możnaby pójść.

Bebert akurat wracał.

— A ty, Bebert, chciałbyś iść na spacer na cmentarz? Muszę go się zapytać, doktorze, bo do spacerów to on też ma kielbie we łbie, muszę pana uprzedzić!...

Bebert właśnie nie ma o tem zdania. Ale pomysł podoba się ciotce i to wystarcza. Ciotka ma słabość do cmentarzy, jak wszyscy Paryżanie. Moznaby pomyśleć z tej racji, że nareszcie zaczną myśleć. Bada za i przeciw. Fortyfikacje, za dużo łobuzów... W parku stanowczo za dużo kurzu... Tymczasem cmentarz, racja, to niezłe... I przytem ludzie, co tam przychodzą w niedzielę to ludzie jak się patrzy, zachowują się przyzwoicie... No i jeszcze to, że z powrotem można porobić sprawun-

ki, wracając bulwarem Wolności, gdzie są jeszcze sklepy otwarte w niedzielę.

W konkluzji odezwała się: „Bebert, idź zaprowadź pana doktora do pani Henrouille, ulica Nieletnich... Wiesz przecie, gdzie mieszka, co, Bebert, pani Henrouille?“

Bebert wie wszystko, gdzie co jest, byle tylko to była okazja do wagarów.

Między ulicą Brzuchatą a Placem Lenina są już tylko nieruchomości z mieszkaniami do wynajęcia. Przedsiębiorcy zajęli prawie wszystko, co tam było jeszcze z wsi, les Garennes, jak ją nazywano. Pozostał raptem kawałek na końcu, trochę wygonów, za ostatnią latarnią gazową.

Wciśniętych między gmachy, murszało tam kilka domków, opierających się jeszcze „rozbudowie“, cztery pokoje z dużym piecem w korytarzu na dole; mało się tam pali, to prawda, z racji oszczędności. Piec dymi w wilgoci. To są domki rentjerów, te co pozostają. Jak tylko się tam wejdzie, kaszle się z powodu dymu. To nie zamożni rentjerzy tam pozostali, przeważnie tacy Henrouille'e, do których mnie posyłano. Lecz bądź co bądź byli to ludzie, którzy coś małego mieli na własność.

Gdy się wchodziło, czuć było u Henrouille'ów, poza dymem, klozetem i jedzeniem. Ich domek został właśnie spleacony. To dla nich przedstawiało jakieś pięćdziesiąt lat oszczędzania. Jak tylko się do nich weszło i ich zobaczyło, człowiek zadawał sobie pytanie, co takiego mają oni w sobie oboje, co uderzało. Otóż, Henrouille'owie to mieli nienaturalnego w sobie, że przez pięćdziesiąt lat nie wydali ani grosza oboje, żeby go nie żałować. Duszą i ciałem posiadli swój dom, niczem ślimak. Ale ślimak czyni to nieświadomie.

Henrouille'owie nie mogli się wydziwić, że przeszli przez życie wyłącznie żeby mieli dom, i niby ludzie, których dopiero co odmurowano, byli tem zdumieni.

Głupią muszą mieć minę ludzie, gdy ich wyciągną z lochu.

Henrouille'owie zanim się pobrali, już myśleli o tem, żeby sobie kupić domek. Naprzód każde z osobna myślało, a potem myśleli razem. Wyrzekli się myślenia o czemkolwiek innym przez pół wieku, a kiedy życie zmusiło ich do myślenia o czem innym, o wojnie na przykład, a zwłaszcza o ich synu, odchorowali to.

Gdy wprowadzili się do swego domku, jako młodzi małżonkowie, każde już z dziesięciu latami oszczędności, nie był on jeszcze zupełnie wykończony. Domek leżał jeszcze w szczerem polu. Żeby dojść tam, zimą, trzeba było brać saboty, zostawiało się je u owocarza na rogu ulicy Buntu, jadąc rankiem do pracy, o szóstej, ze stacji tramwaju konnego do Paryża, trzy kilometry stamtąd za dwa su.

Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby całe życie spędzić takim trybem. Ich podobizny wisały nad łóżkiem, na piętze, fotografie zrobione w dzień ślubu. Ich sypialnia była też zapłacona, znaczy meble, nawet oddawna. Wszystkie zapłacone rachunki od dziesięciu, dwudziestu, czterdziestu lat są zresztą spięte razem, w górnej szufladzie komody, a książka rachunkowa kompletnie à jour jest nadole, w jadalni, gdzie się nigdy nie jada. Henrouille wam to wszystko pokaże, jeśli chcecie. W sobotę robi bilans rachunków domowych w jadalni. Oni jadali zawsze w kuchni.

Dowiedziałem się tego wszystkiego, stopniowo, od nich a potem od innych, a wreszcie od ciotki Beberta. Gdy ich lepiej poznałem, sami mi opowiedzieli o swej wielkiej trwodze, trwodze całego życia, żeby ich jedyny syn, pracujący w handlu, nie wpadł na swoich in-

teresach. Przez trzydzieści lat budziło ich to prawie co noc, troszkę lub bardzo, ta paskudna myśl. Ten chłopiec pracuje w piórach! Proszę pomyśleć, mało to było kryzysów w piórach w ciągu trzydziestu lat! Niema bodaj gorszej branży jak ptasie pióra, bardziej niepewnej.

Bywają interesy tak złe, że nie myśli się nawet o pożyczaniu pieniędzy, żeby je podźwignąć, ale są i takie, gdzie mniej więcej zawsze jest mowa o pożyczkach. Gdy oni myśleli o takiej pożyczce, nawet jeszcze teraz, kiedy dom jest spłacony i wszystko, Henrouille'owie wstawali z krzeseł i patrzyli na siebie czerwieniąc się. Co oniby zrobili w takim wypadku? Odmówiliby.

Postanowili nastąpić odmawiać udzielenia jakiegokolwiek pożyczki... Z zasady, by synowi swemu zachować uciulany grosz, schedę i dom, Ojcowiznę. Tak oni rozumowali. Zapewne, ich syn to poważny człowiek, ale w interesach można dać się wciągnąć...

Zapytany, byłem tego samego zdania co oni:

Moja matka też trudniła się handlem; to nam zawsze przynosiło tylko nędzę, ten jej handel, trochę chleba i dużo przykrości. Więc ja też nie lubiłem interesów. Obawę więc o tego syna, niebezpieczeństwo pożyczki, którą ostatecznie mógł być mieć na uwadze w razie groźnych terminów płatności, rozumiałem to z miejsca. Nie trzeba mi było tłumaczyć. On, stary Henrouille był kancelistą u notariusza na bulwarze Sewastopola przez pięćdziesiąt lat. Toteż znał on historie roztrwonionych fortun. Opowiadał mi nawet sławne historie. Przedewszystkiem swego rodzzonego ojca, właśnie z powodu bankructwa swego ojca Henrouille nie mógł się poświęcić zawodowi nauczycielskiemu, po maturze, i mu-

siał zaraz objąć posadę pisarka. O takich rzeczach się pamięta.

Wreszcie, po spłaceniu domku, posiadaniu go bez grosza długu, nie potrzebowali się już oboje kłopotać o zabezpieczenie sobie starości! Było to w sześćdziesiątym szóstym roku ich życia.

I oto właśnie zaczęło się u niego dziwne niedomaganie, lub, ściślej biorąc, już dawno odczuwał je, ale nie myślał o niem z powodu spłat domu. Gdy ta sprawa została uregulowana, podpisana ostatecznie i uprawniona, zaczął myśleć o swej ciekawej dolegliwości. Chwytały go jakby zawroty głowy, a potem niby gwizdy parowe w każdym uchu.

W tym to czasie również zaczął kupować dziennik, ponieważ odtąd można było na to sobie pozwolić! W dzienniku było właśnie napisane i opisane to co Henrouille czuł w uszach. Kupił wówczas lekarstwo, które polecano w ogłoszeniu, lecz to nic nie zmieniło w jego dolegliwości, przeciwnie, jakgdyby mu jeszcze więcej gwizdało w uszach. Może więcej tylko dlatego, że o tem myślał? Bądź co bądź poszli oboje poradzić się lekarza w Ambulatorjum. „To jest ucisk tętnicowy“ powiedział im.

To słowo ich uderzyło. Ale w gruncie rzeczy ta obsesja zjawiała mu się w samą porę. Tyle sobie krwi napisał przez tyle lat z powodu domu i weksli syna, że utworzyła się jakby przerwa w wątku niepokojów, które trzymały mu całe ciało od czterdziestu lat przykute do terminów płatności w ustawicznym trwożnym podnieceniu. Teraz, kiedy lekarz mu powiedział o jego ucisku tętnicowym, słuchał jego napięcia w głębi ucha, przyłożonego do poduszki. Wstawiał nawet, żeby poma-

cać puls i potem stał nieruchomy przy łóżku, w ciemnościach, żeby czuć, jak mu ciało podrywa się słabymi wstrząsami, za każdym uderzeniem serca. To jest jego śmierć, mówił sobie, to wszystko, zawsze miał strach przed życiem, teraz przyczepiał swój strach do czegoś, do śmierci, do jej napięcia, jak przez czterdzieści lat przyczepiał go do ryzyka, że nie zdoła spłacić zupełnie swego domu.

Był zawsze nieszczęśliwy, jednakowo, ale przecież musiał spieszyć się znaleźć nową słuszną rację, żeby być nieszczęśliwym. To nie jest tak łatwo jak się wydaje. Nie dość powiedzieć sobie „Jestem nieszczęśliwy“. Trzeba sobie tego dowieść, przekonać siebie bezapelacyjnie. Tego tylko pragnął: Móc dać lękowi, jaki czuł, dobry motyw, solidny i ważny. Miał ciśnienie 22 według lekarza. To jest coś 22. Lekarz nauczył go wyszukania drogi do jego śmierci.

Sławetnego syna od piór nie widywało się prawie nigdy. Raz czy dwa razy koło Nowego Roku. To było wszystko. Teraz zresztą mógł swobodnie przyjeżdżać tutaj handlarz piór! Nie było już nic do pożyczania u papy i mamy. Otóż syn prawie wcale się nie pokazywał.

Poznanie pani Henrouille zajęło mi więcej czasu; ona nie cierpiała na żaden niepokój, nawet na lęk przed śmiercią, której sobie nie wyobrażała. Skarżyła się tylko na wiek, ale nie myśląc o tem naprawdę, ot, bo tak robią wszyscy, no i na to, że życie „drożeje“. Ich wielki trud został dokonany. Dom spłacony. Żeby skończyć prędzej z weksłami, z ostatnimi, wzięła się nawet do przyszywania guzików do kamizelek, dla jednego z wielkich magazynów. „Co trzeba się tego naszyć za

pięć franków, to pojęcie przechodzi!“ Na drugim miejscu były zawsze historie o odstawianiu roboty autobusem, pewnego wieczoru nawet ją poturbowali. To była cudzoziemka, pierwsza cudzoziemka, jedyna w życiu, do której się odezwała, żeby ją zwymyślać.

Mury domku trzymały się jeszcze sucho dawniej, gdy dokoła był przewiew, ale teraz, gdy go opasały wysokie domy dochodowe, była u nich wszędzie wilgoć, nawet firanki miały plamy pleśni.

Po nabyciu domu pani Henrouille przez cały miesiąc następny jawiła się uśmiechnięta, doskonała, zachwycona, niczem zakonnica po przyjęciu komunji. To nawet ona zaproponowała Henrouille'owi: „Wiesz co, Julianie, od dzisiaj będziemy sobie kupowali codziennie gazetę, można już...“ Tak. Pomyślała o nim, popatrzała na męża, a potem rozejrzała się dokoła siebie i wreszcie pomyślała o jego matce, o świercze Henrouille. I córka stała się znów poważna, odrazu, taka jaka była zanim ukończono spłaty. Tak oto wszystko się zaczęło nanowo z tą myślą, bo trzeba było jeszcze robić oszczędności z powodu matki męża, tej staruchy, o której małżonkowie rzadko mówili ze sobą, a już nikomu poza domem.

W głębi ogrodu była ona, w ogrodzonym kącie gdzie gromadziły się stare miotły, stare klatki od kur i wszystkie cienie sąsiednich budowli. Mieszkała w niskim budyneczku, skąd nigdy prawie nie wychodziła. Zresztą, były z nią historie bez końca przy samem tylko podawaniu jej jedzenia. Nie chciała do swojej nory wpuścić nikogo, nawet syna. Mówiła, że boi się, żeby jej nie zamordowali.

Kiedy synowej przyszło do głowy zacząć robić nowe oszczędności, bąknęła o tem najpierw parę słów mężowi, żeby go wymacać, żeby zobaczyć, czyby tak nie można, na przykład, umieścić starą u sióstr Św. Wincentego, opiekujących się właśnie takimi zniezdolnionymi staruchami w swem schronisku. Syn nie odpowiedział ani tak, ani nie. Inna sprawa zajmowała go wówczas, jego hałasy w uchu, które nie ustawały. Myśląc wciąż o nich, słuchając ich, wmówił w siebie, że te wstrętne hałasy nie dadzą mu spać. I istotnie, zamiast spać, słuchał ich, tych gwizdów, bębnień, mruczeń... To była nowa katusza. Zajmował się tem cały dzień i całą noc. Miał wszystkie hałasy w sobie.

Mimo wszystko, stopniowo, po kilku takich miesiącach udreka się wyczerpała i nie pozostało mu już jej dosyć, żeby się tylko nią zajmować. Wrócił więc z żoną do kwestji targu w Saint-Ouen. Był to, jak mówiono, najbardziej oszczędnościowy w okolicy, targ w Saint-Ouen. Wyjeżdżali zrana na cały dzień, z powodu obrachunków i uwag, jakie wymieniano co do cen produktów i oszczędności, które być może dałoby się zrobić, kupując to zamiast tamtego... Koło jedenastej wieczór, u siebie, zdejmował ich strach, że mogą być zamordowani. Ten strach powtarzał się regularnie. Mniej on się bał niż jego żona. On raczej, o tej godzinie, kiedy na ulicy było zupełnie cicho, zaczynał czepiać się rozpaczliwie swych hałasów w uszach. „Z tem to ja nigdy spać nie będę!” powtarzał sobie nagłos, żeby spotęgować swą udrekę. „Ty nie możesz sobie tego wyobrazić!”

Ale ona nie próbowała nigdy zrozumieć, co on chce powiedzieć, ani sobie wyobrazić, co mu dokuczało

w tych usznych dolegliwościach. „Przecież mnie dobrze słyszysz?” pytała.

— Tak, odpowiadał.

— No więc wszystko w porządku!... Lepiejbyś zrobił, gdybyś pomyślał o twojej matce, która nas tak drogo kosztuje, i o tem, że życie z każdym dniem drożeje... I że jej mieszkanie stało się istnym chlewem!...

Posługaczka przychodziła do nich na trzy godziny tygodniowo do prania, to były jedyne odwiedziny, jakie mieli w ciągu wielu lat. Pomagała ona również pani Henrouille przesłać łóżko i, żeby posługaczka rozgłaszała to w dzielnicy, ile razy odwracały razem od dziecięciu lat materac, pani Henrouille obwieszczała jak tylko mogła najgłośniej: „Nie trzymamy nigdy pieniędzy w domu!” Tytułem wskazówki i środka ostrożności, by odstręczyć złodziei i ewentualnych morderców.

Przed pójściem razem do swego pokoju na piętrze, bardzo starannie zamykali wszystkie wejścia, przyczem kontrolowali się wzajemnie. Poczem szli rzucić okiem do świekry, w głębi ogrodu, żeby zobaczyć, czy lampa wciąż się pali. To był znak, że jeszcze żyje. Ile ona nafty wypalała! Nigdy nie gasiła swej lampy. Ona też się bała morderców a jednocześnie bała się swych dzieci. Od dwudziestu lat, jak tam żyła, nigdy nie otworzyła okien, ani zimą, ani latem, i nigdy też nie zgasiła lampy.

Syn trzymał u siebie pieniądze matki, małą rentę. Wziął na siebie tę troskę. Stawiano jej jedzenie pod drzwiami. Zatrzymywano jej pieniądze. Tak było dobrze. Ale ona skarżyła się na te porządki, i nietylko na te, skarżyła się na wszystko. Przez drzwi wymyślała każdemu, co się zbliżył do jej nory. „To nie moja wina,

że się starzejesz, babko, próbowała parlamentować synowa. Masz swoje dolegliwości, jak wszystkie osoby wiekowe...

— Samaś wiekowa! Szelma jedna! Flądra! Przez was zdechnę, przez wasze łgarstwa.

Stara Henrouille'owa z wściekłością zapierała się wieku. ...Miotła się, nieprzejednana, poprzez swe drzwi przeciw plagom całego świata. Odrzucała jako bezczelne szalbierstwo styczność z życiem zewnętrznym, z jego fatalnościami i poddaniem się losowi. Nie chciała nic słyszeć o tem wszystkim. „To są oszukaństwa! wrzeszczała. I to wyście sami je wymyślili!”

Przeciw wszystkiemu, co się działo poza jej rudera, broniła się zaciekle i przeciw wszelkim próbom zbliżenia i zgody również. Była pewna, że jeżeli otworzy drzwi, wrogie siły wtargną do niej, pochwycą ją i zakatrupią.

— Dzisiejsze ludzie, to są cwaniaki! krzyczała. Mają oczy wszędzie na całej głowie, i pyski aż do tyłka i jeszcze inne wszędzie i poto tylko, żeby łągać... Takie są...

Mowę miała soczystą, jak się nauczyła mówić w Paryżu na targu Temple, we wczesnej młodości, jako córka tandeciarki, przy matce... Pochodziła z tych czasów, kiedy lud miejski nie nauczył się jeszcze ceckać się ze swoją starością.

— Chcę pracować, jeśli ty nie chcesz dać mi moich pieniędzy! krzyczała synowej. Słyszysz mnie, łajdaczko? Chcę pracować!

— Ależ, nie możesz już, babko!

— Co! nie mogę? Spróbuj tylko wejść do mojej dziury zobaczyć! Ja ci jucho pokażę, czy już nie mogę!

I raz jeszcze pozostawiano ją w jej norze, gdzie chroniła się przed światem. Jednakże chcieli oni za wszelką cenę pokazać mi starkę, poto byłem sprowadzony, żeby nas przyjęła, to był ich kapitalny fortel. Ja, prawdę mówiąc, nie rozumiałem dobrze, czego ode mnie chcieli.

To stróżka, ciotka Beberta, powtarzała im, że jestem lekarzem bardzo wyrozumiałym, miłym, uczynnym... Oni chcieli wiedzieć, czy nie mógłbym uspokoić starej jakimiś lekarstwami. Lecz jeszcze bardziej pragnęli, w duszy (zwłaszcza ona, synowa), żebym ją zamknął, raz na zawsze... Po półgodzinnem dobijaniu się do jej drzwi otworzyła wreszcie raptownie, i miałem ją teraz przed sobą, z oczyma o różowych opuchniętych obwódkach. Ale jej wzrok biegał mimo to żwawo ponad jej policzkami, oklapniętymi i brunatnymi, wzrok co przykuwał uwagę i kazał zapominać o reszcie, dzięki pewnej przyjemności, jaką mimowoli sprawiał, że chciało go się potem zatrzymać w sobie instynktowo, z racji jego młodości.

Ten żwawy wzrok ożywiał wszystko dokoła, w półmroku, młodziutką radością, o werwie minimalnej ale czystej, jaką my już nie rozporządzamy, jej głos złamany, gdy się darła, lekko wyrzucał słowa, gdy chciała mówić jak wszyscy, i wtedy zdania i sentencje skakały, harcowały i żywe, podrywały się znowu zabawnie, jak to ludzie mogli wyczyniać ze swoim głosem i tem co ich otaczało w owych jeszcze czasach, kiedy nie potrafić opowiedzieć i śpiewać naprzemian, z ręcznie, uchodziło za objaw głupoty, za coś przynoszącego wstyd i chorobliwego.

Wiek pokrył ją, niby drżące sędziwe drzewo, żywymi gałązkami.

Wesoła była stara Henrouille'owa, niezadowolona, brudna, ale wesoła. Ten niedostatek, w jakim przebywała od dwudziestu zgorą lat, nie odcisnął zgoła piętna na jej duszy. Przeciwnie, była wrogo zwarta w sobie przeciw zewnętrznemu światu, jakgdyby chłód, wszystkie okropności i śmierć miały przyjść do niej tylko stamtąd, nie zwewnątrz. Zwewnątrz zdawała się nie obawiać niczego, widać, była zupełnie pewna swej głowy, jako czegoś niezaprzecznego, wiadomego, raz na zawsze.

A ja, co tak się ugańiałem za swoją głową i do tego po całym świecie!

„Warjatka“ mówiono o niej, o starej, łatwo powiedzieć „warjatka“. Nie wyszła z tej nory więcej jak trzy razy przez dwanaście lat, to wszystko! Miała być może swoje racje po temu... Nie chciała nic stracić... Ona nam nie powie, że życie już nie wzbudza w niej zainteresowania.

Jej córka powracała do swego projektu internowania. „Czy pan nie sądzi, doktorze, że ona jest obłąkana?... Niema sposobu skłonić ją, żeby wyszła z mieszkania!... A przecież toby jej dobrze zrobiło od czasu do czasu!... Ależ tak, babko, toby ci dobrze zrobiło!... Nie zaprzeczaj... Tobo ci dobrze zrobiło!... Zapewniam cię“. Stara potrząsała głową, zamknięta w sobie, zacięta, gdy ją w ten sposób zapraszano...

— Ona nie chce, żeby się nią zajmować... Woli robić po kątach... Zimno jest u niej, a nie pali się... To przecie jest niemożliwe, żeby ona tak żyła.... Nieprawda, doktorze, że to jest niemożliwe?...

Robiłem takiego co nie rozumie. Henrouille został

u siebie przy piecu, wolał nie wiedzieć dokładnie, co się knuje między jego żoną, jego matką i mną.

Stara wpadła wówczas w gniew.

— Oddajcie mi wszystko co posiadam, to pójdę sobie stąd!... Ja mam z czego żyć!... I nie usłyszycie już o mnie więcej.... Raz na zawsze będzie koniec!...

— Masz z czego żyć? Ależ babko, nie będziesz żyła przecie za te trzy tysiące franków rocznie!... Życie zdrożało, odkąd wychodziłaś ostatni raz! Nieprawdaż, doktorze, że lepiejby było, gdyby się umieściła u Sióstr, jak jej się mówi... Że Siostry zaopiekują się nią do brze... Siostry są miłe...

Lecz ta perspektywa Sióstr przejmowała ją odrazą.

— Do Sióstr?... Do Sióstr?... zaraz postawiła się hardo. Nigdy nie była u Sióstr!... Dlaczego nie miałabym iść do proboszcza, a wy tam!... Co?... Jeżeli nie mam dość pieniędzy, jak powiadacie, no to pójdę jeszcze pracować!...

— Pracować? Babko? Gdzie? Ach, doktorze, słyszy pan, co za myśl: pracować! W jej wieku! Osiemdziesiąt lat bezmała! To jest obłęd, doktorze! Kto ją będzie chciał! Ależ, babko, ty jesteś warjatka!

— Warjatka! Ja! Gdzie!... To wy jesteście warjaci!... Sobacze nasienie!...

— Doktor słyszy, bredzi teraz i znieważa mnie! Jakże mamy ją tu trzymać?

Stara zwróciła się wtedy wprost do mnie, w stronę nowego niebezpieczeństwa.

— Co ten tu wie, czy ja jestem warjatka? Czy on siedzi w mojej głowie? Czy w twojej? Trzeba żeby tam

był, żeby wiedział!... Jazda więc na zbity łeb, oboje!... Won stąd!... Żeby mnie dręczyć, gorsi jesteście od zimy przez sześć miesięcy!... Idź pan lepiej do mego syna, zamiast tu gadać za pieniądze! On bardziej potrzebuje lekarza niż ja, mój syn! On już nie ma zębów, a miał takie piękne, jak ja się nim zajmowałam!... Idźcie sobie, idźcie, powiadam, precz mi stąd oboje! — I zatrzasnęła nam drzwi przed nosem.

Sledziła nas jeszcze z poza swej lampy, jakeśmy wracali przez podwórko. Gdyśmy je przeszli i byliśmy dość daleko, zaczęła się śmiać. Dobrze się obroniła.

Po powrocie z tej nieprzyjemnej wycieczki zastaliśmy Henrouille'a jeszcze przy piecu. Obrócił się do nas tyłem. Jego żona w dalszym ciągu męczyła mnie pytaniami i jeszcze w tym samym duchu... Synowa miała małą głowę, ciemną i przebiegłą. Łokcie prawie jej się nie oddzielały od ciała, gdy mówiła. Nie miała żadnej mimiki. Zależało jej jednak na tem, żeby ta wizyta lekarska nie była napróżno, żeby mogła zdać się na coś... Koszty utrzymania rosły bez przerwy... Emerytura świekry już nie wystarczała... Oni też starzeli się ostatecznie... Nie mogą jak dawniej bać się ustawicznie, że stara bez opieki umrze... Że zaproszy ogień naprzykład... W swe pchły i śmiecie... Zamiast iść do przyzwoitego schroniska, gdzieby miała troskliwą opiekę...

Ponieważ przybrałem minę, jakgdybym podzielał ich zdanie, zrobili się oboje jeszcze uprzejmiejsi dla mnie... obiecali wychwalać mnie w dzielnicy. Jeżeli zechcą im pomóc... Zlitować się nad nimi... Uwolnić ich od staruchy... Ona też jest taka nieszczęśliwa w warunkach, w jakich upierała się żyć...

— I możnaby nawet wynająć jej domek, podsunął mąż, raptem obudzony... Popełnił gaffę, mówiąc o tem przy mnie. Żona nadeptała mu nogę pod stołem. Nie rozumiał dlaczego.

Gdy oni się kłócili, wyobrażałem sobie banknot tysiącfrankowy, który mógłbym zainkasować za samo wystawienie im świadectwa internowania starej. Wiadać było, że im niezmiernie na tem zależy... Ciotka Berta niewątpliwie wtajemniczyła ich co do mej osoby i opowiedziała im, że w całym Rancy niema wśród lekarzy takiego golca jak ja... Że można będzie ze mną wszystko zrobić... To nie Frolichon, któremu nie możnaby uczynić tego rodzaju propozycji! Tamten to był człowiek porządny!

Takie refleksje kłębiły się we mnie, gdy raptem stara wtargnęła do pokoju, gdzie knuliśmy spisek. Można by rzec, domyśliła się. Co za niespodzianka! Zgarnęła łachmany kiecki do brzucha i jak nie zacnie nam wymyślać podkasana, ryczałem, a mnie w szczególności! Poto tylko przyszła z głębi podwórka.

— Szuj! lżyła mnie wprost, możesz iść precz! Won na zbity łeb, powiedziałam ci już raz!... Nie masz tu poco siedzieć... Ja nie pójdę do czubków!... Ani do sióstr, żebyś wiedział!... Możesz robić, co chcesz i strzępić sobie pysk po próżnicy!... Nie złapiesz mnie, Judaszu!... To oni pójdą przede mną, dranie, grabieżcy starej kobiety!... I ty też, kanaljo, pójdziesz do kryminału, jak mnie tu widzisz, i to rychło!

Stanowczo, miałem pecha. Jeden jedyny raz można było zarobić tysiąc franków za jednym zamachem! Nie czekałem na resztę.

Byłem już na ulicy, gdy wychyliła się jeszcze z ganczku poto tylko, żeby wymyślać mi zdaleka, w mrok, gdzie się skrył. „Kanalja!... Kanalja!“ darła się. To się rozlegało. Biegłem klusa od jednej latarni do drugiej, aż do szczalnika na placu Zabaw. Pierwszy schron.

W budyneczku, z którego widać nogi, zastałem akurat Beberta. On też tam wszedł, żeby się schować. Widział mnie, jak biegłem, wyszedłszy od Henrouille'ów. „Pan od nich? — zapytał. Musi pan teraz iść do tych na piątku w naszym domu, do ich córki“... Tę pacjentkę, którą mi wskazywał, znałem dobrze, miała taką szeroką miednicę... Jej piękne uda, długie i aksamitne... To coś miękko stanowczego i wdzięcznego w ruchach, co uzupełnia kobiety, dobrze rozwinięte płciowo. Przychodziła do mnie radzić się nieraz, odkąd miała te dolegliwości brzucha. W dwudziestym piątym roku życia, przy swem trzecim poronieniu, cierpiała na komplikacje, a rodzina nazywała to anemią.

Trzeba było widzieć, jak solidnie była zbudowana, z zamiłowaniem do spółkowania, jak mało która samica. Dyskretna w życiu, rozsądna w sposobie bycia i w wyrażaniu się. Nic z histeryczki. Zdolna, dobrze odżywiana, zrównowazona, prawdziwa szampionka w swoim rodzaju i basta. Piękna atletka rozkoszy. Nic w tem złego. Zadawała się tylko z żonatymi. I tylko wśród znajomych mężczyzn, którzy potrafią poznać się i ocenić piękne naturalne wyniki i nie polecą na bylejaką małą rozpustnicę. Nie, jej matowa skóra, miły uśmiech, chód i szlachetnie ruchliwa rozłożystość bioder wywoływały zachwyty głębokie, zasłużone ze strony pewnych szefów biurowych, którzy znali przedmiot tych zachwyty.

Tylko, oczywista rzecz, nie mogli jednak dlatego roz-

wodzić się, szefowie biurowi. Przeciwnie, to była podstawa dobrego pożycia małżeńskiego. Toteż za każdym razem, w trzecim miesiącu ciąży, co jej się przytrafiało, szła do akuszerki. Jak się ma temperament, a nie ma się pod ręką rogacza, nie codziennie kobiecie życie się uśmiecha.

Jej matka uchyliła przede mną drzwi ze schodów, ostrożnie, jak przed złoczyńcą. Matka szeptała, ale tak głośno, z takim natężeniem, że to było gorsze od złorzeczeń.

— Com ja zawiniła przed Bogiem, doktorze, żeby mieć taką córkę! Ach, pan przynajmniej nic o tem nikomu nie powie w naszej dzielnicy, doktorze!... Liczę na pana! — Bez końca roztrząsała swój strach i płókała sobie gardło tem, co mogą sobie pomyśleć sąsiedzi i sąsiadki. Była w transie zatrwożonej głupoty. Takie stany trwają długo.

Dała mi czas oswoić się z półmrokiem korytarza, z zapachem porów na zupe, z tapetami, z ich głupim deseniem, z jej głosem człowieka, którego duszą. Wreszcie, przez bełkoty i okrzyki dotarliśmy do łóżka córki, wyczerpanej chorej, pozostawionej na los szczęścia. Chciałem ją zbadać, ale traciła tyle krwi, to była taka lepka masa, że nie można było widzieć jej pochwy. Skrzepy krwi. Bulgotało to jej między nogami, jak w ściętej szyi pułkownika na wojnie. Założyłem duży tampon i poprostu przykryłem ją z powrotem kołdrą.

Matka na nic nie patrzyła, słyszała tylko samą siebie. „Umrę od tego, doktorze! zawodziła. Umrę ze wstydu!“ Nie próbowałem wcale odwozić jej od tego. Nie wiedziałem, co począć. W małej jadalni obok zobaczy-

liśmy ojca, chodzącego tam i z powrotem. Widocznie on nie miał jeszcze gotowej postawy do tej sytuacji. Może czekał aż wydarzenia się sprecyzują, zanim wybierze sobie sposób zachowania się. Trwał w bezradnej niepewności. Ludzie przechodzą z jednej komedji do drugiej. W czasie kiedy sztuka nie jest jeszcze obsadzona, nie rozróżniają jeszcze jej zarysów, odpowiedniej dla siebie roli, i wówczas sterczą, opuściwszy ręce, przed wydarzeniem, z instynktami zwiniętymi jak parasol, chwiejąc się w ruchach bez związku, doprowadzeni do własnej zawartości, to znaczy do niczego. Krowy bez poganiacza.

Ale matka, ona grała główną rolę, między córką a mną. Teatr mógł się zawalić, to jej nie obchodziło, ona czuła się w swej roli i piękna, i dobra.

Mogłem liczyć tylko na siebie, żeby odzębnić ten parszywy urok.

Zaryzykowałem radę, żeby chorą przewieźć natychmiast do szpitala dla zrobienia czempredzej operacji.

Biada mi! Z miejsca dostarczyłem jej najpiękniejszej repliki, tej, na którą czekała.

— Co za hańba! Szpital! Co za hańba, doktorze! Dla nas! Tego tylko nam jeszcze brakowało! To już szczyt wszystkiego!

Nie miałem już nic do powiedzenia. Usiadłem więc i słuchałem, jak matka miota się jeszcze gwałtowniej, zaplątana w tragiczne banialuki. Nadmiar upokorzenia, nadmiar umęczenia prowadzą do ostatecznego bezwładu. Świat staje nam się zaciężki. Trudno. Gdy ona przywoływała, prowokowała Niebo i Piekło, grzmiała o nieszczęściu, opuszczałem nos i opuszczając go w porażce widziałem, jak się tworzy pod łóżkiem

dziewczyny mała kałuża krwi, wąski strumyczek ciekł z niej powoli wzdłuż ściany ku drzwiom. Kropla po kropli spadała regularnie z siennika. Tok! Tok! Ręczniki między jej nogami były przesycone czerwienią. Zapytałem jednak nieśmiałym głosem, czy łożysko było już całkowicie usunięte. Ręce dziewczyny blade i sinawe na końcach, zwisały po obu stronach łóżka, bezwładne. Na moje pytanie odpowiedziała mi znowu matka potokiem wstrętnych jeremiad. Ale reagować na to, przekraczało już moje siły.

Ja sam byłem od tak dawna osaczony przez niepowodzenia, sypiałem tak źle, że w tem zdaniu się na los szczęścia nie zależało mi wcale, czy zdarzy się to, czy też owo. Myślałem tylko, że lepiej jest słuchać tej pyskującej matki siedzący niż stojący. Drobiazg wystarczy, żeby zrobić człowiekowi przyjemność, gdy jest docna zrezygnowany. A przytem jakąż musiałbym rozporządzać siłą, żeby przerwać tej srogiej babie właśnie w chwili, gdy ona „nie wiedziała już wprost, jak ocalić honor rodziny“. Cóż za rola! I jak ją ona wyrykiwała przytem! Po każdym poronieniu, miałem już w tym zakresie doświadczenie, ona się rozpościerała w ten sam sposób, porwana, ma się rozumieć, żądzą wykonywania swej roli za każdym razem lepiej! To mogło trwać jak długo chciała. Dzisiaj wydała mi się gotowa pomnożyć dziesięciokrotnie jej efekty.

Ona też, myślałem patrząc na matkę, musiała być piękna, bardzo mięsista w swoim czasie; ale w każdym razie bardziej wygadana, trwoniąca energję, bardziej wylewna od córki, której skoncentrowana intymność naprawdę wspaniale się naturze udała. Te rzeczy nie zostały jeszcze przestudjowane nadzwyczajnie, jak na

to zasługują. Matka odgadywała tę zwierzęcą wyższość córki nad nią i, zazdrosna, instynktowo potępiała jej sposób przyjmowania pieszczoty w niezapomnianej głębi i rozpuszczania się w spazmie nieprzytomnej rozkoszy.

Stroną teatralną nieszczęścia matka bądźco bądź entuzjazmowała się. Absorbowała swem bolesnem wibrowaniem nasz ciasny światek, gdzieśmy z jej winy zaczęli społem tracić grunt pod nogami. Nie można było też myśleć, żeby ją stąd oddalić. Powinienem był jednak spróbować tego. Coś robić... To był mój obowiązek, jak to się mówi. Ale mnie było za dobrze gdy siedział, a zbyt źle gdy stał.

U nich było trochę weselej niż u Henrouille'ów, równie brzydko ale wygodniej. Dobrze. Nie ponuro jak u tamtych, tylko brzydko w spokojny sposób.

Zmordowany jak pies błądziłem wzrokiem po sprzętach. Drobiazgi bez wartości, które były zawsze w rodzinie, zwłaszcza laufer na gzymsie kominka z różowymi pluszowymi pomponikami, czego już się nie spotyka po sklepach, i ten neapolitańczyk z niepolewanej porcelany, i ten stolik ze skośnem lusterkiem, którego duplikat musiała posiadać jakaś ciocia na prowincji. Nie zwróciłem matce uwagi na kałużę krwi, tworzącą się pod łóżkiem, ani na krople spadające wciąż punktualnie, matka krzyczałaby jeszcze głośniejsze i nie słuchałaby mnie wcale. Bez końca skarżyłaby się i oburzała. Ślubowała sobie to robić.

Tyleż pomogę, milcząc i patrząc w okno, jak szary aksamit wieczoru zasłania już aleję naprzeciwko, dom po domu, najpierw najmniejsze, potem inne, wreszcie duże, a między niemi kręcą się ludzie, coraz słabsi,

niewyraźniejsi i coraz mętniejsi, słaniając się od chodnika do chodnika, zanim wsiąkną w pomrokę.

Dalej, znacznie dalej niż fortyfikacje, rzadki i szeregi ogarków, rozsypanych wzdłuż całych ciemności, jak gwoździe, żeby napiąć oponę zapomnienia nad miastem, i inne jeszcze światełka, iskrzące się wśród zielonych, które mrugają, czerwone, wciąż statki i statki, cała eskadra przybyła tam zewsząd, żeby czekać ze drzeniem, aż otworzą się za Wieżą¹ wielkie wrota Nocy.

Gdyby ta matka przestała gadać na chwilę żeby odetchnąć, a nawet umilkła na jakiś czas, można byłoby przynajmniej poddać się zrezygnowaniu ze wszystkiego, spróbować zapomnieć, że trzeba żyć. Ale ona mi nie dawała spokoju.

— Gdybym tak jej dała lewatywę, doktorze? Jak pan myśli? Nie odpowiedziałem ani tak, ani nie, ale poradziłem raz jeszcze, skoro mogłem przyjść do słowa, natychmiastowe przewiezienie do szpitala. Nowe skomlenia, jeszcze ostrzejsze, bardziej zdecydowane, przeraźliwsze, w odpowiedzi. Niepodobna było nic zrobić.

Powoli i cicho skierowałem się ku drzwiom.

Od łóżka odgradzał nas teraz cień.

Nie rozróżniałem już prawie rąk dziewczyny, leżących na prześcieradle, z powodu ich podobnej bladeści.

Zawróciłem zbadać jej puls, drobniejszy, bardziej niepewny niż gdym przyszedł. Oddech miała już rzadki, urywkowy. Słyszałem wciąż jak krew kapłała na podłogę, jakby z tykaniem zegarka, coraz wolniejszym,

¹ Eiffla. *Przyp. tłum.*

coraz słabszem. Nie było już tu co robić. Matka szła przede mną do drzwi.

— Nadewszystko, doktorze, poleciła mi, dygocąc ze strachu, niech pan mi przyrzeknie, że pan nie nikomu nie powie? — Błagała mnie. — Przysięgnie mi pan to?

Przyrzekłem wszystko co chciała. Wyciągnąłem rękę. Było dwadzieścia franków. Zamknęła za mną drzwi, stopniowo.

Nadole ciotka Beberta czekała na mnie z miną okolicznościową. „Niedobrze tam?“ informowała się. Zrozumiałem, że czekała na mnie tam, nadole już od pół godziny, żeby otrzymać zwyczajową prowizję: dwa franki. Żebym się nie wymknał. „A u Henrouille’ów dobrze poszło?“ chciała wiedzieć. Spodziewała się napiwku i za nich. „Nie zapłacili mi“ odpowiedziałem. To była też prawda. Przygotowany uśmiech obrócił się u ciotki w grymas.

— To jest jednak, doktorze, fatalne nie umieć sobie kazać zapłacić! Jakżeż pan chce, żeby ludzie pana szanowali?... Płaci się gotówką zaraz albo wcale! — To też była racja. Poszedłem szybko do siebie. Przed wyjściem z domu nastawiłem fasolę do ugotowania. Była też pora, bo się ściemniło, iść po mleko. Za dnia ludzie uśmiechali się, spotykając mnie z butelką w ręku. Musowo. Nie ma służącej.

A potem zima się wlokła, rozpostarła się jeszcze na tygodnie i miesiące. Nie wylaziło się już z mgły i z pluchy. To czuło się we wszystkim.

Chorych nie brakowało, ale niewiele było tych co mogli lub chcieli płacić. Medycyna to niewdzięczny fach. Gdy się bierze honorarjum od bogatych, wygła-

da się na fagasa, od biednych — na złodzieja. „Honorarja“? Także słowo! Chorzy nie mają jej dosyć, żeby żyć i iść do kina, trzebaż im jeszcze zabierać forszę, żeby robić z niej „honorarja“? Zwłaszcza akurat w chwili gdy wyciągają kopyta. Nieprzyjemnie. Macha się ręką. Człowiek staje się bezinteresowny. I idzie na dno.

Gdy przyszło komorne na Nowy Rok, sprzedałem naprzód kredens, żeby zrobić w pokoju miejsce, jak to wytłumaczyłem w dzielnicy, i zamienić jadalnię na studio kultury fizycznej. Kto mi uwierzył? W lutym, żeby zapłacić podatki, spuściłem jeszcze rower i gramofon, który mi dała Molly na odjeździe. Grał on „No More Worries!“ Mam jeszcze tę melodię w głowie. To tylko mi zostało. Moje płyty Bézin trzymał długo w swym sklepiku, wkońcu jednak je sprzedał.

Żeby udawać jeszcze większą zamożność, opowiadałem wówczas, że kupuję sobie auto jak tylko zaczną się pogodne dni, i że w tym celu zbieram sobie naprzód trochę gotówki. W gruncie rzeczy brakowało mi tupetu by uprawiać medycynę poważnie. Gdy odprowadzano mnie do drzwi po udzieleniu rodzinie chorego rad i wręczeniu recepty, wdawałem się w różne komentarze, byle tylko odsunąć na parę minut moment płacenia. Nie potrafiłem zachowywać się po kurewsku. Większość moich pacjentów wyglądała tak nędznie, tak śmierdziała i tak zarazem patrzyła na mnie z podejrzliwością, że zawsze stawiałem sobie pytanie, gdzie oni znajdą te dwadzieścia franków, które trzeba mi było dać, i czy w odwet za to nie zatłuką mnie. A przecież bardzo mi było potrzeba tych dwudziestu franków. Co

za wstyd! Nigdy nie przestanę się czerwienić, gdy o tem pomyślę.

„Honorarja!...“ tytułowali to wciąż koledzy. Niewybredni! Jakgdyby to słowo określało coś co się samo przez się rozumie i nie potrzeba tego tłumaczyć... Wstyd! nie przestawałem sobie powtarzać i nie mogłem z tego wybrnąć. Wszystko ludzie sobie tłumaczą, wiem o tem dobrze. Ale to nie przeszkadza, że ten co wziął pięć franków od biedaka i od nicponia jest zawsze porządnym hultajem! Właśnie od tej pory nabrałem pewności, że jestem taki sam hultaj jak każdy inny. To nie znaczy żebym wyprawiał orgje i szaleństwa za ich pięć i dziesięć franków. Nie! Gospodarz zabierał mi przecie lwią część tego, jednakże to też nie jest usprawiedliwienie. Chciałoby się, żeby to było usprawiedliwieniem, ale to niem jeszcze nie jest. Gospodarz to coś gorszego od gó...a. Ot i wszystko.

Od ciągłego psucia sobie krwi i życia w mroźnych ulewach tej pory roku sam z kolei nabierałem wyglądu suchotnika. To było nieuniknione. Dochodzi się do tego, gdy trzeba wyrzec się prawie wszystkich przyjemności. Od czasu do czasu kupowałem sobie tu i owdzie jajka, ale moje podstawowe pożywienie to były właściwie suszone jarzyny. Długo się gotują. Pilnując tego gotowania, wysiadywałem godzinami w kuchni, po przyjęciach, a że mieszkałem na pierwszym piętrze, miałem z tego miejsca piękną panoramę podwórza. Podwórza, to są lochy domów seryjnych. Miałem dość czasu, żeby patrzeć na swoje podwórze a zwłaszcza je słyszeć.

Tam padają, rozbijają się i odbijają krzyki, nawoływania dwudziestu otaczających dziedziniec domów,

aż do stróżowskich ptaszków włącznie, marniejących w beznadziejnym oczekiwaniu, gdy minie wiosna, której już więcej nie zobaczą w swych klatkach, koło ustępów, zgrupowanych tam w głębokim cieniu, o drzwiach wiecznie popsutych i uchylonych. Stu pijaków męskiego i żeńskiego rodzaju zaludnia te mury i faszerają echo swemi chępliwemi kłótniami, swemi mętnemi kłątami, lejącemi się potokiem, zwłaszcza po drugim śniadaniu w soboty. To jest moment intensywnego życia rodzinnego. Wywierają na siebie pysk, nosy czerwone od wypitki, tata wymachuje krzesłem jak siekierą, mama pogrzebaczem jak szablą! Trzeba to widzieć. Biada wówczas słabym! Na małych się skrępa. Szturchańce, bicie po twarzy, kopniaki przyklejają do ściany wszystko, co nie może się bronić i oddać: dzieci, psy lub koty. Po trzeciej szklance wina, ciemnego, najpodlejszego, zaczyna cierpieć pies, miażdży mu się łapę obcasem. To go nauczy być głodnym o tej samej porze co ludzie. Uciecha patrzeć jak skowycząc znika pod łóżkiem, jakgdyby mu kto brzuch rozpruł. To jest sygnał. Nic tak nie podnieca kobiet podchmieleńskich jak ból zwierząt domowych, nie zawsze ma się byka pod ręką. Kłótnie, mściwą w odcinaniu się, zacieklą jak szal, prowadzi małżonka, ciskając samcowi szereg ostrych wezwań do walki. A potem jest bójka, przedmioty idą w kawałki. Dziedziniec przyjmuje w siebie wrzawę, echo idzie kołem po cieniach. Wystraszona dzieci piszcza. Odkrywają wszystko co jest w tatusiu i w mamusi! Krzycząc ściągają na siebie grom.

Wiele dni spędziłem, oczekując, że się zdarzy to co zdarzało się od czasu do czasu na zakończenie seansów małżeńskich.

Działo się to w domu naprzeciwko, na trzecim piętrze, nawprost mego okna.

Nie mogłem nic widzieć, ale słyszałem dobrze.

Wszystko ma swój koniec. To nie zawsze jest śmierć, często jest coś innego i dość gorszego, zwłaszcza z dziećmi.

Ci lokatorzy mieszkali tam, akurat na tej wysokości podwórza, gdzie cię zaczyna blednąć. Gdy ojciec i matka byli sami, w te dni kiedy to się zdarzało, kłócili się ze sobą najpierw długo, a potem była długa cisza. To się przygotowywało. Mieli oni małą córkę, kazali jej przyjść. Ona wiedziała. Zaraz zaczynała płakać. Wiedziała co ją czeka. Sądząc po głosie, musiała mieć z dziesięć lat. Wreszcie zrozumiałem, po wielu razach, co oni oboje jej robili.

Najpierw ją przywiązywali, to długo trwało, jak do operacji. To ich podniecało. „Ty mała cholero!“ kłął on. „Ach! małpo jedna!“ dorzucała matka. „Nauczymy cię tańcować, małpo!“ krzyczeli oboje i różne, przeróżne rzeczy, które jej jednocześnie zarzucali, rzeczy, które musieli zmyślać. Musieli ją przywiązywać do słupków łóżka. Podczas tego dziecko piszczało, jak mysz schwytna w pułapkę. „Możesz beczeć, szelmo, możesz! Nic ci to nie pomoże! Nic nie pomoże!“ zaczynała znowu matka, z gradem wymysłów, jak na konia. Cała podniecona. „Przestań mamó, odpowiadała łagodnie mała. Przestań mamó! Bij mnie mamó! Ale przestań tak mówić mamó!“ Mówiła tak wciąż i dostawała cęgi. Słuchałem aż do końca, żeby się upewnić, iż się nie mylę, że istotnie to się tam dzieje. Nie mógłbym jeść swej fasoli, dopóki to się działo. Nie mogłem też zamknąć okna. Byłem do niczego. Nic nie mogłem po-

radzić. Tylko słuchałem, jak zawsze, jak wszędzie. A tylko miałem wrażenie, że od słuchania tych rzeczy nabierałem sił, sił do pójścia jeszcze dalej, dziwnych jakichś sił, i następnym razem będę mógł zejść jeszcze niżej, następnym razem, słuchać innych skarg, których dotąd jeszcze nie słyszałem lub które mi było trudno pojąć przedtem, gdyż można pomyśleć, że na końcu jakichś skarg są zawsze jeszcze inne, których się jeszcze nie słyszało i nie pojęło.

Kiedy zbili ją już tak, że nie mogła wrzeszczeć, ich córka jeszcze krzyczała trochę, przy każdym urywanem chwytaniu tchu.

Słyszałem jak mężczyzna odezwał się w owej chwili: „Chodź tu, duża! Prędko! Chodź tędy!” Uszczęśliwiony.

Do matki tak mówił, poczem drzwi obok trzaskały za nimi.

W ten sposób oni uprawiali miłość, jak mi wyjaśniła ich stróżka, odbywało się to w kuchni, przy zlewie. Inaczej nie mogli się roznamiętnić.

Stopniowo dowiedziałem się tych rzeczy o nich, na ulicy. Gdy ich spotykałem, wszystkich troje razem, niczem nie zwracali na siebie uwagi. Spacerowali jak zwykła rodzina. Jego, ojca, widywałem jeszcze, przechodząc koło wystawy jego sklepu, na rogu bulwaru Poincaré, pod firmą „Obuwie dla nóg wrażliwych“, gdzie był głównym sprzedawcą.

Zazwyczaj nasze podwórze przedstawiało sobą ohydy bez plastyki, zwłaszcza latem, huczało pogroźkami, echami bijatyk, padających przedmiotów i wymysłami, których nie można było rozróżnić. Nigdy słońce nie dochodziło wgląd. Podwórze było jakby pomalowane błękitnymi cieniami, gęstymi, szczególnie w rogach. Ro-

dziny stróżów miały tutaj swe własne ustępy, niby ule. Nocą gdy szli zrobić siusiu, potykali się o skrzynie na śmieci, co robiło piekielny hałas w podwórzu.

Bielizna próbowała schnąć od okna do okna.

Po obiedzie rozlegały się przeważnie kłótnie na temat wyścigów, w te wieczory kiedy nie było scen brutalnych. Ale te polemiki sportowe również kończyły się często dosyć źle, szturchańcami i mordobiciem i zawsze przynajmniej za jednym oknem, z tego lub owego powodu, brano się wreszcie za łby.

Latem również wszystko mocno pachniało. Nie było już wcale powietrza w podwórzu, same przykre wonie. Dominuje nad wszystkimi z łatwością zapach kalafiora. Jeden kalafior starczy za dziesięć wychodków, nawet jeśli są przepełnione. Wiadomo. Te z drugiego piętra było często zatkałe. Stróżka z pod Nr. 8, pani Cézanne, przybywała wówczas ze swym trzcinowym przekłówachcem. Obserwowałem, jak nim włada. W ten sposób nawiązaliśmy rozmowę. „Ja tam, radziła mi, gdybym była na pana miejscu, pocichutku uwalniałabym od kłopotu kobiety, które zaszły w ciążę... Są tu w dzielnicy kobiety co mają życie... pojęcie ludzkie przechodzi!... I one tegoby tylko chciały, żeby pan mógł zarobić!... Może mi pan wierzyć! To zawsze lepsze niż leczyć subjektów na żyłaki... Zwłaszcza że to gotówka“.

Pani Cézanne żywiła wielką pogardę arystokratki, niewiedomo skąd w niej się biorącą, dla wszystkich ludzi co pracują...

— Lokatorzy wiecznie niezadowoleni, pomyślałby kto, więźniowie, muszą wszystkim zalać sadła za skórę! To klozety im się zatykają... Kiedyindziej znowu gaz im się ulatnia... A to listy im otwierają!... Ciągłe szy-

kany... Wciąż zawracanie głowy, czy nie!... Jest jeden nawet taki co mi napluł w kopertę z kwitem na komornę... Widział pan coś podobnego?...

Nawet gdy chodziło o przetkanie klozetów, pani Cézanne musiała często zrezygnować, takie to było trudne. „Nie wiem, co oni tam pchają, ale nie trzeba żeby to wyszło! ...Znam to... Zawsze zawiadomią zapóźno!... Oni to robią naumyślnie!... Gdzie przedtem byłam, to nawet trzeba było przebić rurę, takie to było twarde! Ja pojęcia nie mam, co oni mogą żryć... To jest dubeltowe!...“

Trudno mnie będzie odwieść od myśli, że jeżeli to mnie znów chwyciło, to z powodu Robinsona przede wszystkim. Z początku nie zwracałem wielkiej uwagi na te dolegliwości. Kołatałem się w dalszym ciągu, od jednego pacjenta do drugiego, ale stałem się jeszcze bardziej niespokojny niż przedtem, coraz więcej, jak w New Yorku, i znowu zacząłem jeszcze gorzej sypiać niż zwykle.

Ponowne tedy spotkanie Robinsona wywołało we mnie wstrząs i jakby chorobę, która mnie znów chwyciła.

Jego pysk umazany troską sprowadzał na mnie niby wstrętny sen, od którego nie mogłem się uwolnić od zbyt wielu już lat. Bredziłem od tego.

Spadł mi tu znowu. Nie odczepię się od niego. Z pewnością szukał mnie tutaj. Ja nie starałem się z nim zobaczyć, oczywiście... Z pewnością jeszcze się zjawi i zmusi mnie znowu do myślenia o jego sprawach. Wszystko teraz zresztą kazało mi myśleć o jego plugawej istocie. Nawet ci ludzie, na których patrzyłem przez okno, co, jakby nigdy nic, chodzili sobie po ulicy, gadali przy bramach, ocierali się jeden o drugiego, kazali mi myśleć o nim. Ja wiedziałem, czego oni szukają, co ukrywają za tym wyglądem jakby nigdy nic, ci ludzie. Chcieli zabijać i dać się zabijać, nie za jednym zamachem, rozumie się, lecz pomalutku, jak robił Robinson, wszystkim co im się napatoczyło, stare zmartwienia, nowe troski, nienawiści bez nazwy, skoro nie-

ma jawnej wojny, kiedy to się odbywa jeszcze szybciej niż zazwyczaj.

Bałem się wprost wychodzić, żeby go nie spotkać.

Trzeba było mnie wzywać dwa, trzy razy z rzędu, żebym się zdecydował odpowiedzieć na wezwanie chorych. Toteż najczęściej, gdym się zjawiał, poszukano już innego lekarza. Moja myśl potrzebowała popychania jej, tak samo jak moje życie. Na tę ulicę św. Wincentego, gdzie byłem wszystkiego raz jeden, wezwano mnie pod Nr. 12, na trzecie piętro. Nawet zajechano po mnie taksówką. Zaraz poznałem dziadka, szeptał, długo wycierał nogi na mojej słomiance. Człowieczek niepewny w ruchach, siwy i przygarbiony, chciał żebym pośpieszył do jego wnuczka.

Pamiętałem również dobrze jego córkę, też dziewczynę jak się patrzy, już zwiędłą ale tegiej budowy i milcząca, która powracała kilkakrotnie do rodziców, żeby poronić. Tej nie robiono żadnych wyrzutów. Starszy pragnęli tylko, żeby raz wreszcie wyszła zamaż, zwłaszcza że miała już dwuletniego chłopca na wychowaniu u dziadków.

Z byleczego to dziecko zapadało na zdrowiu i gdy było chore, dziadek, babka, matka zapłakiwali się razem, głównie dlatego, że nie miało prawowitego ojca. W takich chwilach rodziny najbardziej się wzruszają nieuporządkowaną sytuacją. Dziadkowie wierzyli, nie przyznając się do tego całkowicie, że dzieci naturalnie są węższe i częściej chorują niż ślubne.

Ojciec, ten osobnik przynajmniej, którego za ojca uważano, wyjechał nazawsze. Tak temu człowiekowi suszyli głowę małżeństwem, że mu to wreszcie przykrzyło się. Musiał być teraz daleko, jeżeli jeszcze był

w drodze. Nikt nic nie zrozumiał z tego porzucenia, a najmniej sama dziewczyna, boć przecie z taką satysfakcją ją pieścił.

Otóż, odtąd lekkoduch się ulotnił, patrzyli na dziecko wszyscy troje pobekując i na tem koniec. Oddała się temu człowiekowi, jak powiadała, „duszą i ciałem“. To musiało się stać i według niej powinno było dostatecznie wszystko tłumaczyć. Malec wyszedł z jej ciała za jednym zamachem i zostawił jej fałdy na całym brzuchu. Duch zadawała się frazesem, ciało nie jest takie, jest bardziej wymagające, potrzeba mu muskułów. Ciało to jest coś zawsze prawdziwego, dlatego też prawie zawsze jest smutne i nieprzyjemne do patrzenia. Rzadko zdarzyło mi się widzieć, to też prawda, żeby macierzyństwo zabrało za jednym zamachem tyle młodości. Tej matce pozostały tylko, że tak powiem, uczucia i dusza. Nikt jej już nie chciał.

Przed tem potajemnem urodzeniem rodzina mieszkała w dzielnicy „Filles du Calvaire“ i to od wielu lat. Jeżeli wszyscy poszli na wygnanie do Rancy, to nie dla przyjemności, lecz żeby się schować, kazać o sobie zapomnieć, zniknąć całą gromadką.

Z chwilą gdy stało się niemożliwe ukryć tę ciążę przed sąsiadami, postanowili opuścić swą dzielnicę w Paryżu, żeby uniknąć wszelkich komentarzy. Przeprowadzka honorowa.

W Rancy szacunek sąsiadek nie był niezbędnym, a poza tem byli oni nieznani w Rancy, a jeszcze magistrat miejscowy uprawiał właśnie politykę obrzydliwą, anarchistyczną, mówiąc bez ogródek, o której mówiono w całej Francji, politykę łobuzerską. W tem środowisku wyrzutków opinia bliźniego nie może mieć znaczenia.

Familja ta ukarała siebie samorzutnie, zerwała wszelkie stosunki z krewnymi i dawnymi przyjaciółmi. Jeżeli chodzi o dramat, to był tu dramat kompletny. Nie mieli już nic do stracenia, mówili sobie. Zdeklasowani. Kiedy się chce stracić dla siebie szacunek, idzie się do ludu.

Nie czynili nikomu żadnego konkretnego wyrzutu. Usiłowali tylko wykryć wybuchami drobnych kalekich buntów, czem też mogło Przeznaczenie urządzić się owego dnia, kiedy im zrobiło takie świństwo.

Córcie życie w Rancy dawało tę tylko pociechę, ale bardzo ważną, że mogła odtąd mówić całkiem swobodnie ze wszystkimi o swych „nowych obowiązkach“. Kochanek, porzucając ją, zbudził w jej nadpsutej naturze żądzę bohaterstwa i oryginalności. Z chwilą gdy upewniła się, na resztę swych dni, że nigdy już nie będzie miała życia absolutnie takiego samego jak większość kobiet jej klasy i środowiska i że będzie mogła zawsze powoływać się na romans swego życia, splądrowanego przy pierwszej miłości, przystosowała się z przyjemnością do wielkiego nieszczęścia, jakie ją spotykało, i spustoszenia losu zostały w rezultacie dobrze przyjęte. Wystroiła się na dziewczynę-matkę.

Gdyśmy weszli do stołowego pokoju, jej ojciec i ja oszczędnościowe oświetlenie nie wykraczało poza półcień, postacie widziało się niby blade plamy, niby ciała wałkujące słowa, co poniewierały się w półmroku, ciężkim od tego zapachu starego pieprzu, jaki wydzielają wszystkie meble rodzinne.

Na stole pośrodku, dziecko leżące nawznak w powijkach dało się obmacać. Naprzód naciskałem mu brzuch z wielką ostrożnością, stopniowo, od pępka do

moszny, a potem opukałem je, z wielką jeszcze powagą.

Serce jego było rytmem kocim, suchym i gwałtownym. I naraz dziecko dosyć miało mych gmerających palców i mych ruchów i zaczęło się drzeć, jak to potrafią dzieci w tym wieku, niewiarogodnie. Tego mi było zawiele. Od czasu powrotu Robinsona coś dziwnego działo się w mej głowie i w ciele, i wrzaski tego niewiniątka zrobiły na mnie ohydne wrażenie. Co za wrzask, Boże drogi! Co za wrzask! Nie mogłem dłużej wytrzymać.

— Ej! odpowiedziałem temu małemu krzykaczowi, nie spiesz-że się tak, mały kretynie, będziesz miał jeszcze dość czasu drzeć się! Zostanie ci jeszcze, faflu! Oszczędzaj się! Zostanie ci jeszcze dość niedoli, żeby ci się rozplynęły oczy, i głowa też, i reszta ajakże, jeśli nie będziesz się miał na bacności!

— Co pan mówi, doktorze? zerwała się babka. Ja powtórzyłem poprostu: „Zostanie jeszcze!“

— Co? Czego zostanie? — pytała, zdjęta zgrozą...

— Trzeba rozumieć! odparłem. Trzeba rozumieć! Tłumaczy wam się zawiele rzeczy! W tem cała bieda! Postarajcie się zrozumieć. Zróbcie wysiłek!

„Co zostanie? Co on mówi?“ I pytali się wzajem wszyscy troje, a córka „z obowiązkami“ dziwnie wytrzeszczyła oczy i zaczęła też wydawać sławetne długie krzyki. Znalazła, psiakrew, znakomitą okazję do ataku spazmów. Nie chybi jej. To była wojna! I tupanie nogami! I duszenie się! i okropne zezowanie! Tom się urządził! Trzeba to było widzieć! „On zwarzował, mammo! ryczała dławiąc się. Doktor zwarzował!... Odbierz mi małego, mammo!“ Ratowała swe dziecko.

Nigdy nie dowiem się dlaczego, ale ona zaczęła, tak była podniecona, mówić akcentem baskijskim. „On mówi rzeczy okropne! Mamó!... To jest szaleniec...!”

Wyrwano mi malca z rąk, tak jakby wyrywano go z płomieni. Dziadek, tak nieśmiały dopiero co, zdejmował teraz ze ściany swój wielki termometr mahoniowy, olbrzymi, jak maczuga... I towarzyszył mi z odległości ku drzwiom, których skrzydło zatrzaskało za mną gwałtownie, silnym kopnięciem.

Ma się rozumieć, skorzystano z tego, żeby mi nie zapłacić za wizytę...

Gdy znalazłem się znów na ulicy, nie byłem bardzo dumny z tego co mi się przytrafiło. Nietyle ze względu na moją reputację, która nie mogła już być w dzielnicy gorsza od tej, jaką mi wyrobiono i bez mego w tym udziału, ale wciąż z powodu Robinsona, od którego spodziewałem się uwolnić wybuchem szczerości, znaleźć w umyślnym skandalu decyzję nie przyjmowania go więcej, robiąc samemu sobie rodzaj brutalnej sceny.

Kalkulowałem tak: Tytułem eksperymentu zobaczę, jaki skandal można zrobić samemu sobie za jednym razem. Tylko że nigdy niema końca w skandalu i w emocji, nie wie się nigdy, jak daleko będzie się zmuszonym zająć w szczerości... Co ludzie jeszcze kryją przed tobą... Co ci jeszcze pokażą... Czy się będzie dość długo żyło... Czy się posuwasz dość daleko w ich bzdurach... Trzeba było zacząć od początku.

Narazie pilno mi było ukryć się. Żeby wrócić do domu, wybrałem zaułek Szubieniczny a potem ulicę Walentynek. To jest dobry kawałek drogi. Jest czas zmienić zdanie. Szedłem ku światłom. Na placu Tymczaso-

wym spotkałem Péridona, zapalacza. Zamieniliśmy ze sobą kilka nieszkodliwych słów. „Pan idzie do kina, doktorze?” zapytał mnie się. Podsunął mi myśl. Uznałem ją za dobrą.

Autobusem prędzej się jest niż metrem. Po tej sromotnej awanturze wyjechałbym z Rancy nadobre i na zawsze, gdybym mógł.

Im dłużej siedzicie w jakimś miejscu, tem bardziej rzeczy i ludzie obnażają się, psują i zaczynają cuchnąć, umyślnie dla was.

Dobrze jednak, że powróciłem do Rancy zaraz nazajutrz, gdyż Bebert akurat wtedy zachorował. Kolega Frolichon wyjechał na wywczasy, ciotka zawahała się, poczem jednak poprosiła mnie, żebym leczył jej siostrzeńca, z pewnością dlatego, że byłem najtańszym z lekarzy, których znała.

To wydarzyło się po Wielkanocy. Zaczynały się pogodne dni. Pierwsze wiatry południowe szły przez Rancy, te również, które spędzają wszystkie sadze z fabryk na okna domów.

Tygodnie całe trwała choroba Beberta. Zachodziłem do niego dwa razy dziennie. Okoliczni mieszkańcy czekali na mnie przed lożą nibyto przypadkowo i na pro-gach swych domów, sąsiedzi również. To było jakgdyby rozrywką dla nich. Zdaleka przychodzili dowiedzieć się, czy chory ma się gorzej czy lepiej. Słońce, które przechodzi przez zbyt wiele rzeczy, pozostawia zawsze ulicy tylko światło jesienne z żałami i z chmurami.

Rad, to dużo dostałem z okazji Beberta. Cała dziel-nica, prawdę mówiąc, interesowała się jego chorobą. Mówiono dobrze i źle o mojej znajomości rzeczy. Gdy wchodziłem do loży, robiła się cisza krytyczna i dość nieprzyjazna, a przedewszystkiem przygniatająca głu-potą. Było w loży zawsze pełno kumoszek, zaufanych przyjaciółek, toteż czuć tam było mocno kiecką i kró-liczą uryną. Każda zachwalała swego wybranego le-karza, zawsze bardziej przenikliwego, bardziej uczone-go. Ja przedstawiałem sobą jedną tylko dobrą stronę

ale właśnie tę, którą ludzie z trudem wybaczą, że by-łem prawie bezpłatny. To uchybia i choremu i jego ro-dzinie, lekarz bezpłatny, choćby nie wiem jak była biedna.

Bebert nie bredził jeszcze, nie miał już tylko zupełnie ochoty ruszać się. Zaczął tracić na wadze z każdym dniem. Miał na sobie jeszcze trochę ciała poźółkłego i ruchomego, które dygotało zgóry nadół za każdym uderzeniem serca. Pomyślałby kto, że jego serce znaj-duje się w każdym miejscu pod skórą, taki szczupły stał się Bebert po miesiącu zgórą choroby. Zwracał się do mnie z rozumnym uśmiechem, gdy przychodziłem go odwiedzić. Przekroczył tak swobodnie 39 a potem 40 stopni gorączki i trwał w niej po całych dniach, potem tygodnie, w zadumie.

Ciotka Beberta przestała wreszcie gadać i zostawiła nas w spokoju. Powiedziała wszystko co wiedziała, więc już tylko popłakiwała, zbita z tropu, po kątach swej loży. Zmartwienie weszło jej wreszcie w końce słów, wyglądało na to, że nie wie co począć ze zmartwieniem, próbowała pozbyć się go, wycierając nos, ale zmartwie-nie wracało jej do gardła, a z niem razem łyzy, i zaczy-nała nanowo. Przyłączało się ono do niej wszędzie i w ten sposób doprowadziła siebie do jeszcze większe-go niż zwykle niechlujstwa i dziwiła się temu: „Mój Boże! mój Boże“ powtarzała. I to było wszystko. Doszła do kresu samej siebie od płaczu, ramiona jej opadały i stała tak przede mną, osłupiała.

Mimo wszystko cofała się jeszcze kawałek drogi w swem zmartwieniu, poczem decydowała się ruszyć jeszcze naprzód z łkaniem. Całymi tygodniami trwało to jej chodzenie tam i z powrotem w strapieniu.

Należało przewidywać, że ta choroba źle się skończy. Był to rodzaj złośliwego tyfusu brzuszego, przeciw któremu bezsilne było wszystko com przedsięwziął, kąpiele, surowica... sucha djeta... zastrzyki... Nic nie pomagało. Daremnie miotałem się na wszystkie strony, Bebert odchodził, uprowadzany bez możliwości oporu, z uśmiechem. Trzymał się na szczycie swej gorączki, jakby zachowując równowagę, ja na dole robiłem zamieszanie. Naturalnie, radzono z różnych stron ciotce, i to natarczywie, żeby skończyć ze mną bez ceregieli i czempredzej wezwać innego lekarza, bardziej doświadczonego, poważniejszego.

Wypadek z dziewczyną „z obowiązkami“ rozniósł się szeroko po dzielnicy i wywołał mnóstwo komentarzy. Wszyscy o tem gadali.

Ale że inni lekarze, uprzedzeni o charakterze choroby Beberta, wykręcali się, ja pozostałem ostatecznie. Skoro mnie Bebert przypadł w udziale, nie pozostaje mi nic innego jak prowadzić rzecz dalej, słusznie uważali koledzy.

W zakresie środków leczenia nie pozostało mi już nic innego jak chodzić do budki telefonicznej u szynkarza i dzwonić od czasu do czasu do innych lekarzy tu i owdzie, których znałem mniej lub więcej dobrze w Paryżu, w szpitalach, żeby ich zapytać, co zrobiliby oni, ci spryciarze, ci poważni, z takim wypadkiem tyfusu, jaki mnie dręczył. Dobre rady dawali mi w odpowiedzi wszyscy, dobre rady nieskutkujące, jednakże przyjemnie mi było, że sobie zadawali ten trud, bezinteresownie i ostatecznie dla nieznanego malca, którym się opiekowałem. Człowiek dochodzi do tego, że raduje się byle

czem, tą odrobiną, jaką życie raczy łaskawie zostawić nam na pociechę.

Gdy ja tak mędrkowałem, ciotka Beberta padała na prawo i na lewo na krzesła, jakie jej się napatoczyły, lub siadała na schodach, wychodziła ze swego otępienia tylko żeby jeść. Ale, trzeba przyznać, nigdy nie wzgardziła żadnym posiłkiem. Nie pozwolono jej zresztą zapomnieć się. Sąsiedzi czuwali nad nią. Opychali babę w przerwach płaczu. „To podtrzymuje!“ zapewniali ją. I nawet zaczęła tyć.

Co do zapachu kapusty brukselskiej, podczas ciężkiego stanu Beberta, była w loży istna orgja. Był to sezon na brukselkę i ciotka otrzymywała ją zewsząd w prerencie, dobrze ugotowaną, dymiącą. „To mi dodaje sił, racja!... zgadzała się chętnie. I to pędzi mocz!“

Przed nocą, z racji dzwonek, żeby mieć lżejszy sen i słyszeć zaraz pierwsze wezwanie, opijała się kawą. w ten sposób lokatorzy nie budzili Beberta, dzwoniąc dwa lub trzy razy z rzędu. Przechodząc wieczorem koło domu, zachodziłem zobaczyć, czy przypadkiem nie skończyło się to wszystko. „Nie sądzi pan, że on zachorował od rumianku z rumem, którego się napił u owocarki w dzień wyścigu cyklistów?“ głośno wyraziła swe przypuszczenie ciotka. Ta myśl dręczyła ją od samego początku. Idjotka.

„Rumianek“ szeptał słabo Bebert, echem zatraconem w gorączce. Poco ją odwozić od tej myśli? Wykonywałem raz jeszcze dwa lub trzy, drobne pozorne zabiegi profesjonalne, których oczekiwano, poczem szedłem z powrotem w ciemną ulicę, bez dumy, gdyż tak jak moja matka, nie potrafiłem nigdy czuć się całkiem bez winy w nieszczęściach, jakie spadały.

Siedemnastego dnia choroby powiedziałem sobie jednakże, że dobrze zrobię, gdy pójdę do Instytutu Bioduret'a Józefa zapytać się, co oni też myślą o takim wypadku tyfusu, i poprosić zarazem o radę a może nawet o szczepionkę, którą mi ewentualnie zalecą. W ten sposób zrobiłbym wszystko, wszystkiiegobym spróbował, nawet rzeczy dziwacznych, i jeżeli Bebert umrze, no to może nie będą mi robić żadnych wyrzutów. Przybyłem tam, do Instytutu, na krańcach Paryża, za Vilette, pewnego dnia koło jedenastej rano. Prowadzono mnie najpierw po laboratorjach bez końca w poszukiwaniu jakiegoś uczonego. Nie było jeszcze nikogo w tych laboratorjach, ani uczonych, ani publiczności, tylko przedmioty porozrzucane w wielkim nieładzie, trupki rozciętych zwierząt, niedopałki, wyszczerbione lampy gazowe, klatki i słoje z myszami w środku, prawie uduszonymi, poniewierające się retorty, pęcherze, wygniecione stołki, książki i kurz, jeszcze i wciąż niedopałki, ich woń i woń pisuaru dominowały. Ponieważ przyszedłem zawczasie, postanowiłem zwiedzić Instytut, skoro tam już byłem, aż do grobowca wielkiego uczonego Bioduret'a Józefa, znajdującego się w samym Instytucie, w podziemiach, wśród pozłoty i marmurów. Fantazja mieszczańsko-bizantyjska w dobrym guście. Przy wyjściu z podziemia kwestowano, dozorca nawet sarkał, że znów mu wtryniono monetę belgijską. Z powodu tego Bioduret'a wielu młodych ludzi obierało od pół wieku karierę naukową. Wyszło z tego tyluż wykolejeńców co z Konserwatorjum. Po pewnej liczbie lat niepowodzenia i ci i tamci zresztą stają się do siebie podobni. Na pobojuwisku kariery „Laureat Fakultetu Medycznego“ tyleż wart co zdobywca „Prix de Rome“. Kwe-

stja autobusu, do którego się wsiadało nie ściśle o tej samej porze. Cała różnica.

Musiałem czekać jeszcze dosyć długo w ogrodach Instytutu, małej kombinacji więzienia i skweru publicznego, w ogrodach z kwiatami, starannie posadzonemi pod temi ścianami, ozdobionemi w sposób niezyczliwy.

Jednakże kilku młodych ludzi z personelu pomocniczego przybyło wreszcie, wielu z nich niosło już w dużych siatkowych torbach prowiant z sąsiedniego targu, widać było, że klepali biedę. A potem z kolei przekroczyli bramę uczeni, jeszcze powolniejsi i bardziej niewyraźni niż ich skromni podwładni, małemi grupami, źle ogoleni i rozmawiający szeptem. Szli rozproszyć się po korytarzach, wygładzając sobą farbę na ścianach. Powrót do szkoły starych szpakowatych uczniów, z parasolami, ogłupiałych przez skrupulatną rutynę, przez beznadziejnie obrzydliwe manipulacje, zrosniętych za głodowe zarobki na cały czas dojrzałości z temi kuchenkami do mikrobów, gdzie muszą odgrzewać to nieukończony pitraszenie oskrobin z jarzyn, świnek morskich, przeznaczonych na uduszenie i innej niewyraźnej zgnilizny.

Oni sami w rezultacie byli już tylko staremi domowymi gryzoniami, potwornemi, w paltach. W naszych czasach sława uśmiecha się tylko bogatym, czy to będą uczeni, czy nie. Plebejusze Badania, żeby utrzymać się przy życiu, mogli liczyć jedynie na własny lęk przed utratą miejsca w tej skrzyni do śmieci, gorącej, sławnej i podzielonej na przegródki. W gruncie rzeczy zajęło im na Tytule oficjalnego uczonego, Tytule, dzięki któremu aptekarze z miasta obdarzali ich jeszcze pewnem zaufaniem, gdy szło o analizy, nędznie zresztą

płatne, moczu i plwocin klienteli. Grząski uboczny dochód uczonego.

Zaraz po przyjściu metodyczny badacz szedł pochylić się rytualnie na kilka minut nad żółciowemi i zepsutemi wnętrznościami królika z zeszłego tygodnia, tego, którego się wystawiało klasycznie nastale, w pewnym kącie pokoju, kropielnicy nieczystości. Gdy smród stawał się naprawdę nie do zniesienia, poświęcano w tym celu nowego królika, ale nie wcześniej, ze względu na oszczędności, na których profesor Jaunisset, generalny sekretarz Instytutu, trzymał w owych czasach rękę fanatyczną.

Niektóre zgnilizny zwierzęce ulegały z racji tych oszczędności nieprawdopodobnym degradacjom i przedłużeniom. Wszystko jest kwestją przyzwyczajenia. Niektórzy laboranci, dobrze wyćwiczeni, kucharzyliby swobodnie w trumnie w stanie czynnym, tak dalece rozkład i zaduch nic im już nie przeszkadzały. Ci skromni pomocnicy wielkiego naukowego badania potrafili nawet w zakresie oszczędności przewyższyć samego profesora Jaunisseta, słynnego przecież sknere, i bili go w jego własnej grze, korzystając naprzykład z gazu ciepłarek, żeby sobie sporządzić osobisty rosół i sztukę mięsa oraz wiele innych świństw, wolno się gotujących i jeszcze bardziej ryzykownych.

Po skończeniu roztargnionego badania flaków świnki morskiej i rytualnego królika, uczeni przystępowali powoli do drugiego aktu swego codziennego życia naukowego, do aktu z papierosem. Próba neutralizacji dokolnego smrodu i nudy dymem tytoniowym. Od niedopałka do niedopałka uczeni docierali jakoś do końca swego dnia roboczego, około piątej. Składali wtedy zgni-

lizny powoli do chwiejących się ciepłarek, żeby ostygły. Oktawjusz, woźny, schował swą gotowaną fasolę w gazetę, żeby ją przenieść bezkarnie koło łoża odzwiernej. Finta. Miał już gotowy obiad, który zabierał do Gargan. Uczony, jego zwierzchnik, coś tam jeszcze zanotował w rejestrze doświadczeń, nieśmiało, jakby z powątpiewaniem, w związku z przyszłym komunikatem, najzupełniej zbytecznym, ale usprawiedliwiającym jego obecność w Instytucie i wątle korzyści, jakie przynosiła, pańszczyzna, którą jednakże trzeba było zdecydować się odrobić na długo przed posiedzeniem jakiejś Akademii, niezmiernie bezstronnej i bezinteresownej.

Prawdziwy uczonek potrzebuje przeciętnie dobrych dwudziestu lat do zrobienia wielkiego odkrycia, polegającego na przekonaniu siebie, że szaleństwo jednych bynajmniej nie daje szczęścia drugim i że na tym padole każdy czuje się niezdrów wskutek bzika sąsiada.

Delirium naukowców, bardziej wyrozumowane i chłodniejsze od innych, jest jednocześnie najbardziej nie do zniesienia. Lecz gdy się zdobyło jaką taką możliwość czystowania, bodaj nędznego, w jakimś miejscu, za pomocą pewnych grymasów, trzeba brnąć dalej lub zdecydować się zdechnąć jak świnka morska. Przyzwyczajenie łatwiej się nabywa niż odwagi, a zwłaszcza przyzwyczajenia żarcia.

Szukałem tedy mego Parapina po Instytucie, ponieważ przybyłem specjalnie z Rancy, żeby się z nim zobaczyć. Trzeba było więc szukać dalej. To nie szło łatwo. Myliłem się wiele razy, wahając się długo w wybieżce tyłu korytarzy i drzwi.

Ten stary kawaler wcale nie jadał drugiego śniadania a obiad jadał tylko najwyżej dwa, trzy razy na

tydzień, ale wówczas obzerał się niesłychanie, wedle warjackich tradycji studentów rosyjskich, których wszystkie dziwaczne obyczaje zachował.

Temu Parapinowi przyznawano, w jego wyspecjalizowanym środowisku, najwyższą kompetencję. Wszystko co dotyczyło chorób tyfusowych, czy to ludzkich, czy zwierzęcych, było mu znane. Jego rozgłos w tej dziedzinie datował od dwudziestu już lat, od czasu gdy pewni autorzy niemieccy oświadczyli pewnego pięknego poranku, że izolowali żywe wibrjony Ebertha w wydzielinach pochwowych osiemnastomiesięcznej dziewczynki. Ładnego to narobiło hałasu w świecie prawdy. Uszczęśliwiony Parapin wyrzucił replikę w możliwie najkrótszym czasie w imieniu Instytutu Narodowego i z miejsca pobił tego teutońskiego fanfarona, gdyż on, Parapin, hodował tę samą zaródkę, ale w stanie czystym i w spermie siedemdziesięciodwuletniego inwalidy. Został za jednym zamachem sławny, i nie pozostało mu do samej śmierci nic innego jak zaczerpnąć regularnie kilka nieczytelnych szpalt w różnych czasopismach specjalnych, żeby utrzymać się na czołowym miejscu. Co też czynił bez trudu zresztą od owego dnia zuchwalstwa i szczęśliwej ręki.

U poważnej publiczności naukowej miał teraz kredyt i zaufanie. To zwalniało poważną publiczność od czytania go.

Gdyby zaczął krytykować tę publiczność, żaden postęp nie byłby możliwy. Siedziałoby się cały rok nad jedną stronicą.

Kiedy stanąłem w progu jego celi, Sergjusz Parapin był w trakcie plucia w cztery kąty laboratorium śliną nieustającą z grymasem takiego obrzydzenia, że to da-

wało do myślenia. Parapin golił się od czasu do czasu, ale jednak zachowywał na policzkach zawsze dość włosów, żeby wyglądać na zbiega. Ustawicznie trząsł się z zimna, lub przynajmniej takie robił wrażenie, choć nigdy nie zdejmował palta, wielkiego wyboru plama a zwłaszcza łupieżu, który potem przytkaniem paznokci rozsiewał dokoła, ściągając jednocześnie swój niespokojny kosmyk włosów na nos, zielono-różowy.

Podczas moich ćwiczeń w zakładach praktycznych Wydziału Parapin dał mi kilka lekcji mikroskopu i dowody w różnych okazjach pewnej rzeczywistej przychylności. Spodziewałem się, że z tych już odległych czasów nie zapomni mi całkowicie i że będzie mógł może dać mi opinię terapeutyczną pierwszorzędnej wagi co do wypadku Beberta, który mnie naprawdę całkiem pochłaniał.

Stanowczo, stwierdziłem w sobie, daleko więcej mi zależy na wyrwaniu śmierci Beberta niż jakiegoś dorosłego chorego. Człowiek nigdy nie jest bardzo niezadowolony, gdy jakiś dorosły odwali kite, zawsze to o jedno bydlę na świecie mniej, mówi sobie, gdy tymczasem z dzieckiem to jednak nie jest tak pewne. Jest przyszłość.

Parapin, poinformowany o moich kłopotach, jaknajchętniej chciał mi dopomóc i wskazać kierunek mojej terapii w tym niebezpiecznym wypadku, tylko że on w ciągu dwudziestu lat nauczył się tylu rzeczy i tak różnorodnych i tak często sprzecznych z sobą w dziedzinie tyfusu, że teraz stało się dlań bardzo trudne i można prawie powiedzieć, niemożliwe sformułowanie na temat tej choroby, tak pospolitej, w sprawie jej leczenia jakiegokolwiek sądu wyraźnego lub kategorycznego.

— Przedewszystkiem, czy pan wierzy, drogi kolego, w surowice? zaczął od tego pytania. Co? co pan o tem sądzi?... Szczepionki?... Jakie pan kolega ma ogólne wrażenie?... Świetne głowy nie chcą już teraz słyszeć o szczepionkach... To jest śmiałe, kolego, zapewne... Ja też jestem tego zdania... Ale ostatecznie? Hm... Mimo wszystko... Nie uważa pan, że jest doza prawdy w tym negatywizmie?... Jak pan myśli?...

Zdania wychodziły z jego ust w gwałtownych skokach, w lawinie olbrzymich „R“.

Gdy on tak się szamotał niby lew wśród różnych i beznadziejnych hipotez, Jaunisset, który żył jeszcze w owych czasach, znakomity sekretarz generalny, przeszedł właśnie pod naszymi oknami, precyzyjny i wyniosły.

Na jego widok Parapin stał się jeszcze bleśny, jeśli to było możliwe, i nerwowo zmienił temat rozmowy, chcąc czempredzej dać mi odczuć cały wstręt, jaki w nim wzbudzał sam widok codzienny tego Jaunisseta, zresztą powszechnie wysławianego. Nazwał tego słynnego Jaunisseta w ciągu jednej chwili fałszerzem, manjakiem najstraszniejszego gatunku i obarczył go ponadto zbrodniami potwornymi i niebywałymi dotąd i tajnymi, których było aż nadto by zaludnić całą katorgę na lat sto.

I nie mogłem już powstrzymać Parapina od dania mi stu i tysiąca zionących nienawiścią szczegółów o błazeńskim zawodzie naukowego poszukiwacza, do którego zmuszony był siebie zniewalać, żeby mieć co do gęby włożyć, nienawiść dokładniejsza, bardziej naprawdę naukowa niż te co emanują z innych ludzi, postawionych w podobne warunki w biurach lub w sklepach.

Mówił bardzo głośno i dziwiłem się jego otwartości. Jego laborant słuchał nas. On też skończył swe drobne pitraszenie i jeszcze tylko dla formy kręcił się między cieplarkami i próbkami, ale tak przywykł słyszeć przekleństwa Parapina, niemal codziennie, że uważał teraz te słowa, mimo ich całej krańcowości, za zgoła akademickie, bez znaczenia. Pewne drobne doświadczenia na własną rękę, które laborant robił z wielką powagą w jednej z cieplarek laboratorium, wydawały mu się, wbrew temu co wygadywał Parapin, nadzwyczajne i rozkosznie pouczające. Wściekle wybuchy Parapina nie zdołały oderwać jego uwagi. Przed wyjściem zamknął drzwiczki cieplarki ze swemi osobistymi mikrobami, niby drzwiczki tabernaculum, tkliwie, skrupulatnie.

— Widział kolega mojego laboranta? Widział pan mego starego kretyna, laboranta? rzekł Parapin, skoro tylko tamten wyszedł. Otóż, będzie niedługo trzydzieści lat, jak wymiatając po mnie śmieci, słyszy dokoła siebie tylko o wiedzy i dużo tego i szczerze, do czorta!... i tymczasem nietylko mu to nie obmierzło, lecz on i tylko on teraz ostatecznie w nią wierzy, tutaj właśnie! Gmerając w moich hodowlach, doszedł do uważania ich za coś cudownego! Oblizuje się po nich!... Pierwsze lepsze moje małpiarstwo upaja go! Czyż zresztą nie dzieje się to samo we wszystkich religjach? Czy nie bywa, że ksiądz oddawna już myśli o czem innym, nie o Panu Bogu, a jego kościelny wciąż w Boga wierzy... I twardo wierzy?... Doprawdy, rzygać się chce!... Mój ogłupieniec czyż nie posuwa śmieszności aż do kopjowania wielkiego Biodureta Józefa w jego stroju i bródce! Zauważył pan?... Między nami mówiąc, a propos tego, wielki Bioduret różnił się od mojego laboranta

właściwie tylko swą światową reputacją i natężeniem swych zachcianek... Ze swoją manją znakomitego płókankania butelek i czuwania z niesłychanie bliskiej odległości nad wykluciem się moli, wydawał mi się zawsze potwornie wulgarny ten olbrzymi geniusz eksperymentów... Niech pan tak odbierze wielkiemu Bioduretowi jego niesłychaną małostkowość gospodarską i niech mi pan powie z łaski swojej, co godnego podziwu z niego pozostanie? Pytam się pana... Wroga figury dozorczy, szykanującego i niezycliwego. To wszystko. Ponadto, dał w Akademji dowody swego świńskiego charakteru przez dwadzieścia lat, które tam spędził, prawie przez wszystkich nieznośny, użerał tam się niemal ze wszystkimi i nie trochę tylko... To był pomysłowy megaloman... I kwita.

Parapin z kolei zabierał się powoli do wyjścia. Pomogłem mu owinać sobie szyję rodzajem szala i nałożyć na stały łupież palta coś na podobieństwo mantyli. Wówczas wróciła mu myśl, że przyszedłem do niego w jakiejś sprawie bardzo konkretnej i pilnej. „Ach, rzekł, nudząc pana memi drobiazgami, zapomniałem o pańskim pacjencie! Wybaczcie mi, kolego, i wracajmy jaknajprędzej do tej sprawy! Ale cóż mogę, ostatecznie powiedzieć, czegoby pan już nie wiedział! Śród tylu chwiejnych teoryj, doświadczeń podlegających dyskusji, rozum nakazywałby w gruncie rzeczy nie czynić wyboru! Niech więc kolega robi, żeby było jaknajlepiej! Skoro musi kolega działać, no to tak, żeby było jaknajlepiej! Co do mnie zresztą, mogę tu pana zapewnić poufnie, ta typowa choroba zdołała obmierznąć mi bezgranicznie! Ponad wszelkie wyobrażenie nawet. Gdy w młodości wzięłem się do tyfusu, było nas niewielu

badaczy tej dziedziny i mogliśmy w rezultacie łatwo siebie porachować, wykazać wzajemnie swoją wartość... Tymczasem teraz, cóż mam panu powiedzieć? Z Japonji przyjeżdżają, mój kochany! z Peru! Codzień więcej! Ze wszystkich stron zjeżdżają się specjaliści! Fabrykują ich masowo w Japonji! Zobaczyłem, że świat stał się w ciągu kilku lat istnym bałaganem publikacyj powszechnych i dziwacznych na ten właśnie wałkowany bez końca temat. Zapewne, decyduję się z rezygnacją, dla zachowania swego miejsca w tej dziedzinie i bronię go jako tako, na druk i przedruk mego artykułiku z pewnego kongresu po różnych przeglądach, czyniąc w nim pod koniec każdego roku poprostu tylko pewne subtelne i nieszkodliwe modyfikacje, zgoła podrzędne... Jednakże, wierzcie mi kolego, tyfus w naszych czasach jest tak samo spartaczony i spospolitowany jak mandolina lub banjo. Można zdechnąć, powiadam wam! Każdy chce w nim zagrać jakąś melodyjkę na swój sposób. Nie, wolę się panu przyznać, nie czuję się już na siłach dręczyć się dłużej i na stare lata szukam jakiegoś spokojnego kącika badań, któryby mi nie przysparzał ani wrogów, ani uczniów, lecz dałby mi ten przeciętny rozgłos bez zazdrości, którym się zadawałam i którego bardzo mi potrzeba. Między innymi przyszło mi na myśl badanie wpływu porównawczego centralnego ogrzewania na hemoroidy w krajach północnych i południowych. Co kolega o tem myśli? Higjena? Djeta? To są w modzie te historyjki, czy nie! Takie studja, prowadzone przyzwoicie i przewlekane, zjedną mi względy Akademji, jestem przekonany, bo większość jej stanowią starcy, dla których te problemy centralnego ogrzewania i hemoroid nie mogą

być obojętne. Popatrz pan, co oni zrobili dla raka, który ich blisko dotyka!... Niech potem uczci mnie Akademia, jedną ze swych nagród za higienę! Bo ja wiem? Dziesięć tysięcy franków? Co? Byłoby za co pojechać do Wenecji... Byłem, wiecie, w Wenecji za młodych lat... Tak! Ginie się tam z głodu tak samo jak gdzieindziej... Ale tam wdycha się woń śmierci wystawnej, czego potem niełatwo zapomnieć...“

Na ulicy musieliśmy wrócić co tchu, żeby poszukać kaloszy, które on zostawił w Instytucie. Wskutek tego byliśmy spóźnieni i spieszyliśmy się do pewnego miejsca, o którym on mi nie mówił.

Długą ulicą Vaugirard, usianą jarzynami i zatorami, doszliśmy do skraju placu, otoczonego kasztanami i policjantami. Prześlizgnęliśmy się do tylnej sali kawiarenki, gdzie Parapin usadowił się za szybą, pod osłoną brise-bise¹.

— Zapóźno! rzucił z gniewem. Już wyszły!

— Kto?

— Małe uczennice liceum... Są tam, wie pan, uroczymie między niemi... Znam ich nóżki napamięć. Na resztę moich dni nie chcę nic innego... Idźmy stąd! Trzeba będzie innym razem...

I pożegnaliśmy się, naprawdę jak przyjaciele.

Byłbym rad, gdybym mógł nie wracać nigdy do Rancy. Od owego ranka, kiedym stamtąd się wyrwał, już prawie zapomniałem o moich codziennych troskach; były one jeszcze tak mocno zrosnięte z Rancy, że nie szły za mną. Porzucone, moje troski możeby umarły, jak Bebert, gdybym nie był wrócił. To były troski podmiejskie. Jednak, gdym szedł ku ulicy Bonaparte, zjawiła się znowu refleksja, smutna. A przecież to jest ulica, która może raczej przyjemnie nastroić przechodnia. Mało jest ulic równie życzliwych i wdzięcznych. Ale podchodząc ku nabrzeżom, stałem się jednakowoż niepokojny. Włóczyłem się. Nie mogłem się zdecydować na przejście Sekwany. Nie każdy jest Cezarem! Po drugiej stronie, na tamtym brzegu, zaczynały się moje kłopoty. Postanowiłem czekać tak tutaj, na lewym brzegu, aż zapadnie noc. Bądź co bądź, jeszcze parę godzin słońca dla mnie, mówiłem sobie.

Woda pluskała obok rybaków i siadłem sobie popatrzeć na nich. Doprawdy, mnie też się wcale nie spieszyło, tak samo jak im. Doszedłem zdawałoby się do chwili, może do wieku, kiedy wie się dobrze, ile się traci z każdą mijającą godziną. Ale nie zdobyło się jeszcze siły mądrości, jakiejby trzeba, żeby zatrzymać się nagi na drodze czasu, a pozatem, gdyby się człowiek zatrzymał, też nie wiedziałby, co robić ze sobą w tym szale posuwania się naprzód, który nami włada i który się uwielbia od wczesnej młodości. Już się jest mniej dumnym z niej, ze swej młodości, ale człowiek nie śmie je-

¹ Krótkie firanczki, od połowy okna do dołu. *Przyp. tłum.*

szcze przyznać się otwarcie, że może tylko to jest jego młodością, ten pociąg do starzenia się.

Wykrywa się w całej swojej śmiesznej przeszłości tyle śmiesznego, tyle złudzeń, łatwowierności, że chciałoby się może odrazu przestać być młodym, poczekać aż młodość się od nas oderwie, poczekać aż minie nas, widzieć jak idzie sobie, oddala się, popatrzeć na całą jej próżność, sięgnąć w jej pustkę, widzieć ją jeszcze, jak przechodzi przed nami, a potem odchodzi, być pewnym, że własna młodość naprawdę poszła sobie, i wtedy ze swej strony, spokojnie i cicho przejść na drugą stronę Czasu, żeby popatrzeć, jacy są naprawdę ludzie i rzeczy.

Z nabrzeża rybacy nie łapali nic. Nie widać było nawet, żeby im zależało na złapaniu ryb. Ryby musiały ich znać. Siedzieli oni tam wszyscy, udając że łowią. Ładne ostatnie słońce trzymało jeszcze trochę ciepła dookoła nas, krzesając na wodzie małe odblaski niebiesko-złote. Wiatr, zupełnie świeży przychodził z naprzeciwka przez duże drzewa, zupełnie uśmiechnięty wiatr, schylając się w tysiącnych liściach, łagodnymi podmuchami. Dobrze tu było. Całe dwie godziny takeśmy siedzieli, nic nie łapiąc, nic nie robiąc. A potem Sekwana pociemniała i kął mostu stał się zupełnie czerwony od zmiernych. Ludzie przechodzący nabrzeżem nie interesowali się nami, tam, między brzegiem a wodą.

Noc wylazła z pod arkad mostu, poszła górą wzdłuż Luwru, zajęła fasadę, okna, jedno po drugim, pałające w obliczu mroku. Poczem i one, okna, pogasły.

Nie pozostało nic innego jak raz jeszcze iść sobie.

Bukiniści nabrzeża zamykali swe skrzynki. „Chodźże!” wołała żona przez parapet na męża, obok mnie,

sprzątającego swe przybory, składany stołek i glisty. Chrząknął i wszyscy inni rybacy chrząknęli po nim i poszliśmy w górę, ja też, chrząkając razem z idącymi ludźmi. Zagadałem do jego żony, tak sobie, żeby jej powiedzieć coś przyjemnego, zanim wszędzie będzie ciemno. Zaraz chciała mi sprzedać jakąś książkę. To była książka, którą zapomniała włożyć do skrzynki, jak twierdziła. „Więc to będzie taniej, prawie za nic...” dodała. Stary mały „Montaigne”, najprawdziwszy w świecie, za franka. Chciałem zrobić przyjemność tej kobiecie za taką małą kwotę. Wziąłem u niej jej „Montaigne’a”.

Pod mostem woda zrobiła się zupełnie ciężka. Nie miałem żadnej ochoty iść naprzód. Na bulwarach wypilem białej kawy i otworzyłem książkę, którą mi sprzedała. Otwierając, trafiłem akurat na stronicę z listem Montaigne’a do żony, pisany właśnie z okazji syna, który dopiero co im zmarł. Natychmiast mnie zainteresował ten ustęp, prawdopodobnie z powodu związku, jaki to dla mnie zaraz miało z Bebertem. „Ach! mówił Montaigne tak mniej więcej do swej małżonki: Nie frasz się, droga moja żono! Musisz się jakoś pocieszyć!... To jakoś się ułoży!... Wszystko w życiu się układa... A zresztą, mówił jej jeszcze, akurat wczoraj znalazłem w starych szpargałach mego przyjaciela pewien list, który Plutarch posłał też swojej żonie w okolicznościach kubek w kubek takich samych jak nasze... I tak mi się spodobał jego list, droga moja żono, że ci go posyłam!... To jest piękny list! Zresztą, nie chcę cię dłużej pozabawiać go, powiesz mi swe zdanie o nim wedle zlecenia twego frasunku!... Droga moja małżonko! Posyłam ci piękny list! On jest trochę jak tamten, Plutarcha!...

Można to rzec! Niezmiernie cię zainteresuje!... O, tak! Zapoznaj się z nim, droga moja żono! Przeczytaj go uważnie! Pokaż go przyjaciółom. I odczytaj go raz wtóry! Jestem teraz zupełnie spokojny! Tuszę sobie, że ci przywróci wigor!... Twój dobry mąż. Michał". To się nazywa, powiedziałem sobie, piękne dzieło. Jego żona musiała być dumna, że ma takiego dobrego męża jak jej Michał, który się nie frasuje. A zresztą, to ich rzecz. Człowiek zawsze może myli się, gdy idzie o sądzenie czyjegoś serca. Może oni naprawdę martwili się? Zmartwieniem ówczesnym?

Ale co się tyczy Beberta, miałem dzień przeklęty. Nie miałem szczęścia do Beberta, żywego czy umarłego. Widocznie, niema dlań nic na ziemi, nawet u Montaigne'a. Może zresztą dla wszystkich jest to samo, gdy się trochę zastanowić, pustka. Niema co mówić, wyjechałem z Rancy z samego rana, trzeba było wracać, i wracam z pustymi rękami. Absolutnie nic nie przywożę ani dla niego, ani dla ciotki.

Mały spacer przez plac Blanche przed powrotem.

Widzę kupę ludzi w ulicy Lepic, jeszcze więcej niż zwykle. Więc i ja idę, zobaczyć. Tłum stał koło jednego rzeźnika, na rogu. Trzeba było zgnieść sobie żebra, żeby zobaczyć, co się stało, taka ciżba dokoła. Świnia tam była, tłusta, ogromna. Ona też jęczała w środku tego koła, jak człowiek, którego gnębią, ale strasznie. I bez przerwy dokuczali jej. Ludzie wykręcali jej uszy, żeby słyszeć kwik. Świnia wiała się i wykręcała sobie nogi, chcąc uciec, tak naprężała postronek, inni dokuczali jej w różny sposób i świnia kwiczała jeszcze głośniejszym głosem. A tłum śmiał się jeszcze bardziej.

Wielka świnia nie wiedziała, jak się schować w tej odrobinie słomy, jaką jej zostawiono. Słoma fruwała, gdy chrząkała i sapała w nią. Nie wiedziała, jak uciec od ludzi. Rozumiała to. Jednocześnie mokrzyła, ile tylko mogła, ale to też nie skutkowało. Nic nie pomagało. Bawili się. Rzeźnik z tyłu w swym sklepie wymieniał zaki i żarty z klientami i wymachiwał wielkim nożem.

On też był kontent. Kupił świnie i przywiązał ją dla reklamy. Na weselu córki nie ubawiłby się lepiej.

Coraz więcej ludzi zbierało się przed sklepem popatrzeć jak świnia wali się w swe różowe fałdy po każdej próbie ucieczki. Jednakże tego nie było dość. Poszczuto na nią małego złego pieska, żeby skakał i kąsał ją w tłuste rozszerzone ciało. Tak się bawiono, że nie było przejścia przez ulicę. Nadeszli policjanci, żeby rozpruścić gapiów.

Gdy o tej porze dojdzie się na wysokość wiaduktu Canlaincourt, widać po drugiej stronie wielkiego jeziora mroku, leżącego na cmentarzu, pierwsze światła Rancy. Na drugim brzegu tego jeziora jest Rancy. Żeby tam dojść, trzeba obejść je dokoła. To tak daleko! Można by więc powiedzieć, że obchodzi się samą noc, tyle czasu trzeba iść i tyle kroków zrobić dokoła cmentarza, by dotrzeć do fortyfikacji.

A potem, gdy dojdzie się do bramy, przy akcyzie miejskiej, przechodzi się jeszcze obok zmurszałego biurowca celnika, gdzie wegetuje drobny zielony funkcjonariusz. Stąd już jest zupełnie blisko. Psy pasa forteczni są na swych posterunkach szczekania. Pod latarnią gazową są mimo wszystko kwiaty, handlarki, za-

wsze tu wyczekującej na zmarłych, przechodzących tędy co dnia, co godzina. Cmentarz, jeszcze jeden, z boku, a potem bulwar Buntu. Wiedzie ze wszystkimi swemi lampami, prosty i szeroki, w sam mrok. Trzeba nim iść i na lewo. Byłem na swej ulicy. Nikogo doprawdy nie można było spotkać. Jednakże byłbym bardzo rad być gdzieindziej i daleko stąd. Chciałem też mieć wojskowe papucie, żeby zupełnie nie słyszano mego powrotu do domu. A przecież nie było w tem żadnej mojej winy, jeśli Bebertowi wcale nie było lepiej. Zrobiłem co tylko mogłem. Nie miałem sobie nic do wyrzucenia. Nie moja wina, jeżeli nic nie można było poradzić w takich wypadkach jak ten. Doszedłem do moich drzwi i, sądziłem, niezauważony, Poczem, wszedłszy do mieszkania, nie otwierając okienic, patrzyłem przez szpary, czy ludzie stoją wciąż i gadają przed lożą Beberta. Wychodzili jeszcze z domu odwiedzający, ale nie mieli takich min jak wczoraj. Posługaczka z sąsiedztwa, którą dobrze znałem, popłakiwała, wychodząc. „Stanowczo wygląda na to, że jest jeszcze gorzej, mówiłem sobie. W każdym razie z pewnością nie jest lepiej... Może już skończył? mówiłem sobie. Skoro jedna już płacze!...” Dzień mój był skończony.

Mimo to badałem siebie, czy byłem bez winy w tem wszystkim. Chłodno i cicho było u mnie. Jakgdyby mała noc w kącie wielkiej, specjalnie dla mnie jednego.

Od czasu do czasu dochodził odgłos kroków i echo wdzierało się coraz głośniejsze do mego pokoju, brzęczało, rozplywało się... Cisza. Patrzyłem jeszcze, czy

dzieje się co na dworze, naprzeciwno. Tylko we mnie to się działo, stawiając mi wciąż to samo pytanie.

Wreszcie usnąłem nad tem pytaniem, w mojej własnej nocy, w tej trumnie, do tego stopnia byłem znudzony chodzeniem i nie znalezieniem niczego.

Niema co siebie łudzić, ludzie nie mają sobie nic do powiedzenia, mówią ze sobą tylko każdy o swych strapieniach, to jasne. Każdy dla siebie, świat dla wszystkich. Próbuja złożyć swe strapienia na cudze barki, w chwilach miłości, ale to się nie udaje, daremnie się wysilają, zachowują w całości swe strapienie i zaczynają nanowo, próbują jeszcze raz je ulokować. „Pani jest ładna, panno X” powiadają. I życie chwytają w swe obroty, aż do następnego razu, gdy spróbuje się jeszcze tej samej sztuczki. „Pani jest bardzo ładna, panno X...”

A to chętnie się co pewien czas, że udało się uwolnić od swego strapienia, ale wszyscy wiedzą, czyż nie, że to wcale nie jest tak, że się je całkowicie zatrzymało dla siebie. Że człowiek staje się coraz brzydszy i bardziej odpychający, starzejąc się w tej grze, nie można już nawet ukryć swego strapienia, swego bankructwa, ma się wreszcie pełną twarz tego paskudnego grymasu, który zaczyna od dwudziestego, trzydziestego roku życia i więcej posuwać się dogóry z brzucha i włązi wreszcie na twarz. Do tego, tylko do tego służy człowiekowi grymas, który przez całe życie sobie sporządza i jeszcze nawet nie zawsze zdoła go wykończyć, tak ciężki i skomplikowany jest grymas, jaki należałoby zrobić, by wyrazić całą swoją duszę bez reszty.

Mój własny grymas właśnie cyzelowałem w owym czasie rachunkami, których nie nadażyłem płacić, choć

niewielkie były, mojem niemożliwym komornem, moim płaszczem o wiele za cienkim na porę roku i sklepikarzem, co śmiał się w kącie, widząc jak liczę swoje susy, jak waham się w wyborze sera, jak czerwienię się gdy winogrona drożeją. A potem również z powodu chorych, którzy nigdy nie byli zadowoleni. Wypadek zgonu Beberta nie zrobił mi również dobrze w mym rejonie. Ale ciotka nie miała do mnie pretensji. Nie można powiedzieć, żeby ciotka była zła w tych okolicznościach, nie. To raczej ze strony Henrouille'ów zacząłem raptem mieć kupę przykrości i doznawać obaw.

Pewnego dnia stara Henrouille'owa, matka, ni z tego ni z owego opuściła swój domek, syna, synowę i sama zdecydowała się złożyć mi wizytę. To nie było głupie. A potem przychodziła często zapytać mnie się, czy ja naprawdę uważam ją za warjatkę. To stanowiło widocznie rozrywkę dla tej baby, przychodzić umyślnie, żeby mnie o to zapytywać. Czekala na mnie w pokoju, służącym mi za poczekalnię. Trzy krzesła i stolik na trzech nogach.

Gdy wróciłem do domu tego wieczoru, zastałem ją w poczekalni w trakcie pocieszania ciotki Beberta opowiadaniem jej, ilu to ona, stara Henrouille'owa straciła krewnych na swej drodze, zanim dożyła swych lat, siostrzenic tuzinami, wujów, stryjów tu i tam, ojca bardzo już dawno, w połowie zeszłego wieku, a co ciotek, a co własnych córek pomarłych potrochu wszędzie, że nie wiedziała już dobrze, ani gdzie, ani jak, bo jej własne córki stały się tak niewyraźne, niepewne, że musiała je sobie teraz wyobrażać i to z niemałym trudem, skoro tylko chciała mówić o nich komu. To nie były już właściwie wspomnienia, jej własne dzieci. Wlokła

za swem starem łonem cały korowód dawnych i drobnych zgonów, cienie nieme oddawna, niepochwytnie zmartwienia, które usiłowała poruszyć jeszcze nieco mimo wszystko, z wielkim trudem, dla pocieszenia, gdy przyszedł, ciotki Beberta.

Potem przyszedł jeszcze do mnie Robinson. Poznali się wszyscy troje i zaprzyjaźnili.

Od tego właśnie dnia, przypominałem sobie później, Robinson przywykł spotykać w mej poczekalni starą Henrouille'ową. Gadali ze sobą. Nazajutrz był pogrzeb Beberta. „Pójdzie pani? pytała ciotka wszystkie spotykane osoby, bardzo będę rada gdy pani będzie“...

— Co nie miałabym pójść, odparła starucha. Przyjemnie jest w takich chwilach mieć ludzi koło siebie. Nie można jej było utrzymać teraz w jej norze. Stała się towarzyska.

— No, to doskonale, że pani będzie! dziękowała ciotka. A pan, też przyjdzie? zwróciła się do Robinsona.

— Ja, proszę pani, boję się pogrzebów, proszę mi wybaczyć, odparł, żeby się wymigać.

A potem każde z nich gadało jeszcze, tylko o sobie, prawie gwałtownie, nawet ta sędziwa Henrouille'owa, wtrącająca się do rozmowy. O wiele za głośno rozmawiali wszyscy, jak u warjatów.

Wziąłem więc starą do swego pokoju obok, gdzie przyjmowałem chorych.

Niewiele miałem jej do powiedzenia. To ona raczej zwracała się do mnie. Przynależem jej, że nie będę nalegał na wydanie świadectwa. Wróciliśmy do poczekalni, usiedliśmy i gadało się jeszcze we czworo dobrą godzinę na temat nieszczęśliwego wyniku choroby Beberta. Stanowczo, wszyscy w dzielnicy byli tego samego

zdania, że zadałem sobie niemało trudu by ocalić małego Beberta, że to była jedynie fatalność, że słowem, zachowywałem się wzorowo i że śmierć jego była niemal niespodzianką dla wszystkich. Kiedy starej Henrouille'owej powiedzieli wiek dziecka, siedem lat, doznała wyraźnie ulgi i była jakgdyby zupełnie uspokojona. Śmierć takiego młodego dziecka wydała jej się prawdziwym wypadkiem tylko, nie normalną śmiercią, nad którą mogłaby się zastanawiać.

Robinson zaczął nam raz jeszcze opowiadać, że kwasy przepalają mu żołądek i płuca, duszą go i wywołują czarne plwociny. Ale stara Henrouille'owa nie pluła krwią, nie pracowała w kwasach, więc to co opowiadał Robinson nie mogło jej interesować. Ona przyszła poto tylko, żeby wyrobić sobie opinię o mnie. Patrzyła na mnie zukosa, gdy mówiłem, swemi małemi żrenicami, żywemi i niebieskawemi, a Robinson nie tracił ani krzty z tego całego ukrytego między nami niepokoju. Zaczęło się robić ciemno w mej poczekalni, wielki dom po drugiej stronie ulicy bladł szeroko, zanim poddał się nocy. Potem były już tylko między nami nasze głosy i to, co one zawsze zda się, już gotowe są powiedzieć, a nie mówią nigdy.

Gdy zostaliśmy sami, próbowałem dać do zrozumienia Robinsonowi, że nie mam najmniejszej ochoty przyjmować go u siebie, ale mimo to przyszedł w końcu miesiąca, a potem przychodził prawie co wieczór. Prawda, że z jego płucami było kiepsko.

— Pan Robinson znowu się o pana pytał... przypominała mi stróżka, która się nim interesowała. On z tego nie wyjdzie, co? ...dodawła. Jak przyszedł to

jeszcze kaszał... Dobrze wiedziała, że to mnie drażni, gdy mi o nim mówi.

To prawda, że kaszał. „Niema rady, sam przepowiadał, nigdy z tego się nie wygrzebię...”

— Poczekaj do lata! Trochę cierpliwości! Zobaczysz... Samo przejdzie...

Jednym słowem, to co się mówi w takich razach. Ja nie mogłem go wyleczyć, póki będzie pracował w kwasach... Staralem się mimo to dodać mu otuchy.

— Samo przejdzie? odpowiadał. Dobrze ci gadać!... Myślałby kto, że to łatwo tak oddychać jak ja oddycham... Chciałbym cię widzieć z takim draństwem w piersi, jak ja mam... Człowiek musi się wykopyrtnąć, mając takie draństwo w piersi jak ja mam... Ja ci to powiadam... no...

— Jesteś przygnębiony, przechodzisz złe chwile, ale gdy będziesz się czuł lepiej... Nawet trochę lepiej, zobaczysz....

— Trochę lepiej? Do jamy pójdę trochę lepiej! Lepiej! Lepiej byłbym wogóle zrobić, zostając na wojnie, to byłoby naprawdę lepiej! Tobie dobrze, żeś wrócił... Nie możesz narzekać!

Ludzie upierają się przy swych podłych wspomnieniach, przy wszystkich swoich niedolach i nie można ich z tego wydobyć. To im absorbuje duszę. Mszczą się na niesprawiedliwości swej terażniejszości, robiąc sobie przyszłość z gnoju. W istocie są tchórze, i nie może być inaczej. Taka ich natura.

Nic mu już nie odpowiadałem. Miał o to do mnie pretensję.

— A widzisz, że i ty tak samo myślisz!

Żeby mieć spokój, przyrządziłem mu lekarstwo na

kaszel. Sąsiedzi jego skarżyli się, że kaszle bez przerwy i nie daje im spać. Gdy napełniłem mu butelkę, głowił się, gdzie u licha mógł się nabawić takiego niepowstrzymanego kaszlu. Jednocześnie prosił mnie, żebym mu robił zastrzyki: z soli złota.

— Jeżeli zdechnę od zastrzyków, wiesz, nic nie stracę!

Ale ja, rozumie się, odmówiłem stosowania jakichkolwiek środków ryzykownych. Chciałem przedewszystkiem, żeby sobie poszedł.

Ja sam straciłem wszelką wenę od jego szwędania się tutaj znowu. Już i tak kosztowało mnie nie słychanie nie dać się porwać prądowi własnej nędzy, oprzeć się chęci zamknięcia swych drzwi raz na zawsze, i dwadzieścia razy na dzień powtarzałem sobie: „Naco to wszystko?” I słuchać jeszcze na dobitkę jego jęremiad, tego było naprawdę zawiele.

— Nie masz odwagi Robinsonie! mówiłem mu koniec kłóców... Powinienbyś się ożenić, to może dałoby ci ochotę do życia... Gdyby miał przy sobie żonę, odciąłby mnie trochę. Po takim powiedzeniu odchodził, wrytowany. Nie lubił moich rad, zwłaszcza takich. Nie odpowiadał mi nawet w tej sprawie małżeństwa. Bo też to była, przyznać trzeba, dość głupia ta moja rada.

Pewnej niedzieli, gdy nie miałem dyżuru, wyszliśmy z dziećmi. Na rogu bulwaru Wspaniałomyślnego wstąpiliśmy do kawiarni wypić sobie na werandzie cassis z diabolo. Mało się do siebie gadało, niewiele mieliśmy już sobie do powiedzenia. Przedewszystkiem, naco słowa, gdy się wie, co się wzajem o sobie myśli? Wymyślił się i tyle. W niedzielę niewiele przechodzi autobusów. Z werandy to jest prawie przyjemność widzieć

przed sobą bulwar czysty, też odpoczywający. Z tyłu był gramofon traktjerni.

— Słyszysz? odezwał się Robinson. Gra melodie amerykańskie, jego fono; poznaję te melodie, to te same co grali w Detroit u Molly...

Przez te dwa lata, co tam spędził, nie zapoznał się bliżej z życiem Amerykan, jednakże pozostawił na nim pewne wrażenie ich rodzaj muzyki, gdzie i oni próbują porzucić swoje ciężkie nawyki i gnębiący trud robienia codziennie tej samej rzeczy i podrepcą sobie trochę z życiem, które nie ma sensu, póki to gra. Niedźwiedzie, tu, tam.

Bez końca rozmyślał o tem wszystkim nad swoim cassisem. Trochę kurzu zrywało się z różnych stron. Koło platanów wałęsały się małe dzieci, umorusane i brzuchate, zwabione też dyskiem. W gruncie rzeczy nikt nie może oprzeć się muzyce. Niema co robić z własnym sercem, chętnie je się oddaje. Trzeba słyszeć na dnie każdej muzyki melodie bez nut, stworzoną dla nas, melodie Śmierci.

Kilka sklepów jest jeszcze otwartych w niedzielę, przez upór: handlarka pantofli wychodzi ze swego i gadając promenuje od jednej pobliskiej wystawy do drugiej swe kila żyłaków na nogach.

W kiosku dzienniki poranne zwisają rozlazłe i już trochę poźółkłe, olbrzymi karczoł wiadomości już w trakcie jełczenia. Jakiś pies robi na to siusiu, szybko, dama w kiosku drzemie.

^Pusty autobus wali do remizy. Myśli wkońcu też mają swoją niedzielę; człowiek jest jeszcze bardziej ogłupiał niż zazwyczaj. Jest tutaj, czyży. Ziewać mu się chce. Jest kontent. Nie ma o czem gadać, bo w grun-

cie rzeczy nic mu się już nie przytrafia, jest za biedny, może zbrzydziło go sobie życie? To byłoby w porządku. ^

— Czy ty nie widzisz jakiego kawału, którybym mógł zrobić, żeby rzucić moje zajęcie, co mnie morduje?

Wychynał z toni swych rozmyślań.

— Chciałbym wyleżeć z mojego biznesu, rozumiesz mnie? Już mam dosyć mordować się jak muł.. Ja też chcę sobie trochę użyć... Czy nie znasz przypadkiem ludzi, coby potrzebowali szofera?... Przecież ty masz stosunki?

To były myśli niedzielne, myśli dżentelmena, co go napadły. Nie śmiałem go od nich odwozić, dać mu do zrozumienia, że z jego głową mordercy przy robocie niktby mu nigdy nie powierzył swego samochodu, że zawsze zachowa trochę podejrzaną wygląd, w liberji czy bez.

— Nie zachęcasz mnie, jak widzę, wywnioskował. Więc nigdy nie wyleżę z tego, według ciebie?... Więc nawet nie warto żebym próbował?... W Ameryce, mówiłeś, nie bardzo mi się wiodło... W Afryce, mordowało mnie gorąco... Tutaj nie jestem dość inteligentny... W rezultacie wszędzie jest coś, czego mam za dużo lub zamało... Ale ja sobie z tego wszystkiego zdaję sprawę, to chodzi o bryndzę! Ach, gdybym miał forszę!... Dla wszystkich byłbym bardzo miły tutaj... tam... I wszędzie... Nawet w Ameryce... Czy ja nie mam tu racji? A ty sam?... Brak nam tylko kamieniczki z sześciu lokatorami, co dobrze płacą...

— To istotnie prawda, odpowiedziałem.

Nie mógł się sobie wydziwić, że sam doszedł do tej głównej konkluzji. I naraz dziwnie na mnie popatrzał,

tak jakby raptem odkrył we mnie aspekt niesłychanego łajdaka.

— Ty, jak sobie o tobie pomyślę, ty wiesz, jak się urządzać. Sprzedajesz swoje blagi różnym zdechlakom i resztę masz gdzieś... Nikt ciebie nie kontroluje, nic... Przychodzisz i odchodzisz kiedy chcesz, masz jednym słowem swobodę... Wyglądasz sympatycznie, ale w gruncie, to z ciebie też porządny drań!...

— Jesteś niesprawiedliwy, Robinsonie!

— No to, słuchaj, znajdź-że mi coś!

Trwał mocno w swym zamiarze pozostawienia swej pracy w kwasach innym...

Ruszyliśmy z powrotem bocznymi uliczkami. Pod wieczór możnaby było jeszcze pomyśleć, że Rancy to wieś. Bramy posesyj warzywników są uchylone. Wielkie podwórze puste. Psia buda również. Jakiegoś tam wieczora, takiego jak dzisiejszy, dawno już temu, chłopcy wynieśli się ze swych sadyb, przepędzeni przez miasto, wychodzące z Paryża. Pozostały z tych czasów już tylko jedna czy dwie rudery, nie do sprzedania, zmurzałe i zagarnięte już przez znudzone glicynje, opadające po niskich ścianach, czerwonych od afiszów. Brona, zawieszona między dwiema rynnami, nie może już bardziej zardzewieć. To jest przeszłość, której się już nie dotyka. Mija sama. Obecni mieszkańcy są zbyt znużeni, gdy wieczorem wracają do siebie, żeby dotykać czegokolwiek na swym domu. Prostu skupiają się parami w tem, co pozostało z izb i piją. Sufit ma na sobie kręgi dymu od chybotliwych lamp wiszących niegdysiejszych. Cała dzielnica dygoce, nie skarżąc się, od ustawicznego warkotu nowej fabryki. Omszałe dachówki spadają na kocie łby, jakich już niema nigdzie bodaj

poza Wersalem i w szacownych zabytkowych więzieniach.

Robinson towarzyszył mi aż do małego parku miejskiego, objętego podkową składów, gdzie cała okoliczna bezdomność przychodzi wylegiwać się na parszywych trawnikach między kręgielnią dla podagryków, obtrąconą Venus i pagóreczkiem piasku do zabawy i robienia psipsi.

Zaczęliśmy znowu gadać o tem i owem. „Wiesz, czego mi brak? Żebym mógł pić“. Ta myśl go nurtowała. „Gdy piję, mam takie kurcze, że nie sposób wytrzymać. Jeszcze mi gorzej!“ I dał mi zaraz dowód, bekając raz po raz, że nie mógł nawet znieść naszego małego cassisu popołudniu... „Sam widzisz?“

Pożegnał się ze mną przed swoją bramą. „Pałac Przeziębłych“, jak obwieścił. Znikł. Sądziłem, że go tak prędko nie zobaczę.

Moje sprawy tak wyglądały, jakby chciały się trochę poprawić i właśnie w ciągu owej nocy. Do domu, gdzie mieści się komisariat policji, byłem wzywany dwukrotnie, do pilnych wypadków. W niedzielę wieczorem wszystkie wzdychania, emocje, niecierpliwości są porzpinane. Miłość własna jest jeszcze w nastroju świątecznym, podochocona. Po całym dniu swobody alkoholicznej niewolnicy zaczynają oto trochę brykać, trudno dać sobie z nimi radę, węższą, parszają i potrzęsają łącuchami.

W jednym tylko domu, w domu komisariatu, rozgrywały się jednocześnie dwa dramaty. Na pierwszym piętrze umierał chory na raka, na trzecim odbywało się poronienie, z którym akuszerka nie mogła sobie poradzić. Ta matrona dawała wszystkim idjotyczne rady,

plókać bez końca ręczniki. A między dwoma zastrzykami wymykała się, żeby zrobić iniekcję rakowatemu zdołu, po dziesięć franków ampułki olejku kamforowego, jeśli łaska. Dla niej dobry był dzień.

Wszystkie rodziny w tym domu spędziły swą niedzielę w peniuarach i w koszulach z zawiniętymi rękawami, żeby być w pogotowiu na przyjęcie wydarzeń, podtrzymując siły korzennem jedzeniem. Czuć było w korytarzach i na schodach czosnkiem i jeszcze dziwniejszymi zapachami. Psy bawiły się, ganiając aż do szóstego piętra. Stróżka chciała trzymać rękę na pulsie całości wydarzeń. Wszędzie jej było pełno. Ona piła tylko białe wino, z powodu że czerwone przynosi straty¹.

Akuszerka, ogromna i w bluzie, reżyserowała obydwie dramaty, na pierwszym i na trzecim, biegając, pocąc się, przejęta i mściwa. Moje przyjście wzburzyło ją. Od samego rana trzymała swą publiczność w ręku gwiazda.

Daremnie wysiłałem się, żeby ją sobie zjednać, trzymać się możliwie na uboczu, uważać wszystko za dobre (gdy w rzeczywistości narobiła tylko niemożliwych głupstw), moje przyjście, moje słowa z miejsca wzbudziły w niej odrazę. Co było robić? Akuszerka, której się pilnuje, jest miła jak zanogcica. Człowiek nie wie, gdzie ją posadzić, żeby jaknajmniej szkodziła. Rodziny wylewały się z kuchni poprzez mieszkanie, aż na schody, mieszając się z innymi jeszcze krewnymi z domu. A co było tych krewnych! Całe grona grubych i cien-

¹ We Francji białe wino jest oznaką pewnej zamożności. Od podłego białego znajdzie się zawsze jeszcze podłejsze czerwone. *Przyp. tłum.*

kich drzemały w świetle lamp wiszących. Robiło się późno i nowi jeszcze przybywali, z prowincji, gdzie kładą się spać wcześniej niż w Paryżu. Ci mieli już tego dosyć. Wszystko, co opowiedziałem tym krewnym dramatu z dołu, zarówno jak krewnym dramatu z góry, było źle przyjęte.

Agonja pierwszego piętra niedługo trwała. I lepiej, i gorzej. Akurat w chwili, gdy dostał przedśmiertnej czkawki, wchodzi jego lekarz domowy, doktor Omanon, tak sobie, zobaczyć, czy jego pacjent umarł, i on ciska się też na mnie, prawie mi wymyśla, zastając mnie przy łożu chorego. Tłumaczę więc Omanonowi, że mam niedzielny dyżur miejski i że moja obecność jest zupełnie naturalna, poczem z godnością idę na trzecie piętro.

Kobieta z góry krwawiła wciąż z odbytnicy. Mało brakowało, żeby i ona wzięła się do umierania, nie czekając dłużej. Minuta dla zrobienia jej zastrzyku i znowu schodzę do bubka Omanona. Było już po wszystkim. Omanon właśnie dopiero co poszedł sobie. Wszelako wziął drań moje dwadzieścia franków. Pęta. Nie chciałem puścić mego miejsca, które zająłem przy poronieniu. W mig więc znowu byłem na górze.

Wobec krwawienia sromu, wytłumaczyłem jeszcze to i owo rodzinie. Akuszerka, oczywiście, nie podzielała mego zdania. Moznaby niemal powiedzieć, że brała łosę za to, żeby mi kontrować. Ale byłem tam, trudno, trzeba gwizdać na to, czy ona jest zadowolona, czy nie! Dosyć ceckania się! Zarobilbym conajmniej sto blatów, gdybym się umiał wziąć do tego i obstawać przy swoim! Jeszcze zimnej krwi i wiedzy, do stu djabłów! Stawiać czoło atakom uwag i pytań, pełnych białego

wina, krzyżujących się nieubłaganie nad twoją niewinną głową, to jest robota, to nie jest łatwe. Rodzina mówi, co jej przychodzi do głowy, przy wzdychaniu i odbijaniu się. Akuszerka znów czeka, żebym się naharował, poszedł sobie i zostawił jej sto franków. Niech się powiesi, akuszerka! A moje komorne? Kto je zapłaci? Ten poród ślimaczy się od rana, zgoda. Krwawi, też się zgadzam, ale to, co ma wyjść, nie wychodzi, i trzeba wiedzieć jak postąpić!

Teraz, kiedy rakowaty na dole umarł, jego publiczność przy konaniu chyłkiem przenosi się tutaj. Skoro się ma całą noc zmarnowaną, skoro się zrobiło to poświęcenie, trzeba korzystać z rozrywek, jakie są na podorędziu. Rodzina z dołu przyszła zobaczyć, czy tutaj zanoszą się na to, że skończy się tak samo źle, jak u nich. Dwoje zmarłych tej samej nocy, w tym samym domu, toż to byłaby emocja na całe życie! Bagatela! Słychać psy wszystkich lokatorów, jak z dzwoneczkami na szyi koziołkują po schodach. One też wchodzi. Zjawiają się jeszcze ludzie, przybyli zdaleka, szepcą. Młode dziewczyny za jednym zamachem „uświadamiają się“, jak mówią ich matki, przybierają tkliwie rozumiejące wyrazy twarzy, w obliczu nieszczęścia. Kobięcy instynkt pocieszania. Jakiś kuzynek jest strasznie tym przejęty. Śledził je od rana. Nie opuszcza ich na krok. To jest rewelacja w jego znużeniu. Wszyscy są rozchamrani. On, kuzyn, ożeni się z jedną z nich, ale chciałby też widzieć ich nogi, póki tu jest, żeby móc lepiej wybrać.

To wypędzanie płodu nie posuwa się naprzód, cieśnina musi być sucha, to się już nie ślizga, tylko jeszcze krwawi. To miało być jej szóste dziecko. Gdzie jest mąż? Żądam żeby przyszedł.

Trzeba było znaleźć męża, żeby móc skierować jego żonę do szpitala. Jakaś krewna zaproponowała mi posłanie chorej do szpitala. Jakaś matka z rodziny, która chciała jednakże iść spać, z powodu dzieci. Lecz kiedy zaczęto mówić o szpitalu, nie było już zgody. Jedni mieli do szpitala pretensje, drudzy zajęli wręcz wrogą pozycję, z racji konwenansów. Nie chcieli ani słyszeć o tem. Z tego powodu doszło nawet do wymiany między krewnymi przykrych słów, których się nigdy nie zapomni. Utkwiły w rodzinie. Akuszerka była pełna pogardy dla wszystkich. Ale ja chciałem, żeby mi odszukano męża, by móc go zapytać, by zdecydowano się wreszcie, tak czy owak. Wyłania się wreszcie z jakiejś grupy mąż, bardziej jeszcze niezdecydowany niż reszta. A przecież to on miał zadecydować. Szpital? Nie szpital? Jak chce? Nie wie. Chce popatrzeć. Więc patrzy. Odsłaniam mu otwór jego żony, skąd sączy się krzepnąca krew, potem bulgotanie, odsłaniam mu żonę całym, niech patrzy. On jęczy jak wielki pies, przejechany przez auto. Razem wzięwszy, on nie wie czego chce. Podają mu szklankę białego wina na pokrzepienie. Siada.

Mimo to, nie przychodzi mu nic do głowy. To jest człowiek, co w dzień ciężko pracuje. Wszyscy dobrze go znają na targu, a zwłaszcza na stacji towarowej, gdzie magazynuje worki dla warzywników, i nie bylejakie, duże, ciężkie worki, od piętnastu lat. Słynny. Spodnie jego szerokie są i luźne, bluza również. Nie traci ich, ale nie wygląda na to, żeby mu tak bardzo zależało na jego bluzie i spodniach. Wygląda na to, że zależy mu tylko na ziemi i na tem, żeby stać na niej prosto, widać to z jego krzepkich, szeroko rozstawio-

nych nóg, jakgdyby ziemia miała się zatrząść lada chwila pod nim. Nazywa się Piotr.

Czekają nań. „Co ty o tem myślisz, Piotrze?“ pytają się go dokoła. Piotr drapie się w głowę, a potem siada przy głowie żony, jakgdyby trudno mu było ją poznać, ją która bez końca wydaje na świat tyle bólu, potem Piotr roni rodzaj łzy i wstaje. Znowu stawiają mu to samo pytanie. Ja przygotowuję już kartę przyjęcia do szpitala. „Pomyśl-że trochę, Piotrze!“ błagają go wszyscy. Owszem, stara się myśleć, ale daje znak, że to nie przychodzi. Podnosi się i chwiejnie wychodzi do kuchni, zabierając swoją szklankę. Poco czekać jeszcze na niego? Jego męzowskie wahanie mogło tak trwać do rana, z tego zdawało sobie sprawę otoczenie. Lepiej już iść sobie.

Strata stu franków dla mnie, oto wszystko! Ale tak czy owak, z tą akuszerką miałbym awanturę... To było pewne. A z drugiej strony nie mogłem przecież brać się do operacji wobec wszystkich, będąc taki zmęczony! „Trudno! powiedziałem sobie. Wynosmy się! Innym razem ...Poddajmy się z rezygnacją! Zostawmy naturę w spokoju, tę szelmę!“

Ledwie wyszedł na schody, wszyscy zaczęli mnie szukać i on za mną po schodach. „Ej, woła, doktorze, niech pan nie odchodzi!“

— Co mam robić tutaj? ja mu odpowiadam.

— Niech pan poczeka!... Ja z panem wyjdę, doktorze!... Proszę pana o to, panie doktorze!...

— Dobrze, powiadam, i dałem mu odprowadzić siebie nadół. Zeszliśmy więc. Przechodząc koło mieszkania na pierwszym piętrze, wstąpiłem jednakże pożegnać

rodzinę zmarłego na raka. Mąż wchodzi ze mną do pokoju, wychodzimy razem.

Na ulicy idzie moim krokiem. Było dość chłodno. Spotykamy psiaka, ćwiczącego się w odpowiadaniu innym psom okolicy długim wyciem. Robił to żałośnie i uporczywie. Już umiał władać pyskiem. Niebawem będzie z niego prawdziwy pies.

— Patrzcie no, to Żółtek, zauważył mąż, bardzo rad, że go poznał i może zmienić temat rozmowy... To córki właściciela pralni z ulicy des Gonesses wykarmiły go na smoczku, Żółtka, tego szczeniaka!... Czy pan zna córki właściciela pralni?

— Owszem, odpowiadam.

Wciąż idąc obok mnie, zaczął mi opowiadać, w jaki sposób można hodować psy, karmiąc je mlekiem, tak, żeby to niewiele kosztowało. Jednakże szukał precz, poza temi słowami, swej myśli, co do żony.

Jakiś szynk był otwarty po drodze.

— Wstąpimy, doktorze, co? Postawię panu...

Nie chciałem go drażnić. „Chodźmy“, rzekłem. „Dwie białe“. I korzystam z tego, żeby znów powiedzieć mu o żonie. Spoważniał, słysząc o tem, ale nie mogłem go, ani weź, doprowadzić do decyzji. Na ladzie panoszył się duży bukiet. Z okazji imienin szynkarza, Martro-din'a. „Prezent od dzieci!“ sam nam oznajmił. Więc wypiliśmy jego zdrowie, wermutem. Nad ladą było jeszcze rozporządzenie o pijaństwie i świadectwo szkolne. Zaraz mąż chciał, żeby mu szynkarz wyrecytował podprefektury departamentu Loir-et-Cher, ponieważ on się ich uczył swego czasu i jeszcze je umiał. Potem twierdził, że na świadectwie niema nazwiska szynkarza, tylko jakieś inne, i wówczas pogniewali się i mąż

wrócił do naszego stolika i usiadł. Zwątpienie ogarnęło go całkowicie. Nie zauważył nawet mego wyjścia, tak był tem zafrasowany.

Nigdy więcej nie widziałem męża. Nigdy. Ja byłem bardzo rozzarowany wszystkim, co wydarzyło się owej niedzieli, i do tego bardzo znużony.

Na ulicy, ledwie zrobił sto kroków, widzę Robinsona, idącego od strony mego mieszkania, obładowanego wszelkiego rodzaju deskami, dużymi i małymi. Mimo ciemności, poznałem go. Bardzo zmieszany tem spotkaniem, wymijał mnie, ale go zatrzymałem.

— Toś ty nie poszedł spać? — rzuciłem mu.

— Cicho, sza!... odpowiada mi... Wracam z budowy!...

— Na co ci to drzewo? Też coś budujesz?... Trumnę?... Musiałeś to ukraść?...

— Nie, to będzie buda dla królików...

— Hodujesz teraz króliki?

— Nie, to dla Henrouille'ów...

— Henrouille'ów? Trzymają króliki?

— Tak, trzy, które umieszczą w małym podwórku, wiesz, gdzie mieszka ich stara...

— Więc ty robisz klatki dla królików o tej porze? Trochę dziwna pora...

— To pomysł jego żony...

— Dziwny pomysł!... Co ona chce robić z królikami? Sprzedawać je? Na cylindry?...

— To spytaj się jej o to, jak się z nią zobaczysz. Powiedzieli mi tak, że niby ty mi chciałeś zrobić z niej warjatkę... Czy to prawda?

I nie nalegając na odpowiedź, zapytał mnie żywo, w którą idę stronę.

— Ty wracasz od chorego, co?

— Ale jakżeś ty się u nich znalazł? zapytałem znowu. Ty przecie nie znałeś Henrouille'ów?

— Stara mnie do nich zaprowadziła, no... tego dnia, com ją spotkał u ciebie na poradzie... Lubi gadać ta stara, jak zacznie... Pojęcia nie masz... Końca niema... Więc pokumaliśmy się z nią, a potem oni też... Są ludzie, brachu, co się mną interesują, jak pragnę Boga!...

— Nigdy mi nic o tem nie mówiłeś... Ale skoro u nich bywasz, musisz wiedzieć, czy uda im się zamknąć swoją starą?

— Nie, nie zdołali, miarkuję z tego, co mi mówili...

Cała ta rozmowa była mu bardzo nieprzyjemna, czułem to, nie wiedział, jak się mnie pozbyć. Lecz im bardziej mi się wymykał, tem bardziej chciałem wiedzieć, co się w tem kryje...

— Życie jest jednak cholerne, nie uważasz? Trzeba brać się do kawałów, nie? powtarzał wymijająco. Ale ja sprowadzałem go do rzeczy. Byłem zdecydowany nie dać mu się wymknąć...

— Powiadają, że Henrouille'owie mają więcej pieniędzy niż się wydaje? Co ty o tem myślisz, skoro teraz bywasz u nich?

— Hm, to możliwe, że mają gotiu, ale tak czy siak, chcieliby bardzo pozbyć się starej!

Zeby coś ukryć, Robinson nigdy nie był w tem mocny.

— To widzisz, z powodu życia, że coraz droższe, oni by chcieli pozbyć się starej. Powiedzieli mi tak, że niby ty mi chciałeś zrobić z niej warjatkę... Czy to prawda?

I nie nalegając na odpowiedź, zapytał mnie żywo, w którą idę stronę.

— Ty wracasz od chorego, co?

Opowiedziałem mu piąte przez dziesiąte swoją przygodę z mężem, którego zgubiłem po drodze. Zaśmiewał się, ale jednocześnie zanosił się od kaszlu.

Tak się skręcał w sobie w ciemnościach przy tem kasłaniu, że jużem go prawie nie widział, tak blisko mnie przecie, widziałem tylko trochę jego ręce, łączące się wolno, niby ogromny blady trzęsący się kwiat przed ustami, w mroku. Kasłał bez końca. „To przeciągi!“ wydobył z siebie wreszcie po ataku kaszlu, gdyśmy doszli do jego domu.

— Bo to są u mnie przeciągi! a są i pchły! A u ciebie też są pchły?...

Miałem. „Oczywiście, powiadam, przynoszę od chorych“.

— Nie uważasz, że u chorych czuć szczykami? zapytał mnie jeszcze.

— Tak, i potem też czuć...

— Jednakowoż, rzekł zwolna, po długim namyśle, chciałbym bardzo być pielęgniarzem.

— Dlaczego?

— Bo widzisz, ludzie, jak są zdrowi, co tu dużo gadać, człowiek się ich boi... Zwłaszcza od wojny... Ja wiem, o czem oni myślą... Oni sami nawet nie zawsze zdają sobie sprawę... Ale ja, ja wiem, o czem oni myślą. Gdy są na nogach, myślą, żeby cię zabić... A tymczasem jak są chorzy, niema gadania, mniej ich trza się obawiać... Wszystkiego trza się spodziewać po nich, ja ci to mówię, póki stoją na girach. Może nie?

— To święta prawda! byłem zmuszony przyznać.

— Więc ty, czyś ty nie dlatego też zrobił się lekarzem? zapytał mnie jeszcze.

Zastanawiając się, zdałem sobie sprawę, że może Ro-

binson miał rację. Ale jego chwycił znowu silny napad kaszlu.

— Masz przemoczone nogi, jeszcze dostaniesz zapalenia opłucnej, włącząc się po nocy... Wracaj-że do domu, poradziłem mu. Idź spać...

Denerwowało go, że tak wciąż kaszle.

— Stara Henrouille'owa, ta to złapie, psiakrew, grype! kaszle mi ze śmiechem w samo ucho.

— Co to znaczy?

— Zobaczysz!... powiada.

— Co oni wymyślili?

— Nie mogę ci więcej mówić... Zobaczysz...

— Opowiedz-że mi to, Robinsonie, no, gadaj, hultaju, wiesz dobrze, że ja nigdy nic nie powtarzam...

Teraz raptem brała go chętka wszystko mi opowiedzieć, może żeby mi dowieść zarazem, że nie należy go brać za tak zrezygnowanego i oklapniętego, na jakiego wyglądał.

— No, jazda! zachęcałem go jeszcze pocichu. Ty wiesz dobrze, że ja pary z gęby nie puszczać...

Potrzeba mu było wymówki, żeby się zwierzyć.

— Co to, to prawda, ty umiesz milczeć, przyznał. I poszedł na całego, zaczął wykladać serjo i otwarcie, nie dał się już ciągnąć za język.

Było zupełnie pusto o tej porze na bulwarze Nawyknień.

— Przypominasz sobie, zaczął, historję z handlarzami marchwi?

Narazie nie przypomiinałem sobie tej historji z handlarzami marchwi.

— Wisz dobrze, nie bujaj! nalega... Tyś sam mi ją opowiadał!...

— A, prawda!... Odrazu mi się to przypomniało. — Kolejarz z ulicy Brumaire'ów?... Ten, co dostał całą petardę w jądra, gdy poszedł kraść króliki?...

— Tak, ma się wi, u owocarza na quai d'Argenteuil...

— Racja!... Teraz jestem w domu, rzekłem. Więc co? — bo nie widziałem jeszcze związku między tą dawną historją a sprawą starej Henrouille'owej.

Zaraz postawił mi kropkę nad „i“.

— Nie rozumiesz?

— Nie, rzekłem... Ale niebawem strach mi było rozumieć...

— No, ale ty powoli kapujesz, niema co!...

— Bo zdaje mi się, gadasz ni przypiął, ni przylatał... nie mogłem nie zrobić uwagi. Chyba przecie nie weźmiecie się do zamordowania teraz starej Henrouille'owej, żeby zrobić przyjemność synowej?

— O, ja tam, wiesz, zrobię tylko budę dla królików, którą u mnie zamówili... Petardą to już oni się zajmą... jeśli zechcą...

— Ile ci dali za to?

— Sto franków za drzewo, dwieście pięćdziesiąt franków za robotę i jeszcze tysiąc franków za samą historję z tamtym... I rozumiesz... To tylko początek... To jest taka historja, że... jak się ją dobrze opowie, to z tego może być prawdziwa renta!... Co, brachu, kapujesz?

Istotnie, skapowałem i nie byłem bardzo zdumiony. Stałem się tylko trochę smutniejszy, to wszystko. Wszystko co się mówi, żeby odwieść ludzi od ich zamiaru w podobnych wypadkach, jest zawsze bez znaczenia. Czyż życie dobrze się z nimi obchodzi? Więc nad kim i nad czem mieliby się litować? Poco? Nad drugim? Czy widział kto kiedy, żeby ktoś zeszedł do piekła, by

zastąpić drugiego? Nigdy. Widzi się tylko, jak spycha tam drugiego. I basta.

Powołanie do morderstwa, które nagle opętało Robinsona, wydało mi się w rezultacie raczej jakby postępek w tem, com dotychczas zauważył u innych, zawsze nawpół-złych, nawpół-życzliwych, zawsze nudnych przez swoje niezdecydowanie w skłonnościach. Stanowczo, idąc w nocy za Robinsonem aż do tego miejsca, gdzieśmy teraz byli, nauczyłem się jednak czegoś.

Ale było jedno niebezpieczeństwo: Prawo. „To niebezpieczna rzecz Prawo, zwróciłem mu uwagę. Jeśli wpadniesz, nie wykpisz się swoim zdrowiem... Będziesz siedział w więzieniu... Nie wytrzymasz tego...!“

— To trudno, odparł mi, zanadto mi się uprzykrzyły te zwykłe kanty... Człowiek jest stary, czeka wciąż, żeby i na niego przyszła kolej użyć, i kiedy przyjdzie... Zbytek cierpliwości... kiedy przyjdzie, zdechłes już i zakłapali cię oddawna... Uczciwe zajęcie, jak to się mówi, to jest biznes dla niewiniątek... Ty to zresztą wiesz równie dobrze jak ja...

— Możliwe... Ale inne, te grube kanty, wszyscyby ich próbowali, gdyby nie było ryzyka... A z policją niema żartów, wiesz... Są tu „za“ i „przeciw“... Badaliśmy symulacje.

— Ja ci nie mówię nie, ale zrozum, tak pracować jak ja pracuję, w takich warunkach w jakich ja jestem, musiał, harować, że i końby tak nie chciał... Nic mnie już gorszego nie może spotkać... To moje zdanie... Nic...

Nie śmiałem mu powiedzieć, że właściwie ma rację, z względu na wyrzuty, jakie mógłby mi później robić, żeby jego nowa kombinacja spaliła na panewce.

Chcąc mnie rozruszać, wyliczył mi wreszcie kilka dobrych motywów, żebym się nie kłopotał o starą, bo przedewszystkiem ostatecznie, tak czy owak, niewiele jej się już należy, w takim podeszłym wieku. Właściwie to on tylko zaaranżuje jej zejście ze świata i basta.

Mimo wszystko, jeśli chodzi o paskudny kant, był to jednak paskudny kant. Wszystkie szczegóły były już omówione między nim a dziećmi: Ponieważ stara teraz wychodziła z mieszkania, pośle ją się któregoś wieczoru, żeby zaniósła jeść królikom... Petarda będzie tam odpowiednio umieszczona... Wybuchnie jej prosto w twarz, jak tylko odemknie drzwiczki... Kubek w kubek tak samo, jak było u owocarza... Ona uchodziła już za warjatkę w dzielnicy, wypadek nikogo nie zdziwi... Powie się, że się ją przestrzegało, żeby nigdy nie chodziła do królików... Że nie posłuchała... A w jej wieku z pewnością nie wygrzebie się z takiego wybuchu petardy, jaki się dla niej szykuje... tak, w sam cyferblat.

Niema co, ładną historję opowiedziałem Robinsonowi.

I muzyka zjawiała się znów na zabawie, ta którą się słyszy odkąd pamięcią sięgnąć, od czasów dzieciństwa, ta która nie ustaje nigdy, to tu, to tam, w zakątkach miasta, po wioskach, wszędzie gdzie biedota siądzie sobie przy końcu tygodnia, żeby wiedzieć, co się z nią dzieje. Raj! mówi jej się. I potem puszcza się dla biedaków muzykę, raz tu, raz tam, co sezon brzęczy ona, miele to wszystko, przy czem rok temu tańczyli bogaci. To muzyka mechaniczna, spadająca z drewnianych koni, z samochodów, które nie są samochodami, z gór zupełnie nie rosyjskich¹ i z estrady siłacza, co nie ma bicepsów i wcale nie pochodzi z Marsylji, z kobiety co nie ma brody, z magika, którego zdradza żona, z poza strzelnicy, gdzie jajka są puste. Jest to zabawa w oszukiwanie ludzi przy końcu tygodnia.

I będzie się piło piwo bez piany! Ale kelnerowi naprawdę czuć z ust pod sztucznymi drzewami. I reszta, którą wydaje, zawiera dziwne monety, takie dziwne, że tygodniami potem człowiek im się przygląda i z nie-małym trudem puszcza je dalej w kurs, dając jałmużnę. To jest właśnie zabawa ludowa. Trzeba się bawić, gdy można, między głodem a więzieniem, i brać rzeczy tak jak one są. Skoro się ma gdzie usiąść, nie należy się starzyć. Dobrze i to. „Strzelnica Narodów“ ta sama, zobaczyłem ją znowu, ta którą zauważyła Lola, dużo lat

¹ *Montagnes russes* nazywają we Francji ślizgawkę spadzistą z drewnianych torach, na zabawach ludowych. *Przyp. tłum.*

już upłynęło od tej pory, w alejach parku w Saint-Cloud. Na zabawach widuje się zawsze to samo, to są odbijania się radości zabawowej. Oddawna musiały tłumy wrócić do spacerowania po głównej alei Saint-Cloud. Spacerowicze. Wojna przecie się skończyła. Ciekawa rzecz, czy w strzelnicy jest ciągle ten sam właściciel? Czy ten powrócił z wojny? Wszystko mnie obchodzi. Poznałem cele, ale poza dawnymi strzelano teraz do aeroplanów. Nowość. Postęp. Moda. Wesele było jak dawniej, żołnierze też i Merostwo ze swą flagą. Słowem, wszystko. Nawet jeszcze znacznie więcej rzeczy do strzelania niż ongi.

Ale ludzie bawili się daleko lepiej na karuzeli z samochodami, świeży wynalazek, dzięki niby — wypadkom, które ciągle tam się powtarzały, i okropnym wstrząsom, aż to odbija się w głowie i w trzewiach. Wciąż zgłaszali się nowi amatorzy, by z wrzaskiem, w oszołomieniu zderzać się dziko i padać wciąż bezładną kupą w głąb kadzi, że można było sobie zniszczyć śledzionę. Nie sposób było ich powstrzymać. Nigdy nie mieli dosyć, nigdy nie wyglądali na takich szczęśliwych. Niektórzy wpadali w szal. Trzeba było ich odrywać od ich katastrof. Gdyby im dawano jako premjum za dwadzieścia su śmierć, tłoczyliby się do tej karuzeli. O czwartej miała grać pośrodku placu zabawy orkiestra Orfeonu. Żeby zebrać Orfeon, było wiele trudności, z powodu szynkarzy, którzy wyrywali sobie muzykantów. Wciąż brakowało ostatniego. Czekano nań. Szli go poszukać. Zanim poszli, zanim wrócili, reszcie zachciało się pić, i oto znowu dwóch zniknęło. Trzeba było zacząć zbiórkę od początku.

Swinie z piernika, trudne do rozpoznania od kurzu.

stawały się jak relikwje i budziły okrutne pragnienie u wygrywających.

Rodziny czekają na fajerwerki, żeby iść spać. Czekać to też zabawa. W cieniu dygoczą setki pustych butelek, szcękających co chwila pod stołami. Widać tam i nogi, przysuwające lub odsuwające się od siebie. Nie słucha się już muzyki, bo melodie są zanadto oklepane, ani dychawicznych cylindrów motorowych za barakami, gdzie ruszają się rzeczy, które można widzieć za dwa franki. Gdy się trochę wypilo, serce bije wam w skroniach. Bim! Bim! uderza jakby o aksamit rozpięty na głowie i w głębi uszu. W ten sposób pewnego dnia człowiek trzaśnie. Amen! Tego dnia, kiedy ruch zewnątrz złączy się z ruchem zewnątrz i gdy wszystkie wasze myśli wówczas się rozproszą i pójda igrać nareszcie z gwiazdami.

Dużo płaczu wybuchało wśród zabawy z powodu dzieci, tych, które deptano tu i owdzie między krzesłami, machający, a również tych, które uczono wstrzemięźliwości w zaspakajaniu pragnień, małych pospolitych dzieci, jakie sprawiłoby im jeszcze trochę jazdy na drewnianych konikach. Trzeba korzystać z zabawy, żeby sobie wyrabiać charakter. Nigdy nie jest za wcześnie zacząć się do tego. Biedactwa nie wiedzą jeszcze, że za wszystko się płaci. Myślą, że to z grzeczności dorosłe osoby z poza kolorowych lad zachęcają publiczność, żeby sobie zafundowała cuda, które gromadzą i nad nimi panują i bronią ich z wrzaskliwymi uśmiechami. Dzieci nie znają się na prawie. Rodzice biciem po twarzy uczą ich prawa i bronią przed przyjemnościami.

Prawdziwa zabawa jest tylko dla handlu i to jeszcze w jej głębi i w sekrecie. Handel raduje się wieczorem,

gdy wszyscy nieświadomi, klienci, te zwierzęta dochodowe, pójdą sobie, gdy cisza wróci na esplanadę i gdy ostatni pies siknął wreszcie ostatnią kroplę uryny na bilard japoński. Wtedy mogą się zacząć obrachunki. To jest chwila, kiedy handel robi spis swych zasobów i swych ofiar zapomocą grosza.

Wieczorem ostatniej niedzieli zabawy służąca szynkarza Martrodina skaleczyła się, dość głęboko, w rękę, krając kielbasę.

W ostatnich godzinach tegoż wieczoru wszystko dookoła nas stało się dosyć wyraźne, jakgdyby rzeczy stowczo miały dość tłuczenia się od brzegu do brzegu przeznaczenia, w niepewności, i wszystkie jednocześnie wyszły z cienia i zaczęły do mnie mówić. Ale należy się wystrzegać ludzi i rzeczy w owych momentach. Myśli się, iż rzeczy zaczną mówić, a one nie mówią nic i zagarnia je noc, zanim można było pojąć, co miały do powiedzenia. Przynajmniej, takie jest moje doświadczenie.

Fakt faktem, że znowu spotkałem Robinsona w traktjerni Martrodina tego samego wieczoru, właśnie gdy wszedłem opatrzyć służącą szynkarza. Doskonale pamiętam okoliczności. Obok nas byli tam Arabowie drzemiący grupami na ławkach. Wyglądali tak jakby ich nic nie interesowało, co się dookoła dzieje. Rozmawiając z Robinsonem, unikałem poruszania temata z owego wieczoru, gdy go złapałem na taszczeniu desek. Ranę służącej trudno było opatrzyć i nie widziałem dobrze w głębi lokalu. To mi przeszkadzało rozmawiać, musiałem uważać. Jak tylko skończyłem, Robinson zaciągnął mnie w kąć i sam mi oznajmił, że jego afera dobrze stoi i już niedługo. Zwierzenie, które mnie

bardzo krępowało i bez którego mógłbym się doskonale obejść.

— Niedługo, co?

— Dobrze wiesz...

— Jeszcze to?

— Zgadnij, ile mi teraz dają?

Nie zależało mi na zgadywaniu.

— Dziesięć tysięcy!... Za samo milczenie.

— To jest suma!

— No i widzisz, odrazu stanę na nogach, dodał, to jest te dziesięć tysięcy franków, których mi zawsze brakowało!... Dziesięć tysięcy franków na początek, co!... Rozumiesz?... Ja tam po prawdzie nigdy nie miałem fachu, ale z dziesięcioma tysiącami franków!...

Musiał już na nich wymusić pieniądze.

Pozwolił mi zastanowić się, co on będzie mógł dokonać, przedsięwziąć, z temi dziesięcioma tysiącami franków... Dał mi czas pomyśleć nad tem, sam stojąc wyprostowany, pod ścianą, w półmroku. Nowe życie. Dziesięć tysięcy franków!

Jednakże, myśląc teraz o jego aferze, stawiałem sobie pytanie, czy ja tutaj nie ryzykuję osobiście, czy nie wplątuję się w pewnego rodzaju spółnictwo, nie potępiając z miejsca jego przedsięwzięcia. Powiniennem być go nawet zadenuncjować. Na moralność ludzką gwizdanie, na potęgę, tak jak zresztą wszyscy. Cóż mogę na nią poradzić? Ale są te wszystkie brudne historie, brudne hałasy, które porusza Sprawiedliwość, gdy dokonana zostanie jakaś zbrodnia, poto tylko, żeby zahaczyć obywateli, tych rozpustników... Człowiek nie wie potem, jak z tego wyleźć. Z dwojga złego wolę już

przykrości, które nie robią hałasu, od tych, które rozmazują po gazetach.

Jednym słowem, byłem wraz i zaintrygowany i struty. Doszedłszy do tego punktu, raz jeszcze nie miałem dość odwagi, by zejść naprawdę wgląd rzeczy. Teraz, gdy szło o to, żeby otworzyć oczy w nocy, wolałem prawie mieć je zamknięte. Ale Robinsonowi widocznie zależało na tem, żebym je otworzył, żebym zrozumiał.

Żeby zmienić trochę rozmowę, skierowałem ją, chociaż, na kobiety. On niezbyt lubił kobiety.

— Ja, wiesz, ja obywam się bez kobiet, mówił, z ich pięknymi zadkami, ich grubemi udami, ich ustami w kształcie serca i ich brzuchami, gdzie zawsze coś rośnie, to bachor, to choroba... Ich uśmiechem nie zapłacisz komornego! Czy nie? Nawet ja, w mojej dziurze, gdybym miał kobietę, choćbym jej tyłek pokazał gospodarzowi 15-go każdego miesiąca, to on mi przez to nie da zniżki!...

Słabą stroną Robinsona była niezależność. Sam to mówił. Ale pryncypał Martrodin miał już dość naszych „na stronie“ i naszych drobnych knowań po kątach.

— Robinson, szklanki, do pioruna! zakomenderował. Czy to ja mam je panu umyć?

Robinson skoczył.

— Widzisz, poinformował mnie, ja tu robię za pomagiera!

Stanowczo był dziś dzień świąteczny. Martrodin nie mógł sobie dać rady ze zrobieniem kasy, to go irytowało, Arabowie poszli sobie, prócz dwóch, drzemających jeszcze przy drzwiach.

— Na co ci czekają?

— Na służącą! odparł gospodarz.

— Interes idzie? zapytałem, żeby coś powiedzieć.

— Pomaleńku... Ale ciężko! Uważa doktor, nabyłem ten interes za sześćdziesiąt tysięcy gotówką, przed kryzysem. Należałoby, żebym wyciągnął z niego przynajmniej dwieście... Rozumie pan?... Prawda, że jest u mnie ruch, ale to przeważnie Arabowie... A toto nie pije... Jeszcze nie przywykło... Potrzeba mi Polaków. Polacy, doktorze, oho, ci to piją, nie można powiedzieć... Gdzie byłem przedtem, w Ardennach, miałem Polaków i przychodzili z pieców emaljerskich, dość panu powiedzieć, co? Gorąco im było przy tych piecach emaljerskich!... Tego nam właśnie potrzeba!... Pragnienie!... I w sobotę szedł cały zarobek... Psiakrew, co to była za praca! Cała okolica! Ha!... A ci, „arbi“¹, to nie picie ich interesuje, tylko sodomja, zabronione jest pić w ich religji zdaje się, ale nie jest zabronione sodomizować.

Martrodin pogardzał arbiami. „Świńtuchy! Zdaje się nawet, robią to z moją służącą!... opętani, czy co? Takie pomysły, co? Doktorze, co pan na to?“

Gospodarz Martrodin przyciskał swemi krótkimi palcami wodniste torebki, które miał pod oczami. „Jak tam z nerkami?“ pytał go, widząc to. Leczyłem go na nerki. „Już pan chyba nie bierze soli?“

— Jeszcze jest białko, doktorze! Onegdaj dałem zrobić analizę aptekarzowi... Och, ja gwizdzę na to, czy się zdechnie, dodał, na białko czy na co innego, ale na co mnie cholera bierze, to tak pracować jak ja pracuję... z małym zyskiem!...

¹ Autor używa gwarowej nazwy Arabów „bicot“. Ponieważ to nie czytelnikowi polskiemu nie mówi, używam innej z gwary parryskiej: „arbi“, mającej to samo znaczenie. Przyjęt. tłum.

Służąca skończyła ze zmywaniem, ale jej opatrunek był tak zabrudzony resztkami jedzenia, że trzeba go było zmienić. Dała mi banknot pięciofrankowy. Nie chciałem przyjąć jej stu su, ale ona koniecznie chciała mi dać. Nazywała się Seweryna.

— Obcięłaś sobie włosy, Seweryno? zauważyłem.

— Trzeba! Taka moda! rzekła. A przytem długie włosy z tą kuchnią tutaj, to zatrzymuje wszystkie zapachy.

— Ztyłu gorzej pachniesz! odezwał się Martrodin, któremu nasze gadanie przeszkadzało w rachunkach. A jednak to nie przeszkadza twoim klientom...

— Tak, ale to jest co inszego, odcięła się Seweryna, bardzo zła. Są zapachy osobiste dla każdego miejsca... A pan chce, żebym tak panu na ten przykład powiedziała, czem pana czuć?... Nietylko jedno miejsce, ale pan cały?

Rozsierdziła się srodze Seweryna. Martrodin nie chciał słyszeć reszty. Mruczając, zagłębił się znowu w swych parszywych rachunkach.

Seweryna nie mogła w żaden sposób zdjąć swych pantofli, tak jej nabrzmiały przy pracy stopy, i włożyć trzewików. Zatrzymała je więc na nogach, odchodząc.

— Będę w nich spała! powiedziała nawet nagłos na ostatku.

— No, zamknij światło w kuchni! rozkazał jej jeszcze Martrodin. Widać odrazu, że to nie ty płacisz za elektryczność!

— Będę dobrze spała! stęknęła Seweryna raz jeszcze powstając.

Martrodin nie mógł skończyć swego dodawania. Zdjął fartuch, a potem kamizelkę, żeby było lepiej liczyć.

Pracował w pocie czoła. Z niewidzialnej głębi traktjeru dochodził nas szczeł spodków, praca Robinsona i drugiego pomywacza. Martrodin wywodził szerokie dziecinne cyfry niebieskim ołówkiem, który gniótł w swych grubych palcach mordercy. Służąca spała koło nas, rozwalona na krześle. Co pewien czas ocykała się.

— Ach, moje nogi! Ach, moje nogi! jęczała wówczas, poczem zapadała z powrotem w senność.

Ale Martrodin jął budzić ją wymyślaniami.

— Ej, Seweryna! Zabieraj ich stąd, twoich arbiów! Dosyć mam ich!... Poszli won wszyscy, do ciężkiej cholery! Pora.

Im, Arabom, widocznie wcale się nie spieszyło, mimo późnej godziny. Seweryna wreszcie się rozczmuchała. „Racja, że trzeba mi iść! zgodziła się. Dziękuję panu!“ Zabrała ze sobą obydwóch arbiów. Złożyli się we dwóch, żeby jej zapłacić.

— Z obydwoma się załatwię dzisiaj, wyjaśniła mi, odchodząc. Bo na przyszłą niedzielę nie będę mogła, bo jadę do Achères zobaczyć mojego bachora. Pan rozumie, w przyszłą sobotę trzeba płacić mamkę.

Arabowie wstali, żeby iść za nią. Wcale nie mieli im bezczelnych. Seweryna mimo to patrzyła na nich trochę krzywo, z racji zmęczenia. „Ja tam nie jestem tego zdania co gospodarz, wolę arbiów! To nie jest takie brutalne jak Polacy, Arabowie, ale to jest rozpustne... Niema co gadać, rozpustne... Zresztą, zrobią co chcą, myślę, że to mi nie przeszkodzi spać! — Chodźcie! zawołała na nich. Naprzód, draby!“

I poszli wszyscy troje, ona trochę przed nimi. Widać im było jak przeszli wystygły plac, wysadzany szcząt-

kami zabawy, ostatnia latarnia gazowa na końcu oświetliła ich grupę, zbiegła na chwilę, poczem wsiąknęła w noc. Jeszcze słyhać było trochę ich głosy, a potem już nic. Nic już nie było.

Z kolei ja opuściłem szynk, nie rozmawiając już z Robinsonem. Gospodarz życzył mi wszystkiego dobrego. Policjant kroczył po bulwarze. W przejściu poruszało się ciszę. Wzdrygał się od tego tu i owdzie kupiec, zapłątany w swym napastliwym rachunku, niczem pies w trakcie ogryzania kości. Jakaś rodzina wracająca z hulanki zajmowała całą ulicę, pyskując na rogu placu Jana Jaurès'a, rodzina nie posuwała się ani na krok, ociągała się przed jakąś uliczką, jak flotylla rybacka przy niepomyślnym wietrze. Ojciec zataczał się od chodnika do chodnika i odlewał się bez końca.

Noc była u siebie w domu.

Przypominam sobie jeszcze jeden wieczór w tych czasach, z racji okoliczności. Najsampierw, trochę po godzinie obiadowej usłyszałem łoskot przesuwanych skrzynek. To zdarzało się często na moich schodach, że wyrzucano skrzynki do śmieci. A potem jęki jakiejś kobiety, lament. Uchyliłem drzwi na schody, nie ruszając się z miejsca.

Gdybym wyszedł samorzutnie w chwili jakiegoś wypadku, uważano by mnie może tylko za sąsiada i moja pomoc lekarska uszłaby za bezpłatną. Jeżeli mnie potrzebują, mogą mnie wezwać normalnie, i wtedy mam dwadzieścia franków. Nędza ściga nieubłaganie i krok za krokiem altruizm i najładniejsze poczynania są bezlitośnie karane. Czekałem więc, żeby do mnie zadzwonili, ale nikt się nie pokazał. Widocznie oszczędność.

Miałem już przestać czekać, gdy oto zjawiała się koło moich drzwi mała dziewczynka, starając się wyczytać nazwiska przy dzwonek. Okazało się wreszcie, że mnie szuka, z polecenia pani Henrouille.

— Kto jest u was chory? zapytałem.

— To dla jednego pana, który się u nich zranił...

— Pan? — Zaraz pomyślałem o Henrouille'u.

— On?... Pan Henrouille?

— Nie... to dla znajomego, który jest u nich...

— Ty go znasz?

— Nie. — Ona nigdy nie widziała tego pana. Na schodach było zimno, dziecko biegło, ja szedłem szybko.

— Jak to się stało?

— Ja nic nie wiem.

Minęliśmy mały park, pozostałość dawnego lasu, gdzie nocami zaczęły się o drzewa długie mgły zimowe, łagodne i powolne. Uliczki jedna za drugą. W kilka minut doszliśmy do ich dworku. Dziecko powiedziało mi dowidzenia. Dziewczynka bała się podejść bliżej. Synowa Henrouille'owa oczekiwała mnie na ganku z markizą. Lampa naftowa w jej ręku chybotała się na wietrze.

— Tędy, doktorze, tędy! wołała na mnie.

Zapytałem się zaraz: „To pani mąż się zranił?”

— Niechże pan wejdzie! rzekła dość szorstko, nie dając mi czasu do namysłu. I wpadłem odrazu na starą, która już z korytarza zaczęła wrzeszczeć i nacierać na mnie. Grad obleg.

— Ach, dranie! Ach, bandyci! Doktorze! Chcieli mnie zabić!

To znaczy, że się nie udało.

— Zabić? mówię, niby ogromnie zdziwiony. A za cóż to?

— Bo nie chciałam zdechnąć dość prędko, jak Boga kocham, dlatego! Prosta rzecz! A ja, psiaich mać, juści nie chcę umrzeć!

— Mamo! mammo! przerywała synowa. Tyś straciła rozum! Ty opowiadasz doktorowi okropne rzeczy, czy to podobna, mammo!...

— Okropne rzeczy mówię! No to ty, małpo jedna, ty masz cholerny tupet! Ja jestem niespełna rozumu? Ja mam jeszcze dosyć rozumu, żeby was kazać powiesić wszystkich! Zapamiętaj to sobie!

— Ale kto jest ranny? Gdzie on jest?...

— Zobacz go pan! przecięła stara. Jest na górze,

na jej łóżku jest morderca, może nie, dziewczko? Zapaskudził twój paskudny materac, swoją świńską juchą! A nie moją! Krwi tam musi być jak śmiecia! Nie domyjesz materaca! Zasmrodzi go na długi czas krew mordercy, żebyś wiedziała! A są tacy, co idą do teatru, żeby się wzruszać! Tutaj powiadam wam, jest teatr! Tutaj jest, doktorze! Tam na górze! I prawdziwy teatr! Nie samo udawanie! Nietrza tracić swego miejsca! Niech pan tam prędko idzie! Może on już nie będzie żył, ten łotr, gdy pan przyjdzie. To pan już nic nie zobaczy!

Synowa bała się, żeby nie usłyszano starej z ulicy, i błagała ją, żeby umilkła. Wbrew sytuacji, synowa nie wydała mi się zbyt stropiona, tylko bardzo zła, iż rzeczy poszły nawspak, ale zachowała swój zamyśl. Była ona nawet absolutnie pewna, że to ona ma rację.

— Niech doktor posłucha, co ona wygaduje! Czy to słyszane rzeczy! Ja, com przeciwnie starała się zawsze ułatwić jej życie! Pan dobrze wie?... Ja, com jej wciąż proponowała ulokować ją u Sióstr...

Tego było dla staruchy zawiele, jeszcze raz słyszeć o Siostrach.

— Do raj! Tak, łajdaczko, tam chcieliście mnie posłać wszyscy! A, bandytka! I dlatego to sprowadziliście, ty i twój mąż, tego gałgana, co jest na górze! Żeby mnie zabić, tak, a nie żeby mnie wysłać do Sióstr, spodziewam się! Nie udało mu się, to możecie sobie powiedzieć, to było przefajnowane! Niech doktor tam idzie, niech zobaczy, jak się urządził wasz łobuz tam na górze i do tego sam sobie to zrobił!... I trzeba spodziewać się, że od tego zdechnie! Niech tam doktor idzie! Niech pan idzie, póki jeszcze czas!...

Jeżeli synowa zgoła nie wydawała się przybita tem, co się stało, to stara była jeszcze mniej. O mało nie postradała przecież życia w zamachu, ale nie była tak oburzona, jak chciała to pokazać. Udawanie. Ten chybiony mord raczej dodał jej jakby bodźca, wyrwał ją z owej niby skrytej mogiły, gdzie tyle lat była zamknięta w głębi zapleśniałego ogrodu. W jej wieku zaczęła ją znowu przenikać uporczywa żywotność. Cieszyła się nieprzyzwoicie swem zwycięstwem, a również przyjemnością, że posiadała środek dręczenia odtąd bez końca swej sknery synowej. Teraz trzymała ją w garści. Nie chciała, żeby mi był obcy najmniejszy szczegół tego chybionego zamachu i jak się to wszystko stało.

— I wie pan, ciągnęła dalej pod moim adresem, wciąż tym samym egzaltowanym tonem, to u pana ja poznałam mordercę, u pana, panie doktorze... I jednakże nie miałam do niego zaufania!... Ach, jak ja mu nie dowierzałam!... Wie pan, co on mi z początku proponował? Ciebie sprzątnąć, moja córko! Ciebie, łajdaczko! I nie za drogie pieniądze! Zapewniam was! On to proponuje zresztą wszystkim! Wiadomo!... Widzisz więc, cholero, że ja znam dobrze fach twojego pracownika! Że ja wiem, co to za ptaszek, he! Robinson się nazywa!... To nie jego nazwisko? Powiedz mi, że to nie jego nazwisko? Skorom tylko zobaczyła, że on tu z wami ma jakieś geszefty, zaraz miałam podejrzenia... Dobrze zrobiłam! Gdybym się nie miała na baczności, gdziebym teraz była?

I stara opowiedziała mi szeroko i długo, jak to się stało. Królik poruszył się, gdy on umocowywał petardę przy drzwiczkach budy. Podczas tego ona, stara, przy-

glądała się, co on tam majstruje, ze swej nory, z „pierwszej łoży“, jak mówiła. I petarda ze wszystkimi loftkami wybuchła mu prosto w twarz, gdy preparował swój figiel, nawet w oczy. „Nie ma się spokoju, kiedy się chce mordować. Musowo!“ zakonkludowała.

Ostatecznie wyszło na to, że to była niezręczność i nieudana robota.

— Tacy to się zrobili ludzie dzisiejsi! Juści! Tak ich przyuczają! twierdziła stara. Muszą teraz zabijać, żeby jeść! Już im nie wystarcza kraść swój chleb... I jeszcze zabijać babki!... Tego nigdy nie bywało... Nigdy! To jest koniec świata! I to tałałajstwo ma jedno samą złość w sobie! Ale wy wszyscy siedzicie po szyję w djabelstwach!... I ten teraz jest ślepy! I wy go macie na karku nazawsze!... Co?... I nie przestaliście uczyć się szelmostw od niego!...

Synowa ani pisnęła, ale musiała ona już ułożyć sobie jakiś plan, żeby się z tego wykaraskać. To było ścierwo bardzo skupione w sobie. Podczas gdy my zatonęliśmy w rozmyślaniach, stara zaczęła szukać syna po mieszkaniu.

— A toć ja mam syna, doktorze! Gdzie on się podziewa? Jaka on jeszcze sztukę obmyśla?

Potaczała się w korytarzu, zanosząc się od śmiechu bez końca.

Żeby sędziwiec śmiał się i tak głośno, to zdarza się tylko u obłąkanych. Człowiek, słysząc to, pyta siebie, gdzie jest. Ale ona koniecznie chciała odszukać syna. Uciekł na ulicę. „Dobrze! niech się kryje i niech żyje jeszcze długo! Ma za swoje, musi żyć z tamtym, co jest na gorze, muszą żyć oba razem, z tym, co już nie bę-

dzie nic widział! I żywić go! A petarda, to mu poszła cała w mordę! Widziałam! Wszystko widziałam! Taak, bum! Wszystkom widziała! I że to nie był królik, możecie być pewni! Psiakrew! Gdzież jest mój syn, doktorze, gdzie on jest? Pan go nie widział? Ten to też jest gałgan skończony, zawsze był ścichapęk, jeszcze gorszy od tamtego, ale teraz paskustwo wreszcie wyzło z jego podłej natury, stało się! A to, ani słowa, długiego potrzebuje czasu, żeby wyjść z takiej okropnej natury jak jego! Ale gdy wreszcie wylezie, to prawdziwa zgniłość! Niema co, doktorze, stało się! Nietrza pominąć okazji!“ I jeszcze się tem bawiła. Chciała też mi zaimponować swą wyższością wobec tych wydarzeń i zawstydzić nas wszystkich za jednym zamachem, słowem, upokorzyć nas.

Pochwyciła efektowną rolę, która ją wzruszała. Człowiek nie przestaje się nią cieszyć. Nie ma nigdy dość szczęścia, póki może jeszcze grać jakąś rolę. Jeremiad, dla starców, czem ją częstowano od dwudziestu lat, nie chciała tego już stara Henrouille'owa. Tej roli, która jej się nadarzyła, już nie puści, zjadliwej, nieoczekiwanej. Być starym, to znaczy nie móc już znaleźć płomiennej roli do gry, to znaczy wpaść w tę kłiwą nieczynność, kiedy się już czeka tylko śmierci. Ochota do życia powracała starej, raptownie, wraz z płomienną rolą odwetu. Nie chciała umierać nagle, wcale nie chciała umierać. Promieniała tą chęcią przeżycia, afirmacją tej woli. Odnaleźć moc, prawdziwy ogień w dramacie.

Rozgrzewała się, nie chciała już porzucić nowego żaru, porzucić nas. Był długi czas, że prawie przestała w to wierzyć. Doszła do tego, że nie wiedziała już, co

robić, żeby nie skisnąć na śmierć w głębi swego schowanego ogrodu, i oto nagle nastał dla niej burzliwy czas twardej działalności, gorącej.

— Moja śmierć! darła się teraz stara Henrouille'owa, chciałabym jej spojrzeć w ślepią, mojej śmierci! Rozumiesz mnie! Mam oczy, żeby ją widzieć! Słyszysz mnie! ja jeszcze mam oczy! Chcę jej się dobrze przypatrzeć!

Nie chciała już umrzeć, nigdy. To było jasne. Nie wierzyła już w swoją śmierć.

Wiadomo, że takie sprawy zawsze trudno zatuszować i że zatuszowanie ich zawsze drogo kosztuje. Przedewszystkiem nie wiedzano nawet, gdzie umieścić Robinsona. W szpitalu? To mogło wywołać oczywiście moc gadań, plotek... Odesłać go do domu? O tem nie można było nawet marzyć ze względu na stan, w jakim była jego twarz. Chcąc niechcąc, musieli tedy Henrouille'owie zatrzymać go u siebie.

On, w ich łóżku w górnym pokoju, nie zażywał rozkoszy. Strach go zdejmował, że go wyrzucą za drzwi i będzie aresztowany. To było zrozumiałe. To była jedna z tych chryj, których naprawdę nie można było opowiadać nikomu. Okienice jego pokoju były szczelnie zamknięte, lecz ludziska, sąsiedzi, jęli chodzić po ulicy częściej niż zazwyczaj, poto tylko, żeby patrzeć na żaluzje i dowiadywać się o zdrowie rannego. Mówiono im, jak się miewa, opowiadano im blagi. Ale jak im zabronić dziwić się? plotkować? Toteż dodawali swoje. Jak uniknąć przypuszczeń? Na szczęście prokuratura nie otrzymała jeszcze żadnego konkretnego doniesienia. Dobrze i to. Co do jego twarzy, jakoś dawałem sobie radę. Nie nastąpiło żadne zakażenie, mimo że jego rana należała do najbardziej szarpanych i zabrudzonych. Co do oczu, przewidywałem istnienie nawet uszkodzeń rogówki, poprzez które światło będzie już przenikało z wielkim trudem, jeśli wogóle zdoła kiedykolwiek znów przenikać.

Znajdzie się sposób urządzić mu jako tako wzrok,

jeśli mu pozostanie coś do urządzenia. Narazie musieliśmy stawić czoło najbliższemu niebezpieczeństwu i przedewszystkiem zapobiec, żeby starej nie udało się wsypać nas swem szelmowskim psioczeniem przed sąsiadami i ciekawskimi. To nic, że uchodziła za warjatkę, to nie zawsze wszystko tłumaczy.

Jeżeli policja wmiesza się nadobrze do naszych awantur, zaprowadzi to nas niewiadomo gdzie. Nie dać starej zachowywać się skandalicznie w jej podwórku, stanowiło delikatne zadanie. Każdy z nas pokolei usiłował ją uspokoić. Nie mogło to wyglądać na wywieranie na nią nacisku, ale łagodność również nie dawała nam dotychczas żadnych rezultatów. Stara była opętana teraz żądzą wymierzenia nam kary, szantażowała nas pro prostu.

Zachodziłem odwiedzić Robinsona przynajmniej dwa razy dziennie. Jęczał pod bandażami, skoro tylko usłyszał mnie na schodach. Cierpiał, oczywiście, ale nie w tym stopniu, jak mi to chciał pokazać. Będzie miał czem się trapić i o wiele bardziej, przewidywałem, gdy spostrzeże się, co się stało z jego oczami... Dawałem mu wymijające odpowiedzi w tej sprawie. Powieki mocno go szczypały. Wyobrażał sobie, że to z powodu tego szczypania nie widzi nic przed sobą.

Henrouille'owie zaczęli go pielęgnować starannie, wedle mych wskazówek. Z tej strony nie było kłopotu.

Nie rozmawiało się już o zamachu. Ani o przeszłości. Gdy żegnałem się z nimi wieczorem, kolejno patrzyli na siebie i za każdym razem tak natarczywie, że wydawał mi się bliski dzień, kiedy jedno z nich zgładzi drugie. Takie zakończenie, na rozum biorąc, uważałem za logiczne i wielce pożądane. Z trudem mogłem so-

bie wyobrazić noce tego domu. Rano znowu ich spotykałem i podejmowaliśmy ludzi i rzeczy w tem miejscu, gdzieśmy je zostawili razem poprzedniego wieczoru. Z panią Henrouille zmieniałem opatrunek z nadmanganjanu i rozchylaliśmy trochę żaluzje tytułem próby. Za każdym razem daremnie. Robinson nawet nie spostrzegł, że uchylano żaluzje...

Tak oto świat toczy się poprzez noc straszliwie groźną i milczącą.

A syn witał mnie co rano chłopskim słoweczkiem: „A, otóż i doktor!... Mamy ostatnie ntrozy!“ zwracał uwagę, podnosząc oczy ku niebu na ganeczku. Jakby to było ważne, jaką mamy pogodę. Jego żona szła spróbować raz jeszcze układów ze świekrą przez zabarykadowane drzwi i osiągała tylko wzmożenie jej wściekłości.

Gdy go trzymano w bandażach, Robinson opowiedział mi, jak debiutował w życiu. Przez handel. W dwunastym roku życia rodzice oddali go do szewca, wyrabiającego obuwie zbytkowne, jako chłopca na posyłki. Pewnego dnia, gdy odnosił towar, jakaś klientka namówiła go do przyjemności, o której dotychczas miał tylko słabe wyobrażenie. Nigdy nie wrócił do tego chlebobdawcy, tak dalece jego sprawowanie wydało mu się bezecne. Mieć stosunek z klientką, to było jeszcze istotnie w czasach, o których mówił, czemś niewybaczalnym. Zwłaszcza koszula owej klientki, cała z muślinu, zrobiła na nim przemożne wrażenie. W trzydzieści lat potem jeszcze pamiętał dokładnie tę koszulę. Z tej frywolnej damy w jej mieszkaniu, pełnym poduszek i portjer z frendzlami, z tego ciała różowego i pachnącego mały Robinson wniósł w swe ży-

cie elementy nieskończonych beznadziejnych porównań.

A przecież wiele rzeczy stało się potem. Widział kontynenty, całe wojny, ale nigdy nie podźwignął się całkowicie z tamtego olśnienia. Bawiło go jednak wracać do niego myślą, opowiadać mi o tej jakby chwili młodości, przeżytej z klientką. „Mieć oczy zamknięte, to człowiekowi każe myśleć, zauważył. Wszystko się przesuwa... Zupełnie jakby się miało kino we łbie“... Nie miałem odwagi mu powiedzieć, że jeszcze mu się zdzudzi to jego małe kino. Ponieważ wszystkie myśli prowadzą do śmierci, nadejdzie taki moment, że tylko ją zobaczy z sobą w swem kinie.

Tuż koło dworku Henrouille'ów pracowała teraz mała fabryczka z dużym motorem. Dygotało od tego wszystko w ich dworku od rana do wieczora. Pozatem jeszcze inne fabryki trochę dalej, tłukące coś bez przerwy, nawet w nocy. „Jak chałupa runie, będzie po nas!“ żartował z tego powodu Henrouille, trochę jednakże zaniepokojony. „Ona wreszcie runie!“ To prawda, że z sufitu sypały się już na podłogę kawałeczki gruzu. Choćby budowniczy uspokoił ich, skoro tylko było u nich stanać i posłuchać, co się dzieje na świecie, miało się wrażenie, że się jest na statku, dziwnym statku, płynącym od jednej obawy do drugiej. Zamknięci w nim pasażerowie spędzają długie godziny na robieniu projektów jeszcze smutniejszych niż życie, a także na oszczędności, i na wystrzeganiu się światła, a również mroku.

Henrouille szedł po śniadaniu do pokoju na górze poczytać trochę Robinsonowi, jak go o to prosiłem. Mijały dni. Historję z tą czarującą klientką, która

posiadł gdy terminował u szewca, opowiedział Robinson i Henrouille'owi. I wreszcie ta przygoda stała się podniętą do jakiegoś sztucznego śmiechu dla całego otoczenia. Tak kończą się nasze tajemnice, z chwilą gdy je się wyniesie na światło dzienne i wyda ludziom. W nas, na ziemi i być może w niebie, to tylko jest straszne, co nie zostało jeszcze powiedziane. Człowiek się uspokoi dopiero wtedy, gdy wszystko zostanie powiedziane raz nazawsze, wówczas nareszcie będzie cicho i nie będzie się już bał milczeć. Tak będzie.

W ciągu tych kilku tygodni, kiedy trwało jeszcze ropienie powiek, mogłem mówić mu banialuki o jego oczach i o przyszłości. Czasami twierdziliśmy, że okno jest zamknięte, gdy było naocież otwarte, to znów, że na dworze jest bardzo ciemno.

Pewnego dnia jednak, gdy byłem odwrócony plecami, on sam podszedł do okna, żeby się przekonać, i zanim mogłem mu przeszkodzić, odsunął bandaż z oczu. Wahał się dobrą chwilę. Dotykał na prawo i na lewo ramy okiennej, z początku nie chciał wierzyć, potem przecież musiał uwierzyć. Musiał.

— Bardamu! ryknął na mnie, (Bardamu! Ono jest otwarte! Okno jest otwarte, mówię ci! — Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć, stałem przed nim jak głupi. Obie ręce trzymał w oknie, w świeżem powietrzu. Oczywiście, nic nie widział, ale czuł powietrze. Wyciągał ramiona, ile tylko mógł w swej nocy, jakgdyby chciał dotknąć jej kresu. Nie chciał w to wierzyć. Mrok wyłącznie dla niego. Zapędziłem go do łóżka i jeszcze gadałem mu coś na pocieszenie, ale nic mi już nie wierzył. Płakał. On też doszedł do kresu. Nie można było mu już nic więcej powiedzieć. Jest taka

chwila, kiedy człowiek jest zupełnie sam, gdy doszedł do kresu wszystkiego, co mogło go spotkać. To jest kres świata. Nawet samo strapienie, wasze strapienie, nie daje wam żadnej odpowiedzi i trzeba się wówczas cofnąć, do ludzi, bylejakich. W takich momentach człowiek nie jest wybredny, gdyż nawet żeby płakać, trzeba zawrócić tam, gdzie wszystko się nanowo zaczyna, trzeba powrócić z ludźmi.

— Cóż z nim zrobicie, gdy będzie się czuł lepiej? zapytałem synowej przy śniadaniu, które było zaraz po tej scenie. Właśnie prosili mnie, żebym zjadł je razem z nimi, w kuchni. W gruncie rzeczy, ani jedno, ani drugie nie wiedziało dobrze, jak wybrnąć z sytuacji. Utrzymywanie go swoim kosztem przerażało ich, ją zwłaszcza, lepiej poinformowaną o cenach kombinacyj z kalekami. Ona próbowała już nawet pewnych kroków w Dobroczynności Publicznej. Kroki, o których unikano rozmowy ze mną.

Pewnego wieczoru, po mojej drugiej wizycie, Robinson usiłował zatrzymać mnie wszelkimi sposobami, żebym jeszcze trochę posiedział. Bez końca opowiadał wszystko, co mógł zgromadzić, wspomnienia o rzeczach i o podróżach, które odbyliśmy razem, nawet o tem, o czem nie próbowano jeszcze nigdy wspominać. Przypomniawszy sobie rzeczy, których nigdy dotąd nie było czasu wywoływać z pamięci. Świat, który się przewędrowało, zdawał się napływać do jego samotni wraz ze wszystkim, co było w nim bolesne, przyjemne, stara odzież, znajomi, z którymi się rozstano, istny bazar niemodnych wzruszeń, otwierany w jego głowie bez oczu.

„Zabiję się!“ uprzedzał mnie, gdy jego męka wyda-

wała mu się zbyt wielka. Potem jednak udawało mu się odsunąć swą mękę trochę dalej, niby ciężar stanowczo za duży dlań, nieskończenie zbyteczny, męka na drodze, gdzie nie miał nikogo, z kim mógłby o niej mówić, tak ona była olbrzymia i różnorodna. Nie potrafiłby jej wyłożyć, to był trud, przechodzący jego wykształcenie.

On również był tchórzem, wiedziałem o tem, z natury, spodziewał się zawsze, że go się ocali przed prawdą, ale z drugiej strony zacząłem pytać siebie, czy istnieją gdzie ludzie prawdziwie tchórzliwi... Zawsze bodaj można znaleźć dla każdego człowieka jakąś taką rzecz, dla której gotów jest umrzeć, i to zaraz i rad jeszcze. Tylko że nie zawsze nastęcza mu się sposobność umrzeć ładnie, sposobność, którąby mu się podobała. Więc umiera jak może, gdzieś tam... Człowiek trwa na ziemi, uważany na dobitkę za durnia i tchórza przez wszystkich, tyle że sam o tem nie przekonany, to wszystko. To jest tylko pozorne tchórzostwo.

Robinson nie był gotów umrzeć przy okazji, jaką mu przedstawiano. Być może, przedstawiona inaczej, bardzoby mu się spodobała.

Słowem, śmierć to jest trochę tak, jak małżeństwo.

Ta śmierć wcale mu się nie podobała i kwita. Nic się na to nie poradzi.

Będzie się więc musiał zgodzić z rezygnacją na swe butwienie i niedolę. Ale narazie był jeszcze zajęty i przejęty morusaniem sobie duszy w obrzydliwy sposób swem nieszczęściem i swem strapieniem. Potem wprowadzi jakiś ład w swą niedolę i wówczas rozpocznie się prawdziwe nowe życie. Tak będzie musiało być.

— Wierz mi, czy nie, przypomniał mi, zszywając do kupy kawałki wspomnień, tak wieczorem, po obiedzie, ale ja, po angielsku, choć nigdy nie miałem wybitnych zdolności do języków, mogłem jednak prowadzić rozmówki, pod koniec, w Detroit... Otóż teraz prawie wszystko zapomniałem, wszystko, prócz jednego zdania... Dwa słowa... Ciągłe mnie prześladowa, odkąd to mi się stało z oczami: „Gentlemen first!“ To jest prawie wszystko, nie wiem dlaczego... To łatwe do spamiętania, to prawda... „Gentlemen first!“ I żeby go trochę rozerwać, bawiliśmy się rozmową po angielsku. Powtarzaliśmy więc często: „Gentlemen first!“ ni przyszył, ni przyłatał, jak idjoci. Nauczyliśmy wreszcie tego i Henrouille'a, który zaszedł trochę na górę, żeby nas pilnować.

Poruszając wspomnienia, zadawaliśmy sobie pytanie, co też mogło jeszcze istnieć z tego wszystkiego... co poznaliśmy wspólnie... Zastanawialiśmy się, co mogło się stać z Molly, z naszą miłą Molly... Lolę chciałem zapomnieć, ale właściwie chciałbym mieć jednak wieści o nich wszystkich, o małej Mizynie również, możnaby się postarać. ... Ona teraz nie powinna była mieszkać daleko, w Paryżu. Słowem, w pobliżu... Ale musiałbym przedsięwziąć bądź co bądź rodzaj wypraw, żeby zdobyć wiadomości o Mizynie... Śród tylu ludzi, których zagubiłem nazwiska, zwyczajnie, adresy i których uprzejmości, a nawet uśmiechy po tylu latach trosk, zabiegów o chleb, musiały zepsuć się, jak stare sery, w bardzo przykre grymasy... Wspomnienia mają też swoją młodość... Obracają się, skoro tylko pozwoli im się butwieć, w obrzydliwe widma, ociekające egoizmem, próżnością i kłamstwem... Gniją jak jabłka...

Mówiliśmy więc sobie o naszej młodości, kosztowaliśmy jej raz i drugi. Świat nie budził zaufania. A propos, mojej matki nie widziałem oddawna... Te wizyty bynajmniej nie robiły mi dobrze na mój system nerwowy... Moja matka była na smutek gorsza ode mnie... Zawsze w swoim sklepiku, wyglądała jakby zgromadziła dokoła siebie tyle rozczarowań, ile tylko mogła po tylu a tylu latach... Gdy ją odwiedzałem, opowiadała mi: „Wiesz, ciotka Hortensja umarła dwa miesiące temu w Coutances... Możebyś mógł tam pojechać? A Klemens, wiesz, Klemens?... Froter, co się bawił z tobą, jak byłeś mały?... No to jego onegdaj podnieśli z ziemi, na ulicy Aboukir... Od trzech dni nie jadł“...

Dzieciństwo Robinsona było tak niezabawne, że nie wiedział, z której strony do niego podejść, gdy o niem myślał. Poza przygodą z klientką, nie znajdował w niem nic, coby nie było okropne, aż do rzygania z tego po kątach, niczem w domu, gdzie byłyby tylko rzeczy odrażające, cuchnące, miotły, kubły, baby, mordobicie... Pan Henrouille nie miał nic do powiedzenia o swej młodości, aż do wojska, z wyjątkiem tego, że miał zrobioną w owym czasie swą fotografię wystrojonego rekruta i że obecnie jeszcze była ta fotografia akurat nad szafą z lustrem.

Gdy Henrouille zeszedł nadół, Robinson zwierzył mi się ze swego niepokoju, że teraz nie dostanie już obiecanych dziesięciu tysięcy franków... „Istotnie, nie licz bardzo na nie!“ sam mu powiedziałem. Wolałem go przygotować do tego nowego zawodu.

Kawałki ołowiu, to co pozostało z wybuchu petardy, wyszły teraz na brzegi ran. Wyjmowałem mu je kilkakrotnie, codziennie po parę okruchów. Bardzo go to

bolało, gdym mu tak gmerał w oczach, akurat nad spojówkami.

Nie pomogły środki ostrożności, ludzie z okolicznych domów zaczęli jednak pleść duby smalone na temat wypadku. Robinson na szczęście nie domyślał się tych gadań, to pogorszyłoby jeszcze stan jego zdrowia. Nie można zaprzeczyć, byliśmy otoczeni podejrzeniami. Młodsza Henrouille'owa czyniła coraz mniej hałasu, chodząc po domu w papuciach. Nie spodziewano się jej, a ona już była tam, przy nas.

Znaleźliśmy się wśród samych raf, najmniejszy fałszywy ruch wystarczyłby teraz, żebyśmy się wszyscy rozbili. Wszystko wtedy trzaśnie, rozłupie się, zderzy, runie i będzie wyrzucone na brzeg. Robinson, babka, petarda, królik, oczy, nieprawdopodobny syn, zbrodnicza synowa, rozłożymy się tam wśród wszystkich naszych brudów i nędznych wstydów, wobec drżących z ciekawości widzów. Nie byłem dumny z siebie. Nie żebym popełnił coś pozytywnie karygodnego. Nie. Czułem się jednak winny. Moją winą było przede wszystkim to, że w głębi duszy pragnałem, żeby to się ciągnęło dalej. I że nawet nie miałem nic przeciw temu, żebyśmy wszyscy razem poszli nurzać się coraz głębiej w nocy.

Właściwie, nie trzeba było nawet pragnąć, to już działo się samo i do tego piorunem!

Bogaci nie potrzebują sami zabijać, żeby żyć. Oni, jak powiadają, dają ludziom pracę. Oni, bogaci, sami nie robią nic złego. Oni płacą. Wszystko się robi, żeby im się podobało, i wszyscy są zadowoleni. Gdy ich kobiety są piękne, kobiety biednych są brzydkie. To jest rezultat, idący ze stuleci, zostawiając na stronie strój. Piękne dziewczynki to dobrze karmione, dobrze wymyte. Odkąd trwa życie, nic innego nie było.

Co do reszty, daremnie człowiek natęży siły, potyka się, ześlizguje, spada z powrotem w alkohol, który konserwuje i żywych i martwych, nie dochodzi do niczego. To jest dowiedzione. I od tylu wieków można widzieć, jak zwierzęta naszego gatunku rodzą się, trudzą i zdychają w naszych oczach i nie przytrafia im się nigdy nic nadzwyczajnego, tylko bez przerwy biorą się za dźwiganie tego samego brzemienia bez sensu, z tego miejsca, gdzie je tyle innych zwierząt porzuciło. A przecież powinniśmy rozumieć, co się dzieje. Nieprzerwane fale niepotrzebnych istot ciągną z głębi wieków, żeby wciąż umierać w naszych oczach, a tymczasem człowiek czeka tu, spodziewa się czegoś... Nawet niezdatny do wyobrażenia sobie śmierci.

Kobiety bogatych, dobrze odżywiane, dobrze zakłamanie, dobrze wypoczęte, stają się ładne. To jest prawda. Ostatecznie, to może wystarcza. Niewiadomo. To byłaby przynajmniej jakaś racja bytu.

— Nie uważasz, że kobiety w Ameryce były piękniejsze niż tutejsze? O takie rzeczy pytał mnie Robin-

son, odkąd przeżuwał wspomnienia z podróży. Zaczynały go interesować różne sprawy, zaczynał nawet mówić o kobietach.

Teraz rzadziej go odwiedzałem, gdyż w tym właśnie czasie zostałem mianowany ordynatorem w małym ambulatorjum dla gruźlików w sąsiedztwie. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu, to mi przynosiło osiemset franków miesięcznie. Przychodzili tam do mnie przeważnie ludzie z pasa fortecznego, tej swego rodzaju wsi, co nie potrafi nigdy wyzwolić się całkowicie z błota, wepchniętej między śmietniska i otoczonej ściężynami, gdzie małe dziewczynki, przedwcześnie rozbudzone smarkate, unikają szkoły, żeby pod parkanami zdobyć od satyrów dwadzieścia su, kartofle smażone i rzeżączkę. Teren dla filmu awangardy, gdzie brudna bielizna zatruwa drzewa, a wszystkie grzędy sałaty ociekają uryną w soboty wieczorem. W swej dziedzinie nie dokonałem w ciągu tych kilku miesięcy specjalizowania się żadnego cudu. A tymczasem była wielka potrzeba cudów. Lecz moim pacjentom nie zależało na tem, żebym dokonywał cudów, owszem, liczyli na swą gruźlicę, żeby móc przejść ze stanu nędzy kompletnej, która dławiła ich od urodzenia, do stanu nędzy względnej, jaką zapewniają maleńkie pensje rządowe. Wlekli swe plucie krwią, mniej lub więcej prawdziwe, od jednej dyskwalifikacji do drugiej, od czasu wojny. Chudli z gorączki, podtrzymywanej tem, że jedli mało a rzygali dużo, pili masę wina a mimo to pracowali, po prawdzie co trzeci dzień.

Nadzieja otrzymania pensji władała ich duszą i ciałem. Spadnie na nich ta pensja pewnego dnia, jak łaska, oby tylko mieli siły poczekać ździebko, zanim zde-

chną zupełnie. Nie wie się, co to jest wracać i czekać na coś, póki się nie obserwowało, jak umieją czekać i wracać biedni, którzy spodziewają się pensji.

Spędzali popołudnia i tygodnie całe na spodziewaniu się, w bramie i na progu mego nędznego ambulatorjum, gdy na dworze padało, na rozważaniu nadziei procentowej niezdolności inwalidzkiej i chęci płucia jawnie bakcyłowego, prawdziwego płucia, stuprocentowo gruźliczego płucia. Wyzdrowienie w ich nadziejach zajmowało miejsce wyraźnie za pensją, oczywiście myśleli oni i o wyzdrowieniu, lecz bardzo mało, tak że chęć zostania rentjerem, troszeczkę rentjerem, wszystko jedno w jakich warunkach, olśniewała ich całkowicie. Poza tem pragnieniem nieprzejednanem, ostatecznem mogły w nich istnieć już tylko małe podrzędne zachcianki, i nawet ich śmierć stawała się w porównaniu z tem czemś dość ubocznem, conajwyżej ryzykiem sportowem. Śmierć to ostatecznie kwestja kilku godzin, nawet minut, a tymczasem renta to tak jak nędza, to trwa całe życie. Ludzie bogaci upajają się czem innem i nie potrafią pojąć tego szału zabezpieczenia się. Być bogatym to jest inne upojenie, to znaczy zapomnieć. I właśnie dlatego człowiek staje się bogatym, żeby zapomnieć.

Stopniowo wyzbyłem się złego nałogu obiecywania moim pacjentom zdrowia. To nie mogło im robić wielkiej przyjemności, perspektywa przyjscia do zdrowia. To w rezultacie najgorsza z możliwości, być zdrowym. Zdrowy musi pracować, no i co potem? Natomiast pensja rządowa, bodaj najniższa, to jest coś poprostu boskiego.

Kiedy się nie ma pieniędzy, żeby dać biednym, to le-

piej milczeć. Gdy mówi im się o czem innem, nie o pieniądzach, oszukuje ich się, okłamuje, prawie zawsze. Bogatych bawić łatwo, wystarczy naprzykład lustrami, żeby się w nich przeglądali, ponieważ niema w świecie nic lepszego do oglądania jak bogaci. Żeby im przywrócić wigor, podnosi się bogatych co dziesięć lat o jeden szczebel w Legji Honorowej, jak stary cycek, i oto mają zajęcie na nowe dziesięć lat. Moi pacjenci to byli egoiści, biedacy, materjaliści, skurczeni w swych niskich projektach emerytury, którą mieli otrzymać za płwocinę krwawą i pozytywną. Reszta mało ich obchodziła, nawet pory roku ich nie obchodziły. Nie odczuwali różnicy roku i chcieli wiedzieć o nich tylko to co dotyczy kieszonki i choroby, że naprzykład zimą łatwiej o katar niż latem, ale że przeciwnie, pluje się łatwo krwią na wiosnę i że w czasie upałów można dojść do tracenia trzech kilo tygodniowo... Czasami słyszałem jak rozmawiali między sobą, sądząc że jestem gdzieindziej, gdy czekali w kolejce. Opowiadali o mnie okropności bez końca i kłamstwa, że mogła im od nich wylecieć w powietrze wyobraźnia. Takie oczernianie mnie musiało im dodawać jakiejś tajemniczej odwagi, która im była niezbędna, żeby być coraz bardziej bezlitosnymi, odpornymi i złymi, żeby trwać, żeby przetrzymać. Tak ostrzyć sobie języki, obgadywać, pogardzać, grozić widocznie do brzo im robiło. A przecież robiłem co było w mej mocy, żeby im iść na rękę, wszelkimi sposobami, brałem do serca ich sprawy i usiłowałem być im pożytecznym, dawałem im dużo jodku, żeby mogli wypluć swe podłe bakcyle, to wszystko nie zdołało obezwładnić ich draństwa...

Stali przede mną uśmiechnięci jak służący, gdy im zadawałem pytania, ale mnie nie lubili, naprzód ponieważ im czyniłem dobrze, następnie ponieważ nie byłem bogaty i że leczyć się u mnie to znaczyło być leczonym zadarmo, a to nigdy nie jest pochlebne dla chorego, choćby się starał o inwalidzką pensję. Nie było świństwa, któregooby nie rozgłaszali o mnie za plecami. Nie miałem również auta, jak większość lekarzy w okolicy, i to także było w ich oczach pewną ułomnością, że chodzę pieszo. Skoro się tylko trochę podbechtało mych pacjentów, a koledzy sobie tego nie żalowali, mścili się oni, możnaby rzec, za całą moją życzliwość, za to, że byłem taki uczynny, taki oddany. To wszystko jest w porządku rzeczy. Czas mimo to płynął.

Pewnego wieczoru, gdy moja poczekalnia była prawie pusta, wszedł jakiś ksiądz, żeby się ze mną widzieć. Nie znałem tego księdza, chciałem go odprawić. Nie lubiłem księży, miałem swoje powody, zwłaszcza odkąd zrobiono mi kawał z załadowaniem w San Tapeta. Ale tego daremnie starałem sobie przypomnieć, żeby mi powiedzieć do słuchu, naprawdę nigdzie go dotąd nie spotkałem. A przecież musiał nieraz chodzić w nocy, jak ja, po Rancy, skoro był z tych stron. Może więc unikał mnie? Zastanawiałem się. Musiano go uprzedzić, że nie lubię księży. To się czuło po chwiejnym sposobie, w jaki rozpoczynał swe gadanie. Więc, że nigdy nie deptaliśmy sobie po piętach przy tych samych chorych. Był proboszczem, jak mi powiedział, przy kościele w pobliżu, od dwudziestu lat. Wiernych miał mnóstwo, ale niewielu z nich płaciło. Słowem, raczej żebrak. To nas zbliżało do siebie. Sutanna, która go okrywała, wydała mi się draperją bardzo niewygodną do spacerowania po

pasie fortecznym, jak w bujabetesie¹. Zwróciłem mu na to uwagę. Podkreślałem nawet dziwaczną niedogodność podobnego stroju.

— Można się przyzwyczaić! odparł.

Moja impertynencka uwaga nie uraziła go wcale, był jeszcze uprzejmiejszy. Najwidoczniej miał do mnie jakąś prośbę. Głos jego nie wznosił się ponad pewną poufną monotonię, która pochodziła, tak sobie przynajmniej wyobrażałem, z jego profesji. Gdy mówił, przezorny w swym wstępie, próbowałem sobie przedstawić to wszystko co wykonywał codziennie ten proboszcz, żeby zarobić na życie, całą kupę min i do tego obietnic, coś tak jak ja... A potem, dla zabawy, wyobrażałem go sobie całkiem nagiego przed jego ołtarzem. Tak należy przywyknąć transponować od pierwszego wejrzenia ludzi, którzy przychodzą z wizytą, rozumie ich się potem daleko prędzej, rozróżnia się natychmiast w kimkolwiek bądź jego rzeczywistość ogromnego i chciwego robaka. To jest dobry sposób wyobraźni. Jego nędzny prestiż pierzcha, ulatnia się. Nagi, jawi się przed wami w rezultacie jako licha dzia-dowska torba, pretensjonalna i chełpliwa, wysilająca się na błahe, takie czy owakie brednie. Nic nie oprze się takiej próbie. W jednej chwili człowiek odzyskuje pewność siebie. Pozostają tylko myśli, a myśli nigdy nie budzą lęku. Gdy chodzi o myśli, nic nie jest stracone, wszystko się jakoś ułoży. A tymczasem nieraz trudno jest oprzeć się prestiżowi człowieka ubra-

¹ Bouillabaisse — gęsta zupa z ryb i mięczaków w Prowansji. *Przyp. tłum.*

nego. Ubiór jego zachowuje podłe zapachy i tajemnice, jest niemi nasycony.

Ksiądz miał zęby bardzo liche, popsute, brunatne, wysoko okolone zielonkawym kamieniem nazębnym, krótko mówiąc, ropotok zębodołowy jak się patrzy. Chciałem mu powiedzieć o jego ropotoku, ale był on zbyt zajęty opowiadaniem mi różnych rzeczy. Strzykały one na mnie sokiem ze spróchniałych pieńków pod pchnięciami języka, którego wszystkie ruchy śledziłem. W wielu drobnych miejscach język jego był skaleczony i krwawił na obrzeżach.

Byłem przyzwyczajony do tych drobiazgowych intymnych obserwacji i nawet je lubiłem. Gdy się zastanowić na przykład nad sposobem, w jaki tworzą się i są wypowiedane słowa, nasze zdania nie mogą uniknąć klęski, jaką jest demaskowanie ich śliniącej się oprawy. Nasz wysiłek mechaniczny rozmawiania jest bardziej skomplikowany i cięższy od wypróżniania się. Ten kielich wzdętego ciała, usta, co kurczy się do świstu, chwytta dech i miota się, wydaje przeróżne lepkie dźwięki poprzez cuchnącą zaporę spróchniałych zębów, cóż to za paskudztwo! A przecież to właśnie każą nam transponować na coś idealnego. To trudna rzecz. Ponieważ jesteśmy tylko zamkniętym obrębem ciepłych i psujących się wnętrzności, zawsze będziemy mieli kram z uczuciami. Być zakochanym to nic nie jest, trzymać całość w dobrej formie to jest trudne. Nasze ekskrementy nie chcą ani trwać, ani wzrastać. Na tym punkcie jesteśmy w daleko gorszym od nich położeniu, ta zaciekość trwania w naszym stanie stanowi niewiarogodną katuszę.

Stanowczo uwielbiamy nadewszystko opinię o nas.

Całe nasze nieszczęście z tego się wywodzi, że musimy być Janem, Piotrem czy Gastonem za wszelką cenę przez ciąg rozmaitych lat. To nasze ciało, maskarada cząsteczek w ciągłym ruchu i pospolitych, buntuje się bez przerwy przeciw tej okrutnej farsie trwania. Nasze cząsteczki chcą zatracić się we wszechświecie, jaknajprędzej, te miłe drobinki! Cierpią one, że są tylko „nami“, tem czemś oszukiwanem przez nieskończoność. Gdyby człowiek miał odwagę, rozprysnąłby się w kawałki, ponieważ jej nie ma, tylko z dnia na dzień podupada. Nasza ukochana katusza, anatomiczna, zawarta jest w naszym ciełe, razem z naszą pychą.

Że milczałem, skonsternowany wywołaniem z pamięci tej biologicznej sromoty, ksiądz pomyślał, że zaplanował nade mną i skorzystał nawet z tego, żeby stać się względem mnie zupełnie życzliwym a nawet poufałym. Oczywiście, poinformował się uprzednio co do mej osoby. Z niesłychaną oględnością poruszył drażliwy temat mej reputacji lekarskiej w okolicy. Dał mi do zrozumienia, że mogłaby ona być lepsza, gdybym był zupełnie inaczej postępował po osiedleniu się w Rancy, i to zaraz w pierwszych miesiącach mej praktyki tutaj. „Chorzy, drogi doktorze, nie zapominajmy o tem nigdy, są z zasady konserwatyści... Obawiają się, to łatwo zrozumieć, żeby im nie zabrakło ziemi i nieba...“

Według niego, powinienem więc być od samego początku szukać zbliżenia z kościołem. Taki był jego wniosek natury duchowej a zarazem praktycznej. Myśl nie była zła. Unikałem przerywania mu i czekałem cierpliwie, aż przejdzie do celu swej wizyty.

Do smutnych wynurzeń nie można było pragnąć odpowiedniejszej pogody. Na dworze było tak brzydko,

tak uporczywie zimno, że zdawało się, nie zobaczy się już nigdy reszty świata po wyjściu, że świat się rozpuścił z obrzydzenia do samego siebie.

Moja pielęgniarka skończyła wreszcie redagowanie wszystkich swoich kart choroby. Nie miała już żadnego pretekstu, żeby zostawać i przysłuchiwać się naszej rozmowie. Poszła więc sobie, ale mocno zirytowana, trzaskając za sobą drzwiami w gwałtownym porywie siekającej deszczem wichury.

Podczas tej rozmowy proboszcz się przedstawił, nazywał się ksiądz Protiste. Lawirując wśród niedomówień, powiedział mi, że już od pewnego czasu czyni z młodszą Henrouille'ową starania o umieszczenie starej razem z Robinsonem w przytułku jakiegoś zgromadzenia zakonnego, niedrogim — jeszcze szukali.

Przyglądając mu się bacznie, można było ks. Protiste'a wziąć ostatecznie za coś w rodzaju sprzedawcy w dużym sklepie, może nawet za kierownika działu, wymokłego, zielonkawego i wysuszonego stokrotnie. Był on istotnym plebejuszem przez uniżoność podsuwanych myśli. Również z oddechu. Ja nie myliłem się prawie nigdy co do oddechu. Był to człowiek, który jadł za prędko i pił białe wino.

Synowa Henrouille'owa, opowiedział mi, zaczęła od tego, że zgłosiła się do niego na plebanję, wkrótce po zamachu, żeby ich wyciągnął z paskudnej historii, w jaką się wpakowali. Gdy mi to opowiadał, wydawało się, że szukał usprawiedliwienia, wytłumaczenia, jak gdyby się wstydził tego współpracownictwa. Doprawdy, zbyt cenne ze mną ceregiele. Rozumiem takie sprawy. Przychodził odnaleźć nas w nocy. To wszystko. Tem gorzej zresztą dla tego proboszcza! I nim owładnęła stopniowo pewna śmiałość, w związku z pieniędzmi. Tem ci gorzej! Że całe moje ambulatorjum zaległa cisza a noc zamknęła się nad pasem fortecznym, zniżył zupełnie głos, żeby tylko mnie się zwierzyć. Ale daremnie szeptał, wszystko co mi opowiadał wydawało mi

się mimo wszystko ogromne, nie do zniesienia, zapewne z powodu spokoju dokoła nas, jakby wypełnionego echem. Może we mnie samym? Psst! miałem wciąż ochotę mu szepnąć, w przerwach wypowiedzanych słów. Ze strachu drżały mi nawet trochę wargi i przestawiałem myśleć na końcu zdań.

Teraz, kiedy przyłączył się do naszej udręki, proboszcz nie wiedział dobrze co zrobić, żeby iść za nami czworgiem w głąb nocy. Gromadka. Chciał wiedzieć, ile już osób jest wplątanych w tę chryję? Dokąd zmierzamy? Żeby on mógł również iść ręką w rękę z nowymi przyjacielami ku temu celowi, który zdołamy osiągnąć albo razem, albo wcale.

Byliśmy teraz w tej samej podróży. Proboszcz nauczył się chodzić w mroku, jak my, jak inni. Potykał się jeszcze. Pytał się mnie, co powinien robić, żeby nie upaść. Gdyby się bał, mógł być poprostu nie przychodzić! Dojdzie się do kresu razem i wówczas będzie wiadomo, czego się szukało w przygodzie. Życie to jest właśnie to, trochę światła, kończące się w mroku.

A może nigdy nie będzie wiadomo, może nie znajdzie się nic. To właśnie jest śmierć.

W danej chwili cała rzecz była w tem, żeby posuwać się dobrze naprzód poomacku. Z tego miejsca zresztą, gdzieśmy byli teraz, nie można było już się cofać. Nie było wyboru. Ich podła sprawiedliwość z Prawem była wszędzie, w kącie każdego korytarza. Henrouille'owa córka trzymała za rękę starą, a jej syn i ja ich ręce, Robinson również. Byliśmy złączeni. To był fakt. Wyłożyłem zaraz to wszystko księdzu. I on rozumiał.

Czy to nam się podobało, czy nie, w obecnej sytu-

acji niedobrze byłoby dać się zaskoczyć i zdemaskować przechodniom, to też powiedziałem księdzu i położyłem na to silny nacisk. Jeśli się kogoś spotka, trzeba udawać, że się jest na przechadzce, mieć minę jakby nigdy nic. Takie było hasło. Być zupełnie naturalnym. Proboszcz więc wiedział teraz wszystko, rozumiał wszystko, ścisnął mi mocno dłoń. On również, oczywiście bardzo się bał. Pierwsze kroki. Wahał się, bąkał nawet jak człowiek niewinny. Tam gdzieśmy się znajdowali, nie było już ani drogi, ani światła, na ich miejsce tylko trochę przezorności, której nakazy przypominało się sobie, niebardzo w nią wierząc. Słowa, które się sobie mówi w takich razach dla uspokojenia, trafiają w próżnię. Echo nie przynosi żadnego oddźwięku, człowiek wyszedł ze społeczeństwa. Strach nie mówi ani tak, ani nie. Przyjmuje wszystko co się mówi, wszystko co się myśli, wszystko.

Nawet wytrzeszczać oczy w mroku na nic się nie zda w takich razach. To jest jałowa zgroza i nic więcej. Noc zagarnęła wszystko, nawet spojrzenia. Człowiek jest opróżniony przez nią. Trzeba się mimo wszystko trzymać za ręce, żeby nie upaść. Ludzie dnia już cię nie rozumieją. Oddziela od nich wszystek strach i miążdzy aż do chwili gdy się to skończy tak czy inaczej, i wówczas można wreszcie połączyć się z temi draniami całego świata w śmierci lub w życiu.

Do księdza należało tylko pomagać nam narazie i dawać sobie w tem radę, to było jego zadanie. A zresztą wyłącznie po to tylko przyszedł, wystarać się na początek o umieszczenie matki Henrouille'owej, i to w mig, a jednocześnie i Robinsona, u Sióstr na prowincji. Ta kombinacja wydawała mu się możliwa, mnie zresztą

również. Tylko że trzeba by czekać miesiącami na wakans, a myśmy już nie mogli dłużej czekać. Dosyć.

Synowa miała zupełną rację, im prędzej, tem lepiej. Niech sobie idą! Uwolnić się od nich! Wobec tego Protiste badał możliwość innego załatwienia sprawy. Ten nowy plan, zgodziłem się na to zaraz, wydawał się bardzo pomysłowy. A przede wszystkim zawierał w sobie prowizję dla nas obu, dla księdza i dla mnie. Miało to być załatwione prawie bez zwłoki i ja miałem w tej sprawie odegrać swoją małą rolę. Polegała ona na tem, żeby skłonić Robinsona do wyjazdu na Południe, poradzić mu to w sposób, rozumie się, zupełnie przyjacielski, ale jednak usilnie.

Nie znając podstawy ani podszewki kombinacji, o której mówił proboszcz, powinienem był może porobić swe zastrzeżenia, zapewnić sobie dla mego przyjaciela, na przykład, jakąś gwarancję... Gdyż właściwie, zastanowiwszy się dobrze, dziwna to była kombinacja, którą nam proponował ksiądz Protiste. Ale nas wszystkich tak przyciskały okoliczności, że najważniejsze było, żeby to się nie przewlekało. Przrzekłem wszystko czego ode mnie żądano, poparcie i sekret. Ten Protiste wyraźnie był przyzwyczajony do delikatnych okoliczności tego rodzaju i czułem, że ułatwi mi wiele rzeczy.

Od czego zacząć? Trzeba było zorganizować dyskretny wyjazd na Południe. Co Robinson pomyśli sobie o wyjeździe tam? I do tego ze starą, której omal nie zamordował... Będę nalegał... I koniec! Musi się zgodzić, z różnych racyj, nie wszystkie były bardzo dobre, ale wszystkie były poważne.

Jeśli chodzi o dziwne zajęcia, prawdziwie było takie to, które znalaziono dla Robinsona i staruchy na

Południu. To było w Tuluzie. Piękne miasto Tuluz! Zresztą zobaczy się to miasto! Odwiedzi się ich tam! Przrzeknę, że pojedę do Tuluzy, jak tylko się urzędują w swym domu i w swym zajęciu.

Gdy nad tem się zastanawiałem, trochę mi było przykro, że Robinson ma tak prędko tam pojechać, a jednocześnie było mi to bardzo przyjemne, zwłaszcza że po raz pierwszy miałem mieć w tem mały zysk. Dadzą mi tysiąc franków. To było też umówione. Mojem zadaniem było tylko zachęcić Robinsona do wyjazdu na Południe zapewnieniem, że niema lepszego klimatu dla ran jego oczu, że mu tam będzie doskonale, że, słowem, ma szczęście, iż może wyłabudać się z tej sprawy takim taniem kosztem. To był środek, żeby się zdecydował.

Po pięciu minutach tego rodzaju przeżuwania, ja sam byłem nasycony przekonaniem i przygotowany do decydującej rozmowy. Trzeba kuć żelazo póki gorące, to moje zdanie. Ostatecznie, nie będzie mu tam gorzej niż tutaj. Pomysł tego Protiste'a wydawał się, po rozważeniu raz jeszcze, stanowczo bardzo rozumny. Ci księża potrafią jednakowoż stłumić najgorsze skandale.

Handel nie gorszy od innego, oto co ofiarowywano w ostateczności Robinsonowi i starej. Jeżeli dobrze rozumiałem, miało to być coś w rodzaju podziemia z mumjami. Zwiedzało się to podziemie pod jednym z kościołów, za opłatą. Turyści. I dobry interes, zapewniał mnie Protiste. Byłem o tem prawie przekonany i zaraz trochę zazdrosny. To nie codzień się zdarza, żeby nieboszczycy na nas pracowali.

Zamknąłem ambulatorjum i ruszyliśmy po wybojach w drogę do Henrouille'ów, zupełnie zdecydowani, obaj z proboszczem. To było dla mnie coś doprawdy nowe-

go. Nadzieja na tysiąc franków. Zmieniłem sąd o proboszczu. Przyszedłszy do dworku, znaleźliśmy małżonków Henrouille przy Robinsonie, w pokoju na piętrze. Ale w jakim-że stanie był Robinson!

— To ty, rzekł, ostatkiem sił panując nad emocją, skoro tylko usłyszał, że idę na górę. Czuję, że coś się stanie!... Czy nie? pyta mnie się, dysząc ciężko.

I w bek, zanim zdążyłem słowo powiedzieć. Tamci, Henrouille'owie, dają mi znaki, gdy on woła mnie na ratunek. „Ładny interes! mówię sobie. Tamci zbyt się pośpieszyli!... Zawsze zbyt się śpieszą! Tak mu na zimno wygarnęli?... Bez przygotowania? Nie czekając na mnie?...”

Na szczęście, mogłem podjąć nanowo, że tak powiem, całą sprawę innymi słowami. Tego tylko chciał i Robinson, nowego przedstawienia tych samych rzeczy. To wystarczało. Proboszcz w korytarzu nie śmiał wejść do pokoju. Ze strachu chodził zygzakiem.

— Proszę wejść! zapraszała go wreszcie Henrouille'owa. Proszę! Ksiądz proboszcz wcale nam nie przeszkadza! Zastaje ksiądz biedną rodzinę w nieszczęściu, to wszystko!... Lekarz i ksiądz!... Czyż nie tak jest zawsze w bolesnych chwilach życia?

Puściła się na frazesy. Nowe nadzieje wygrzebania się z błota i z mroku czyniły tę cholere liryczną na jej plugawy sposób.

Bezradny ksiądz stracił zupełnie kontenans i zaczął coś bełkotać, trzymając się w pewnej odległości od chorego. Jego wzruszony bełkot udziela się wówczas Robinsonowi, który znów wpada w trans: „Oni mnie oszukują! Oni mnie wszyscy oszukują! drze się.

Gadanina, i do tego z powodu dopiero pozorów.

Wzruszenia. Wiecznie to samo. Ale to przywróciło mi pewność siebie, dało mi tupet. Zaciągnąłem Henrouille'ową w kąć i postawiłem jasno sprawę, bo dobrze widziałem, że jedyny człowiek w tej całej aferze, który może ich wygrzebać, był koniec końców też fajtlapą. „Zaliczkę, powiedziałem babie. Natychmiast moją zaliczkę!” Gdy się już nie ufa, niema racji się żenować, jak to mówią. Zrozumiała i wsunęła mi w garść banknot tysiącfrankowy, a potem jeszcze jeden dodatkowo, żeby mieć pewność. Stałem się dla niej osobą decydującą. Wziąłem się wówczas do namawiania Robinsona z miejsca. Musi się zdecydować na Południe.

Zdradzić, jak to się mówi, łatwo powiedzieć. Trzeba jeszcze znaleźć okazję. Zdradzić, to tak jakby otworzyć okno w więzieniu. Wszyscy mają ochotę, ale rzadko kiedy można.

Z chwilą gdy wreszcie Robinson opuścił Rancy, sądziłem że życie ruszy z miejsca, że będzie się miało na przykład trochę więcej chorych niż zazwyczaj, a tymczasem nic z tego. Naprzód nastąpiło bezrobocie, kryzys w okolicy, a to jest najgorsza rzecz. Następnie pogoda, mimo zimy, zrobiła się łagodna i sucha, a nam dla uprawiania medycyny potrzeba właśnie wilgoci i zimna. Również żadnych epidemij, słowem sezon nieomyślny, zupełnie zmarnowany.

Zauważyłem nawet kolegów, odwiedzających pacjentów na piechotę, dość powiedzieć, z miną osób, zazwyczaj spacerujących, lecz w istocie mocno zirytowanych i jedynie, żeby nie używać swego auta, przez oszczędność. Ja miałem do wyjścia na miasto tylko płaszcz nieprzemakalny. Czyż z tego nabawiłem się takiego uporczywego kataru? Lub też dlatego, że przywykłem jeść doprawdy zamało? Wszystko jest możliwe. A może febra się odezwała? Tak czy owak, zaziębiwszy się trochę, akurat przed samą wiosną, zacząłem kasłać bez przerwy, byłem paskudnie chory. Klęska. Pewnego ranka nie mogłem w żaden sposób wstać z łóżka. Ciotka Beberta przechodziła właśnie koło moich drzwi. Zawołałem jej. Przyszła. Posłałem ją natychmiast po odbiór niewielkiej kwoty, jaka mi się jeszcze należała na mieście. Jedyna, ostatnia. Ta suma, uzyskana w połowie, starczyła mi na dziesięć dni spędzonych w łóżku.

Ma się czas na myślenie przez dziesięć dni leżenia. Skoro tylko będę się czuł lepiej, wyniosę się z Rancy,

tak postanowiłem. Zalegam zresztą dwa kwartały z kornem... Żegnajcie więc moje cztery meble! Nic nikomu nie mówiąc, ma się rozumieć, zwieję cichcem i już mnie więcej nie zobaczą w Garenne-Rancy. Wyjadę nie zostawiając ani śladów, ani adresu. Kiedy dokuczliwe śmierdzące bydło cię nęka, na co się zda z niem gadać? Nic nie mówić i wynieść się, jedyna mądra rzecz.

Z moim dyplomem mogłem się osiedlić wszędzie jedno gdzie, to prawda... Ale gdzieindziej nie będzie ani przyjemniej, ani gorzej. Trochę lepsza będzie miejscowość z początku, niewątpliwie, ponieważ zawsze trzeba trochę czasu, żeby ludzie zdołali cię poznać i żeby wzięli się do ciebie i znaleźli sposób szkodzenia ci. Póki jeszcze szukają miejsca, gdzie najłatwiej zadać ci ból, ma się trochę spokoju, ale z chwilą gdy trafili w sedno, wszędzie zaczyna się znowu to samo. Krótko mówiąc, najprzyjemniejszy jest ten krótki przeciąg czasu, gdy się jest nieznanym w każdym nowym miejscu. Potem, zaczyna się nanowo to samo draństwo. Taka jest ich natura. Cała rzecz w tem, żeby nie czekać aż koledzy poznają dobrze twe słabe strony. Trzeba gnieść pluskwy, zanim trafią z powrotem do swych szpar. Czy nie?

Co się tyczy chorych, pacjentów, nie miałem zgoła złudzeń co do nich. W innej dzielnicy nie będą ani mniej drapieżni, ani mniej tępi, ani mniej podli niż tutejsi. Ten sam sikacz, to samo kino, te same brednie sportowe, ten sam zapal w poddawaniu się naturalnym potrzebom gęby i zadu, tem wszystkim żyć będzie tam, jak i tu, ta sama horda, ciężka, gmerająca w łajnie, potaczająca się od jednej brechty do drugiej, wiecznie

się chępiąca, frymarcząca, niezycziwa, napastliwa między jednym strachem panicznym a drugim.

Ale skoro chory zmienia swą pozycję w łóżku, w życiu my też mamy prawo przewracać się z boku na bok, to jest wszystko, co możemy robić i jedyna obrona, jaką wymyślono przeciw swemu Losowi. Nie trzeba się spodziewać, że się swą troskę zostawi gdzieś po drodze. Troska to jest jak okropna kobieta, z którą się człowiek ożenił. Być może, lepiej jeszcze polubić ją trochę koniec końców niż wyczerpywać się biciem jej przez całe życie. Skoro wiadomo, że nie można jej zakatrupić?

W każdym razie wyniosłem się pocichutku z mej antresoli w Rancy. Rodzina stróżki była przy winie obiadowem i kasztanach, gdy przechodziłem koło ich łóży, ostatni raz. Nikt mnie nie zauważył. Ona się drapała, a on pochylony nad piecem, bezwładny z gorąca, już tak dobrze wypił, że fiolet na twarzy kazał mu zamknąć oczy.

Dla tych ludzi zanurzałem się w niewiadome niby w wielki tunel bez końca. To dobrze robi, gdy trzy osoby mniej zna ciebie, a więc trzy osoby mniej śledzi cię i szkodzi ci, które nawet nie wiedzą zupełnie, co się z tobą stało. To jest dobre. Trzy, bo liczę również ich córkę, Tereskę, która drapała się bezustanku, kąsana przez pchły i pluskwy, tak że miała od tego ropiejące wrzodzianki. To prawda, że u tych stróżów tak gryzło, że gdy się wchodziło do ich stancji, można było pomyśleć, iż włazi się powoli w szczotkę.

Długi palec gazu u wejścia, jaskrawy i syczący, opierał się na przechodniach na skraju chodnika i odrazu zamieniał ich w błędne widma w czarnej ramie drzwi.

Przechodnie szli potem nabrać jakiejś barwy przed oknami i pod latarniami i zatracali się koniec końców, jak ja, w mroku, czarni i bezkształtni.

Nie byłem już nawet zmuszony poznawać przechodniów. Jednakże chętniebym ich zatrzymał w tem szwendaniu się, na małą chwilkę, poto tylko żeby im powiedzieć, raz nazawsze, że idę sobie do diabła, że odchodzę, ale tak daleko, iż mam ich wszystkich gdzieś i że nic mi już nie mogą zrobić, niczego już próbować...

Gdym doszedł do bulwaru Wolności, wozy z jarzynami ciągnęły trzęsąc się, do Paryża. Ruszyłem ich śladem. Właściwie to prawie już zupełnie wyniosłem się z Rancy. Niezbyt było ciepło. Żeby się więc ogrzać, zboczyłem trochę z drogi, aż do łóży ciotki Beberta. Jej lampa wykwitiała w mroku korytarza. „Żeby z tem wszystkim skończyć, powiedziałem sobie, wypada powiedzieć „dowidzenia“ ciotce“.

Jak zwykle, była tam na swem krześle, w zapachach izby, i był piecyk ogrzewający to wszystko, i jej stara twarz, teraz zawsze gotowa płakać, odkąd umarł Bebert, a na ścianie, nad pudłem z robótkami, duża szkolna fotografia Beberta, z jego fartuchem, beretem i krzyżkiem. Było to „powiększenie“, otrzymane jako premjum do kupowanej kawy. Budzę ją.

— Dobry wieczór, doktorze, mówi ocknąwszy się. Pamiętam jeszcze dobrze, co mi powiedziała. „Wygląda pan jakby był chory! zaraz zauważyła. Niechże pan siada... Ja też się niedobrze czuję...“

— Wyszedłem trochę się przejść, odpowiedziałem, żeby sobie dodać kontenansu.

— Bardzo późno na spacer, rzekła, zwłaszcza jeśli

pan idzie w stronę placu Clichy... W alei jest zimny wiatr o tej porze!

Wstaje i utykając bierze się do zrobienia dla nas grogu i zaraz do gadania o wszystkim jednocześnie, nieodzownie o Henrouille'ach i o Bebercie.

Nie można było nic zrobić, żeby jej nie dać mówić o Bebercie, a przecież to w niej odnawiało zmartwienie i bolało ją i ona też o tem wiedziała. Słuchałem jej, nie przerywając ani słowem, byłem jak zdrętwiały. Usiłowała przypomnieć mi wszelkie miłe cechy Beberta, które rozkładała przede mną, z niemałym strapieniem, gdyż nie należało zapominać żadnej zalety Beberta, i zaczynała nanowo, a potem, gdy wszystko było w porządku i gdy mi dokładnie opowiedziała wszystkie okoliczności jego wykarmienia na butelce, odnajdywała jeszcze pewną drobną właściwość Beberta, którą jednakże trzeba było wyodrębnić, i wówczas podejmowała całą historję od początku i mimo to zapomniała o jakimś szczególe i koniec końców musiała się trochę popłakać w poczuciu bezsilności. Płatało jej się ze zmęczenia. Zasyiała wśród krótkich łkań. Już nie miała sił odbierać nadługo mrokom małego wspomnienia o małym Bebercie, którego bardzo kochała. Nicość była wciąż przy niej i już trochę na niej. Trochę grogu i znużenia i gotowe, zasypia chrapiąc, niby mały daleki samolot, unoszony przez chmury. Nie było już nikogo dla niej na ziemi.

Gdy ona tak zapadła się w wonie izby, myślałem sobie, że oto odchodzę i niezawodnie nie ujrzę więcej ciotki Beberta, że on, Bebert, istotnie odszedł, bez fasonów i nadobre, że ciotka też pójdzie za nim i to niezadługo. Jej serce było i chore i zupełnie stare. Pchało jeszcze jako tako krew do tętnic, ale z trudem jej przy-

chodziło powracać do żył. Pójdzie ciotka na duży cmentarz obok, gdzie zmarli są niby oczekujący tłum. Tam prowadziła Beberta, żeby się bawił, zanim zanie-mógł, na cmentarz. I potem będzie już naprawdę koniec. Przyjdą ludzie odmalować jej łożę i będzie można powiedzieć, że wszyscy się znaleźli razem, jak te kule w grze, chwiejące się na brzegu dziury, certujące się, zanim wpadną.

Kule też toczą się gwałtownie i z hałasem i ostatecznie nigdy nigdzie nie dochodzą. My tak samo, i cała ziemia do tego jeno służy, żebyśmy się odnaleźli wszyscy razem. Teraz dla ciotki Beberta to już nie było daleko, nie miała już prawie żadnej żywotności w sobie. Nie można się odnaleźć, póki się jest w życiu. Jest zawiele barw, które rozpraszają uwagę, i zawieli ludzi, kręcących się dokoła. Odnaleźć się można tylko w ciszy, gdy jest zapóźno, jak zmarli. Ja też musiałem się jeszcze kręcić i iść sobie gdzieindziej. Na nic się nie zdało wiedzieć to wszystko... Nie mogłem tkwić tutaj z nią.

Mój dyplom pęczył mi się w kieszeni daleko wypuklej niż moje pieniądze i dowody osobiste. Przed dzielnicowym biurem policji posterunkowy czekał na zluzowanie o północy i pluł na potęgę. Powiedzieliśmy sobie dobrywieczór.

Za stacją benzynową na rogu bulwaru była akcyza miejska i jej funkcjonariusze w swej szklanej klatce. Tramwaje już nie kursowały. Był to stosowny moment, żeby pogadać z celnikami o życiu, które jest coraz trudniejsze, coraz droższe. Dwóch ich było tam, jeden młody, drugi stary, obaj z łupieżem, schyleni nad olbrzymimi rejestrami. Przez szyby widać było wielkie nabrzeża cienia fortyfikacyj, posuwające się wysoko w mrok, by

dotrzeć do statków z tak daleka, do tak dostojnych okrętów, że podobnych nigdy się nie zobaczy. To jest pewne. Spodziewamy się ich.

Pogadało się więc sporo czasu z celnikami, a nawet napiliśmy się jeszcze kawy, grzejącej się na piecyku. Zapytali mnie się, czy przypadkiem nie wybieram się na wywczas, dla śmiechu, tak w nocy, z moim małym pakunkiem w rękę. „Tak jest“, odpowiedziałem im. Pocałumaczyć celnikom rzeczy niezwykle. Oni nie mogli pomóc mi w zrozumieniu ich. Byłem trochę podrażniony ich uwagą i wzięła mnie jednak chęć być interesującym, zaimponować im, zacząłem więc mówić tak, naprędce, o kampanji 1816, tej która doprowadziła kozaków akurat do tego miejsca, gdzieśmy teraz byli, do Rogatki, w pościgu za wielkim Napoleonem.

To wspomnienie rzuciłem, ma się rozumieć, z całą swobodą. Przekonawszy w kilku słowach tych dwóch brudasów o mej wyższości kulturalnej, o mej erudycji bez namysłu, rozpogodzony ruszam dalej w stronę placu Clichy aleją, wznoszącą się łagodnie.

Zauważcie, że zawsze są dwie prostytutki, czekające na rogu ulicy des Dames. One zajmują te kilka wyczerpanych godzin, które oddzielają koniec dnia od świtu. Dzięki nim życie nie ustaje w mroku. Pełnią funkcje łączników, ze swemi woreczkami ręcznymi, wypchanymi receptami, chustkami do wszystkiego i fotosami dzieci na wsi. Gdy się do nich podchodzi w półmroku, trzeba uważać, bowiem te kobiety ledwie istnieją, tak dalece są wyspecjalizowane, zachowując w sobie akurat tyle życia, ile potrzeba żeby odpowiedzieć na dwa lub trzy zdania, streszczające w sobie wszystko, co można

z nimi zrobić. To są duchy owadów w bucikach zapinanych na guziki.

Nie trzeba nic do nich mówić, nawet zbyt blisko podchodzić. Są złe. Miałem dużo wolnej przestrzeni. Zacząłem biec między szynami. Avenue jest długa.

Na samym jej końcu jest posąg marszałka Moncey. Wciąż broni Placu Clichy od 1816 przed wspomnieniami i przed zapomnieniem, przed niczem, z wiankiem z paciorków, niedrogim. Ja też dobiegłem do niego ze 112 laty opóźnienia przez Avenue zupełnie pustą. Nie ma już Rosjan, niema bitew ani kozaków, niema wcale żołnierzy, niema już na Placu nic do zajęcia prócz występującego kantu cokułu pod wiankiem. I małe ognisko w żelaznym koszu z trzema dygocącymi koło niego, którzy zezowali w śmierzącym dymie. Nie było tu bardzo przyjemnie.

Kilka samochodów uciekało przez plac co siłą ku wyłotom ulic.

Człowiek przypomina sobie pospiesznie o wielkich bulwarach, jako o miejscu mniej zimnym niż inne. Moja głowa funkcjonowała już tylko siłą woli, z powodu gorączki. Rozgrzany grogiem ciotki, zeszedłem ku bulwarom, uciekając przed wiatrem, który jest mniej chłodny, gdy się go dostaje z tyłu. Jakaś stara dama w czepku obok stacji metra Saint-Georges płakała nad losem swej wnuczki w szpitalu, chorej na drętvicę karku, jak powiadała. Korzystała z tego, żeby zbierać składkę. Źle trafiła.

Dałem jej tylko słowa. Ja też jej mówiłem o małym Bebercie i jeszcze o jednej małej dziewczynce, którą leczyłem w mieście i która umarła podczas mych studiów, też na drętvicę. Trzy tygodnie trwała jej agonja,

a jej matka nawet nie mogła już spać w łóżku obok ze zmartwienia, więc jej matka przez całe trzy tygodnie agonji onanizowała się i nie można było jej powstrzymać od tego i potem, kiedy wszystko się skończyło.

To dowodzi, że nie można istnieć bez przyjemności nawet jednej chwili i że jest bardzo trudno mieć naprawdę zmartwienie. Takie to jest życie.

Starą ze zmartwieniem pożegnałem przed Galerjami¹. Miała wyładować marchew koło Hal. Szła drogą jarzyn, jak ja, tą samą.

Ale „Tarapout“² pociągnął mnie. Postawiony jest na bulwarze, niby ogromne ciastko ze świąteł. I ludzie schodzą się tu zewsząd, stłoczeni jak poczwarki. Wychodzą ludziska z dokolnego mroku z wytrzeszczonymi już oczyma, by napełnić je sobie obrazami. Bezustanna ekstaza. To są ci sami co tłoczą się rano do metra. Ale tutaj, przed „Tarapoutem“ są zadowoleni, jak w New Yorku drapią się po brzuchu przed kasą, wysupłają trochę grosza i wnet, zdecydowani rzucają się z radością do otworów świetlnych. Było się jakgdyby rozebrany przez światło, tyle go było na ludziach, na ruchach, na przedmiotach, pełno girland świetlistych i jeszcze lamp. Nie możnaby rozmawiać ze sobą o sprawach osobistych, to było jakby przeciwstawienie nocy.

Ja też porządnie oszołomiony, zachodzę do kawiarenki sąsiadującej z kinem. Przy stoliku obok, patrzę, Parapin, mój dawny profesor, z łupieżem i resztą, pije piwo. Odnajdujemy się. Jesteśmy radzi. W życiu jego zaszły wielkie zmiany, jak się dowiaduję. Potrze-

ba mu dziesięciu minut, żeby mi opowiedzieć. To nie jest zabawne. Profesor Jaunisset z Instytutu tak się na niego zawział, tak go prześladował, że Parapin musiał się wynieść, podać się do dymisji i opuścić swe laboratorium, a do tego jeszcze matki dziewczynek z liceum przyszły z kolei czekać nań przy bramie Instytutu i sprać go po mordzie. Awantury. Dochodzenia. Udreka.

W ostatniej chwili, zapomocą dwuznacznego ogłoszenia w jednym z czasopism lekarskich zdołał trafnie zachaczyć się o inny sposób zarabiania na życie. Oczywiście, niewielkie rzeczy, jednakże zajęcie nie męczące i w jego guście. Chodziło o chytre zastosowanie świeżych teoryj profesora Barytona o rozwoju małych kretnów przez film. Wspaniały krok naprzód w dziedzinie podświadomości. O tem się tylko mówiło w mieście. To było nowoczesne.

Parapin towarzyszył tym specjalnym pacjentom do nowoczesnego „Tarapoutu“. Zgłaszał się po nich do nowoczesnego domu zdrowia Barytona pod miastem i po przedstawieniu odwoził ich, zidjociałych, obzartych wizjami, szczęśliwych i całych i jeszcze bardziej nowoczesnych. To wszystko. Z chwilą gdy usadowili się przed ekranem, nie było potrzeby zajmować się nimi. Publiczność wymarzona. Wszyscy zadowoleni, ten sam film pokazany dziesięć razy zrzędu zachwycał ich. Nie mieli pamięci. Ustawicznie cieszyli się niespodzianką. Ich rodziny zachwycone. Parapin też. Ja też. Śmieliśmy się z zadowolenia i oblewaliśmy kuflem po kuflu tę odnowę materjalną Parapina na gruncie nowoczesności. Pójdziemy sobie dopiero o drugiej w nocy po ostatnim seansie w Tarapucie, tak postanowiliśmy, żeby iść po

¹ Galeries Lafayette niezawodnie.

² Z pewnością wielkie kino „Paramount“ na wielkich bulwarach. *Przyp. tłum.*

tych kretynów, zebrać ich do kupy i raz dwa odstawić autem do lecznicy doktora Barytona w Vigny-sur-Seine. Cały kłopot.

Ze obaj byliśmy szczęśliwi, żeśmy się odnaleźli, zaczęliśmy gawędzić, poprostu dla przyjemności fantazjowania, naprzód o podróżach, które każdy z nas odbył, a wreszcie o Napoleonie, tak sobie, co się nasuwało w toku rozmowy, à propos Moncey'a na Placu Clichy. Wszystko staje się przyjemnością, kiedy celem jest tylko czuć się razem dobrze, gdyż wtedy ma się wrażenie, że się jest wreszcie wolnym. Zapomina się o swem życiu, to znaczy o sprawach forsy.

Od słowa do słowa, nawet na temat Napoleona znaleźliśmy zabawne rzeczy do opowiedzenia sobie. Parapin znał dobrze historję Napoleona. To go pasjonowało, dowiedziałem się, ongi, w Polsce, gdy był jeszcze w gimnazjum. Parapin był dobrze wychowany, nie tak jak ja.

Więc na ten temat opowiedział mi, że podczas odwrotu z Rosji generałowie Napoleona mieli ciężką przeprawę z nim, żeby mu nie dać zetknąć się w Warszawie ostatni pożegnalny raz z Polką, panią jego serca. Taki już był Napoleon, nawet w najcięższych przeciwnościach losu i nieszczęściach. Właściwie człowiek niepoważny. Nawet on, orzeł swej Józefiny! Palila go żądza, należy to przy tej okazji powiedzieć, na złość wszystkim. Nic na to zresztą nie poradzi, póki człowiek ma ochotę do rozkoszy i zabawy, a tę ochotę mają wszyscy. To jest najsmutniejsze. Tylko o tem się myśli. W kołysce, w kawiarni, na tronie, w wygodce. Wszędzie! Wszędzie! Ta troszka! Napoleon czy nie Napoleon! Rogacz czy nie rogacz! Rozkosz przede-

wszystkiem! Niech zdechnie czterysta tysięcy odurmanionych, zaberezynowanych¹ aż po kity czap! mówił sobie wielki zwyciężony, byle Poleon mógł machnąć sobie jeszcze jednego sztos! Co za drań!... Dajcie spokój! To właśnie jest życie! Tem się wszystko kończy! Niepoważnie! Tyranowi obmierzła grana przezeń komedja daleko wcześniej niż widzom. Tyran idzie obłąpać, gdy nie może już wydzielać ze siebie szaleństw dla publiki. Wówczas rachunek jego jest zamknięty. Przeznaczenie powala go rychło! Entuzjaści nie z tego robią mu zarzut, że ich masakrował z całych sił! Cóż znowu! To, to bagatela! I jakże chętnie mu przebaczą! Ale tego, że raptem stał się nudny, tego mu nie wybaczą. Rzecz poważną toleruje się tylko w symulacji. Epidemje ustają dopiero w chwili gdy mikrobom obmierzną ich toksyny. Robespiera zgilotynowano, bo powtarzał wkółko to samo, a co się tyczy Napoleona, nie oparł się on dwuletniej zgórą inflacji Legji Honorowej. Dla tego szaleńca było torturą być zmuszonym dostarczać awanturnicznych zachcianek połowie siedzącej Europy. Fach niemożliwy. Pękł od tego.

Tymczasem kino, ten nowy mały najmita naszych marzeń, można go sobie kupić, sprokurować na godzinę lub dwie, jak osobnika co się prostytuuje.

A ponadto artyści, w naszych czasach, wsadzono ich wszędzie, przez przezorność, tak dalece ludzie się nudzą. Nawet w domach, gdzie ulokowano artystów z ich dreszczami, rozpasanemi wszędzie i z ich objawami szczeroci, kapiącemi przez piętra. Drzwi od tego drgają. Wysiłają się, kto będzie drzeć więcej, z większym

¹ w oryginale: *embérésinés* (od „Berezyny“). *Przyp. tłum.*

tupetem i tkliwością, i odda się z większym nateżeniem niż kolega. Dzisiaj dekoruje się zarówno wychodki jak rzeźnie, lombard również, a to wszystko, żeby was zabawić, rozerwać, dać wam wyjść z kręgu Losu.

Życie zupełnie na trzeźwo, cóż za katorga! Życie jest jak klasa w szkole, gdzie nuda jest pedlem, on tam ciągle was śledzi zdaleka, trzeba udawać za wszelką cenę, że się jest zajęтым czemś pasjonującym, inaczej przyjdzie i zeżre wam mózg. Dzień, który jest tylko zwykłym dniem o 24 godzinach, jest nie do ścierpienia. Dzień, to powinna być jedynie długa rozkosz, prawie nie do zniesienia, długi coitus, dobrowolny lub przymusowy.

Przychodzą tak oto człowiekowi wstrętne myśli do głowy, gdy się jest zahukanym przez konieczności życiowe, gdy w każdym momencie trzeba zdusić pragnienie tysiąca rzeczy innych i znajdujących się gdzieindziej.

Robinson był bubkiem, też dręczonym przez swego rodzaju żądzę nieskończoności, zanim wydarzył mu się jego wypadek, ale teraz dostał za swoje. Tak przynajmniej sądziłem.

Korzystałem z tego, że siedzieliśmy sobie spokojnie w kawiarni, żeby opowiedzieć Parapinowi również wszystko co mi się przytrafiło, od czasu naszego rozstania. On rozumiał ludzkie sprawy, nawet moje, i przyznał mi się, że rozbiłem swą karierę lekarską, opuszczając Rancy w sposób niesamowity. Tak to trzeba nazwać. Nie było się z czego śmiać. O powrocie do Rancy nie należało nawet myśleć, biorąc pod uwagę okoliczności. Sam Parapin zgadzał się z tem.

Kiedyśmy tak sobie przyjemnie gawędzili, właściwie

zwierzali się sobie, nadszedł antrakt w Tarapucie i muzykanci z kina hurmem wtargnęli do kawiarni. Gremjalnie sięgnęli po kieliszki. Parapina dobrze znali muzykanci.

Od słowa do słowa, dowiaduję się od nich, że właśnie dyrekcja szuka Paszy do statystowania w intermedjum. Rola niema. Ten co robił „Paszę“, poszedł sobie nie sprzedając. A przecież piękna rola, dobrze płatna, w prologu. Nie wymaga wysiłków. Poza tem, nie należy tego zapominać, Pasza jest szelmowsko otoczony przez cały rój tancerek. W sam raz mój rodzaj i moja potrzeba.

Robię przyjemnego i czekam na propozycję reżysera, krótko mówiąc, zgłaszam się. Ponieważ było tak późno i nie było już czasu na szukanie innego statysty aż w teatrze Porte Saint-Martin, reżyser był zadowolony, że znalazł mnie na miejscu. To mu oszczędzało zachodu. Mnie również. Przyjrzał mi się pobieżnie. Z miejsca więc mnie przyjmuje. Zabierają mnie. Byłem tylko nie potykał się, tego ode mnie żądają, a i to jeszcze...

Dostaję się do tych pięknych podziemi kina „Tarapout“, ciepłych i wybitych materją. Istny ul z perfumowanymi garderobami, gdzie Angielki w oczekiwaniu przedstawienia folgowały sobie, sypiąc przekleństwami i baraszkując dwuznacznie. Odrazu w świetnym humorze, że znowu mam z czego żyć, czempredzej zapoznałem się z temi młodemi i swobodnemi koleżankami. Ich gromadka przyjęła mnie zresztą w sposób niesłychanie miły. Anioły. Dyskretne anioły. Przyjemnie też jest, gdy one od ciebie nie żądają zwierzeń, ani tobą nie gardzą, to jest Anglja.

Grube wpływy kasowe w „Tarapoucie“. Nawet za kulisami na każdym kroku luksus, dostatek, uda, światła, mydła, sandwicze. Temat divertissement, w którym występowaliśmy, był wzięty, zdaje mi się, z Turkiestanu. Był to pretekst do bzdur choreograficznych, do muzycznego kołysania biodrami i do gwałtownego bębnienia.

Moja rola była sumaryczna ale zasadnicza. Wzdęty od złota i srebra, z początku miałem pewne trudności w ulokowaniu się wśród tylu podpór dekoracyj i chwiejnych postumentów ze światłem, ale przyzwyczailem się i, dotarwszy tam, efektownie umieszczony, nie miałem nic innego do roboty jak marzyć sobie pod opalowymi projekcjami.

Przez dobry kwadrans dwadzieścia bajader londyńskich miotało się w porywczym melodjach i bachanckich ruchach, żeby mnie rzekomo przekonać o rzeczywistości ich wdzięków. Wcale nie wymagałem aż tyle i myślałem, że pięć razy nadzień powtarzać to przedstawienie to było dużo dla kobiet, i do tego nie słabnąc nigdy, kręcąc nieubłagane kuperkiem, z tą rasową energią, nieco nudną, z tą nieprzejednaną ciągłością, którą mają statki w drodze, tramy, w swym nieskończonym trudzie po oceanach...

Niewarto się szamotać, wystarczy czekać, skoro wszystko musi się kończyć rozgrywanym się na ulicy. Ona tylko ma znaczenie w gruncie rzeczy. Niema gadania. Czeka na nas. Trzeba będzie zejść na ulicę, zdecydować się na to, nie jeden, dwóch, trzech z nas, ale wszyscy. Droczyliśmy się, robimy ceregiele, ale to przyjdzie.

W domach nic dobrego. Jak tylko za człowiekiem zamkną się drzwi, natychmiast zaczyna go być czuć i wszystko co zabiera też czuć. Na miejscu wychodzi z mody, duszą i ciałem. Gnije. Jeśli ludzie śmierdzą, dobrze nam tak. Trzeba było się nimi zająć! Trzeba było ich wyprowadzać, wypędzać, wystawiać. Wszystko co śmierdzi jest w pokoju i upiększa się, a jednakoż śmierdzi.

Mówiąc o rodzinach, znam oto pewnego aptekarza na avenue de Saint-Ouen, który ma piękny afisz na swej wystawie, ładną reklamę: Trzy franki pudełko do przeczyszczenia całej rodziny! Warto! Odbija się wszystkim. Cała rodzina załatwia się razem. Nienawidzą się każdą kroplą krwi, to jest prawdziwe ognisko rodzinne, ale nikt nie żąda zmiany, bo to jednak taniej wypada niż zamieszkać w hotelu.

Hotel, pomówmy o tem, to jest bardzo niespokojne, to nie jest pretensjonalne jak prywatne mieszkanie, czuje się tam człowiek mniej winnym. Rodzaj ludzki nigdy nie jest spokojny i żeby zejść na sąd ostateczny, który odbędzie się na ulicy, oczywiście bliżej będzie

z hotelu. Mogą przyjść aniołowie z trąbami, pierwsi zgłosimy się my, z hotelu.

Człowiek próbuje nie zwracać na siebie zbytnej uwagi w hotelu. Na nic się nie zda. Wystarczy sobie powiedzieć do słuchu trochę głośniej lub za często, masz, już cię wykryli. Wkońcu ledwie się śmie robić siusiu w toalecie, tak wszystko słychać z pokoju do pokoju. Z konieczności dochodzi się do nabrania dobrych manier, jakie mają oficerowie marynarki wojennej. Może każdej chwili nastąpić trzęsienie ziemi, jest się gotowym, gwizdź się na to, skoro już się siebie wzajem „przeprasza“ dziesięć razy na dzień przy samym tylko spotykaniu się w korytarzu, w hotelu.

Trzeba się nauczyć rozpoznawać w ubikacji zapach każdego z sąsiadów na piętrze, to może się przydać. Trudno jest robić sobie złudzenia w pokojach umeblowanych. Klienci nie są buńczuczni. Cichcem podróżują po życiu, z dnia na dzień, nie ściągając na siebie uwagi, w hotelu, jak na statku, któryby był trochę zbutwiały, i pełen dziur, i o temby się wiedziało.

Ten hotel, w którym się ulokowałem, ściągał ku sobie przeważnie studentów z prowincji. Czuć tam było staremi niedopałkami i pierwszym śniadaniem, od pierwszych schodów. Można go było odnaleźć zdaleka w mroku, dzięki szaremu światłu latarni nad wejściem i szczerbatym złotym literom, które mu zwisały z balkonu, niby stare olbrzymie zęby sztuczne. Potwór do mieszkania, ogłupiały od kombinacji niechlujstwa.

Z pokoju do pokoju przez korytarz składano sobie wizyty. Po moich latach mizernych przedsięwzięć w życiu praktycznym, przygód, jak to się mówi, powróciłem do nich, do studentów.

Pragnienia ich były zawsze te same, solidne i zjeźdźcałe, ani mniej, ani więcej płaskie niż ongi, w czasach gdy rozstałem się ze studenterją. Zmienili się osobnicy, lecz nie myśli. Chodzili jeszcze, jak zawsze, jedni i drudzy skubnąć mniej lub więcej medycyny, coś tam z chemji, połknąć pastylki z prawa, pochłonąć całe zoologje, w niemal regularnych odstępach czasu, na drugim końcu dzielnicy. Wojna, przechodząc przez ich rocznik, nic w nich nie poruszyła i gdy się człowiek, przez sympatję, przyłączał do ich marzeń, wiedli cię wprost do swego czterdziestego roku życia. W ten sposób wyprzedzali siebie o dwadzieścia lat, dwieście czterdzieści miesięcy wytrwałych oszczędności by sfabrykować sobie szczęście.

Jarmarczna składana malowanka służyła im za wzór zarówno szczęścia jak i karjery, ale stopniowana, staranna. Widzieli siebie na ostatniej karcie, otoczonych rodziną, nieliczną lecz niezrównaną i cenną aż do zawrotu głowy. A tymczasem oni, że tak powiem, nigdy nie będą patrzeć na swą rodzinę. Niewarto. Rodzina jest stworzona do wszystkiego, z wyjątkiem żeby na nią patrzeć. Przedewszystkiem siłą ojca, szczęściem jest całować swą rodzinę, nigdy na nią nie patrząc, to jest jego poezja...

Nowością będzie to, że pojedą do Nicei samochodem z małżonką mającą posag i może będą używali czeków do przekazywania pieniędzy. Co do wstydlwych części duszy, zapewne zabiorą też pewnego wieczoru małżonkę do lupanaru. Raz jeden, nie więcej, Reszta świata zawiera się w dziennikach i jest strzeżona przez policję.

Pobył w zapchlonym hotelu czynił narazie moich to-

warzyszy trochę nieśmiały i zbyt drażliwi. Młodziutki burzuj w hotelu, student, czuje się jak na pokucie, a ponieważ, rozumie się, nie może jeszcze robić oszczędności, żeby się zagłuszyć, domaga się birbantki, tej rozpaczki, podanej nie na czarno lecz w postaci białej kawy.

W początkach miesiąca przechodziliśmy krótki i prawdziwy kryzys erotyzmu, cały hotel tem dyszał. Lokatorzy myli sobie nogi. Wędrówka miłosna była już ułożona. Nadejście przekazów z prowincji decydowało o rozpoczęciu jej przez nas. Ja mógłbym może otrzymać te same spółkowania w Tarapucie z moimi Angielkami od tańca i do tego darmo, ale po zastanowieniu się zrezygnowałem z tych ułatwień, żeby nie było chryj i ze względu na nieszczęsnych zazdrosnych makrocikowprzyciaciół, włóczących się zawsze w kulisach za tancerkami.

Ześmy czytywali dużo sprośnych czasopism w naszym hotelu, znało się sztuczki i adresy, żeby pobrykać w Paryżu! Trzeba przyznać, że to zabawna rzecz adresy. Człowiek da się wciągnąć, nawet ja, który miałem za sobą przejście przez Berezynę¹ i podróże, i znałem dobrze komplikacje w wyuzdaniu, dział zwierzeń nie wydaje się nigdy całkowicie wyczerpany. Zachowujecie zawsze odrobinę ciekawości w rezerwie dla tych spraw. Mówi się sobie, że nic już więcej nie dowiemy się od zadka, że niewarto tracić ani chwili czasu na ten temat, a potem jednak zaczyna się raz jeszcze, je-

¹ gra słów: *le passage des Bérésinas* — przeprawa przez Berezynę i „Pasaż Berezyny“, o którym autor mówi w pierwszej części powieści, opisując Paryż podczas wojny (pani Herote, Argentyńczy, Mizyna). *Przyp. tłum.*

dynie poto, żeby mieć czyste sumienie, że temat jest wyczerpany, i przecież dowiaduje się człowiek czegoś nowego w tym zakresie, i to wystarcza, żeby przywrócić optymizm.

Wraca się do sił, myśli się jaśniej niż przedtem, zaczyna się mieć nadzieję, gdy nie miało się już zupełnie nadziei, i nieuchronnie wraca się do tyłka za tę samą cenę. Słowem, zawsze odkrycia w pochwie dla każdego wieku. Otóż, pewnego popołudnia, niech opowiem co się stało, wyszło nas trzech lokatorów hotelu na poszukiwanie przygody za tanie pieniądze. To poszło sprawnie, dzięki stosunkom Pomone'a, który w dzielnicy Bagnolles miał biuro, załatwiające wszystko czego można było zapragnąć w zakresie dopasowań i ugody erotycznej. Rejestr Pomone'a obfitował w zaproszenia na wszelkie ceny; ten mąż opatrnościowy funkcjonował bez żadnej ostentacji w głębi podwórka w szczupłym lokalu, tak słabo oświetlonym, że trzeba było do orjentowania się tam mieć tyleż taktu i rozwagi, co w nieznanym pisuarze. Szereg kotar, które trzeba było rozsunać, niepokoiły interesanta, zanim dotarł do tego rajfura, siedzącego zawsze w fałszywym półświecie, by przyjmować zwierzenia.

Z powodu tego półcienia nigdy, prawdę mówiąc, nie mogłem przyjrzeć się dowoli Pomone'owi i chociaż długo rozmawialiśmy ze sobą, nawet przez pewien czas współpracowaliśmy, i choć robił mi różne propozycje i przeróżne inne niebezpieczne zwierzenia, nie zdołałbym go poznać dzisiaj, gdybym go spotkał w piekle.

Pamiętam tylko, że ukradkowi amatorzy, którzy czekali na swoją kolej rozmowy w jego salonie, zachowywali się zawsze bardzo przyzwoicie, bez żadnej między

sobą poufałości, trzeba to powiedzieć, owszem nawet z rezerwą, niby u jakiegoś dentysty, który zgoła nie lubi hałasu, ani też światła.

Poznałem się z Pomone'em dzięki pewnemu studentowi medycyny. Student bywał u niego, żeby sobie zapewnić drobny dochód uboczny, dzięki olbrzymich rozmiarów penisowi, jakim był, szczęściarzem, obdarzony. Wzywano tego studenta do ożywiania tą słynną pyłą bardzo intymnych wieczorynek pod miastem. Zwłaszcza damy, te co nie wierzyły, żeby można mieć „takiego ogromnego“, przyjmowały go uroczyście. Przewyższał bredzenia dziewczynek. W rejestrach policji nasz student figurował pod przezwiskiem straszliwym: Baltazar!

Rozmowy między czekającymi klientami nawiązywały się z trudem. Ból wystawia siebie na pokaz, a rozkosz i naturalna potrzeba mają swe wstydlivości.

Być obłapiaczem i być biednym to są grzechy, czy się to komu podoba czy nie. Gdy Pomone dowiedział się kim jestem i zapoznał się z moją przeszłością lekarską, nie mógł się powstrzymać, żeby mi się nie zwierzyć ze swej udręki. Wyczerpywał go pewien nałóg. Nabył go „dotykając się“ ustawicznie pod swoim własnym biurkiem podczas rozmów z klientami, poszukiwaczami, dręczonymi przez międzykrocze. „To jest mój fach, rozumie pan! Niełatwo powstrzymać mnie od tego... Przychodzą opowiadać mi takie rzeczy, świńtuchy!...“ Krótko mówiąc, klientela doprowadzała go do nadużyć, podobnie jak tych zbyt tłustych rzeźników, co zawsze mają skłonność do opychania się mięsem. Ponadto jestem przekonany, że dolne jelita rozgrzewała mu wciąż złośliwa gorączka, idąca z płuc. W kilka lat

potem zresztą zabrała go gruźlica. Nieskończone gadaniny zarozumiałych klientek wyczerpywały go również pod innym względem, wiecznie szachrujących, stwarzających mnóstwo zatargów i pretensyj o głupstwa i o ich pupę, która, ich zdaniem, nie miała sobie równej, choćby się przeszukało cztery części świata.

Co do mężczyzn, trzeba im było przeważnie przedstawiać zwolenniczki ich kaprysów zmysłowych, a przynajmniej godzące się na te zachcianki. Klienci nie mieli już z kim dzielić swej miłości, a jeszcze znajdowali partnerki, tak jak ci u pani Hérote. Z samą tylko ranną pocztą agencji Pomone'a napływało dość nienasyconej miłości, by nią zagasić nazawsze wszystkie wojny na naszym padole. Ale te potopy sentymentów nie przekraczają nigdy sfery podbrzusza. W tem całe nieszczęście.

Jego biurko tonęło w obrzydliwych bezładnych kupach tych płomiennych banalności. W mojej żądzy poznania bliżej tej dziedziny, postanowiłem na czas pewien zająć się sortowaniem owego bigosu epistolarnego. Podobnie jak przy segregowaniu krawatów lub chorób, trzeba było, poinformować mnie, dzielić na grupy, według gatunków afektu, zwykłe uniesienia miłosne rejestrować po jednej stronie, oddzielnie masochiści i nałogowcy, amatorzy biczowania tu, rodzaj „guwernantka“ znów na innej stronicy i tak dla każdej odmiany. Niedługo trzeba czekać, żeby zabawka obróciła się w pańszczyznę. Człowiek został istotnie wygnany z Raju! To można z ręką na sercu powiedzieć! Tego samego zdania był i Pomone ze swymi wilgotnymi dłońmi i ze swym nieustannym nałogiem, który mu jednocześnie sprawiał przyjemność i zadawał pokutę. Po pa-

ru miesiącach wiedziałem już dosyć o jego handlu i o nim. Odwiedzałem go rzadziej.

W kinie „Tarapout“ w dalszym ciągu uważali mnie za człowieka przyzwoitego, spokojnego, za punktualnego statystę, ale po kilku tygodniach uspokojenia nie-szczęście wróciło do mnie z dziwnej strony i byłem zmuszony, znowu raptownie, porzucić swe statystowanie, by iść dalej swą przekłętą drogą.

Gdy z odległości patrzę na czasy „Tarapoutu“, widzę że właściwie był to rodzaj postoju niedozwolonego i tajnego. Naprzykład, przyznaję to, byłem przez te cztery miesiące zawsze dobrze ubrany, to jako ksiązę, to znów dwukrotnie jako centurjon, kiedyindziej jako lotnik, suto i regularnie opłacany. Najadłem się w „Tarapoucie“ na lata całe. Życie rentjera bez renty. Zdrada! Klęska! Pewnego wieczora zmieniono nasz numer nie wiem z jakiej racji. Nowy prolog przedstawiał londyńskie nabrzeża. Odrazu spojrzałem na to nieufnie, nasze Angielki miały w tej dekoracji śpiewać, tak sobie, fałszywie i rzekomo na brzegach Tamizy w nocy, ja robiłem policjanta. Rola zupełnie niema, spacerować tam i z powrotem, przed rampą. Odrazu, kiedy zgoła o tem nie myślałem, ich piosenka stała się silniejsza od życia, a nawet obróciła los całkowicie w stronę niedoli. Otóż podczas ich śpiewania nie mogłem o niczem innem myśleć jak tylko o całej nędzy biednego świata i o mojej własnej, że od piosenki tych dziewczyn odbijało mi się i męliło mnie, jak po tuńczyku. A przecież sądziłem, że już strawiłem, zapomniałem co najcięższe! Ale to było najgorsze ze wszystkiego, to była wesoła piosenka, która nie potrafiła być wesołą. Na dobitkę moje towarzyszyki, śpiewając kołysały zalotnie

biodrami, żeby spróbować, czy nie zjawi się wesołość. Ładnie się wtedy czuła sala, niema co mówić! To było tak, jakby się rozkładano na nędzy, na strapieniach... Niepodobna było się omylić! Włóczyć się we mgle i w skardze! Kapał z niej lament, od tego człowiek się starzał co minutę bardziej, razem z niemi. Z dekoracji sęczył się też wielki popłoch. A tymczasem moje koleżanki ciągnęły dalej. Widać było, że nie rozumiały fatalnego działania niedoli na nas wszystkich, jakie wywoływała ich piosenka... Skarzyły się na całe swoje życie, skacząc, śmiejąc się, z zachowaniem rytmu... Kiedy to przychodzi z tak daleka, w tak pewny sposób, niemożna ani się pomylić, ani oprzeć temu.

Wszędzie była nędza, mimo przepychu, jaki był w sali, na nas, na dekoracjach, pełno jej było, wydziełała z siebie sok po całej ziemi, mimo wszystko. Jeśli chodzi o artyzm, były one artystkami... Szedł z nich pech, którego nie chciały ani powstrzymać, ani zrozumieć. Tylko ich oczy były smutne. Ale oczy to nie dosyć. Śpiewały o zamęcie, jakim jest istnienie, o manowcach życia i nie rozumiały. One brały i to jeszcze za miłość, wyłącznie za miłość, nie nauczono ich reszty tych dzieciaków. Śpiewały niby to o drobnem zmartwieniu! Tak to nazywały! Wszystko się bierze za zmartwienia miłosne, gdy się jest młodym i gdy się nie wie...

Where I go... where I look...

It's only for you... ou...

Only for you... ou...

Tak śpiewały.

To jest manja młodych umieszczać całą ludzkość w jednej parze pośladków, jedynej, święte marzenie,

zaciekłość miłosna. Te dziewczyny być może dowiedzą się później, czem to wszystko się kończy, kiedy już zupełnie nie będą różowe, gdy poważna policja ich paskudnego kraju weźmie się do nich wszystkich szesnastu, z ich grubemi udami klaczy, z podrygującymi cykami... Nędza trzymała je zresztą już za szyję, obejmowała im ciało, tym pieszczoszkom, nie wykrecą się przed nią. Czepiała się już nędza ich brzucha, oddechu, wszystkimi falami ich głosów, wątłych, no i fałszywych.

Była w tem wszystkim. Żaden kostjum, żaden szych, ani światło, ani uśmiech nie wyprowadzą jej w pole, nie złudzą jej co do jej ofiar, ona odnajduje je tam, gdzie się kryją; bawi się tylko, pozwalając im śpiewać tymczasem, w oczekiwaniu swej kolei, o wszystkich głupstwach nadziei. To nędzę budzi, kołysze i podnieca.

Tak oto nasza troska, wielka troska, jest rozrywką. Więc tem gorzej dla tego kto śpiewa piosenki miłosne! Miłość to jest ona, nędza i nic pozatem, znowu ona, zawsze ona, co przychodzi kłamać naszymi ustami, łajno i basta. Wszędzie jest, cholera, nietrza budzić swej nędzy, nawet udawanej. Niema dla niej udawania. A jednak trzy razy dziennie robiły to moje Angielki, na tle dekoracji i z melodjami na harmonice. Nieuchronnie musiało się to bardzo źle skończyć.

Nie wtrącałem się do tego, ale mogę powiedzieć, że ja widziałem nadchodzącą katastrofę.

Naprzód jedna z małych zachorowała. Precz z pieszczotkami, co wyzywają nieszczęścia! Niech je djabli wezmą, i chwała Bogu! A propos, również nie trzeba się zatrzymywać na rogach ulic, przy grajkach na harmonji, często tam łapie się chorobę, ukazanie się prawdy. Przyszła tedy pewna Polka, zastąpić tę, która była

chora, w ich riturnelli. Polka pozatem kasłała, od czasu do czasu. Była to wysoka dziewczyna, smukła, silna i blada. Odrazu zbliżyliśmy się do siebie. Po dwóch godzinach wiedziałem wszystko o jej duszy, na ciało zaczekałem jeszcze trochę. Manją tej Polki było psuć sobie system nerwowy zadurzaniem się w niemożliwych warunkach. Naturalnie, weszła w paskudną piosenkę Angielek jak w masło, ze swym bólem i ze wszystkim. Ich piosenka zaczynała się miłym tonem, wyglądało to jakby nigdy nic, jak wszystkie rzeczy do tańca, a potem oto serce wam się pochylało od smutku, jakgdyby słysząc ją miało się stracić ochotę do życia, tak dalece było prawdą, że wszystko do niczego nie prowadzi, i młodość, i wszystko, i człowiek pochylał się wówczas głęboko nad słowami, gdy piosenka już się skończyła i oddaliła się melodja, żeby się położyć w swem prawdziwym łóżku, we własnem, najprawdziwszem, w zacisznym kącie, by umrzeć. Dwa razy powtórzony refren i zachiewało się tej cichej krainy śmierci, krainy wieczystej łagodnej i zaraz ulatniającej się z pamięci, jak mgła. Właściwie to one wszystkie miały głosy ze mgły.

Wszyscy podejmowali chórem żałośliwą pieśń wyrzutu przeciwko tym, którzy są jeszcze tam, wlokąc swój żywot, którzy czekają na nabrzeżach, na wszystkich nabrzeżach świata, aż minie życie, wyczyniając tymczasem sztuczki, sprzedając różności i pomarańcze innym widmom, poufne wiadomości i fałszywe pieniądze, policja, nałogowcy i handlujący własnem martwieniem, opowiadający bujdy, w tej mgle cierpliwości, która nigdy nie będzie miała końca.

Tania miała na imię moja nowa koleżanka z Polski. Narazie żyła w gorączce, zrozumiałem to, z powodu

drobnego urzędnika bankowego, czterdziestoletniego, z którym poznała się w Berlinie. Chciała wrócić do swojego Berlina i kochać go mimo wszystko i za wszelką cenę. Żeby wrócić tam do niego, zrobiłaby Bóg wie co.

Uganiała się za agentami teatralnymi, lubiącymi obiecywać engagement, po kantorach na cuchnących schodach. Te gałgany szczypały ją w uda, w oczekiwaniu odpowiedzi, które nie nadchodziły nigdy. Ale ona ledwie dostrzegała ich manipulacje, tak jej oddalona miłość pochłaniała ją całkowicie. Nie minął i tydzień w takich warunkach, gdy wydarzyła się doniosła katastrofa. Ona naładowała Przeznaczenie kuszeniem od tygodni i miesięcy, jak armatę.

Grypa zabrała jej cudownego kochanka. Dowiedzieliśmy się o tem nieszczęściu pewnej soboty wieczorem. Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości zaciągnęła mnie, potargana, błędna, na dworzec Północny. To jeszcze nic, ale w swym szale twierdziła przy kasie, że zdąży przybyć do Berlina na pogrzeb. Dwóch naczelników stacji trzeba było sprowadzić, żeby ją odwieść od tego zamiaru, żeby zrozumiała, iż to stanowczo zapóźno.

W tym stanie, w jakim była, nie można było myśleć o zostawieniu jej samej. Zresztą zależało tej dziewczynie na jej tragizmie i na pokazaniu mi go w pełnym transie. Co za okazja! Amory z przeciwnościami, wskutek biedy i wielkich odległości, to tak jak amory marynarza, niema gadania, to jest nieodparte i ma powodzenie. Przedewszystkiem, gdy się nie ma okazji do częstego widywania się, nie można sobie wymyślać, a to już duża wygrana. Ponieważ życie to tylko szaleństwo, wydeptane od kłamstwa, im się jest dalej, tem

więcej kłamstw można tam napchać i wówczas tem bardziej się jest zadowolonym, to jest naturalne i w porządku. Prawda jest niejadalna.

Bardzo mało obecności, w tem jest wszystko, zwłaszcza dla miłości.

Przekonawszy się z Tanią, że niema już pociągu do Berlina, którym moglibyśmy jechać, odbiliśmy to sobie na telegramach. W biurze pocztowem przy Giełdzie zredegowaliśmy bardzo długą depezę, ale z wysłaniem jej była znowu trudność, zupełnie nie wiedzieliśmy, do kogo ją adresować. Nie znaleźmy w Berlinie nikogo prócz nieboszczyka. Od tej chwili mogliśmy tylko rozmawiać na temat zgonu. Słowa posłużyły nam do obejścia jeszcze dwa czy trzy razy Giełdy naokoło, poczem, że musieliśmy się mimo wszystko zająć uśmierzeniem boleści, poszliśmy powoli na Montmartre, cały czas bając o zmartwieniach.

Od ulicy Lepic zaczyna się spotykać ludzi, którzy szukają wesołości w górze miasta. Śpieszą się. Doszedłszy do bazyliki Sacré-Coeur, zaczynają patrzeć wdół na noc, która tworzy wielkie, ciężkie wydrażenie, z wszystkimi domami na kupie w jego głębi.

Na placyku weszliśmy do kawiarni, która wydała nam się, z pozorów, najmniej kosztowna. Tania mi pozwoliła, na pocieszenie i w dowód wdzięczności, pocałować się gdzie chciałem. Lubiała też wypić. Na kanapach dokoła nas biesiadnicy podchmieleni spali już. Zegar wieżowy nad kościołkiem zaczął wydzwaniać godzinę bez końca. Doszliśmy na kraniec świata, to było coraz bardziej jasne. Nie można było iść dalej, bo potem byli już tylko zmarli.

Zaczynali się zmarli na Place du Tertre, obok. By-

liśmy dobrze umieszczeni, żeby ich wykryć. Przechodzili akurat nad Galeries Dufayel, a więc na wschodzie.

Ale jednak trzeba wiedzieć, jak ich się odnajduje, to jest od wewnątrz i z oczami prawie zamkniętymi, ponieważ wielkie krzaki świateł reklamowych to bardzo przeszkadza, nawet przez obłoki, dostrzec zmarłych. Pojąłem odrazu, że zmarli zabrali ze sobą Beberta, nawet obaj mrugnęliśmy na siebie z Bebertem, a potem też niedaleko od niego, z dziewczyną, bardzo bladą, która wreszcie poroniła, ta z Rancy, opróżniona nadobrze tym razem ze wszystkich swych wnętrzości.

Było tu jeszcze pełno dawnych moich pacjentów, tu i owdzie rozsianych, i pacjentek, o których nigdy już nie myślałem, i jeszcze inni, murzyn w białym obłoku, sam jeden, ten którego wychłostali o jedno uderzenie za wiele, tam, poznałem go z Topo, i papa Grappa, a więc stary porucznik z puszczy dziewiczej! O tych myślałem czasami, o poruczniku, o męczonym murzynie i również o moim Hiszpanie, o tym księdzu. Tej nocy przyszedł ksiądz ze zmarłymi odprawić modły w niebiosach i jego złoty krzyż bardzo mu przeszkadzał we fruwaniu z jednego nieba na drugie. Zaczepiał się swoim krzyżem w obłokach o najbrudniejsze i najbardziej żółte i stopniowo rozpoznawałem jeszcze dużo innych nieboszczyków, coraz innych... Tylu ich było, że doprawdy wstyd, że się nie miało czasu popatrzeć na nich, kiedy żyli tam obok ciebie, latami...

Nigdy się nie ma dość czasu, to prawda, bodaj żeby pomyśleć o sobie.

Wreszcie wszyscy ci dranie, zanim się spostrzegłem, stali się aniołami! Teraz obłoki pełne były aniołów, i to

osobliwych i niebardzo na miejscu, wszędzie. Ponad hulającym miastem! Szukałem między nimi Molly, teraz była pora, mojej miłej, mojej jedynej przyjaciółki, ale ona z nimi nie przysłała... Ona musiała mieć małe niebo wyłącznie dla siebie, obok Pana Boga, taka miła była zawsze Molly... Sprawilo mi przyjemność, że nie zastał jej razem z tamtymi łobuzami, boć to były łobuzy tamci zmarli, szelmy, sama hołota i zgraja widm, którą zgromadzono tego wieczora ponad miastem... Zwłaszcza z cmentarza obok nadciągali bez końca, i zgoła niewytworne typy. A przecież mały to był cmentarz, jeszcze z komunardami¹, okrwawionymi, którzy szeroko otwierali usta, jakby chcąc jeszcze krzyczeć, a już nie mogli... Komunardzi czekali razem z innymi, czekali na la Pérouse'a, tego od Wysp², który tej nocy dowodził zbórką ich wszystkich... La Pérouse szykował się i grzebał bez końca, z powodu swej drewnianej nogi przymocowanej nawspak... i zawsze miał dużo kramu z dopasowaniem swej drewnianej nogi, a również z powodu swej wielkiej lornety, którą musiał odszukać.

Nie chciał wyjść na obłoki bez swej lornety na szyi, strzeliło mu do głowy, bez owej słynnej lunety z jego przygód, do zabawy, tej która daje nam widzieć ludzi i rzeczy zdaleka, wciąż z coraz większej odległości przez powiększające szkło i wciąż coraz bardziej pożądane, z musu w miarę i mimo przybliżania się do nich. Kozacy pochowani koło Moulin de

¹ członkowie Komuny paryskiej z r. 1871.

² słynny żeglarz franc. z XVIII w., którego imię nosi cieśnina między Sachalinem a w. Jeso archipelagu japońskiego. *Przyp. tłum.*

la Galette nie mogli w żaden sposób wydrzeć się ze swych mogił. Czynili wysiłki, aż strach było patrzeć, ale próbowali już wiele razy... Padali zawsze z powrotem w głąb mogił, byli jeszcze pijani od 1820.

Wszelako rześisty deszcz i im dał wyskoczyć, ostatecznie wytrzeźwionym, wysoko ponad miastem. Rozsypali się w swym korowodzie i upstrzyli noc niesforem rzucaniem się z obłoku na obłok... Nęciła ich zwłaszcza, jak się zdaje, Opera z wielkim ogniskiem płonących reklam w pośrodku, upiory ciskały się tam, by wytrysnąć potem na drugim krańcu nieba, i tak się miały, i tyle ich było, że aż w oczach ćmiło. La Pérouse, wreszcie gotów, chce, żeby go z miejsca posadzono, jak na konia, na ostatnie uderzenie godziny czwartej, podsadzają go, przystrajają dziwacznie. Siedząc wreszcie, okrakiem, jeszcze jednak gestykułuje i ciska się. Uderzenie godziny czwartej rusza go z miejsca, gdy zapina sobie guziki. Za la Pérousem wali wielkie najście na niebiosy. Potworny rozruch, wirując wpadają widma hurmem z czterech stron, wszystkie upiory wszystkich epopei... Ścigają siebie, rzucają sobie wyzwania i nacierają na siebie stulecia na stulecia. Północ jest przez długi czas zamroczona ich ohydną walką. Horyzont wypogadza się niebieskawo i świt wreszcie wchodzi wielką dziurą, które oni zrobili, rozdzierając noc żeby uciec.

Potem spotkać ich znowu, to staje się zupełnie trudne. Trzeba umieć wyjść z Czasu.

Spotyka ich się w stronie Anglii, gdy się tam przybywa, ale mgła jest w tamtych stronach ustawicznie taka gęsta, taka zwarta, że wygląda to jak prawdziwe welony, wznoszące się jeden przed drugim, od Zie-

mi aż jaknajwyżej w niebo i nazawsze. Przy wprawie i uwadze można dojść do odnalezienia ich mimo wszystko, ale nigdy nadługo z powodu wiatru, który napędza wciąż nowe nawały tumanów z otwartego morza.

Wielka kobieta, która tam jest, która strzeże Wyspy, jest ostatnią kobietą. Jej głowa wynosi się ponad najwyższe mgły. Tylko ona na Wyspie żyje jeszcze trochę. Jej czerwone włosy ponad wszystkim złocą jeszcze nieco obłok, to jest wszystko, co pozostaje ze słońca.

Powiadają, że ona próbuje przyrządzić sobie herbatę. Musi próbować, skoro tam jest na wieczność. Nigdy nie zagotuje swej herbaty z powodu mgły, która stała się istotnie zbyt gęsta i zbyt przenikliwa. Za czajnik służy jej kadłub statku, w najpiękniejszym, największym ze statków, ostatnim, jaki mogła znaleźć w Southampton, każe sobie grzać herbatę, falom, falom bez końca... Porusza je... Obraca wszystko wiosłem, które jest olbrzymie... Tem jest zajęta.

Na nic innego nie patrzy, zawsze poważna i nachylona.

Korowód przeszedł tuż nad nią, ale ona ani drgnęła, przywykła do tego, żeby wszystkie widma z kontynentu przychodziły tutaj zatracić się... Koniec.

Palcami swemi grzebie, to jej wystarcza, w ogniu, który jest pod popiołem, między dwoma umarłymi bo-

usiłuje rozdmuchać żar, wszystko teraz do niej należy, ale jej herbata nie zagotuje się już nigdy.

Niema już życia dla płomieni.

Niema już życia na świecie dla nikogo, jeno odrobina jeszcze dla niej i wszystko się już prawie sko-

Tania zbudziła mnie w pokoju, gdzieśmy w rezultacie spędzili resztę nocy. Była dziesiąta rano. Żeby uwolnić się od niej, nablagowałem, że czuję się niebardzo dobrze i że zostanę jeszcze trochę w łóżku.

Życie wracało do swego trybu. Rzekomo uwierzyła mi. Jak tylko wyszła, ja z kolei ruszyłem w drogę. Miałem, po prawdzie, coś do roboty. Ta sarabanda ubiegłej nocy pozostawiła mi po sobie jakby posmak wyrzutu sumienia. Wspomnienie Robinsona zaczynało mnie znowu gnębić. Prawda, że pozostawiłem go własnemu losowi, i gorzej jeszcze, w rękach księdza Protiste'a. Dość powiedzieć. Zapewne, słyszałem, że tam, w Tuluzie, wszystko idzie coraz lepiej i że stara Henrouille'owa stała się nawet zupełnie życzliwa dla niego. Tylko że w pewnych razach słyszy się tylko to, co się chce słyszeć i co jest dla nas najwygodniejsze — czy nie?... Te ogólnikowe informacje nie dowodziły w gruncie rzeczy niczego.

Niespokojny i zaciekawiony, szedłem w stronę Rancy. Żeby tam dojść, trzeba było przejść ulicą des Batignolles, gdzie mieszkał Pomone. Tamtędy wiodła moja droga. Będąc blisko jego domu, bardzo się zdziwiłem, ujrzawszy jego samego, Pomone'a, na rogu jego ulicy, jakgdyby w trakcie śledzenia z odległości jakiegoś małego jegomościa. Dla Pomone'a, który nigdy nie wychodził na miasto, to musiało być niezwykle wydarzeniem. Poznałem również faceta, za którym szedł, był to jego klient, „Cid“, jak się kazał nazywać

w korespondencji. Ale myśmy wiedzieli jeszcze, popufną drogą, że „Cid“ pracował na poczcie.

Od lat suszył głowę Pomone'owi, żeby mu wynalazł przyjaciółkę dobrze wychowaną, jego marzenie. Ale panienki, które mu przedstawiano, nie były nigdy dość dobrze wychowane na jego gust. Twierdził, że spełniają nietakty. Więc nic z tego nie wychodziło. Gdy się dobrze nad tem zastanowić, istnieją dwa wielkie gatunki przyjaciółeczek, te które mają „szerokie poгляdy“ i te które otrzymały „dobre wychowanie katolickie“. Dwa sposoby dla nieudanych dziewcząt, żeby czuć swoją wyższość, dwa również sposoby podniecania niespokojnych i nienasyconych mężczyzn, rodzaj „do chrzanu“ i rodzaj „garçonne“.

Wszystkie oszczędności „Cida“ poszły na te poszukiwania, miesiąc po miesiącu. Doszedł teraz z Pomonem i do kresu swych środków i do kresu nadziei. Dowiedziałem się później, że „Cid“ popełnił samobójstwo tego właśnie wieczoru, na jakimś pustkowiu. Zresztą, jakem tylko zobaczył, że Pomone wyszedł z domu, domyśliłem się, że dzieje się coś niezwykłego. Szedłem tak za nimi dosyć długo tą dzielnicą, co stopniowo traci swe sklepy na ulicach i nawet swe barwy, jedną po drugiej, i kończy się obskurnymi szynkami na dawnej granicy miasta.

Gdy człowiek się nie spieszy, gubi się łatwo w tych ulicach, zbity z tropu smutkiem i nadmiarem obojętności tego miejsca. Gdyby się miało trochę pieniędzy, wzięłoby się zaraz taksówkę, żeby się tędy przemknąć, tak tu jest nieprzyjemnie. Spotykani ludzie wloką ze sobą los tak ciężki, że kłopotujesz się za nich. Za oknami zasłoniętymi firanką ma się prawie pewność, że

drobni rentjerzy zostawili gaz niezamknięty. Nie na to nie można poradzić. Cholera! zakłnie człowieka, a to nie jest wiele.

A potem nawet ławka, można usiąść. Wszędzie jest szaro i buro. Gdy pada, to też wszędzie pada, z przodu i z boku, i ulica jest taka śliska, jak grzbiet dużej ryby, z pręgą deszczu pośrodku. Nie można nawet powiedzieć, żeby to był bezład ta dzielnica, to jest raczej jak więzienie, prawie dobrze utrzymane, więzienie, które nie potrzebuje bram.

Walęszając się tak, straciłem wkońcu z oczu Pomone'a i jego samobójcę zaraz za ulicą Occiarzy. Doszedłem w ten sposób tak blisko do Garenne-Rancy, że nie mogłem się powstrzymać od rzucenia okiem poza fortyfikacje.

Zdaleka Garenne-Rancy wygląda pociągająco, nie można temu zaprzeczyć, dzięki drzewom wielkiego cmentarza. Niewiele brakuje, żeby się człowiek pomylił i przysiągł, że to Lasek Buloński.

Kiedy się chce koniecznie mieć wiadomości o kimś, trzeba zwrócić się do tych którzy wiedzą. Ostatecznie, powiedziałem sobie wtedy, nic nie stracę, jeśli odwiedzę Henrouille'ów. Oni muszą wiedzieć, co tam słyszą w Tuluzie. I oto popełniłem nieostrożność. Nie miałem się na baczności. Człowiek nie wie, że tam zalał, i oto znajdzie się już i całkiem we wstrętnych sferach mroku. I zaraz spotka go nieszczęście. Wystarczy głupstwo, a przedewszystkiem nie trzeba było starać się zobaczyć znowu z pewnymi ludźmi, zwłaszcza z tymi.

Potem nie można się już odczepić.

Z zakrętu w zakręt, znalazłem się, jakby sprowadzo-

ny tu przez nawyknięcie, o kilka kroków od dworku. Nie mogłem się wydziwić, że widzę ich dworek na dawnym miejscu. Zaczęło padać. Nikogo nie było na ulicy prócz mnie, nie śmiejącego iść dalej. Miałem już zawrócić, nie upierając się, gdy naraz drzwi dworku rozchyliły się akurat na tyle, żeby Henrouille'owa córka mogła mnie przywołać znakiem. Ona, oczywiście, widziała wszystko. Dostrzegła mnie na przeciwnym chodniku. Nie chciało mi się już podchodzić, ale ona nalegała i nawet wołała na mnie.

— Doktorze!... Proszę przyjść prędko!

Tak na mnie wołała, niemal rozkazująco. Bałem się, żeby mnie nie zauważono. Pospiesznie więc podszedłem do ganeczku, znalazłem się w korytarzu z piecem i zobaczyłem znów całe urządzenie. To napełniło mnie jednak jakimś dziwnym niepokojem. Do tego zaczęła mi opowiadać, że mąż jej jest bardzo chory od dwóch miesięcy i nawet że jest z nim coraz gorzej.

Natychmiast, rzecz prosta, we mnie nieufność.

— A Robinson? zapytuję z pośpiechem.

Z początku daje wymijającą odpowiedź. Wreszcie wraca do mego pytania. „Obojgu im powodzi się... Ich kombinacja dobrze idzie w Tuluzie“ odpowiada koniec końców, lecz tak sobie, szybko. I bez ceremonji bierze mnie znowu w obroty à propos jej chorego męża. Chce, żebym się zajął jej mężem natychmiast, nie tracąc ani chwili. „Że jestem taki oddany... Że ja tak dobrze znam jej męża... I baju baju... Że on ma tylko do mnie zaufanie... Że nie chciał widzieć innego lekarza... Że nie wiedzieli mego adresu...“ Słowem, dusery.

Ja miałem podstawy do obawiania się, że ta choroba mężowska ma podejrzane źródło. Na własnej

skórze dobrze poznałem tę damę i obyczaje tego domu również. Jednakże przekłeta ciekawość kazała mi iść do pokoju na górze.

Leżał w tem samym łóżku, w którym leczyłem Robinsona po jego wypadku przed kilku miesiącami.

W ciągu kilku miesięcy zmienia się pokój, nawet jeśli się w nim nic nie poruszy. Przedmioty, choćby były niewiedzieć jak stare i zmarniałe, biorą jeszcze, niewiadomo skąd, siłę starzeć się. Wszystko już zmieniło się dokoła nas. Naturalnie, nie rzeczy utwierdzone na miejscu, lecz przedmioty same w sobie zmieniły się w swej istocie. Inne już są, gdy je się znowu widzi, mają, pomyślałby kto, więcej siły wchodzić w nas, smutniej jeszcze, głębiej, łagodniej niż ongi, rozpuścić się w tej jakby śmierci, jaka powoli w nas się tworzy, ślicznie, dzień po dniu, przed którą bronić się tchórzliwie uczymy się codziennie, bronić się odrobinę mniej niż poprzedniego dnia. Przy następnej bytności widzi się, jak zmięкло, pomarszczyło się w nas samych życie i wraz z niem ludzie i rzeczy, które ostatnim razem były banalne, cenne, a czasem i straszne. Obawa końca naznaczyła to wszystko swemi zmarszczkami, gdy się laziło po mieście za chlebem lub rozrywką.

Niebawem będą już tylko ludzie i rzeczy nieszkodliwe, mizerne i bezbronne dokoła naszej przeszłości, same jeno omyłki, co się stały nieme.

Zona pozostawiła nas we dwóch z mężem. Mąż kiero się przedstawiał. Niewiele już miał krążenia krwi. Choroba ześrodkowała mu się w sercu.

— Umrę, powtarzał, z prostotą zresztą.

Miałem psie szczęście, żeby się znaleźć wobec tego rodzaju wypadku. Słuchałem bicia jego serca, żeby za-

stosować coś doraźnego, wykonać te kilka gestów, których ode mnie oczekiwano. Jego serce, można powiedzieć, biegło zamknięte za żebrami, gonilo życie, w podskokach, ale daremnie skakało, nie złapie życia. Była kłapa. Niebawem jego serce, potykając się ustawicznie, upadnie w zgorzel, soczyste, czerwone i śliniace się, niby rozgnieciony stary owoc granatu. Tak będzie wyglądało jego serce zwiotczałe na marmurze, rozcięte nożem po sekcji, za kilka dni. Gdyż to wszystko się skończy ładną sekcją sądową. Przewidywałem to, zważywszy że cała dzielnica będzie gadała paskudne rzeczy na temat tej śmierci, która nie będzie uznana za zwykłą, tak samo jak poprzednia historia w tym domu.

Czekano na jego żonę w dzielnicy na zakręcie ze wszystkimi plotkami, nagromadzonemi z poprzedniej afery, które pozostały na placu. To będzie na trochę później. Narazie mąż nie wiedział już, jak się zachować, ani jak umrzeć. Był już w takim stanie, jakby trochę wyszedł z życia, ale nie potrafił jednak pozbyć się swych płuc. Wypędzał powietrze, powietrze wracało. Rad byłby, żeby już się stało, co się ma stać, ale musiał żyć mimo wszystko do końca. To była praca okrutna, od której oczy mu stawały kołem.

— Nie czuję już mych nóg, jęczał... Zimno mi aż do kolan... Chciał dotknąć stóp, nie mógł już.

Pić też mu się nie udawało. To był już prawie koniec. Podając mu odwar, przygotowany przez żonę, zadawałem sobie pytanie, co też ona mogła tam dodać. Odwar niezbyt przyjemnie pachniał, ale zapach to nie dowód, walerjana sama przez się ma przykry zapach. A przytem, gdy się ktoś tak dusił, jak dusił się ten

mąż, nie miało już wielkiego znaczenia, że odwar dziwnie się przedstawia. Jednakże zadawał sobie wielki trud, pracował niesłuchanie tą całą resztą mięśni, jaka mu została pod skórą, żeby móc cierpieć i dyszeć więcej. Zmagał się porównywalnie z życiem jak ze śmiercią. W takim wypadku byłoby słuszne, żeby skończył. Gdy natura zacznie sobie kpić, zda się niema temu granic. Za drzwiami żona słuchała mej porady, ale ja dobrze ją znałem, jego żonę. Cichaczem złapałem ją na tem. „A psik! A psik!“ powiedziałem. To jej wcale nie rozgniewało i nawet zaczęła mi mówić do ucha.

— Trzebaby, szepce mi, żeby pan mu kazał wyjąć sobie sztuczne zęby... To musi mu przeszkadzać w oddychaniu, te szczęki... — Ja chciałem, żeby istotnie wyjął swe zęby.

— Niechże mu pani sama to powie! poradziłem jej.

— W jego stanie było to bardzo drażliwe polecenie.

— Nie, nie! lepiej będzie, jak to wyjdzie od pana! nalega. Gdybym ja z tem wystąpiła, toby mu zrobiło coś co ja wiem...

— A! dziwię się, dlaczego?

— Od trzydziestu lat je nosi i nigdy mi o nich nie mówił...

— Może w takim razie można mu je zostawić? proponuję. Skoro przywykł oddychać z tem...

— O, nie! robiłabym sobie wyrzuty! odpowiedziała mi z pewnym jakby wzruszeniem w głosie...

Wracam więc pocichu do pokoju. Mąż usłyszał, że wróciłem do niego. Sprawilo mu to przyjemność. Między jednym atakiem duszności a drugim rozmawiał jeszcze ze mną, usiłował nawet być trochę miłym ze

mną. Pytał się, co u mnie słyhać, czy znalazłem nowych pacjentów... „Tak, tak“ odpowiadałem mu na te wszystkie pytania. Toby zadługo trwało i byłoby zbyt skomplikowane wdać się w szczegóły. Nie była właściwa pora na to. Zasłonięta połową drzwi, żona jego dawała mi znaki, żebym zażądał od niego wyjęcia zębów. Wówczas zbliżyłem się do ucha męża i szepcem poradziłem mu wyjąć je. Gafa! „Rzuciłem je do wychodka!...“ mówi z oczyma jeszcze bardziej przerażonemi. Wybieg kokieteryjki. I potem zaczął porządnie rzeźcić.

Człowiek jest artystą zapomocą tego, co ma pod ręką. On z powodu swych sztucznych zębów namordował się estetycznie przez całe życie.

Chwila wyznań. Chciałbym żeby korzystając z niej wypowiedział swe zdanie o tem, co zaszło w związku z jego matką. Ale on już nie mógł. Bredził. Zaczął toczyć pianę. Koniec. Niepodobna wydobyć z niego kilku słów. Wytarłem mu usta i zeszedłem nadół. Jego żona w korytarzu nadole wcale nie była zadowolona i prawie mnie zbesztala z powodu zębów, jakby to była moja wina.

— Na złocie były, doktorze!... Wiem! Wiem, ile za nie zapłacił!... Dziś już takich nie robią!... Cała awantura. „Dobrze, wróć jeszcze spróbować“ proponuję jej, tak mnie przycisnęła. Ale w takim razie tylko z nią!

Tym razem mąż prawie już nas nie poznał. Tak trochę tylko. Rzeźcił ciszej, gdy byliśmy przy nim, jakgdyby chciał słyszeć, co mówimy do siebie, jego żona i ja.

Nie poszedłem na pogrzeb. Nie było sekcji, jak się tego trochę obawiałem. Odbyło się wszystko pocichu. Ale mimo to pogniewaliśmy się nadobrze z wdową Henrouille, z powodu zębów sztucznych.

Młodym zawsze tak pilno do miłości, tak się to spieszy pochwycić wszystko, co im się do wierzenia podaje, żeby się zabawić, że niczego dobrze nie rozważą w dziedzinie wrażeń. To jest trochę tak, jak z tymi podróżnymi, co zeżrą wszystko, co im podadzą w bufecie stacyjnym między dwoma gwizdkami. Toteż, byle im dostarczono te dwie lub trzy zwrotki, służące do nawiązania rozmowy, wiodącej do uścisków, to wystarczy, już są szczęśliwi. Młodzież byle czym się kontentuje, prawda, że używają, jak chcą, to najważniejsze.

Cała młodość zmierza do znalezienia się na chlubnej plaży, na brzeg u wody, tam, gdzie kobiety wyglądają na wolne nareszcie, gdzie są tak piękne, że nie potrzebują już nawet kłamstw naszych marzeń.

Więc też jasna rzecz, że gdy nadejdzie zima, trudno jest wracać do domu, powiedzieć sobie, że skończyło się, przyznać się do tego. Zostałoby się, mimo wszystko, na zimnie, mimo wieku, jeszcze się ma nadzieję. To jest zrozumiałe. Człowiek jest nędzny. Nie trzeba mieć o to do nikogo pretensji. Rozkosz i szczęście przedewszystkiem. Takie jest moje zdanie. I kiedy zaczynamy chować się przed innymi, to jest znak, że boimy się bawić z nimi. To jest samo w sobie chorobą. Należałoby wiedzieć, czemu człowiek uparcie nie chce się leczyć ze swej samotności. Pewien facet, spotkany przeze mnie na wojnie w szpitalu, kapral, mówił ze mną coś niecoś o tych uczuciach. Szkoda, że z tym chłopcem nigdy się potem nie zobaczył! „Ziemia jest martwa,

tłumaczył mi... My jesteśmy tylko robakami na niej, robakami na jej wielkim, plugawym trupie, pożerającymi jej wciąż wnętrzności i same jeno jady... Jesteśmy do niczego niezdatni. Od urodzenia zgnilcy... i basta!“

Co nie przeszkadzało, że pewnego wieczoru musiano czempredzej zaprowadzić go, tego myśliciela, w stronę fortów, dowód, że był jeszcze zdatny do czegoś, za co musiał być rozstrzelany. Było nawet dwóch kanarków¹, którzy go zaprowadzili, jeden duży, drugi mały. Dobrze to pamiętam. Anarchista, powiedziano o nim w Sądzie Wojennym.

Po latach, gdy się wraca do tego myśla, zdarza się, że chciałby człowiek przypomnieć sobie dokładnie słowa, wypowiedziane przez pewnych ludzi, a nawet złapać same osoby, żeby spytać ich się, co nam chcieli przez to powiedzieć... Ale ich już nie ma!... Nie miało się dostatecznego przygotowania, żeby ich zrozumieć... Chciałoby się, tak sobie, wiedzieć, czy przypadkiem nie zmienili zdania od tej pory... Ale już zapóźno... Skończyło się!... Nikt o nich nic już nie wie. Trzeba więc iść dalej swoją drogą, samemu, po nocy. Straciło się swych prawdziwych towarzyszy. Nie zadało im się pytania, tego istotnego, właściwego, kiedy była na to pora. Będąc z nimi, nie wiedziało się. Człowiek błąka się. A przede wszystkim zawsze się spóźnia. Wszystko to są żale, funta kłaków niewarte.

Całe szczęście, że przynajmniej ksiądz Protiste zjawił się u mnie pewnego pięknego poranku, w celu po-

¹ Używam tu polskiego gwarowego odpowiednika słowa *cogne*, oznaczającego we franc. gwarze żołnierskiej żandarma. *Przyjść tłum.*

dzielenia się prowizją, jaka nam przypadła z interesu w podziemiu starej Henrouille'owej. Nie liczyłem już wcale na proboszcza. Jakby mi z nieba spadł... Tysiąc pięćset franków przypadało na każdego z nas! Jednocześnie przynosił dobre wieści o Robinsonie. Stan jego oczu jakoby znacznie się poprawił. Powieki już nawet nie ropiąły. I wszyscy tam domagali się mego przyjazdu. Obiecałem zresztą, że ich odwiedzę. Sam Protiste nalegał.

Z tego, co mi jeszcze opowiedział, skombinowałem, że Robinson ma się niebawem ożenić z córką handlarki świec woskowych przy kościele obok krypty, do którego należały mumje starej Henrouille'owej. Małżeństwo to było już prawie postanowione.

Z konieczności to wszystko doprowadziło nas do pomówienia trochę o zgonie pana Henrouille, ale nie obstawaliśmy przy tym temacie i rozmowa wróciła na przyjemniejszy tor, przyszłości Robinsona, a potem przeszła na samo miasto Tuluzę, której nie znałem zupełnie, tylko Grappa mi o niej ongi opowiadał, dalej na ten jakby handel, który tam prowadzili oboje ze starą, wreszcie na dziewczynę, z którą miał się ożenić Robinson. Słowem, gadaliśmy o wszystkim potrochu, na wszystkie tematy... Tysiąc pięćset franków! To mnie czyniło pobłażliwym i, że tak powiem, optymistą. Uważałem wszystkie projekty Robinsona, które ksiądz mi referował, za zupełnie poważne, sensowne i rozumne i dobrze dostosowane do okoliczności. To wszystko się pomyślnie układało. Tak przynajmniej myślałem. A potem zaczęliśmy dyskutować z proboszczem na temat lat. I on i ja przekroczyliśmy trzydziestkę już dość dawno. Oddalała się w przeszłość nasza trzydziestka na

brzezi skąpe i słabo żałowane. Nie warto było nawet oglądać się za siebie, żeby rozpoznać te brzezi. Starzejąc się, niewiele się straciło. „Ostatecznie, trzeba być dość nędznym typem, wywnioskowałem, żeby żałować jakiegoś roku bardziej niż innych lat!... Możemy starzeć się śmiało, księżo, i bez ogródek! Czy wczoraj było takie przyjemne? A rok przedtem?... Jaki był dla księdza?... Żałować czego?... Pytam się? Młodości?... Myśmy nie mieli młodości!...

„Młodnieją, co prawda raczej od wewnątrz, biedni, w miarę posuwania się w latach i pod koniec życia, byle tylko starali się zgubić po drodze całe kłamstwo, i strach i podłą chęć posłuszeństwa, którą im wdrożono od urodzenia, to naogół są mniej odpychający na starość niż w młodości. Reszta tego co istnieje na ziemi to nie dla nich! To ich nie obchodzi! Ich zadanie właściwe, jedyne, to opróżnić się ze swego posłuszeństwa, wyrzygać je. Jeśli dokonali tego zanim zdechli całkiem, wówczas mogą się pochłubić, że nie żyli na próżno!

Byłem stanowczo w ferworze... Te tysiąc pięćset franków podniecały moją werwę, ciągnąłem dalej; „Prawdziwa młodość, księżo, jedyna, to jest kochać wszystkich bez różnicy, to tylko jest prawdziwe, to tylko jest młode i świeże. A czy ksiądz zna dużo młodych, którzyby byli tacy tędy?... Ja nie znam takich!.. Ja widzę wszędzie tylko mroczne i stare bzdury, fermentujące w ciałach mniej lub więcej świeżych, i im bardziej fermentują te paskudztwa, tem więcej to nęka młodych i tem więcej pretendują wówczas do tego, że są strasznie młodzi! Ale to nieprawda, to bujda.... Oni są młodzi tylko na podobieństwo wrzodziańek,

z racji ropy, która im dokucza wewnątrz i od której puchną“.

Protyste'owi było nieprzyjemnie, że ja tak mówię... Żeby go nie drażnić dłużej, zmieniłem temat rozmowy... Zwłaszcza że stał się dla mnie bardzo uprzejmy i oto nawet opatrnościowy... Jest ogromnie trudno powstrzymać się od wracania do tematu, dręczącego nas tak, jak ten temat mnie dręczył. Człowiek jest zgnębiony tematem całego swego życia, gdy się żyje samotnie. Jest nim aż ogłupiał. Żeby się od niego uwolnić, próbuje pomazać nim trochę wszystkich, którzy go odwiedzają, a to ich nudzi. Być samotnym, to wprawiać się w umieranie. „Trzeba będzie umrzeć, powiedziałem mu jeszcze, obficie niż pies i tysiąc minut zajmie zdychanie i każda minuta będzie mimo wszystko nowa i dostatecznie obłożona trwogą, by dać wam zapomnieć tysiąc razy całą rozkosz, jakiej można by doznać przez tysiąc lat kochania przedtem... Szczyściem na ziemi byłoby umrzeć z rozkoszą, w rozkoszy... Reszta to nic, to strach, do którego nie śmiemy się przyznać, to sztuka“.

Protiste, słysząc jak tak gadam od rzeczy, pomyślał sobie z pewnością, że znowu jestem chory. Być może miał słuszność i ja zupełnie nie miałem racji we wszystkim co mówiłem. W swem osamotnieniu, szukając kary dla powszechnego egoizmu, bujałem sobie, prawdę mówiąc, wyobraźnię, szukałem tej kary aż w nicości! Człowiek bawi się jak może, gdy okazje wyjścia z domu są rzadkie z powodu braku pieniędzy, a jeszcze rzadsze okazje do wyjścia z siebie i pobawienia się z kobietą.

Zgadzam się, że zupełnie nie miałem racji drażnić

Protyste'a moją filozofją, sprzeczną z jego przekonaniami religijnymi, ale trzeba powiedzieć, że miał on jednak w całej swej osobie paskudny smaczek wyższości, który musiał działać na nerwy wielu ludziom. Wedle jego idei, cały rodzaj ludzki był na ziemi jakby w poczekalni wieczności z numerami. Jego numer, ma się rozumieć, być doskonały i do Raju. Na resztę gwizdał.

Tego rodzaju przekonania to jest coś nie do zniesienia. Natomiast, gdy zaproponował mi tegoż wieczora wyasygnować tytułem zaliczki kwotę potrzebną na podróż do Tuluzy, przestałem zupełnie naprzykrzać mu się i oponować. Strach przed spotkaniem się w „Tarapucie“ z Tanią i jej widmem kochanka kazał mi przyjąć jego zaproszenie bez dyskusji. Zawsze to tydzień lub dwa dobrego życia! mówiłem sobie. Djabeł zna wszystkie sztuczki, żeby was kusić! Nigdy się ich wszystkich nie pozna. Choćby się żyło dość długo, nie będzie się wiedziało, dokąd iść, żeby sobie pobudować nowe szczęście. Porzuci się wszędzie poronione płody szczęścia, żeby śmierdziały po kątach ziemi i nie będzie można nawet oddychać. Są ludzie, którym niedobrze się robi i gotowi są rzygać na sam widok niedonoszonych płodów, prawdziwych, tych co są w muzeach. Również od naszych, takich plugawych wysiłków, żeby być szczęśliwym, można zachorować, tak dalece są nieudane, i na długi czas przedtem zanim się umrze z tego nadobre.

Człowiek ginąłby w oczach, gdyby o nich nie zapominał. Nie licząc trudu, jaki zadaliśmy sobie, by dojść tam, gdzie się znajdujemy, by znaleźć podniecie w naszych nadziejach, w naszych zwyrodniałych próbach

szczęścia, w naszych zapałach i w naszych kłamstwach... Chcesz ich, no to masz! A nasze pieniądze? A wraz z nimi te głupie maniere, gadanie o wieczności, ile wlezie... I te rzeczy, które każemy sobie przysięgać i sami przysięgamy, o których się myśli, że nikt ich jeszcze nigdy nie powiedział ani nie przysięgł, nim napełniły nam głowę i usta, i zapachy, i pieśszoty, i mimika, wszystko wreszcie poto, żeby koniec końców schować to wszystko o ile możliwości, by nie mówić o tem ze wstydu i obawy, że to nam wróci do gardła jak torsje. Nie zapalczywości więc nam brak, nie, to raczej idzie o to żeby być na właściwej drodze prowadzącej ku spokojnej śmierci.

Jechać do Tuluzy to w gruncie rzeczy było jeszcze jedno głupstwo. Zastanowiwszy się, miarkowałem dobrze, że tak jest. Nie miałem przeto usprawiedliwienia. Ale włącząc się za Robinsonem, wśród przygód, nabrałem smaku do podejrzanych historyj. Już w New Yorku, gdy nie mogłem sypiać, zaczynało mnie korcić, czybym tak nie mógł towarzyszyć Robinsonowi jeszcze dalej i dalej. Człowiek zapada się w noc, z początku przestraszony, ale chce się mimo wszystko pojąć i wówczas nie opuszcza się już głębin. Lecz jest zawiele rzeczy do zrozumienia jednocześnie. Życie jest o wiele za krótkie. Nie chciałoby się być niesprawiedliwym wobec nikogo. Ma się skrupuły, wahania w wydawaniu sądu o tem wszystkim odrazu, a zwłaszcza boi się człowiek, że będzie musiał umrzeć podczas tych wahań, gdyż w takim razie przysłoby się na świat bezcelowo. Najgorsze co może być.

Trzeba się spieszyć, nie trzeba popsuć swej śmierci. Choroba, nędza, co rozpraszają nam godziny i lata,

bezsensowność, co nas farbuje na siwo, dni, tygodnie całe, i rak, co już być może posuwa się w nas, skrupulatny i ździebko krwawiący z odbyticy.

Nigdy nie starczy czasu, mówi sobie człowiek! Nie biorąc w rachubę wojny, też zawsze gotowej, w zbrodniczej trosce ludzi, wyjść z podziemia, gdzie zamykają się biedni. Czy zabija się dość biedaków? To nie jest pewne... To jeszcze pytanie?... Może należałoby wyróżnić tych wszystkich, co nie pojmują? I niech się narodzą inni, nowi biedacy, i tak wciąż, póki nie przyjdą tacy, co poznają się na żarcie, na całym żarcie... Jak kosi się trawniki aż do chwili, gdy trawa jest naprawdę dobra, mięka.

Wysiadając w Tuluzie, znalazłem się przed dworcem niebardzo pewny siebie. Flaszka piwa w bufecie, no i jednak spaceruję sobie po ulicach. To dobra rzecz nieznanie miasta! To jest chwila i miejsce, kiedy można przypuszczać, że wszyscy ludzie, których się spotyka, są mili. To jest chwila marzenia. Można skosztować z tego, że to jest marzenie, żeby stracić trochę czasu w ogrodzie publicznym. Tymczasem, po dojściu do pewnego wieku, o ile brak motywów rodzinnych całkowicie usprawiedliwiających, wygląda się, jak Parapin, na takiego co szuka w ogrodzie publicznym dziewczątek, trzeba się mieć na baczności. Odpowiedniejsza jest cukiernia, akurat przed wejściem do ogrodu, piękny sklep narożny, wymuskany jak urządzenie lupanaru, z ptaszkami zdobiącymi lustro o szerokich, skośnych brzegach. Odnajduję tam siebie, wsuwającego bez końca czekoladki, z rozmysłem. Miejsce pobytu dla serafinów. Panny sklepowe szczebiocą ukradkiem na temat swych spraw sercowych, jak taka naprzykład:

— więc mu powiedziałam, że może przyjsz po mnie w niedzielę... Ciocia, która to słyszała, zrobiła całą awanturę ze względu na mego ojca...

— Czyż twój ojciec nie ożenił się powtórnie? przewrała jej koleżanka.

— Co to ma do czego, że się ożenił?... Ma jednak prawo wiedzieć, z kim chodzi jego córka...

Tego zdania była również druga panna sklepowa. Na tem tle namiętny spór wszystkich ekspedjentek. Daremnie w swoim kącie, żeby im nie przeszkadzać, opychałem się, nie przerywając im, ptysiami z kremem i tortowemi ciastkami, które zresztą znikwały, w nadziei, że dojdą prędzej do rozwiązania tych subtelnych problemów pierwszeństwa rodzinnego, nie mogły z nich wybrnąć. Nic się nie wylaniało. Ich bezsilność w rozumowaniu ograniczała je do nienawiści bez żadnych wyraźnych zarysów. Panny sklepowe rozsadzała nielogiczność, próżność i nieuctwo, pieniały się od tego, rzucając sobie szeptem setki obelg.

Mimo wszystko byłem urzeczony ich nędznym strapieniem. Przypuściłem szturm do babek. Nie liczyłem już babek. One też nie. Spodziewałem się, że nie będę musiał iść sobie, zanim one dojdą do jakiejś konkluzji... Ale pasja czyniła je głuchemi a niebawem i niememi obok mnie.

Z wyczerpaną złością, wykrzywione, hamowały się za osłoną lady z ciastkami, każda z nich niezwalczona, zamknięta w sobie, zacięta, żując w myśli „poprawiny“ jeszcze bardziej gorzkie, wyrzucenie z siebie przy najbliższej okazji i szybciej, niż teraz bzdur wściekłych i bolesnych, jakie mogły wiedzieć o koleżance. Okazji, która zresztą nie da długo na siebie czekać, którą wy-

wołają. Oskrobiny argumentów, atakujące kompletne nic. Wreszcie siadłem, żeby ogłuszyły mnie jeszcze bardziej nieustannym szmerem słów, zamiarów myślenia, niby na brzegu morza, gdzie drobne fale nieustannych namiętności nie potrafią się nigdy zorganizować...

Człowiek słucha, czeka, spodziewa się, tutaj, tam, w pociągu, w kawiarni, na ulicy, w salonie, u stróżki, słucha, czeka, żeby złość się zorganizowała, jak na wojnie, ale to tylko rzuca się w miejscu i nic z tego nie wychodzi, nigdy, ani przez te biedne pannice, ani przez innych. Nikt nam nie przychodzi z pomocą. Olbrzymia gadanina rozciąga się, szara i monotonna, ponad życiem, jak miraż potwornie zniechęcający. Weszły dwie damy i znużony czar bezskutecznej rozmowy, łączący mnie z pannami, przysł od tego. Cały personel zakrzętnął się natychmiast koło tych klientek. Był na wyskoki dla ich zamówień i najdrobniejszych życzeń. Tu i owdzie wybrały, dziobnęły herbatniki i ciastka, żeby zabrać je do domu. Przy płaceniu jeszcze poproszyły dokoła uprzejmymi słówkami, poczem chciały częstować się wzajemnie kruchami ciasteczkami do chrupania „na poczekaniu“.

Jedna z nich odmówiła najuprzejmiej, tłumacząc poufnie a szeroko innym damom, bardzo tem zainteresowanym, że lekarz zabronił jej wszelkich słodczy i że jej lekarz jest nadzwyczajny i że już dokonał cudów w dziedzinie obstrukcji, w mieście i gdzieindziej, a między innymi prawie już wyleczył ją z zaparcia stolca, na które cierpiała przeszło dziesięć lat, dzięki zupełnie specjalnej djecie oraz cudownemu lekarstwu, jemu tylko znanemu. Damy bynajmniej nie chciały dać się

pobić tak łatwo w sprawach obstrukcji. Cierpiały bardziej niż ktokolwiek na obstrukcję. Stawiały się okoniem. Żądały dowodów. Dama, budząca wątpliwości, dodała tylko, że miała teraz „wiatry przy stolcu, że to był jak prawdziwy fajerwerk... Że z racji jej nowych stolców, bardzo skondensowanych, bardzo opornych, musiała podwoić środki ostrożności... Niekiedy były takie twarde nowe cudowne stolce, że okropnie ją bolało w pupie... Rozdarcie... Była zmuszona używać waseliny przed pójściem do wygodki“. Tego nie można było odeprzeć.

Tak oto te klientki wyszły przekonane, gawędząc, odprowadzane do progu cukierni „Pod Ptazkami“ wszystkimi uśmiechami sklepu.

Ogród publiczny naprzeciwno wydał mi się odpowiedni na stacyjkę skupienia, przez czas potrzebny do pokrzepienia ducha, zanim wyruszę na poszukiwanie mego przyjaciela Robinsona.

W parkach prowincjonalnych ławki rankiem w dni powszednie są prawie zawsze puste, przy krzakach, otoczonych kannami i stokrotkami. Koło głazów skalnych, na wodzie ściśle ograniczonej, łódka cynkowa, okolona kręgami lekkiego opalizującego nalotu, przy-mocowana zbutwiałą linką. Czólnem można było jeździć w niedzielę, to było ogłoszone na tabliczce wraz z ceną spaceru po sadzawce: „Dwa franki“.

Ile lat? ilu studentów? ile widm?

We wszystkich zakątkach ogrodów publicznych są takie różne zapomniane trumienki, ukwiecone ideałem, galki pełne obietnic i chusteczki z Bóg wie czem. Nie ma nic poważnego.

Jednakowoż, przerwijmy marzycielstwo! W drogę,

powiedziałem sobie, na poszukiwanie Robinsona i jego kościoła św. Eponimy i tej krypty, gdzie pilnował mumij ze staruchą. Przybyłem zobaczyć to wszystko, trzeba się było zdecydować...

Zapуściłem się fiakrem, drobnym truchcikiem, w zaułki starego miasta, pełne cienia, tam, gdzie światło dzienne zaciskają dachy. Robiliśmy wielki łoskot kołami, za tym koniem o wielkich kopytach, tocząc się od rynsztoków do mostków. Oddawna nie palono miast na Południu. Nigdy nie były takie stare. Wojny już nie chadzają tędy.

Przybyliśmy przed kościół Sainte-Eponime, gdy była dwunasta. Krypta była nieco dalej, pod kalwarją. Wskazano mi to miejsce w samym środku ogródka, mocno wyschłego. Wchodziło się do tej krypty jakby zabarykadowaną dziurą. Zdaleka ujrzałem dozorczynię podziemia, młodą dziewczynę. Z miejsca zapytałem jej, co słyhać u mego przyjaciela Robinsona. Ta młoda dziewczyna właśnie zamykała wejście. Z bardzo uprzejmym uśmiechem odpowiedziała mi i zaraz miałem od niej wiadomości o nim, do tego dobre.

W tem południowym świetle, z miejsca, gdzieśmy się znajdowali, wszystko dokoła nas stawało się różowe i zmurszałe kamienie wznosiły się ku niebu na ścianie kościelnej, jakgdyby gotowe rozpuścić się z kolei w powietrzu, nareszcie.

Musiała mieć około dwudziestu lat przyjaciółka Robinsona, nogi jędrne i napięte i mały biust całkiem wdzięczny, nad nim drobną głowę, dobrze zarysowaną, dokładną, oczy może nieco zbyt czarne i badawcze, jak na mój gust. Jako rodzaj, zgoła nie marzycielska. To ona pisywała listy Robinsona, te które dostawałem.

Poprzedzała mnie ku krypcie swym dobitnym chodem, stopa, kostka (dobrze narysowana, (a także (wiązała (dobrej rozkosznicy, która musiała się wyginać jak się patrzy, w pewnych momentach. Ręce krótkie, twarde, co trzymają krzepko, ręce ambitnej robotnicy. Suchy, krótki zgrzyt przy przekręcaniu klucza. Upał tańczył dokoła nas i drżał nad jezdnią. Gadało się o tem, o owem, a potem, po otwarciu drzwi, zdecydowała się jednakże pokazać mi podziemie, mimo pory śniadania. Zacząłem znów doznawać uczucia pewnej bez troski. Zanurzaliśmy się w rosnący chłód za jej latarką. Dobrze tu było. Udałem, że się potknął na stopniach, żeby chwycić ją za ramię, to nam dało okazję do żartowania, i gdyśmy się znaleźli na ubitej ziemi wdole, pocałowałem ją troszkę w szyję, w parę miejsc. Z początku protestowała, ale niezbyt.

Po krótkiej chwili afektu owiłem się dokoła jej ciała jak prawdziwa glista miłosa. Lubieżni, łączyliśmy się raz po raz wilgotnymi ustami, dla rozmowy dusz. Posuwałem się powoli ręką po toczonych udach, to przyjemnie, gdy latarka stoi na ziemi, bo jednocześnie można patrzeć na poruszające się wypukłości nogi. To jest pozycja godna polecenia. Ach, nie trzeba nic tracić z tych chwil! Zezuże się ku środkowi. Warto było. Co za bodziec! Co za nagły dobry humor! Rozmowa potoczyła się znowu w tonie nowego zaufania i prostoty. Zostało się do tego dopuszczonym. Najpierw zadki! Oszczędziliśmy oto dziesięć lat.

— Pani często oprowadza? zapytałem zdyszany, niezręcznie. Ale nawiązałem zaraz: „Prawda, że to matka pani sprzedaje świece przy kościele obok?... Ksiądz Protiste o niej też mi mówił“.

— Ja tylko zastępuję panią Henrouille podczas drugiego śniadania... odpowiedziała. Popołudniu pracuję w krawiecczyźnie... Ulica Teatralna... Czy, idąc tu, przechodził pan obok teatru?

Raz jeszcze uspokoiła mnie co do Robinsona, jest coraz zdrowszy, a nawet specjalista od oczu sądzi, że niebawem będzie widział dostatecznie, żeby chodzić samemu po ulicy. Już nawet próbował. To wszystko było doskonałą wróżbą. Matka Henrouille znowu była bardzo zadowolona z krypty. Robiła na tem interesy i oszczędności. Jedyna niedogodność, że w domu, gdzie mieszkali, pluskwy nie dawały nikomu spać, zwłaszcza w burzliwe noce. Palono wtedy siarkę. Robinson jakoby mówił o mnie często i dobrze się przytem wyrażał. Od słowa do słowa doszliśmy do sprawy i okoliczności małżeństwa.

Prawda, z tem wszystkim nie spytałem się jeszcze, jak jej na imię. Madelon było jej na imię. Urodziła się podczas wojny. Jej projekt wyjścia zamaż był mi w rezultacie na rękę. Madelon to było imię łatwe do spamiętania. Niewątpliwie musiała wiedzieć co robi, wychodząc za Robinsona... Ostatecznie, on mimo poprawy to będzie zawsze kaleka... A jeszcze ona myślała, że on tylko oczy ma nie w porządku... Ale on miał chore i nerwy, i moralność, no i resztę! Omal jej tego nie powiedziałem, nie ostrzegłem... W rozmowach na temat małżeństwa nie wiedziałem nigdy, jak je prowadzić ani jak z nich wybrnąć.

Żeby zmienić temat, raptem zainteresowałem się ogromnie lochem, a ponieważ przybywano z bardzo daleka zobaczyć ten loch, był moment właściwy by nim się zająć.

Przy pomocy latarki wydobywaliśmy z Madelon trupy z mroku, z murów, jednego po drugim. To musiało turystom dawać dużo do myślenia! Ci starzy nieboszczycy byli przyklejeni do ściany jak rozstrzelani... Ani całkiem ze skórą, ani z kośćmi, ani z odzieżą... Potrochu tego wszystkiego tylko... W bardzo brudnym stanie i z dziurami wszędzie. Czas, który od wieków wziął się za ich skórę, nie dawał im wciąż spokoju... Rozdzierał im jeszcze czas kawałki twarzy tu i owdzie... Powiększał im wszystkie dziury i znajdował na nich jeszcze nawet długie przywieszki naskórka przy chrząstkach, o których śmierć zapomniała. Brzuch opróżnił im się ze wszystkiego, ale to teraz tworzyło im jakgdyby mroczną altankę na miejscu pępka.

Madelon wyjaśniła mi, że na cmentarzu z niegąszonem wapnem czekali ci zmarli zgórą pięćset lat, żeby dojść do tego stanu. Nie możnaby powiedzieć, że to są trupy. Czas, kiedy byli trupami, dawno się dla nich skończył. Doszli powolutku do rubieży, gdzie zaczyna się proch.

Było ich tam ogółem dwadzieścia sześć, dużych i małych, pragnących wejść do Wieczności. Ale ich jeszcze tam nie puszczano. Kobiety w czepcach na czubku szkieletów, jeden garbus, jeden olbrzym i nawet niemowlę też zupełnie wykończone, ze śliniaczkiem z koronki, jeśli łaska, przy minjaturowej suchej szyjce i kawałkiem bielizny.

Matka Henrouille dobrze zarabiała na tych ogryzkach stuleci. Kiedy pomyślę, że znałem ją prawie podobną do tych widm... Przeszliśmy tedy powoli z Madelon przed niemi wszystkimi. Ich głowy jedna po drugiej milkły w surowem świetle lampy. To co mają

w głębi orbit, to nie jest zupełny mrok, to jest jeszcze prawie spojrzenie, lecz łagodniejsze, jakie mają ci co wiedzą. Nieprzyjemna jest raczej ich woń próchna, kręcąca w nosie.

Matka Henrouille nie traciła ani jednej wizyty turystów. Kazała nieboszczykom zarabiać jak w cyrku. Sto franków dziennego dochodu przynosili jej w pełni letniego sezonu.

Prawda, że oni nie wyglądają smutno? pytała mnie Madelon. Pytanie było obrzędowe.

Śmierć nic nie mówiła tej miłej dziewczynie. Urodziła się podczas wojny, w czasach lekkiej śmierci. Ja wiedziałem dobrze, jak się umiera. Nauczyłem się. To są okropne cierpienia. Można opowiadać turystom, że ci zmarli są zadowoleni. Nie mają na to nic do powiedzenia. Matka Henrouille uderzała ich nawet po brzuchu, gdy pozostało im tam jeszcze dosyć pergaminu i to robiło „bum, bum“. Ale to też nie dowód, że wszystko jest w porządku.

Wreszcie powróciliśmy z Madelon do naszych spraw. A więc to zupełna prawda, że Robinson lepiej się czuje. Tego tylko pragnąłem. Widać było, że zależy jej na małżeństwie, tej małej! Musiała się nudzić potężnie w Tuluzie. Rzadkie tu były okazje spotkać faceta, który tyle podróżował co Robinson. Ile on znał różnych historyj! Prawdziwych i mniej prawdziwych również. Opowiadał im zresztą już obszernie o Ameryce i Zwrotnikach. To było nadzwyczajne.

Ja też byłem w Ameryce i pod zwrotnikami. Ja też znałem różne historie. Zaproponowałem opowiedzieć je. Właśnie podróżując razem z Robinsonem, staliśmy się przyjaciółmi. Latarka gasła. Zapalaliśmy

ją dziesięć razy, wiążąc przeszłość z przyszłością. Broń mi swych piersi, bo były zbyt wrażliwe.

Wszelako, ponieważ matka Henrouille miała lada chwila powrócić ze śniadania, trzeba było wyjść na światło dzienne po schodkach stromych, niepewnych i przykrych jak drabina. Zauważyłem to.

Z powodu tych schodów, takich wąskich i zdradzieckich, Robinson nie często schodził do krypty z mumjami. Prawdę mówiąc, zostawał raczej przed wejściem, żeby trochę błagować turystom i wprawiać się też w odnajdywaniu światła, tu i owdzie, oczyma.

W głębi lochu podczas tego radziła sobie matka Henrouille. Naprawdę pracowała za dwoje przy mumjach. Uprzymiślała turystom zwiedzanie mówką o swych pergaminowych nieboszczykach. „Oni wcale nie są wstrętni, proszę państwa, ponieważ byli zabezpieczeni w wapnie, tak jak ich państwo widzicie, i to przeszło pięćset lat... Nasza kolekcja jest jedyna na świecie... Ciało oczywiście zniknęło... Została im tylko skóra, ale ona jest wygarbowana... Są oni nadzy, ale nie nieprzyzwoici... Proszę zwrócić uwagę, że razem z matką było pogrzebane małe dziecko... Ono również jest bardzo dobrze zachowane... A ten wielki tam z koszulą i koronką, co jeszcze pozostała... Ma wszystkie zęby... Proszę zwrócić uwagę...“ Na zakończenie uderzała jeszcze wszystkich nieboszczyków w piersi i to bębniła. „Widzą państwo, że temu oto zostało tylko jedno oko... zupełnie wyschłe... i język... który stał się też jak skóra. Pociągała zań. „Pokazuje język, ale to nie jest wstrętne... Wychodząc, mogą państwo dać co łaska, ale zazwyczaj daje się po dwa franki od osoby, a połowę za dzieci... Przed wyjściem można ich dotknąć... zdać sobie sprawę osobiście... Ale proszę nie

ciągnąć mocno... Polecam to uwadze... Niema nic kruchszego...“

Matka Henrouille zamyślała podnieść opłatę zaraz po swem przybyciu, to była kwestja porozumienia z Kurją Biskupią. Ale to nie była łatwa sprawa ze względu na proboszcza parafji św. Eponimy, który chciał pobierać trzecią część wpływów dla siebie, a również i na Robinsona, stale protestującego, ponieważ uważał, że nie daje mu dostatecznej prowizji.

— Nabrali mnie, wywnioskował, nabrali jak durnia... Raz jeszcze... Granda!... A to przecie dobra sztuka ta krypta starej!... I nabija sobie kabzę, cholera, zapewniam cię.

— Aleś ty nie wniósł pieniędzy do interesu! zaopnowałem, żeby go uspokoić i żeby zrozumiał... I masz dobre życie!... I opiekują się tobą!...

Ale uparty był jak osioł, Robinson, prawdziwa to była natura człowieka gnębionego. Nie chciał pojąć, pogodzić się z losem.

— Razem wzięwszy, wykaraskałeś się zupełnie nieźle z paskudnej groźnej sprawy, zapewniam cię!... Nie narzekaj! Pojechałbyś prosto do Kajenny, gdyby cię nie skierowano na inny tor... I oto zostawiono cię w spokoju!... Do tego jeszcze znalazłeś małą Madelon, miłą dziewczynę, która ciebie chce... Choć jesteś taki schorowany!... Więc na co się skarżysz?... Zwłaszcza teraz, kiedy z oczami twemi jest lepiej?...

— Chcesz powiedzieć, że ja nie wiem, na co się skarżę, co? odpowiedział mi wówczas. A ja jednak czuję, że muszę się skarżyć... Już jest tak... To mi tylko pozostało... Powiem ci... To jest jedyna rzecz, którą mi wolno robić... Nikt nie musi tego słuchać.

Istotnie, nie przestawał jojczeć, jak tylko byliśmy sami. Doszło do tego, że bałem się tych momentów zwierzeń. Patrzałem nań, na jego mrugające oczy, jeszcze trochę ciekące w słońcu, i mówiłem sobie, że właściwie Robinson nie był sympatyczny. Są takie zwierzęta, coś z tego, że są niewinne i nieszcześliwe i co kto chce, wie się o tem, a mimo wszystko są antypatyczne. Czegoś im brak.

— Mogłeś być zdechnąć w więzieniu... zacząłem mu znowu kłaść w głowę, chcąc żeby się jeszcze zreflektował.

— Ja byłem w więzieniu... To nie jest gorsze od tego jak jest teraz!... Spóźniłeś się...

Nie mówił mi tego, że był w więzieniu. To musiało się stać przed naszym spotkaniem, przed wojną. Upie-rał się przy swoim i wreszcie powiada: „Jest tylko jedna wolność, ja ci to mówię, tylko jedna: naprzód mieć wzrok jak się należy, a potem mieć pełno forsy w kieszeni, reszta do luftu!...”

— Więc koniec końców o co ci chodzi? mówię. Kiedy go się tak wzywało, żeby się zdecydował, żeby się wypowiedział, oświadczył wyraźnie za czymś, to już zdechl pies. A właśnie byłoby ciekawe, co powie w takiej chwili...

Gdy Madelon była w dzień w swej pracowni, a matka Henrouille pokazywał swe rupiecie klientom, myśmy szli do kawiarni pod drzewami. To miejsce lubił bardzo Robinson, tę kawiarnię pod drzewami. Prawdopodobnie z racji wrzawy, jaką czyniły w górce ptaki. Ileż tam było ptaków! Szczególniej koło piątej, gdy wracały do gniazd, podniecone latem. Spadały wówczas na plac jak burza. Mówiono nawet w związ-

ku z tem, że pewien fryzjer, który miał swój zakład przy ogrodzie, zwarjował od tego, od słuchania ich świego-tu, wszystkich razem, przez szereg lat. Prawda, że nie można było prowadzić wtedy żadnej rozmowy, jeden drugiego nie słyszał. Ale mimo to Robinson uważał, że to jest wesołe.

— Gdyby tylko ona mi dawała regularnie cztery su od gościa, byłbym zadowolony!

Mniej więcej co kwadrans powracał do swej troski. W przerwach jednak barwy lat minionych zdawały się powracać doń, również wydarzenia, historje z Kompanją Pordurière w Afryce między innymi, choć zna-liśmy je dobrze obadwaj, i pieprzne historje, których mi jeszcze nigdy dotąd nie opowiadał. Nie śmiał mo-że. Był w gruncie rzeczy skryty, nawet tajemniczy.

Co do przeszłości, ja pamiętałem dobrze przede-wszystkiem Molly, gdy byłem w dobrem usposobieniu, niby echo godziny co wybiła zdala, i gdy myślałem o czymś miłym, natychmiast myślałem o niej .

Właściwie, gdy egoizm pofolguje w nas trochę, gdy nadszedł czas skończyć porachunki z życiem, w dzie-dzinie wspomnień zachowuje się w sercu tylko wspom-nienie o tych kobietach, które naprawdę kochały trochę mężczyzn, nie koniecznie jednego, nawet gdybym to ja nim był, lecz wszystkich.

Po powrocie wieczorem z kawiarni nic nie robiliśmy, jak podoficerowie w stanie spoczynku.

W sezonie turystów była moc. Ciągnęli do krypty i matka Henrouille udawało się ich zabawić. Proboszcz wprawdzie krzywił się trochę na jej żarciki, ale że dostawał więcej niż na niego przypadało, nie puszczał pary z gęby, no i przede-wszystkiem nie znał się zu-

pełnie na facecjach. A warto było widzieć matkę Henrouille i posłuchać jej wśród jej trupów. Patrzą-ci im prosto w twarz, ona, która nie bała się śmierci, choć przecie sama była taka pomarszczona, taka wyschnięta, że wyglądała na jednego z nich, gdy ze swą latarką gadała do ich niby - twarzy.

Gdy wracano do domu i zbierano się na obiad, toczyła się jeszcze dyskusja o targu dziennym, a matka Henrouille nazywała mnie swym „Doktorkiem Szakalem“, z racji historyj jakie były między nami w Rancy. Ale to wszystko w formie żartu ma się rozumieć. Madelon krzątała się w kuchni. Lokal, w którym mieszkaliśmy, miał bardzo mizerne światło, była to przybudówka zakrystji, ciasna, pełna belek i zakurzonych kątów. „Bądź co bądź, zwracała uwagę starucha, chociaż tu jest, że tak powiem, ciągle noc, jednakowoż ma tu człowiek gdzie spać, co włożyć do kieszeni i do gęby, a to całkiem wystarcza!“

Po śmierci syna nie była długo zmartwiona. „Zawsze był kiepski, opowiadała mi pewnego wieczoru o nim, a ja, pomyśl pan, co mam swe siedemdziesiąt sześć lat, nigdy się na nic nie skarżyłam!... On zawsze się skarżył, to już był taki gatunek, zupełnie jak wasz Robinson... na ten przykład. Schodki do lochu są przykre, prawda?... Pan je zna?... Juści że mnie męczą, ale są dnie, kiedy mi przynoszą do dwóch franków od stopnia... Liczyłam... A za taką cenę ja laźlabym, gdyby ktoś chciał, aż do nieba!“

Dużo korzeni pakowała Madelon do naszych obiadów, pomidorów również. Jedzenie było wyborne. I wino różowe.¹ Nawet Robinson wziął się do wina,

¹ *Uin rosé* — lekkie, łagodne w smaku. *Przyp. tłum.*

przebywając na Południu. Opowiedział mi już wszystko co się stało od czasu jego przyjazdu do Tuluzy. Nie słuchałem go już. Rozczarowywał mnie i trochę mierził, prawdę mówiąc. „Jesteś burżuj“, powiedziałem mu wreszcie (bo dla mnie w owym czasie nie było gorszej obelgi). Ty myślisz w ostateczności tylko o pieniądzach... Gdy odzyskasz zupełnie wzrok, będziesz gorszy od innych!...“

Wymyślanie go nie irytowało. Możliwe nawet pomyśleć, że raczej dodawało mu to kurazu. Ten bubek, mówiłem sobie, ma teraz oparcie, nie trzeba już nim sobie zawracać głowy... Kobiętka nieco porywcza i nieco rozpustna, niema gadania, to przekształca mężczyznę nie do poznania... Brałem Robinsona, mówiłem sobie jeszcze, przez długi czas za awanturniczego dra-ba, a to jest tylko cherlak, z rogami będzie czy bez, ślepy czy nie... i kwita!

Na dobitkę stara Henrouille'owa zaraziła go natychmiast swą pasją gromadzenia oszczędności, a Madelon swą ochotą do małżeństwa. Ona kalkulowała dobrze. Zwłaszcza że spodoba mu się ta mała. Wiedziałem coś o tem. Byłoby kłamstwem mówić, że nie byłem trochę zazdrosny, to byłoby niesłuszne. Z Madelon bywaliśmy od czasu do czasu przez parę chwil sami w jej pokoiku, przed obiadem. Ale nie było łatwo urządzać te spotkania. Nie mówiliśmy o tem ani słowa. Byliśmy jak tylko można być dyskretni.

Nie trzeba sądzić z tego, że ona nie kochała swego Robinsona. To nie miało z temtem nic wspólnego. Tylko że on bawił się w narzeczeństwo, więc ona też naturalnie bawiła się w wierność. To była sprawa ich

poglądu na rzecz. W takich wypadkach wszystko polega na porozumieniu się. On czekał na ślub, żeby ją tknąć, jak mi się zwierzył. Taką myśl wbił sobie w głowę. Dla niego więc wieczność, a dla mnie zaraz. Zresztą, mówił mi o jeszcze jednym projekcie, założenia z nią restauracyjki i puszczenia kantem starej Henrouille'owej. Wszystko więc bardzo na serjo. „Ona jest miła, podobać się będzie klienteli“ przewidywał w swych najpogodniejszych chwilach. „A poznałeś, jak gotuje, co? O kuchnię swoją jest spokojna!“

Myślał nawet, że będzie mógł naciągnąć matkę Henrouille na mały kapitał zakładowy. Ja, owszem, radbym temu był, lecz przewidywałem dla niego duże trudności, żeby ją do tego skłonić. „Widzisz wszystko na różowo“, zwróciłem mu uwagę, tak sobie, żeby się zastanowił. Zaraz płakał i nazywał mnie wstrętnym. Właściwie nie należy nikogo zniechęcać i z miejsca zgadzałem się, że nie mam racji i że mnie zgubiły w gruncie rzeczy czarne myśli. Robinson przed wojną umiał rytować na miedzi, ale nie chciał już tego tknąć, za nic w świecie. Jego rzecz. „Z mojami płucami potrzeba mi świeżego powietrza, rozumiesz przecie, a pozatem moje oczy nie będą nigdy jak dawniej“. Pod pewnym względem miał słuszność. Cóż mu mogłem odpowiedzieć? Gdy szliśmy razem ruchliwymi ulicami, ludzie obracali się, użalając się nad ślepcem. Ludzie mają litość dla inwalidów i ślepców i można powiedzieć, że mają miłość w rezerwie. Czuję dobrze, nieraz, miłość w rezerwie. Jest jej pełno. Niesposób zaprzeczyć. Tylko w tem całe nieszczęście, że ludzie są tacy dranie, mając tyle miłości w rezerwie.

To się nie ujawnia, otóż to! To jest uwięzione, pozostaje uwięzione, to nie służy im do niczego. Wewnątrz rozsadza ich miłość.

Po obiedzie Madelon zajmowała się nim, swoim Leonem, jak na niego mówiła. Czytała mu gazetę. Teraz przepadał za polityką, a dzienniki Południa nabrzmiały są wrzodem polityki i to zajadłej.

Dokoła nas, gdy zapadł wieczór, dom pogrążał się w zniszczenie stuleci. Była to chwila, po obiedzie, gdy pluskwy mają dać znać o sobie, chwila stosowna też do wypróbowania na nich, na pluskwach, działania pewnego roztworu gryzącego, który potem chciałem odstąpić jednemu aptekarzowi z niewielkim zyskiem. Kombinacyjka. Matkę Henrouille zaciekał mój sekret i asystowała mi przy doświadczeniach. Szliśmy razem, od gniazda do gniazda w szparach, w zakątkach rozpylać na ich rojach mój witrjol. Roily się i padały w blasku świecy, którą mi trzymała bardzo uważnie matka Henrouille.

Pracując gadało się o Rancy. Od samego myślenia o tej miejscowości kolka mnie spierała, zostałbym chętnie w Tuluzie do końca życia. W gruncie rzeczy nie pragnąłem niczego więcej ponad pewny kawałek chleba i wolny czas dla siebie. Szczęścia więc pragnąłem, co? Ale jednak musiałem myśleć o powrocie i pracy. Czas uciekał a również premjum księdza i oszczędności.

Przed wyjazdem chciałem dać jeszcze Madelon kilka wskazówek i drobnych rad. Z pewnością lepiej dać pieniądze, jeśli się chce robić dobrze. Ale i to może oddać przysługę, gdy człowiek jest uprzedzony i wie dokładnie jak postępować, a szczególnie gdy

wie, na co się naraża, puszczając się naprawo i nalewo. Oto com sobie mówił, zwłaszcza że co do chorób trochę bałem się o Madelon. Była roztropna, zapewne, ale zupełnie ciemna w sprawie zarazków. Puściłem się więc na wyjaśnienia bardzo szczegółowe a propos tego czemu powinna się przyjrzeć dokładnie, zanim odpowie na zalecanki. Czy jest czerwone... Czy jest kropla na końcu... Słowem rzeczy klasyczne, które trzeba wiedzieć, i rzetelnie pożyteczne... Po uważnem wysłuchaniu mnie, bez przerywania, zaprotestowała dla formy. Zrobiła mi nawet rodzaj sceny... „Że ona jest przyzwoita dziewczyna... Że to wstyd, żebym ja... Że urobiłem sobie o niej fatalną opinię... Że ona nie była taka dlatego, że ze mną!... Że nią pogardzam... Że wszyscy mężczyźni są wstrętne...”

Słowem, to wszystko, co mówią wszystkie damy w takich razach. Należało tego się spodziewać. Parawan. Najważniejsze dla mnie było, żeby uważnie wysłuchiwała mych rad i zapamiętała z nich rzeczy zasadnicze. Reszta nie miała żadnego znaczenia. Po wysłuchaniu mnie zasmuciła ją naprawdę tylko myśl, że można złapać to wszystko o czym jej mówiłem, poprostu z czułości i z rozkoszy. Cóż z tego, że to było naturalne, byłem dla niej równie obrzydliwy jak natura i to ją obrażało. Nie nalegałem już więcej, powiedziałem jej tylko jeszcze trochę o tak wygodnych płaszczkach. Wreszcie, żeby robić psychologów, spróbowaliśmy zanalizować trochę charakter Robinsona. „On nie jest, ściśle mówiąc, zazdrosny, powiedziała mi wówczas, ale ma trudne chwile.”

„Dobrze! dobrze!...” odparłem i puściłem się na określenie charakteru Robinsona, jakgdybym znał je-

go charakter, ale zaraz się spostrzegłem, że zgoła nie znałem Robinsona, prócz kilku wulgarnych objawów jego usposobienia. Nic więcej.

To jest zadziwiające, jak trudno przedstawić sobie, co może człowieka uczynić mniej więcej miłym dla innych... A przecież chce mu się usłużyć, okazać mu przychylność i gada się od rzeczy... To jest politowania godne od pierwszych słów... Nie rozumie się drugiego człowieka.

W naszych czasach robić „La Bruyère’a”¹ trudna sprawa. Wszystko nieświadome zmyka przed wami, skoro się tylko zbliżycie.

¹ moralizować. *Przyp. tłum.*

W chwili gdy miałem iść po bilet, zatrzymali mnie, postanowiliśmy, że na tydzień jeszcze. Chodziło o to, żeby mi pokazać okolice Tuluzy, brzegi rzeki o miłym chłodzie, o których mi dużo mówiono, i żebym zwiedził zwłaszcza te ładne okoliczne winnice, któremi wszyscy w mieście zdawali się chlubić i cieszyć, jakby wszyscy byli już ich właścicielami. Nie powinienem wyjeżdżać, zwiedziwszy tylko trupy matki Henrouille. To niemożliwe! Jednym słowem, ceregiele...

Byłem mięki wobec takiej uprzejmości. Nie śmiałem decydować się bez certowania na pozostanie z powodu mego poufałego stosunku z Madelon, który stawał się trochę niebezpieczny. Stara zaczynała domyślać się czegoś między nami. Skrępowanie.

Ale stara nie miała nam towarzyszyć w tej wycieczce. Przedewszystkiem nie chciała zamykać swej krypty, bodaj na jeden dzień. Zgodziłem się więc pozostać, no i pojechaliśmy pewnego pięknego ranka w niedzielę na wieś. Robinsona trzymaliśmy pod rękę z obu stron. Na stacji wzięliśmy bilety drugiej klasy. Czuć było mocno kiełbasą mimo to, w przedziale, zupełnie jak w trzeciej. Wysiedliśmy w miejscowości, która się nazywała Saint-Jean. Widać było, że Madelon znała tę okolicę i zresztą zaraz spotkała znajomych, przybyłych z różnych stron. Zanosilo się na piękny letni dzień, można było powiedzieć. Spacerując trzeba było opowiadać Robinsonowi, co widzimy. „Tutaj to ogród... Tam most a na nim rybak z wędką... Rybak

nic nie złowił... Baczość, cyklista...“ Zapach frytek¹⁾ służył mu dobrze za przewodnika. To on nawet zaciągnął nas do traktjerni, gdzie smażono frytki od razu za dziesięć su. Zawsze wiedziałem, że Robinson jest amatorem frytek, tak jak i ja zresztą. To jest paryskie, gust do frytek. Madelon wołała wermut, wytrawny i bez zagryzania.

Rzekom nie jest dobrze na Południu. Moznaby rzec, cierpią, są ciągle w trakcie wysychania. Wzgórza, słońce, rybacy, ryby, łodzie, rowy, pralnie na wodzie, winogrona, wierzby płaczące, wszyscy mają do nich pretensje, wszystko domaga się ich. Wody żąda się od nich zawiele, więc też zostaje jej niewiele w korycie rzeki. Miejscami wygląda to bardziej na zalaną drogę niż na prawdziwą rzekę. Skoro przyjechało się tu dla przyjemności, trzeba było spieszyć się, żeby ją znaleźć. Zaraz po skończeniu frytek zdecydowaliśmy, że przejechanie się łódką przed drugim śniadaniem będzie dla nas rozrywką, ja, ma się rozumieć, będę wiosłował, a oni oboje, Robinson i Madelon, będą siedzieli nawprost mnie, z dłonią w dłoni.

Pojechaliśmy więc z prądem rzeki, jak to się mówi, gcierając się o dno tu i owdzie, przyczem ona wydawała piski, a on też nie był bardzo spokojny. Muchy i muchy. Jętki, pilnujące wszędzie rzeki swemi dużemi oczyma i krótkimi bojaźliwymi ruchami ogonków. Upał zdumiewający, że wszystkie powierzchnie gotowe są dymić. Sunie się po nich od długich płaskich rozlewisk do suchych konarów... Płynie się tuż przy palących brzegach, w poszukiwaniu cienia, który

¹⁾ Kartofli smażonych (*pommes frites*, w pospolitym skrócie, używanym przez autora: *frites*). *Przyp. tłum.*

chwyta się, jak się uda, za jakimiś drzewami, niezby zasypanemi słońcem. Gdy się rozmawia, jest bodaj jeszcze goręcej. Mimo to nikt nie śmie powiedzieć, że źle się czuje.

Robinson, to zrozumiałe, pierwszy miał dosyć tej nawigacji. Zaproponowałem wówczas, żeby przybić do brzegu przed restauracją. Nie my jedni mieliśmy taki pomysł. Wszyscy rybacy, siedzący przy słuzach, już tam byli, przed nami, w knajpie, spragnieni aperitiwów, ulokowani pod osłoną syfonów. Robinson nie śmiał mnie pytać, czy drogi był lokal, wybrany przeze mnie, ale ja mu zaraz oszczędziłem tej troski, upewniając, że wszystkie ceny są wywieszane i zupełnie przystępne. Tak było istotnie. Nie puszczał już ręki swej Madelon.

Mogę teraz powiedzieć, że zapłaciliśmy w tej restauracji tak jakby się tam jadło, ale próbowało się tylko jeść. Lepiej nie mówić o potrawach, jakie nam podano. Jeszcze dziś są one tam.

Spędzić potem popołudnie na łowieniu ryb z Robinsonem, to była rzecz zbyt skomplikowana i zrobiłoby mu się przykrość, skoro nie mógłby widzieć nawet swego pływaka. Ale z drugiej strony ja byłem już chory od wiosłowania po przedpołudniowych ćwiczeniach. To mi wystarczyło, nie miałem już wiosłarskiej zaprawy z czasów afrykańskich rzek. Zestarzałem się pod tym względem, jak pod każdym innym.

Żeby zmienić sposób spędzenia czasu, twierdziłem że przechadzka poprostu brzegiem rzeki doskonale nam zrobi, przynajmniej do tych wysokich traw, które widać było o jakiś kilometr, przy zasłonie z topoli.

Ruszyliśmy więc znowu, ja pod rękę z Robins-

nem, Madelon wyprzedzała nas trochę. Było tak wygodniej iść śród traw. Na jakimś zakręcie rzeki usłyszeliśmy fisharmonję. Dźwięki dochodziły z barki, pięknej barki, przywiązanej liną kotwiczną w tem miejscu rzeki. Muzyka zatrzymała Robinsona. To było zupełnie zrozumiałe w jego stanie, a pozatem on miał zawsze słabość do muzyki. Zadowoleni więc, że znalazło się coś co go bawi, rozłożyliśmy się na trawie, mniej zakurzonej tutaj, niż obok na pochyłym brzegu. Widać było, że to nie jest zwyczajna barka. Była bardzo czysta i starannie wykończona, barka tylko do mieszkania, nie do wożenia ładunków, pełno na niej kwiatów i była nawet elegancka budka dla psa. Opisywaliśmy barkę Robinsonowi. Chciał wszystko wiedzieć.

— Jabym też bardzo chciał mieszkać na takim czystym statku, jak ten, powiedział wówczas, a ty? — zapytał Madelon...

— No, ja ciebie dobrze rozumiem! odpowiedziała. Ale to drogo wypadnie, taki pomysł jaki ty masz, Leon! To kosztuje jeszcze dużo więcej, jestem pewna, niż kamienica dochodowa.

Zaczęliśmy wszyscy troje zastanawiać się nad tem, ile też może kosztować barka tak urządzona i nie mogliśmy wygrzebać się z naszych ocen... Każdy upierał się przy swej cyfrze. Nasz zwyczaj rachowania na głos z bylejakiego powodu... Muzyka fisharmonji dochodziła do nas przez ten czas, bardzo przymilna, i nawet słowa piosenki, do której fisharmonja akompanjowała... Wreszcie zgodziliśmy się, że barka tak jak jest, musiała kosztować conajmniej około stu tysięcy franków... Można tylko marzyć...

*Ferme tes jolis yeux car les heures sont brèves...
Au pays merveilleux, au doux pays du rê - é - éve,*

oto co śpiewały wewnątrz pomieszane głosy męskie i kobiece, trochę fałszywie, ale jednak bardzo przyjemnie, dzięki miejscowości. To pasowało do gorąca i do wsi, do pory dnia i rzeki.

Robinson upierał się przy szacowaniu na tysiące i setki. Uważał, że to kosztuje jeszcze więcej, ta barka, tak jak mu ją opisano... Bo miała w górze witraż, żeby wewnątrz było widniej i wszędzie mosiądz, słowem przepych...

— Leon, ty się męczysz, próbowała go uspokoić Madelon, wyciągnij się lepiej na trawie, jest bardzo gęsta, i odpocznij trochę... Czy sto tysięcy, czy pięćset tysięcy, to ani dla ciebie ani dla mnie, prawda?... Więc niema sensu zawracać sobie głowy...

Ale on leżąc podniecał się jednak ceną i z całej siły chciał zdać sobie sprawę i spróbować zobaczyć barkę, co tak drogo kosztuje...

— Czy ona ma motor? pytał... Myśmy nie wiedzieli.

Poszedłem popatrzeć na rufę, skoro nalegał, tylko żeby mu zrobić przyjemność, zobaczyć czy nie dojrzę rury motorka.

*Ferme tes jolis yeux car la vie n'est qu'un songe...
L'amour n'est qu'un mensonge — on — on — ge...
Ferme tes jolis yeuuuuuuuuux....!*

Tak śpiewali dalej ludzie wśródku. To nas wkońcu znużyło... Usypiali nas.

W pewnej chwili z budy wyskoczył wyżeł i zaczął

szczebrać na mostku w naszą stronę. Zerwaliśmy się ze snu na równe nogi i zobaczyliśmy wyża! Robinson nastraszył się.

Jakiś facet wyglądający na właściciela wyszedł wówczas na pokład przez drzwiczki barki. Nie chciał, żeby wymyślano jego psu i przygadaliśmy sobie do słuchu! Ale kiedy pojął, że Robinson był niejako ślepym, to uspokoiło raptem tego człowieka i nawet znalazł się jak dureń. Cofnął swe wymysły i pozwolił sobie nawet powiedzieć, że postąpił jak gbur, żeby załagodzić sprawę... Tytułem kompensaty poprosił nas na kawę do siebie na barcę, ponieważ to jego imieniny, dodał. Nie chciał żebyśmy piekli się tam na słońcu i to i tamto... I że to właśnie dobrze się składa, bo ich jest trzynaście osób przy stole. Gospodarz młody to był człowiek, fantasta. Lubił statki, wyłożył nam jeszcze... Zrozumieliśmy odrazu. Ale żona jego bała się morza, więc ulokowali się tutaj, niejako na kamieniach. U siebie, na barce, zdaje się, byli z nas dość zadowoleni. Przedewszystkiem jego żona, piękna osoba, grająca na fisharmonji jak anioł. To jednak było uprzejmie, że nas zaprosili na kawę! Mogliśmy być licho wie kim! Bądź co bądź dowód zaufania z ich strony... Odrazu pojęliśmy, że nie trzeba robić wstydu tym miłym gospodarzom... Zwłaszcza wobec ich gości... Robinson miał dużo braków, ale to był chłop naogół wrażliwy. Już z samych ich głosów rozumiał w sercu, że musimy się trzymać i nie pozwalać sobie na żadne grubiaństwa. Zapewne, nie byliśmy dobrze ubrani, ale przecież czysto i przyzwoicie. Właściciel barki, przyjrzałem mu się bliżej, musiał mieć pod trzydziestkę, nosił piękne ciemne

włosy po poetycku i zgrabny kostjum marynarski, ale zbyt elegancki. Jego ładna żona miała właśnie prawdziwe oczy „aksamitne“.

Drugie śniadanie dopiero co się u nich skończyło. Resztki były obfite. Nie odmówiliśmy ciasteczek, o nie! Ani kieliszka porto do nich. Oddawna nie słyszałem głosów tak wytwornych. Ludzie dystygowani mają pewien sposób mówienia, który onieśmiela a mnie poprostu przestrasza, zwłaszcza ich kobiety, a tymczasem to są tylko zdania źle zbudowane i pretensjonalne, ale zato wypolerowane jak stare meble. Ich zdania, choć nieszkodliwe, budzą obawę. Człowiek boi się, że się na nich poślizgnie, przy samem już odpowiadaniu. A nawet gdy przybierają tony gminne, przy śpiewaniu piosenek biedaków w formie rozrywki, zachowują ten akcent dystygowany, który budzi nieufność i odrazę, akcent krójący zawsze w sobie jakby biczyk, jaki trzeba mieć zawsze, mówiąc do służby. To podnieca, ale jednocześnie podjudza do zadarcia spódnic ich kobietom, poto jedynie, żeby widzieć, jak roztapia się ich godność, jak oni powiadają...

Objasniłem półgłosem Robinsonowi, jakie tu było umeblowanie, same antyki. To mi trochę przypominało sklep mojej matki, ale było, oczywiście, czyściej i lepiej urządzone. U mojej matki zawsze to było czuć starym pieprzem.

Na ściankach porozwieszane obrazy gospodarza, wszędzie. Malarz. Wyjawiała mi to żona, z mnóstwem ceregieli przytem. Jego żona kochała swego męża, to było widać. Gospodarz był artystą, piękny samiec, piękne włosy, piękna renta, wszystko czego po-

trzeba do szczęścia; na dokładkę fisharmonja, grono przyjaciół, marzenia na statku, na wodach rzadkich i kręcących się w kółko, szczęśliwi, że nigdy nie ruszają w drogę.. To wszystko oni mieli u siebie, z całą słodkością i ceną świeżością świata, między „brise-bise“ i powiewem z wentylatora a boskiem poczuciem bezpieczeństwa.

Skorośmy tu przyszli, trzeba było zestroić się z otoczeniem. Mrożone napoje i truskawki ze śmietaną, mój ulubiony deser. Madelon długo wahała się, czy wypada dobrać. Ona też przejmowała się teraz dobremanierami. Mężczyznom podobała się Madelon, zwłaszcza teść, bardzo zamożny pan, wydawał się zupełnie zadowolony, że ma obok siebie Madelon i nadskakuje jej, żeby się podobać. Trzeba było szukać jeszcze po całym stole przysmaków wyłącznie dla niej. Dziewczyna zabrała się do kremu na całego. Okazało się z rozmowy, że teść był wdowcem. Z pewnością o tem zapominał. Niebawem, przy likierach, Madelon była pod gazem. Garnitur jaki miał na sobie Robinson, mój również były sfatygowane porami roku, ale w schronie, gdzieśmy się znajdowali, mogło to ująć uwagi. Jednakże czułem się trochę upokorzony w tem towarzystwie, wśród ludzi tak we wszystkim komfortowych, czystych jak Amerykanie, tak starannie wymytych, tak wytwornie ubranych, gotowych stanąć do konkursu elegancji.

Madelon pod dobrą datą nie zachowywała się już jak należało. Kierując swój drobny profil na obrazy, gadała głupstwa, pani domu, zdając sobie z tego sprawę, wróciła do gry na fisharmonji, żeby to zatrzeć, wszyscy zaczęli śpiewać i my troje również półgło-

sem, ale raiszywie i pospolicie, tę samą piosenkę, którą niedawno słyszeliśmy z brzegu, a potem inną.

Robinson potrafił nawiązać rozmowę ze starszym panem, który rzekomo znał się gruntownie na uprawie kakao. Piękny temat. Jeden mieszkaniec kolonji, dwóch mieszkańców kolonji. „Kiedy byłem w Afryce, usłyszałem jak twierdził ku memu wielkiemu zdumieniu Robinson, w czasach gdy byłem inżynierem-agnonomem kompanji Pordurière, powtarzał, posłałem całą ludność pewnej wsi na zbiór itd.“ Nie mógł mnie widzieć, więc też puszczał się na całego... Ile wlazło... Fałszywe wspomnienia... Olśnić starego pana... Kłamstwa! Co tylko mógł znaleźć, żeby postawić siebie na poziomie starego kompetentnego pana. Robinson, zawsze dość powściągliwy w mówieniu, drażnił mnie i sprawiał mi przykrość, bając w ten sposób.

Posadzono go na honorowym miejscu w głębi dużej kanapy, pełnej zapachu perfum. Z kieliszkiem konjaku w prawej ręce, szerokimi gestami lewej malował majestatyczność niezdobytch puszc i wściekłość tornado pod równikiem. Bujał, zdrowo bujał... Alcyd ubawiłby się setnie, gdyby i on mógł być tutaj, gdzieś w kącie. Biedny Alcyd!

Niema co mówić, dobrze było na ich stateczku. Zwłaszcza że podniósł się z rzeki wietrzyk i w ramach okien trzepotały się rurkowane firanki, niby chorągiewki świeżej wesołości.

Wreszcie jeszcze raz podano lody a potem szampa. Były to imieniny gospodarza, sto razy to powtarzał. Postanowił ufetować raz a dobrze wszystkich, nawet przechodniów. I nas za jednym zachodem. Przez godzinę, dwie, może trzy będziemy wszyscy po-

jednani za jego sprawą, wszyscy będą kompanami, dobrzy znajomi i mało znani i nawet obcy i nawet my troje, których zaczepiono na brzegu, z braku czegoś lepszego, żeby nie było trzynastu osób przy stole. Miałem się już zabrać do odśpiewania mojej wesołej piosenki, ale się rozmyśliłem, raptem zbyt dumny, świadom swej powagi. Uznałem więc za właściwe wyjawić im, żeby mimo wszystko usprawiedliwić zaproszenie mnie, miałem żar w głowie, iż zaprosili w mojej osobie jednego z najwybitniejszych lekarzy okręgu paryskiego! Nie mogli się tego domyśleć, oczywiście, z tego jak byłem ubrany! Ani też z pospolitości mych towarzyszy! Jak tylko dowiedzieli się o mojej pozycji socjalnej, natychmiast oświadczyli, że to dla nich zaszczyt, że im niezmiernie miło i nie tracąc czasu, każdy zaczął mnie wtajemniczać w swe drobne dolegliwości cielesne; skorzystałem z tego, żeby się zbliżyć do córki jakiegoś przedsiębiorcy, kuzyneczki szerokiej w krzyżach, która dostawała pokrzywki z byleczego i kwaśnego odbijania.

Gdy się nie jest przyzwyczajonym do dobrej kuchni i komfortu, te rzeczy łatwo uderzają do głowy. Prawda chce was opuścić. Zawsze bardzo mało do tego brak, żeby was wyzwoliła. Nie dba się o swoją prawdę. W tej nagłej obfitości przyjemnych wrażeń napada miły szal megalomanji ani się człowiek spostrzeże kiedy. Ja z kolei zacząłem bajać, rozmawiając z kuzyneczką o pokrzywce. Człowiek wydobywa siebie z codziennych poniżeń, usiłując jak Robinson dostosować się do ludzi bogatych przez kłamstwa, tę monetę biedaków. Wstyd mu swej źle prezentującej się powierzchnowości, niedoborów swego cielska. Nie mo-

głem się zdecydować na pokazanie im swej prawdy; to było niegodne ich, jak mój tyłek. Musiałem za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie.

Na ich pytania zacząłem odpowiadać zmyśleniami, jak dopiero co Robinson odpowiadał staremu panu. Teraz mnie opanowały wspaniałości!... Moja wielka praktyka!... Przepracowanie!... Mój przyjaciel Robinson... inżynier, który mnie zaprosił na wypoczynek do swej willi tuluzańskiej...

Bo też gość gdy dobrze zje i wypije, łatwo da się przekonać. Całe szczęście! Wszystko ujdzie! Robinson poprzedził mnie w pomyślnem improwizowaniu ukradkiem blag, iść jego śladem wymagało już bardzo małego wysiłku.

Dzięki ciemnym okularom obecni nie mogli dobrze zorjentować się w stanie oczu Robinsona. Przypisaliśmy wspaniałomyślnie jego nieszczęście wojnie. Od tej chwili dostaliśmy dobre miejsce, zostaliśmy podniesieni społecznie i patriotycznie aż do nich, naszych gospodarzy, z początku nieco zaskoczeni fantazją męża, malarza, którego sytuacja artysty-światowca zmuszała jednak od czasu do czasu do pewnych wybryków... Goście zaczęli nas rzeczywiście uważać wszystkich troje za bardzo miłych i niezmiernie interesujących.

Jako narzeczona, Madelon może nie zachowywała się tak skromnie jakby wypadało, podniecała wszystkich, nie wyłączając kobiet, do tego stopnia, że zadawałem sobie pytanie, czy to wszystko nie skończy się jakąś chryją. Nie. Słowa strzępiły się stopniowo, rozrywane naszym ślamazarnym wysiłkiem wyjścia poza nie. Nic się nie stało.

Siedzieliśmy, uczepliwszy się frazesów i poduszek,

oszołomieni wspólną próbą uszczęśliwienia się wzajem, głębiej, goręcej i jeszcze trochę więcej, że ciało było nasycone, więc tylko duchem, czyniąc, co tylko można, by trzymać całą rozkosz świata w chwili obecnej, wszystko co się widzi niezwykłego w sobie i w świecie, żeby sąsiad wreszcie zaczął też z tego korzystać i żeby sąsiad przyznał nam, że właśnie to jest ta cudna rzecz której szukał, że brakowało mu akurat tylko tego naszego daru od tyłu a tyłu lat, żeby być wreszcie doskonale szczęśliwym i na zawsze! Że objawiono mu wreszcie jego własną rację bytu! I że trzeba wobec tego powiedzieć wszystkim, iż znalazł swą rację bytu! I wypić jeszcze jedną kolejkę dla uczczenia i świętowania tej rozkoszy, która oby trwała zawsze! Oby już nigdy nie zmieniano cesarza! Zwłaszcza by nigdy nie wracano do tych czasów ohydnych, do czasów bez cudów, do czasów przed poznaniem się i nadzwyczajnem odnalezieniem siebie!... Odtąd wszyscy razem! Narzeczcie! Zawsze!...

Gospodarz nie mógł się powstrzymać od zdjęcia z nas uroku.

Miał manję mówienia nam o swem malarstwie, które doprawdy kpiło sobie z niego zanadto, o swych obrazach, ile wlaźło i o czemkolwiekby się gadało. Tak więc przez jego uporczywą głupotę, banalność, choć byliśmy pijani, powróciła między nas, przygniatająca. Już pokonany, zwróciłem się do gospodarza z kilku smakowitemi i promieniejącymi komplementami, szczęście we frazesach dla artystów. Tego tylko było mu potrzeba. Skoro tylko dostał moje komplementy, to było dlań jak coitus. Zatoczył się na jedną z sof o krągłym brzegu i zasnął prawie natychmiast.

grzecznie, widomie szczęśliwy. Goście podczas tego wodzili jeszcze jeden za drugim po konturach twarzy wzrokiem ołowianym i wzajemnie oczarowanym, wahając się między prawie niepokonalną sennością a rozkoszą cudownego trawienia.

Ja tam zaoszczędziłem tę chętkę drzemania i zacho- wałem ją sobie na noc. Trwające obawy dzienne od- dalają zbyt często sen i kiedy ma się możliwość stwo- rzenia sobie zapasiku błogości, trzeba być skończonym durniem, żeby go trwonić na błahe drzemki uprzednie. Wszystko na noc! To moja dewiza! Trzeba cały czas myśleć o nocy. No i przedewszystkiem byliśmy za- proszeni na obiad, był moment stosowny, żeby nabrać apetytu...

Skorzystaliliśmy z panującej atmosfery otępienia, że- by się wymknąć. Wykonaliśmy wszyscy troje wyjście po angielsku, wymijając gości śpiących i wdzięcznie rozsypanych dokoła fisharmonji pani domu. Oczy pa- ni domu, rozrzewnione muzyką, mrugały szukając cie- nia. „Do zobaczenia“ rzekła, gdyśmy przechodzili obok niej, i jej uśmiech rozpląnął się w marzeniu.

Nie poszliśmy daleko, wszyscy troje, tylko do tego miejsca, które wypatrzyłem, gdzie rzeka robiła zakręt, między dwoma rzędami topoli, wielkich spiczastych topoli. Z tego miejsca widać całą dolinę nawet wdali to miasteczko w samym dole, skulone u stóp wieży kościelnej, wsadzonej jak gwóźdź w czerwień nieba.

— O której mamy pociąg powrotny? — zaniepo- koić się zaraz Madelon.

— Nie kłopotz się! uspokoił ją Robinson. Oni nas odwiozą autem, to jest umówione... Gospodarz powie- dział... Oni mają maszynę...

Madelon przestała nalegać. Rozmarzyła się. Praw- dziwie wspaniały dzień.

— A twoje oczy, Leon, jak jest z niemi teraz? za- gadnęła go.

— Daleko lepiej. Nie chciałem ci jeszcze nic mó- wić, bo nie byłem pewny, ale myślę, że zwłaszcza lewem okiem potrafię już nawet policzyć butelki na stole... Wstawiałem zdrowo, uważałaś? A dobra była wstawa.

— Lewe, to od serca, zauważyła radośnie Madelon. Była ogromnie rada, to się samo przez się rozumie, z tej jego poprawy wzroku.

— To mnie pocałuj, a ja ciebie! zaproponowała mu. Czułem że moja obecność przy tych czułościach jest zbyteczna. Trudno mi było jednak się oddalić, gdyż nie wiedziałem dobrze, dokąd iść. Udałem że idę za swoją potrzebą za drzewo, które było nieco dalej, i zo- stałem tam za drzewem, czekając aż im to przyjdzie. Mówili sobie czułe słówka. Słyszałem ich. DIALOGI miłosne najpospolitsze to jednak zawsze jest trochę śmieszne, gdy się tych ludzi zna. A przytem nigdy nie słyszałem, żeby oni mówili sobie takie rzeczy.

— Kochasz mnie, prawda? pytała.

— Kocham cię jak moje oczy! odpowiadał.

— To nie jest nic, to coś powiedział, Leon!... Ale tyś mnie jeszcze nie widział, Leon?... Może jak mnie zobaczysz na własne oczy a nie tylko oczami innych, nie będziesz już mnie tak kochał?... Ty wtedy zoba- czysz znów inne kobiety i może zaczniesz je kochać wszystkie?... Jak twoi koledzy?...

Ta uwaga, zrobiona niby mimochodem, była dla mnie. Nie myliłem się... Myślała że jestem już daleko

i nie mogę jej słyszeć... Więc strzeliła we mnie... Nie traciła czasu... On, przyjaciel, zaczął protestować. „Cóż znowu!...” powiedział. I że to wszystko to tylko przypuszczenia! Oszczerstwa...

— Ja, Madelon, wcale nie! bronił się. Ja nie jestem w jego rodzaju! Co ci każe myśleć, że jestem taki jak on? Po tem jak byłaś taka miła dla mnie?... Ja się przywiązuję! Ja nie jestem drań! To jest nazawsze, powiedziałem ci, nie robię z gęby cholewy! Nazawsze! Ty jesteś ładna, ja to już wiem, ale będziesz jeszcze dla mnie dużo ładniejsza skoro ciebie zobaczę... No! kontenta teraz jesteś? Już nie płaczesz? Przecie ja ci więcej powiedzieć nie mogę!

— To jest cudne, Leonie! ona na to, wtulając się w niego. Byli w trakcie składania sobie przysięg, nie można ich było już powstrzymać, niebo było już dla nich zamałe.

— Chciałbym żebyś była ze mną zawsze szczęśliwa... — mówił potem do niej cicho.— Żebyś nie miała nic do roboty, a miała zarazem wszystko, czego ci potrzeba...

— Ach, jakiś ty dobry, mój Leonie! Jesteś jeszcze lepszy niż sobie wyobrażałam... Jesteś czuły! Jesteś wierny! i jesteś wszystko!...

— Bo ubóstwiam cię, moja kotusieńko...

I rozpalali się jeszcze bardziej, macając się. A potem, jakby chcąc mnie trzymać zdala od ich nateżonego szczęścia, wymierzili mi stary paskudny cios...

Najpierw ona: „Doktor, twój przyjaciel, jest miły, prawda?” Znowu mnie atakowała, jakgdyby wciąż mnie miała na wątrobie. „Jest miły!... Nie chcę na niego nic mówić, skoro to jest twój przyjaciel... Ale to jest człowiek wyglądający jednak na brutala w obej-

ściu z kobietami... Nie chcę o nim źle mówić, bo myśla, że to prawda, że on ciebie bardzo lubi... Ale cóż, on nie jest w moim guście... Powiem ci... Chyba się nie będziesz gniewał?” Nie, nic nie gniewało Leona. „A więc, zdaje mi się że doktor kocha jakby zanadto kobiety... Trochę tak jak psy, rozumiesz mnie?... Nie uważasz?... Tak jakby skakał na nie, możnaby powiedzieć, ciągle! Skrzywdzi i pójdzie sobie... Nie uważasz, że on jest taki?”

Uważał, hycel, uważał wszystko co chciała, uważał nawet że to co mówiła było całkiem słuszne i zabawne. Bardzo śmieszne. Zachęcał ją, żeby mówiła dalej i cieszył się na to.

— Tak, to coś zauważyła Madelon, co do niego, to jest prawda, Ferdynand to nie jest zły człowiek, ale co do delikatności to nie jest w tem mocny, trzeba przyznać, a co do wierności, także samo zresztą!... Tego jestem pewny!...

— Tyś musiał wiedzieć, jakże on miał kochanki, co, powiedz Leon?

Informowała się poufnie cholera.

— O tyle o ile! odpowiedział jej stanowczo, ale wiesz... On to tam... nie jest wymagający!...

Trzeba było z tych słów wyciągnąć wniosek, Madelon wzięła się do tego.

— Lekarze, wszyscy to wiedzą, to wszystko są świętuchy... przeważnie.. Ale on, to ja myślę że na tym punkcie ma hyzia!...

— Doskonale to powiedziałaś, przytwierdził mój zacny, mój szczęśliwy przyjaciel i ciągnął dalej: Do tego stopnia że nieraz myślałem, tak on na to leciał, że coś na to zażywał... No i jeszcze on posiada takie-

go! Żebyś ty to widziała, tę wielkość! To jest nienaturalne!...

— Ach! rzuciła Madelon, raptem zakłopotana, próbując zarazem przypomnieć sobie mój instrument. Ty myślisz więc że on jest chory, co? — Była bardzo niepokojna, zafrasowana nagle temi poufnymi informacjami.

— O tem to ja nic nie wiem, był zmuszony przyznać z żalem, nie mogę nic twierdzić... Ale ma szansę prowadząc takie życie.

— Jednak ty masz rację, on musi zażywać jakieś proszki... To, musi być, dlatego czasami jest taki dziwny...

I główka Madelon zaraz zaczęła pracować. Dodała: „Na przyszłość trzeba będzie się mieć z nim trochę na baczności“...

— Przecież go się nie boisz? zapytał. Niczem nie jest dla ciebie chyba?... Nie przystawiał się nigdy do ciebie?

— O, co to to nie, nie dopuściłabym! Ale nigdy niewiadomo co mu może strzelić do głowy... Przypuśćmy na przykład, że ma atak... Mają ataki ci co zażywają takie rzeczy!... W każdym razie nie dałabym mu się leczyć!...

— Ja również, po tem cośmy teraz o nim mówili! aprobował Robinson. A potem znowu czułości i karesy.

— Kotuś!... kotuś!... hołubiła go.

— Kotuchna!... kotuchna!... odpowiadał jej. A potem chwile milczenia, wypełniane namiętnymi pocałunkami.

— Powiedz mi prędko, że mnie kochasz, tyle razy

ile tylko możesz, a ja przez ten czas będę cię całował aż do ramienia...

Zaczynało się to od szyi.

— Jaka ja jestem czerwona! zawołała zdyszana.... Tchu mi brak! Daj mi wytchnąć! — Ale on nie dawał jej odpocząć. Zaczynał nanowo. Ja w trakcie obok próbowałem zobaczyć to co się miało teraz stać. Brał czubki jej piersi w usta i bawił się nimi. Słowem baraszkowanie. Ja też byłem czerwony, jak rak od różnych uczuć i ponadto zadziwiony moją niedyskrecją.

— My we dwoje będziemy bardzo szczęśliwi, powiedz Leonie, że tak? Powiedz mi, że jesteś pewny, że będziemy szczęśliwi?

To był antrakt. Potem znowu projekty na przyszłość bez końca, jakby chodziło o przerobienie całego świata, ale świata tylko dla nich obojga! Mnie przede wszystkim wcale tam nie było. Pomyślałby kto, że uwalniali się ode mnie jaknajdokładniej, że oczyszczali swą zażyłość z obrzydliwego wspomnienia o mnie.

— Czy wy dawno jesteście przyjaciela z Ferdynandem, co?

Gnębiła ją ta sprawa...

— Hm, już lata całe... To tu... To tam... odpowiedział. Najsamprzód spotkaliśmy się przypadkiem w podróży... On to jest facet co lubi widzieć obce kraje... Ja też, do pewnego stopnia, więc to było tak jakby się odbywało razem drogę oddawna... Rozumiesz?... Sprowadzał tak oto nasze życie do zupełnej banalności.

— No, to ta kompanja się skończy, mój drogi! I to od zaraz! odpowiedziała mu stanowczo, krótko i węż-

złowato... To się skończy! Czy nie kotku, że się skończy?... Teraz będziesz odbywał swoją drogę tylko ze mną... Zrozumiałeś mnie?... Czy nie, kotusiu?...

— To ty jesteś o niego zazdrosna? zapytał, trochę jednakże zbity z pantafelku, bałwan.

— Nie! nie jestem o niego zazdrosna, ale ja cię, widzisz znaną kocham, mój Leonie, chcę cię mieć w całości dla siebie... Nie dzielić się tobą z nikim. A przede wszystkim to nie jest towarzystwo dla ciebie teraz kiedy cię kocham, mój Leonie... On jest zbyt rozpustny... Rozumiesz to? Powiedz mi, że mnie ubóstwiasz, Leonie! I że mnie rozumiesz?

— Ubóstwiam cię.

— To dobrze.

Tegoż wieczora powróciliśmy wszyscy do Tuluzy. Wypadek zdarzył się w dwa dni potem... Musiałem jednakże wyjechać i właśnie gdy kończyłem pakowanie walizki, żeby jechać na dworzec, słyszę, jak ktoś coś krzyczy przed domem. Słucham... Trzeba, żebym czempędzej udał się do podziemia... Nie widziałem osoby, która tak mnie wzywała... Ale sądząc po tonie głosu, to musiało być bardzo pilne... Trzeba było pośpiesznie tam się udać, na to wyglądało.

— Ani chwili zwłoki? Pali się? odpowiadam, żeby nie lecieć zaraz... Musiało być koło siódmej, akurat przed obiadem. Pożegnać mieliśmy się na stacji, tak było umówione. To wszystkim było na rękę, bo stara miała wrócić do domu trochę później. Właśnie tego wieczora, z powodu pielgrzymki, której oczekiwała w krypcie.

— Proszę zaraz przyjść, doktorze! nalegała jeszcze osoba z ulicy... Stało się nieszczęście z panią Henrouille!

— Dobrze! Dobrze! mówię... Idę zaraz! Tak! Już schodzę!

Ale zaraz się opamiętałem: „Proszę tam iść, dodałem. Proszę im powiedzieć, że zaraz za panią się zjawię... Że leczę... Tylko włożę spodnie...”

— Ale to jest strasznie pilne! nalegała jeszcze ta osoba... Straciła przytomność, powtarzam panu!... Zdała się, złamała sobie kość w głowie!... Spadła ze schodów w swoim lochu!... Spadła od razu na sam dół!...

„Dobra nasza!” powiedziałem sobie, słysząc tę ład-

nią historję i nie potrzebowałem zastanawiać się teraz długo. Poleciałem prosto na dworzec. Wiedziałem co o tem myśleć.

Złapałem jeszcze swój pociąg o siódmej piętnaście, mimo wszystko, alem się spocił.

Nie pożegnaliśmy się.

Parapin zobaczywszy mnie po powrocie, zauważył przede wszystkim, że źle wyglądam.

— Musiałeś się tam dobrze zmachać, w Tuluzie, rzekł, podejrzliwy jak zawsze.

Prawda, że miało się emocje tam w Tuluzie, ale ostatecznie nie trzeba narzekać, skoro uniknąłem, przynajmniej miałem nadzieję że uniknął, prawdziwych nieprzyjemności, wynosząc się cichaczem w chwili krytycznej.

Wyłożyłem tedy Parapinowi szczegółowo awanturę a jednocześnie moje podejrzenia. Lecz on nie miał pewności czym działał dość zręcznie w danych okolicznościach... Nie było co prawda czasu na przedyskutowanie tej sprawy, gdyż kwestja znalezienia pracy stała się dla mnie tymczasem tak nagląca, że trzeba było nad tem pomyśleć. Niemożna więc było tracić czasu na komentarze. Miałem wszystkiego sto pięćdziesiąt franków oszczędności i nie miałem pojęcia, o co teraz się zaczepić. O „Tarapout“? Już nie angażowano nikogo. Kryzys. Wrócić do Garenne — Rancy? Próbować wznowić praktykę? Myślałem o tem przez chwilę, owszem, mimo wszystko, ale tylko jako o rzeczy ostatecznej i przymusowej. Nic tak łatwo nie gaśnie, jak święty ogień.

Koniec końców właśnie Parapin podał mi pomocną rękę wynalezieniem dla mnie małej posady w tym właśnie zakładzie, gdzie sam pracował i już od kilku miesięcy.

Interes ten szedł jeszcze nieźle. W tym domu zdrowia Parapin nietylko miał sobie poruczoną opiekę nad obłąkanymi w kinie, zajmował się ponadto iskrami. W ściśle określonych godzinach rozpętywał istne burze magnetyczne nad głowami melancholików, specjalnie zgromadzonych w sali szczelnie zamkniętej i zupełnie ciemnej. Właściwie był to sport umysłowy i realizacja pięknej idei doktora Barytona, jego szefa. Liczykrupa zresztą ten gospodarz, który mnie zaangażował za bardzo mizerne wynagrodzenie, ale z kontraktem i klauzulami łokciowymi, wszystkie oczywiście na jego korzyść. Słowem pracodawca.

W jego zakładzie otrzymywaliśmy gazę minimalną, to prawda, natomiast wikt był niezły, a spanie zupełnie dobre. Można było też romansować z pielęgniarkami. To było dozwolone, oczywiście milcząco. Baryton, pryncypał, nie miał nic przeciw tym rozrywkom, zauważył nawet, że te ułatwienia erotyczne przywiązują personel do firmy. Nie był głupi, nie był surowy.

No a przede wszystkim to nie był moment do stawiania pytań i warunków, gdy ofiarowano mi kawałek chleba, który mi spadał więcej niż w porę. Przy bliższym zastanowieniu nie mogłem pojąć, skąd Parapin nagle okazał mi tyle czynnej życzliwości. Jego zachowanie się wobec mnie nie dawało mi spokoju. Przypisywać jemu, Parapinowi, uczucia braterskie... to byłoby bądź co bądź zbyt go upiększać. Musiało to być bardziej skomplikowane. Ale wszystko się zdarza.

Przy południowym posiłku spotykaliśmy się, taki był zwyczaj, zgromadzeni wszyscy przy Barytonie, naszym chlebobawcy, psychiatrze z szewronami, bródka

w szpic, uda krótkie i mięsiste, bardzo uprzejmy, zostawiając na stronie sprawy gospodarcze, dziedzina, w której okazywał się zupełnie niemożliwy, ilekroć dostarczano mu do tego pretekstu i okazji.

Makaronem i cierpkawym Bordeaux psuł nas, można powiedzieć. Cała winnica dostała mu się w spadku, wyjaśnił nam. Tem gorzej dla nas! To był sikacz, twierdząc.

Jego schronisko w Vigny-sur-Seine było pełne. „Dom Zdrowia“ na papierach firmowych, z racji otaczającego go dużego ogrodu, gdzie nasi warjaci spacerowali w pogodne dni. Spacerowali tam, robiąc dziwne wrażenie ludzi, którzy z trudem utrzymują głowę w równowadze na ramionach, tak jakby wciąż się bali, że rozleje się na ziemię zawartość głowy, jeśli się potkną. Tam wewnątrz były zaszpunktowane przeróżne rzeczy podrygujące i dziwaczne, na których im okropnie zależało.

Obłąkani mówili nam o swych skarbach umysłowych nie inaczej, jak z grymasami przerażenia lub też w pobłażliwy i protekcyjny sposób na podobieństwo bardzo potężnych małoszkowych zarządców. Za skarby świata nie możnaby tych ludzi zmusić, żeby wyszli myślą poza swą głowę. Warjat to jest nic innego, jak człowiek, mający zwykłe myśli lecz mocno zamknięte w głowie. Świat nie przenika przez jego głowę i to wystarcza. Jak stojąca woda staje się zakuty łeb, smród i tyle.

Baryton zaopatrywał się w kluski i w jarzyny w Paryżu, hurtowo. Toteż niebardzo nas lubili kupcy w Vigny-sur-Seine. Nawet nie znosili nas, można było powiedzieć. Nie psuła nam apetytu ta niechęć. Przy

stole, na początku mego pobytu, Baryton regularnie wyciągał wnioski i filozofję z naszych uwag bez związku. Ale spędziwszy życie wśród obłąkanych, zarabiając na chleb obcowaniem z nimi, jadając razem z nimi, unieszkodliwiając jako tako objawy ich obłądzenia, uważał za najnudniejszą rzecz być jeszcze zmuszonym mówić czasami o ich manjach podczas naszych posiłków. „Nie powinni oni figurować w rozmowie ludzi normalnych!” twierdził obronnie i kategorycznie. Trzymał się też sam tej zasady higieny umysłowej.

Lubił on rozmowę i to w sposób prawie niespokojny, lubił wesołą, a nadewszystko uspokajającą i rozsądną. Na temat ludzi nabranych przez kogoś nie chciał się rozwodzić. Instynktowa antypatja do nich wystarczała mu raz na zawsze. Natomiast nasze opowiadania o podróżach zachwycały go. Nigdy mu ich nie było dosyć. Z chwilą mego przybycia Parapin został częściowo zwolniony ze swego gadania. Zjawiłem się w porę, żeby zabawić naszego pryncypała przy stole. Wszystkie moje peregrynacje przesunęły się przez te długie opowieści, oczywiście odpowiednio zaprawione, podane po literacku, jak należy, przyjemne w słuchaniu. Jedząc, Baryton robił językiem i ustami masę hałasu. Jego córka siedziała zawsze przy nim po prawej ręce. Mimo swych dziesięciu lat, jego córka Aimée wydawała się już zupełnie zwiędła. Coś niezwyłego, nieuleczalna szara cera zacierała Aimée przed naszym wzrokiem, jakgdyby niezdrowe obłoczki wciąż przesuwały się przed jej twarzą.

Między Parapinem a Barytonem wynikały drobne scysje. Ale Baryton nie żywił do nikogo urazy o nic, o ile nie wtrącano się w jakikolwiek sposób do zysków

jego przedsiębiorstwa. Jego rachunki stanowiły przez czas długi jedyną nietykalną stronę jego egzystencji.

Pewnego dnia Parapin, w tych czasach, kiedy jeszcze z nim rozmawiał, powiedział mu prosto z mostu przy stole, że mu brak etyki. Narazie ta uwaga uraziła Barytona. A potem wszystko się zatarło. Nie należy się gniewać o takie głupstwa. Słuchając relacji o moich podróżach Baryton doznawał nie tylko romantycznego wzruszenia, lecz jeszcze uczucia, że robi oszczędności. „Gdy się pana słyszało, nie potrzebuje się już zwiedzać tych krajów, tak pan je dobrze maluje, panie Ferdynandzie!” Nie mógł mi powiedzieć miłszego komplementu. Przyjmowaliśmy do jego zakładu tylko warjatów spokojnych, nigdy obłąkańców złych i wyraźnie niebezpiecznych dla otoczenia. Jego zakład nie był wcale miejscem zupełnie ponurem. Mało krak, tylko kilka izolowanych cel. Osobnikiem najbardziej niepokojącym była może własna jego córka, mała Aimée. To dziecko nie zaliczało się do chorych, ale środowisko działało na nie.

Jakieś wrzaski od czasu do czasu dochodziły aż do naszej jadalni, ale źródło tych krzyków było zawsze dość błahe. Trwały zresztą krótko. Obserwowano jeszcze długie i nagłe porywy szału, wstrząsające od czasu do czasu grupami obłąkanych, bez widocznego powodu, podczas ich nieskończonych wędrówek między studnią a gaikami i skupinami begonij. Wszystko to kończyło się bez wielkich awantur i alarmów, ciepłymi kąpielami i gąsiorami syropu makułkowego.

Czasami w oknach refektarzy, wychodzących na ulicę, warjaci zaczynali wrzeszczeć i niepokoić sąsiadów, ale swój wstręt objawiali raczej wewnątrz za-

kładu. To ich zajmowało i zachowywali swój wstręt, osobiście, wobec naszych zabiegów leczniczych. Pasjonował ich ten opór.

Myśląc teraz o wszystkich warjatach, których poznałem u papy Barytona, nie mogę się powstrzymać od powątpiewania, czy istnieją inne prawdziwe realizacje naszych głębokich temperamentów, prócz wojny i choroby, tych dwóch nieskończoności koszmaru.

Wielką męką życia jest może w gruncie rzeczy tylko ten olbrzymi trud, jaki człowiek sobie zadaje, żeby być przez dwadzieścia, czterdzieści i więcej lat rozumnym, żeby nie być poprostu, głęboko samym sobą, to jest nieczystym, okrutnym, niedorzecznym. Koszmarny obowiązek przedstawiania zawsze jako mały, powszechny ideał, jako nadczłowieka od rana do nocy, chromającego podczłowieka, którego nam dano.

Chorych mieliśmy w zakładzie na wszelkie ceny, najzamożniejsi mieszkali w pokojach solidnie wyściełanych w stylu Louis XV. Tych Baryton codziennie odwiedzał nakrótko, słono sobie licząc za tę wizytę. Oni czekali nań. Od czasu do czasu Baryton dostawał parę siarczastych policzków, prawdę mówiąc, straszliwych, długo premedytowanych. Natychmiast wnosił je do rachunku, do rubryki zabiegów specjalnych.

Przy stole Parapin trzymał się w rezerwie, bynajmniej nie dlatego, żeby moje sukcesy oratorskie drażniły go w najmniejszym bodaj stopniu, przeciwnie, zdawał się mniej zafrasowany niż dawniej, w czasach mikrobów, i w rezultacie, prawie zadowolony. Trzeba zaznaczyć, że miał on porządnego pietra z racji swych historyj z nieletnimi. Był przez to jakiś speszony w sprawach płci. W wolnych chwilach wałęsał się do-

koła trawników zakładu, sam wyglądając jak chory, i kiedy mijałem go, posyłał mi uśmiechy, lecz tak niezdecydowane, takie blade, że można byłoby je wziąć za pożegnanie.

Przyjmując nas obu do swego personelu technicznego, Baryton robił dobry nabytek, ponieważ przynieśliśmy mu ze sobą nietylko całe nasze oddanie obowiązkowi o każdej porze, lecz jeszcze rozrywkę i te echa przygód, na które był taki łasy, a pozbawiony ich. To też nieraz wyrażał nam swoje zadowolenie. Jednakże miał pewne zastrzeżenia co do Parapina.

Z Parapinem nigdy nie czułem się całkiem swobodny. „Parapin... widzisz Ferdynandzie... powiedział mi kiedyś w zaufaniu, jest Rosjanin!“ Być Rosjaninem dla Barytona było czemś równie opisowem, morfologicznem, niewybaczalnem, jak „djabetyk“ lub „murzyńska francuszczyzna“. Rzuciwszy się na ten temat, który go korcił od wielu miesięcy, zaczął w mej obecności i na mój specjalny benefis niesłychanie pracować mózgiem. Nie poznawałem Barytona. Szliśmy właśnie razem do miejscowej „trafiki“ po papierosy.

— Parapin, Ferdynandzie, to jest chłop, którego uważam za bardzo inteligentnego, niema gadania... Ale jednak ma on inteligencję całkiem arbitralną! Nie uważasz Ferdynandzie? To jest przedewszystkiem typ, który nie chce się przystosować... To u niego widać odrazu... Nawet w swoim fachu nie czuje się dobrze... Nawet na tym świecie nie czuje się dobrze!... Zgodzisz się z tem!... I tu nie ma racji! Zupełnie nie ma racji!... Skoro cierpi!... To jest dowód! Weź mnie, Ferdynandzie, jak ja się przystosowuję!... (Bił się w klatkę piersiową). Niech naprzykład ziemia zacznie się jutro krę-

cić w odwrotnym kierunku. Ja? Ja przystosuję się, Ferdynandzie! I to zaraz! A wiesz w jaki sposób, Ferdynandzie? Będę spał raz dwanaście godzin dłużej i po krzyku! Hop! Cała sztuka! I jestem gotów! Będę przystosowany! Tymczasem twój Parapin w podobnej sytuacji wiesz co zrobi? Będzie przeżuwał projekty i gorycze jeszcze przez sto lat!... Jestem tego pewny! Powiadam ci!... Może nieprawda? Straci z miejsca sen gdy ziemia zacznie się kręcić w przeciwną stronę. On w tem dopatrzy się jakiejś szczególnej niesprawiedliwości!... Zadużo niesprawiedliwości! To jest jego manja, niesprawiedliwość!... Masami mówił mi o niesprawiedliwości w czasach, gdy raczył jeszcze rozmawiać ze mną... I sądzisz, że zadowolili się wylewaniem łez z tego powodu? To byłoby jeszcze pół biedy!... Ale nie! Będzie zaraz szukał czegoś takiego, żeby wysadzić świat w powietrze! Żeby się zemścić, Ferdynandzie! A co najgorsze, ja ci powiem, Ferdynandzie, co najgorsze... Ale to już zupełnie między nami... Otóż, że on znajdzie ten figiel!... Ja ci to mówię! Ach, Ferdynandzie, postaraj się dobrze zapamiętać to, co ci wyłożę... Są warjaci pospolici i są inni warjaci, ci których torturuje bzik cywilizacji... Okropna jest dla mnie myśl, że Parapin jest na drodze znalezienia się między nimi!... Wiesz, co on mi kiedyś powiedział?

— Nie, dyrektorze...

— A więc, powiedział mi: „Między penisem a naukami matematycznymi niema nic, panie Barytonie! Nic! Próżnia!“ A potem jeszcze!... Wiesz, na co on czeka, żeby znów ze mną rozmawiać?

— Nie, panie Barytonie, nie wiem nic a nic...

— Nie opowiadał ci?

— Nie jeszcze...

— A więc mnie on powiedział!... Czeka, aż nastąpi era matematyków! Ni mniej ni więcej! Jest absolutnie zdecydowany! Jak się zapatrujesz na ten impertynencki sposób postępowania wobec mnie? Starszego od siebie? Swego szefa?...

Musiałem się trochę pośmiać, żeby zbagatelizować ten przesadny pomysł. Ale Baryton nie uważał tego za bagatelę. Potrafił nawet oburzać się na wiele innych rzeczy...

— Ach, Ferdynandzie! Widzę, że to wszystko wydaje ci się nieszkodliwe... Niewinne słowa, ekstrawaganckie brednie, jak tyle innych... Tak zdaje się wnioskujesz... Nic ponadto, prawda?... O, nierozważny Ferdynandzie! Pozwól mi, przeciwnie, ostrzec cię troskliwie przed takim postępowaniem, błahem tylko z pozoru! Oświadczam ci, że nie masz racji!... Zupełnie nie masz racji!... Postokroć nie masz racji, doprawdy!... W ciągu mej kariery, dasz mi sędzę wiarę, że nie słyszał prawie wszystko, co można słyszeć tutaj i gdzieindziej w dziedzinie spokojnego i ostrego delirium! Niczego mi nie brakowało!... Wierzysz mi Ferdynandzie, prawda?... A ja wcale nie robię wrażenia człowieka skłonnego do trwogi... Do przesady?... Prawda że nie? Dla mojego sądu bardzo mało znaczy siła słowa, a nawet wielu słów, nawet zdań i całych przemówień!... Jestem dość prosty z pochodzenia i z natury, ale nie można mi odmówić tego, że jestem jednym z tych ludzi mocno zahartowanych, którzy zgoła nie lękają się słów!... Otóż, Ferdynandzie, po sumiennej analizie, co się tyczy Parapina, uczułem się zmuszony mieć się na baczności!... Sformułować jaknajbardziej

stanowcze zastrzeżenia... Jego dziwactwo nie jest podobne do żadnych z tych, które są nieszkodliwe i pospolite... Należy ono, mojem zdaniem, do jednej z tych manjackich zachcianek z łatwością zaraźliwych: socjalnych i tryumfujących, krótko mówiąc!... Może to nie jest jeszcze zupełny obłęd to co widzę w przypadku twego przyjaciela... Nie! Może to jest dopiero tylko przesadne przekonanie... Ale ja się znam na zaraźliwych szaleństwach... Niema nic groźniejszego jak przesadne przekonanie!... Znałem dużo, ja ci to mówię, Ferdynandzie, takich przekonanych i to różnego pochodzenia!... Ci co mówią o sprawiedliwości, wydali mi się w rezultacie najbardziej opętani!... Z początku ci fanatycy sprawiedliwości zainteresowali mnie trochę, przyznaję... Teraz mnie drażnią, irytują do niemożliwości ci manjacy... Czy jesteś innego zdania?... U ludzi można stwierdzić jakąś łatwość przenoszenia w tym zakresie, która mnie przeraża, i to u wszystkich ludzi, rozumiesz?... Zwróć na to uwagę, Ferdynandzie! U wszystkich! Jak przy alkoholu lub erotyzmie... Ta sama predyspozycja... Ta sama fatalność... Niestychanie rozpowszechniona... Śmiejesz się, Ferdynandzie? Teraz ty mnie przerażasz! Kruchy! Nieodporny! Niestaly! Niebezpieczny Ferdynandzie! I pomyśleć, że miałem cię za człowieka poważnego!... Nie zapominaj, że jestem starszy, Ferdynandzie, mogę sobie pozwolić na to, żeby gwizdać na swoją przyszłość! Mnie wolno byłoby to robić! Ale tobie!

Z zasady, nazawsze i we wszystkich sprawach byłem tego samego zdania, co mój chlebodawca. Nie poczyniłem wielkich postępów praktycznych podczas mego niespokojnego żywota, ale jednak nauczyłem się

dobrych zasad etykiety służbowej. Dzięki temu przygotowaniu zacieśniliśmy po tej rozmowie z Barytonem dobre stosunki, ja nigdy mu nie przeczyłem, przy stole jadłem niewiele. Słowem, sympatyczny asystent, zupełnie oszczędnościowy i nie mający ambicji za grosz, nie groźny.

Vigny-sur-Seine leży między dwiema śluzami, między dwoma pagórkami pozbawionemi zieleni, to jest osada zamieniająca się na przedmieście. Paryż ją pochłonie.

Traci ona jeden ogród co miesiąc. Z samego brzegu ogłoszenia, pstre jak balet rosyjski. Córka komornika umie robić cocktaile. Tylko tramwaj uparcie chce stać się historycznym, nie zniknie bez rewolucji. Ludzie tu są niespokojni, dzieci nie mają już tego samego akcentu, co ich rodzice. Odczuwa się jakby zażenowanie, gdy się pomyśli, że należy się jeszcze do departamentu Seine-et-Oise. Cud jest w drodze do spełnienia się. Ostatnia szklana bania ogrodowa zniknęła wraz z objęciem rządów przez Lavała i posługaczki domowe podniosły swą taksę za godzinę pracy o dwadzieścia centymów od wakacyj. Sygnalizowano pojawienie się bookmakera. Urzędniczka na poczcie kupuje romanse pederastyczne i tworzy sobie w wyobraźni jeszcze bardziej realistyczne. Proboszcz klnie na zawołanie i daje rady giełdowe tym co są grzeczni. Sekwana zabiła swoje ryby i amerykanizuje się między dwoma rzędami machin wywrotowo-traktorowo-tłoczących, które tworzą na samych jej brzegach okropne zębiska śmiecia i żelastwa. Trzech właścicieli parcel dostało się do więzienia. Miejscowość się organizuje.

To gruntowne lokalne przeobrażenie nie uchodzi uwagi Barytona. Żałuje gorzko, że nie mógł dokupić innych jeszcze terenów w dolinie obok dwadzieścia lat

temu, wtedy kiedy prosili się z niemi po cztery su metr, jak za wczorajsze ciastko. Minęły dobre czasy. Na szczęście jego instytut psycholeczniczy bronił się jeszcze dzielnie. Nie bez trudu jednak. Nienasycone rodziny nie przestawały żądać od niego, wymagać bezustanku nowszych systemów kuracji, bardziej elektrycznych, bardziej tajemniczych, bardziej wogóle... Zwłaszcza nowszych mechanizmów, bardziej zadziwiających aparatów i to zaraz, i pod grozą przelicytowania go w tem przez konkurencję musiał się do tego zabrać... Przez podobne zakłady, zaczajone w sąsiednich lasach Asnières, Passy, Montretout, też czyhające na wszystkich bogatych głuptaków.

Baryton, za radą Parapina, krzątał się, żeby się przystosować do współczesnego gustu, do taniości oczywiście, rabatów, okazji, wyprzedaży, ale bez zwłoki, do nabywania nowych maszyn elektrycznych, pneumatycznych, hydraulicznych, żeby w ten sposób wyglądać na coraz lepiej zaopatrzonego do uganiania się za zachciankami pensjonarzy, majątnych zrzedów. Stękał, że musi mieć niepotrzebne przyrządy... że był zmuszony jednać sobie względy nawet warjatów...

— Gdym otwierał swój zakład, zwierzał mi się pewnego dnia, wylewając swoje żale, było to akurat przed wystawą, Ferdynandzie, przed wielką... My, psychjatrzy byliśmy, stanowiliśmy bardzo ograniczoną liczbę praktyków, i o wiele mniej ciekawych i zdeprawowanych niż dzisiaj, proszę mi wierzyć!... Nikt z nas wówczas nie starał się być równie zwarjowanym, jak pacjent... Nie nadeszła jeszcze moda bredzić pod pretekstem lepszego leczenia, moda plugawa, zważ to, jak prawie wszystko, co do nas przychodzi z zagranicy.

„W czasach więc, gdym rozpoczynał praktykę, lekarze francuscy, Ferdynandzie, szanowali się jeszcze! Nie sądzili, że muszą pleść głupstwa razem ze swymi chorymi... Idzie z pewnością o to, żeby się dostroić do nich?... Bo ja wiem? Żeby im sprawić przyjemność! Dokąd to nas doprowadzi?... Pytam się ciebie?... Stając się bardziej chytrymi, chorobliwymi, perwersyjnymi od najbardziej rozstrojonych opętanców naszych zakładów, tarzając się z jakąś nową plugawą dumą we wszystkich bredniach, które przed nami wytaczają, dokąd zmierzamy?... Czy jesteś w możności, Ferdynandzie, uspokoić mnie co do losu naszego rozumu?... A nawet prostego zdrowego sensu?... Gdy pójdzie dalej takim trybem, co nam pozostanie ze zdrowego sensu? Nic! To łatwo przewidzieć! Absolutnie nic! Ja mogę ci to przepowiedzieć... To jest jasne...

„Przedewszystkiem, Ferdynandzie, czyż wszystko nie zaczyna nabierać wagi w obliczu inteligencji rzetelnie nowoczesnej? Niema nic białego! Ani czarnego! Wszystko idzie w strzępy!... To jest nowy rodzaj! To jest modne! Czemuż więc my sami nie mamy zostać warjatami?... Natychmiast! Na początek! I jeszcze się tem chwalić! Ogłosić wielki bałagan duchowy! Robić sobie z naszego szaleństwa reklamę! Kto może nas powstrzymać? Pytam się ciebie, Ferdynandzie? Jakież wyższe i zbyteczne skrupuły ludzkie?... Jakaś jeszcze cikliwa nieśmiałość? Co?... Kiedy słyszę, Ferdynandzie, niektórych naszych kolegów i, zważ, z pośród najwybitniejszych, najbardziej cenionych przez pacjentów i akademje, zdarza mi zadawać sobie pytanie, dokąd oni nas wiedą!.. To jest doprawdy piekło. Ci szaleńcy zbijają mnie z tropu, napawają mnie lękiem, djaboli-

zują a przedewszystkiem są mi wstrętni! Dość gdy słyszę, jak referują nam na którymś z tych nowoczesnych kongresów wyniki swych ulubionych badań, lęk paniczny ogarnia mnie, Ferdynandzie! Od samego słuchania ich rozum mi się mąci... Opętani, skażeni, przebiegli i podstępni, ci faworyci najnowszej psychjatrii swemi nadświadomemi analizami pchają nas w przepaść... Poprostu w przepaść! Pewnego pięknego poranku, jeżeli nie zareagujecie wy młodzi, przejdziemy, zrozum to dobrze, przejdziemy! Od ustawicznego rozciągania się, sublimowania, nękania mózgu przejdziemy na drugą stronę pojmwania, na stronę piekielną, na tę stronę, skąd się nie wraca!... Zresztą już można by pomyśleć, że ci nadspryciarze są zamknięci w lochu potępieńców wskutek onanizowania sobie mózgownicy dzień i noc!

„Dobrze mówię, dzień i noc, gdyż wiesz, Ferdynandzie, oni nawet w nocy nie przestają oddawać się tej rozpuście, podczas marzeń sennych, te brudasy!... Dość powiedzieć!... Drażę cię! Rozszerzam cię mózgownico!... Tyranizuję cię!... I dokoła nich jest już tylko plugawa siekanina ze szczątków organicznych, marmelada symptomów rozgotowanych majaczeń, które sączą się z nich i kapią zewsząd... Ma się pełne dłonie tego co zostało z umysłu ludzkiego, człowiek jest lepki cały od tego, groteskowy, pełen pogardy, cuchnący... Wszystko runie, Ferdynandzie, wszystko się wali, przepowiadam ci to ja, stary Baryton, i nie na długi czas naprzód!... I ty to zobaczysz, Ferdynandzie, olbrzymią ucieczkę w rozsypce! Bõ ty jesteś jeszcze młody! Ty ją zobaczysz!... O, obiecuję ci uciechę! Przejdziecie wszyscy do sąsiada! Hop! Jeszcze jeden atak szału! O je-

den za dużo. I wrrrum! Jazda do Warjata! Nareszcie! Będziecie wyzwoleni, jak powiadacie! To was zanadto nęciło od zbyt dawna! Jak śmiało, to śmiało! Lecz, gdy będziecie u Warjata, moi drodzy! zapewniam was, że tam pozostaniecie!

„Zapamiętaj to sobie dobrze, Ferdynandzie, początkiem końca wszystkiego jest brak miary! W jaki sposób zaczęła się wielka rozsypka, jestem uprawniony ci opowiedzieć... Zaczęło się to od widzimisię miary! Od zagranicznej przesady! Gdzie niema miary, niema i siły! Tak było napisane! Więc wszystkich djabli wezmą? Czemu nie? Wszystkich? Rozumie się! Nie idziemy tam zresztą, pędzimy! to jest prawdziwe rzucenie się na oślep! Ja widziałem, Ferdynandzie, jak umysł stopniowo robił ustępstwa ze swej równowagi i potem rozpuszczał się w wielkiem przedsięwzięciu apokaliptycznych ambicji! To zaczęło się około 1900. To jest data! Od tej pory w świecie wogóle, a w psychjatrji w szczególności był jeden wyścig szalony, kto będzie bardziej zepsuty, bardziej lubieżny, bardziej oryginalny, bardziej obmierzły, bardziej twórczy, jak mówią koleżkowie!... Ładny bigos!... To znaczyło, kto prędzej odda siebie na ofiarę potworowi, bestji bez serca i bez hamulca!... Wszystkich nas, Ferdynandzie, bestja zeżre, rozumie się, i dobrze nam tak!... Bestja? Wielki łeb, który porusza się jak chce!... Jej wojny i jej jady błyskają już ku nam i ze wszystkich stron!... Otośmy w pełni potopu! Poprostu! Ach, nudno było podobno w dziedzinie świadomości! Nie będziemy się już nudzili! Zaczęto od pederastji, dla odmiany... I wówczas z miejsca zaczęto doznawać „wrażenia“ i „intuicji“... Jak kobiety!...

„Zresztą czyż trzeba nam jeszcze w obecnym stanie rzeczy obarczać się zdradliwym słowem: logika?... Oczywiście że nie! Byłoby to raczej krępujące, logika, wobec uczonych psychologów nieskończenie subtelnych, jak ich kształtują nasze czasy, istotnie postępowych... Nie mów mi z tej racji, Ferdynandzie, że pogardzam kobietami! Broń Boże! Wiesz o tem dobrze! Ale nie lubię ich wrażeń! Jestem zwierzę z jądrami, Ferdynandzie, i gdy trzymam jakiś fakt w garści, trudno mi go wypuścić... Pewnego dnia, uważasz, zdarzyła mi się ciekawa historja na ten temat... Proszono mnie o przyjęcie pewnego pisarza... Pisarz bredził... Wiesz, co on wykrzykiwał od miesiąca zgóra? „Likwiduj!... Likwiduj!“ Tak się darł na cały dom! Co do niego, to tak... Słusznie... On przeszedł na drugą stronę poj-mowania!... Ale w tem rzecz, że właśnie on miał jeszcze niesłychane trudności żeby się zlikwidować... Stare zwężenie zatruwało go uryną, zagradzało mu pęcherz... Zapuszczałem mu sondę bez końca, uwalniałem go kropla po kropli... Rodzina upierała się przytem, że mimo wszystko to pochodzi z jego genialności... Naprózno starałem się wytłumaczyć rodzinie, że ich pisarz ma raczej chory pęcherz, obstawali przy swoim... Dla nich uległ w pewnej chwili nadmiernej potędze swego genjuszu i basta... Musiałem koniec końców przychylić się do ich opinji. Wiesz przecie, co to jest rodzina? Nie można w żaden sposób wytłumaczyć rodzinie, że człowiek, krewny czy nie, to jest ostatecznie tylko zglinizna w zawieszeniu... Odmówiłaby płacenia za zgliniznę w zawieszeniu.

Od dwudziestu przeszło lat Baryton bez przerwy zapakował drażliwą próżność rodzin. Bardzo cierpliwy

i zrównoważony, takim go znałem, chował jednak w sercu starą pozostałość zgorzkniałej nienawiści do rodzin... Wtedy gdy żyłem obok niego był doprowadzony do ostateczności i usiłował potajemnie a uporczywie wyzwolić się, uwolnić siebie raz na zawsze od tyranji rodzin, w ten lub inny sposób... Każdy ma swoje racje, żeby uciec od swej wewnętrznej udręki, i każdy z nas by dopiąć tego zapożycza od okoliczności jakiejś pomysłowej drogi. Szczęśliwi, którym wystarcza burdel!

Co się tyczy Parapina, wydawało się, wybrał szczęśliwie drogę milczenia. Baryton, zrozumiałem to dopiero później, zapytywał siebie w duszy, czy uda mu się kiedykolwiek uwolnić się od rodzin, od ich jarzma, od tysiąca odpychających banałów psychjatrji „djetytycznej“, słowem od swej sytuacji. Miał tak gwałtowne pragnienie czegoś absolutnie nowego i odmiennego, że w gruncie rzeczy dojrzał do ucieczki, do zniknięcia, stąd napewno jego tyrady krytyczne... Jego egoizm pękał pod ciężarem rutyny. Nie mógł już nic sublimować, chciał tylko iść sobie, zabrać swe ciało gdzieindziej. Baryton za grosz nie był muzykiem, musiał więc wszystko przewrócić jak niedźwiedź, żeby z tem skończyć.

Wyzwolił się, on który uważał siebie za rozsądnego, zapomocą skandalu całkiem pożałowania godnego. Spróbuję opowiedzieć później, w wolnej chwili, w jaki sposób to się odbyło.

Co do mnie, narazie zajęcie asystenta u niego uważałem za zupełnie możliwe.

Rutyny leczenia bynajmniej nie ciężkie, aczkolwiek od czasu do czasu niedobrze się czułem, gdy naprzy-

kład rozmawiałem zadługo z pensjonarzami, chwycił mnie wtedy rodzaj zawrotu głowy, jakgdyby pensjonarze zabrali mnie ze sobą, z mego zwykłego brzegu, nie dając tego poznać po sobie, od jednego zwyczajnego zdania do drugiego, w niewinnych słowach, aż w sam środek ich obłądu. Przez krótką chwilę zadawałem sobie pytanie, jak stamtąd wyjść i czy przypadkiem nie zostałem zamknięty raz na zawsze z ich szaleństwem, nie domyślając się tego.

Stałem na niebezpiecznym brzegu warjatów, na skraju ich terytorjum, że tak powiem, wskutek zawsze uprzejmego ich traktowania, co leży w mojej naturze. Nie tonąłem, ale wciąż czułem się w niebezpieczeństwie, jakgdyby podstępnie wciągnęli mnie w zaułki ich nieznanego miasta. Miasta o ulicach coraz bardziej grząskich w miarę posuwania się między ich oślizgłymi domami, o oknach rozmazanych i źle domkniętych, że słychać za nimi podejrzane hałasy. Drzwi, podłoga ruchome... Bierze mimo wszystko chętką iść jeszcze trochę dalej, żeby wiedzieć, czy będzie się miało siły odzyskać rozum, mimo wszystko, wśród rumowisk. Rozum szybko staje się nałogiem, jak dobry humor i sen u neurasteników. Nie można już o niczem innem myśleć, jak tylko o swoim rozumie. Nic się już nie zmieści. Koniec śmiechu.

Wszystko się więc tak toczyło od zwątpienia do zwątpienia, gdy doszliśmy do daty 4 maja. Pamiętna data ten 4 maja. Przypadkowo czułem się tak dobrze tego dnia, że to aż dziw. Tętno 78. Jak po dobrem śniadaniu. Gdy oto naraz wszystko zaczyna się kręcić! Chwytam się kurczowo. Wszystko złości. Ludzie zaczynają mieć nieprzyjemne miny. Zdaje mi się, stali

się cierpęcy jak cytryna i jeszcze bardziej niezyczliwi niż dawniej. Widocznie wdrapałem się zbyt wysoko, zbyt nieostrożnie na sam szczyt zdrowia i teraz spałem, żeby zobaczyć w lustrze, jak się starzeję z pasją.

Człowiek nie może już zliczyć swych wstrętów, swych mordęg, kiedy nadejdą cholerne dni, gromadzące się między nosem a oczami, niema nic gdzieindziej, na lata całe wielu ludzi. Tego jest zawiele na jednego człowieka.

Zważywszy wszystko, nagle wołałbym być wrócić natychmiast do „Taraputu“. Zwłaszcza że Parapin i z mną przestał rozmawiać. Ale tam spaliłem za sobą mosty. To jest ciężka rzecz mieć za całą pomoc duchową i materjalną swego chlebodawcę, szczególnie gdy to jest psychjatra i gdy się nie jest już bardzo pewnym własnych zmysłów. Trzeba się trzymać. Nic nie mówić. Pozostała nam tylko rozmowa o kobietach; to był temat lekki, dzięki któremu mogłem się jeszcze spodziewać że go zabawię od czasu do czasu. Pod tym względem miałem nawet u niego pewien kredyt doświadczenia, małą wstrętą kompetencję.

Nie było to złe, że Baryton patrzył na mnie, jako na całość, z pewną pogardą. Pryncypał czuje się trochę pewniej, gdy personel nie wart szacunku. Niewolnik winien być za wszelką cenę trochę a nawet bardzo godny pogardy. Zespół chronicznych drobnych skaz moralnych i fizycznych usprawiedliwia los jaki go gnębi. W ten sposób ziemia lepiej się kręci, gdyż każdy znajduje się na niej na zasłużonym miejscu.

Istota która służy, powinna być niskiego charakteru, pospolita, skazana na niepowodzenia, zwłaszcza że płacił nam Baryton bardzo nędznie. W tych wypadkach

cestrego skapstwa chlebodawcy są trochę podejrzliwi i niespokojni. Wykolejony, znieprawiony, zbłąkany, oddany, wszystko się tłumaczyło, usprawiedliwiała i w rezultacie harmonizowało ze sobą. Baryton nie miałby nic przeciw temu, żebym był trochę poszukiwany przez policję. To czyni oddanym.

Wyrzekłem się zresztą oddawna wszelkiego rodzaju miłości własnej. To uczucie zawsze wydawało mi się znacznie powyżej mej kondycji, postokroć zbyt kosztowne dla moich środków. Czułem się doskonale, poświęciwszy je raz na zawsze.

Wystarczało mi teraz utrzymywać się w znośnej równowadze pokarmowej i fizycznej. Reszta naprawdę nie miała już dla mnie żadnego znaczenia. Jednocześnie bardzo trudno mi było przekroczyć pewne noce, szczególnie gdy wspomnienie o tem co się stało w Tuluzie budziło mnie na całe godziny.

Wyobrażałem sobie wówczas, nie mogłem się temu oprzeć, najróżniejsze następstwa dramatyczne stoczenia się matki Henrouille do jej jamy z mumjami i lęk podnosił mi wnętrzności, ścisnął mi serce i trzymał je bijące, pókim nie wyskoczył całkiem z łóżka by chodzić tam i z powrotem po pokoju aż skończy się mrok i rozwidni się. Podczas tych paroksyzmów zaczynałem tracić nadzieję, czy odnajdę kiedykolwiek dość beztroski, żeby zasnąć kiedyś znowu. Nie wiercie więc nigdy z miejsca nieszczęściu ludzi. Zapytajcie ich tylko, czy mogą jeszcze spać?... Jeśli tak, wszystko w porządku. To wystarcza.

Nie zdarzy mi się już nigdy spać całkowicie. Odwykłem jakoś od tej ufności, jaką trzeba mieć, istotnie ogromnej, żeby zasnąć kompletnie między ludźmi. Po-

trzebaby mi było conajmniej choroby, gorączki, jakiejś konkretnej katastrofy, bym mógł odzyskać trochę tej obojętności i zneutralizować swój niepokój i odzyskać głupi i boski spokój. Jedyne znośne dni, jakie mogę sobie przypomnieć w ciągu wielu lat, to było kilka dni grypy z silną gorączką.

Baryton nie pytał mnie się nigdy o zdrowie. Unikał zresztą zajmowania się i swoim. „Wiedza i życie tworzą mieszaninę fatalną, Ferdynandzie! Unikaj zawsze leczenia się, wierzaj mi... Wszelkie pytanie postawione ciążu staje się wyłomem... Początkiem niepokoju, obsesji...”. Takie były jego zasady biologiczne, symplisticzne i ulubione. Robił, słowem, filuta. „To co jest znane doskonale mi wystarcza!” mawiał jeszcze nieraz. Chodziło o to, żeby mnie ołsnąć.

Nie rozmawiał ze mną nigdy o pieniądzach, ale to dlatego, żeby myśleć o tem więcej, bardziej intymnie.

Zatarg Robinsona z rodziną Henrouille'ów miałem jeszcze niedość zrozumiany stale w myśli i często próbowałem opowiedzieć kawałki i epizody tej sprawy Barytonowi. Ale to go zupełnie nie interesowało. Wolał moje historie afrykańskie, zwłaszcza te gdzie była mowa o lekarzach, których spotkałem potrochu wszędzie, o praktykach leczniczych tych niezwykłych kolegów, praktykach dziwnych lub niepewnych.

Od czasu do czasu, w zakładzie, byliśmy zaalarmowani z powodu jego córeczki, Aimée. Raptem, w porze obiadowej, nie można jej było znaleźć ani w ogrodzie, ani w jej pokoju. Co do mnie, obawiałem się zawsze że znajdziemy ją kiedy wieczorem poćwiartowaną w krzakach. Z naszymi warjatami, spacerują-

cymi wszędzie, mogło ją spotkać coś najgorszego. Ledwie uniknęła zresztą zgwałcenia już nieraz. Były wtedy krzyki, przysznice, wyjaśnienia bez końca. Daremnie zabraniano jej przechodzić pewnymi zbyt ustronnymi alejami, dziecko nieodparcie wracało do zakątków. Ojciec nie omieszkwał za każdym razem dać jej w skórę, i tak żeby popamiętała. Nic nie pomagało. Sądzę że ona lubiła to wszystko razem.

Spotykając warjatów na korytarzach, wymijając ich, my, z personelu, musieliśmy zawsze mieć się trochę na baczności. Obląkanemu jeszcze łatwiej zamordować kogoś niż zwykłemu człowiekowi. Toteż stało się to u nas poniekąd zwyczajem opierać się, przy mijaniu się z nimi, plecami o ścianę, żeby być zawsze gotowym przyjąc ich potężnym kopnięciem w podbrzusze, przy pierwszym geście. Patrzą na nas spodoba i przechodzą. Mimo ich oblędu doskonaleśmy się zrozumieli.

Baryton ubolewał, że nikt z nas nie gra w szachy. Musiałem zacząć się uczyć tej gry, poto tylko, żeby mu sprawić przyjemność.

W ciągu dnia Baryton odznaczał się ruchliwością dokuczliwą i drobiazgową, która czyniła życie przy nim bardzo męczącym. Codziennie strzelał mu do głowy jakiś drobny pomysł natury wulgarnie praktycznej. Zastąpienie w klozetach papieru w rulonach papierem arkuszowym zmusiło nas do zastanawiania się nad tą sprawą przez tydzień, zmarnowany na rezolucje sprzeczne. Ostatecznie zapadła decyzja zaczekania na miesiąc wyprzedaży, żeby obejść szereg magazynów. Potem zjawił się nowy zbyteczny kłopot, kwestja flanelowych kamizelek... Czy należy je nosić pod koszulą czy na koszuli?... I w jakiej postaci dawać sól glauberska?...

Parapin zaciętem milczeniem uchylał się od tych sporów pod-umysłowych.

Podniecany nudą, opowiedziałem Barytonowi jeszcze dużo więcej przygód niż ich moje podróże kiedykolwiek zawierały, byłem wyczerpany! I teraz on musiał zapłacić całkowicie rozmowę tylko swymi propozycjami i drobiazgowymi niedomówieniami. Końca temu nie było. Wziął mnie wyczerpaniem. A ja nie posiadałem, jak Parapin, absolutnej obojętności, żeby się obronić. Przeciwnie, musiałem mu odpowiadać wbrew mojej woli. Nie mogłem się powstrzymać od głędzenia bez końca o wartościach porównawczych kakao i białej kawy... Urzekł mnie swoją głupotą.

Wyglądaliśmy się jeszcze z byle powodu, o pończochach na żyłaki, o prądzie faradycznym optima, o leczeniu podrażnienia skóry w okolicach łokcia... Doszedłem do tego, że mogłem bredzić zupełnie według jego wskazówek i skłonności, o wszystkim i o niczym, jak prawdziwy technik. Baryton towarzyszył mi, siedł przede mną w tej przechadzce niezmiernie idjotycznej, nasycił mnie konwersacją na wieczność całą. Parapin zaśmiewał się w sobie, słysząc jak kroczyliśmy wśród naszych sprzeczek o byle co, długich jak makaron, zapluwając przy mówieniu czerwonym winem pryncypała obrus.

Ale pokój wspomnieniu o panu Barytonie, tym drańniu! Jednak doprowadziłem do tego, że wyniósł się. Wymagało to ode mnie niemałego talentu!

Śród chorych powierzonych mej specjalnej opiece, najbardziej śliniace się dokuczyły mi cholernie. Natryski tu... Sondy tam... Ich drobne nałogi, złe zachowanie się wobec mnie, i ich wielkie otwarte usta utrzymywać zawsze w czystości... Jedna z młodych pensjonarek

narażała mnie dość często na wymówki szefa. Niszczyła ogród wyrywaniem kwiatów, to była jej manja, a ja nie lubiłem tego, uwag szefa...

„Narzeczona“, jak ją nazywano, Argentynka, fizycznie zupełnie niczego, ale w dziedzinie moralnej jedna jedyna myśl, poślubienia swego ojca. Zrywała więc wszystkie kwiaty z klombów, żeby je sobie wpiąć w wielki biały welon, który nosiła dzień i noc, wszędzie. Wypadek, którego rodzina religijnie fanatyczna straszliwie się wstydziła. Ukrywali przed światem swą córkę wraz z jej ideą. Według Barytona była ona ofiarą niekonsekwencji wychowania zbyt naprężonego, zbyt surowego, o moralności bezwzględnej, która jej, że tak powiem, eksplodowała w głowie.

O zmierzchu wracaliśmy wszyscy do siebie, po dokonaniu długiego apelu i zaglądaliśmy jeszcze do pokojów, przede wszystkim żeby podnieconym nie dać się zbyt gwałtownie onanizować przed zaśnięciem. W sobotę wieczorem to jest bardzo ważne hamować ich i baczyć na to, ponieważ w niedzielę, gdy przychodzą krewni, jest bardzo źle dla zakładu jeśli zastaną pensjonarzy zonanizowanych do błądzenia płótna.

To wszystko mi przypominało przypadek z Bebertem i ulepkiem. W Vigny dawałem furami tego ulepku. Zachowałem przepis. Koniec końców sam w jego skuteczność uwierzyłem.

Odźwierna zakładu prowadziła handelek cukierkami ze swym mężem, prawdziwym siłaczem, do którego odwoływano się co pewien czas, w wypadkach wymagających jego pomocy.

Tak mijały sprawy i miesiące, niezgorzej ostatecz-

nie, i nie byłoby się na co skarżyć, gdyby Barytonowi nie strzelił raptem do łba nowy sławetny koncept.

Niewątpliwie oddawna głowił się, czyby nie można przypadkiem zużytkować mnie bardziej i lepiej za te same pieniądze. No i wreszcie znalazł czego szukał.

Pewnego dnia po drugim śniadaniu wyłonił ze siebie ów pomysł. Naprzód kazał podać salaterkę mego ulubionego deseru, poziomek ze śmietaną. To wydało mi się odrazu podejrzanę. Istotnie, ledwie skończył jeść, zaatakował mnie w sposób nakazujący posłuszeństwo.

— Ferdynandzie, zwrócił się do mnie tak sobie, przyszła mi taka myśl, czybyś się nie zgodził dać trochę lekcyj angielskiego mojej córeczce Aimée?... Co ty na to? Wiem, że masz doskonały akcent... A w angielskim, prawda, akcent to najważniejsze! A przytem, mówię to bez pochlebstwa, jesteś, Ferdynandzie, wcieleniem uprzejmości...

— Ależ oczywiście, panie Barytonie, odpowiedziałem, zaskoczony...

I zostało umówione bez zwłoki, że zaraz nazajutrz rano będę miał pierwszą lekcję angielskiego z Aimée. Po niej poszły dalsze, i tak przez szereg tygodni...

Od czasu tych lekcji angielskiego weszliśmy wszyscy w okres niespokojny, zmacony, gdy wydarzenia następowały po sobie w rytmie zgoła niepodobnym do rytmu życia powszedniego.

Baryton chciał być obecny przy lekcjach, przy wszystkich lekcjach, jakie dawałem jego córce. Mimo wszystkich moich starań pełnych niepokoju, biedna mała Aimée nie mogła ugryźć angielszczyzny, ani w żąb prawdę mówiąc. W gruncie rzeczy biednej Aimée wcale nie zależało na tem, żeby wiedzieć, co te wszy-

stkie nowe słowa mogą znaczyć. Zadawała sobie nawet pytanie, czego my właściwie od niej chcemy, domagając się z takim uporem, żeby naprawdę zapamiętała znaczenie tych słów. Nie płakała, ale była bliska płaczu. Wolałaby Aimée, żeby pozostawiono ją w spokoju z już jej znaną odrobiną francuskiego, a którego trudności i łatwe rzeczy wystarczały jej najzupełniej na całe życie.

Ale jej ojciec zgoła inaczej patrzył na to. „Musisz stać się nowoczesną młodą panną, moja córeczko!” dawał jej niezmordowanie bodźca, żeby ją pocieszyć... „Ja, twój ojciec, martwiłem się bardzo, że nie znał angielskiego natyle, by dawać sobie należyte radę z klientelą zagraniczną... No! Nie płacz, moje kochanie!... Słuchaj lepiej pana Bardamu, tak cierpliwego, tak miłego, a gdy i ty potrafisz wymawiać „the“ z językiem, jak on ci pokazuje, kupię ci, święcie obiecuję, ładny rower cały ni-kło-wa-ny...

Ale ona, Aimée, nie miała ochoty robić ani „the“, ani „enough“, najmniejszej... To mój szef robił zamiast niej „the“ i „enough“ i jeszcze wiele innych postępów, mimo swego akcentu z Bordeaux i swej manji logiki, bardzo krepującej w angielskim. Tak przez miesiąc, dwa. W miarę jak w ojcu rozwijała się namiętność do nauczania się po angielsku, Aimée miała coraz mniej okazji do zmagania się z samogłoskami. Baryton zagarnął mnie całego, nie puszczał mnie, wypompowywał ze mnie całą moją angielszczyznę. Ponieważ nasze pokoje sąsiadowały ze sobą, mogłem go słyszeć od samego rana, jak ubierając się, przerabiał już swe życie prywatne na angielski. „The coffee is black... My shirt is white... The garden is green... How are you

to daj Bardamu?" darł się przez ścianę. Dość prędko polubił najbardziej eliptyczne formy języka.

To zboczenie miało nas daleko zaprowadzić... Z chwilą gdy nawiązał kontakt z wielką literaturą, niesposób było się zatrzymać... Po ośmiu miesiącach takich nie-normalnych postępów doszedł prawie do przerobienia siebie całkowicie na modłę anglosaską. Doszedł przez to jednocześnie do zmierzenia mi siebie całkowicie dwa razy z rzędu.

Stopniowo pozostawiliśmy małą Aimée prawie poza zakresem rozmów, więc była coraz spokojniejsza. Powróciła uspokojona w swe obłoki, niczego więcej nie chcąc. Nie nauczy się po angielsku, cała parada! Wszystko dla Barytona!

Nadeszła znów zima. Było Boże Narodzenie. W agencjach ogłaszano bilety powrotne po niższej cenie do Anglii... Przechodząc z Parapinem bulwarami, towarzysząc mu do kina, zauważyłem te ogłoszenia... Wszedłem nawet do jednej z agencji dowiedzieć się o ceny,

A potem przy stole, między innymi wtrąciłem słówko o tem w rozmowę z Barytonem. Z początku nie było widać, żeby moja informacja zainteresowała go. Pomiął ją milczeniem. Myślałem nawet, że to poszło zupełnie w zapomnienie, gdy oto pewnego wieczoru on sam zaczął ze mną o tem mówić, prosząc mnie, żebym przy sposobności przyniósł mu prospekty.

W przerwach między naszymi seansami poświęconymi literaturze angielskiej graliśmy dość często w bilard japoński i jeszcze w „korek“, w jednej z separatek, opatrzonej mocnymi kratami, położonej akurat nad łóżką odzwiernej.

Baryton celował w grach wymagających zręczności.

Parapin wydierał mu regularnie nagrodę przechodnią w postaci aperitiwu i równie regularnie ją przegrywał. Spędzaliśmy w tej zaimprovizowanej salce gry całe wieczory, zwłaszcza zimą, gdy padało, żeby nie niszczyć dyrektorowi jego salonów. Czasami umieszczano w tej samej salce gry warjata pod obserwacją, lecz to było dość rzadko.

Podczas gdy Parapin i szef rywalizowali w zręczności na suknie lub na podłodze przy grze „w korek“, ja bawiłem się, jeśli mogę się tak wyrazić, w próby doznawania tych samych wrażeń co więzień w celi. Tego brakowało mi jako wrażenia. Przy wysiłku woli można patrzeć przyjaźnie na rzadkich przechodniów ulic przedmieścia. Pod wieczór człowiek się lituje nad niewielkim ruchem, jaki wytwarzają tramwaje, przywożące z Paryża potulne gromadki urzędników. Na pierwszym zakręcie za kupcem kolonialnym kończy się już ich rozsyпка. Cicho wsiąkają w mrok. Ledwie był czas ich policzyć. Ale Baryton rzadko pozwalał mi rozmyślać dowoli. W pełni rozgrywania partji korka rzucał jeszcze, niepohamowany, niesamowite pytania.

— How do you say „impossible“ en english, Ferdinand?...

Słowem, nigdy nie miał dosyć robienia postępów. Z całą swoją głupotą ciążył ku doskonałości. Nie chciał nawet słyszeć o żadnych zbliżeniach się tylko do niej, o ustępstwach. Na szczęście pewne przesilenie uwolniło mnie od niego. Oto najważniejsze momenty.

W miarę jak posuwaliśmy się w czytaniu Historji Anglii, zobaczyłem że stracił on trochę swej pewności siebie i wreszcie najlepszą część swego optymizmu. Gdyśmy weszli w epokę poetów elżbietańskich, w jego

umyśle i w osobie zaszły wielkie niematerjalne zmiany. Z początku trudno mi było uświadomić sobie to, lecz wkońcu byłem zmuszony, tak jest wszyscy, uznać Barytona za takiego, jakim stał się, prawdę mówiąc, pożałowania godnym. Jego uwaga, czujna i ongi dość surowa, bujała teraz, wciągnięta w sferę niesłychanych i nieskończonych dygresyj. I stopniowo na niego przyszła teraz kolej całemi godzinami, nawet w domu, tam, przy nas trwać w zadumie, daleko już stąd myślamy. Chociaż długo i zdecydowanie obrzydział mi siebie, miałem jednak pewien wyrzut widząc jak Baryton tak się rozkłada. Uważałem, że jestem w pewnym stopniu odpowiedzialny za ten upadek... Jego zamęt duchowy nie był mi całkiem obcy... Tak dalece, że pewnego dnia zaproponowałem mu przerwać na pewien czas tok naszych ćwiczeń z literatury pod pretekstem, że wówczas będziemy mieli i czas i sposobność odnowić nasze źródła dokumentalne... Nie dał się wyprowadzić w pole tym kiepskim fortem i odmówił mi z miejsca, wprawdzie w sposób jeszcze życzliwy, ale zupełnie kategoryczny... Chciał prowadzić ze mną dalej bez straty czasu odkrywając Anglii duchowej.... Tak jak je przedsięwziął... Nie umiałem mu na to nic odpowiedzieć... Zastosowałem się do jego woli. Bał się nawet, że nie starczy mu już życia, by doprowadzić swe zadanie do końca... W rezultacie musiałem, choć już przeczuwałem najgorsze rzeczy, prowadzić z nim dalej, jak się dało, tę peregrynację akademicką i męczącą.

Po prawdzie Baryton nie był już zupełnie sobą. Dokoła nas osoby i rzeczy, dziwaczne i jakieś powolniejsze, traciły już swą wagę, a nawet znane nam ich bar-

wy przybierały jakąś marzycielską łagodność zgoła podejrzaną...

Baryton okazywał teraz zainteresowanie tylko przelotne i coraz bardziej go nudzące dla szczegółów zarządzania własnym zakładem, jego dziełem przecież, którem zgórą lat trzydzieści dosłownie się pasjonował. Polegał całkowicie na Parapinie gdy chodziło o zajmowanie się administracją. Potęgujący się zamęt w jego poglądach, który starał się jeszcze ukryć wstydliwie wobec obcych, ujawnił się nam niebawem zupełnie, w sposób niezbity, fizyczny.

Gustaw Mandamour, policjant któregośmy znali w Vigny, używając go niekiedy do grubszych robót w zakładzie i który był osobnikiem najmniej bystrym, jakiego dane mi było spotkać śród innych tego samego pokroju, zapytał mnie pewnego dnia w owych czasach, czy przypadkiem pryncypał nie dostał jakichś bardzo złych wiadomości... Uspokoilem go jak mogłem, ale bez przekonania.

Wszystkie te plotki nie interesowały już Barytona. Chciał tylko żeby mu nie zawracano głowy pod żadnym pozorem... Na samym początku naszych studjów przejrzelismy zbyt pobieżnie, jego zdaniem, wielką Historję Anglii Macaulay'a, dzieło kapitalne w szesnastu tomach. Podjęliśmy nanowo, na jego rozkaz, tę słynną lekturę i to w warunkach moralnych nader niepokojących. Rozdział po rozdziale.

Baryton wydawał mi się coraz bardziej zdradziecko zarazony rozmyślaniami. Gdy doszliśmy do tego ustępu, najbardziej niebłaganego, gdzie pretendent Monmouth wylądował na niewyraźnych brzegach Kentu... W chwili gdy jego przygoda zaczyna kręcić się w próż-

ni... Gdy pretendent Monmouth nie wie już dobrze do czego pretenduje... Co chce robić. Poco się zjawił... Gdy zaczyna mówić sobie, że chciałby wrócić, lecz nie wie już, ani dokąd, ani jak wrócić... Gdy klęska wznosi się przed nim... W bladym świetle poranka... Gdy morze porywa jego ostatnie statki... Gdy Monmouth zaczyna myśleć po raz pierwszy... Baryton również w swym położeniu nie mógł się zdobyć na przekroczenie własnych postanowień... Czytał i odczytywał znów ten ustęp i jeszcze go sobie wymrukiwał... Przybity, zamykał książkę i kładł się koło nas.

Długo z przymkniętymi oczami powtarzał cały tekst, z pamięci, ze swym akcentem angielskim, najlepszym z tych wszystkich bordoskich, które mu dałem do wyboru. I jeszcze nam recytował...

Gdy w przygodzie Monmoutha cała nędzna śmieszność naszej dziecinnej i tragicznej natury obnaża się, że tak powiem, przed Wiecznością, Baryton dostał zawrotu głowy, a że on wisiał już tylko na włosku przy naszym zwykłym losie, oderwał się. Od tej chwili, mogę to śmiało powiedzieć, nie należał już do nas... Nie mógł już...

Pod koniec tegoż jeszcze wieczoru poprosił mnie, żebym przyszedł do jego dyrektorskiego gabinetu... Z pewnością, w tym stanie w jakim byliśmy, spodziewałem się, że zakomunikuje mi jakąś arcyważną decyzję, na przykład natychmiastowego wymówienia mi posady... Otóż, niż podobnego! Postanowienie które powziął, przeciwnie, było dla mnie całkiem pomyślne! Zdarzało mi się tak rzadko być zaskoczonym przez los pomyślny, że nie mogłem się powstrzymać od łez... Baryton wziął

to świadectwo mego wzruszenia za oznakę zmartwienia i zaczął sam mnie pocieszać...

— Czyż posuniesz się aż do powątpiewania o prawdziwości mych słów, Ferdynandzie, jeżeli stwierdzę wobec ciebie, że potrzeba mi było więcej niż zwykłej odwagi, żeby się zdecydować na opuszczenie tego domu?... Ja, którego znasz jako człowieka, tak nawykłego do siedzącego trybu życia, ja właściwie już prawie starzec, którego cała karjera była tylko długim sprawdzaniem, bardzo wytrzymałem, bardzo skrupulatnym tyłu powolnych czy szybkich objawów złośliwości?... Jakaż drogą doszedłem, czy to do wiary, w przeciągu kilku zaledwie miesięcy, do wyrzeczenia się wszystkiego?... A jednak duszą i ciałem jestem oto w tym stanie oderwania się, szlachetności... Ferdynandzie! Hurra! Jak wy mówicie po angielsku! Moja przeszłość stanowczo niczem już nie jest dla mnie! Odrodź się, Ferdynandzie! Poprostu! Wyjeżdżam! Och, twe łzy, zacny przyjacielu, nie zdołają złagodzić ostatecznego wstrętu, jaki odczuwam do wszystkiego co mnie trzymało tutaj przez tyle, tyle mdłych lat!... Zadużo tego! Dostyc Ferdynandzie! Wyjeżdżam, mówię ci! Uciekam! Umykam! Zapewne, rozdieram tem siebie! Wiem o tem! Broczę krwią! Widzę to! A więc, Ferdynandzie, jednakowoż za nic na świecie! Ferdynandzie, za nic! Nie skłonisz mnie do cofnięcia się! Rozumiesz mnie?... Nawet gdybym upuścił tu gdzieś w tem błocie oko, nie wróciłbym się żeby je podnieść! Więc! Wystarczy ci! Czy teraz wątpisz o mej szczerości?

Nie wątpiłem już o niczem. Stanowczo Baryton był zdolny do wszystkiego. Sądzę, że dla jego zmysłów byłoby fatalne, gdybym zaczął mu oponować w tym

stanie, w jaki siebie wpędził. Dałem mu trochę wytchąć i potem próbowałem jednak jeszcze trochę zmiekczyć go, zaryzykowałem ostatnią próbę, żeby go sprowadzić z powrotem do nas... Wpływem argumentacji lekko transponowanej... mile ubocznej...

— Porzuć, Ferdynandzie, na miłość boską, nadzieję, że cofnę swe postanowienie! Mówię ci, jest nieodwołalne! Nie mówiąc mi już więcej o niem zrobisz mi wielką przyjemność... Po raz ostatni, Ferdynandzie, chcesz zrobić mi przyjemność? W moim wieku, nieprawdaż, powołanie jest bardzo rzadkie... To fakt... Ale niema na nie lekarstwa...

Takie były jego własne słowa, prawie ostatnie jakie wyrzekł. Przytaczam je.

— Może, drogi panie Barytonie, ośmieliłem się jednakże przerwać mu, może ten rodzaj niespodzianych wywczasów, które zamierzasz sobie urządzić, będą w ostateczności tylko nieco romantycznym epizodem, pożądaniem oderwaniem się od codzienności, szczęśliwym antraktem w ciągu twojej istotnie nieco surowej w trybie kariery? Być może, zakosztowawszy innego życia... bardziej uprzyjemnionego, mniej banalnie metodycznego niż to jakie tu prowadzimy, być może powrócisz do nas, prosto, rad ze swej podróży, przesycony niespodziankami?... Zajmiesz wówczas z powrotem, całkiem naturalnie, swe miejsce na czele nas... Dumny ze świeżych zdobyczy... Jednym słowem, odnowiony i niewątpliwie odtąd bardzo pobłażliwy i pogodzony z powszednią monotonią naszej pracowitej rutyny... Postarzały wreszcie! Jeśli pozwoli mi pan, panie Barytonie, tak się wyrazić?...

— Co za pochlebca z tego Ferdynanda!... Potrafi

jeszcze dotknąć mnie w mej dumie męskiej, wrażliwej, nawet wymagającej, widzę to pomimo takiego znużenia i tylu minionych doświadczeń... Nie, Ferdynandzie! Cała pomysłowość, jaką rozwijasz, nie zdoła uczynić w jednej chwili przyjemnem tego wszystkiego co trwa na samem dnie naszej woli ohydnie wrogie i bolesne... Zresztą, Ferdynandzie, nie pora już na wahanie, na cofanie się!... Jestem, przyznaję się do tego, wołam w głos Ferdynandzie: Jestem wyczerpany! Ogłupiały! Pokonany! Przez czterdzieści lat przenikliwych małostek!... To już jest okropnie za dużo!... Czego chcę spróbować? Chcesz wiedzieć?... Ja mogę to powiedzieć tobie, memu istotnemu druhowi, tobie coś zechciał wziąć udział, bezinteresowny, podziwu godny w cierpieniach zbłąkanego starca... Chcę, Ferdynandzie, spróbować zatracić swą duszę, jak się chce zgubić swego parszywego psa, swego psa co cuchnie, gdzieś daleko, towarzysza, który mierzi, zanim się umrze... Nareszcie naprawdę sam... spokojny... być sobą...

— Ale, drogi panie Barytonie, ta gwałtowna rozpacz, której twarde wymagania odslania mi pan raptem, nigdy mi nie była widoczna, jestem oszołomiony, ani przez chwilę w pańskich słowach! Całkiem przeciwnie, pańskie uwagi codzienne i dziś jeszcze wydają mi się najzupełniej słuszne... Wszystkie pana inicjatywy zawsze żywe i płodne... Pańskie interwencje lekarskie najzupełniej rozsądne i metodyczne... Daremnie szukałbym w łańcuchu pana czynności codziennych jakiejś oznaki upadku ducha, zmylenia drogi... Doprawdy nie widzę nic podobnego...

Ale po raz pierwszy odkąd go znałem, Baryton nie doznawał żadnej przyjemności słuchając mych komple-

mentów. Nawet w grzeczny sposób odwoził mnie od prowadzenia dalej rozmowy w tym tonie chwalczym.

— Nie, mój drogi Ferdynandzie, zapewniam cię... Te najwyższe dowody twej przyjaźni osłodziły bezwąt্পienia i w sposób nieoczekiwany ostatnie chwile mej obecności tutaj, lecz cała twoja troskliwość nie zdoła uczynić mi bodaj znośnem wspomnienia przeszłości, która mnie przytłacza i wyziera tu z każdego kąta... Chcę za wszelką cenę, rozumiesz, i w jakichbądź warunkach oddalić się...

— Ale, panie Barytonie, co potem mamy zrobić z zakładem? Czy o tem pan pomyślał?

— Oczywiście, że pomyślałem o tem, Ferdynandzie... Ty obejmiesz kierownictwo zakładu na cały czas mej nieobecności i skończona sprawa!... Czyż nie utrzymywałeś zawsze doskonałych stosunków z naszą klientelą?... Twoje kierownictwo będzie więc z łatwością przyjęte... Wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz, Ferdynandzie... Parapin, skoro nie może znieść rozmowy, zajmie się przyrządami mechanicznymi, aparatami i laboratorjum... On się na tem zna!... W ten sposób wszystko jest uregulowane jak należy... Zresztą przestałem wierzyć w obecności nieodzowne... I pod tym względem, jak widzisz mój drogi, bardzo się zmieniłem...

Istotnie, był nie do poznania.

— Lecz czy pan się nie obawia, panie Barytonie, że pański odjazd będzie bardzo złośliwie komentowany przez naszych okolicznych konkurentów... Z Passy na przykład. Z Montretout?... Z Gargan Livry? Wszystko co nas otacza... Co nas śledzi... Przez tych kolegów niezmordowanie przewrotnych... Jakie znaczenie przypiszą pańskiemu szlachetnemu i dobrowolnemu wygna-

niu?... Jak je zakwalifikują? Eskapada? Bo ja wiem? Wybryk? Ucieczka? Bankructwo? Kto to wie?...

Ta ewentualność kazała mu niewąt্পliwie zadumać się, długo i boleśnie. Był jeszcze wzruszony, tutaj przy mnie bladł, myśląc o tem...

Aimée, jego córka, nasze niewinne dziecko, miał spotkać w tem wszystkim los dość brutalny. Powierzał ją opiece jednej z ciotek, prawdę mówiąc niezna-jomej osobie, na prowincji. Tak więc po zlikwidowa-niu wszystkich spraw osobistych, Parapinowi i mnie nic więcej nie pozostało jak starać się zarządzać jak-najlepiej wszystkimi jego interesami i jego mająt-kiem. Niechaj więc płynie barka bez kapitana!

Sądziłem że mogłem sobie pozwolić, po tych zwie-rzeniach, na zapytanie szefa, któredy zamierza rzucić się w swą przygodę.

— Przez Anglję, Ferdynandzie! odpowiedział mi bez zająknienia.

Wszystko, co nam się przytrafiło w tak krótkim cza-sie, wydawało mi się, oczywiście, bardzo trudne do przyswojenia sobie, tem niemniej trzeba było przysto-sować się do tej nowej sytuacji natychmiast.

Zaraz nazajutrz, Parapin i ja pomogliśmy mu się spakować. Paszport ze wszystkimi swemi kartkami i wizami dziwił go trochę. Nigdy przedtem nie posiadał paszportu. Na wszelki wypadek pragnąłby otrzy-mać kilka sztuk jeszcze, zapasowych. Zdołaliśmy go przekonać, że to jest niemożliwe.

Potknął się jeszcze raz, ostatni, na kwestji kołnierzy-ków sztywnych i miękich, które trzeba było zabrać w drogę, i ile każdego rodzaju. Ten problem zajął nas, niezdecydowanych, aż do chwili, gdy pora była jechać

na dworzec. Wskoczyliśmy wszyscy trzej do ostatniego tramwaju idącego do Paryża. Baryton zabierał ze sobą tylko lekką walizę, chcąc mieć wszędzie gdzie się uda i we wszelkich okolicznościach zupełną swobodę ruchów.

Na peronie dostojna wysokość stopni pociągów międzynarodowych zrobiła na nim silne wrażenie. Zawałał się przed wstąpieniem na te majestatyczne stopnie. Skupiał się przed wagonem, jak u stóp pomnika. Pomogliśmy mu trochę. Wziąwszy drugą klasę, zrobił z tej racji ostatnią uwagę, porównawczą, praktyczną i pełną uśmiechu. „Pierwsza nie jest lepsza“ rzekł.

Podaliśmy mu rękę. Była pora. Zagwizdano na odjazd, który nastąpił w olbrzymim ruszeniu się masy żelaza, punktualnie co do minuty. Nasze pożegnanie zostało ohydnie zbrutalizowane. „Dowidzenia, moje dzieci!“ zaledwie miał czas nam powiedzieć, i ręka jego się oderwała, zabrana naszym dłoniom...

Poruszała się tam, w dymie, jego ręka, wyciągnięta w hałas, już na mroku, wpoprzek szyn, coraz dalsza, biała...

Właściwie, nie żałowano go, ale jednak ten wyjazd stworzył cholerną pustkę w domu.

Przedewszystkiem sposób, w jaki wyjechał, zasmucił nas niejako wbrew naszej woli. Nie był naturalny sposób, w jaki wyjechał. Zastanawialiśmy się, co nam się może przytrafić po takiej historii.

Ale nie mieliśmy czasu długo się nad tem zastanawiać, ani też się nudzić. W kilka dni zaledwie po odprawieniu Barytona na dworzec anonsują oto w mem biurze wizytę, specjalnie do mnie. Ksiądz Protiste.

— Miałem dla niego nowiny! I to jakie! I zwłaszcza sławetny sposób, w jaki Baryton puścił nas wszystkich kantem, żeby pójść włóczyć się po Septentrjonach!... Protiste, dowiedziawszy się o tem, nie mógł tego pojąć i kiedy wreszcie zrozumiał, widział w tej zmianie tylko korzyść, jaką ja mogłem wyciągnąć z takiej sytuacji. „To zaufanie pańskiego dyrektora jest w moich oczach najpochlebniejszym awansem, mój drogi doktorze!“, wiercił mi tem dziurę w brzuchu.

Napróżno starałem się go uspokoić, wpadłszy w werwę obstawał wciąż przy swej formule i przepowiadaniu mi najwspanialszej przyszłości, świetnej kariery lekarskiej.

Z wielkim trudem wróciliśmy jednakże do spraw poważnych, mianowicie do tego miasta Tuluzy, z której on przybył poprzedniego dnia. Ma się rozumieć, dałem mu opowiedzieć sobie zkolei to co on wiedział. Uda-

łem nawet zdumionego, osłupiałego, kiedy mi powiedział o wypadku, jakiemu uległa stara.

— Co? Co? przerywałem mu. Umarła?... Ale kiedyż to się stało?

Od słówka do słówka musiał zdradzić to co wiedział.

Nie twierdząc bezwzględnie, że to Robinson stracił starą ze schodów, pozwolił mi jednak to przypuszczać. Nie miała jakoby czasu krzyknąć: rety!... Zrozumieliśmy się... To była ładna, staranna robota... Za drugim razem, gdy się do tego zabrał, nie spudłował do starej.

Całe szczęście, że w swej dzielnicy w Tuluzie Robinson uchodzi wciąż jeszcze za zupełnego ślepcę. Nie szukano więc w tej sprawie nic więcej poza wypadkiem, zapewne, tragicznym, jednakże zupełnie zrozumiałym po bliższym zastanowieniu się nad wszystkim, nad okolicznościami, nad wiekiem starej osoby, a także nad tem, że to się stało po całym dniu pracy, więc zmęczenie... Nie zależało mi, narazie, żeby wiedzieć więcej. Nasłuchiwałem się już dosyta takich zwierzeń.

Mimo to, trudno mi było sprowadzić rozmowę z księdzem na inny temat. Nurtowała go jego historja. Wciąż do niej wracał, z pewnością w nadziei, że się wsypię, skompromituję, jakby powiedziano... Było południe!... Mógł już być uprzykrzonym gościem... Więc jednak zrezygnował i zadowolił się mówieniem mi o Robinsonie, o jego zdrowiu... O jego oczach... Pod tym względem poprawił się znacznie... Ale moralność zawsze była u niego zła. Moralność stanowczo była do niczego! I to pomimo troskliwości, oddania, jakie obie kobiety bezustanku mu okazywały. On wzamian bezustanku skarżył się na swój los i na życie.

To wszystko co mówił proboszcz, nie było dla mnie niespodzianką. Ja znałem Robinsona. Niskie, niewdzięczne skłonności, jakie miał. Ale nie ufałem księdzu jeszcze bardziej... Ani pisałem przez cały czas, gdy mówił. Dobrze więc wyszedł na swych zwierzeniach.

— Pański przyjaciel, doktorze, wbrew warunkom materialnym, obecnie przyjemnym, łatwym i z drugiej strony perspektywie rychłego, szczęśliwego małżeństwa zawodzi wszystkie nasze nadzieje, muszę to panu powiedzieć... Czyż nie opanowało go to zgubne zamiłowanie do eskapad, to zamiłowanie wykolejeńca, znane panu swego czasu u niego?... Co pan myśli, drogi doktorze, o tych skłonnościach?

Robinson, krótko mówiąc, myślał tam tylko o tem, żeby wszystko puścić kantem, jeżeli dobrze rozumiałem, narzeczona i jej matka z początku były tem rozdrażnione, a potem martwiły się tem niesłychanie. Oto z czem przyszedł do mnie ksiądz Protiste. To wszystko, zapewne, było dość niepokojące, lecz ja ze swej strony byłem zdecydowany milczeć, nie wtrącać się za żadną cenę do sprawek tej rodziny... Po chybionej rozmowie pożegnaliśmy się z księdzem przy tramwaju, dość chłodno, mówiąc otwarcie. Wracając do zakładu nie miałem spokojnej głowy.

Niebawem po tych odwiedzinach otrzymaliśmy z Anglii pierwsze wiadomości od Barytona. Kilka pocztówek. Życzył nam wszystkim „zdrowia i powodzenia“. Napisał do nas jeszcze parę wierszy bez znaczenia, z tej i owej miejscowości. Z karty bez tekstu dowiedzieliśmy się, że wyjechał do Norwegji, a po kilku ty-

godniach uspokoiła nas trochę depesza: „Przyjechałem szczęśliwie!“ z Kopenhagi...

Tak jak przewidywaliśmy, nieobecność właściciela była komentowana bardzo złośliwie w samym Vigny i w okolicy. Dla przyszłości instytutu lepiej było dawać odtąd co do motywów tej nieobecności minimum wyjaśnień, zarówno naszym chorym, jak okolicznym kolegom - lekarzom.

Minęły jeszcze miesiące, okres wielkiej przezorności, bezbarwny, cichy. Doszło do tego, żeśmy unikali zupełnie nawet wspomnienia Barytona między sobą. Zresztą wspomnienie o nim wywoływało u nas wszystkich uczucie jakby pewnego wstydu.

A potem wróciło lato. Nie mogliśmy siedzieć cały czas w ogrodzie i pilnować chorych. Żeby dowieść samym sobie, że mimo wszystko mamy trochę swobody, zapuszczaliśmy się aż na brzeg Sekwany, połączyć sobie poza obrębem zakładu.

Za nasypem po drugiej stronie rzeki zaczyna się równina Gennevilliers, piękna przestrzeń szara i biała, gdzie kominy rysują się łagodnie w kurzu i we mgle. Tuż koło przystani holowniczej jest szynk flisaków, strzeże wejścia do kanału. Żółty prąd uderza o śluzę.

Patrzyliśmy na to godzinami zgóry nadół, a obok na długie bajoro, z którego odór dochodzi skrycie aż na szosę automobilową. Można się do tego przyzwyczaić. Błoto tam nie miało już żadnej barwy, takie było stare i zmęczone przyborem wód. W letnie wieczory niekiedy stawało się jakby łagodne to błoto, kiedy niebo, różane, robiło się sentymentalne. Tam na most przychodziło się posłuchać harmonji z berlinek, gdy czekają przed wrotami kanału, aż nastanie świt,

żeby wpłynąć na rzekę. Zwłaszcza berlinki idące z Belgji są muzykalne, mają wszędzie kolory, zielony i żółty, pełno sznurów do suszenia bielizny i malinowe kombinezy, które wiatr wydyma, skacząc w nie porywami.

Do knajpy szyprów zachodziłem jeszcze często sam, o tej martwej porze po drugim śniadaniu, kiedy kot szefa jest zupełnie spokojny, w czterech ścianach, niby zamknięty w małym niebie z błękitnego ripolinu, dla niego tylko stworzonym.

Tam ja też drzemałem, gdy zaczynała się popołudniowa pora, czekając, sądziłem, zupełnie zapomniany, aż ona minie.

Ujrzałem, że ktoś idzie zdaleka, szosą. Nie potrzebowałem długo się wahać. Zaledwie znalazł się na moście, poznałem go już. To mój Robinson we własnej osobie. Nie mogłem się mylić! „On tu mnie szuka! powiedziałem sobie odrazu... Ksiądz musiał mi dać mój adres!... Muszę go się pozbyć copędzej!“

Teraz uważałem go za wstrętne indywiduum, które przyszło mi przeszkadzać właśnie w chwili, gdy zaczynałem pokrzepiać siebie przyjemnym, małym egoizmem. Człowiek nie dowierza temu, co przychodzi z gościńca, i ma rację. Doszedł oto do szynku. Wychodzę. Mam minę zdumioną na mój widok. „Skąd cię licho niesie?“ pytam go się, tak, niezbyt uprzejmie. „Z Garenne“... odpowiada. „No, dobrze! Jadłeś dziś?“ stawiam mu pytanie. Nie wyglądał bardzo na to, żeby jadł, ale nie chciał robić wrażenia takiego co gotów jest zdechnąć tu zaraz po przybyciu. „Znowu więc poszedłeś na włóczęgę?“ dodaje. Bo mogę to teraz śmiało powiedzieć, wcale nie byłem rad, że go widzę znowu. To mi nie sprawiało żadnej przyjemności.

Parapin szedł również od strony kanału, na me spotkanie. To się dobrze składało. Nużyło Parapina tak często dyżurować w zakładzie. Prawda, że ja trochę folgowałem sobie w służbie. Przedewszystkiem, co się tyczy obecnej sytuacji, dalibyśmy dużo za to, i ja i on, żeby dokładnie wiedzieć, kiedy Baryton wróci. Spodziewaliśmy się, że niebawem skończy swą włóczęgę, żeby objąć z powrotem swój kram i zajmować się nim sam. To było dla nas za ciężkie. Myśmy nie byli karierowicze, ani jeden, ani drugi, i gwizdaliśmy na perspektywy przyszłości. To był zresztą błąd.

Trzeba oddać Parapinowi sprawiedliwość jeszcze pod jednym względem, że nigdy nie zadawał pytań co do kierownictwa handlowego zakładu, nie wtrącał się do załatwiania przeze mnie spraw z klientami, tylko ja informowałem go jednak, że tak powiem, wbrew jego woli i wtedy mówiłem sam. W sprawie z Robinsonem ważne było poinformować go o stanie rzeczy.

— Mówiłem ci już o Robinsonie, prawda? zapytałem go w formie wstępu. Wiesz, mój przyjaciel z wojny?... Przypominasz sobie?

Słyszał sto razy moje historie z wojny i z Afryki i za każdym razem inaczej opowiadane. To był mój sposób.

— A więc, ciągnąłem, oto masz tutaj Robinsona we własnej osobie, który przybywa z Tuluzy odwiedzić nas... Zjemy razem obiad w domu. — Coprawda, rozporządzając się tak w imieniu dyrekcji czułem się trochę zażenowany. Popełniałem pewnego rodzaju nieakt. W danym wypadku powinienem był mieć władzę wiążącą, obowiązującą, której mi zupełnie było brak. A przytem sam Robinson nie ułatwiał mi sytuacji.

W drodze do domu okazywał wciąż zaciekawienie i niepokój, zwłaszcza co do osoby Parapina, którego długa i blada postać obok nas intrygowała go. Myślał z początku, że Parapin to też warjat. Odkąd wiedział, gdzie mieszkam w Vigny, widział wszędzie warjatów. Uspokoiłem go.

— A ty, zapytałem, czyś znalazł przynajmniej jakie zajęcie po powrocie?

— Poszukam sobie... zadowolili się rzucić mi w odpowiedzi.

— Ale czy twoje oczy są wyleczone? Widzisz niemi teraz dobrze?

— Tak, widzę teraz prawie tak samo jak dawniej...

— Więc jesteś zadowolony? rzekłem.

Nie, nie był zadowolony. Miał co innego do roboty niż być zadowolonym. Unikałem mówienia z nim zaraz o Madelon. To był temat dla nas jeszcze zbyt drażliwy. Posiedzieliśmy dobry kęs czasu przy aperitiwie i skorzystałem z tego, żeby zapoznać go z różnymi sprawami dotyczącymi zakładu i jeszcze z innymi szczegółami. Nie mogłem się nigdy oprzeć chęci gadania co ślina do gęby przyniesie. Niezbyt różniłem się w tem właściwie od Barytona. Obiad zakończył się w nastroju serdeczności. Potem nie mogłem bądź co bądź wyrzucić go w jego położeniu na ulicę, Leona Robinsona. Postanowiłem natychmiast kazać postawić dla niego łóżko polowe w sali jadalnej, tymczasem. Parapin wciąż był neutralny. „No, Leonie! powiedziałem, masz tu dach nad głową, póki nie znajdziesz sobie posady... — Dziękuję“ odpowiedział poprostu i odtąd co rano udawał się tramwajem do Paryża, rzekomo w poszukiwaniu zajęcia agenta handlowego.

Miał dość fabryki, jak powiadał, chciał być „przedstawicielem“. Może trudno mu było znaleźć przedstawicielstwo, trzeba być sprawiedliwym, w każdym razie fakt jest, że go nie znalazł.

Pewnego wieczora wrócił z Paryża wcześniej niż zwykle. Ja byłem jeszcze w ogrodzie, pilnowałem dostępu do wielkiego basenu. Przyszedł tam, żeby mi powiedzieć parę słów.

— Słuchaj! zaczął.

— Słucham cię, odparłem.

— Czy tybyś nie mógł dać mi jakiegoś zajęcia tutaj?... Nie mogę nic znaleźć gdzieindziej...

— Dobrześ szukał?

— Tak, dobrze szukałem...

— Chcesz zajęcia w zakładzie? Ale poco? Nie możesz więc znaleźć żadnej pracy w Paryżu? Chcesz, żebyśmy z Parapinem polecili cię znajomym osobom?

To go krępowało, że mu proponuję interwencję w sprawie jego posady.

— Nie to, żeby całkiem nie można było znaleźć, powiedział na to. Możeby się i znalazło... Jakaś niewielką robotę... Pewnie... Ale zaraz zrozumiesz... Koniecznie muszę wyglądać na chorego na mózg... To jest pilne i to jest musowe, żebym wyglądał na chorego na mózg...

— Dobrze! powiedziałem wówczas, możesz mi więcej nie mówić!...

— Owszem, owszem! Ferdynandzie, przeciwnie, muszę ci powiedzieć dużo więcej, nalegał, żebyś mnie dobrze rozumiał... A przytem znam ciebie przecie, ty wolno kombinujesz i decydujesz się...

— No więc gadaj, rzuciłem zrezygnowany, opowiadaj...

— Jeżeli nie będę wyglądał na warjata, będzie bardzo kiepsko, gwarantuję ci... Będzie gorąco... Ona jest zdolna kazać mnie aresztować... No, rozumiesz mnie teraz?...

— To chodzi o Madelon?

— Rozumie się, że o nią.

— A to ślicznie!

— No, powiedz...

— Więc pogniewaliście się na amen?

— Jak widzisz...

— Chodź tutaj, jeżeli chcesz mi powiedzieć szczegóły! przerwałem mu i odprowadziłem go na stronę. — To będzie roztropniej ze względu na warjatów... Oni mogą też zrozumieć różne rzeczy i opowiedzieć jeszcze ciekawsze... choć są obłąkami...

Weszliśmy do jednej z separatek i gdyśmy tam się znaleźli, niedługo czekałem na odtworzenie mi przezeń całej kombinacji, zwłaszcza że wiedziałem już dobrze, do czego jest zdolny, i że ksiądz Protiste pozwolił mi przypuszczać resztę...

Za drugim razem nie pokpił sprawy. Nie można już było twierdzić, że raz jeszcze sfuszerował! Co to, to nie! Niema co mówić!

— Rozumiesz, stara laźla mi na wątrobę coraz bardziej... Zwłaszcza odkąd zacząłem trochę lepiej się czuć z oczami, to znaczy, kiedy mogłem zacząć chodzić po ulicy sam... Zobaczyłem teraz różne rzeczy... I jej się też przyjrzałem... Co tu gadać, widziałem więcej od niej!... Ja myślę, że ona tam umyślnie sterczała... Poto tylko, żeby mnie truć... Niesposób inaczej sobie wytłu-

maczyć... Do tego w domu, gdzieśmy mieszkali na kupie, znasz dom, co? trudno było nie sobaczyć sobie... Widziałeś, jaka była ciasnota!... Jeden wlaził na drugiego! Nie można inaczej powiedzieć!...

— A stopnie do lochu nie były bardzo pewne, co? — Ja sam zauważyłem, jak niebezpieczne są schody, będąc tam za pierwszym razem z Madelon, że stopnie już się ruszają.

— Nie, co do tego, to tam nic, oświadczył z całą otwartością.

— A ludzie tamtejsi? badałem go jeszcze. Sąsiedzi, księża, dziennikarze... Nie robili swoich uwag, gdy to się wydarzyło?...

— Chyba nie... No i nie myśleli, żebym był zdolny... Mieli mnie za kapcana... Ślepy... Rozumiesz?...

— Dlatego możesz się uważać za szczęśliwego, bo inaczej!... A Madelon? Co ona robiła w tym kancie? Należała też do niego?

— Niezupełnie... Ale jednak trochę, musowo, ponieważ podziemie miało przejść w całości do nas dwojga po sprzątnięciu starej... Tak to było ułożone... Mieliśmy tam się ulokować oboje...

— Dlaczego więc potem popsulo się z waszą miłością?

— Wiesz, to jest trudno wytłumaczyć...

— Nie chciała już ciebie?

— Ależ nie, przeciwnie, bardzo chciała i nawet paliła go ogromnie do małżeństwa... Jej matka też tego pragnęła i jeszcze więcej niż przedtem, i żeby to było raz dwa trzy, z racji mumij matki Henrouille, które przechodziły na nas i że było odtąd z czego żyć spokojnie, dla wszystkich trojga...

— Cóż więc między wami zaszło?

— Co zaszło? To, że ja chciałem, żeby mi dały święty spokój! Poproście... I matka i córka...

— Słuchaj Leonie! zatrzymałem go raptem, słysząc to. Posłuchaj mnie!... To nie jest serjo ten twój groch z kapustą... Postaw się na miejscu Madelon i jej matki... Czy tybyś był kontent na ich miejscu? Jakże to tak? Przyjeżdżając tam miałeś ledwie koszulę na grzbiecie, żadnej pozycji, nic, skamlałeś po całych dniach, że stara zatrzymuje całą twoją forszę, i to i tamto... Ona wynosi się cichcem, raczej tyś ją wyniósł... A ty zczynasz znowu mimo wszystko swe fochy, swe grymasy... Postaw się na miejscu tych dwóch kobiet, postaw się na chwilę!... To jest nie do zniesienia!... To ja na to cię tam wysłałem!... Ty postokroć zasługujesz, żeby cię wpakowały do ula! Muszę ci to powiedzieć!

Oto, jak mówiłem do Robinsona.

— Możliwe, odpowiedział mi na to, ząb za ząb, ale ty choć jesteś lekarz, wykształcony i wszystko, ty nic się nie wyznajesz na mojej naturze...

— Milczałbyś, Leon! powiedziałem mu, żeby skończyć z tem. Milcz, nieszczęśniku, z tą swoją naturą! Mówisz, jak człowiek chory!... Żałuję, że Baryton pojechał obecnie do stu djabłów, inaczej onby cię wziął na kurację! Zresztą to byłaby najlepsza rzecz, jakaby można dla ciebie zrobić! Przedewszystkiem zamknąć cię! Rozumiesz! Zamknąć cię! Baryton zająłby się już twoją naturą!

— Gdybyś ty miał to, co ja miałem i przeszedł przez to co ja, odciął się hardo na te słowa, napewno też byłbyś chory! Zaręczam ci! I może jeszcze gorzej niż

ja! Ty, taki delikacik!... I tu zaczął mnie besztać, ile wlezie, jakby miał do tego prawo.

Przyglądałem mu się bacznie, gdy mi wymyślał. Przywykłem do takiego maltretowania przez chorych. To mi już było obojętne.

Bardzo wychudł od czasów Tuluzy i pozatem coś, czego w nim jeszcze nie znałem, jakgdyby mu osiadło na twarzy, możnaby powiedzieć, niby nowa podobizna na jego własnych rysach, już otoczona zapomnieniem i ciszą.

W awanturach tuluzańskich była jeszcze inna rzecz, oczywiście mniej poważna, której on nie mógł strawić, ale gdy o niej pomyślał, żółć mu się ulewała. To była konieczność smarowania łapy wszystkim ludziom handlu za nic. Nie mógł strawić, że musiał dawać prowizje naprawo i nalewo, w chwili objęcia przez siebie lochu, proboszczowi, babie wynajmującej w kościele krzesła, w merostwie, wikarjuszom i jeszcze wielu innym, i to wszystko razem wzięwszy bez skutku. Bebechy mu się wywracały, gdy o tem wspominał. Złodziejstwem nazywał te sposoby.

— Więc koniec końców pobraliście się? zapytałem w konkluzji.

— Toż mówię ci, że nie! Ja już nie chciałem!

— Jednak ona była niczego, Madelonka? Nie możesz zaprzeczyć?

— Nie w tem rzecz...

— A właśnie, że w tem. Skoro byliście wolni, jak mi powiadasz... Jeżeli koniecznie chcieliście wynieść się z Tuluzy, mogliście zostawić prowadzenie interesu z podziemiem jej matce, na jakiś czas... Potem wrócilibyście...

— Co się tyczy ciała, podjął, masz rację, była ładna, zgadzam się, tyś mnie właściwie poufnie informował o tem, a wyobraź sobie, jakby umyślnie, kiedy przejrzałem na oczy pierwszy raz to, że tak powiem, ją zobaczyłem pierwszą w lustrze... Uważasz?... Przy świetle!... Było już bezmała dwa miesiące jak stara spadła... Wzrok mi powrócił jakby odrazu, gdy spróbowałem popatrzeć na twarz Madelon... Poprostu nagle światło... Rozumiesz mnie?

— To nie było przyjemne?

— Owszem, było przyjemne... Ale było i co innego...

— Drapnąłeś jednak...

— Tak, ale ja ci wytłumaczę, skoro chcesz zrozumieć, to ona pierwsza zaczęła wydziwiał na mnie... Że już na nią nie leczę... Że już nie jestem miły... Pretensje, fasony...

— Może cię gryzły wyrzuty sumienia?

— Wyrzuty sumienia?...

— Bo ja wiem...

— Możesz to nazwać jak chcesz, ale ja nie byłem w sztosie... Nie myślę jednak, żeby to były wyrzuty sumienia...

— Więc byłeś chory?

— To musi być prędzej to, chory... Od godziny co najmniej staram się przecie, żebyś zrozumiał, że jestem chory... Zgodzisz się, że dużo ci czasu na to potrzeba...

— No! Już dobrze! odpowiadam mu. Powie się, że jesteś chory, skoro uważasz, że tak będzie najroztropniej...

— Dobrze zrobisz, nalegał jeszcze, bo ja za nic nie ręcę co do niej... Gotowa wygarnąć wszystko w niedługim czasie.

Wyglądało to na dawanie mi rady, a ja nie chciałem jego rad. Nie lubiłem takich rzeczy z uwagi na komplikacje jakie miały się rozpocząć.

— Ty myślisz, że ona wszystko wygarnie? zapytałem go jeszcze, żeby się upewnić... Ale przecież ona była bądź co bądź trochę twoją spółniczką?... Powinaby się nad tem zastanowić przez chwilę, zanim zacznie gadać?

— Zastanowić?... skoczył, usłyszawszy to. Widać odrazu, że ty jej nie znasz... — Zaczął się śmiać. — Ależ ona nie będzie się wahała ani przez chwilę!... Jak mnie tu widzisz! Gdybyś się z nią zadawał tak jak ja, nie wątpiłbyś! To jest kobieta zakochana, powtarzam ci!... Nigdyś nie miał do czynienia z zakochanymi? Gdy jest zakochana, jest szalona, to jest proste! Szalona! A ona we mnie jest zakochana i jest szalona!... Zdasz sobie sprawę? Rozumiesz? Więc wszystko co szalone podnieca ją! To jest jasne! To jej nie powstrzyma! Przeciwnie!...

Nie mogłem mu powiedzieć, że to mnie jednakże trochę dziwiło, że Madelon w ciągu kilku miesięcy doszła do takiego stopnia rozdrażnienia, boć przecie ja sam znałem ją odrobinę, Madelon... Miałem o niej swe zdanie, ale nie mogłem go wypowiedzieć.

Sądząc z tego, jak dawała sobie radę w Tuluzie i co słyszałem gdy byłem za topolą w dzień wycieczki, trudno mi było sobie wyobrazić, żeby mogła tak się zmienić w swem usposobieniu w tak krótkim czasie... Wydała mi się bardziej zaradna niż tragiczna, sympatycznie wolna od przesądów i rada urządzać się ze swymi sprawkami i swą małą pozą wszędzie, gdzie to mogło mieć powodzenie. Ale narazie, w obecnej sytu-

cji nie miałem już nic do powiedzenia. Mogłem tylko czekać aż to minie. „Dobrze już! Dobrze! powiedziałem. A jej matka? Musiała i matka narobić trochę piekła, gdy zrozumiała, że ty wiejesz nadobre?...“

— Ja myślę! Nawet powtarzała cały dzień, że mam świński charakter, i zauważ, to właśnie wtedy, gdy przeciwnie, potrzeba mi było, żeby odzywano się do mnie przyjeinnie!... Ładny kwiat!... Krótko mówiąc, z matką to też już nie mogło trwać dłużej, tak że zaproponowałem Madelon zostawienie lochu im obu, a ja tymczasem pojeżdżę sobie sam, zrobię małą podróż po kraju...

— Pojedziesz ze mną, zaprotestowała... Jestem twoją narzeczoną, prawda?... Pojedziesz, Leonie, ze mną albo nie pojedziesz wcale!... A przedewszystkiem, upierała się, nie jesteś jeszcze zupełnie wyleczony...

— Owszem, jestem wyleczony i pojedę sam! odpowiedziałem. Nie można było dojść do ładu.

— Żona zawsze towarzyszy mężowi! gadała matka. Pobierzcie się! — Popierała Madelon poto tylko, żeby mnie drażnić.

Męczyło mnie słuchanie tych bujd. Znasz mnie! Jakby mi była potrzebna kobieta, żeby iść na wojnę! I żeby z niej wyjść! A w Afryce miałem kobiety? A w Ameryce czy ja miałem kobietę?... Jednak słuchać jak one tak rozprawiają o tem całymi godzinami, to mnie brzuch od tego bolał! Kolka! Ja przecież wiem, do czego to służy, kobiety! Ty też, co? Do niczego! Ja podróżowałem jednak, do licha! Pewnego wieczora wreszcie, gdy cholera mnie już wzięła od tej piły, wygarnąłem z miejsca matce wszystko com o niej myślał! „Pani jesteś stara kataryna, powiedziałem jej... Pani

jesteś jeszcze gorsza p.... niż matka Henrouille. Gdybyś pani poznała trochę więcej ludzi i krajów, jak ja poznałem, nie byłabyś taka skora do dawania wszystkim rad, a to pewna, że nie zbierając swoje kawałki łoju w kącie swego wstrętnego kościoła dowiesz się kiedykolwiek, co to jest życie! Wychodź pani także trochę na świat, to ci dobrze zrobi! Idźże sobie pospacerować trochę, stara szantrapo! To cię odświeży! Będziesz miała mniej czasu na klepanie zdrowasiek, mniej cię będzie czuć klabzdro!“

Oto jak ja potraktowałem jej matkę! Powiadam ci, oddawna mnie korciło obsobaczyć ją i ponadto tego jej było cholernie potrzeba... Ale zastanowiwszy się, to raczej mnie to dobrze zrobiło... To mnie jakby wyzwoliło z sytuacji... Tylko, że możnaby też powiedzieć, że ścierwo czekało tylko tej chwili, żebym ja się rozpiął, żeby mnie z kolei obsypać wszystkimi drańskimi wyzwiskami, jakie znała! Aż się niemi zapluwała i więcej niż potrzeba. „Złodziej! Wałkoń! wymyślała mi... Nie masz nawet fachu!... Rok będzie niedługo, jak cię żywimy, moja córka i ja!... Nicpoń!... Alfons!...“ Wyobrażasz to sobie? Prawdziwa scena rodzinna... Zastanowiła się jakby dobrą chwilę i potem powiedziała ciszej, ale wiesz, powiedziała, i z całym przekonaniem „Morderca!... Morderca!“ mnie nazwała. To mnie trochę ochłodziło.

Córka, słysząc to jakby się zlekła, że ja zatłukę na miejscu jej matkę. Rzuciła się między nas. Zatkąła matce usta własną ręką. Dobrze zrobiła. Więc one, ścierwy, powiedziałam sobie, zgadzały się. To było oczywiste. No, ochłonałem... Nie była już pora na gwałty... A przytem ostatecznie gwizdałem na to, że one by-

ły w zgodzie co do tego... Mógłbyś myśleć, że ulżywszy sobie zdrowo zostawią mnie teraz w spokoju? Akurat! Nic podobnego! Znaczy, nie znałbyś ich... Córka wszczęła to nanowo. Ona miała ogień w sercu i niżej... To ją chwyciło znów w najlepsze.

— Kocham cię, Leonie, widzisz przecie, że cię kocham, Leonie...

Ona to tylko umiała, to swoje „kocham cię“. Jakby to była odpowiedź na wszystko.

— Jeszcze jego kochasz? kłula znowu matka, słysząc to. Czyż ty nie widzisz, że to jest łobuz? Napłuć nie warto? Teraz kiedy odzyskał oczy dzięki naszym staraniom, przyniesie ci nieszczęście, moja córko! Ja ci na to przysięgnę! Ja, twoja mama!...

Wszyscy się popłakali, żeby zakończyć scenę, nawet ja, bo nie chciałem zanadto zadzierać z temi dwiema szelmami, pogniewać się zanadto, mimo wszystko.

Wyszedłem więc, ale powiedzieliśmy sobie zawiele rzeczy, żeby to mogło jeszcze długo się utrzymać, nasze życie pod jednym dachem. Wlokło się to jednak jeszcze tygodniami, w kłótniach od czasu do czasu i pilnowaniu siebie za dnia a szczególnie po nocach.

Nie mogliśmy się zdecydować na rozstanie, ale nie było już serca w takim życiu. Mieliśmy jeszcze przede wszystkim obawy, które nas trzymały razem.

— Ty więc kochasz inną? pytała się mnie Madelon co pewien czas.

— Ależ nie, co znowu! próbowałem ją uspokoić. Ależ nie! — Jednak widać było wyraźnie, że mnie nie wierzyła. Dla niej, trzeba było koniecznie kochać kogoś w życiu i nie można było wybić jej tego z głowy.

— Powiedz mi, odpowiadałem, co jabym robił z in-

na kobietą? — Ale miłość to była jej manja. Nie wiedziałem już co jej gadać, żeby ją uspokoić. Ona wynajdywała takie sztuki, o jakich nigdy jeszcze nie słyszałem. Nigdybym nie myślał, że ona kryje takie rzeczy we łbie.

— Zabrałeś mi serce, Leonie! oskarżała mnie i to na serjo. Chcesz odejść! groziła mi. Odejdź! Ale ja cię uprzedzam, że umrę ze zmartwienia, Leonie! — Ja miałem być przyczyną jej śmierci ze zmartwienia? Niby co ma piernik do wiatraka? Sam powiedz? „Ależ, daj spokój, nie umrzesz! uspakajałem ją. Przedewszystkiem, ja ci nic nie zabrałem! Nie zrobiłem ci nawet dziecka! Zastanów się! Nie zaraziłem cię, tak samo? Nie? No więc? Ja tylko chcę iść sobie, to wszystko! Tak jakbym pojechał na wakacje... Przecie to jest takie proste... Spróbuj być rozsądną...” I im bardziej starałem się, żeby zrozumiała mój punkt widzenia, tem mniej jej się podobał mój punkt widzenia. Jednym słowem, zupełnie się już nie rozumieli. Ona wściekała się na myśl, że ja mogę myśleć naprawdę to co mówię, że to było właśnie prawdziwe, proste i szczerze.

Myślała pozatem, że to ty mnie pchasz, żebyśm zwał... Widząc tedy, że mnie nie zatrzyma każąc mi się wstydzic tego co czuję, próbowała mnie zatrzymać na inny manjer.

— Nie myśl, Leonie, powiedziała mi wówczas, że zależy mi na tobie dla interesu z podziemiem! Pieniądze, ty wiesz, to mi jest w gruncie rzeczy ganc pomade... Ja chciałabym być z tobą, Leonie. Być szczęśliwą... To wszystko... To takie naturalne... Nie chcę, żebyś mnie opuścił... To jest okropne rozstawać się, gdy się tak

kochało jak myśmy się kochali oboje... Przysięgnij mi przynajmniej, Leonie, że pojedziesz nie nadługo?...

I tak dalej trwało to u niej tygodniami, ten stan. Można powiedzieć, że była zakochana i nudna jak flaki z olejem... Każdego wieczora wracała do swego miłosnego warjactwa. Koniec końców pragnęła jednak, żeby loch zostawić na opiece matki, pod warunkiem, że pojedziemy oboje poszukać razem pracy w Paryżu... Zawsze razem!... No, widzisz, jaki z niej numer! Wszystko chciała zrozumieć, tylko nie to żebyśm ja sobie poszedł w swoją stronę a ona w swoją... Na to nie było rady... A im bardziej widać było, że ona o to stoi, tem więcej mnie to męczyło, musowo!

Nie warto było próbować przemówić jej do rozumu. Rozumiałem, że to czysta strata czasu, że zgóry sobie tak postanowiła i że tłumaczyć, to będzie jeszcze bardziej wściekła. Musiałem więc wziąć się do wymyślania sztuk, żeby uwolnić się od jej miłości, jak ona powiadała... Z tego mi przyszło do głowy nastraszyć ją opowiadając, ot niby tak sobie, że ja od czasu do czasu trochę warjuję... Że mam takie napady... Niespodziewane... Popatrzała na mnie zukosa, dziwnem okiem... Nie wiedziała dobrze, czy to nie jest jeszcze jakaś bujda... Tylko znowu z uwagi na przygody, jakie jej dawniej opowiadałem i na wojnę, która mnie szarpnęła i zwłaszcza na ostatni kant z matką Henriouille, no i na to, że tak nagle zmienił się dla niej, zaczęła się jednak zastanawiać nad tem co powiedziałem...

Tydzień przeszło zastanawiała się i przez ten czas zostawiła mnie w spokoju... Musiała coś powiedzieć matce o moich napadach... W każdym razie mniej upiera-

ły się, żeby mnie zatrzymać... „Dobra nasza, powiedziałem sobie, uda się! Jestem wolny...” Już widziałem siebie, jak daję cichcem nogę w stronę Paryża, spokojnie, bez awantury!... Ale poczekaj!... Chciałem ci zadobrze zrobić... Fajnować... Myślałem, że znalazłem sztukę, żeby je przekonać raz na zawsze, że to prawda... Że, gdy to na mnie najdzie, jestem warjat jak się patrzy... „Pomacaj! mówię jednego wieczora do Madelon. Pomacaj tam, ztyłu głowy, guz! Czujesz tam bliźnię na nim i duży mam ten guz, co?...”

Gdy dobrze pomacała mój guz ztyłu głowy, przejęła się tem tak, że nie mogę ci opowiedzieć... Ale to ją jeszcze bardziej podnieciło, to jej wcale nie obrzydziło mnie, wyobraź sobie!...“ To tam byłem ranny we Flandrji. Tam mi trepanowali czaszkę...” twierdziłem.

— Ach, Leonie! jak nie skoczy, wyczuwszy guz, przeproszam cię bardzo, mój Leonie!... Wątpiłam o tobie dotąd, ale przeproszam cię z głębi serca! Teraz rozumiem! Byłam podła wobec ciebie! Tak! tak! Leonie, byłam wstrętna! Nigdy już nie będę dla ciebie zła! Przysięgam ci to! Ja chcę odkupić tę winę, Leonie! Natychmiast! Będę się tobą dobrze opiekować, bądź spokojny! Od dzisiaj! Będę bardzo cierpliwa dla ciebie, zawsze! Będę taka łagodna! Zobaczysz, Leonie! Będę cię rozumiała tak dobrze, że ty nie będziesz się już mógł obejść beze mnie! Daję ci znowu całe moje serce, jestem twoja!... Wszystko! Całe moje życie, Leonie, daję ci je! Ale powiedz mi, że mi przebaczasz, powiedz, Leonie?...

Ja nic na to nie powiedziałem, ani słowa. Ona wówczas powiedziała wszystko, bardzo jej łatwo było sa-

mej sobie odpowiedzieć... Co było robić, żeby się zatrzymała?

Od dotknięcia mej szramy i guza, powiedziałyby kto, z miejsca upiła się miłością! Chciała znowu wziąć w ręce moją głowę, nie wypuszczać jej już i uszczęśliwić mnie na wieki wieczne, czy chcę czy nie! Od tej sceny jej matka nie miała już prawa dochodzić do mnie z pyskiem. Madelon nie dała matce rozmawiać ze mną. Nie poznałbyś jej, chciała mnie osłaniać choćby się narażała na niebezpieczeństwo!

Trzeba było zrobić z tem koniec! Ma się rozumieć, wolałbym rozstać się po dobroci... Ale tego nie warto już było nawet próbować. Nie mogła już panować nad swoją miłością i uparła się. Pewnego ranka, kiedy poszły, matka i ona, do miasta, zrobiłem, tak jak ty kiedyś zrobiłeś, pakunek i wyniosłem się cichcem... Nie możesz po tem wszystkim powiedzieć, że nie miałem dość cierpliwości?... Tylko, powtarzam ci, nie można już było nic na to poradzić... Teraz wiesz wszystko... Jeżeli ci mówię, że ta mała jest do wszystkiego zdolna i że może bardzo łatwo przyjechać tu każdej chwili i dręczyć mnie, nie gadaj mi na to, że to są moje przywidzenia! Ja wiem co mówię! Ja ją znam! I mojem zdaniem, mielibyśmy większy spokój, gdyby ona mnie zastała niby już zamkniętego z warjatami... W ten sposób mnie będzie łatwiej robić takiego co już nic nie rozumie... Z nią, to tak trzeba... Nie rozumieć...

Dwa, trzy miesiące temu to wszystko co mi opowiedział Robinson interesowałoby mnie jeszcze, ale ja jak-gdybym się odrazu postarzał.

W gruncie rzeczy stawałem się coraz bardziej taki jak Baryton, plułem na to. Wszystko co mi opowiadał

Robinson o swej awanturze w Tuluzie, nie groziło mi istotnym niebezpieczeństwem, daremniebym się chciał przejmować jego sprawą, czuć ją było stęchlizną. Można gadać i twierdzić co się chce, świat opuszcza nas, zanim się zejdzie z niego nadobre.

O tem, na czym nam najbardziej zależało, postanawiamy pewnego pięknego poranku mówić coraz mniej, z wysiłkiem gdy trzeba się do tego wziąć. Człowiek ma dosyć słuchać wciąż własnego gadania... Skracca się je... Rezygnuje się... Już trzydzieści lat się gada... Już nie zależy na tem, żeby przyznano nam rację. Opuścza nas ochota do zachowania dla siebie nawet tego małego miejsca, jakie się sobie zarezerwowało śród przyjemności... Nabiera się obrzydzenia. Wystarcza teraz zjeść trochę, zrobić sobie trochę ciepła i spać jak najwięcej na drodze donikąd. Żeby znowu nabrać zainteresowania, trzeba by znaleźć nowe komedjanckie miny do wykonywania ich wobec ludzi. Ale nie ma się już sił zmieniać swego repertuaru. Bełkocze się. Człowiek szuka jeszcze w sobie fortelów i wymówek, żeby przebywać z kolegami, ale śmierć też tam jest, śmierdząca, obok nas, cały czas teraz i mniej tajemnicza niż jagnię. Cenne dla nas pozostają tylko drobne zmartwienia, takie dajmy na to, jak to, że nie znalazło się czasu odwiedzić, póki żył jeszcze, starego stryja w Bois-Colombes, którego piosenka zamilkła nazawsze pewnego lutowego wieczora. To jest wszystko co człowiek zachował z życia. Ten mały okrutny żal, resztę wyrzygało się mniej więcej dokładnie po drodze z wielkim wysiłkiem i strapieniem. Jest się już tylko starą latarnią ze wspomnieniami na rogu ulicy, którą już prawie nikt nie chodzi.

Co do nudzenia się, to najmniej jeszcze męczy nuda regularnych zwyczajów. Pilnowałem tego, żeby wszystko w zakładzie szło spać o dziesiątej. Ja gasiłem elektryczność. Sprawy toczyły się same swoim trybem: Zresztą nie wysilaliśmy się na pomysłowość. System Barytona „kretyni w kinie“ zajmował nas dostatecznie. Zakład nie robił już wielkich oszczędności. Rozrzutność, mówiliśmy sobie, toby może spowodowało powrót właściciela, gdyż to przejmowało go niepokojem.

Kupiliśmy harmonję, żeby Robinson mógł przygrywać do tańca naszym chorym latem, w ogrodzie. Trudno było w Vigny zająć czemś chorych dzień i noc. Nie można ich było posyłać wciąż do kościoła, zanadto się tam nudzili.

Z Tuluzy nie otrzymaliśmy już żadnej wiadomości, ksiądz Protiste również nie był już u mnie ani razu. Egzystencja w zakładzie stała się monotonna, jakby potajemna. Moralnie nie czuliśmy się dobrze. Zadużo widm, to tu, to tam.

Minęły jeszcze miesiące. Robinson lepiej wyglądał. Na Wielkanoc nasi warjaci byli trochę niespokojni, kobiety w jasnych sukniach spacerowały przed naszym ogrodem. Wczesna wiosna. Stosowanie bromu.

W „Tarapucie“ personel od czasu mego statystowania był wielokrotnie zmieniany. Małe Angielki, do wiedziałem się, pojechały bardzo daleko, do Australji. Nie zobaczę już ich...

Po historii z Tanią wstęp za kulisy był mi wzbroniony. Nie nalegałem.

Zaczęliśmy pisać listy potrochu wszędzie, a przede wszystkim do konsulatów krajów Północy, żeby otrzymać jakieś wskazówki co do ewentualnych miejsc po-

bytu Barytona. Nie otrzymaliśmy stamtąd żadnej ciekawej odpowiedzi.

Parapin pełnił statecznie i w milczeniu swą służbę techniczną przy mnie. Od dwudziestu czterech miesięcy powiedział niewiele więcej jak dwadzieścia zdań wszystkiego. Byłem zmuszony prawie zawsze na swoją rękę decydować w różnych drobnych sprawach materialnych i administracyjnych, które wysuwały warunki codzienne. Zdarzało mi się robić pewne głupstwa. Parapin nigdy mi nie czynił z tego powodu wymówek. Godziliśmy się ze sobą na gruncie obojętności. Zresztą wystarczający ruch chorych zabezpieczał stronę materialną naszej instytucji. Po zapłaceniu dostawców i komornego mieliśmy jeszcze z czego dobrze żyć, za małą Aimée posyłałami, ma się rozumieć, ciotce umówioną kwotę regularnie.

Stwierdziłem, że Robinson jest teraz o wiele spokojniejszy niż w chwili swego przybycia. Poprawił się i przybyło mu trzy kilo. Jednym słowem, zdawało się, póki będą łagodni warjaci w rodzinach, będą one zadowolone z naszego zakładu, tak dogodnego, położonego w pobliżu stolicy. Sam nasz ogród wart był zwiedzenia. Przyjeżdżali ludzie umyślnie z Paryża podziwiać nasze grzędy i całe gajki róż w pełni lata.

W jedną z takich niedziel czerwcowych wydało mi się, że zobaczyłem Madelon po raz pierwszy w gromadce spacerowiczów, nieruchomą przez chwilę, akurat przed kratą naszej bramy.

Z początku nie chciałem nic mówić o tem zjawieniu się Robinsonowi, żeby go nie przestraszać, potem jednak, po głębszem zastanowieniu, w kilka dni później zaleciłem mu nie oddalać się zbyt daleko, przynaj-

mniej na jakiś czas, w jego wafesaniu się w okolicach zakładu. Ta rada zaniepokoiła go. Jednak nie domagał się, żeby mu powiedzieć coś więcej.

Pod koniec lipca dostaliśmy od Barytona kilka pocztówek, tym razem z Finlandji. To nam zrobiło przyjemność, ale Baryton nic nam nie mówił o swym powrocie, życzył nam tylko raz jeszcze „powodzenia“ i przysyłał mnóstwo przyjaznych słów.

Odeszły dwa miesiące, a potem nowe... Kurz lata spadł na szosę. Jeden z naszych obłąkanych koło Wszystkich Świętych zrobił mały skandal przed naszym instytutem. Ten chory, przedtem zupełnie spokojny i przyzwoity, uległ atakowi egzaltacji wywołanej dniem zadusznym. Nie zdołano w porę przeszkodzić jego krzykom przez okno, że nie chce nigdy umrzeć... Spacerujący po szosie uważali go za bardzo pocieszającego i zgromadzili się przed zakładem... W chwili gdy wydarzyła się ta awantura, miałem znowu, lecz tym razem znacznie dokładniejsze niż za pierwszym, bardzo niemiłe wrażenie, że poznaję Madelon w pierwszym szeregu jednej z grup, akurat w tem samym miejscu, przed bramą.

W ciągu tej nocy budził mnie niepokój, próbowałem zapomnieć co widziałem, ale wszystkie moje wysiłki żeby zapomnieć były daremne. Lepiej już było nie próbować spać.

Oddawna nie byłem w Rancy. Zamiast być dręczony przez koszmar, czy nie lepiej będzie, powiedziałem sobie, przejść się tam, skąd przychodziły wszystkie nie-szczęścia, prędzej czy później... Zostawiłem tam za sobą koszmara... Spróbować wyjść na ich spotkanie mogło ostatecznie ująć za pewnego rodzaju ostrożność...

Najbliższa droga do Rancy z Vigny to iść nabrzeżem aż do mostu w Gennevilliers, tego co jest zupełnie płasko wyciągnięty przez Sekwanę. Powolne mgły rzeki rozdzierają się nad samą wodą, skupiają, przechodzą, rzucają się naprzód, chwieją i opadają po drugiej stronie parapetu mostu, koło lamp acetylenowych. Wielka fabryka traktorów, która jest nalewo, kryje się w obszarze mroku. Ma okna otwarte przez ponury pożar trawiący ją bez końca. Gdy się minie fabrykę jest się na nabrzeżu sam jeden... Ale nie można zabłądzić... Po zmęczeniu poznaje się mniej więcej, że się już doszło.

Wystarcza, wówczas skręcić jeszcze nalewo ulicą des Bournaires i teraz jest już niedaleko. Nietrudno się zorjentować dzięki czerwono-zielonej latarni na przejeździe kolejowym, zawsze zapalanej.

Nawet po nocy trafiłbym z zamkniętymi oczami do dworku Henrouille'ów. Bywałem tam dość często, ongi...

Jednak tego wieczora, gdy doszedł nawprost wejścia, zacząłem medytować, zamiast iść naprzód.

Teraz córka mieszkała sama w dworku, myślałem sobie... Wszyscy pomarli, wszyscy... Musiała wiedzieć lub przynajmniej domyślała się, w jaki sposób skończyła stara w Tuluzie... Jakie to na nią mogło zrobić wrażenie?

Latarnia na chodniku bielila oszklony daszek nad gankiem jakby śniegiem. Stałem tam, na rogu ulicy, i tylko patrzyłem, długo. Mogłem podejść i zadzwonić. Z pewnością otworzyłyby mi. Ostatecznie, nie pogniwaliśmy się. Był przejmujący chłód tam gdzie się zatrzymał...

Ulica kończyła się jeszcze wybojami, jak za moich czasów. Obiecano uporządkować ją, nie podjęto żadnych robót... Nikt tedy nie chodził.

Nie znaczy żebym się jej bał, młodszej Henrouille'owej. Nie. Ale raptem, tam, nie miałem już ochoty zobaczyć się z nią. Tam, przed jej domem, nagle uświadomiłem sobie, że ona nic mi już ciekawego nie powie. To nawet byłoby nudne, gdyby teraz rozmawiała ze mną, i basta. Oto, czem staliśmy się jedno dla drugiego.

Ja zaszedłem teraz w mrok dalej niż ona, dalej nawet niż stara Henrouille'owa, która zmarła... Nie byliśmy już teraz razem... Pożegnaliśmy się nadobre... Nietylko przez śmierć, lecz i przez życie... To stało się siłą rzeczy... Każdy sobie! powiedziałem do siebie i zawróciłem w moją stronę, ku Vigny.

Henrouille'owa nie była dość oświecona, żeby teraz iść za mną... Charakter to ona miała, tak... Ale brak jej było wykształcenia! Tu był szkopuł. Brak wykształcenia! To jest kapitalna rzecz wykształcenie! Nie mogła więc już zrozumieć, ani mnie, ani tego co się działo dokoła nas, żeby była nie wiem jaką cholera i zajadłą babą... To nie wystarcza... Trzeba mieć jeszcze serce i wiedzę, żeby iść dalej niż inni... Ulicą des Sanzillons zawróciłem ku Sekwanie, a potem poszedłem zaułkiem Vassou. Moja udręka była skończona! Byłem prawie kontent! Dumny, bo zdawałem sobie sprawę, że już niewarto było zawracać sobie głowy synową Henrouille, wreszcie zgubiłem po drodze to ścierwo!... Co za numer! Sympatyzowaliśmy ze sobą na swój sposób... Rozumieliśmy się dobrze z Henrouille'ową swego czasu... Przez długi czas... Ale te-

raz ona nie była dość nisko dla mnie, nie mogła już zejść... Dogonić mnie... Nie miała wykształcenia i siły. W życiu nie idzie się w górę, schodzi się. Ona już nie mogła zejść niżej. Nie mogła już zejść aż tam, gdzie ja byłem... Było dokoła mnie zawiele mroku dla niej.

Przechodząc obok domu, gdzie ciotka Beberta była dozorczynią, byłbym też zaszedł choćby poto tylko, żeby zobaczyć tych, co zajmowali teraz jej łóżę, gdzie leczyłem Beberta i skąd go wynieśli. Może był tam jeszcze jego uczniowski potrecik nad łóżkiem... Ale było zapóźno, żeby ludzi budzić. Przeszedłem niepoznany.

Trochę dalej, na przedmieściu Wolności, odszukałem sklepik tandeciarza Bézina, gdzie jeszcze się świeciło... Nie spodziewałem się tego... Ale tylko mały gaz na wystawie. Bézin znał wszystkie plotki i nowości w dzielnicy, włócząc się po knajpach i tak dobrze znany od Targu na starzyznę aż do Porte Maillot.

Mógłby mi opowiedzieć różne historie, gdybym go zbudził. Pchnąłem drzwi. Brzęknął dzwonek, ale nikt się nie odezwał. Wiedziałem, że on śpi w głębi sklepiku, właściwie w swej jadalni... Tam też zastałem go, siedział pociemku, bokiem przy stole, z głową na skrzyżowanych rękach, obok oczekującego go obiadu, wystygłej soczewicy. Napoczał ją. Sen go zmorzył, jak tylko wrócił do domu. Chrapał mocno. Był też wstawiony, to prawda. Przypominam sobie dobrze dzień, to był czwartek, dzień targowy w Lilas... Miał jeszcze pełno „okazyjnej“ garderoby koło nóg, na podłodze.

Zawsze uważałem Bézina za dobrego chłopca, nie większego hycła od każdego innego. Co tu gadać. Uczynny, niewybredny. Nie zbudzę go z ciekawości,

dla moich błahych pytań... Wyszedłem więc, zgasiwszy mu gaz.

Trudno mu było, bez kwestji, utrzymać się z tego swego handlu. Ale jemu przynajmniej nie trudno było zasnąć.

Wracałem jednakże smutny do Vigny, myśląc, że co ci wszyscy ludzie, te domy, te rzeczy brudne i ponure nic mi już nie mówiły, wprost do serca, jak ongi, i że ja, choć mogłem wydawać się wielkim cwaniakiem, może nie miałem już dość siły, czułem to dobrze, żeby iść jeszcze daleko, tak zupełnie sam.

Przy posiłkach zachowaliśmy w Vigny zwyczaj z czasów Barytona, to znaczy że wszyscy spotykali się przy stole, ale teraz przeważnie w sali bilardowej nad mieszkaniem odzwiernej. Tu było bardziej swojsko niż w prawdziwej sali jadalnej, gdzie włóczyły się niezabawne wspomnienia rozmówek angielskich. Poza to było dla nas też dużo pięknych mebli w jadalni, prawdziwe „1900“, na tle witraży opalowego koloru.

Z bilardu można było widzieć wszystko, co się działo na ulicy. To mogło się przydać. Przesiadaliśmy w tym pokoju po całych dniach, w niedziele. Co do gości, mieliśmy czasami na obiedzie lekarzy z okolicy, ale naszym zwykłym gościem był raczej Gustaw, policjant od ruchu kołowego. On, można powiedzieć, nigdy nie chybił. Poznaliśmy się tak, przez okno, gdyśmy patrzyli nań w niedzielę, jak pełnił swą służbę na skrzyżowaniu szosy przy wjeździe do Vigny. Nie mógł się uporać z samochodami. Naprzód powiedzieliśmy sobie parę słów, a potem po kilku niedzielach zaznajomiliśmy się nadobrze. Miałem sposobność leczyć w mieście jego dwóch synów, jednego po drugim, na odrę i na zapalenie przyusznicy. Oddany nam był Gustaw Mandamour, tak się nazywał, rodem z Cantal¹. Do rozmowy był trochę ciężki, bo z trudem się wysławiał. Słowa znajdował, ale nie wydobywał ich, zostawały mu raczej w ustach, pomrukujące.

¹ górzystych okolic Owernji, których mieszkańcy mają we Francji opinię najbardziej niedźwiedziozących. *Przyp. tłum.*

Któregoś wieczoru Robinson zaprosił go na bilard, myślę, dla kawału. Ale on miał w naturze robić dalej to co zaczął, więc Gustaw przychodził odtąd co wieczór o tej samej porze, o ósmej. Dobrze czuł się z nami, lepiej niż w kawiarni, jak sam nam mówił, z racji sporów politycznych, jakie tam często wybuchały wśród stałych gości. Myśmy nigdy nie rozprawiali o polityce. W kawiarni miał z tego powodu nieprzyjemności. W zasadzie nie powinien był rozmawiać o polityce, zwłaszcza gdy się trochę zalał, co mu się przytrafiało. Nawet był notowany u swej władzy jako lubiący zaglądać do kieliszka, to była jego słabość. U nas zaś był bezpieczny pod każdym względem. Sam to przyznawał. Myśmy nie pili. W zakładzie mógł sobie pozwolić, to nie pociągało za sobą złych następstw. Przychodził do nas w zaufaniu.

Gdyśmy myśleli, Parapin i ja, o sytuacji z jakiej wydobyliśmy się i o tej jaka nam się dostała w udziale u Barytona, nie narzekaliśmy, nie mielibyśmy racji, boć ostatecznie mieliśmy jakieś cudowne szczęście i mieliśmy tu wszystko, czego nam było potrzeba, zarówno z punktu widzenia poważania, jak i wygód materialnych.

Tylko że ja zawsze miałem podejrzenie, że cud nie potrwa długo. Przeszłość miałem pechową i już podchodziło mi do gardła jakgdyby odbijanie się Przeznaczenia. Już w początkach pobytu w Vigny dostałem trzy listy anonimowe, które zrobiły na mnie wrażenie czegoś bardzo podejrzanego i grożącego. A potem jeszcze dużo listów, wszystkie równie pełne złości. Prawda, że w Vigny często dostawaliśmy anonimy i zazwyczaj nie zwracaliśmy na nie szczególnej uwagi.

Najczęściej pochodziły one od dawnych chorych, których manje prześladowcze nękały znowu w domu.

Ale zwroty tych listów więcej mnie niepokoiły, były one niepodobne do innych, ich oskarżenia były wyraźne i przytem chodziło tam zawsze tylko o mnie i o Robinsona. Dość powiedzieć, oskarżano nas, że żyjemy ze sobą. Jako przypuszczenie to była kupa gnoju. Z początku krępowano mnie mówić z nim o tem, potem jednak zdecydowałem się, gdyż wciąż otrzymywałem nowe listy tego pokroju. Badaliśmy więc razem, od kogo one mogły pochodzić. Wyliczyliśmy wszystkie możliwe osoby wśród naszych wspólnych znajomych. Nie mogliśmy dociec. Zresztą jako oskarżenie to nie miało żadnych podstaw. Do inwersji nie miałem pociągu, zaś Robinson gwizdał zupełnie na sprawy płciowe, i z jednej i z drugiej strony. Jeśli go co dręczyło, to z pewnością nie te historie. Musiała to być chyba jakaś zażdośnica, żeby wymyślać podobne świństwa.

W rezultacie znaleźliśmy tylko jedną Madelon, zdolną do dokuczania nam aż w Vigny takimi plugawymi pomysłami. Mnie tam było wszystko jedno, że pisze precz swoje kawały, ale obawiałem się, żeby, rozjątrzona ignorowaniem tych listów, że zjawiała się którego dnia we własnej osobie i nie zrobiła nam skandalu w zakładzie. Należało spodziewać się wszystkiego.

Przeżyliśmy tak parę tygodni, podczas których wzdrygaliśmy się na każdy dzwonek u bramy. Spodziewałem się wizyty Madelon lub, co gorsza, władz sądowo-śledczych.

Ile razy policjant Mandamour przychodził na partijkę wcześniej niż zwykle, zadawałem sobie pytanie, czy nie miał za pasem wezwania, ale w owym czasie

był on jeszcze bardzo uprzejmy i spokojny. Dopiero później i Mandamour zaczął się zmieniać w sposób znamieny. Wtedy przegrywał jeszcze prawie codziennie we wszystkie gry z całym spokojem. Jeżeli zmieniło się jego usposobienie, to była zresztą w tem nasza wina.

Pewnego wieczoru, żeby się czegoś jeszcze nauczyć, zapytałem go się, dlaczego on nie może nigdy wygrać w karty, w gruncie rzeczy nie miałem racji pytać się o to Mandamoura, tylko przez moją manję, żeby wiedzieć „dlaczego?“ „jak“? Zwłaszcza że nie grało się na pieniądze! Rozprawiając o jego braku szczęścia w grze, podszedłem doń i zbadawszy go dobrze, zauważyłem, że był w poważnym stopniu dalekowidzem. Istotnie w tem oświeceniu, w jakim byliśmy, z trudem odróżniał trefl od kara. To nie mogło tak trwać.

Zrobiłem porządek z jego oczami, ofiarowując mu piękne okulary. Z początku był bardzo rad po spróbowaniu szkieł, ale to nie trwało długo. Ponieważ dzięki okularom grał lepiej, przegrywał mniej niż dawniej i wbił sobie w głowę, żeby nie przegrywać wcale. To było niemożliwe, więc szachrował. A gdy zdarzyło mu przegrać pomimo szachrajstw, dąsał się na nas całymi godzinami. Krótko mówiąc, stał się niemożliwy.

Byłem zmartwiony, Gustaw gniewał się o byle co i na dobitkę szukał okazji, żeby i nas irytować, przysparzać nam niepokojów i trosk. Gdy przegrał, mścił się na swój sposób... A, powtarzam, nie graliśmy na pieniądze, tylko dla rozrywki i satysfakcji wygrania... Mimo to był wściekły.

Tak oto pewnego wieczoru, gdy mu się nie wiodło, odezwał się do nas na odchodnym: „Panowie, chcę

wam powiedzieć, żebyście się mieli na baczności! Zadzajecie się z takimi ludźmi, że ja na waszym miejscu, uważałbym!.. Jest między innymi jedna brunetka, która od wielu dni przechodzi przed waszym domem!... O wiele za często, na mój rozum!... Ma jakieś powody!... Jakby przyszła do którego z was rozmówić się, nie byłbym zdziwiony!...“

Oto jak Mandamour rzucił na nas tę niebezpieczną rzecz, odchodząc. Nie chybił we wrażeniu, jakie to wywarło!... Mimo to opanowałem się natychmiast. „Dobrze. Dziękuję Gustawowi! odpowiedziałem bardzo spokojnie... Nie mam pojęcia, co to może być za brunetka, o której mówicie?... Żadna z naszych byłych pacjentek nie miała, o ile mi wiadomo, powodu skarżyć się na naszą opiekę... Idzie pewno znowu o jakąś biedną pomyłką... Odnajdziemy ją... Zresztą, macie rację, zawsze lepiej wiedzieć... Jeszcze raz dziękuję Gustawowi, że nas uprzedził... Dobranoc!“

Robinson, pod wrażeniem tego co usłyszał, nie mógł wstać z krzesła. Gdy policjant poszedł sobie, zbadaliśmy otrzymaną informację wszechstronnie. Mogła to być mimo wszystko inna kobieta, nie Madelon... Włóczyło się tak, pod oknami zakładu, wiele innych. Jednak istniało poważne przypuszczenie, że to ona, i ta obawa wystarczała, żeby nam napędzić pietra. Jeżeli to ona, jakie ma teraz zamiary? I z czego ona mogła żyć tyle miesięcy w Paryżu? Jeżeli miała się zjawić wreszcie we własnej osobie, trzeba było się zastanowić, poczynić jakieś zarządzenia, natychmiast.

— Słuchaj, Robinson, powiedziałem, decyduj się, pora już, i nie wracaj tu więcej... Co chcesz zrobić? Czy masz ochotę wracać z nią do Tuluzy?

— Nie! mówię ci wyraźnie. Nie i nie! — Oto jego odpowiedź. To było stanowcze.

— Dobrze! powiedziałem na to. Ale w takim razie, jeżeli istotnie nie chcesz wracać z nią, najlepiej byłoby, moim zdaniem, żebyś wyjechał za zarobkiem zagranicę, przynajmniej na pewien czas. W ten sposób pozbędziesz się jej napewno... Ona tam za tobą nie pojedzie, prawda?... Jesteś jeszcze młody... Jesteś znowu silny... Wypocząłeś... Dostaniesz trochę pieniędzy i szczęśliwej podróży!... Oto moja rada! Zdajesz sobie sprawę, że tutaj nadmiar złego niema dla ciebie żadnej przyszłości... Obecny stan nie może trwać bez końca!...

Gdyby mnie był posłuchał, gdyby pojechał wówczas, toby mi bardzo dogadzało, sprawiłoby mi przyjemność. Ale on nie zgodził się.

— Kpisz sobie ze mnie Ferdynandzie, czy co! odparł... To nieładnie, w moim wieku... Przyjrzyj no mi się dobrze!... Nie chciał wyjechać. Był poprostu znużony włóczęgą.

— Nie chcę się stąd ruszać... powtarzał... Możesz sobie gadać... Możesz sobie robić co chcesz... Nie pojedę już nigdzie...

Oto jak odpowiadał na moją przyjaźń. Nalegałem jednak.

— A jeżeli, przypuścmy, Madelon cię zadenuncjuje w sprawie matki Heurouille?... Sam mnie mówiłeś, że jest do tego zdolna...

— To trudno! odparł. Zrobi co zechce...

Takie słowa w jego ustach były czemś nowem, gdyż dawniej fatalność to nie było w jego guście...

— Poszukaj sobie przynajmniej jakiejś pracy obok.

w fabryce, w ten sposób nie będziesz zmuszony być ciągle tutaj, z nami... Gdy przyjdą po ciebie, będzie czas cię uprzedzić.

Parapin podzielał w zupełności moje zdanie w tej sprawie i nawet sam ją jeszcze poruszył przy okazji. Musiał więc uważać za bardzo poważne i pilne to co się między nami działo. Musieliśmy tedy wymyśleć jakiś sposób ulokowania, ukrycia Robinsona. Byliśmy w stosunkach z jednym przemysłowcem, fabrykantem powozów w okolicy, który miał dla nas pewne obowiązki wdzięczności za drobne przysługi wyświadczone mu w krytycznych chwilach. Chciał wziąć na próbę Robinsona, do robót malarskich. To była praca delikatna, nie ciężka i przyzwoicie płatna.

— Leonie, powiedzieliśmy mu, gdy pierwszy raz tam szedł, nie bądź durny na swej nowej posiadzie, nie zdradź się, że nie masz wszystkich klepek w porządku... Przychodź do roboty punktualnie... Nie wychodź przed innymi... Mów wszystkim dzieńdobry... Słowem, zachowuj się dobrze. Jesteś w przyzwoitym warsztacie i jesteś polecony...

Ale oto wsypał się mimo wszystko zaraz i nie z własnej winy, przez szpiega z pewnego warsztatu obok, który go widział jak wchodził do prywatnego gabinetu pryncypała. To wystarczyło. Doniesienie. Pomyłony. Wylanie.

Jeszcze raz więc Robinson spada nam na kark, bez miejsca, w parę dni potem. Fatalne!

I przytem prawie tego samego dnia zaczął znowu kasłać. Badamy go i znajdujemy rżężenia w całym prawym płucu. Musiał siedzieć w domu.

To stało się pewnej soboty wieczorem, przed samym

obiadem. Ktoś chce się ze mną widzieć osobiście, w salonie przyjeść.

Kobieta, anonsują mi.

To była ona, w kapelusiku marquise, w rękawiczkach. Dobrze pamiętam. Nie potrzeba wstępów, przychodziła w samą porę. Odrazu stawiam sprawę na ostrzu noża.

— Madelon, mówię zanim się odezwą, jeżeli chcesz się zobaczyć z Leonem, wołę cię odrazu uprzedzić, że nie masz co się przy tem upierać, możesz iść z powrotem... Jest chory na płuca i na mózg... Dość ciężko przytem... Nie możesz go widzieć... Zresztą on nie ma ci nic do powiedzenia.

— Nawet mnie? nalega.

— Tak, nawet tobie... Zwłaszcza tobie... dodaje.

Myślałem, że się będzie rzucać. Nie, pokiwała tylko głową, tu przede mną, z zaciśniętymi ustami i chciała oczyma odnaleźć mnie tam, gdzie mnie pozostawiła w swem wspomnieniu. Nie byłem już tam. Zmieniłem miejsce, i ja, we wspomnieniu. W danych okolicznościach, mężczyzny, siłacza bałbym się, jej nie miałem się czego obawiać. Była mniej tęga niż ja, jak to się mówi. Zawsze miałem ochotę wyróżnić w taki łeb opętany gniewem, żeby widzieć jak zataczają się głowy w gniewie w takich wypadkach. To, albo ładny czek, tego potrzeba, żeby zobaczyć odrazu, jak zakręcą się za jednym zamachem wszystkie namiętności, lawirujące w jakiejś głowie. To jest piękne, jak piękny manewr zagleń na wzburzonym morzu. Chciałem to widzieć.

Od dwudziestu lat conajmniej prześladowało mnie to pragnienie. Na ulicy, w kawiarni, wszędzie gdzie ludzie, mniej lub więcej napastliwi, małostkowi i cheł-

pliwi, kłóca się. Ale nigdybym się nie odważył, z obawy że dostanę po łbie, a zwłaszcza z obawy wstydu po obiciu. Ale tutaj, ten jedyny raz, okazja była wspaniała.

— Pójdiesz sobie precz? rzuciłem, poto tylko żeby ją jeszcze bardziej rozjątrzyć, doprowadzić do ostateczności.

Nie mogła mnie poznać, że tak do niej mówię. Zaczęła się uśmiechać, aż mnie przeszły ciarki, jakgdybym był dla niej śmieszny i bez znaczenia... „Chlast! Chlast!“ Wyciąłem jej dwa policzki, że ogłuszyłyby osła.

Padła na dużą różową kanapę naprzeciw, przy ścianie, z głową w dłoniach. Dyszała szybko i jęczała jak psiak zanadto zbity. Potem jakby zastanowiła się, raptem wstała, lekka, gibka i minęła drzwi nie odwracając nawet głowy. Nic nie widziałem. Wszystko trzeba było zaczynać od początku.

Ale na nic się nie zdały nasze sposoby, ona miała więcej przebiegłości niż my wszyscy razem. Dowód, że zobaczyła się ze swym Robinsonem i to tak jak chciała... Pierwszym, który ich zdybał razem, był Parapin. Siedzieli na werandzie kawiarni nawprost dworca Wschodniego.

Ja już się domyślałem, że oni się widują, ale nie chciałem, żeby widać było iż interesuję się ich stosunkiem. To mnie właściwie nie obchodziło. On pełnił swoją służbę w zakładzie, wcale zresztą nieźle, przy paralyticsach, czyścił ich, mył, zmieniał im bieliznę, dawał im pić, robota najbardziej niewdzięczna. Nie mogliśmy więcej od niego żądać.

Jeżeli korzystał z popołudniowych godzin, kiedy go posyłałem do Paryża za sprawunkami, żeby się widzieć ze swoją Madelon, to jego rzecz. W każdym razie myśmy już nie widzieli jej w Vigny-sur-Seine potem jak dostała po gębie. Ale myślę, że musiała potem nagadać mu ładnych świństw na mój rachunek!

Nie rozmawiałem już z nim nawet o Tuluzie, tak jakby nic nie zaszło.

Sześć miesięcy przeżyliśmy w ten sposób, radzi nie-radzi, a potem otworzył się wakans w naszym personelu i niespodzianie potrzebowaliśmy nagwałt pielęgniarki znającej się dobrze na masażach, nasza odeszła bez wymówienia, żeby wyjść zamąż.

Dużo pięknych dziewczyn zgłosiło się na tę posadę, tak że mieliśmy kłopot w wyborze wśród tylu silnych

istot różnych narodowości, przybyłych do Vigny jak tylko ukazało się nasze ogłoszenie. Wreszcie zdecydowaliśmy się przyjąć pewną Słowaczkę, imieniem Zofję, której postawa, ruchy zwinne i wraz tkliwe, nadzwyczajne zdrowie, trzeba przyznać, zrobiły na nas nieodparte wrażenie.

Ta Zofja umiała bardzo mało po francusku, ale ja oświadczyłem gotowość, to była z niej strony minimalna uprzejmość, dawać jej lekcje bez zwłoki. Zresztą kontakt z tą świeżą dziewczyną przywrócił mi gust do nauczania. A przecież Baryton zrobił wszystko, żeby mi je zmierzić. Niepoprawny! Ale bo też co za młodość! Jaka werwa! Co za muskulatura! Jakie usprawiedliwienie dla mnie! Gibka! Nerwowa! Nadzwyczajna! Tej urody nie pomniejszała żadna fałszywa czy prawdziwa wstydlivość, które tak krępują rozmowy zbyt zachodnie. Co do mnie, dość powiedzieć, że nie mogłem się nasycić zachwytem nad nią... Od mięśni do mięśni szedłem, według grup anatomicznych... Stokami muskulatury, okolicami... Ta jędrność, lecz wraz smukłość, rozłożona na płaszczyzny, to umykające się, to przyzwalające przy dotykaniu, nie miałem nigdy dość posuwania się po niej... Pod aksamitną skórą wyprężona, odprężona, cudowna...

Era tych żywych uciech, wielkich niezaprzeczalnych harmonij, fizjologicznych, porównawczych i takich które jeszcze nadejdą... Ciało, bóstwo macane memi sromotnymi rękami... Ręce uczciwego mężczyzny, ten nieznaną ksiądz... Naprzód pozwolenie Śmierci i Słów... Ileż cuchnących ceregieli! Umazany grubem błotem symboli i wypikowany aż do głowy wydzielinami artystycznymi, mężczyzna dystyngowany zrobi swoje...

A potem niech się dzieje co chce! Dobry interes! Oszczędność, bo ostatecznie będzie się podniecał tylko wspomnieniami... Posiada się reminiscencje, można ich sobie kupić, pięknych i przepysznych, raz na zawsze... Życie to jest coś bardziej złożonego, zwłaszcza życie kształtów ludzkich. Okrutna przygoda. Niema bardziej beznadziejnych. Wobec tej namiętności do kształtów doskonałych kokaina to tylko zabicie czasu dla zawiadowców stacyj.

Ale wracajmy do naszej Zofji! Sama jej obecność wydawała się zuchwalstwem w naszym domu, zadąsanym, bojaźliwym i podejrzanym.

Po pewnym czasie współżycia byliśmy oczywiście wciąż bardzo radzi, że mamy ją wśród naszych pielęgniarek, ale jednocześnie nie mogliśmy oprzeć się obawie, że pewnego dnia zacznie psuć zespół naszych nieskończonych ostrożności lub poprostu uświadomi sobie nagle pewnego pięknego poranka naszą nędzną rzeczywistość...

Zofja nie знаła jeszcze sumy naszych pleśniejących pożądań! Banda wykolejeńców! Uwielbialiśmy ją żyjącą przy nas, że poprostu wstaje rano, przychodzi do naszego stołu, znowu odchodzi... Zachwycała nas...

I za każdym razem, gdy wykonywała te takie proste ruchy, doznawaliśmy uczucia niespodzianki i radości. Robiliśmy jakby postępy w poezji przez to samo, żeśmy podziwiali, iż jest taka piękna i o tyle bardziej nieświadoma niż my. Rytm jej życia tryskał z innych źródeł niż nasze... Wiecznie pełzające były nasze, niemrawe.

Ta moc radosna, dobitna, a wraz słodka, jaka ją ożywiała od włosów do kostek, mąciła naszą egzysten-

cję, niepokoiła nas w sposób uroczy, ale niepokoiła nas, to jest właściwe słowo.

Nasza zgryźliwa znajomość rzeczy tego świata boczyła się raczej na tę radość, jeżeli instynkt widział w tem swój zysk, była tam zawsze obecna świadomość, w gruncie rzeczy lękliwa, ukryta w lochu egzystencji, podlegała temu co najgorsze, z przyzwyczajenia, z doświadczenia.

Zofja miała ten chód uskrzydłony, gibki i dokładny, który spotyka się tak często, prawie zwykle u kobiet Ameryki, chód dużych istot przyszłości, ambitny i lekki, który życie niesie jeszcze ku nowym rodzajom przygód... Trójmasztowiec świeżej radości, w drodze w Nieskończoność...

Parapin, który przecież nie należał do ludzi bardzo lirycznych w tych zagadnieniach siły przyciągania, uśmiechał się do siebie, skoro tylko wyszła... Od samego patrzenia na nią robiło się dobrze na duszy. Zwłaszcza, słuszność każe przyznać, na mojej, która niczego już nie pragnęła.

Żeby ją zaskoczyć, dać jej stracić coś z tej wspaniałości, z tej jakiejś władzy i prestiżu, jaki Zofja zdobyła nade mną, żeby ją, jednym słowem, pomniejszyć, uczłowieczyć nieco na naszą lichą miarę, wchodziłem do jej pokoju, gdy spała.

Zofja śpiąca to był zupełnie inny widok, poufały a jednak zadziwiający i wraz pokrzepiający. Bez parady, prawie nieokryta, rzucona niemal wpoprzek łóżka, uda rozstawione, ciało wilgotne i rozłożone, rozprawiła się ze zmęczeniem...

Zofja znęcała się nad snem w głębokościach ciała, chrapała od tego. To był jedyny moment, kiedy uwa-

żałem ją za dostępną dla mnie. Żadnych już urzeczeń. Żadnych śmiechów. Sama powaga. Pracowała teraz jakgdyby na odwrotnej stronie egzystencji, ciągnęła z niej jeszcze życie... Żarłoczna była w tych chwilach, nawet pijana od ustawicznego powrotu do tej pracy. Warto ją było widzieć po tych seansach spania, jeszcze nabrzmiałą całą, a pod różową skórą organy, wciąż w stanie ekstazy. Zabawna wtedy była, śmieszna jak każda inna. Potykała się jeszcze z błogości przez kilka chwil, i potem cała światłość dnia padała znów na nią, i jakby po przedarciu się przez zbyt ciężki obłok, promienna, wyzwolona, wzbijała się znowu w jawę.

Można pięścić to wszystko. To jest bardzo przyjemnie dotknąć tego momentu kiedy materja staje się życiem. Człowiek wznosi się aż do nieskończonego rozłogu, otwierającego się przed ludźmi. Uf! i uf! Rozkoszuje się tem ile może, i to jest niby wielka pustynia...

Z pośród nas, raczej przyjaciół niż zwierzchników, ja byłem, sędzę, najbliższy. No, zdradzała mnie regularnie, to można śmiało powiedzieć, z pielęgniarszem pawilonu dla niespokojnych chorych, byłem strażakiem, dla mego dobra, jak mi tłumaczyła, żeby mnie nie przeciążać z uwagi na prace umysłowe, które miałem w toku i które niebardzo dały się pogodzić z wybuchami jej temperamentu. Tylko dla mego dobra. Przyprawiała mi rogi ze względów higienicznych. Trudno.

To wszystko dawałoby mi w ostateczności tylko przyjemność, ale sprawa z Madelon tkwiła mi w głowie. Wreszcie pewnego dnia opowiedziałem całą historję Zofji, żeby zobaczyć, co ona na to powie. Trochę mi to ulżyło zwierzyć jej się z mych kłopotów. Do-

prawdy dość już miałem dysput bez końca i uraz wynikłych z powodu ich niefortunnych amorów i Zofja pod tym względem przyznawała mi zupełną rację.

Uważała że, skoro ja i Robinson jesteśmy przyjaciółmi, powinni się wszyscy pogodzić, prosto, grzecznie i czempredzej. To była rada płynąca z dobrego serca. Dużo jest takich dobrych serc w Europie Środkowej. Tylko że ona nie znała się dobrze na charakterach i reakcjach ludzi tutejszych. W najlepszej w świecie intencji radziła mi całkiem naopak. Spostrzegłem się, że była w błędzie, ale zapóźno.

— Powinienbyś zobaczyć się z Madelon, radziła mi, to musi być w gruncie rzeczy miła dziewczyna, według tego co mi o niej mówisz... Tylko ty, tyś ją sprowokował i byłeś dla niej taki brutalny i obrzydliwy!... Powinienes ją przeprosić i nawet dać jej jakiś ładny prezent, żeby zapomniała... Tak się załatwiało takie rzeczy w jej ojczyźnie. W rezultacie doradzała mi kroki bardzo szarmanckie, ale niepraktyczne.

Poszedłem za jej radami, zwłaszcza że dostrzegłem w zakończeniu tych wszystkich kwasów, tych kroków dyplomatycznych i tych póź możliwość zabawy we czwórkę, która byłaby wówczas rzetelną rozrywką, nawet odświeżającą. Moja przyjaźń stawała się, notuję to z przykrością, pod naciskiem wydarzeń i wieku skrycie erotyczna. Jeśli to miała być zdrada, to Zofja bezwiednie pomagała mi zdradzić w owej chwili. Natura wyśmienita, za grosz nie protestancka i nie pragnąca zmniejszać w czemkolwiek okazji życiowych, z zasady ufająca życiu. W sam raz mój rodzaj. Szła jeszcze dalej. Rozumiała konieczność zmiany w rozrywkach płciowych. Śmiałe usposobienie, djabło rzadkie, trzeba

przyznać, u kobiet. Stanowczo, dobry zrobiliśmy wybór.

Chciała, i uważałem to za całkiem naturalne, bym mógł jej udzielić jakichś szczegółów o powierzchowności Madelon. Bała się, że się wyda niezręczna przy Francuzce, w bliższym obcowaniu, nadewszystko z racji renomy artystek w tej dziedzinie, jaką Francuzkom wyrobiono zagranicą. Znosić jednocześnie na dobitkę Robinsona, decydowała się tylko, żeby mi sprawić przyjemność. Robinson wcale jej nie podniecał, jak mi mówiła, ale w rezultacie byliśmy w zgodzie. To było najważniejsze. Dobra nasza.

Poczekalem trochę, żeby nastęczyła się należyta okazja do rzucenia Robinsonowi kilku słówek co do mego projektu generalnego pogodzenia się. Pewnego ranka, gdy Robinson był zajęty w biurze działu gospodarczego wpisywaniem uwag lekarskich do głównej księgi, chwila wydała mi się stosowna do mego wystąpienia i przerwałem mu robotę, pytając prosto, coby powiedział gdybym porobił kroki wobec Madelon, żeby niedawna gwałtowna przeszłość poszła w zapomnienie... I czy nie mógłbym przy tej samej okazji przedstawić jej Zofji, mojej nowej przyjaciółki? I wreszcie czy nie uważa, że nadszedł dla wszystkich moment porozumieć się ostatecznie i w miły sposób.

Z początku wahał się trochę, widziałem dobrze, potem odpowiedział mi, ale bez zapału, że nie ma nic przeciw temu... W gruncie rzeczy, myślę, Madelon oznajmiła mu, że ja będę próbował zobaczyć się z nią niebawem pod tym czy owym pretekstem. O uderzeniu w twarz, gdy była w Vigny, nie wspomniałem ani słowem.

Nie mogłem ryzykować, że mnie zbeszta, tutaj i na-
wymyśla mi od chamów przy ludziach, boć ostatecznie,
choć byliśmy w przyjaźni oddawna, w tym domu był
jednak moim podwładnym. Poważność zwierzchnika
przedewszystkiem.

Dobrze się składało, że można było zrobić te zabiegi
w styczniu. Postanowiliśmy, bo tak było wygodniej, że
spotkamy się wszyscy w Paryżu którejś niedzieli, że
potem pójdzie się razem do kina i może zajrzy się
jeszcze na początek na zabawę ludową w Batignolles,
jeżeli nie będzie za zimno na dworze. Madelon prze-
padała za zabawą ludową, dowiedziałem się od Robin-
sona. Dobrze się składało! Przy widzeniu się znowu
po raz pierwszy, lepiej że to się odbędzie w nastroju
świętecznym.

Można powiedzieć, że miało się pełne oczy zabawy!
I pełną głowę też! Bim i bum! I jeszcze bum! A niech-
że cię pokręcę! Niechże cię porwę! I niech cię powy-
wracam! I otośmy wszyscy w tłumie, w rejwach, ze
światłami, z wrzawą i ze wszystkim! Jazda, kto
zręczniejszy. Śmielszy i lepszy do zabawy! Husia siu-
sia! Każdy chciał w swem palcie wyglądać morowo,
mieć minę swobodną, ale jednak trzymać fason, żeby
pokazać ludziom, iż zazwyczaj bawimy się gdzieindziej,
w miejscach znacznie droższych, „ekspensownych“ jak
się mówi po angielsku.

Przybierało się miny cwanych, żwawych wesołków,
mimo zimnego wiatru, upokarzającego też, i tej depry-
mującej obawy, żeby się zanadto nie rozbijać i nie za-
łować tego jutro, może nawet przez cały tydzień.

Z karuzeli idzie wielkie odbijanie się muzyki. Nie
udaje się karuzeli wyrzygać swego walca z Fausta, ale
wysila się, robi wszystko co może. Spada z niej walc
i znowu się owija dokoła okrągłego sufitu kręcącego
się z setką swych jarzących się ciastek z żarówek. To
niezdrowo. Organki boli brzuch w rurach od muzyki.
Chcą państwo nugatu? A może lepiej cukierki w to-
rebce? Do wyboru!...

Przy strzelaniu najzręczniejsza z nas to Madelon,
w kapeluszu z czoła. „Widzisz! woła do Robinsona.
Nie drży mi ręka! A przecie wstawiliśmy zdrowo!“ To
żeby wam oddać dokładny ton rozmowy. Wychodzi-
liśmy z restauracji. „Jeszcze raz!“ Madelon wygrywa

butelkę szampana! „Ping i pong! I w sam środeczek!“ Zakładam się z nią, że nie pobije mnie w autodromie. „Siupaj!“ woła rozochociona. „Każdy jeden swoją damę!“ I hop! Byłem kontent, że się zgodziła. To była okazja do zbliżenia się z nią. Zofja nie była zazdrosna. Miała swoje powody.

Siada więc Robinson z Madelon ztyłu do jednej kadi, a ja z przodu do innej z Zofją, i wlepiamy sobie porcję zdrowych zderzeń! Wpadam na ciebie! Chwytam się ciebie! Ale widzę odrazu, że Madelon tego nie lubi, żeby ją potrącać. Zresztą Leon też, nie chce już tego. Tak wygląda, jakby nie czuł się dobrze z nami. W przejściu, gdy zaczepiamy się o linkę barjery, młodzi marynarze zaczynają nas łechtacz siłą, mężczyźni i kobiety, robią nam propozycje. Wzdrygamy się. Opędzamy. Śmiech. Zewsząd przychodzą łechtacz, i jeszcze z muzyką, z zapalem, z rytmem! W tych jakby beczkach na kółkach doznaje się takich wstrząsów, że za każdym wpadnięciem na siebie oczy wyłazą z orbit! To jest zabawa, no! Gwałt ze śmiechem! Cała gama przyjemności! Chciałem pojednać się kompletnie z Madelon, zanim opuścimy zabawę. Zależy mi na tem, ale ona wcale nie odpowiada na moje zabiegi. Nie, wyraźnie. Nawet dąsa się na mnie. Trzyma mnie zdaleka. Jestem zakłopotany. Wracają jej humory. Spodziewałem się czegoś lepszego. Na twarzy też się zresztą zmieniła, i we wszystkim.

Uważam, że przy Zofji ona traci, jest przyćmiona. Z uprzejmością bardziej jej było do twarzy, ale można by pomyśleć, że teraz zna rzeczy wyższe. To mnie drażni. Chętniebym ją jeszcze raz spoliczkował, żeby zobaczyć, czy jeszcze raz przyjdzie, albo niech mi po-

wie, co ona zna wyższego. Do licha, uśmiechy! Jest się na zabawie nie poto, żeby beczyć! Trzeba się bawić!

Znalazła pracę u ciotki, opowiada Zofji, potem, gdyśmy szli. Ulica du Rocher, ciotka gorseciarka. Trzeba jej wierzyć.

Nietrudno było zdać sobie sprawę od tej chwili, że, jako pogodzenie się, to spotkanie było chybione. Dla mej kombinacji również to było chybione. To było nawet bankructwo. Nie należało starać się zobaczyć. Zofja, ona nie rozumiała jeszcze dobrze sytuacji. Nie czuła, że to spotkanie tylko skomplikowało sprawę... Robinson powinien był mnie uprzedzić, że była do tego stopnia zawzięta... Szkoda! No nic! Siup! Siup! Było nie było! Jazda na „Caterpillar“! jak to nazywają. Ja proponuję, ja płacę, usiłuję jeszcze raz zbliżyć się do Madelon. Ale ona ciągle ucieka, unika mnie, korzysta że jest tłok i wchodzi na inną ławkę z przodu, z Robinsonem, jestem odstawiony. Fale i wiry ciemności oszalamiają nas. Nie da rady, powiedziałem sobie w konkluzji pocichu. I Zofja jest wreszcie tego samego zdania. Rozumie ona, że w tem wszystkim byłem ofiarą mej sprośnej wyobraźni. „Widzisz! Ona się gniewa! Myślę, że najlepiej zostawić ich teraz w spokoju... A my może pojedziemy sobie do Chabanais¹⁾ przed powrotem do domu“... Ta propozycja bardzo podobała się Zofji, bo nieraz słyszała o Chabanais, gdy była jeszcze w Pradze i rada była zwiedzić teraz Chabanais, żeby mieć o tem własny sąd. Ale obliczyliśmy że Chabanais zadrogoby nas kosztował w stosunku do

¹⁾ najbardziej luksusowa... „świątynia Erosa“ w Paryżu. *Przyp. tłum.*

tej kwoty jaką wzięliśmy ze sobą. Trzeba więc było wrócić do zabawy na miejscu.

Gdyśmy byli w „Caterpillar“, Robinson musiał mieć scenę z Madelon. Oboje zeszli zupełnie zagniewani z tej karuzeli. Stanowczo, tego wieczoru była w bardzo złym humorze. Żeby załagodzić sprawę, zaproponowałem im rozrywkę bardzo absorbującą, konkurs łowienia butelek za szyjki. Madelon wzięła się do tego z kwaśną miną. Tymczasem wygrała wszystko co chciała. Trafiała swym pierścieniem akurat pod sam korek i wyławiła butelkę wraz z uderzeniem dzwonka. Raz, dwa, trzy! Klik! i gotowe. Właściciel budy nie mógł się wydziwić. Wręczył jej wygraną „pół butelki Grand Duc de Malvoison“. Dowód, jaka była zręczna, a przecież nie była zadowolona. „Nie wypije jej“ oświadczyła nam zaraz... „że to niedobre“... Więc Robinson odkorkował butelkę, żeby sam wypić. Wygolił jednym haustem. To było dziwne z jego strony, bo on, można powiedzieć, nie pił nigdy.

Potem przechodzimy obok strzelnicy z weselem z cynku. Bęc! Bęc! Walimy wszyscy twardemi kulami. To smutne, że ja nie jestem zręczny... Winszuję Robinsonowi. On też mnie bije w każdej grze. Ale jego zręczność również nie wywołuje w nim uśmiechu. Wygląda na to jakbyśmy ich oboje wciągnęli stanowczo w prawdziwą pańszczyznę. Niema sposobu ożywić ich, rozchmurzyć. „Na zabawie jesteśmy, do licha!“ drę się, czując że moja pomysłowość jest już wyczerpana.

Ale to ich nic nie obchodziło, że im chcę dodać bodźca i trąbię im takie rzeczy w ucho. Nie słyszeli mnie. „No a młodość? pytam ich się. Co się z nią zrobiło?... Więc młodość już się nie bawi? Co ja powinienbym

powiedzieć, ja co mam dziesięć lat więcej od was? Moja ptaszynko!“ Popatrzyli na mnie, Madelon i on, jak na zaczadzonego, gościa pod gazem, głądziarza, i że niewarto mi nawet odpowiadać... Jakby niewarto było ze mną rozmawiać, bo ja nie zrozumieję z pewnością cokolwiekby mi klarowali... Ani w ząb... Może mają rację? powiedziałem sobie wówczas i popatrzałem niepokojnie dokoła na innych ludzi.

Ale inni ludzie robili to, co należało, żeby się bawić, oni nie trzęśli się tutaj nad swymi drobnymi zmartwieciami. Bynajmniej! Ludzie korzystali z zabawy! Tu za franka!... Tam za pięćdziesiąt centymów!... Światło... kawały, muzyka i cukierki... Kręcili się jak muchy, mając na rękach, na dokładkę, małe poczwarki, sine, wybladłe dzieciaki, które w nadmiarze światła znikają, tak były blade. Odrobina różowego pozostawała dzieciom tylko w miejscu katarów i całusów.

Wśród wszystkich stoisk zaraz rozpoznałem przechodząc „Strzelnicę Narodów“, pamiątkę, nic nie wspomniałem o tem towarzyszącej. Oto już piętnaście lat — powiedziałem sobie, tylko dla siebie. — Oto minęło piętnaście lat... Chwila obrachunku! Straciło się kompanów po drodze! Sądziłem, że nie wylezie nigdy z błota, w którym tkwiła tam, w Saint-Cloud, „Strzelnica Narodów...“ Ale była odrestaurowana, prawie nowa teraz, z muzyką i ze wszystkim. Nic nie można zarzucić. Walili w nią, w wystawione kartony. Strzelnica ta pracuje zawsze. I jajko wróciło też, jak ja, na środek i podskakiwało w powietrzu na końcu prawie niczego. To kosztowało dwa franki. Przeszliśmy obok, za zimno nam było, żeby próbować, lepiej było chodzić. Ale nie dlatego, żebyśmy nie mieli pieniędzy, mieliśmy jeszcze

pełne kieszenie monety, brzęczącej, muzyczka kieszeni.

Popróbowalbym Bóg wie czego w owej chwili, żeby zmienić nastrój, ale nikt się do tego nie przykładał. Gdyby Parapin był z nami, byłoby z pewnością jeszcze gorzej, bo on był taki smutny przy ludziach. Na szczęście, pozostał pilnować zakładu. Co do mnie, żałowałem bardzo że przyszedł. Madelon zaczęła się jednak śmiać, ale jej śmiech wcale nie był przyjemny. Robinson parskał obok niej, tak do wtóru. Zofja naraz zaczęła z nami żartować. Do kompletu.

Gdyśmy przechodzili obok baraku fotografa, artysta wypatrywał nas, że się namyślamy. Nie zależało nam na fotografowaniu się, z wyjątkiem może Zofji. Ale oto jednak stoimy przed jego aparatem wskutek wahań się przed wejściem. Poddaliśmy się jego rozwlekłej komendzie, tam, na kartonowym mostku, który on musiał sam zbudować, rzekomego statku „La Belle France”. Taki był napis na fałszywych kołach ratunkowych. Staliśmy tak dobrą chwilę, z oczyma wlepionymi przed siebie, stawiając czoło przyszłości. Inni klienci czekali niecierpliwie, żeby zejść z mostku, i już mścili się za czekanie, uważając, że jesteśmy obskurne typy, nadomiar mówili to nam i na cały głos.

Korzystali, że nie mogliśmy się ruszać. Ale Madelon, ona się nie bała, zwymyślała ich w odwet z całym południowym akcentem. Było dobrze słyszeć. Jako odpowiedź, to było mocne.

Magnezja. Każdemu kwitek. Dla każdego fotos. Jest się brzydszym niż przedtem. Przez płótno pada. Ma się stopy pokonane od spodu, przez zmęczenie dobrze prze-

marźnięte. Wiatr wdarł się nam wszędzie podczas pozowania, nawet palto wkońcu ledwie istniało.

Trzeba znowu zacząć spacerować między barakami. Nie śmiałem proponować powrotu do Vigny. Było za wcześnie. Sentymentalne organki karuzeli korzystają z tego, że człowiek już trząsł się z zimna, żeby dać jeszcze podygotać jego nerwom. Z bankructwa całego świata śmieje się instrument. Ryczy na swych srebrzonych fujarkach, wzywając do odwrotu, powietrze pęknie w mroku obok, wśród zasikanych ulic, schodzących ze wzgórza Buttes.

Młode służące bretonki kaszlą daleko więcej niż ostatniej zimy, to prawda, gdy dopiero przyjechały do Paryża. Ich uda żyłkowane na zielono i niebiesko ozdabiają jak mogą rzędy na drewnianych koniach. Chłopaki z Owernji, którzy za nie płacą, przezorni funkcjonariusze pocztowi, nie zadają się z nimi inaczej jak w płaszczykach, wiadomo. Nie chcą złapać drugi raz. Służące kręcą się i wiercą w oczekiwaniu miłości, w harmidrze djablo melodyjnym karuzeli. Trochę je mdli, ale mimo to pozują przy szczęściu stopniach, bo to jest chwila doniosła, chwila spróbowania swej młodości na ostatecznym kochanku, który może jest już zdobyty, skulony wśród hołoty w tej skostniałej ciżbie. Miłość nie śmie jeszcze. Wszystko jednak przyjdzie, jak w kinie, a wraz z tem i szczęście. Będzie cię pieścił przez jeden wieczór i już nigdy cię nie opuści, ten panicz... Bywały takie rzeczy, to wystarcza. Zresztą on jest dobrze wychowany, zresztą jest piękny, zresztą jest bogaty.

W kjosku obok, koło metra, przekupka pluje na przyszłość, drapie sobie wolno swe stare zapalenie spo-

jówki pazurami, wywołując ropienie. To jest przyjemność bez rozgłosu i zadarmo. Sześć lat już oto trwa jej tak to oko i swędzi ją coraz bardziej.

Spacerowicze, rozbici na kupy przez chłód, tłoczą się do loterii. Bez skutku. Piecyk uliczny z cudzego tyłka. Drepcą tedy szybko na miejscu i lecą ogrzać się w zwojach tłumu, który się utworzył naprzeciwko, przy cieleciu o dwóch głowach.

Pod osłoną publicznego pisuaru niski młodzieniec, na którego czyha bezrobocie, robi ofertę jakiejś prowincjonalnej parze, pokraśniałej z emocji. Agent policji obyczajowej dobrze zrozumiał kombinację, ale pluje na to, jego posterunek w tej chwili to jest wyjście z kawiarni Miseux. Od tygodnia zasadził się na kawiarnię Miseux. To może się odbywać tylko albo w sklepiku z tytoniem, albo w pakamerze księgarza sprośniarza obok. W każdym razie oddawna jest sygnalizowane. Jeden z nich stręczy, jak powiadają, nieletnie dziewczyny, które niby to sprzedają kwiaty. Znowu anonimy. „Kasztan“ z rogu, jako posiłkowy, też szpicluje na swoje konto. Musi zresztą. Wszystko co jest na trotuarze, należy do policji.

Coś na podobieństwo karabinu maszynowego, co słychać trzaskające wściekle w powietrzu w tej stronie, nagłemi podrywami, to tylko motocykl typu „Dysk Śmierci“. Jeździ nim jakiś zbieg z domu warjatów, powiadają, ale to nie jest pewne. W każdym razie już dwa razy się rozbił tutaj, a już dwa lata temu w Tuluzie. Niechże więc skończy raz ze swoją maszyną! Niech skręci kark nadobre i żeby więcej o nim nie było słychać! Człowiek się wścieka słysząc go! Tramwaj zresztą również, z tym jego dzwonkiem, zmiążdżył jednakże

dwóch starców z Bicêtre tuż przy barakach w niecały miesiąc. Autobus natomiast to spokojna sztuka. Wjeżdża pocichutku na plac Pigalle, z wszelkimi ostrożnościami, raczej chwiejny, z trąbieniem, zadyszany, ze swemi czterema osobami wśródku, bardzo rozważnemi i wychodzącymi pomaluśku, jak ministranci.

Od stoisk do grup ludzi, od karuzel do loteryj, włączając się nieustannie doszliśmy do końca terenu zabawy, do wielkiej czarnej próżni, gdzie rodziny idą zrobić pipi... Więc półobrót! Wracając zjedliśmy kasztanów, żeby nam się zachciało pić. Zabołały od tego usta, ale pić się nie zachciało. Robaczek też w kasztanach, malutki. Na Madelon to trafiło, jakby umyślnie. Nawet od tej chwili sprawy między nami zaczęły iść zupełnie kiepsko, dotychczas jeszcze się trochę hamowano, ale historia z tym kasztanem doprowadziła ją do furji.

W chwili, gdy szła aż do rynsztoka wypluć robaka, Leon powiedział jej na dobitkę jakoby coś takiego, żeby ją powstrzymać, nie wiem już dobrze co, ani co go napadło, ale ten sposób, iść i pluć do rynsztoka, nagle nie podobał się Leonowi. Zapytał jej się dosyć głupio, czy ona w kasztanie znalazła pestkę?... Nie trzeba też było zadawać jej takiego pytania... I oto Zofja wtrąca się do ich kłótni, nie rozumiała, o co się spierają... Chciała wiedzieć.

To ich jeszcze bardziej rozdrażniło, że wsadza swoje trzy grosze, Zofja, osoba obca, no oczywiście. Akurat gromadka ryczących bubów przechodzi między nimi i rozdziela nas. To była grupa młodych ludzi, którzy rzeczywiście zaczepiali kobiety, ale z minami, z gwiz-

dami, z udawaniem krzyków przestachu. Gdyśmy mogli zejść się znowu, Robinson i ona jeszcze się kłócili.

— No, myślę sobie, najwyższy czas wracać do domu... Jeżeli ich się zostawi tutaj razem jeszcze kilka minut, zrobią nam skandal na samej zabawie... Dosyć na dzisiaj! Wszystko było nieudane, trzeba było przyznać. „Chcesz, żebyśmy poszli?” zaproponowałem mu. Patrzy na mnie z pewnym zdumieniem. Tymczasem wydawało mi się to decyzją najmądrzejszą i najbardziej wskazaną. „Nie macie jeszcze dosyć zabawy?” dodaje. Mruga na mnie, że lepiej spytać o to najpierw Madelon. Chciałem zapytać o zdanie Madelon, owszem, ale nie uważałem tego za bardzo zręczne.

— Ależ Madelon zabierzemy ze sobą! mówię wreszcie.

— Zabierzemy? Gdzież ty ją chcesz zabrać? powiada.

— Do Vigny, ma się rozumieć!

Pałałem głupstwo!... Jedno więcej. Ale nie mogłem się cofnąć, słowo się rzekło.

— Mamy przecie wolny pokój dla niej tam w Vigny! dodaje... Nie brak nam pokoi, chwalić Boga!... Można zresztą urządzić wspólną kolacyjkę przed pójściem spać... Zawsze tam będzie weselej niż tutaj, gdzie dosłownie od dwóch godzin się marznie!... Nie-trudno będzie to zrobić... Madelon nic nie odpowiadała na moje propozycje. Nawet nie patrzyła na mnie, gdy mówiłem, ale mimo to nie traciła ani słowa z tego com powiedział. No, co się rzekło, to się rzekło, wyraźnie.

Gdy znalazłem się trochę na uboczu, podeszła do mnie pocichu zapytać się, czy ja przypadkiem nie chcę

jej zrobić znowu jakiego kawału, zapraszając ją do Vigny. Nic nie odpowiedziałem. Nie można rozmawiać z kobietą tak zazdrosną jak ona, to byłyby znowu preteksty do awantur bez końca. A przytem ja nie wiedziałem dokładnie, o kogo i o co ona jest zazdrosna. Trudno nieraz określić te uczucia, które rodzą się z zazdrości. Wyobrażam sobie, że ona właściwie była o wszystko zazdrosna, jak wszyscy.

Zofja nie wiedziała dobrze, jak się zachować, ale wciąż namawiała tamtą, chcąc być uprzejmą. Wzięła nawet Madelon pod rękę, ale Madelon była zbyt wściekła i do tego rada, że jest wściekła, żeby dać się rozchmurzyć miłem obejściem. Z dużym trudem przeciskaliśmy się przez tłum, żeby dostać się do tramwaju na placu Clichy. Akurat w chwili, gdy mieliśmy złapać tramwaj, pękła chmura nad placem, zaczęło lać jak z cebra. Niebo się zasnuło.

Wszystkie auta zostały wzięte szturmem w jednej chwili. „Nie zrobisz mi przecie afrontu wobec ludzi?... Leonie?” słyszałem jak Madelon pytała go półgłosem tuż przy nas. Kiepsko było. „Ty już masz mnie dość, co?... Powiedz-że, że masz dość? znowu zaczynała. No powiedz? A przecie nie często się ze mną widzujesz!... Ale ty wolisz być sam z niemi dwojgiem, co?... Wy śpicie wszyscy razem, założę się, gdy mnie tam nie-ma?... Powiedz, że wolisz być z niemi niż ze mną!... Powiedz, niech od ciebie usłyszę...” Potem trwała nic nie mówiąc, jej twarz zwierzała się w grymas dokoła nosa, który jej się podnosił i podciągał usta. Czekaliśmy na chodniku. „Widzisz, jak mnie traktują twoi przyjaciele?... Powiedz, Leonie?” znowu zaczynała.

Ale Leon, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie re-

plikował, nie prowokował jej, patrzył w inną stronę, na fasady domów, na bulwar i na samochody.

A jednak to był impetyk w pewnych chwilach, Leon. Ze wiedziała, iż on nie bierze się na te niejako groźby, piłowała go w inny sposób, odrabiając tamto, uderzała w ton czułości, wciąż czekając. „Kocham cię bardzo, mój Leonie, powiedz, słyszysz, że cię bardzo kocham?... Czy choć zdajesz sobie sprawę z tego co ja dla ciebie zrobiłam?... Może niepotrzebnie dziś przyszłam?... Czy mnie nie kochasz troszeczkę, Leonie? To niemożliwe, żebyś mnie wcale nie kochał... Ty masz serce, Leonie, masz jednak trochę serca?... Dlaczego więc gardzisz moją miłością?... Przeżyliśmy piękny sen we dwoje... Jakiś ty jednak okrutny dla mnie!... Tyś wzgardził mojem marzeniem, Leonie! Zbrudziłeś je!... Możesz powiedzieć, żeś zniszczył mój ideał!... Chcesz więc, żebym przestała wierzyć w miłość, powiedz?... A teraz chcesz, żebym odeszła nazawsze? Tego chcesz?...” O to wszystko go pytała, gdy deszcz padał poprzez zasłonę kawiarni.

To kapało z niej przy ludziach. Stanowczo, ona była właśnie taka, jak mnie uprzedził. Nic nie wymyślił, co dotyczyło jej prawdziwego charakteru. Nie mógłbym sobie przedstawić, że tak szybko dojdą do podobnych nateżeń uczuciowych, a tak jednak było.

Ponieważ auta i cały ruch kołowy robił dużo hałasu koło nas, skorzystałem z tego, żeby mimo wszystko szepnąć Robinsonowi do ucha słówko co do sytuacji, żeby spróbować odzepienia się od niej teraz i żeby skończyć z tem wszystkiem czempredzej, skoro się nie udało, rozejść się spokojnie, zanim wszystko skwaśnieje i pogniewają się na śmierć. Tego należało się oba-

wiać. „Chcesz, znajdę dla ciebie pretekst? szepnąłem mu. I żeby każdy poszedł w swoją stronę? — Nie wąż się! odparł. Nie rób tego! Ona jest gotowa dostać tutaj nawet napadu spazmów i nie będzie można już jej powstrzymać!” Nie upierałem się.

Ostatecznie, może Robinsonowi sprawiało to przyjemność, że mu urągała przy ludziach, i pozatem on znał ją lepiej ode mnie. Ponieważ ulewa się kończyła, znaleźliśmy taksówkę. Rzucamy się ku niej i pakujemy się. Z początku nikt do nikogo się nie odzywa. Panowało między nami napięcie, no a ja i tak dosyć już narobiłem głupstw. Mogłem trochę poczekać zanim zacznę nanowo.

Ja z Leonem zajęliśmy składane siedzenia z przodu, a obie kobiety siadły w głębi taksówki. Wieczorami, gdy jest zabawa ludowa, panuje duży tłok na szosie do Argenteuil, zwłaszcza do Porte de Clichy. Potem trzeba liczyć jeszcze z godzinę drogi do Vigny z powodu samochodów. Nieprzyjemnie jest siedzieć naprzeciwko i patrzeć na siebie nic nie mówiąc, zwłaszcza gdy jest ciemno i gdy jedni są trochę niespokojni z powodu drugich.

Bądź co bądź, gdybyśmy byli siedzieli tak, poirytowani, ale każdy w sobie, nicby się nie stało. I dzisiaj jeszcze tak sędzę, gdy o tem pomyślę.

W rezultacie zaczęliśmy do siebie mówić z mego powodu i sprzeczka wznowiła się zaraz i to całą gębą. Człowiek nie wystrzega się nigdy dostatecznie słów, słowa mają niewinny wygląd, z pewnością zgoła nie niebezpieczny, to raczej wiaterki, małe dźwięki z ust, ani zimne, ani gorące, i gdy wejdą uchem, z łatwością są przyjmowane przez niezmierną, szarą i mięką nudę

mózgu. Nie mamy się na baczności wobec słów i nie-
szczęście przychodzi.

Są wśród słów słowa ukryte jak kamienie. Nie roz-
poznaje się ich po specjalnych cechach, a potem jed-
nak człowiek drży przez nie całe życie, całkowite,
i w jego mocnych i w słabych momentach... Wówczas
jest popłoch... Lawina... Po niej człek jest jak powie-
szony, nad wzruszeniami. To jest nawałnica, która
przyszła, która przeszła, zbyt silna dla nas, tak gwał-
towna, że nigdyby się nie myślało, iż to jest możliwe
z samymi uczuciami... Więc nie wystrzegamy się nigdy
dość słów, oto mój wniosek. Ale niech naprzód opo-
wiem, co było...: Taksówka wolno jechała za tramwa-
jem z powodu naprawy jezdni... „Rron... i rron...” war-
czała. Co sto metrów przekop... Tylko, że mnie nie
wystarczał tramwaj przed nami. Zawsze gadatliwy
i dziecinny, niecierpliwiełem się... Nie mogłem znieść
tej pogrzebowej szybkości i tego dokolnego niezdecy-
dowania... Pilno mi było stłuc milczenie, żeby się do-
wiedzieć, co też ono ma w środku. Obserwowałem lub
raczej próbowałem obserwować, bo nic już prawie nie
było widać, Madelon, w jej kącie nalewo, w głębi tak-
sówki. Zwrócona była twarzą nazewnątrz, ku krajobra-
zowi, ku nocy prawdę mówiąc. Stwierdziłem z przykro-
ścią, że była wciąż nabzdyczona. Z drugiej strony, ze
mnie był prawdziwy piłat. Odezwałem się do niej, po
to tylko, żeby obróciła głowę w moją stronę.

— No, Madelon! zapytałem. Może masz jakiś wła-
sny projekt zabawy, z którego nie śmiesz nam się zwie-
rzyć? Chcesz, żebyśmy się gdzieś zatrzymali przed po-
wrotem do domu? To powiedz zaraz?...

— Bawić się! bawić się! odpowiedziała mi tonem,

jakbym ją obraził. Wy zawsze o tem tylko myślicie!
O zabawie!... I raptem cała serja westchnień, głębo-
kich, tak wzruszających, jakie rzadko kiedy słysza-
łem.

— Robię co mogę! odparłem. Dziś niedziela!

— A ty, Leonie? pyta go się. — Czy ty też robisz
wszystko co możesz, powiedz? — To było rzucone
wprost.

— Jak uważasz! odparł.

Patrzałem na nich oboje w chwili, gdy mijaliśmy
latarnie. To był gniew. Madelon nachyliła się wów-
czas, jakby chciała go pocałować. Stanowczo było są-
dzone, żeby tego wieczoru nie ominąć żadnej okazji
do popełnienia gafy.

Taksówka znowu jechała zupełnie wolno z powodu
ciężarówek, ciągnących sznurem przed nami. Właśnie
to go drażniło, że go chce pocałować, i odepchnął ją
dość szorstko, przyznać trzeba. Z pewnością to nie by-
ło miłe jako gest, zwłaszcza, że to było przy nas.

Gdy dojechaliśmy do końca Avenue de Clichy, do Bran-
ny, bórak już zapadł, sklepy zapaliły światła. Pod mo-
stem kolejowym, gdzie każdy dźwięk tak mocno się
zawsze rozlega, słyszę jednak jak znowu go zapytuje:
„Nie chcesz mnie pocałować, Leonie?” Znowu mu pi-
kę wsadziła. On wciąż nie odpowiadał. Raptem obró-
ciła się do niego i zaatakowała wprost. To był afront,
którego nie mogę sobie ścierpieć.

— Co pan zrobił z Leonem, że on stał się taki nie-
dobry? Muszę mu to zaraz powiedzieć!... Co takiego
mu pan znowu powiedział na mnie?... Oto jak mnie pro-
wokow...

— Ależ nic! odpowiadam jej. Nic mu nie gadam!... Nie zajmuję się waszemi swarami!...

A co najlepsze, że to była prawda, że ja o niej nie rozmawiałem wcale z Leonem. Był wolny, to była jego rzecz zostać przy niej czy rozstać się. To mnie nie obchodziło, ale niewarto było próbować przekonać ją, ona już nie miała rozsądku, i znowu zaczęliśmy milczeć, siedząc naprzeciw siebie w taksówce, ale powietrze było wciąż tak naładowane wymyślaniami, że to długo nie mogło potrwać. Mówiąc do mnie przybrała głos cienki, obcy mi dotąd u niej, monotony, jak osoba, zdecydowana na wszystko. Że siedziała cofnięta w kąt taksówki, nie mogłem już prawie widzieć jej gestów i to mi bardzo przeszkadzało.

Zofja przez ten czas trzymała mnie za rękę. Biedna dziewczyna nie wiedziała, gdzie się podziać.

Gdy minęliśmy Saint-Ouen; Madelon wznowiła seans pretensyj, jakie miała do Leona, z frenetyczną obfitością, stawiając mu teraz pytania bez końca i na głos na temat swego uczucia i swej wierności. Dla nas dwojga, Zofji i mnie, to było niesłychanie kłopotliwe. Ale ona była tak wzburzona, że to było jej absolutnie wszystko jedno, że my tego słuchamy, przeciwnie. Oczywiście, to również nie było sprytne z mojej strony, żem ją zamknął w tem pudle razem z nami, tu głos rozbrzmiewał i przy jej naturze to zachęcało ją do zagrania przed nami wielkiej sceny. To był mój jeszcze jeden mądry pomysł, ta taksówka...

Leon nie reagował już zupełnie. Przedewszystkiem był zmęczony wieczorem, spędzonym razem, a następnie zawsze mu się trochę spać chciało, to była jego choroba.

— Uspokój-że się! zdołałem jednak powiedzieć Madelon tak, że usłyszała, rozmówicie się jak przyjedziemy... Macie czas!...

— Przyjedziemy! przyjedziemy! odpaliła mi zupełnie niemożliwym tonem. Przyjedziemy? Nigdy nie przyjedziemy, ja wam to mówię!... Ja mam dosyć waszych wstrętnych manier! ciągnęła, ja jestem porządna dziewczyna!... Jestem więcej warta, niż wy wszyscy razem!... Zgraja świntuchów... Darmo chcecie mnie nabić w butelkę... Nie jesteście tego godni, żeby mnie zrozumieć!... Wy wszyscy razem jesteście zanadto zepsuci, żeby mnie zrozumieć!... Tego wszystkiego co jest czyste i co jest piękne, wy tego już nie możecie zrozumieć!...

Atakowała, jednym słowem, naszą miłość własną, i gadała tak dalej, i naprózno siedziałem ściśle na moim strapontenie i jaknajspokojniej, i nie pisałem ani słowa, nawet nie westchnąłem, żeby jej nie podniecać bardziej, przy każdej zmianie szybkości taksówki wpadała mimo to w trans. Wystarczy w takich chwilach byle co, żeby nastąpił wybuch, i jakgdyby to jej rozkosz sprawiało nękać nas, nie mogła się już powstrzymać, żeby nie pofolgować kompletnie swej naturze.

— I niech wam się nie zdaje, że to wam się tak uda! groziła nam dalej. I że będziecie mogli cichcem pozbyć się dziewczynki! Oho, co to, to nie! Wolę to wam powiedzieć odrazu! Nie, to nie będzie tak, jak sobie życzycie! Podli jesteście wszyscy... Sprowadziliście na mnie nieszczęście. Ja was obudzę, podleców!...

Raptem pochyliła się nad Robinsonem, chwyciła go za palto i zaczęła oburącz nim potrząsać. Nic nie robił,

żeby się od niej uwolnić. Nie wtrącałem się. Można by było nawet pomyśleć, że to Robinsonowi robiło przyjemność, iż jego osoba jeszcze trochę bardziej ją rozjątrza. Parskał śmiechem, co nie było naturalne, kołysał się, gdy ona go besztala, jak pajac na ławeczce, z opuszczonym nosem i miękką szyją.

W chwili, gdy miałem jednak zrobić gest wymówki, żeby przerwać te grubjaństwa, postawiła się sztorcem i mnie samemu wygarnęła... To co miała dawno na wątrobie... Na mnie przyszła kolej, niema co! i przy wszystkich. „Siedź cicho, satyrze! tak mi powiedziała. To nie twoja rzecz, co my mamy z Leonem! Dość mam, mój panie, twoich gwałtów! Rozumiesz mnie! Dosyć mam! Jeżeli raz jeszcze podniesiesz na mnie rękę, nauczy cię Madelon, jak się masz zachowywać!... Kompanom przyprawiać rogi, a potem bić ich kobiety!... Ten to ma tupet, cholera! Nie wstyd ci?“ Słyszac te prawdziwe rzeczy, Leon jakgdyby się trochę ocknął. Już się nie śmiał. Przez chwilę nawet myślałem, czy się nie wyzwiemy, czy nie będziemy się prali, ale przede wszystkim nie było miejsca na bójkę, gdy czworo nas było w taksówce. To mnie uspakajało. Było za ciasno.

Zwłaszcza że teraz jechaliśmy dość szybko bulwarami nad Sekwaną i to trzęsło zanadto, nawet żeby ruszyć się z miejsca.

— Chodź, Leonie! rozkazała mu wówczas. Chodź tu, spytam cię po raz ostatni! Słyszysz mnie, choć tutaj? Niech oni powypadają! Czy ty słyszysz, co ja mówię? — Istna komedja.

— Leon, zatrzymaj auto, co to jest! Zatrzymaj je, a nie, to ja sam zatrzymam!

Ale Leon wciąż nie ruszał się ze swego siedzenia. Był przyśrubowany.

— Więc ty nie chcesz przyjść? zaczęła znowu, nie chcesz przyjść?

Uprzedziła mnie, żebym teraz lepiej siedział cicho. Miałem za swoje. „Nie idziesz?“ powtarzała mu. Takśówka pędziła, teraz droga była wolna i jeszcze bardziej nas rzucało. Jak pakunkami, to tu, to tam.

— Dobrze, rzekła, bo on jej nic nie odpowiadał. Doskonale! Zgoda! Tyś sam tego chciał! Jutro! Rozumiesz, nie dalej jak jutro ja pójdę do komisarza i ja wytłumaczę mu, komisarzowi, w jaki to sposób spadła ze swoich schodów matka Henrouille! Słyszysz mnie teraz, Leon, co?... Kontent jesteś? Już nie robisz głuchego? Albo natychmiast pójdziesz ze mną, albo ja pójdę do komisarza jutro rano!... Więc, chcesz przyjść, czy nie chcesz? Gadaj!... — Groźba była dobitna.

W owej chwili zdecydował się jednak coś jej odpowiedzieć.

— Ale i ty jesteś w tem! odrzekł. Nie możesz zaprzeczyć...

Ta jego odpowiedź bynajmniej jej nie uspokoiła, przeciwnie... „Pluję na to! odpowiedziała mu. Jesteś w tem! Chcesz przez to powiedzieć, że pójdziemy do więzienia oboje?... Że byłam twoją spółniczką?... To chcesz powiedzieć?... I owszem, bardzo chętnie!...“

I raptem zaczęła się śmiać jak histeryczka, jakgdyby nie znała nigdy nic weselszego...

— Ależ ja i owszem, bardzo chętnie, powtarzam ci! Mnie więzienie się podoba, powiadam ci!... Nie myśl, że ja skapcanieję z powodu twojego więzienia! Ale wtedy i ty pójdziesz, co, draniu jeden? Przynajmniej

nie będziesz sobie już kpił ze mnie!... Jestem twoja, tak! ale ty jesteś mój! Trzeba ci było zostać tam ze mną! Ja znam tylko jedną miłość, mój panie! Ja nie jestem kurwa!

I jednocześnie, mówiąc to patrzyła wyzywająco na mnie i na Zofję. Mówiła to wedle wierności, wedle poważania.

Mimo wszystko jechaliśmy jeszcze i on wciąż nie decydował się zatrzymać taksówki.

— Więc nie idziesz? Wolisz iść do katorgi? Dobrze!... Gwiżdżesz na to, że cię zadenuncjuję?... Na to, że cię Kocham?... Też gwiżdżesz, co?... I gwiżdżesz na moją przyszłość?... Ty wogóle gwiżdżesz na wszystko, prawda? Powiedz!

— Tak, do pewnego stopnia, odpowiedział... Masz rację... Ale gwiżdżę na ciebie tak samo, jak na każdą inną... Nie bierz tego tylko za obrazę!... Ty jesteś w gruncie rzeczy miła... Ale ja już nie mam chęci, żeby mnie kochano... Nie znoszę tego!...

Ona nie spodziewała się, że jej powiedzą taką rzecz, prosto w twarz, tutaj, i tak tem była zaskoczona, że nie wiedziała już, jak prowadzić dalej urąganie, które zaczęła. Była zbita z tropu, jednakże przyszła do siebie. „Ach, nie znosisz tego!... Co ty chcesz przez to powiedzieć, że nie znosisz?... Wytłumacz się, podły niewdzięczniku!...”

— Nie! to nie ciebie, wszystkiego nie znoszę! odpowiedział jej. Nie mam ochoty... Nie trzeba o to mieć do mnie pretensji...

— Jakto tak? Powtórz jeszcze raz?... Ja i wszystko? — Starła się zrozumieć. — Ja i wszystko? Wy-

tłumacz-że to? Co to ma znaczyć?... Ja i wszystko?... Nie mów po turecku!... Powiedz mi to po francusku, tu wobec nich, dlaczego mnie teraz nie znosisz? Czy, gdy kochasz, nie staje ci, jak innym, powiedz, draniu jeden? Nie stoi ci wtedy? Odważ się powiedzieć to tutaj?... Wobec wszystkich, że ci nie staje?...

Mimo jej wściekłości trochę pobudzał do śmiechu sposób, w jaki się broniła temi uwagami. Ale nie miałem długiej uciechy, bo ona wróciła do ataku. „A on, ten tutaj, rzekła, czy nie brał mnie ile razy mógł mnie zdybać w kącie! Ta cholera! Od macania. Niech się ośmieli zaprzeczyć mi?... Ale powiedzcie wszyscy, że chcecie zmiany!... Przyznajcie się do tego!... Że czegoś nowego wam potrzeba!... Znudziło się!... Może prawiczki wam się chce? Zgraja rozpustników! Zgraja świń! Dlaczego szukacie pozorów?... Jesteście przesyleni i to cała rzecz! Nie macie nawet odwagi przyznać się do waszej rozpusty! Boicie się jej!”

Wówczas Robnson podjął się odpowiedzieć jej. Wkońcu i on był wzburzony i teraz wrzeszczał tak samo głośno jak ona.

— Mam! odpowiedział jej. Mam odwagę! i z pewnością tyleż co ty!... Tylko że ja, jeżeli chcesz wiedzieć wszystko... kompletnie wszystko... No więc, wszystko mnie odpycha i jest mi wstrętne teraz! Nietylko ty!... Wszystko!... Zwłaszcza miłość!... Tak samo twoja, jak innych... Te kawały z uczuciami co chcesz robić, chcesz żebym ja ci powiedział, do czego to jest podobne? To jest podobne do obłapki w wychodku! Rozumiesz mnie teraz?... A wszystkie uczucia, które wynajdujesz, żebym żył z tobą, to robi na mnie wrażenie obelg, jeśli chcesz wiedzieć... I ty tego nawet się

nie domyślasz, bo to ty jesteś cholera, bo ty nie zdajesz sobie z tego sprawy... I ty tak samo nie domyślasz się nawet, że jesteś odpychająca!... Wystarcza ci powtarzać to, co gładzą inne... Ty uważasz, że to jest w porządku... To ci wystarcza, bo gadały ci inne, że nie ma nic lepszego od miłości i że to chyci z każdym i zawsze... No, więc ja mam gdzieś ich miłość dla każdego!... Zrozumiałaś? Ze mną to już nie chyci, moja panienko... ich parszywa miłość!... Trafiałaś nawywrót!... Zjawiasz się zapóźno! To już mnie nie bierze, i kwita!... I to dlatego djabli cię biorą!... Ty chcesz koniecznie dawać, w tem wszystkim co się dzieje?... W tem wszystkim co się widzi?... Albo też ty nic nie widzisz?... Ja myślę prędzej, że ty to wszystko masz gdzieś!... Robisz kobietę z uczuciem, a jesteś bydle jak mała która... Chcesz żryć zgniłe mięso? Z twoim sosem czułości?... To wtedy ujdzie?... Nie ze mną!... Jeżeli nic nie czujesz, tem lepiej dla ciebie! To znaczy, że masz zatkany nos! Trzeba być takim zdurniałym jak wy wszyscy jesteście, żeby się tem nie brzydzić... Chcesz wiedzieć, co nas rozdziela, ciebie ode mnie?... No więc, między tobą a mną jest całe życie... Czy to ci nie wystarcza przypadkiem?

— U mnie jest czysto, obruszyła się... Można być biedną, a jednak czystą! Kiedyś ty widział, żeby u mnie nie było czysto? To to chcesz powiedzieć, znieważając mnie?... Ja mam ten interes czysty, mój panie!... Ty może nie możesz tego powiedzieć o twoim!... Ani o twoich nogach!

— Ależ ja nigdy tego nie powiedziałem, Madelon! Ja wcale nie powiedziałem takiej rzeczy!... Że u ciebie nie jest czysto?... Widzisz dobrze, że nie rozumiesz nic!

— To było wszystko co zdołał jej powiedzieć, żeby ją uspokoić.

— Ty mówisz, żeś nic nie powiedział? Niceś nie powiedział? Biorę was na świadków, jak mnie okropnie obraża i twierdzi jeszcze, że nic nie powiedział! Takiego to trzeba zabić, żeby nie mógł łągać więcej! Mało kryminału dla podobnej świni! Parszywy, zgniły makrot!... To zamało!... Szubienica mu się należy!

Nie chciała już dać się uspokoić. Już nic nie było można zrozumieć z ich kłótni w taksówce. Słysząc było tylko wyzwiska w głuchym łomocie auta, szum kół w deszczu i we wietrze, uderzającym w drzwiczki podrywami. Między nimi było wciąż pełno grózb. „To jest podłe“ ... powtórzyła kilka razy. Nie mogła już mówić o czem innym... „To jest podłe!“ A potem postawiła wszystko na jedną kartę: „Idziesz? rzuciła mu. Idziesz Leonie? Raz?... Idziesz ze mną? Dwa?...“ Poczekwała. „Trzy?... Więc nie idziesz?... „Nie!“ odpowiedział jej, nie poruszywszy się na cal. „Rób jak chcesz!“ dodał nawet. To była odpowiedź.

Musiała się cofnąć trochę na siedzeniu w głębi. Musiała trzymać rewolwer oburącz, bo kiedy padł strzał, to jakgdyby wprost z jej brzucha, a potem prawie razem jeszcze dwa strzały, raz poraż... Mieliliśmy pełną taksówkę kręcącego w nosie dymu.

Jechaliśmy jeszcze mimo wszystko. Robinson upadł na mnie, bokiem, w podrzutach, bełkocąc. „Oop! i Oop!“ Jęczał bez przerwy „Oop! i Oop!“ Szofer z pewnością usłyszał.

Z początku zwolnił trochę, żeby się zorientować. Potem zatrzymał się zupełnie pod latarnią gazową.

Jak tylko otworzył drzwiczki, Madelon odepchnęła go gwałtownie, wyskoczyła. Spuściła się z nasypu, z pieca na łeb. Uciekała w mroku przez pola, po błocie. Gdy zacząłem na nią wołać, była już daleko.

Nie wiedziałem dobrze, co zrobić z rannym. Odwieźć go do Paryża byłoby pod pewnym względem praktyczniej... Ale byliśmy już niedaleko domu... Mieszkańcy Vigny nie zrozumieliby takiego manewru... Ulokowaliśmy go więc z Zofją, otuliwszy płaszczami, w tym samym kącie, skąd Madelon strzelała. „Wolno!“ poleciłem szoferowi. Tylko że on jechał jeszcze za prędko, pilno mu było. Od wstrząsów Robinson mocniej jęczał.

Gdyśmy zajechali przed dom, szofer nie chciał nam nawet podać nazwiska, był zaniepokojony z racji kramu, jaki miał mieć przez to z policją, składanie zeznań...

Twierdził również, że napewno są plamy krwi na poduszkach. Chciał nie czekając natychmiast odjechać. Ale ja zapisałem sobie jego numer.

W brzuch dostał dwie kule Robinson, może wszystkie trzy, nie wiedziałem jeszcze dokładnie ile.

Strzelała prosto przed siebie, to widziałem. Rany nie krwawiły. Między Zofją a mną, chociażśmy go podtrzymywali, rzucało go jednak mocno, głowa mu latała. Mówił coś, ale trudno go było zrozumieć. To była już maligna! „Oop! i oop!“ wciąż jakby podśpiewywał. Miałby czas umrzeć przed przybyciem.

Ulica była świeżo wybrukowana. Jak tylko stanęliśmy przed bramą, posłałem odźwierną do pokoju Parapina, żeby go sprowadziła czempredzej. Przyszedł zaraz i z jego pomocą oraz jednego pielęgniarza mogli-

śmy zanieść Robinsona na łóżko. Po rozebraniu można go było zbadać i obmacać powłoki brzuszne. Pod palcami były już bardzo naprężone przy dotykaniu i nawet miejscami twarde. Odnalazłem dwie dziury, jedna nad drugą, trzeciej nie, jedna kula musiała się zatracić.

Gdybym był na miejscu Leona, wołałbym dla siebie krwotok wewnętrzny, to zalewa brzuch, szybko przychodzi koniec. Napełnia się sobie otrzewną i już nie ma o czym gadać. Natomiast przy zapaleniu otrzewnej jest w perspektywie zakażenie, to trwa długo.

Można było zadać sobie pytanie, co on zrobi, żeby z tem skończyć. Jego brzuch wzdymał się. Leon patrzył na nas już sztywnym wzrokiem, jęczał, ale nie zanadto. To był jakby pewien spokój. Widziałem go już bardzo chorego, i w różnych miejscach, ale tym razem była sprawa, gdzie wszystko było nowe, i westchnienia, i oczy, i wszystko. Można by powiedzieć, że nie sposób go było już zatrzymać, odchodził z minuty na minutę. Pot występował mu takimi dużymi kroplami, że to wyglądało jakby płakał całą twarzą. W takich chwilach jest trochę krępujące, że człowiek stał się tak biedny i tak twardy, jak się stał. Brak prawie wszystkiego co by należało mieć, żeby komuś pomóc umrzeć. Ma się w sobie tylko rzeczy pożyteczne w życiu codziennym, w życiu wygody, w życiu dla siebie tylko, w draństwie. Straciło się w drodze zaufanie. Wypędziło się, zadreżczyło litość, która pozostała nam starannie schowana w głębi ciała, jak podła pigułka. Wypchnęło się litość aż do końca kiszki odchodowej razem z kałem. I tam ona jest, mówimy sobie.

I tkwiłem przy Leonie, żeby mu współczuć i...

nie byłem tak zawstydzony. Nie potrafiłem... Nie odnajdywał mnie... Toczył więc ślinę... Musiał on szukać innego Ferdynanda, o wiele większego ode mnie, z pewnością, żeby umrzeć, żeby mi raczej pomógł umrzeć spokojniej. Czynił wysiłki, żeby uświadomić sobie, czy przypadkiem świat nie porobił postępów. Robił inwentarz wielki nieszczęśnik, w swem sumieniu... Czy ludzie się trochę nie zmienili, na lepsze, gdy on żył, czy nie był przypadkiem niesprawiedliwy wobec nich, bezwiednie... Ale przy nim byłem tylko ja, ja sam jeden, Ferdynand prawdziwy, któremu brak było tego, co uczyniłoby człowieka większym niż samo jego życie, miłość życia innych ludzi. Tego ja nie miałem w sobie lub doprawdy tak mało, że niewarto było tego pokazywać. Ja nie byłem tak wielki jak śmierć. Byłem o wiele mniejszy. Ja nie miałem wielkiej ludzkiej idei. Myślałem nawet, że czułbym łatwiej strapienie widząc zdychającego psa, niż wobec umierającego Robinsona, bo pies to nie jest spryciarz, a Leon był jednak trochę spryciarz. Ja też byłem spryciarzem, byliśmy spryciarze... Cała reszta przepadła po drodze, i nawet te miny, które mogą się przydać przy umierających, straciłem, stanowczo straciłem wszystko po drodze, nie mogłem odnaleźć nic z tego, czego potrzeba żeby zdechnąć, same tylko cwaniactwa. Moje uczucie było jak dom, gdzie się bywa tylko na wywczasach. Ledwie tam można mieszkać. A przytem także, taki co kona jest wymagający. Nie wystarcza konać. Trzeba mieć rozkosz zdychając, przy ostatniej czkawce trzeba jeszcze mieć rozkosz, na samem dnie życia, z tętnicami pełnemi mocznika.

Umierający popłakują jeszcze, bo już nie mają do-

statecznej rozkoszy... Żądają... Protestują. Komedja nieszczęścia chce przejść z życia w śmierć samą.

Odzyskał trochę przytomności, gdy Parapin zrobił mu zastrzyk morfiny. Powiedział nam nawet wówczas to i owo na temat tego co się stało. „Lepiej, że to się tak kończy...” rzekł, a potem: „To nie tak boli jakbym myślał...” Kiedy Parapin go zapytał, w jakim dokładnie miejscu go boli, widać było dobrze, że już trochę go tu niema, lecz również, że mimo wszystko chciał nam jeszcze coś powiedzieć... Brak mu było sił i środków. Płakał, dusił się i śmiał się zaraz potem. Nie było to tak jak ze zwykłym chorym, niewiadomo było, jak się wobec niego zachować.

To było tak, jakby on usiłował teraz nam pomóc żyć. Jakgdyby znalazł dla nas przyjemności, żeby zostać. Trzymał nas za ręce. Każdego za jedną. Pocałowałem go. To jedyna rzecz, którą można w takich wypadkach zrobić, nie myśląc się. Czekaliśmy. Nic już nie powiedział. Trochę później, może w godzinę, nie więcej, zdeklarował się krwotok, ale teraz obfity, wewnętrzny, masywny. On go zabrał.

Serce jego zaczęło bić coraz prędzej, a potem zupełnie prędko. Jego serce gonilo uchodzącą krew, wyczerpane, tam, malutkie już, na sam koniec tętnic, aż zadrgało w końcach palców. Bładość podniosła mu się z szyi i rozlała się po całej twarzy. Skończył, dusząc się. Odszedł nagle, jakgdyby wziął rozpęd, przyciskając się ramionami do nas obu.

I potem powrócił tam, przed nas, prawie natychmiast, skurczony, już przybierając cały swój ciężar trupa.

Powstaliśmy, uwolniliśmy się od jego rak. Rece ie-

go pozostały w powietrzu, sztywne, i sterczały żółtoniebieskie pod lampą.

Robinson robił teraz w pokoju wrażenie kogoś obcego, który przybył z okrutnego kraju, i nikt już nie śmie doń się odzywać.

Parapin nie tracił głowy. Zawiadomił posterunek policji. Właśnie miał dyżur Gustaw, nasz Gustaw, po skończeniu służby na szosie przy kierowaniu ruchem.

— Znowu nieszczęście! rzekł Gustaw, gdy wszedł do pokoju i zobaczył.

A potem usiadł sobie, żeby wytchnąć i golnąć sobie przy stole pielęgniarzy, jeszcze nie sprzątniętym po obiedzie. „Skoro to jest zbrodnia, lepiej go zanieść na posterunek“ zaproponował i jeszcze zauważył: „To był dobry chłop, Robinson, nie skrzywdziłby muchy. Zastanawiam się, dlaczego ona go zabiła?...“ I znowu wypił. Nie powinien był tego robić. Miał słabą głowę. Ale pociąg do kieliszka nie opuszczał go.

Poszliśmy z nim po nosze na górę, do składu sprzętów zakładowych. Późno już było teraz niepokoić służbę, postanowiliśmy zanieść ciało do biura policji sami. Posterunek był daleko, na drugim końcu osady, za przejazdem, ostatni dom.

Wyruszyliśmy więc. Parapin trzymał nosze z przodu, Gustaw Mandamour za drugi koniec. Tylko że ani jeden ani drugi nie szli bardzo równo. Zofja musiała nawet im trochę pomagać na schodkach. Zauważyłem wówczas, że Zofja nie wyglądała na bardzo przejętą. A jednak to się stało tuż obok niej, tak blisko, że mogła była dostać jedną z kul, gdy tamta warjatka strzelała. Ale Zofji, zauważyłem to już w innych okolicznościach, potrzeba było czasu, żeby się połapać we wzruszeniach. Nie znaczy to, iż była zimna, to spadło

na nią, jak burza, więc potrzebowała czasu, by się rozruszać.

Chciałem iść jeszcze kawałek z nimi, za zwłokami, żeby być zupełnie pewnym, że to już koniec. Ale zamiast iść za noszami, jak powinienem był, tłukłem się za nimi po szosie i wreszcie gdyśmy minęli dużą szkołę, która jest tuż koło przejazdu kolejowego, zoczyłem na ścieżkę, schodzącą naprzód między płotami a potem prostopadle ku Sekwanie.

Widziałem przez sztachety, jak oddalali się ze swemi noszami, jakby się mieli udusić we wstęgach mgły, powoli splatających się za nimi. Na nabrzeżu woda uderzała twardo w gabary, zgromadzone w obawie przyboru. Z równiny Gennevilliers szedł jeszcze chłód zwartemi kłębami na fale rzeki, błyszczące między arkadami mostu.

Tam gdzieś, hen, było morze. Ale ja teraz nie miałem już nic do przedstawiania sobie w związku z morzem. Co innego miałem do roboty. Daremnie próbowałem zatracić się, by nie znaleźć się znowu w obliczu swego życia, znajdowałem je oto wszędzie. Wracałem myślą do siebie. Moje włóczenie życia za sobą było skończone. Na innych kolej!... Świat był zamknięty! Myśmy doszli do kresu!... Jak na zabawie!... Martwić się to nie wszystko, należałoby móc rozpocząć nanowo tę muzykę, iść po większe zmartwienie... Ale to już dla innych!... To żąda się jeszcze w ten sposób młodości, nie dając tego poznać po sobie... Bez skrupowania!... Przedewszystkiem nie byłem gotów do znoszenia więcej! A przecież nie byłem nawet tak daleko w życiu jak Robinson. W rezultacie nie powiodło mi się. Nie

zdoylem nawet jednej idei mocnej, jak ta, którą on miał, żeby wyjść z odrętwienia. Ideę większą niż moja głowa, większą od całego strachu jaki w niej był, piękną ideę, wspaniałą i wygodną żeby umrzeć... Ile potrzebaby mi było egzystencji, żebym sobie wyrobił taką ideę, silniejszą od wszystkiego na świecie? Niepodobna było tego wypowiedzieć! To było chybione! Moje idce wałęsały się raczej po mej głowie, mając dużo wolnego miejsca między sobą, to były jakby świeczki, skromne i migotliwe, pełgające całe życie wśród ohydneho i straszliwego świata...

Może trochę lepiej było teraz ze mną niż dwadzieścia lat temu, nie można było powiedzieć, że nie zrobił postępów, ale ostatecznie niepodobna było przewidywać bym doszedł kiedykolwiek, jak Robinson, do nabicia sobie głowy jedną jedyną ideą, ale w takim razie jakąś myślą wspaniałą, bezwzględnie silniejszą od śmierci, i że uda mi się dzięki mojej idei tryskać dookoła rozkoszą, beztroską i odwagą. Bohater tryskający sokiem.

Byłbym wówczas pełen odwagi. Kapałaby nawet ze mnie wszędzie odwaga i samo życie nie byłoby już niczem innym jak całkowitą ideą odwagi, która puszczałaby w ruch wszystko, ludzi i rzeczy, od ziemi do nieba. Miłości byłoby nadmiar wtedy tyle, że śmierć byłaby w niej zamknięta z tkliwością i takby jej tam było dobrze, tak ciepło, że doznałaby wreszcie spazmu rozkoszy ta dziwka, że wkońcu bawiłaby się miłością i ona, wraz ze wszystkimi. To byłoby piękne! To byłby sukces! Śmiałem się sam do siebie na nabrzeżu, myśląc o tem wszystkim czego musiałbym dokonać, jakich sztuczek i kawałów użyć, żeby zdołać tak się nadać po-

stanowieniami niezmiernej wagi... Istna żaba ideału! Ot, bredzenie w gorączce.

Conajmniej od godziny szukali mnie towarzysze! Zwłaszcza że widzieli, iż opuszczając ich wyglądałem zgoła nie świetnie... Pierwszy wykrył mnie Gustaw Mandamour pod gazową latarnią. „Hej, doktorze!“ zawołał na mnie. Ten to miał głos, psiakrew! „Tędy! Proszą pana do komisarza! Dla zeznania! — Wie doktor... dodał, ale do ucha, naprawdę pan źle wygląda!“ Towarzyszył mi. Nawet podtrzymywał mnie. Lubił mnie Gustaw. Ja mu nigdy nie robiłem wymówek z powodu picia. Ja rozumiałem wszystko. A Parapin był trochę surowy. Od czasu do czasu kazał mu się wstydzic że pije. Gustaw zrobiłby dla mnie wiele. Nawet mnie uwielbiał. Powiedział mi to. Nie wiedział dlaczego. Ja również. Ale uwielbiał mnie. Jeden jedyny człowiek.

Przeszliśmy razem dwie czy trzy ulice, ujrzelśmy latarnię posterunku. Nie można już było zabłądzić. Gustawa dręczyło sporządzenie raportu. Nie śmiał mi tego powiedzieć. Kazał już się wszystkim podpisać pod raportem, ale jednak brakowało jeszcze wielu rzeczy do jego raportu.

Dużą głowę miał Gustaw, w moim rodzaju, nawet mogłem, dość powiedzieć, włożyć jego kepi, ale łatwo, zapominał szczegóły. Myśli nie przychodziły mu łatwo, mordował się by je wyrazić, a jeszcze bardziej by je wypisać. Parapin mógłby mu zredagować, ale on, Parapin nie widział, w jakich okolicznościach rozegrał się dramat. Musiałby zmyślać, a komisarz nie chciał, żeby zmyślano w raportach, chciał tylko prawdy, jak powiadał.

Wchodząc po schodkach posterunku, dzwoniłem zębami. Ja też nie mogłem wiele powiedzieć komisarzowi, naprawdę źle się czułem.

Zwłoki Robinsona umieścili pod rzędami wielkich segregatorów Prefektury.

Wszędzie koło ławek druki i stare niedopałki, „Śmierć draniom“ niedobrze zatarte.

„Pan doktor zabłądził?“ zapytał mnie sekretarz, bardzo zresztą serdecznie, gdy wreszcie przyszedł. Wszyscy byliśmy tak znużeni, że każdy z nas coś tam bąkał.

Wreszcie uzgodniliśmy terminy techniczne i kierunek kul, jedna jeszcze siedziała w kręgosłupie. Nie odnaleziono jej. Pochowają go z nią. Szukano innych. Inne utkwily w taksówce. To był rewolwer dużego kalibru.

Zofja przysłała do nas, przyniosła mi płaszcz. Całowała mnie i tuliła do siebie, jakgdybym ja miał z kolei umrzeć lub uciec. „Przecież nie odchodzę! siliłem się jej powtarzać. Nie odchodzę, no, co ci jest, Zofjo!“ Nie można było jej uspokoić.

Zaczęliśmy gadać przy noszach z sekretarzem komisarza, który widział nie takie, jak powiadał, zbrodnie i nie - zbrodnie i również katastrofy, i nawet chciał nam odrazu opowiedzieć wszystkie swe doświadczenia. Nie śmieliśmy odejść, żeby go nie urazić. Był taki uprzejmy. Przyjemnie mu było porozmawiać raz z ludźmi inteligentnymi, nie z łobuzami. Żeby go więc nie gniewać, marudziliśmy na jego posterunku.

Parapin nie miał pałta. Gustawowi od naszej rozmowy kręciło się we łbie. Gębę miał otwartą i wyciągnął swój gruby kark, jakgdyby ciągnął wóz. Od wielu lat nie słyshałem Parapina tak rozmownego, od cza-

su mych studjów, prawdę mówiąc. Wszystko co wyda-
rzyło się tego dnia, upajało go. Zdecydowaliśmy się
jednak wrócić do domu.

Zabraliśmy ze sobą Mandamoura i Zofję, która
mnie obejmowała jeszcze co pewien czas i miała ciało
pełne sił niepokoju i tkliwości, pełne też serce, i wszę-
dzie, i pięknej tkliwości. Byłem pełen jej siły. To mnie
żenowało, to nie była moja siła, a potrzebowałem swo-
jej, żeby zdechnąć wspaniale pewnego dnia, jak Leon.
Nie mogłem tracić czasu na mizdrzenie się. Do roboty!
mówiłem sobie. Ale to nie przychodziło.

Ona nie chciała nawet żebym się obrócił, by raz jesz-
cze popatrzeć na trupa. Poszedłem więc nie odwracając
się. „Zamykać drzwi“ było napisane. Parapinowi chia-
ło się jeszcze pić. Od mówienia niezawodnie. Od zbyt-
niego mówienia, jak na niego. Przechodząc obok knajp-
ki przy kanale, stukaliśmy w okienicę dobrą chwilę.
To mi przypominało drogę do Noirceur podczas woj-
ny. To samo światelko nad drzwiami gotowe zgasnąć.
Wreszcie pojawił się gospodarz we własnej osobie, że-
by nam otworzyć. Nie wiedział jeszcze o niczem. To
myśmy mu powiedzieli nowinę o dramacie. „Dramat
miłosny“, jak to nazywał Gustaw.

Szynk przy kanale otwierał się przed świtem z uwa-
gi na flisaków. Służa zaczyna obracać się powoli pod
koniec nocy. I zaraz cały krajobraz ożywia się i za-
czyna pracować. Strome brzegi oddzielają się od rze-
ki powolutku, wstają, powstają z obu stron wody. Pra-
ca wyłania się z mroku. Zaczyna się znowu widzieć
wszystko, proste, twarde. Kołowroty tutaj, płoty przy
budowach tam, i daleko ponad szosą powracają oto
ludzie z jeszcze większej dali. Wsączają się w brudny

przedświt małemi skostniałemi gromadkami. Przecho-
dząc przed wschodem słońca, biorą w twarz światło
brzasku na początek. Idą dalej. Widać z nich tylko
twarze blade i pospolite; reszta należy jeszcze do nocy.
I oni będą musieli wszyscy zdechnąć pewnego dnia.
Jak oni to zrobią?

Idą ku mostowi. Potem znikają stopniowo na równi-
nie, i wciąż ciągną nowi ludzie, jeszcze bledsi w miarę
jak dzień wstaje wszędy. O czem oni myślą?

Szynkarz chciał wiedzieć wszystko o dramacie,
okoliczności, żeby mu wszystko opowiedzieć.

Vaudescal nazywał się gospodarz, chłop z Północy,
bardzo chędogo ubrany.

Gustaw opowiedział mu więc to co tamten chciał
i więcej.

Wątkował Gustaw okoliczności, a przecież nie to by-
ło ważne; gubiono się już w słowach. A potem, że był
pijany, zaczynał nanowo. Tylko że tu doprawdy nie
miał już nic do powiedzenia, nic. Ja słuchałbym go
mimo wszystko jeszcze trochę, spokojnie, jak opowia-
danego snu, lecz oto inni przeczą mu, i Gustaw wpada
w wielki gniew.

W pasji kopnął z całych sił piecyk. Wszystko się
wali, wszystko przewraca: rura, ruszt i płonące węgle.
Silny był Mandamour, za czterech.

Nadomiar zachciało mu się pokazać nam prawdziwy
taniec ognia! Zdjąc buty i skakać śród zarzewia.

Z gospodarzem mieli oni awanturę o „maszynę do
groszy“¹ nieostemplowaną... To był cwaniak ten Vau-
descal; nie należało mu ufać, z jego koszulami zawsze

¹ kasa mechaniczna. *Przybłtłum*

zbyt czystymi, żeby mógł być zupełnie uczciwy. Mściwy i szpicel. Pełno takich na nabrzeżu.

Parapin domyślił się, że on szukał teraz zwady z Mandamourem, żeby spowodować usunięcie go ze służby, korzystając z tego, że tamten był urżnięty.

Nie dał mu wykonać jego tańca ognia i zaczął go wstydzić. Odsunęliśmy Mandamoura na sam koniec stołu. Zwalił się tam na zakończenie, już grzeczny, w ciężkich westchnieniach i odorach. Spał.

Z oddali zagwizdał holownik; jego wezwanie przebiegło most, jeszcze jeden łuk, drugi, służę, inny most, daleko, jeszcze dalej... Wzywał ku sobie wszystkie barki rzeki, wszystkie, i całe miasto, niebo i wieś, i nas, wszystko zabierał ze sobą, Sekwanę też, wszystko — nie mówmy o tem więcej.

